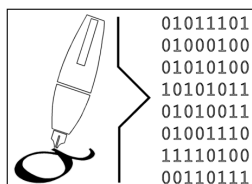


MERCEDES LACKEY

WIATR ZMIAN

Drugi tom z cyklu
„Trylogia Magicznych Wiatrów”

Tłumaczyli: Katarzyna Krawczyk i Leszek Ryś



Tytuł oryginału:

WINDS OF CHANGE

Data wydania polskiego: 1996 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1991 r.

Dedykowane Klanowi Tayledras i heroldom naszego świata: policjantom, strażakom i wszystkim ludziom spieszącym na ratunek, których codzienne wyczyny przekraczają literacką fantazję

PROLOG

Przez wiele lat, za panowania królowej Selenay i króla małżonka Darena, bogate północne królestwo Valdemaru obległy siły Hardornu (*Strzały Królowej, Lot strzały, Upadek strzały, Prawo miecza*). Ich przywódca, okrutny i przebiegły Ancar w starciu z dworem rywalizującego z nim państwa uciekł się wprawdzie do zdrady, jednakże jego zamiary zostały udaremnione przez heroldów Valdemaru, którzy byli w jednej osobie sędziami, prawodawcami i strażnikami praw jego obywateli. Ancar nie mógł ich przekupić złotem, gdyż sprzedajność była sprzeczna z naturą heroldów, wybranych do służby przez Towarzyszy — stworzenia, które tylko z pozoru można było wziąć za konie. Wtedy Ancar przeprowadził bezpośredni atak, który został odparty przez siły południowego sąsiada zaatakowanego kraju, królestwa Rethwellanu, i w ten sposób wywiązał się z dawno puszczonej w niepamięć obietnicy. W szeregach armii Valdemaru znalazła się kompania najemników, Piorunów Nieba, pod wodzą kapitan Kerowyn, wnuczki czarodziejki Kethry (której historię opowiadają *Związani przysięgą* i *Krzywoprzysiężcy*). Kerowyn przywiodła ze sobą coś więcej niż tylko zbrojny zastęp, miała przypasaną do boku starą, zaklętą broń, miecz babki: Potrzebę, którym z niewiadomych powodów mogła władać wyłącznie kobieta. Razem z nią na pomoc Valdemarowi przybył brat króla Rethwellanu i jego Lord Wojny, książę Daren, młodszy brat zdradzieckiego pierwszego męża Selenay.

Wymienieni bohaterowie wspólnymi siłami pokonali armię Ancara. Podczas decydującego starcia Daren, który w niczym nie przypominał swego brata, i Kerowyn ku konsternacji niektórych dostojników Selenay zostali Wybrani przez Towarzyszy.

Daren i Selenay zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia.

Przez następnych pięć lat udało im się, pomimo ponawianych wciąż przez Ancara prób wtargnięcia w granicę królestwa i nasyłania szpiegów, utrzymać pokój oraz doczekać się potomstwa. Kraj żył w niezachwianej pewności, że przynajmniej nie zagrażają mu ciemne moce magii.

Co prawda, zaledwie garstka zamieszkujących Valdemar wierzyła w prawdziwą magię, chociaż na co dzień stykano się z dowodami istnienia myślmagii heroldów. Odwieczna przeszkoda, której wzniesienie przypisywano legendarnemu

magowi heroldów Vanyelowi, wydawała się skutecznie bronić granic Valdemaru przed działaniami prawdziwej magii. Co więcej, wydawało się, że istnieje nawet pewien zakaz myślenia o magii.

Był to temat, o którym szybko zapominali rozmówcy, świadkowie zaś swe wspomnienia składali na karb snów. W zapomnienie poszły stare opisujące ją kroniki; zapał ich czytelników szybko wygasł i odkładali je oni, nie pamiętając, do czego im właściwie były potrzebne.

Jednak nadszedł dzień, kiedy stało się jasne, że przeszkoda przestała być już tak skuteczna, jak wszyscy sądzili, czy mieli nadzieję. Dziedziczka tronu, córka królowej z pierwszego małżeństwa, podjęła decyzję, iż najwyższa pora, by Valdemar postarał się choć w pewnym stopniu opanować magię, którą władali wrogowie królestwa (*Wiatr przeznaczenia*), a być może rozwinąć nawet nowe rodzaje zaklęć.

Następczyni tronu nieustępliwie walczyła o prawo udania się osobiście na poszukiwanie magów w odległe krainy. Jej argumenty przybrały na sile wtedy, gdy o mały włos nie zginęła z ręki wspomaganego magią zamachowca nasłanego przez Ancara i koniec końców wyruszyła na wyprawę, mając przy boku Potrzebę i jednego herolda, Skifa.

Ledwie przekroczywszy granicę Rethewellanu, królowa przekonała się, że sukcesu nie zawdzięcza wyłącznie własnej przemyślności, lecz że to Towarzysze wspomogli ją skrycie, i że w istocie to oni kierują ją w sobie tylko wiadomym kierunku. Uniesiona gniewem, przysięgając, że ta wyprawa odbędzie się wyłącznie pod jej dyktando, Elspeth zawróciła z raz obranej już drogi i ruszyła do Kata'shin'a'in oraz nomadów na Równinach Dhorishy. Żyła nadzieją, że pomogą jej oni odnaleźć tajemniczych Braci Sokołów z Pelagiru — u których rzekomo pobierał nauki ostatni herold-mag, Vanyel (*Śluga magii, Obietnica magii, Cena magii*) — i że tam będzie mogła spotkać nauczycieli i pozyskać sobie sprzymierzeńców.

Dowiedziawszy się dokąd zmierza, Shin'a'in postanowili poddać ją próbie i nie spuszczać jej z oka, gdy stanie twarzą w twarz z ich wrogami podczas przemierzania ich ziemi.

Wtedy to miecz, który miała przy boku i o którym myślała, że jest „zwykłą” magiczną bronią, przebudził się w jej rękach. Okazało się, że w pradawnych czasach — ginących w takim mroku dziejów, iż zatarciu uległy wszelkie o niej wzmianki w Kronikach Valdemaru — Potrzeba była czarodziejką.

Heroldowie, Towarzysze i przebudzone z długiego snu ostrze razem przekroczyli granice Równin Dhorishy i natychmiast przekonali się, że miast starym niebezpieczeństwem, muszą stawiać czoło nowym: ziemie Tayledrasów, do których zmierzali, wspomagając się mapą wręczoną Elspeth przez szamana Shin'a'in, Kra'heera, oraz Tre'valena, były tak samo oblegane jak Valdemar.

Pomiędzy Sokolimi Braćmi był mag, Mroczny Wiatr k'Sheyna, który prowadził własną wojnę przeciw wrogom zewnętrznym i wewnętrznym. Z zewnątrz

zagrozały mu siły pod wodzą złego adepta i Mistrza Zmian, Mornelithe'a Sokolej Zmory, w szeregach których niepoślednią rolę odgrywała jego córka, półczłowiek, Zmiennolica Nyara. Na dodatek klan był podzielony: ponad połowa, w skład której wchodziły wszystkie dzieci i magowie mniejszej rangi, żyli opuszczeni w miejscu, gdzie zamierzano urządzić nową Dolinę, gdy pękł ich kamień-serce. Jakby tego było mało, podzieliła się także starszyzna. Mroczny Wiatr stał na czele grupy, która chciała skorzystać z pomocy z zewnątrz, scalić kamień-serce i sprowadzić z powrotem resztę klanu. Tymczasem jego własny ojciec, przywódca magów, zaklinał się, iż uczynić tego niepodobna.

Jednak ojciec Mrocznego Wiatru uległ sile Zmory Sokołów i nawet w samym sercu Doliny nie mógł wyrwać się z jego sidła. To właśnie on, adept Gwiezdne Ostrze k'Sheyna, spowodował pęknięcie kamienia klanu.

Mroczny Wiatr miał do pomocy dwoje gryfów i ich młode, którzy zastąpili mu rodzinę po śmierci matki i odsunięciu się od władzy ojca. Treyvan i Hydona uczynili co w ich mocy, by jak najlepiej go wychować, niewiele jednak mogli wskórać w Dolinie, mimo że sami byli potężnymi magami.

Zmora Sokołów postanowił silniej zacisnąć pięść wokół Doliny k'Sheyna i uciekł się do podstępów: wysłał swą córkę, rzekomą dezerterkę, która wyrwała się spod jego władzy, by uwiodła młodzieńca. Nyara, której sprzykrzyło się złe traktowanie przez ojca, nie wiedziała nic o jego dalekosiężnych planach. Miłość do Jutrzenki sprawiła, że Mroczny Wiatr nie uległ urokowi Nyary, jednak w swych rachubach Zmora Sokołów i tak był przekonany, że sprawa usidlenia tak ojca, jak i syna, jest już przesądzona.

Elsbeth, właścicielka niesłychanie cennego zabytku, mag o surowym jeszcze talencie, natychmiast obudziła w Zmorze Sokołów chciwość, gdy tylko zwróciła na siebie jego uwagę. Poleciał więc on swym stworzeniom, nieustannie przeczesującym Równiny w poszukiwaniu zabytków chronionych przez Shin'a'in, by ruszyły jej śladem. Sam zaś, kierując się zadawnionym uczuciem nienawiści do gryfonów, przypuścił atak na rodzinę Treyvana i Hydony, a przy okazji zdołał zamknąć duszę Jutrzenki w ciele jej własnego więź-ptaka, zgładziwszy ciało człowieka wraz z ptasią duszą.

Gdy Nyara przekonała się, iż na gryfiątka padł cień potęgi jej ojca, wyznała, jaką odegrała w tym rolę i wtrącono ją w najciemniejszy zakamarek gryfoniej jaskini.

Elsbeth i Skif stanęli na granicy ziem k'Sheyna ścigani przez stwory Sokolej Zmory. Uratował ich Mroczny Wiatr z parą gryfonów. Niepewny, co z nimi począć, rozpoznawszy miecz i Towarzyszów, zabrał ich ze sobą do jaskini swoich przyjaciół. Skif zobaczył tam Nyarę i natychmiast się w niej zakochał. Okazało się, że zauroczenie było obustronne.

Wyznania Nyary pozwoliły dowieść, że ojciec Mrocznego Wiatru był niewolnikiem złego adepta. Młodzieńcowi udało się wyrwać ojca spod władzy Zmory

Sokołów i zniszczyć stworzenie, poprzez które zmuszał go do uległości. Obudził tym jednak czujność wroga, zorientował się, że wiedzą o nim, o tym kim jest i, przypuszczalnie, znają jego plany. Pełen nienawiści mag pozwolił zatem, by Jutrzenka dowiedziała się o planowanym spotkaniu z Ancarem z Hardornu dotyczącym zawarcia przymierza, a później dopuścił do jej rzekomo „przypadkowej” ucieczki.

Dla Jutrzenki nazwisko sprzymierzeńca Sokolej Zmory nie miało znaczenia, zupełnie inaczej rzecz się miała w przypadku heroldów. Zmaterializowały się ich najgorsze obawy: Ancar miał zjednoczyć swe siły z potężnym adeptem. . .

Jednak Potrzeba, doświadczona po stuleciach pełnych forteli, zwróciła im uwagę na to, że „ucieczka” Jutrzenki była niesłychanie łatwa, i że starając się zakłócić rzekome spotkanie, wystawią gryfiątka, a nawet ją samą na niebezpieczeństwo.

Sprzymierzeńcy zastawili zatem podwójną pułapkę: zaczęli się, czekając, aż Zmora Sokołów sięgnie po młode gryfiątka.

Ich przeciwnik okazał się sprytniejszy, niż przypuszczali: odkrył ich zamiary w ostatniej chwili i przeprowadził skuteczny kontratak. Chciał zagarnąć młode, jednak Potrzeba odparowała magiczne uderzenie, i odwróciła je przeciw niemu, przy okazji oczyszczając niczego nie podejrzewające gryfiątka z rzuconej na nie klątwy. Wtedy zaatakował Skifa, lecz zanim zdołał go zabić spotkał się z ripostą Nyary, która po raz pierwszy w życiu otwarcie rzuciła mu wyzwanie. Mimo to, dzięki potężnej sile swej magii i sprzymierzeńcom, Zmora Sokołów zabił dwoje Towarzyszy i pochwycił Hydone.

Gdyby nie wytrwałość gryfonów i Mrocznego Wiatru oraz pomoc Mieczników Shin'a'in — odzianych w czerni sług Shin'a'in i bogini Tayledrasów — którzy przez cały czas uczestniczyli sekretnie w grze, wszystko byłoby stracone. Otoczyli oni walczących i zagrozili potężnie Zmory Sokołów.

Rozjuszony adept zmuszony został do ucieczki, o włos unikając złego losu, zostawiając za sobą krwawy ślad i nadzieję ocalonych, że strzała Shin'a'in była śmiertelna.

Jednak na tym nie skończyła się pomoc Shin'a'in. Miecznicy i szaman zabrali ze sobą Jutrzenkę, której dusza w potrzasku ptasiego ciała skazana była na powolne rozpyływanie się i „śmierć” do ostatniej iskiej ludzkiego jestestwa. Na oczach heroldów Bogini osobiście wstawiła się w imieniu Jutrzenki, wcielając jej duszą w lśniącego jastrzębia, symbol szamanów klanu Tale'sedrin.

W zamieszaniu, które było tego wynikiem, zniknęła Nyara, zabierając ze sobą Potrzebę, która utrzymywała, że jest jej bardziej potrzebna niż Elspeth.

Na szczęście klan znów był zjednoczony, zaś Mroczny Wiatr zgodził się obudzić w sobie moc, przed czym od tak dawna się wzbraniał, i poprowadzić Elspeth drogą magii, by mogła wrócić do Valdemaru w randze adepta.

Tak rozpoczął się nowy dzień. . .

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Elsbeth potarła ozdobione piórami skronie. Miała nadzieję, że litościwie opadną z niej lęki i napięcie, a w umyśle choć na chwilę zapanuje spokój.

Nie tego się spodziewałam. O, żeby już było po wszystkim.

Herold Elspeth, Dziedziczka Korony Valdemaru, która wyszła obronną ręką z tysiąca i jednej oficjalnych ceremonii, jeszcze przed ukończeniem dwudziestu sześciu lat, strzepnęła nie istniejący proch z tuniki, żałując, że nie znajduje się gdzie indziej, wszystko jedno gdzie, byle nie tutaj. „Tutaj” znajdowało się na południowym skraju ziem Tayledrasów, o których w Valdemarze mówiono, że są baśniowymi Sokolimi Braćmi. „Tutaj” było jaskinią o nierównych ścianach, przypuszczalnie utkanych z magii, tuż przed ujściem Doliny k’Sheyna. „Tutaj” właśnie Elspeth, następczyni tronu, gotowała się we własnym sosie, walcząc z niepokojem.

Wciąż jeszcze nie przyzwyczała się do otaczających ją ludzi i magii. O ile mogła sobie przypomnieć, tej jaskini jeszcze przedwczoraj nie było w tym miejscu.

A jednak ściany nie posiadały surowego wyglądu świeżo wydrążonej skały, piaskowa, nierówna podłoga wyglądała najzwyczajniej w świecie, a wejście, poszarpana wyrwa w zboczu, wydawało się najzupełniej naturalne, tak jak i obrastające je rośliny. Zielsko rosło wszędzie, gdzie tylko jego korzenie znalazły choć odrobinę gleby, której mogły się ucześcić. Jak w każdej jaskini, którą odwiedziła, ucząc się na herolda, i w tej zalatywało stęchlizną.

A może się myliła? Może jaskinia zawsze znajdowała się tutaj, a jedynie prowadzące do niej wejście było dobrze ukryte.

Im dłużej nad tym myślała, tym bardziej przychyliła się do wniosku, że to byłoby bardziej w guście jedyne go znanego jej Sokolego Brata: Mrocznego Wiatru k’Sheyna; nie lubił on niepotrzebnie marnotrawić czasu i sił, o magii nie mówiąc. Już w pierwszy dzień ich znajomości posępnie uzmysłowił jej, co sądzi o zbyt pochopnym uciekaniu się do pomocy magii. Skąpił swej potęgi, osiągając ile się da, bez jej udziału. Ani w ząb tego nie rozumiała: czyż posiadanej mocy nie powinno się wykorzystywać?

Mroczny Wiatr był chyba przeciwnego zdania.

Tak zresztą jak przeczytane przez nią Kroniki o heroldzie, magu Vanyelu. Adept mógł czynić rzeczy niesłychane, i dlatego, oczywiście, ona znalazła się tutaj. Gdyby starczyło jej odwagi, użyłaby magii natychmiast, choćby po to, by ukształtować wygodniej skałę, na której przycupnęła tuż za progiem jaskini. Przy najmniej miałyby się czym zająć i nie zamieniałyby się w kłębek nerwów z powodu zbliżającej się ceremonii.

Spojrzała z wyrzutem na Skifa, który, choć zaciekawiony, nie zdradzał żadnych oznak niepokoju. Jego ciemne oczy wydawały się być zwrócone nieco do wewnątrz, a na jego twarzy o mocno zarysowanych, kwadratowych szczękach nie było śladu zdenerwowania. Od czasu do czasu przyglądał ręką brązowe loki i jedynie dzięki temu można było nie pomylić go ze statua.

Elspeth westchnęła. Pewnie tak był zajęty myślami o Nyarze, że poza nią nic się dla niego nie liczyło. Najważniejsze, że zostanie Skrzydlatym Bratem Tayledrasów i będzie mógł tak długo nie opuszczać ich ziem, aż ją odnajdzie. Oczywiście o ile Potrzeba mu na to przyzwoli. Ostrze nie tylko biegle posługiwało się magią, ono — ona — wszak była człowiekiem, kobietą, która w zamierzchłej przeszłości zamieniła swe starzejące się ciało na stal zaklętego miecza. Elspeth raczej nie zdecydowałaby się na taką zamianę. Potrzeba mogła słyszeć, widzieć i czuć jedynie za pośrednictwem zmysłów władającej nią osoby; gdy nie odznaczała się ona jakimś szczególnym myśldarem lub gdy ostrze wcale nie miało właściciela, pogrążało się we „śnie”.

Bardzo długo drzemała, zanim nauczycielka Elspeth, herold kapitan Kerowyn przekazała ją swej uczennicy. Dopiero ona uczyniła coś, co ostatecznie obudziło miecz z trwającego od stuleci snu. Obudzona Potrzeba była stokroć potężniejsza od pogrążonej we śnie.

Kierowała się własnym, godnym szacunku umysłem, i gdy Elspeth znalazła się bezpieczna w rękach Sokolich Braci, a bezpośrednio niebezpieczeństwo zostało oddalone, zdecydowała, że jest znacznie bardziej potrzebna Zmiennolicej Nyarze. Tak więc, gdy Nyara postanowiła zniknąć w otaczającej Dolinę Tayledras dziczy, Potrzeba najwyraźniej przekonała zwinną jak kot kobietę, by zabrała ją z sobą.

Elspeth musiała samodzielnie zmierzać do wytkniętego celu: znalezienia dla Valdemarczyków utalentowanego magicznie nauczyciela i nauczania się magii przez nią samą. Do kilkuset nie planowanych przygód, jakie ją spotkały, należał zaszczyt przyjęcia w szeregi klanu Tayledras.

„Jak mogło mi się coś takiego przytrafić?” — pytała sama siebie.

Z własnej woli i z szeroko otwartymi oczami — odparł jej Towarzysz, Gwena. Sarkastycznej zgryźliwości tonu myślmowy nie stąpiło to, że słowa wypowiedziała szeptem. — *Mogłaś udać się na poszukiwania stryja Kero, tak jak to było zaplanowane. On jest adeptem i nauczycielem. Mogłaś postępować ściśle według wskazówek Quentena, a wtedy zostałabyś jego uczennicą. Ostatecznie mogłabym*

pomóc ci, by cię przyjął do terminu. Ale nie, ty musiałaś chadzać własnymi drogami...

Elspeth miała ochotę schować się przed Towarzyszem za szczelną zasłoną myśli, ale nie zrobiła tego, bo oznaczałoby to przyznanie Gwenie racji.

Już mówiłam, że nie pozwolę prowadzić się na postronku, łagodnie jak owieczka — odcięła się tak samo zgryźliwie, czym całkowicie zabiła Gwenę z pantafyku. Towarzysz szarpnął łbem, aż grzywa rozsypała się mu na grzbiecie; siła odpowiedzi sprawiła, że aż przygasty mu roziskrzony niebieskie oczy.

A także — ciągnęła Elspeth już nieco mniej napastliwie, zadowolona z siebie — *że ani mi się śni rola Poszukującej Dziedziczki Tronu, po to by przypodobać się reszcie waszej stadniny. Zrobię dla Valdemaru, co będę mogła, ale to ja będę o tym decydować. Prócz tego, skąd to przekonanie, że wuj Kero byłby dla mnie dobrym nauczycielem? A może przybycie tutaj i nawiązanie znajomości z Shin'a'in i Sokolimi Braćmi okaże się lepszym rozwiązaniem od ułożonych przez was planów? Vanyel był doskonale wyszkolonym adeptem, a w Kronikach zapisano, że to Sokoli Bracia go uczyli.*

Gwena prychnęła z pogardą i grzebnęła w ziemi srebrną podkowę. — *Nie wiem, czy postąpiłaś słusznie czy nie* — odparła — *ale to ty głowiłaś się, w jaki sposób wpakowałaś się w tę... tę... braterską ceremonię. Ja tylko udzieliłam odpowiedzi.*

Elspeth zeszywniała. Gwena znów ją podsluchiwała.

To było pytanie retoryczne — rzuciła ozieble. — *Zadane w zaciszu ducha. Nie obwieszczałam go jak świat długi i szeroki. Będę ci wdzięczna, jeśli pozwolisz mi od czasu do czasu nacieszyć się odrobiną prywatności.*

Oczy Gweny zwięzły się. Pokręciła głową. — *A niech mnie!* — Tylko tyle powiedziała. Po czym dodała: — *Ale jesteście dzisiaj drażliwi, co?*

Elspeth nie zaszczyliła tego komentarza odpowiedzią. Gwena była co najmniej dwa razy drażliwsza od niej, obie o tym wiedziały. Tak ona jak i Skif mogli zatrzymać się na ziemi Tayledras tylko pod warunkiem, że zostaną Skrzydlatymi Braćmi klanu k'Sheyne. Jednak to wymagało złożenia przysięgi, której słów dotąd nikt im nie ujawnił, dowiedzieli się jedynie, że rotę przyrzeczenia poznają po wkroczeniu do kręgu, gdzie mają ją wygłosić.

Elspeth, od dzieciństwa uczona dyplomacji i protokołów państwowych, czuła się nieswojo z powodu tej tajemniczej przysięgi. Skif nie przeżywał tego aż tak bardzo: nie był przecież następcą tronu. Jednak w jej przypadku, Valdemar może ucierpieć, jeśli nieroztropnie zwiąże się przyrzeczeniem. Na jej barkach spoczywał autorytet Korony. To, że w niedalekiej przeszłości zapomniana obietnica okazała się tak brzemienne w skutki dla Valdemaru, świadczyło o konieczności zachowania ostrożności przy składaniu przysięgi tutaj.

— *Zdenerwowana?* — rozległ się stłumiony głos Skifa, co raptownie wyrwało ją z zadumy.

Wykrzywiła twarz w grymasie. — Oczywiście, że jestem zdenerwowana. Czy mogłoby być inaczej? Jestem setki staj od rodzinnego domu, sam na sam w jaskini ze złodziejaszkiem. . .

— Byłm złodziejaszkiem — mówiąc to, Skif uśmiechnął się szeroko.

— Błagam o wybaczenie. Byłm złodziejaszkiem i łaknącymi krwi barbarzyńcami z Równin Dhorishy. . .

Tre'valen chrząknął cichutko. — Przepraszam — wpadł im w słowo, odzywając się w języku Tayledras. — Lecz choć jestem chciwym krwi szamanem, to, jak sądzę, nie jestem barbarzyńcą. My, Shin'a'in, jesteśmy w posiadaniu kronik sięgających czasów sprzed Wojen Magów. Czy to samo dotyczy ciebie, przybyszu?

Przez chwilę Elspeth bała się, że go obraziła, lecz potem zobaczyła błysk w jego oczach i ledwie dostrzegalne drżenie kącików ust. Tre'valen nie raz udowodnił, że posiada zdrowe poczucie humoru, gdy oczekiwali odpowiedzi Starszyny k'Sheyna na ich prośbę pozostania w ich krainie. Nieraz słyszała, jak mówił o sobie jako o chciwym krwi barbarzyńcy; szaman najwyraźniej świetnie się bawił, przekomarzając się z nią i prowokując. . .

— Przyjmuję zarzut, Najstarszy ze Starców — odparła ceremonialnie, zginając się w głębokim ukłonie, czym zasłużyła sobie na szeroki uśmiech, który rozszerzał się w miarę, jak pogłębiała swój ukłon. — Oczywiście to, że z owymi historycznymi kronikami nie robicie nic a nic, nie ma żadnego odniesienia do tego, czy jesteście, czy nie, barbarzyńcami.

— Rozumie się — odparł bez owijania w bawełnę, najwyraźniej zadowolony z jej riposty. — Nadmierne rozwodzenie się nad przeszłością jest oznaką dekadencji. To także nam nie grozi.

— Punkt — przyznała się do porażki i odwróciła się do Skifa. — A więc siedzę w jaskini, czekając na jakiegoś dostojnika, który zażąda ode mnie bliżej nieokreślonej przysięgi, która może lub nie zobowiązać mnie do czegoś, z czym raczej wolałabym nie mieć nic wspólnego. Dlaczego miałabym się denerwować?

Skif zarechotał. Elspeth z trudem powstrzymała się, by nie warknąć. — Zastanów się — powiedział do niej czule, tak jakby znów była trzynastoletnią dziewczynką. — Czytałaś Kromki. Zarówno Vanyel, jak i jego ciotka złożyli Przysięgę Skrzydlatych Braci. Musieli, bo inaczej nie dostaliby się ani nie wydostaliby się z Doliny tak łatwo. Jeśli oni nie byli zaniepokojeni przysięgą, to czy my powinniśmy się trapić?

— Chcesz alfabetycznie czy z podziałem na kategorie? — Powstrzymała się przed przypomnieniem mu, że jest dziedziczką tronu. Sporo wysiłku i czasu kosztowało ją, zanim o tym zapomniał. Powiedziała więc co innego: — Ponieważ to było bardzo dawno temu, inny był klan. Nie wiemy: może zaszły jakieś zmiany, albo rotę przysięgi różnią się w zależności od klanu.

— Nie różnią się — pogodnie wtrącił Tre'valen — i nie zmieniły się od początku historii zamieszczonej w naszych kronikach. Wielu szamanów Shin'a'in

przysięgało Skrzydlatemu Rodzeństwu i wierzcie mi, że słowa przysięgi, złożenia których żąda od nas Bogini, są dla nas o wiele bardziej wiążące od słowa złożonego Koronie czy krainie. Ona może nas ukarać zgodnie z własną wolą. Myślę, że możecie wyzbyć się obaw.

Była to jakaś pociecha. Elspeth na własne oczy widziała, jak Bogini Shin'a'in, która zgodnie ze słowami Mrocznego Wiatru była także Boginią jego ludu, może objawić się pod bardzo uchwytną postacią. Dane jej także było zasmakować, jak poważnie Shin'a'in traktowali przysięgę ochrony swej ziemi przed natrętami. Skoro Tre'valen, który wiedział wszystko o przysięgach, zachowywał niczym nie zmacony spokój, chyba można się było wyzbyć obaw.

A przynajmniej większości z nich.

Po raz pierwszy ona i Skif mieli zostać wpuszczeni do środka Doliny k'Sheyna. Mag Braci Sokołów (a może był to zwiadowca?), Mroczny Wiatr, tylko wzruszył ramionami, ze słowami, że „to już nie to, co było dawniej”. Tre'valen, nawet jeśli wiedział, jak wyglądała Dolina w rozkwicie, także milczał. W Kronikach wzmianki o Vanyelu były zdawkowe: wspomniano o cudach, lecz nic o tym, na czym one miałyby polegać.

Bo pewnie nic o tym nie było wiadomo — sarkazm niemal zniknął z myśl głosu Gweny — Vanyel i Sayv... Savil zbyt wiele mieli na głowie, by zaprzętać myśli opisami odwiedzanych przez siebie miejsc. Poza tym, jaki w tym cel, opisywać miejsca, do których i tak przybysz nie zostałby wpuszczony? Opis stałby się pokusą, by mimo wszystko spróbować. A skutek byłby żałosny. Tayledrasom zwykle niespieszna z przeprosinami, najpierw wolą dziurawić na wylot.

Czy ty znowu wężysz w moich myślach? — odparła Elspeth, nieco mniej zjadle niż dotąd.

Nie, dociera do mnie ich echo — uczciwie odpowiedziała Gwena. — Nic na to nie poradzę, słyszę je ślizgające się wzdłuż łączącej nas więzi. Musiałabyś je w sobie stłumić, lecz ty o tym zapominasz w zdenerwowaniu, wobec tego ja też jestem bezsilna.

Dobrze, już dobrze. Przyjmuję naganę i przepraszam. — Elspeth uważnie schroniła swój umysł za delikatnym woalem i ponownie pogrążyła się w myślach.

Był z nimi ktoś jeszcze, kto miał dostąpić zaszczytu przyjęcia do Skrzydlatego Bractwa, jednak szamanka Kethra złożyła przysięgę już bardzo dawno temu; znacznie starsza od Tre'valena, choć nie aż tak jak Kra'heera, Kethra należała do Skrzydlatego Rodzeństwa od co najmniej dwunastu lat. Była także uzdrowicielem, stąd opiekowała się ojcem Mrocznego Wiatru, adeptem Gwiazdne Ostrze. Syn niechętnie zwierzał się, co Mornelithe Zmora Sokołów wyrządził ojcu, a Elspeth nie zamierzała natarczywie go o to wypytywać. Jednakże musiała dowiedzieć się przynajmniej jednego: w jaki sposób jeden adept może całkowicie podporządkować sobie drugiego. Jedno z przykazań mistrza fechtunku Albericha brzmiało: „Każdego można złamać”. Jeśli istniała możliwość, że i ona stanie się

celem brutalnego ataku z zamiarem złamania jej, wolałaby wiedzieć, czego należy się spodziewać...

Elspeth poczuła się nieco zaskoczona obecnością Tre'valena, który krótko wyjaśnił, że to jego mistrz poprosił o zatrzymanie się pośród k'Sheyna, bo „to ma ważne znaczenie”. Nie mogło się to jednak wiązać z krzywdą, jaką klanowi wyraził Zmora Sokołów, gdyż tym zajęli się Mroczny Wiatr i Kethra.

A może miało to związek z losem Jutrzenki?

Samo jej wspomnienie wystarczyło, by w mózgu Elspeth odżyło wspomnienie tego, czego była świadkiem.

Shin'a'in stanęli w nierównym kręgu poniżej żerdzi, na której przycupnęła Jutrzenka. Rdzawy sokół zajął pozycję nad legowiskiem gryfonów, odwracając głowę pod wiatr i lekko rozpościerając skrzydła. Ktoś spośród Shin'a'in, jakaś kobieta, wyciągnęła rękę do ptaka.

Jutrzenka zmierzyła ją przez ułamek sekundy bystrym spojrzeniem, a potem zeszła z żerdzi na ofiarowaną jej dłoń. Kobieta odwróciła się twarzą do pozostałych.

Podobnie jak wszyscy Shin'a'in, którzy przybyli im na odsiecz, i ona odziana była od stóp do głów w czarne szaty. Jej długie, czarne włosy opadały na czarny pancerz. Na nogach nosiła czarne buty. Niepokój budziły jej oczy, było w nich coś dziwnego.

Elspeth poczuła bijącą, stłumioną w niej siłę, tętniącą moc, jakiej jeszcze nigdy nie zdarzyło się jej poczuć.

Kobieta uniosła Jutrzenkę wysoko nad głowę i zamarta z wyciągniętymi rękami w pozycji, która po krótkiej chwili stawała się torturą, bez względu na wytrzymałość osoby. Sokół Tayledrasów rozmiarami i ciężarem niewiele ustępowały orłom, a Jutrzenka bez wątpienia nie należała do ostatnich przedstawicieli swego gatunku. Gdy kobieta nieugięte trzymała rdzawego sokola wysoko nad głową, pozostali zaczęli nucić. Z początku cichy dźwięk stopniowo przybierał na sile, wypełniając brzmieniem pustkę wśród ruin. Wtedy Jutrzenka zaczęła lśnić.

Początkowo Elspeth pomyślała, że to złudzenie, sztuczka zachodzącego słońca, lecz aureola naokoło ptaka miast gasnąć, przybierała na sile. Jutrzenka rozpostarła skrzydła, urastając i jaśniejąc coraz bardziej, tak że wkrótce porażona Elspeth nie mogła nawet patrzeć w jej kierunku i musiała odwrócić wzrok. Na ziemi kładły się cienie od światła, które biło od ptaka.

Kra'heera spojrzała na nią i wyjaśniła: — Jutrzenka została wybrana przez wojownika.

Nie wiedziała wtedy, co to oznacza. Zrozumiała to dopiero teraz.

Kiedy światło przygastło i ucichł dźwięk, i kiedy ponownie mogła spojrzeć na ptaka, stwierdziła, że rdzawego sokola zastąpił jastrząb, symbol klanu Kra'heera, największy ptak, jakiego w życiu widziała. Mogła przyglądać mu się bez przeszkód, choć światłość nie gasła całkowicie. Zaskoczona tym, że strachem zauwa-

żyła, że jego spojrzenie było jakby z innego świata: ptasie oczy upodobniły się do oczu trzymającej go kobiety; pozbawione białek, tęczówek i źrenic błyszczały iskierkami światła widocznymi z miejsca, gdzie stała Elspeth — tak jakby zastąpiły je gwiazdne pola.

Wtedy przyszedł jej na myśl opis bogini Shin'a'in i uzmysłowiła sobie, na co patrzy. Nic dziwnego zatem, że wspomnienie to tak żywo zapadło jej w pamięć; niecodziennie śmiertelnik ma okazję ujrzeć żywą boginię i jej awatara.

W zamyśleniu spojrzała na Tre'valena. Choć szaman starał się po tym, co zaszło, zachować obojętność, zaczęła się zastanawiać, czy nie był on tak samo zaskoczony jak wszyscy pozostali objawieniem się bogini. Nawet z jej skąpej wiedzy wynikało, że na Równinach rzadko dochodziło do zmian, a i to bardzo powolnych. Elspeth nie przypominała sobie, żeby Kerowyn, racząc ich opowieściami o swych kuzynach Shin'a'in, wspomniała cokolwiek o tworzonych przez boginię awatarach. . .

A więc, być może, i dla nich było to coś nowego. Może dlatego został z nimi Tre'valen, by obserwować Jutrzenkę i domyślić się przyczyn, którymi podyktowane było działanie bogini. Jeśli tak było, z pewnością porozumiał się wcześniej ze Skrzydlatym Bractwem, a przynajmniej ze stojącymi na jego czele. Pozornie nic z tego, o czym myślała, nie miało z nią żadnego związku, lecz dla Elspeth nic już nie było pewne na tym świecie. Jakimi pobudkami kierowali się Shin'a'in, że ujawnili przed nimi to wszystko? Kto mógł przewidzieć, iż przyjdzie jej działać wspólnie z Tayledrasami, a jej lista zaciekłych wrogów uzupełniona zostanie o zastęp ich nieprzyjaciół?

„Później powinnam zapytać go o to, czy słuszne są moje domysły. Może będziemy w stanie pomóc sobie nawzajem” — postanowiła w myśli.

Gwena podeszła do wyjścia z jaskini i wyjrzała na zewnątrz.

„Jest zniecierpliwiona” — pomyślała Elspeth. Myśl-słowa były tego potwierdzeniem: — *Szkoda, że nie wiem, co jest powodem takiej mitręgi* — odezwała się Gwena. — *Chyba już dość długo trzymają nas w niepewności. Jak tak dalej pójdzie, nie uporają się z ceremonią przed zapadnięciem ciemności.*

Elspeth zastanawiała się, skąd bierze się jej niecierpliwść. Towarzysze nie należały do istot, które zaprzysięgano. Najwyraźniej postępując zgodnie z przyjętym prawem zwyczajowym Tayledras uważali je za stworzenia, od których nie wymagano wiążących przyrzeczeń.

„Hmm. Warto się nad tym głębiej zastanowić. Czy uważają Gwene za innego rodzaju awatara? — pomysł wydawał się zabawny. — Ba, jeśliby raz nasłuchali się jej gładzenia i dowiedzieli się, jak jest apodyktyczna, szybko wyzbyliby się wszelkich złudzeń! Wątpię, by Gwena kryła w sobie tego rodzaju sekrety”.

Nie znaczyło to jednak, że nie było w niej nic tajemniczego. Na przykład ów „plan” przyszłości Elspeth ułożony przez Towarzyszy. A to nie wszystko. . .

Wkrótce po zniknięciu Nyary razem z Potrzebą Elspeth spostrzegła, że i Gwe-

na gdzieś się zawieruszyła. Zaniepokojona, przecież Towarzysz został ranny w starciu z magicznymi bestiami naślany przez Mornelithe'a, chciała odnaleźć ją myślą. Gdy się jej to nie udało, rozpoczęła gorączkowe poszukiwania.

Gwena miała się wyśmienicie, głęboko zatopiona w myślach, pogrążona w transie, oddzielona od wścibskich myśli Elspeth zasłoną nie do przebycia. A po ocknięciu się była bardzo nieszczęśliwa, ujrawszy przed sobą Wybranego, niecierpliwie tupiącego nogą i oczekującego wyjaśnień.

Pod naciskiem Elspeth i Skifa niechętnie wyznała, że przez cały czas ich wędrówki porozumiewała się z pewnym Towarzyszem w Valdemarze. Elspeth była przekonana, że chodziło o Towarzysza jej matki, królowej Selenay, i była wielce zdziwiona, gdy okazało się, że chodziło o Rolana, wierzchowca Osobistego Herolda Królowej, Talii — rzecz irytująca, jako że Talia nie miała wiele do czynienia z tą sprawą.

Elspeth nie przypuszczała, że Towarzysze mogą przesyłać wieści na taką odległość, i o ile nie była w błędzie, nikt o tym drobiazgu nie wiedział. Mogli to robić wyłącznie Gwena i Rolan, czy inni także? Tak czy siak, była to jeszcze jedna rzecz, którą Towarzysze zataiły. Ile zatem jeszcze kryły w sobie nie wyjaśnionych tajemnic?

Gwena skwitowała ze smutkiem, że nie powinno jej dziwić, że „podjęte zostaną pewne kroki”, zmuszające Elspeth do przyznania racji. Była przecież następczynią tronu, której pozwolono udać się w nieznaną z zaledwie jednym heroldem u boku. Mimo że cała Królewska Rada i Krąg Heroldów wyrazili na to zgodę, przedsięwzięcie należało raczej do lekkomyślnych. Gdyby królowa Selenay została odcięta od wszelkich wiadomości o swej szalonej córce, najpewniej wpadłaby w czarną rozpacz przed upływem tygodnia. Zwłaszcza po tym, jak Elspeth zmieniła ustaloną trasę wyprawy i „przepadła” na Równinach Dhorishy.

Mimo wszystko nie podobało się jej, że związane raporty o jej wyczynach trafiały do domu, jakby wciąż była dzieckiem wypuszczonym spod opieki matki.

Z drugiej strony dowiedziała się od Gweny, kiedy zmusiła ją do wyjawienia dokładnie treści myśli korespondencji z Rolanem, że jej „raporty” były poddawane cenzurze, „surowej cenzurze” — takie były ponure słowa Towarzysza. Na szczęście. Gdyby Selenay zaczęła podejrzewać, w jakie niebezpieczeństwo wpakowali się Elspeth ze Skifem. . .

„Znalazłaby sposób, by mnie ściągnąć z powrotem i zamknęłaby w miłej, bezpiecznej szkółce hafciarskiej do końca życia” — pomyślała.

Jak mogła wyjaśnić swej matce, że od chwili wyruszenia w podróż, nawet jeszcze wcześniej, zanim ona się zaczęła, była przekonana, iż nałożenie korony na głowę nie jest jej pisane? Gdyby próbowała to powiedzieć matce, Selenay zrozumiałaby to opacznie, nabrałaby pewności, że Elspeth przeczuwa nieszczęście, co skończyłoby się dla dziewczyny klęską, gdyż trafiłaby do klasy haftu artystycz-

nego i oddzielona byłaby od wszelkich niebezpiecznych przygód.

„Obrzydliwość” — wzdrygnęła się w myśli.

Tymczasem nie było to żadne przeczucie nieszczęścia, nic z tych rzeczy. Zwyczajne przekonanie, że nigdy nie będzie władcą, że tylko jedno z bliźniąt zasiądzie na tronie, a drugie...

„Drugie stanie się Osobistym Heroldem Króla. Niezły układ, bo wcale nie są do siebie podobni. Chyba po raz pierwszy rodzeństwo obejmie posady Monarchy i Osobistego Herolda Monarchy”.

Jej przeznaczeniem było coś zupełnie innego. Niestety nie miała zielonego pojęcia co. Gryzło ją sumienie, że tak bardzo oddaliła się od domu, ale chociaż przydała się na coś, pocieszała się. Nigdy by nie uwierzyła, że gdy opuści Haven, da jej się we znaki tęsknota za rodzinnym domem...

Przekonywała siebie nieustannie, że Talia i Daren właściwie mogliby ją zastąpić... jednak, choć nie widziała na odległość, nie myliła się nigdy w swych szczególnie silnych przekonaniach. Było coś, co musiała uczynić osobiście i miało to związek z nauką magii.

Zwierzyła się z tego Gwenie, która zgodziła się z nią, dodając: — *Nawet wbrew naszym planom.*

„To źle. Uparta jestem jak osioł. Robię wszystko po swojemu lub wcale. Jeśli matce, Gwenie i Rolanowi się to nie podoba, wcale mi ich nie żal” — uśmiechnęła się do swych dziecinnych myśli.

To naprawdę bardzo dobrze, że przesyłanie wieści odbywało się za pośrednictwem Rolana i Talii. Rolan odznaczał się większym poczuciem humoru od Gweny, i był odrobinę bardziej pobłażliwy. Natomiast Talia zwierzyła się jej na osobności, iż według niej królowa, jak każda matka, nie może się pogodzić z tym, że jej córka dorasta i stopniowo usamodzielnia się.

Och, mogłoby być gorzej, ale wzięwszy wszystkie za i przeciw, najlepiej będzie, jeśli znajdzie się przez jakiś czas poza zasięgiem matki. Kiedy wróci, być może królowa Selenay zdobędzie się na wyznanie, że jej córka przestała być głupiotkiem, upartym, zawziętym i niemądrym dzieciakiem.

„Udało mi się nabrać nieco rozumu” — skwitowała z zadowoleniem.

Uwaga, szukaj się moja droga. — Myśl słowa Gweny wyrwały Elspeth z zadumy. — *Idą po ciebie. Nareszcie.*

Elspeth kątem oka spojrzała na Skifa i Tre’valena. Skif sprawiał wrażenie, jakby z całej siły skupiał uwagę na każdym słowie Sokolego Brata o imieniu Lodowaty Cień. W rzeczy samej, pewnie tak było: nie władał językiem Tayledrasów tak dobrze jak ona, która, co osobliwe, od razu zaczęła mówić tak, jakby znała go od kołyski.

„Pewnie dlatego, że pokrewny jest Shin’a’in, którego uczyła mnie Kero” —

pomyślała.

Tre'valen przybrał ten sam nieprzenikniony wyraz twarzy, jaki widziała u Kero, gdy ta nie chciała dopuścić nikogo do swych myśli — była to „twarz hazardzisty”.

Im więcej o tym myślała, tym bardziej podobał jej się pomysł zagadnięcia później Tre'valena, czy aby nie byłoby w stanie pomóc sobie nawzajem. W jego obecności czuła się o całe niebo pewniej, w ogóle w obecności jakiegokolwiek Shin'a'in, niż w pobliżu Tayledrasów. Być może wiązało się to z tym, że miała, wprawdzie niewielki, dostęp do jego myśli. On i Kethra przypominali Kero. Nie było w tym nic dziwnego, przecież to właśnie ona była jej nauczycielką, zaś Miecznicy Shin'a'in byli z kolei jej nauczycielami, od których przejęła sposób myślenia, a także ich postawy. Sporo z tego przekazała później swojej uczennicy, co do tego nie było wątpliwości. Natomiast Tayledrasowie byli jej zupełnie obcy. Mroczny Wiatr był jak zamknięta na trzy spusty księga; wkrótce zaniechała wszelkich prób zajrzenia, co kryje się pod okładką.

„Ciekawe, czy takie samo wrażenie odnosi Tre'valen?” — spytała samą siebie.

Nie dane im było nasycić się widokiem Doliny, jak to przewidywała Gwena, bo kiedy Sokoli Bracia przyszli po nich, słońce już zachodziło, rzucając głęboki cień. Elspeth ujrzała to i owo i poczuła, że zapiera jej dech w piersiach na widok cudownej roślinności, w porównaniu z którą wszelkie lasy, jakie dotąd widziała, wyglądały ubogo; drzewa były tu niewyobrażalnie ogromne. Towarzysze szli z nimi krok w krok, wzdłuż dobrze przetartej ścieżki, biegnącej obok ściany winorośli ozdobionej kaskadą kwiatów wielkości dłoni i krzewów, których liście były wielkie jak siodła. Elspeth nie mogła się doczekać, kiedy ujrzy to miejsce w pełnym świetle.

Mroczny Wiatr osobiście wyszedł po nich, to on miał ich wprowadzić do klanu; Kethra była patronką Tre'valena. Otaczała go świta licząca przynajmniej tuzin Tayledrasów. Elspeth starała się, jak mogła, nie wytrzeszczać oczu, co było bardzo trudne. Myślała, że Mroczny Wiatr był typowym przedstawicielem swego ludu, stąd lekkie rozczarowanie — wzięwszy pod uwagę zapiski z kronik dotyczące ich dziwaczного wyglądu — widokiem opadających na plecy, brązowych włosów i bezbarwnego odzienia. Z kronik wynikało, że Taniec Księżycy i Gwiazdny Wiatr byli podobni do Jaskrawo upierzonych żarptaków, co pobudzało jej wyobraźnię do snucia kolorowych marzeń o ich dziwacznych szatach czy może raczej o czymś, co wcale nie wyglądało na szaty.

Rozczarowanie przyszło. Tuzin otaczających Mroczny Wiatr Tayledrasów odzianych było tak fantazyjnie i pięknie, jakby wprost z jej marzeń. Włosy każdego opadały co najmniej do pasa, jeśli nie dłużej i były białe jak lód, z wplecionymi piórami, kryształami, dzwoneczkami, łańcuszkami i wstążkami z jedwabiu dopasowanymi do reszty kostiumu. Tylko to słowo przyszło jej na myśl. „Odzienie” nie było właściwym określeniem szat o pofałdowanych rękawach spadających aż do

ziemi i otulających ramiona jak jedwabna skóra, upięszonych kryzami, klejnotami i haftami. Słowo „strój” nie byłoby odpowiednie dla tunik i długich płaszczy naśladowujących upierzenie, liście, pąki kwiatów, zastygłe wodospady. Każdy kostium dwunastki był niepowtarzalny, niesłychany i bardzo skomplikowany. A jednak wcale nie były bardziej niewygodne w użyciu od, powiedzmy, szat obowiązujących na dworze Valdemaru, mimo że ona nie wiedziała, jak poruszać się w nich bez potknięć.

Po raz pierwszy poczuła, że naprawdę zostawiła znany jej świat za sobą i wkroczyła w krainę baśni.

Nawet Mroczny Wiatr, bezbarwny, rozczarowujący, zmienił się: zdołał jakoś pomalować swe włosy we wzory. Elspeth założyła, że je ufarbował, choć wcale tak nie musiało być. Skąd mogła to wiedzieć? Równie dobrze wzory mogły powstać magicznie. Na ciemnożłotym tle migotały ptaki za każdym razem, gdy poruszył głowę, tak jakby jego włosy były jesiennym lasem pełnym latających pomiędzy drzewami gołębi. I jego kostium był fantastyczny jak pozostałe, tyle że nieco bardziej praktyczny. Zrezygnował z długiśnych, wlokących się po ziemi rękawów i bogatych haftów, na rzecz czegoś, co ciaśniej przylegało do ciała. Jednak bynajmniej jego widok nie był mniej oszałamiający dla oczu.

Uśmiechnął się nieśmiało na widok jej zdumienia i zachwytu, lecz nie przerwał milczenia, zapraszając gestem, by razem ze Skifem poszli za nim w głąb Doliny. Kethra wskazała podobnie drogę Tre’valenowi. Za nimi ustawili się pozostali Tayledrasowie, nad ich głowami rozbłysły magiczne światełka. Pochód zamykały Towarzysze. Ponad ścianami doliny i wierzchołkami drzew niebo wciąż jeszcze było niebieskie, jedynie na zachodzie rozlewała się ciepło złota smuga. Natomiast pod osłoną potężnych konarów gęstniały granatowe cienie, zacierając szlak, którym się posuwali.

Wyszli na polanę otoczoną pierścieniem ułożonym z kamieni. W samym jej środku znajdował się popękany, przełamany na pół głaz z koszem kotlarzy u stóp, oświetlony magicznymi światłami.

„Ten dziwny monolit to zapewne uszkodzony kamień-serce” — pomyślała. — „Dziki, uwolnione zeń moce, ledwie można utrzymać w ryzach wieloma warstwami osłon”.

Mroczny Wiatr ostrzegł ją, że w pobliżu kamienia musi ściśle ochraniać swe myśli, nie miała powodu podawać tego w wątpliwość. Nawet spoza otaczających jej umysł zasłon odbierała niejasno, że z kamieniem jest coś nie w porządku, coś złego, tak jakby toczyła go jakaś choroba. Nie było to nic namacalnego, nic, czego przyczynę można by chociaż wskazać, jednak niewątpliwie nie było to miłe uczucie.

Lodowy Cień, ubrany w wymyślny kostium, w którym wyglądał jak pół człowiek i pół zamrożona fontanna, zajął miejsce z przodu kamienia. W przezroczystej, nieruchomej poświacie magicznych świateł wyglądał jak senna zjawia, iluzja,

ożywiona lodowa rzeźba. Nagle drgnął, z wdziękiem uniósł ręce nad głowę, to wystarczyło: Elspeth zorientowała się, że otacza ją sfera niebieskawego światła, tak bardzo jej znajomego.

„Zakłęcie Prawdy? Jasne Niebiosa, czy myśmy je otrzymali od nich, czy też sprezentował je im Vanyel?” — przebiegło jej po głowie.

Inną sprawą było to, że poczuła lekkie ukłucie zazdrości, iż Lodowy Cień rzucił zakłęcie jakby od niechcienia, bez żadnych przygotowań, w mgnieniu oka. Jej zabierało to sporo czasu, a przecież należała pod tym względem do najlepszych w swej klasie. Lodowy Cień nie musiał nawet o tym pomyśleć, o tyle, o ile mogła to stwierdzić, wystarczył mu tylko prosty gest. Wzbudziło to w niej większy podziw niż światła, grzmoty, zakłęcia służące walce z Mornelithe'em i jego potworami. Lodowy Cień nie tylko rzucił zakłęcie, jakby przychodziło mu tak łatwo jak oddech, ale wyglądało na to, że nie włożył w to najmniejszego wysiłku.

Lodowy Cień opuścił ręce i biała, czubata sowa sfrunęła z drzew, by usiąść mu na ramieniu. Popatrzył spokojnie na drzewa przez chwilę i wsunął dłonie w rękawy.

— Czy przynosisz z sobą do Doliny jakieś złe zamiary? — zagadnął.

Czy to był początek przysięgi? Z pewnością. Potrząsnęła głową, a Skif bezgłośnie poruszył ustami, jakby wymawiał: „Nie”.

Lodowy Cień uśmiechnął się lekko i ciągnął, tak jak dotąd, spokojnie i od niechcienia:

— Czy pragniecie wstąpić w szeregi braci tego klanu?

Oboje kiwnęli potakująco głowami.

Lodowy Cień spoważniał, a sowa usadowiła się wygodniej na jego ramieniu i zwróciła na nich nieruchome spojrzenie oczu, jakby i ona ważyła szczerą ich zamiarów. Nagle do Elspeth z niezwykłą ostrością zaczęło docierać wszystko, co ją otaczało, poczuła delikatny, chłodny powiew na plecach, wyraźnie widziała, jak bawi się szatą Lodowego Cienia, włosami Skifa i frędzlami szarfy Tre'valena; widziała odbicie niebieskiej poświaty w oczach obserwatorów, usłyszała krzyk ptaka gdzieś z głębi Doliny. Lodowy Cień westchnął głęboko i przemówił cichym, lecz niesłychanie dobitnym głosem:

— Wysłuchajcie zatem przywilejów bractwa: możecie zgodnie z własną wolą wędrować po wszystkich ziemiach Tayledras k'Sheyna, wzywać braci w potrzebie, prosić nas o naukę, wybudować sobie dom. Lecz wysłuchajcie i obowiązków: będziecie dotrzymywać tajemnic klanu, nigdy nie sprowadzicie tu obcych ani nie wskażecie im drogi, musicie chronić i bronić naszych ziem, tak jak my to czynimy, uczyć, jeśli ktoś was poprosi, pomagać, dawać schronienie i iść w sukurs braciom klanu, Tayledrasom i Shin'a'in. Czy jesteście w stanie dotrzymać tych obietnic?

— Tak — wyszeptwała Elspeth. Nierozsądne byłoby zmuszać ich do zachowania całkowitego milczenia lub żądać zawarcia formalnego, zawilego przymierza

z klanem. Skif, dając słowo, wydawał się być równie zdziwiony.

Wiatr dmuchnął silniej. Sowa nastroszyła pióra i otrzepała się, a potem uspokoiła się i znów wbiła w nich badawcze spojrzenie. Lodowy Cień także nie spuszczał z nich nieruchomych oczu, których powieki nawet nie drgnęły.

— Zatem musicie złożyć jeszcze jedną przysięgę — ciągnął. — Ale nie wolno wam uczynić tego w niewiedzy. Słuchajcie więc... patrzcie... i bądźcie ostrożni...

Znów wykonał jakiś gest i Elspeth wstrzymała oddech na widok kuli białej mgły, która uniosła się z odgradzającego ich kamiennego pierścienia, by ukryć wszystko, co otaczał, przed ich wzrokiem. Elspeth skupiła teraz swą uwagę na gwiazdzistej kuli i zobaczyła, że zaczyna się w niej tworzyć obraz...

Zagryzła wargi, gdy tylko obraz stał się wyraźny. To nie do wiary! To, co ujrzała, było przerażające: zobaczyła ojczyznę zniszczoną przez wojnę, której okrucieństwo przekraczało wszelkie koszmary. W świetlistej kuli zamknięty był obraz spustoszonej doszczętnie krainy oglądany z brzegu krateru wyrwanego wybuchem, tak wielkiego, że drugiej strony nie można było dostrzec. Zamrugła oczami i z trudem przełknęła ślinę, nie mogła objąć rozumem tak gigantycznych zniszczeń, mdliło ją na samą myśl, że do czegoś takiego mogłoby dojść. Zesztywniała na widok niegdyś pełnego zieleni, zwierząt, ludzi, drzew i roślin miejsca, a teraz nie tyle zniszczonego, ile całkowicie unicestwionego. Od wstrząsu na chwilę zamarły w jej głowie niemal wszystkie myśli. Obok niej stał zdumiony Tre'valen, jakby zobaczył coś, o czym wiedział, lecz nie spodziewał się ujrzeć tego tutaj.

— Tak wyglądała ojczyzna dawno, dawno temu — ciszę przerwał głos Lodowego Cienia, przepełniony takim smutkiem, jakby straty zostały spowodowane wczoraj, a nie przed stuleciami. — To była ojczyzna ludu Kaled'a'in. A oto, co pozostało po pierwszym i ostatnim konflikcie, Wojnach Magów.

Obraz zmienił się, ukazując stojącą na brzegu krateru grupę uzbrojonych, przygnębionych ludzi, długowłosych, złotoskórych Shin'a'in. Zapanowało zamieszanie, gdy zaczęli oni i ich zwierzęta — konie, ogromne psy, myśliwskie koty i drapieżne ptaki — chodzić to tu, to tam. Nagle wyjaśniło się, że mniej więcej połowa z tej grupki krzątających się ludzi pakuje swoje manatki do odjazdu, a reszta zamierza pozostać.

— Uciekliśmy przed zniszczeniem. Wróciliśmy, kiedy tylko mogliśmy i oto, co zastaliśmy. Ogarnął nas żal, w myślach zapanował chaos. Potem wpadliśmy w gniew, gdy dowiedzieliśmy się, co się wydarzyło i co było przyczyną tak strasznego zniszczenia. Zapanowała niezgoda. Kłóciliśmy się o to, co powinniśmy począć. Niektórzy pragnęli wyklęcia wszelkiej magii, inni postużeni się nią, by klan mógł ocaleć w nowym, obcym świecie. Osiągnięcie porozumienia nie było możliwe: niezgoda zamieniła się w spór, załazek nienawiści. To wtedy właśnie, aby do tego nie dopuścić, obie strony postanowiły się rozejść, doszło do rozłuki klanów. Ci, którzy wyrzekli się magii, stali się Shin'a'in, wierni magii odsunę-

li się od reszty, nadając sobie imię Tayledras, od imienia ptaków, w stworzeniu których uczestniczyli. To oni, nasi ojcowie i matki, wyruszyli na północ.

Obraz ponownie się zmienił, tym razem przedstawiał coś, co przypuszczałnie było puszcza. Niegdyś. Przed oczami mieli innego rodzaju koszmar: martwo-ta ustąpiła poplątanej, wynaturzonej, rozszalałej dziczy roślinności tak gęstej, że tworzyła litą, zieloną ścianę po obu stronach drogi. Gdybyż jeszcze można było rozróżnić, co jest rośliną, a co zwierzęciem. Rosły tam rośliny po omacku wlokące się za wędrującym klanem i zwierzęta zakorzenione w jednym miejscu jak rośliny, obserwujące ich nieruchomym wzrokiem lub witające ich nie kończącym się wrzaskiem. Elspeth dostrzegła stworzenia przemykające chyłkiem za woalem lian zwieszających się z konarów, na widok których dreszcz przebiegł jej po plecach. I gdy starała się uporządkować feerię kolorów i ruchu, wędrowców zaatakowały bestie znacznie gorsze od stworzeń, które wysłał przeciw nim Mornelithe. Pozornie składały się wyłącznie z kłów i pazurów, pokrytych pancerną łuską, ochraniającą całe ich ciała z wyjątkiem stawów.

Podskoczyła na dźwięk głosu Lodowego Cienia.

— Pięć klanów, które teraz wchodzi w skład Tayledras, stwierdziło, że ziemię graniczącą z ich ojczyzną łupione są przez siły złej, pokrętej magii. Każdy człowiek czy ptak był wobec nich bezbronny. Czekali ich śmierć z ręki bestii lub z głodu, gdyż nie mieli czasu na polowania czy hodowlę. Byli zrozpaczeni, bo nie mieli dokąd się udać.

Obraz zasnuła na chwilę mgła. Kiedy ponownie można było coś ujrzyć, szczerp Tayledrasów stał obozem na szczycie wzgórza strawionym do naga przez ogień, w obrębie tymczasowej palisady z kolczastych gałęzi. Jednak oczywistym było, że kiepska to była ochrona przed tego rodzaju napastnikiem.

— Wiedzieli, że dalej nie mogą już iść — ciągnął Lodowy Cień. — A więc tak jak ich krewniacy, którzy stali się Shin'a'in, modlili się gorąco do Bogini. I oto, jak odpowiedziała na ich prośby.

Elspeth była zupełnie nie przygotowana na to, co wydarzyło się, gdy mgła ponownie zgęstniała.

Nagle kula świetlistej mgły z obrazem wewnątrz zniknęła; nagle nie było już polany, Sokolich Braci i Skifa. . .

. . . żadnego światła, dźwięku, świata!

Jedynie ona: niebo wypełnione gwiazdami rozpościerające się jak okiem sięgnąć. . .

. . . i brzask! . . .

Z gwiazdnej nicości wstał biały, gorący płomień, który także był kobietą. Bił od niej blask zbyt mocny, by można się jej było dokładnie przyjrzyć, a na dodatek zmieniała się co chwilę, drżąc w niej surowa Moc wprawiła Elspeth w drżenie. Upadłaby na kolana, gdyby tylko wiedziała, jak to zrobić pośrodku tej gwiazdzistej przestrzeni.

Wysłuchałam waszych modlitw. — Głos wypełnił po brzegi umysł Elspeth, tak że nawet na strach zabrakło już miejsca. — Jednak spełnienie próśb ma swoją cenę: jest nią wasze życie i wolność.

Wyciągnęła rękę. W zagłębieniu Jej dłoni wtulony był dziwacznie zniekształcony krajobraz puszczy, których granice przekroczyły ludy klanu.

Okrutna magia spustoszyła tę krainę, i jedynie magia może jej przywrócić poprzedni stan. Ofiaruję wam zatem to, o co błagaliście. Będę was chronić tak długo, aż każdy z was okrzepnie, zakładając własne ognisko klanu, nauczę, jak wznosić miejsce w obrębie każdego ogniska, w którym będziecie mogli czuć się bezpiecznie. Dam wam wiedzę adeptów, by władać i skupiać magię, i wiedzę, której nawet oni nigdy nie posiadają, tak byście mogli tworzyć skupiska mocy, na które nawet najpotężniejsi magowie odpowiedzialni za te zmiany patrzeć będą z zawiścią.

A oto przysięga, którą złożycie w zamian: oczyścicie te ziemie, by powróciły do stanu sprzed Wojen. Zniszczycie złe stwory, przygarniecie i wspomócie niewinne ofiary nieszczęść oraz znajdziecie schronienie dla tych, które są zwierzętami, ani dobrymi, ani złymi. Zniszczycie wszelką broń, jaką tylko znajdziecie, by nie można jej ponownie użyć w złym celu. Oczyścicie ziemię oddaną wam we władanie, a potem pójdziecie dalej, by rozpocząć wszystko od nowa. Wszystkie wasze dzieci obdarzone magią mają podążać tą ścieżką. Będziecie uzdrowicielami i opiekunami, nie dopuścicie, by kiedykolwiek magia, którą się posługujecie, została użyta w złym celu, nigdy też nie dopuścicie obcych do swego grona, chyba że zostaną zaprzysiężeni. Oto, co musicie zrobić, bez względu na to, ile was to będzie kosztować.

Raptownie obraz zgasł. Elspeth potrząsnęła głową, wciąż mrugając oczami, nie mogła opanować drżenia. Polana przedstawiała teraz taki widok jak wtedy, gdy na nią wyszli, zniknęła nawet świetlista mgła.

Elspeth próbowała otrząsnąć się z potężnej wizji, która nią wstrząsnęła, o ile oczywiście była to wizja. Ona przez chwilę rzeczywiście odwiedziła te same miejsca i przeżyła to samo, co w zamierzchłej przeszłości przodkowie Sokolich Braci. Nie mogła tylko zrozumieć jednego: dlaczego Skif nie wyglądał na przejętego, podczas gdy Tre'velan był tak samo oszołomiony i olśniony jak i ona. Dawno temu, kiedy była jeszcze dzieckiem, po raz pierwszy opowiedziano jej historię o Królu Valdemarze i przyjsciu na świat pierwszego Towarzysza, wtedy uważała, że to piękna opowieść. Teraz ujrzała przebłysk tego, co Król Valdemar mógł doświadczyć na własnej skórze, gdy spełniły się jego modlitwy. Była głęboko wstrząśnięta, rozumiała, dlaczego niektórzy ludzie stali się tak żarliwymi, skrajnymi wyznawcami bóstw.

Lodowy Cień bardzo długo się nie odzywał, pozwalając jej i Tre'venowi zebrać myśli. Elspeth wydawało się, że szczególnie uważnie przygląda się jej, choć nie była tego całkowicie pewna. W końcu przemówił:

— Oto ostatnia przysięga, którą musicie złożyć. Przysięgnijcie, że będziecie

pomagać swym braciom z klanu; w wypełnieniu obowiązku, na tyle na ile pozwoli wam na to wcześniej złożone przysięgi oraz, że nigdy nie wykorzystacie tego, czego nauczycie się tutaj, dla sięgnięcia po władzę, zaspokojenia pychy i zdobycia pozycji!

Uniósł dłoń, jakby uprzedzając pytania, które cisnęły się im na usta.

— Nie żądam, byście zawsze wzbraniali się przed wyrządzeniem krzywdy, bo pewnego dnia możecie stanąć oko w oko z wrogiem, chcącym zniszczyć znacznie więcej niż wy, jeśli tylko dać mu wolną rękę. Jednak nie wolno wam używać mocy dla zaspokojenia samolubnych celów, przydania sobie wartości, wypełniania życia próżnymi przyjemnościami lub zaspokojenia kaprysów. Czy możecie to przysiąc?

Elsbeth westchnęła z ulgą, gdyż słowa bardzo przypominały Przysięgę składaną przez herolda w obliczu Kręgu, różnica w stylu miała niewielkie znaczenie. Zgodziła się, czując, że kamień spadł jej z serca, ucieszona że wymagane od niej przysięgi wydawały się brać pod uwagę, iż poza klanem miała też inne obowiązki, których waga mogła okazać się większa.

„Póki nie wyniknie sprzeczność, wszystko powinno być w porządku” — pomyślała.

Podczas całej ceremonii niebieskawa poświata Zaklęcia Prawdy nieprzerwanie otaczała całą ich trójkę. Lodowy Cień pojedynczym gestem odwołał czar. Nad ich głowami na pogłębiającym się granacie nieba ostatnie chwile zachodzącego słońca rysowały złotoczerwone smużki. Elspeth kątem oka dostrzegła jakiś ruch na tle świetlistego nieba i popatrzyła w górę. Jej uwagę przyciągnął krążący nad polaną ptak, a sądząc po sylwetce, był to drapieżnik. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, nie tutaj w samym sercu ziem klanu Tayledras. Jednak coś zmusiło ją, by przyjrzeć się mu uważniej.

Był ogromny, o wiele większy, niż w pierwszej chwili sądziła, z łatwością dorównałby rozmiarami największym orłom, jakie w życiu widziała. Ale wyraźne sokole krechy na ogonie sprawiały, że nie można go było pomylić z żadnym ptakiem.

Sokół worcelski wielkości orła, a może nawet większy, i do tego, o ile nie było to złudzenie wywołane przez światło, lśnił.

Jutrenka? Musiało jej to przyjść na myśl. Popatrzyła na Tre'valena. I on wpastrywał się w ptaka. Nikt inny nie wydawał się zauważać jego obecności. Na jego twarzy zagościł niesłychanie osobliwy wyraz: zdawał się być podniecony i zarazem przeniknięty niepokojem, którego powody nie były jasne.

Ponad nimi sokół wykonał ostatnie okrążenie, a potem wzniósł się spiralnie i rozplątał się w szkarłatno-złotej, cudnej łunie zachodzącego słońca. Tre'valen oblizał wargi i opuścił głowę, z lekką, jak się wydawało, niechęcią. Uchwycił jej wzrok, zanim zdążyła odwrócić oczy. Coś w jego spojrzeniu zmusiło ją, by jeden raz, powoli kiwnąć głową na znak, że i ona także widziała ptaka. Na jego ustach

pojawił się cień uśmiechu, i znów skierował swą uwagę na to, co robił Lodowy Cień.

Upłynęło mniej czasu, niż sądziła. Adept Tayledrasów właśnie wyraził zgodę na wkroczenie do klanu Skrzydlatego Rodzeństwa i witał ich jak sprzymierzeńców i przyjaciół.

Elsbeth znowu musiała potrząsnąć głową, czując kolejną falę budzącej dreszcz niepokoju dezorientacji. Czas wyczytniał wokół niej dziwaczne cuda, a Skif nie wydawał się tym poruszony w najmniejszym stopniu. Czy dlatego, że była magiem, odczuwała wszystko tak silnie, czy też z zupełnie innych przyczyn? A może wszystkiemu winne były nerwy?

I tak nie miało to akurat znaczenia, ceremonia się jeszcze nie skończyła, choć formalne złożenie przysięgi już się odbyło. Po południu, odprowadzając ich do jaskini, Mroczny Wiatr wyjaśnił im, że Lodowy Cień chce odbyć rozmowę z nią, Skifem i Towarzyszami, zanim wyda ich na pastwę reszty klanu.

— Chce lepiej wyjaśnić wam, w co się angażujecie — powiedział. Elspeth zastanawiała się wtedy, czy on żartuje, czy mówi śmiertelnie poważnie.

Jednak Lodowy Cień rzeczywiście zmierzał w ich stronę wzdłuż kamiennego kręgu, z jeszcze jednym Sokolim Bratem u boku, a tuż za nimi szli Mroczny Wiatr i Towarzysze. Inni Tayledrasi gdzieś się rozeszli, rozplynęli w niesamowitej roślinności.

— A więc wreszcie spotkałem heroldów — odezwał się adept magii, zbliżając się do nich. — Ostatni spośród was odwiedził klan przed... Kiedy to było? — Spojrzał na nieznanego Tayledrasa, szukając odpowiedzi.

— Niemal przed siedmuset laty — odparł zapytany. Stał na tyle blisko, że można się mu było dokładnie przyjrzeć. Elspeth spostrzegła jego niezwykłą bladeść, bijące od niego zmęczenie, ból wrył się głębokimi bruzdami naokoło jego oczu i ust. Skrzywił się lekko i rzekł:

— To jednak byli k'Treva, jak zawsze... hmm... niekonwencjonalni.

— Rzekłbym: nowatorscy, Gwiazdne Ostrze — łagodnie zakpił Lodowy Cień. — Z tego, co wyniosłem z opowieści, nie przyniosło im to ani wielkiej szkody, ani pożytku.

Usłyszawszy imię, Elspeth przez chwilę poddała przybysza drugiej, nieco starszej, choć przeprowadzonej skrycie, ocenie. A więc to był ojciec Mrocznego Wiatru? Wcale nie byli do siebie podobni, jednak można to było złożyć na karb choroby albo różniących się fryzur. Gwiazdne Ostrze miał na sobie nieco bardziej tradycyjny strój niż pozostali pobratymcy. Prawdę mówiąc jego strój przypominał nieco szatę Mrocznego Wiatru: przywoływał na myśl ptaki i skrzydła, nie imitując prawdziwego upierzenia. Tak jakby były tworem tego samego umysłu. Interesujące.

— K'Treva Tayledras, którzy zaprosili heroldów do siebie, mam na myśli Księżycową Tancerkę i Gwiazdzisty Wiatr, prawda? — odparła, czym najwyraźniej przestraszyła trzech Braci Sokołów i zasłużyła na pochwałę Tre'valena, wyrażoną skrytym uśmiechem.

— Tak jest w Kronikach czasów herolda Vanyela. Przeczytałam je i dlatego tutaj przybyłam, by spróbować jak najwięcej dowiedzieć się o klanie Tayledras. Heroldami byli Vanyel Ashkevron i jego ciotka, Savil. . . Vanyel był ostatnim z heroldów-magów. W Kronikach napisano, że sporo czasu spędził w Dolinie k'Treva, zwłaszcza w młodości, a Gwiazdzisty Wiatr nauczył go niemal wszystkiego, co wiedział o magii.

— To prawda, młoda osobo — odparł Gwiazdne Ostrze. Elspeth wydawało się, że ton jego głosu stał się jakby cieplejszy. — A przynajmniej tak wynika z naszych zapisków. Lodowy Cieniu, mój przyjacielu, czy nie moglibyśmy się przenieść w miejsce nieco mniej ceremonialne? — Jego przepaszający gest skierowany był do Elspeth, Skifa i Tre'valena. — Wybaczcie, lecz obawiam się, że muszę prosić was o zrozumienie i znaleźć jakieś miejsce, gdzie można by usiąść.

— Co powiesz o stawie rybnym, o tam? — zapytał Mroczny Wiatr i skinieniem głowy wskazał miejsce, znajdujące się gdzieś za plecami Lodowego Cienia. — To spokojna okolica, po zachodzie słońca nie powinniśmy tam nikogo zastać.

— Doskonale. — Elspeth pomyślała, że ojciec przyjął propozycję z wdzięcznością. — Powinno tam starczyć miejsca dla naszych większych przyjaciół i dla nas samych.

Lodowy Cień zaprosił gestem młodszego Sokolego Brata, by stanął na czele, tuż za nim szła Elspeth, a za nią pozostali. Było już dość ciemno, dlatego z ulgą przyjęła wyczarowanie przez gospodarzy magicznych świateł. Przekonała się, że ocena odległości w Dolinie daje złudne wyniki: piękny staw rybny, o którym mówił Mroczny Wiatr, znajdował się niewiele dalej niż na odległość rzutu kamieniem od kręgu wokoło kamiennego głazu, choć wydawało się, że dzieli ich odległość niemal połowy Doliny, zaś gdy tylko usadowili się nad nim, nic nie wskazywało na to, że kamień-serce znajduje się gdzieś w pobliżu.

— No cóż — rozpoczął Gwiazdne Ostrze, sadowiąc się na „fotelu” z korzeni drzewa wyściełanym mchem. Elspeth znalazła dla siebie podobne siedzisko i ze zdziwieniem stwierdziła, że jest jej niesłychanie wygodnie.

— Lodowy Cień zwrócił się do mnie z prośbą o wyjaśnienie wam, w jakiego rodzaju. . . hmm. . . sytuacji niechcący znaleźliście się. Ponieważ częściowa wina za doprowadzenie do tego stanu spoczywa na mnie, myślę, że sprawiedliwe jest, bym to ja podjął się tego zadania.

Elspeth napotkała jego przeniknięty fizycznym i psychicznym bólem wzrok. Będzie musiał zapłacić za rozmowę określoną cenę, lecz już wcześniej widziała tego samego rodzaju wyraz w oczach Mrocznego Wiatru, za każdym razem, gdy mówił o ojcu. Domyślała się zatem, że to on zawinił. Ten człowiek miał rację: to

było sprawiedliwe.

Usadowiła się wygodniej i skinęła zdecydowanie głową.

— Mów — powiedziała. — Nie sądzę, by twoje słowa mogły zmusić nas do zmiany decyzji, jednak uczono mnie taktyki: Lubię wiedzieć, czego należy się spodziewać. — Uśmiechnęła się lekko. — Bez względu na to, czy to ma być dobre, czy złe.

Gwiazdne Ostrze z powagą pokiwał głową i pochylił się do przodu. Zacisnął prawą rękę na pokrytej opatrunkiem lewej. Nie ulegało wątpliwości, że i za tym kryła się jakaś historia, nie wiadomo czy długa, czy krótka, ale zapewne interesująca.

Powiedziała prawdę o trwaniu przy raz powziętej decyzji, jednak miała nadzieję, że po tym, co miała usłyszeć, nie pożałuje tego. Na żal było już nieco za późno.

Jednak na strategię nigdy nie jest za wcześnie i nigdy za późno.

ROZDZIAŁ DRUGI

— Wiem, że jesteś przybyszem z obcych ziem... lecz nie orientuję się, czy Mroczny Wiatr opowiedział ci o wszystkich gnębiących nas kłopotach — zaczął Gwiazdne Ostrze, obrzuciwszy syna poważnym spojrzeniem. — Zaczę więc moją opowieść od początku. Wybacz, jeśli powtórzę już to, co jest ci wiadome. — Elspeth popatrzyła na staw. Kolorowy karp spokojnie krążył tuż pod powierzchnią wody. — W miarę możliwości postaram się mówić zwięźle.

Zrobił krótką przerwę dla uporządkowania myśli.

— Mornelithe Zmora Sokołów... — Gwiazdne Ostrze przymknął oczy, ale Elspeth zdążyła jeszcze dostrzec, że przemknął w nich znowu cień bólu. — Rozkruszenie kamienia-serca to jego sprawka, lecz posłużył się mną. Byłem niemądry i próżny. Uważałem siebie za mędrca, a przekonałem się, że jest odwrotnie. Schwycił mnie w sidła własnej głupoty i dumy, złamał i uczynił ze mnie narzędzie.

Były to surowe słowa i nie dało się ukryć, że cena każdego z nich była wysoka.

— Posługując się mną, stracił kamień-serce w mrok, zakłócił naszą magię, zniszczył ją od wewnątrz i przyczynił się do śmierci wielu naszych magów. Z mojego powodu trzy czwarte klanu zagubione jest gdzieś w dziczy.

— Jak? — Elspeth była zaciekawiona. — To znaczy, w jaki sposób utraciliście tylu ludzi?

Mówca bawił się ozdobionym szklanymi paciorkami piórem wplecionym we włosy.

— Gdy klan odchodzi w inne miejsce, zgodnie ze zwyczajem najpierw przenoszą się dzieci, niżsi rangą magowie, słabi i starcy oraz większość zwiadowców i wojowników do ochrony. Wysyłamy ich Bramą, pozbawiamy kamień jego mocy i napęlniamy nią nowy, na końcu odchodzimy my. Gdy jednak wypełniliśmy kamień całą mocą klanu, przygotowując ją do skierowania w nowe miejsce, kamień-serce rozkruszył się, zabijając adepta otwierającego Bramę. Nie ma wśród nas nikogo, kto umiałby posługiwać się uszkodzonym kamieniem-sercem, by dołączyć do nich przez Bramę. Właściwie nie wiemy, gdzie jest reszta klanu, bo zwiadowcy, którzy wyznaczyli miejsce, odeszli.

— A oni nie mogą do was wrócić, bo brakuje im wojowników? — wtrąciła

Elsbeth. — Domyślani się, że żaden z magów niższych rangą nie potrafi wybudować Bramy?

— Jedynie adept może opanować Zakłęcie Bramy — wyjaśnił Lodowy Cień. — Obawiamy się, że nawet gdyby znalazł się ktoś między nimi, kto mogły je wypowiedzieć, to kamień-serce jest zbyt osłabiony, na to by można otworzyć w jego pobliżu Bramę.

— Wszyscy zwiadowcy, którzy znali drogę do nowej Doliny, odeszli — powtórzył Mroczny Wiatr. — Zostalibyśmy zdziesiątkowani, gdybyśmy wyruszyli do nich pieszo. Każdy staj drogi na północ ma wysoką cenę. Oni zaś nie mogą do nas wrócić obarczeni starcami, dziećmi i chorymi.

Jego ojciec skinął potakująco głową. — To prawda. Co gorsza, Mornelithe nie zaprzestał swego procederu. Posługując się mną, uniemożliwił klanowi szukanie pomocy, przeszkadzał ocalałym adeptom we wzmocnieniu kamienia i nie dopuszczał do mnie wszystkich, którzy mnie znali. — Gwiazdne Ostrze odwrócił wzrok od swego syna, lecz jego słowa były aż nadto zrozumiałe.

— Miał nadzieję, jak sądzę, wyczerpać nasze siły, by móc łatwo przedrzeć się przez naszą obronę i zagarnąć kamień wraz z drzemiącą w nim resztką mocy. Jednak przeoczył rolę naszych mądrych sojuszników, gryfonów, zlekceważył odwagę i roztropność mego syna.

— Nie mógł także przewidzieć, że Nyara zwróci się przeciw niemu. — Z głosu Skifa przebijała duma.

— Nie, ani waszego przybycia ze wszystkim, co za wami stoi — dorzucił Tre'valen, a w jego oczach zabłysło lekkie szyderstwo. — Po prawdzie powiem wam, że nagle wszyscy zaczęli gromadzić siły. Mornelithe, oczywiście, nie mógł tego przewidzieć, także nie wziął pod uwagę możliwości wkroczenia Shin'a'in. To przyczyniło się do jego porażki.

— Jeśli jeszcze żyje, to nie najlepiej mu się wiedzie — wtrącił Lodowy Cień. — Dosięgła go strzała Shin'a'in, tyle wiadomo, i kosztowało go to sporą utratę mocy. Stracił też bestie.

— To mnie wciąż zastanawia: strzały Shin'a'in rzadko mijają cel w tego rodzaju okazjach, ich Bogini często pomaga strzale w locie do celu. Tak czy siak, wątpię, by przeżył. — Gwiazdne Ostrze westchnął. — Sądzę, że strzały odnalazły cel, i on uciekł tylko po to, by umrzeć. Wszelki ślad po nim i jego bestiach zaginął. Ucieczka udała mu się jedynie dzięki magii krwi... jego własnej krwi. Wśród magów to ostateczność.

Elsbeth wzruszyła ramionami. — Nie wiem nic o nim ani o tych, którymi się otacza, jednak wydaje mi się, że musiał uchodzić z Doliny w bardzo kiepskim stanie.

Gwiazdne Ostrze skinął głową i odrzucił warkoczyki za uszy. — Syn powiedział, że będzie cię uczył posługiwać się twym darem magii. To dobrze, jak sądzę. Jednak ucząc ciebie, sam będzie musiał sobie wiele przypomnieć. Nauka w grani-

cach Doliny mogłaby okazać się niebezpieczna, zwłaszcza ćwiczenia. Bylibyście co prawda chronieni przed zagrożeniami z zewnątrz, ale kamień wciąż jest niebezpieczny.

Gwena tupnęła kopytem i prychnęła, kiwając głową z góry na dół na znak, że się z nim zgadza. Elspeth czuła to samo: Gwiazdne Ostrze miał za sobą wiele lat doświadczeń, a jako adept Tayledrasów znał magię jak nikt inny. Lepiej było zachować ostrożność.

— Myślę — odezwał się Mroczny Wiatr — że przez jakiś czas będziemy mogli bezpiecznie ćwiczyć poza Doliną. Jedynie gdy będziemy ocierać się o wyższą magię adeptów, będziemy musieli robić to pod ochroną Doliny.

— Do tego czasu Rada i ja powinniśmy już zdecydować, co pocniemy z kamieniem-sercem — powiedział Lodowy Cień. — Albo zacniemy uzdrawiać go własnymi siłami, albo znajdziemy jakieś inne wyjście z sytuacji.

Popatrzył na Elspeth. W jego oczach przemknęła nadzieja. Westchnęła, wiedząc co to oznacza. — Ciekawi was, czy możecie liczyć na moją pomoc? Doskonale pamiętam złożoną właśnie przysięgę — rzekła lekko pokręciwszy głową. — Nie powiem, żebym była zachwycona pomysłem zabawy z tak potężnymi siłami, ale zrobię, co w mojej mocy.

Lodowy Cień i Gwiazdne Ostrze skinęli z aprobatą głowami, ale Elspeth jeszcze nie zamierzała kończyć.

— Jednak muszę się dowiedzieć, czego możemy spodziewać się z zewnątrz, podczas gdy my tutaj będziemy się tym wszystkim zajmować? Gwiazdne Ostrze, mam nadzieję, że wybaczysz mi pytanie, ale poprzednio byłeś słabym ogniwem. Czy w dalszym ciągu jesteś tak podatny na wpływy?

Gwiazdne Ostrze zwilżył wargi koniuszkiem języka i odpowiedział: — Na wpływy... powiedziałbym, że wcale. Nawet jeśli Mornelithe żyje, w co, jak powiedziałem, nie wierzę, to i tak na wszelki wypadek Lodowy Cień i Kethra zmienili ścieżki, którymi do mnie dotarł. Aby mógł mnie zniewolić, musiałbym wpaść w jego ręce. Złamałby mnie szybciej, bo jestem dużo słabszy, niż byłem, ale musiałby mnie mieć, aby tego dopiąć.

— I? — Elspeth wygięła brew.

— I nie opuszczę Doliny, póki nie będzie można przekroczyć progu Bramy — odpowiedział. — Zostałem złamany, teraz zablizniają się moje rany. Wciąż jednak jestem zbyt słaby, dlatego będę unikać niebezpieczeństwa dla dobra nas wszystkich.

Elspeth skinęła głową zadowolona, z kolei Skif spochmurniał. — A atak? — zapytał. — Czy jesteś słabszy niż, powiedzmy, Lodowy Cień?

Gwiazdne Ostrze uśmiechnął się, lekko zaskoczony pytaniem. — Ja... nie sądzę — odrzekł natychmiast. — Słabości, które wciąż są we mnie, może wykorzystać ktoś, kto mnie zna. Musiałbym poza tym znajdować się przynajmniej w zasięgu jego wzroku.

Skif popatrzył na Tre'valena. Ten tylko wzruszył ramionami. — Jedyne znane mi magię to magia Bogini — powiedział. — Ani wam nie pomogę, ani nie przeszkodzę. Dobrze jest o tym wszystkim wiedzieć, Gwiazdne Ostrze, dzięki, że chciałeś się z nami wszystkim podzielić.

— Nie przychodzi mi do głowy więcej pytań — przyznał się Skif. — Nie jestem magiem, nie mogę wam pomóc. Prawdę powiedziawszy, pomogę wam najbardziej, odnajdując Nyarę i ten przeklęty miecz, który zabrała ze sobą.

— Teraz ja muszę się czegoś dowiedzieć — natychmiast skorzystał z okazji Gwiazdne Ostrze. Oczy wszystkich zebranych na polance skupiły się na Elspeth.

Poruszyła się niespokojnie. — Nie wiem tyle o Potrzebie, ile chciałabym — odparła z ociąganiem. — Pochodzi jeszcze sprzed Wojen Magów, jak sądzę. Nie rozpoznałam niczego, co nam pokazywała, gdy podzieliła się z nami swymi wspomnieniami. A więc jest bardzo stara lub pochodzi z bardzo daleka.

— Powiedziałbym, że bardzo wiekowa — odezwał się Mroczny Wiatr. Tak jak jego ojciec, bezwiednie bawił się zręcznym piórkami. — Wydaje się tak stara jak najstarsze przedmioty, które widziałem. Odniosłem wrażenie, że pochodzi z dawnych czasów, jest tak stara jak wszystko, co napotykałem w ruinach.

Elspeth odchyliła głowę i wciągnęła głęboko w płuca chłodne, przepelnione aromatem kwiatów powietrze. Wykorzystała chwilę na zebranie myśli. — Wiem, że należała do jakiegoś na poły religijnego zakonu bogów, o których nigdy nie słyszałam. Były to bliźnięta, mężczyzna i kobieta.

Prześliznęła się pytającym wzrokiem po Sokolich Braciach. Wszyscy trzej zbyli to wzruszeniem ramion, tak jakby ta uwaga nic dla nich nie znaczyła. — Chociaż wtedy była wojownikiem, sama siebie nazywała magiem-kowalem. — Elspeth przymknęła oczy, wywołując z pamięci wspomnienia, które w sekrecie powierzyła jej Potrzeba. — Pod jej nieobecność ktoś zaatakował zakon, zabił starców, zniewolił młode kobiety, zrabował wszystko, co zdołał unieść. Ocalała jedynie młodzianka uczennica i Potrzeba, która jednak była zbyt stara, by walczyć. Potrzeba wykuła więc miecz, wtopiła weń zaklęcia uzdrawiające i przynoszące szczęście, a na koniec sama stopiła się z nim w jedno.

— Jak? — Lodowy Cień był tym szczerze zainteresowany.

Elspeth potrząsnęła głową. — Ja bym tego nie zrobiła. Poczyniła pewne przygotowania, a potem wbiła ostrze w ciało, zabijając je po to, by jej dusza mogła się z nim zjednoczyć. Przez to właśnie, póki dziewczyna miała go przy boku, Potrzeba mogła obdarzyć ją zarówno zręcznością wojownika, jak i maga-kowala.

Na wszystkich trzech adeptach zrobiło to ogromne wrażenie. Wyglądali na przestraszonych. — Jak to możliwe? — dopytywał się Gwiazdne Ostrze.

— Hmm, mogła działać na własną rękę jako mag albo poprzez tego, kto ją nosił u pasa — wyjaśniła Elspeth. — Mogła udzielać wskazówek, jeśli ten ktoś posiadał dar magii. Tak właśnie było ze mną, gdy nie pozwoliłam jej nad sobą zapanować. Jednak co do zręczności szermierczej, trzeba było jej ulec całkowicie.

— Skrzywiła się. — Obawiam się, że ja się na to nie godziłam, kimkolwiek by była: magiem czy nie. Ona jednakże nie przejmowała się tym zbytnio.

Na ustach Gwiezdnego Ostrza pojawił się cień rozbawienia. Mroczny Wiatr otwarcie uśmiechnął się od ucha do ucha. — Dlaczego nie jestem tym zaskoczony? — rzucił, od nikogo nie spodziewając się usłyszeć odpowiedzi.

Elspeth ucieszyła się, że ciemność ukryła jej czerwone policzki. Mroczny Wiatr posiadał niesamowitą zdolność klucia przytykami jej dumy. A może to był tylko pech.

Zwilżyła wargi i powściągnęła temperament. — Myślę, że nie była przyzwyczajona do sprzeciwiania się jej woli — powiedziała ostrożnie. — Kapitan Kero-wyn, która władała nią przede mną, powiedziała, iż będzie zmuszać mnie do uganiania się w sprawie każdej skrzywdzonej kobiety, jaka znajdzie się w pobliżu. Tak było wszakże, gdy ona wciąż była. . . — Zamyśliła się na chwilę. — O ile sobie przypominam, sama tak o tym powiedziała: „uśpiona”. Zrozumiałam to w ten sposób, że uśpiona była jej osobowość. Bardzo długo była „nieprzytomna”. Nigdy nie powiedziała dlaczego.

— Może nie chciała, byście się o tym dowiedzieli — wtrącił Tre’valen. — Gdybyście sprzeciwili się jej woli, wyjawienie sekretów ograniczyłoby jej wolność.

— To prawda — przyznała Elspeth. — Tak czy siak, zaczęła budzić się dopiero, gdy znalazłam się w Kata’shin’a’in. Jak widać, nie wiem o niej tyle, ile chciałabym wiedzieć. Sądzę, że pewnie zawładnie Nyarą. Przez lata jej ojciec kształtował ją zgodnie z własnymi zachciankami i kapryсами, Nyara musi być więc osobą dość podatną na tego rodzaju wpływy.

Skif najeżył się, słysząc te słowa i zaczął coś mówić. Jednakże rozważne słowa Mrocznego Wiatru mu w tym przeszkodziły.

— Nie byłoby to takie złe — zabrzmiał cichy głos Sokolego Brata. — Zwłaszcza, tak przynajmniej mnie się wydaje, że Potrzeba nie kieruje się złymi intencjami, lecz pragnie uczynić kobietę, która nią włada, silniejszą. Nie podoba się jej jedynie sprzeciwianie się jej woli.

— Mogę to potwierdzić — smutno skonstatowała Elspeth.

— Wydaje się, że to może Zmiennolicej wyjść na dobre — dodał Gwiezdne Ostrze. — Wbrew temu, co się wydarzyło, ja. . . mnie żal jest Nyary. Ona i ja. . . — zająknął się — . . . my mamy wiele wspólnego. To, co wyrządził jej Mornelithe. . . bardzo jest zbliżone do tego, co zrobił ze mną. Może miecz, jeśli posiada magiczną moc uzdrowicielską taką samą jak Kethra i Lodowy Cień, naprawi szkody wyrządzone dziewczynie, tak jak w moim przypadku uczyniła to Kethra. Mam nadzieję. Dla jej i naszego dobra.

Wydawało się, że nie pozostało już nic do powiedzenia. Elspeth siedziała przez chwilę w milczeniu, czując się nieswojo, póki Lodowy Cień chrząknięciem nie przerwał ciszy. — Jeśli nie możemy już wam nic więcej powiedzieć. . .

Elspeth pokręciła głową, tak samo Skif. — Nic nie przychodzi mi do głowy — odparła. — Za to przed snem przyjdzie mi pewnie do głowy z tuzin pytań, które powinnam była postawić.

Lodowy Cień zaśmiał się rozbawiony, a Gwiazdne Ostrze pokiwał mądrze głową. — Jeśli będziesz je sobie mogła przypomnieć po przebudzeniu, pytaj śmiało. — Lodowy Cień wstał ze swojego siedziska. — A tymczasem... przygotowaliśmy uroczyste powitanie was w szeregach klanu i w progach Doliny. Wasi przyjaciele k'Sheyna niecierpliwie już was wyczekują, są was tak samo ciekawi, jak wy ich.

Jego słowa przyniosły ze sobą ulgę. Wynikało z nich, że skryci Sokoli Bracia są na tyle ludzcy, by odczuwać ciekawość. Czas spędzony u boku Mrocznego Wiatru nie rozwiał wielu wątpliwości dotyczących tak jego, jak i ludu.

— W takim razie — odparła Elspeth — nie pozwólmy im dłużej czekać.

Elspeth poszła w kierunku wskazanym przez Mroczny Wiatr. Lodowy Cień tymczasem odprowadził jego ojca w przeciwną stronę, przypuszczalnie na odpoczynek.

— Ostatnimi czasy niewiele mieliśmy okazji do radości — powiedział szeptem Mroczny Wiatr do obu heroldów i Towarzyszy, prowadząc ich ścieżką wijącą się w dzikiej gęstwinie. — Patowa sytuacja z kamieniem-sercem, ciągle naruszanie granic, rozdzielenie... wszyscy znosiliśmy to z trudem. Jeśli dodać próby ojca zasiania niezgody pomiędzy zwiadowcami i magami... dla wielu tego było już nadto.

— Winą za to należy całkowicie obarczyć Mornelithe'a, prawda? — upewnił się Skif. — Mam nadzieję, że już jest po wszystkim. Wolałbym nie znaleźć się w samym środku waśni rodowej.

— Nie obawiaj się. — Mroczny Wiatr roześmiał się szczerze, a Elspeth stłumiła westchnienie ulgi. — Niebezpieczeństwo zażegnane, mogę przysiąc, że wszyscy z utęsknieniem wyczekują radosnej uroczystości. To, że odbędzie się ona na waszą cześć, i że jesteście cudzoziemcami, tylko wzmacnia zainteresowanie wami.

Wyznanie to wzbudziło w Elspeth uczucie niepokoju.

Nie brało się ono stąd, że miała stać się ośrodkiem zainteresowania tylu nieznanym osobom, lecz z tego, jak Mroczny Wiatr ich nazwał — cudzoziemcami!

W tym miejscu była obca i nic wokół nie przypominało rodzinnego domu. Skoro Mroczny Wiatr stanowił dla niej taką zagadkę, wypowiedziane przezeń słowa przypominały, że i ona jest dla niego nie mniej zagadkowa, a zatem i dla jego ludu. Obcość była dla niej czymś nowym, do czego nie była przyzwyczajona, budziła w niej uczucie oderwania, braku harmonii.

Po raz pierwszy od chwili przybycia tutaj poczuła się niezmiernie samotna. Wezbrała w niej fala dotkliwej tęsknoty, była bliska szlochowi, poczuła ucisk w gar-

dle, nie mogła wykrztusić ani słowa. Zamgliły się jej oczy i potknęła się...

Kiedy podniosła głowę, stwierdziła, że stoi na brzegu kolejnej polany, wypełnionej światłem i ludźmi.

Wpojone nawyki wzięły górę, zebrani czekali na spotkanie z nią. Była następczynią tronu, heroldem, tęsknota za domem mogła poczekać, teraz musi okazać im pogodną twarz, zaimponować im, aby wiedzieli, że warto wspomóc Valdemar.

Zamrugła powiekami, usuwając mgiełkę sprzed oczu. Towarzysze, Skif i Mroczny Wiatr wyprzedzili ją mniej więcej o krok, dało jej to czas na ostateczne wzięcie się w garść. Wciągnęła głęboko powietrze raz, a potem drugi, i w ślad za idącymi przed nią wkroczyła na tętniącą życiem polanę.

Spodziewała się magicznych światel i istotnie zastała ich mnóstwo, jednak polana tonęła głównie w świetle księżyca. Jedwabiste, srebrzyste światło rozmarzywało, zacierało szczegóły. Rozglądając się dookoła nagle spostrzegła, że nie wszyscy zebrani byli ludźmi.

Ujrzała hertasi w atłasach udekorowanych paciorkami — dotąd widziała te płochliwe, jaszczurkowate, sięgające wysokiemu mężczyźnie mniej więcej do pasa stworzenia może raz albo dwa razy — no i gryfony oczywiście.

Ucieszona z ich niespodziewanej acz miłej obecności, zamachała do Treyvana natychmiast, gdy tylko ją dostrzegł; nie wiedziała, że gryfony miały zamiar także wziąć udział w biesiadzie. Widok jego szeroko rozwartego w uśmiechu dzioba wypłoszył resztki dotkliwego uczucia tęsknoty za domem. Była bezsilna: gryfoni uśmiech był tak zaraźliwy, że nie zostawiał miejsca na żadne smutki. Teraz Hydona odwróciła się zaciekawiona, w co też wpatruje się Treyvan, i skinęła głową na ich widok, witając ich równie radosnym uśmiechem, dla którego ciepła nie istniały międzygatunkowe granice.

Gryfony zagarnęły wyłącznie dla siebie cały kąt polany, tuż obok nich bawiła się trójka zgrabnych, rogatych stworzeń. Elspeth domyśliła się, że były to dyheli. Rozproszona w tłumie Braci Sokołów uwijała się garstka dwunogich istot, których głowy były porośnięte prawdziwymi, a nie wplecionymi we włosy piórami.

Tervardi! Tylko nawyk wyniesiony po latach doskonalenia etykiety dworskiej uchronił Elspeth przed bezwstydnym wlepianiem w nie wzroku, choć właśnie to by teraz uczyniła. Gryfony, hertasi i właśnie owe istoty były żywcem wyjęte z kart legend Valdemaru. Ponoć tervardi byli zmiennokształtni, a załączki skrzydeł świadczyły o tym, że mogą wedle własnej woli przemieniać się w ptaki. Jedna z istot obróciła się i Elspeth ujrzała spokojną, pogodną twarz, której usta otoczone były małym, miękkim dziobem lub też twardszymi, sztywniejszymi wargami. Istota gestem zaprosiła ją do przyłączenia się do pochłoniętej rozmową grupki, a wtedy Elspeth zauważyła załączki kolorowych piór pokrywających przedramiona — pozostałości skrzydeł.

Wkraczając z wahaniem na polanę, zdała sobie sprawę, że zebrani na niej nie lekceważą jej, lecz uprzejmie pozwalają jej wmieścić się między nich. Z pewno-

ścią tak było znacznie uprzejmiej, niż gdyby napadli na nią całą chmarą. Identycznie postąpiłoby podobne zgromadzenie złożone z heroldów.

Rozejrzała się. Wokoło było mnóstwo ptaków, niektóre drzemały na gałęziach, inne przycupnęły na ramionach lub żerdziach. Towarzysze wraz z Tre'valenem przyłączyły się do grupki złożonej z ludzi i nie-ludzi. Mroczny Wiatr i Skif gdzieś się zapodziali.

Elsbeth nie miała pojęcia, jak im się to udało. Teraz była zdana tylko na siebie. Ponieważ wszyscy zebrani z tak wyszukaną uprzejmością unikali wpatrywania się w nią, czuła, że bardziej wyróżnia się od otoczenia, niż kiedy zaczęliby się na nią uporczywie gapić.

Szybkim krokiem przemierzyła trawiasty skrawek oddzielający ją od gryfonów. Zdziwiająco, ze wszystkich zebranych, pomimo dzielących ich największych różnic fizycznych, pod każdym innym względem wydawali się jej najbliżsi...

— No więc! — przywitał ją Treyvan, podając uzbrojoną w pazury przednią łapę. — Jesteś teraz Tayledrasssem, należysz do Rodzeństwa klanu! Zauważyłaś jakąś zmianę?

— Hmm, i tak i nie — odparła. — Nie przestałam jednak być sobą i tak jak przedtem heroldem.

— A co tttak? — uprzejmie zapytała Hydona. — Sssądzę, że daje o sssobie znać tsssknota za domem, prrrawda?

Zaskoczyło ją to tak, że zamrugnęła oczami, poczuła jednak wdzięczność.

— Jak się tego domyśliłaś?

Gryfon skinieniem głowy wskazał resztę zgromadzenia. — My także jesssteśmy tutaj pozbawieni towarzysstwa naszych krrrewniaków, jeśli nie liczyć maluchów. Wiemy, że musssisz czuć sssię sstrasznie obco.

Zarumieniła się, zakłopotana, że umknęło jej coś tak oczywistego. — Oczywiście. Jesteście jednak tak zaprzyjaźnieni z Mrocznym Wiatrem, że nie pomyślałam...

— Nie pomyślałaś, zatem trrraktuję to jako komplement, że świetnie dopasowaliśmy się do tego miejssca — mówiąc to Treyvan się roześmiał. — Doprrawdy, ludzie z Dolin nie rrróżnią się tak barrrdzo od ludzi z naszego krrraju.

— Ach — Elspeth nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. — A gdzie są maluchy?

— Tam. — Hydona wskazała pazurem inny kąt polany, gdzie w cieniu drzew dwa zaspane gryfiątka wylegiwały się w trawie, słuchając opowieści...

Olbrzymiego wilka?

... który jednakże milczał jak zaklęty. Dlaczego zatem sprawiały wrażenie zasłuchanych?

— To jessst kyree. Nie odwiedza zbyt częsssto tej Doliny — wyjaśniła Hydona, jakby odebrała niewypowiedziane pytanie Elspeth. — Trudno mówić o jego płci. Polubił maleńssstwa i był na tyle uprzejmy, że zabawia ich opowieściami

od chwili naszszego tu przybycia. Sssądzę, że nazywa się... — Odwróciła się do swego towarzysza.

— Torrrl — dorzucił szybko Treyvan. — Był wielkim przyjacielem Jutrzenki, a teraz Mrocznego Wiatrrru. Kyree często uwielbiają małe wszszszelkich gatunków. Szczeńśśliwie się ssskłada, że oboje sssą sssilnymi myśślmówcami.

Oczywiście to dlatego kyree mógł „snuć swoje opowieści” młodym gryfiątkom; wprost z mózgu do mózgu; tak jak kyree, który pomagał Vanyelowi. W końcu przemówił do Stefena. Elspeth zaschło w gardle, poczuła się, jakby uczestniczyła w baśni. To wrażenie potęgowała delikatna poświata magicznych światła i księżyc.

Udało jej się nie zerwać na równe nogi, gdy poczuła szarpnięcie. Szybko spojrzała w dół. Przed nią stała jedna z hertasi z tacą pełną warzyw i owoców, którym nadano wymyślne kształty, upodabniając je do kwiatów. Przyjęła poczęstunek i wybrała coś na chybił trafił, nie mając zielonego pojęcia, co to było, byle tylko nie urazić niewielkiego stworzenia odmową. Zwierzę natychmiast roztopiło się w tłumie. Elspeth ostrożnie ugryzła „poczęstunek”. Okazał się twardy i chłodny, o lekko pieprzonym smaku, chrupiący, co tak podniosło ją na duchu, że gdy następna hertasi pojawiła się przed nią z tacą z napojami, wzięła od niej kubek z wielką ochotą. W środku znajdowało się lekkie wino. Sączyła je powoli, rozmawiając z gryfonami, starając się nie poruszać poważnych tematów, zadawać niewinne pytania dotyczące kyree i innych stworzeń, póki nie przyłączyli się do nich inni Tayledrasowie. Stopniowo uwalniając się od napięcia, zaczęła się dobrze bawić.

Czując, że ktoś dotyka jej łokcia, odwróciła się. To Mroczny Wiatr odnalazł ją w tłumie. Podał jej kawałek czegoś, co było podobne do chleba, udekorowany niewielkim, ozdobnym kwiatkiem i dołączył do grupy zebranej wokół niej.

— Twój przyjaciel Skif i mój brat stwierdzili, że mają wiele wspólnego — powiedział włączając się do rozmowy. — Zaszli się gdzieś, aby porozmawiać o broni. Zdaje mi się, że chodzi o noże.

— Nic dziwnego. — Elspeth pokręciła głową. — Wystarczy wspomnieć o nożach, a Skif będzie cię słuchał w nieskończoność. Czy mam to zjeść, czy włożyć na siebie?

— Zjedz — powiedział do niej, śmiejąc się. — Wydaje mi się, że będzie ci smakować ta wędzona ryba.

Ostrożnie ugryzła niewielki kęs. Wędzone ryby, które zdarzyło się jej jadać, przypominały drewniane szczapy, zaś ich smak zbliżony był do tabliczki soli oblanej olejem rybnym. Tak więc nieopisana mieszanina delikatnych smaków była dla niej przyjemnym zaskoczeniem. Mroczny Wiatr roześmiał się ponownie na widok jej twarzy, obserwując, jak pochłania ostatnie kawałki ryby.

— Zwrócono się do mnie — ciągnął mówiąc do niej i do gryfonów — abym poprosił moich przyjaciół Treyvana i Hydone, by udali się pod wodospad, zaś

moją skrzydlatą siostrę Elspeth, by zaszczyliła swą obecnością zebranie zwiadowców.

— Tak? — odezwał się Treyvan. — Co jessst pod wodossspadem i kto?

— Kethra, Lodowy Cień i mój ojciec, oprócz innych oczywiście — odpowiedział Mroczny Wiatr. — I jak mi powiedziano, bogaty wybór świeżych ryb, surowego mięsa i dzikiego ptactwa. Niektórzy z naszych wrażliwszych gości, dyheli i tervadi, byliby przygnębeni widokiem tego rodzaju zakąsek, dlatego przezornie przygotowaliśmy je na uboczu.

— Barrrdzo roztrrrpnie — pochwaliła Hydona. — Jednakże maleńssstwa...

— Torrl zapewnił mnie, że już im się kleją oczy — odparł Mroczny Wiatr. — Hertasi obiecały zaopiekować się nimi, kiedy zasną.

— Umierrram z głodu — przyznał Treyvan, spoglądając błagalnie na swą połowicę.

Elspeth zobaczyła, że po drugiej stronie polany kyree uniósł spoczywający na łapach łeb i spojrział w ich stronę.

Każdy rodzic zastępuje na chwilę wytchnienia, z dala od młodych. — Te słowa zabrzmiały w jej mózgu tak wyraźnie, jakby kyree był jej własnym Towarzyszem. — *Są zbyt zmęczone, by psocić. Cokolwiek chciałoby je skrzywdzić, musiałyby poradzić sobie nie tylko ze mną, ale i przedrzeć się przez obronę Doliny, oraz, jak podejrzewam, dużych, białych czworonogów z podkowami.*

Hydona uległa. Elspeth doskonale rozumiała jej niechęć do spuszczenia gryfiątek z oka, zważywszy wszystko to, co im się przytrafiło, ale kyree miał rację. Jeśli maluchy nie były bezpieczne tutaj, to nikt nie mógłby się czuć pewnie. Gryfony wstały, przycisnęły skrzydła do boków, by przez przypadek nie potraścić kogoś z zebranych, i odeszły.

Tym razem Mroczny Wiatr poprowadził ich ścieżką kończącą się u podnóża jednego z owych ogromnych drzew, których widok docierał do Elspeth spoza zastłony splecionych krzewów oraz winorośli i chociaż biesiadowała już pod nim spora grupa Tayledrasów, w pierwszej chwili całą jej uwagę pochłonęło podziwianie olbrzyma.

Drzewo było tak wielkie, że w obrębie pnia można by wybudować dom. Mniej więcej trzy piętra ponad polaną znajdował się balkon, do którego wiodły owijające pień żłobione stopnie. Uniemożliwiało to sięgnięcie wzrokiem wyżej, jednak Elspeth miała wrażenie, że stopnie nie urywają się na tej wysokości, lecz biegną wyżej. Kiedy osłoniła oczy, aby widzieć nieco lepiej, w pobliżu pnia dostrzegła słabsze światelko, na poły zasłonięte przez konary niezwyklej grubości. W jednym miejscu w Kronikach był zapis, iż Sokoli Bracia są „nadrzewnymi Tayledrasami”. O Mrocznym Wietrze wiedziała, że mieszka w domu osadzonym na skomplikowanej platformie umieszczonej na drzewie. Zatem był to zwyczaj nie podyktowany wyłącznie chęcią uniknięcia niebezpieczeństwa. Teraz zrozumiała, dlaczego tak ważne było dla nich pielęgnowanie olbrzymich drzew. Te cuda mo-

gły służyć nie jednej, lecz kilku siedzibom.

Kiedy ponownie zwróciła uwagę na zgromadzenie pod drzewem, zobaczyła, że większość Tayledrasów była odziana podobnie do Mrocznego Wiatru, w dość proste stroje, oraz że ich włosy były przycięte lub upięte tak, by nie sięgały niżej niż do ramion i ufarbowane na różne odcienie brązu nakrapianego złotem. Bardziej przypominali Shin'a'in niż magowie ich klanu i to nie tylko z powodu białych włosów...

„To dlatego, że są zwiadowcami, wojownikami” — uzmysłowiła sobie po chwili. Tak jak Mroczny Wiatr nie mogli stroić się, by nie krępować sobie ruchów i tak samo nie mogli dopuścić, by wymyślne fryzury przeszkadzały im w walce. Zrezygnowali z wszelkiej teatralności, z wszelkich środków obliczonych wyłącznie na wywarcie wrażenia. Pod jedwabnymi tunikami kryły się silne, doskonale wyćwiczone mięśnie i wytrzymałe ciała, zdolne do pokonywania co dnia na patrolu wielu mil.

W takim otoczeniu poczuła się znacznie lepiej, jeszcze zanim Mroczny Wiatr zdążył rozpocząć prezentację. Oto ludzie, którzy aczkolwiek obznajomieni z magią, niewiele mieli z nią do czynienia, mocniej stąpali po ziemi od odzianych w kostiumowe rzeźby magów. Najbardziej z napotkanych przez nią dotąd ludzi przypominali heroldów.

Uważnie wysłuchiwała imion. Był to nawyk każdego urodzonego polityka. Zimowe Światło i Burzowy Obłok, Jasny Księżyc i Dzienna Gwiazda, Pieśń Ziemi, Śnieżna Zawieja oraz Płomienny Taniec. Zapamiętała nazwiska i twarze. Mroczny Wiatr wyjaśnił jej zwyczaj nadawania imion, które oddawały bliżej charakter danej osoby. Musiała przyznać, że nie był to zły pomysł, znacznie łatwiej było bowiem połączyć imię Zimowego Światła z twarzą, kiedy udało się go przekonać, by rozplótł swe długie włosy, bo wtedy jego grzywa wyglądała jak śnieg w świetle księżyca, Dzienna Gwiazda miała promienny charakter, a Płomienny Taniec nie mógł usiedzieć spokojnie w jednym miejscu. Był zawsze w ruchu, a na dodatek odznaczał się sprytem i bystrością. Zamyśliła się, czy i ona nie powinna przybrać podobnego przydomku, chociaż nie, nie powinni mieć kłopotu z zapamiętaniem imion: Elspeth, Skif, Gwena i Cymry. Cztery słowa łatwiej zapadają w pamięć niż imiona wszystkich członków klanu.

— To zwiadowcy k'Sheyna — powiedział Mroczny Wiatr na koniec prezentacji, co potwierdziło jej domysły, że nie było wśród nich żadnego maga. — Nie wszyscy, oczywiście. Tej nocy patrol jeszcze nie powrócił ze zwiadu. Lecz chyba to wystarczy. Jeszcze trochę, a zagubiłabyś się pośród imion i twarzy.

Elspeth uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała. To nie była odpowiednia chwila, by wyluszczać, iż z okazji państwowych obiadów musiała sobie radzić z czterokrotnie większą liczbą gości. Co prawda, miała wtedy do pomocy Talię i Kyrila, a i szlachta, i dygnitarze nie byli do siebie tak bardzo podobni...

— Masz szczęście, Elspeth — zwrócił się do niej młody chłopiec o imieniu

Burzowy Obłok. — Naprawdę. Dzisiaj przywdzialiśmy nasze uroczyste stroje, Jutro z trudnością przysłoby ci odróżnić jednego od i drugiego.

Pieśń Ziemi z przejęciem pokiwał głową. — Wśród cudzoziemców krąży opinieść, że jesteście wszyscy magicznymi kopiami jednego i tego samego Tayledrasa.

— Teraz rozumiem, skąd to przeświadczenie — odparła, przez chwilę wyobrażając sobie ich wszystkich odzianych w zwiadowczy strój Mrocznego Wiatru i z upiętymi we włosach spinkami. Gdyby kobiety, szczupłe i silne, obwiązały piersi, to trudno byłoby je odróżnić od mężczyzn. — Oczywiście, jestem przekonana, że teraz nie robicie nic, aby umocnić te obiegujące opinie, prawda?

Sprawiła jej przyjemność salwa śmiechu, którą nagrodzili jej żart. Zazwyczaj najtrudniej przychodzi wykonywać, co rozśmiesza ludzi, których spotykamy po raz pierwszy, tymczasem wspólny śmiech, wiedziała to z doświadczenia, jest najpewniejszym sposobem zawarcia przyjaźni.

— Och, oczywiście że nie! — wykrzyknął Płomienny Taniec, robiąc wielkie, niewinne oczy. — Po co mielibyśmy to robić?

Jego zarzekania się wzbudziły ponownie wesołość pozostałych, którzy tymczasem powrócili na swoje miejsca, zanim Mroczny Wiatr wprowadził ją na polanę. — Słuchamy muzyki i od czasu do czasu tańczymy — odezwał się Pieśń Ziemi, biorąc do ręki płaski bębenek. — Pomyśleliśmy, że być może będziesz miała ochotę posłuchać, a więc poprosiliśmy Mroczny Wiatr, aby wyrwał cię z gryfonicich łap.

— Trudno jest nas uznać za wybitnych artystów — rozległ się szept Zimowego Światła. — Jednakże lubimy się bawić, i naszym zdaniem muzyka zastępuje rękę słów, gdy ludzie chcą coś o sobie powiedzieć. Jest językiem, który nie potrzebuje aż tylu wyrazów.

— To samo powiadają nasi bardowie — odparła, szukając dla siebie jakiegoś miejsca na uboczu. W końcu musiała się poddać i przysiadła na ogromnym korzeniu.

Zimowe Światło przytaknął skinieniem głowy i podniósł nie znany jej przedmiot, skrzynkę o nieregularnych bokach i strunach podobnych do harfy. Położył ją sobie na kolanach, wyciągnął zatknięte pod strunami dwa młoteczki i popatrzył na Pieśń Ziemi. Młody zwiadowca najwyraźniej przyjął to za znak, bo rozpoczął wybijać skomplikowany rytm pojedynczą, dwustronnie zakończoną pałeczką. Zimowe Światło zasłuchał się na chwilę, a potem przyłączył się do niego, nie szarpiąc jednak strun, jak tego spodziewała się Elspeth, lecz uderzając w nie zręcznie młoteczkami. Nie minęła chwila, a do tej pary dołączyli pozostali, grając na własnych instrumentach lub zwyczajnie klaszcząc. Nazw większości instrumentów Elspeth nie znała, dźwięki wydobywające się z nich także były dla niej czymś nowym.

Melodia nie była nieprzyjemna. W rytm wplatały się niespodziewanie dźwięki

dzwonek, jękiwie granie jakiegoś instrumentu dętego przypominającego krzyk sokoła i od czasu do czasu improwizacje wygwizdywane przez kolejnych zwiadowców. Było to dość zaraźliwe i Elspeth wkrótce zaczęła wyklaskiwać rytm razem z pozostałymi.

Po niedługiej chwili Tayledrasowie zerwali się do tańca. Znow widać było różnicę pomiędzy Sokolimi Braćmi a jej własnym ludem. W domu tańczono w grupach jakieś układy taneczne o ściśle określonej kolejności kroków lub po okręgu. Tayledrasowie tańczyli pojedynczo, w parach lub w ostateczności w trójkę, nie przestrzegając żadnych prawideł. Ten rodzaj tańca mogła jedynie porównać do chaotycznej zabawy młodszych heroldów, radujących się z powrotu z patrolu i biorących udział w zawodach tanecznych, w których demonstrowano najdziwniejsze kroki taneczne z ich rodzinnych wiosek.

Po dwóch, trzech piosenkach Elspeth zauważyła, że niektórzy z zebranych zniknęli, a ich miejsce zajęli inni w kostiumach magów, a nie zwiadowców. ’

Zaczęła przyglądać się także widzom, a nie tylko tancerzom, i wkrótce wywnioskowała z dobiegających ją rozmów, że tego rodzaju małych grupiek, rozsianych po całej Dolinie, musi być mnóstwo, choć być może nie zabawiały się one aż tak radośnie. Dołączyło do nich kilkoro zwiadowców, których mokre włosy świadczyły, że muzyka wywabiła ich ze stawów, w których pływali. Na tym, jak wydawało się, polegała istota uroczystości Tayledrasów: wólcęga z miejsca na miejsce. Ludzie przychodzili i odchodzili, próbowali w niewielkich kęsach to tego, to tamtego — potraw, muzyki, rozmowy. . .

Elspeth postanowiła pójść za ich przykładem i skorzystać z okazji zapoznania się nieco z Doliną, zatem wyśliznęła się niepostrzeżenie i zaczęła krążyć po ścieżkach obranych na chybił trafił, póki nie wpadły jej w uszy dźwięki łagodniejszej niż taneczna muzyki.

Natknęła się na samotnego śpiewaka, kobietę o srebrnoszarych włosach, szczupłą jak brzoza, przygrywającą sobie na dużej harfie. Wokoło niej skupiło się pół tuzina zasłuchanych magów, rozsiadłych na ławkach ustawionych wokół w półokrąg. Elspeth zatrzymała się i wysłuchała trzech pieśni.

Odnalazła drogę prowadzącą do pierwszej polany. Gryfiątka spały już smacznie, nieświadome dźwięków i toczonych dookoła nich rozmów. Towarzysze także jeszcze tam były, zadowolone strzygły uszami i machały ogonami, co świadczyło, że świetnie się bawią. Brały udział w rozmowie z Torrlem, kyree, dwoma magami, jednym zwiadowcą i starą hertasi. Widok ten był dodatkowym odprężeniem dla Elspeth. Ponownie opuszczając polanę, uzmysłowiła sobie, że to jest właśnie to, czego często brakowało na przyjęciach heroldów. Dirk i Talia zapraszali Towarzyszy, jednak zazwyczaj były one wykluczane z zabawy. Obserwując Gwene i Cymry, postanowiła, że po powrocie do domu wszystko w tej sprawie zmieni. Już ona znajdzie sposób, żeby nie można ich było więcej wyłączyć z zabawy. Sukcesy heroldów były w równym stopniu ich zasługą. Niewątpliwie zastrzyły sobie

na okazanie im większych względów.

Nagle Gwena odwróciła łeb i zanim powróciła do rozmowy, wyraźnie do niej mrugnęła.

„Pomimo to, że nieustannie wścibiają nos w nasze myśli”... — dokończyła Elspeth.

Kolejną ścieżkę wybierała z uśmiechem na ustach. Nie kierowała się jakimś określonym celem, przemknęło jej jedynie przez myśl, że przydałoby się wziąć kąpiel.

Z boku dotarł do niej odgłos ciurkającej wody i śmiech, skrzyła więc w wąską ścieżynkę.

Nagle wyłonił się przed nią Mroczny Wiatr i zatrzymał się, zanim zdążył rozsunąć gałęzie, które zasłaniały koniec ścieżki. — Wybacz — usprawiedliwił się. — Znak obok ścieżki... Czerwony... został obrócony do góry. Oznacza to, że...

Śmiech przeszedł w pełne przyjemności westchnienie. Elspeth poczuła, że się rumieni. — Ależ skąd — wyszeptwała, wycofując się w pośpiechu. — Sądzę, że wiem dobrze, co on oznacza.

Odwróciła się i pobiegła w stronę polany. Mroczny Wiatr znów ją dogonił. — Och, nie — powiedział z przejęciem. — Gdyby chcieli, aby im nie przeszkadzać, kolor byłby niebieski. Nie, czerwony oznacza, że chętnie... hm... widzieliby... — odkaszlnął — ... dodatkowego uczestnika.

Rumieniec na twarzy Elspeth pogłębił się, poczuła, że policzki i uszy jej płoną. Karmiono ją opowieściami o rozwiązłości heroldów, a tu wygląda na to, że Sokoli Bracia hołdują jeszcze większej swobodzie.

— Pomyślałem, że być może, nikt cię nie ostrzegł — ciągnął. — Jeśli chciałabyś skorzystać z jednego z gorących źródeł, mogę wskazać ci miejsce, gdzie niespokojna jest tylko woda.

Oczywiście mogła tylko z uśmiechem podziękować za propozycję. Miała nadzieję, że zanim dotrą na miejsce, rumieniec zniknie z jej twarzy.

Obłok pary zdradził położenie strumienia, lecz kiedy Mroczny Wiatr rozsunął gałęzie zasłaniające wejście i zaprosił ją gestem nad staw, po raz kolejny tej nocy rumieniec oblał jej policzki. Przy źródle znajdowało się około dziesięciu Sokolich Braci spośród tych, którzy — jak zapamiętała — brali udział w tańcach. Moczyli w ciepłej wodzie najwyraźniej nadwerżone mięśnie, a ich jedynym okryciem były długie włosy.

— Mroczny Wiatr! — wykrzyknął jeden z nich na powitanie. — Piętnaście podskoków! Pobij, jeśli potrafisz!

— O, tak — odezwała się kpiąco młoda kobieta obok niego. — Piętnaście podskoków, istotnie, a teraz siedzi i moczy się w wodzie, bo po ostatnim ledwie trzymał się na nogach!

— Słoneczne Pióro! — Młody chłopak był urażony. — Nie powinnaś tego mówić!

Mroczny Wiatr ściągnął z grzbietu tunikę i, kiedy Elspeth odwróciła oczy, powoli zsuł buty. — Może powinieneś mniej myśleć o podskokach, a więcej o nadziejach Słonecznego Pióra, zanim postanowiłeś zwichnąć sobie stawy biodrowe — zasugerował uprzejmie. — Może wtedy uzyskałbyś odpowiedź, dlaczego ujawnia twoje sekrety.

Kiedy pozostali Tayledrasowie żartowali z obolałego tancerza, Mroczny Wiatr rozebrał się do reszty i wśliznął do wody obok Słonecznego Pióra. Staw, do którego wpadał strumień, był całkiem spory: tuzin Tayledrasów wyciągniętych na całą długość leżało rozsianych wzdłuż brzegu, lecz nie zajmowali więcej miejsc niż tuzin fasolek w jednym z większych rondli w kuchni Kolegium.

Kuchenna analogia była trafniejsza, niż się to Elspeth wydawało, bo kiedy w końcu zdobyła się na odwagę, by zrzucić z siebie odzienie i zająć jedną z dostępnych nisz, woda ze strumienia okazała się o wiele gorętsza, niż myślała. Zanurzenie w niej nie okazało się bolesne, ale niewiele brakowało.

Ujrzała przed oczami obłoczek pary, która zwilżyła jej włosy, jednak po chwili przestała się obawiać, że sparzy sobie skórę na grzbiecie i zaczęła wreszcie rozkoszować się ciepłem.

Dość szybko zakończyła kąpiel i wysliznęła się z wody ukradkiem. Mimo wszystko nie była przyzwyczajona, by zamieniać się w ugotowaną rzepę. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu stwierdziła, że ktoś, być może była to jedna z wszechobecnych hertasi, podrzuciła obok jej ubrania ręcznik i długą szatę.

Resztę wieczoru spędziła krążąc pomiędzy główną polaną a miejscem, gdzie tańczyli zwiadowcy. Jeden z magów uraczył wszystkich pokazem akrobacji zaprzyjaźnionych żarptaków, co przypominało pokaz sztucznych ogni, tyle że te sztuczne ognie nigdy nie gasły. Gwena wpadła w zachwyt, ale Elspeth wolała by obejrzeć żarptaka z bliska. Pokaz był naprawdę imponujący, zwłaszcza gdy żarptaki przelatywały pomiędzy konarami olbrzymiego, okrytego cieniem drzewa. W przypadku sztucznych ogni wykonanie takiej sztuki nie było możliwe.

Straciła poczucie czasu, błąkała się po Dolinie tak długo, póki nie ogarnęło jej zmęczenie, a następnie poczuła się całkowicie odprężona. W końcu stanęła ponownie u stóp wielkiego drzewa. Większość zwisających z balkonu światła zgasała, jednak gromadka ludzi i nie tylko ludzi powiększyła się. Teraz, po wieczorze spędzonym na żartach z hertasi, załamywaniu rąk nad możliwością nadejścia srogiej zimy z tervadi, szczegółowym relacjonowaniu historii Nyary dyheliom, którzy uważali ją za bohaterkę, wszyscy stali się dla niej „ludźmi”. Nie wiedziała przecież, że to był fortel obmyślony przez jej ojca, by k’Sheyna odnieśli się do niej przychylnie. Działała w przekonaniu, że ratuje im życie. Za to właśnie ją szanowały i dlatego bardzo interesowały się jej zniknięciem, obiecując, że będą szukać śladów Zmiennolicej, a jeśli coś znajdą, natychmiast doniosą o tym zwiadowcom.

W tańcu brali już udział wyłącznie najbardziej zapamiętali tancerze i Elspeth odszukała dla siebie siedzisko w cieniu. Tre’valen znalazł się w samym środku

grupki zwiadowców, którzy starali się na wszelkie sposoby wciągnąć go do tańca. W końcu potrząsnął głową, wzruszył ramionami i machnął do muzyków.

— Taniec Sokoli? — odkrzyknął Lodowy Cień.

— Oczywiście! — Tre'valen roześmiał się w głos, stając w samym środku oświetlonej przestrzeni. — Cóż innego mógłbym dla was zrobić? Ale pod jednym warunkiem, że Mroczny Wiatr odtańczy Taniec Wiatru.

Dopóki Tre'valen nie wymienił jego imienia, Elspeth go nie zauważyła. Teraz jednakże, gdy zwrócił jej uwagę, machając na zgodę z drugiej strony polanki, ujrzała, że zrzucił z siebie ozdoby i ubrany w głęboko wycięty kaftan i obcisłe bryczesy, bardziej przypominał zwiadowcę, którego poznała. Za ozdobę służyły mu jedynie włosy.

Tre'valen przebrał się po ceremonii w swój wyszukany szkarłatny, czarny i złoty strój Shin'a'in: haftowaną kamizelkę z frędzlami do kolan, opaski z dzwonkami i frędzelkami dookoła ramion, luźne spodnie i wysokie do kolan buty. Wykonana z kolorowych piór i końskich włosów ozdoba głowy wyglądała jak osobliwy ptasi grzebień. Jednym słowem wyglądał imponująco.

Grę rozpoczął muzyk na bębnie. Tre'valen wybijał stopą rytm, przy każdym uderzeniu migotały frędzle ozdabiające jego szatę. Dopiero gdy do bębna dołączyły się inne instrumenty, Tre'valen ruszył w tan.

Wkrótce Elspeth zrozumiała, skąd wzięła się nazwa „Taniec Sokoli”. Tre'valen tańczył raczej w powietrzu niż na ziemi: wirował, szybował, krzesał hohubce. Ani razu nie zatrzymał się dla złapania tchu, ledwie dotknął stopą podłoża, a już wzbijał się w górę, wyginając ramiona jak zagarniające powietrze skrzydła. Serce Elspeth biło w rytm muzyki, nie mogła oderwać oczu od tancerza. Przestał przypominać człowieka, upodobił się bardziej do tervardi albo żarptaka. Jednak w tym, być może, tkwiła właśnie istota bycia szamanem.

Taniec zakończył się potrójnym biciem w bęben i najwyższym skokiem, po którym Tre'valen stanął na ziemi, nieruchomy jak kamień, dokładnie tam, gdzie go rozpoczął. Elspeth nie miała pojęcia, skąd on mógł wiedzieć, kiedy nastąpi ostatni akord. Ona nie usłyszała nic, co by go zwiastowało. Stała otępiała z wytrzeszczonymi oczyma i wpatrywała się w niego ze zdumieniem i zachwytem.

Tre'valen usiadł na korzeniu żegnany krzykiem i wiwatami zebranych. Miejsce szamana w samym środku kręgu zajął Mroczny Wiatr, przyjął odpowiednią pozycję i skinął na muzyków.

Tym razem początek melodii nie był tak skoczny: glissando na dziwnym instrumencie strunowym, a potem jego łagodniejsze echo na harfie. Dopiero wtedy Mroczny Wiatr zaczął swój taniec.

Muzyka Tayledrasów i Shin'a'in wywodziła się z tego samego pnia. Podobieństwo melodii było bardzo wyraźne, jednak od czasu jedności obu plemion zaszły tak w niej, jak i w stylu tańca zmiany. Może to Shin'a'in stali się bardziej dzicy, a Tayledrasowie złagodnieli, albo jedno i drugie.

Mroczny Wiatr szybował i płynął, tak jakby nie posiadał kości. Wzbijał się, jakby był swym własnym więź-ptakiem, obracał, ślizgał i zawisał. W jego tańcu nie było nic z kobiecej delikatności, wyrażał w nim dobitnie swą męskość. Uwagę Elspeth szczególnie przykuły jego ręce. Z całą pewnością były to jedne z najbardziej zwinnych rąk, jakie dotąd widziała.

Mroczny Wiatr zakończył swój taniec jak ptak układający się do snu na noc. Zamarł jednocześnie z ostatnim akordem harfy. W świetle księżyca na jego twarzy i ciele zalśniła cieniutka warstewka potu. Zastygły w końcowej pozycji przypominał srebrny posąg ducha puszczy, który spogląda z podziwem na gwiazdy znajdujące się nad głową.

Ten właśnie obraz Elspeth zabrała z sobą, gdy wymykając się chyłkiem z polany, napotkała hertasi. Zapytała o kwatery, które Mroczny Wiatr obiecał dla nich przygotować.

Niewielka jaszczurka uśmiechnęła się do niej i poprowadziła ją tyłoma zawitymi ścieżkami, że Elspeth wkrótce poczuła się całkowicie zagubiona. Nie miało to wielkiego znaczenia, bo Mroczny Wiatr przyrzekł przydzielić jej przewodnika, póki nie nauczy się poruszać na własną rękę.

Rozpoznała okolicę, gdy tylko się do niej bardziej zbliżyły. Znajdowały się w pobliżu wejścia do Doliny, daleko od kamienia-serca, jednak wciąż wewnątrz osłon Doliny. Hertasi pokazała jej stopnie biegnące wokół pnia drzewa. Przez chwilę obawiała się, że będzie musiała pokonać kilka pięter, a nie była pewna, czy pozwoli jej na to głowa. Hertasi jednakże wspięła się szybko przodem i okazało się, że jej kwatera znajduje się zaledwie jedno piętro ponad dnem Doliny; dwie izdebki tuż obok schodów, oświetlone i czekające na przybycie gościa.

Upadła na posłanie, gdy tylko została sama, jednak zaskakująco długo leżała z otwartymi oczami, wpatrując się w księżyc. Sen, który już ją morzył, ulotnił się.

Nie czuła się już tak obco, co jednak w niczym nie umniejszyło poczucia osamotnienia. Skif miał Nyarę, albo przynajmniej mógł marzyć o niej, niezależnie od tego, gdzie się znajdowała. Ona wciąż była samotna. Pozostawał jedynie obowiązek, wieczny obowiązek: nauczyć się wszystkiego, czego zdoła, o magii, i szybko wrócić do Valdemaru.

Słaba to była pociecha w srebrzystą, księżycową noc...

ROZDZIAŁ TRZECI

Mroczny Wiatr przyjął burzliwe oklaski i wiwaty swych zwiadowców, a następnie podano mu wilgotne płótno i zimną wodę. Od dawna już nie wykonał całego Wietrznego Tańca, chociaż taniec należał do jego codziennych ćwiczeń. Niemal w równym stopniu uwielbiał taniec jak i następujące po nim oklaski. Było mu przyjemnie, że jego zręczność wciąż znajduje uznanie w oczach pobratymców.

Cudzoziemka, Elspeth, patrzyła na tancerzy, gdy Tre'valen zaczynał swój występ. Wiedział, że podobał się jej Sokoli Taniec, miała to wypisane na twarzy, z pewnością dotąd czegoś takiego nie widziała. Sądził, iż swoim tańcem także sprawił jej przyjemność. Zamierzał porozmawiać z nią po jego zakończeniu. Kiedy więc udało mu się wreszcie nabrać tchu, poczuł się rozczarowany, widząc, że odeszła.

Usiadł, dając chwilę wytchnienia swym drżącym ze zmęczenia mięśniom. Zmusił się do wielkiego wysiłku, przekraczając granice, do których zazwyczaj nawet się nie zbliżał. Pozornie kroki wydawały się proste, tymczasem wymagały zachowania doskonałej równowagi oraz panowania nad całym ciałem, a to z kolei wymagało ogromnego wysiłku, większego nawet niż w wypadku Sokolego Tańca Tre'valena.

Słuchał rozmów na temat dawnych tańców i tancerzy. Kiwał głową, gdy z kimś się zgadzał. Nikt nie miał ochoty pójść za jego przykładem i niektórzy muzycy skorzystali z okazji, by odłożyć instrumenty i pozwolić odpocząć strudzonym palcom. Siedział więc wsparty plecami o drzewo i powoli sączył wodę. Głowę miał zaprzątą rozmyślaniami o cudzoziemcach, zwłaszcza o Elspeth. Okazali się mniej zagadkowi, niż się tego obawiał, co nie zmniejszyło jego żalu, że dotąd niewiele zdołał się dowiedzieć o ich kulturze.

Elspeth wydawała się bardziej kłopotliwa od Skifa z tego choćby powodu, że była jego uczniem; czasami fascynowała, czasami doprowadzała do wściekłości, a czasami wywoływała oba uczucia naraz.

Gdy ponownie objął posadę adepta, przysporzyła mu tylko więcej kłopotów. Ojciec mówił prawdę: musiał sobie wiele przypomnieć, dopiero teraz zaczynał domyślać się, jak wiele. Gwiezdne Ostrze nie wiedział, że jego syn już wcześniej

udzielał lekcji Elspeth, jeszcze zanim zdołał na nowo odkryć w sobie moc.

Z osobą Elspeth wiązało się szczególnego rodzaju ryzyko — półwiedzy. Przeszła pełne szkolenie Daru myślmagii, natomiast nikt jej naprawdę nie uczył wykorzystania mocy magicznej. Dzięki opanowaniu myślmagii zdobyła podstawy sztuki magicznej, jednak nie potrafiłaby nad nią zapanować. Miecz kierował nią i uczył, lecz musiała się jeszcze dowiedzieć o bardzo wielu zasadniczych sprawach. Gdy zabrakło Potrzeby, nie mógł bezpiecznie pozwolić Elspeth na swobodę poruszania się, nie przeprowadziwszy z nią przynajmniej paru wstępnych lekcji o regułach, pozwalających panować nad magią.

Nie spodziewał się, że będzie tak niecierpliwa.

Szukała odpowiedzi i chciała otrzymywać je od razu, a ponieważ sam był niecierpliwy, nie miał ochoty usprawiedliwiać się przed cudzoziemką, która po raz pierwszy zobaczyła nieco magii dopiero po przybyciu na południe. Jej uporczywe nalegania, żeby lata nauki skrócić do kilku tygodni, nawet najcierpliwszego mędrca wyprowadziłyby z równowagi, nie mówiąc już o nauczycielu, który właśnie ją uczył. „Potrafił być tak irytująca. . .” — pomyślał.

Odchylił głowę. Patrzył na wzór powstały z bladej, księżycowej poświaty, ciemności, magicznych światełek i gałęzi drzew. Trudno byłoby dopatrzeć się w nim jakiejś regularności; utkał go przypadek, który tak wielką rolę odgrywał w jego życiu. Któż, jeszcze niedawno, mógłby przewidzieć wydarzenia ostatnich tygodni. Rok temu nie wierzył, by w jego życiu mogło dojść do jakichkolwiek zmian, chyba że na gorsze.

Westchnął, przeczesując włosy palcami; dla ochłody i po to, by szybciej wyschły. Elspeth wprowadzała dodatkowe zamieszanie w już i tak pogmatwaną sytuację. Bez doświadczenia i niewiele wiedząc, wciąż trafiała w sedno w przedmiocie magii, co było niesłychanie irytujące.

Początkowo puszczał jej uwagi mimo uszu. Potem, gdy okazało się, że miała raz czy dwa razy rację, złożył to na karb szczęścia. Nikt nie może przez cały czas mylić się lub odwrotnie — być nieomylnym. Jednak przed mniej więcej dwoma dniami zaświtało mu w głowie, dlaczego jej pomysły okazują się tak owocne. Najogólniej mówiąc, tam gdzie według niej można było dopiąć swego, posługując się magią, a czego on nie nauczył się czynić, tam Elspeth z reguły się nie myliła.

Na przykład, w samo sedno — wciąż budziło to jego irytację — trafiła z pomysłem, by upleść ze słabych linii mocy niby pajęczynę, w środku której czaiłby się pająk, czyli mag. Rozumowała, że każdy posługujący się magią wewnątrz „pajęczyny” — obszaru wpływów określonych przez maga — powoduje zakłócenia magicznych linii mocy, zbiegających się ku środkowi, a odczuwanych przez niego tak, jak przez pająka odczuwane jest drżenie jego własnej pajęczej sieci wywołane przez złapanego w nią owada. Było to korzystne o tyle, że nic nie mogło zaalarmować intruza, iż wykryto jego obecność.

Nikt go tego nie nauczył. Był pewny, że to się nie uda, póki Elspeth nie nary-

sowała planu, nie uprzedła kilku nitek mocy i nie udowodniła, że się myli. Jego już i tak sponiewierane poczucie własnej dumy doznało kolejnego wstrząsu, oszłamiony biernie uczestniczył w udoskonalaniu przez nią pomysłu.

Nie dość, że była pociągająca, to jeszcze głowę miała pełną pomysłów.

Magiczne światełka przygały, wiszące nad głową konary zniknęły wchłonięte przez ciemność. Opuścił wzrok, którym tak badawczo po nich wodził, i zobaczył, że wszyscy już opuścili polanę. Uroczystość miała się ku końcowi. Pary i grupki rozchodziły się w poszukiwaniu ekele, albo ciepłych źródeł, reszta, która nie chciała iść jeszcze na spoczynek, zebrała się w kręgu lub pod wodospadem.

Mroczny Wiatr ostrożnie wyciągnął nogi, by przekonać się, czy aby na pewno nie zeszytniały. Nie doskwierały mu kurcze, jak się tego obawiał; najwyraźniej był wytrzymalszy, niż się tego spodziewał. Jednak nie miał ochoty przyłączyć się do grupki zatwardziałych biesiadników. Wstał powoli i zaczął się przechadzać, starając się robić to jak najciszej. Na przetartych ścieżkach było to znacznie łatwiejsze niż w puszczy. Nie było sensu zapominać zdobytej w pocie czoła zręczności zwiadowcy tylko dlatego, że ponownie podjął się obowiązków adepta. Pomiedzy Tayledrasami krążyło powiedzenie, że „strzały wystrzelone do celu nie idą na marne, choćby nie wiadomo, ile z nich złamało się w locie”. Oznaczało to, iż nawet najbardziej błahe z pozorów ćwiczenie nie jest stratą czasu. Wracając do magii, zrozumiał ujemną stronę mądrości.

„Odkąd stałem się jej nauczycielem, uzmysłowiłem sobie, jak wiele zapomniałem” — musiał się przyznać sam przed sobą. — „Gdyby była nieco cierpliwsza...”

Gdy coś się nie udawało, Elspeth nie pałała skłonnością do wyczekiwania w milczeniu, póki on nie naprawi wszystkiego. Magia to niełatwe rzemiosło: zaklęcie musi być wykonane starannie, krok po kroku, a odpowiedzialny mag nie wymazuje go po prostu i nie rozpoczyna od nowa, kiedy wszystko pokręci. Złe zaklęcie należy odwrócić. Zazwyczaj Mroczny Wiatr musiał powtórzyć wykonane kroki w odwrotnej kolejności, aby dowiedzieć się, który z nich był fałszywy. Jedyne on mógł wrócić i zacząć od nowa, tym razem prawidłowo.

Za każdym razem, kiedy zmuszony był to robić, Elspeth wtrącała pytania w chwilach, gdy tego rodzaju nagabywanie było najbardziej irytujące. Wydawało się, że nie wie, kiedy należy zachować ciszę. Nie pozwalała mu spokojnie pracować. Dlaczego było jej tak spieszo do biegu we wszystkich aspektach magii? Mistrzostwo nie przychodzi od razu, aby je osiągnąć, potrzebny jest czas i ćwiczenia. Przecież była na tyle bystra, by to rozumieć.

Uzmysłowił sobie, że nawet teraz zaczyna go to denerwować. „Dlaczego to robi?” — zadawał sobie w duchu pytanie. Stanął na chwilę w pół kroku, by zbadać gnębiące go uczucie. — „Dlaczego mnie irytuje, nawet jeśli jej tutaj nie ma? To musi tkwić we mnie, nie w niej...”

Stał z założonymi na piersi rękami, roztrzaskując w myśli tę kwestię. Nagle

przyszło mu do głowy coś, co pozornie nie miało żadnego związku z Elspeth ani z żądaniem Tre'valena. Teraz wiedział, dlaczego tak szybko uległ prośbom o odtańczenie Tańca Wiatru, czekał bowiem na okazję, by za wszelką cenę móc się popisać, zanim wieczór dobiegnie końca.

Powód? Przechwałki Sztormowego Obłoku o piętnastu kolejnych wysokich podskokach.

To było wyzwanie, któremu nie mógł się oprzeć. Elspeth wzbudzała w nim irytację, bo była dla niego wyzwaniem, jak nikt do tej pory, a przynajmniej żadna z kobiet. Nie stał jak nauczyciel w obliczu wyzwania, jakim są wrodzone możliwości ucznia, ani, dokładnie mówiąc, nie było to ryzyko odkrywcy. Jednak nurtowała go irytująca myśl, że pozbawiony jest przywileju nauczania jej swej sztuki: na swój sposób był tak samo niewykształcony jak i ona. Bolało go to, lecz taka była prawda. Zatem w tym właśnie kryło się wyzwanie: byli sobie właściwie równi.

Odkrywszy źródło irytacji, uzmysłowił sobie, że nic nie będzie mógł zrobić w tej materii. Ten stan wewnętrznego napięcia sprawiał mu przyjemność, podobnie jak obecność Elspeth, pomimo że tak bardzo działała mu na nerwy.

Brakowało jej cierpliwości, lecz nie było to tak bardzo godne potępienia. Budziła jego zaciekawienie, a to, czego ją uczył, powinno być dla niej wyzwaniem. Była przecież pojętym uczniem. Uważnym i pilnym.

„Hmm, to nie jedyne wyzwanie, jakie wiąże się z jej osobą” — stwierdził w duchu.

Przebywanie w jej towarzystwie sprawiało mu więcej przyjemności, niż miał ochotę się do tego przyznać. Ze wszystkich możliwych schadzek, jakie mógł zaplanować na tę noc, w głowie miał tylko jedną. Pociągała go w tym samym stopniu jak irytowała, jednak był pewny, że nie była przygotowana na tak głęboki związek, jaki łączył go z Jutrzenką. Istniał tylko jeden powód, który powstrzymał go przed ofiarowaniem Elspeth tej nocy pióra. I to istotny, co sprawiało, że o wszelkim z nią związku — nie licząc czystej przyjaźni — należało myśleć jak o rzuceniu potężnego zaklęcia. Elspeth była cudzoziemką, a on nie znał zwyczajów jej ludu. Możliwe, że mieszkańcy Valdemaru podchodzili do miłości bardzo poważnie, być może miłość cielesna możliwa była wyłącznie po zadzierzgnięciu oficjalnej więzi. Póki nie dowie się czegoś więcej, nie zaryzykuje obrażenia jej lub jej ludu, zalecając się do niej. Nawet gdyby przyjęła przeprosiny, obraza rzuciłaby cień na wszystko, co by zrobił lub powiedział.

„Łatwo jest przejść do porządku nad požądaniem, niepokój zatrułby całą przyjemność. Stawka jest zbyt wysoka i nie można dopuścić, by jedna spędzona przyjemnie noc dodatkowo pogmatwała całą sprawę” — pomyślał.

Nie chciał nawet myśleć o możliwych konsekwencjach spędzenia w łóżku nocy z dziedziczką tronu obcej monarchii. Kto wie, jak by się to skończyło? Wątpił, żeby tego rodzaju związek stał się pretekstem wypowiedzenia wojny, lecz Elspeth

mogłaby z jego powodu wpaść w tarapaty po powrocie do domu. Była zbyt ważną osobistością.

„Oto, co jeszcze mnie denerwuje!” — przyznał.

Znów rozpoczął swój spacer, kierując się w stronę wodospadu znajdującego się na końcu Doliny. Skoro już odkrył źródło nurtujących go uczuć, warto byłoby znaleźć kogoś, z kim mógłby o nich porozmawiać. Mógł być czujnym obserwatorem własnych zachowań, jednak niewiele mógł począć, gdy w grę wchodziła Elspeth.

„To dlatego, że jest następczynią tronu. Nie wspomina o tym, lecz to z niej bije... Nie nosi korony na głowie, jednak zachowuje się, jakby ją miała. Czuł, że nieustannie zaprzętała ją myśl, iż jest obserwowaną, podziwianą, ważną osobistością i spodziewa się, że każdy jest tego świadom” — myślał dalej.

Chociaż jedynymi Tayledrasami, którzy wiedzieli o jej kraju, byli obeznan ze starymi kronikami Gwiazdne Ostrze i Lodowy Cień, nawet oni nie byli zainteresowani ani nim, ani zamieszkującymi go heroldami, chyba że przez ciekawość oraz przez to, że jego istnienie wpłynęło na życie Tayledrasów.

Może Treyvan i Hydona coś o tym wiedzą, wszak są kimś w rodzaju ambasadorów, a Hydona na dodatek jest samicą. To mogłoby okazać się pomocne. Może mają jakiś pomysł, jak radzić sobie z takim cudzoziemcem: niecierpliwą, irytującą, wywierającą spore wrażenie, wysoko postawioną kobietą z obcego kraju.

Wokoło wodospadu zgasty już wszystkie magiczne światła. Jednak na niebie wciąż dominował księżyc, zalewając poświatą ten kraniec Doliny i srebrząc mgiełkę unoszącą się nad kaskadą wody. Ci, których szukał, jeszcze stąd nie odeszli, leżeli leniwie na brzegu stawu jak stworzenia z legend. Na dźwięk jego kroków gryfony podniosły głowę. Ku swemu rozczarowaniu stwierdził, że nie były same: towarzysztwa dotrzymywał im Tre’valen. Mroczny Wiatr nie miał ochoty roztrząsać sprawy cudzoziemki w jego obecności. Prawdę mówiąc, nie był pewny, czy ma ochotę rozmawiać o Elspeth z kimkolwiek poza gryfonami, którym ufał bezgranicznie.

Niemniej jednak, ponieważ wspomniana trójka już go zobaczyła, nieuprzejmie byłoby ich zlekceważyć i pójść w dalszą drogę, albo, co gorsza, wycofać się.

„Nie zaszkodzi zamienić kilku słów. Jej Wysokość Elspeth nie jest aż tak twarde orzechem do zgryzienia, bym nie mógł sobie z nim o własnych siłach poradzić, jeśli zachowam rozwagę w czynach i słowach” — zapewniał się w duchu.

Zbliżył się do niewielkiej grupki, w której, co stwierdził, znalazłszy się bliżej, znajdowały się także gryfiątka. Maluchy spały spokojnie wtulone w matczyne skrzydła, cicho przy tym posapując.

— Tre’valen przyprrowadził młode, gdy zaczęły kaprrrysić, że bez nasss nie zasssna. Znudziła ci się jużzz zabawa? — wyszeptał Treyvan, gdy Mroczny Wiatr się zbliżył. Szaman leżał obok Hydony, nad brzegiem stawu, zaplótłszy ponownie mokre włosy w warkocze.

„Wygląda na to, że Tre’valen zanurzył się w wodzie. Nie wiedziałem, że Shin’a’in potrafią pływać. Sądziłem, że na Równinach nie można znaleźć na tyle głębokiej wody, by można się było tego nauczyć” — pomyślał.

— Chyba tak — odparł i skinął głową do szamana.

— Twój Sokoli Taniec był wyśmienity, Skrzydlaty Bracie. Prawdę powiedziawszy, nie sądzę, abym kiedykolwiek widział lepsze wykonanie. Pewnego dnia muszę zobaczyć cię, jak tańczysz w stroju przy właściwym akompaniamencie muzyków i śpiewaków Shin’a’in.

— Jeśli podobał ci się mój taniec, powinieneś zobaczyć mego brata, od niego się nauczyłem. — Tre’valen wyciągnął się i odwrócił, by spojrzeć mu prosto w oczy. — Jestem niezwykle czegoś ciekawy, Skrzydlaty Bracie, i mam nadzieję, że zechcesz odpowiedzieć na moje zuchwałe pytanie: Nie wiem, czy podsunęła mi to wyobraźnia, ale odniosłem wrażenie, że w tym wszystkim była pewna desperacja, czułem, że ludzie za wszelką cenę chcieli się zabawić?

Mroczny Wiatr zachodził w głowę, czy tylko on jeden to zauważył. — Nie był to wytwór twej wyobraźni — odparł cicho.

— Tak myślałem — Tre’valen pokiwał głową. — Twój lud o włos umknął przed losem, jaki zgotowałby mu Mornelith. Za sprawą Bogini czy przypadku, a może i jednego i drugiego. Niewiele mogliby zdziałać, by uwolnić klan spod jego wpływu. Zastanawiam się, czy wiedzą, jak cieniutki był to włos. Twój ojciec, na przykład. . .

— Wiedzą — odparł Mroczny Wiatr, ostrożnie zmieniając temat, by uniknąć rozmowy o ojcu, do czego także nie czuł się jeszcze w pełni gotowy. — Po prostu nie chcą się nad tym rozwodzić. Zdając sobie sprawę, że to nie koniec kłopotów, co wyjaśnia chęć znalezienia uciechy za wszelką cenę, co nie uszło twojej uwadze.

— Jednak bezpośrodkowo niebezpieczeństwo jest mniejsze — powiedziała Hydona. — K’Sheyna zyskali na czasie. Uroczystość przyniosła odprężenie, to dobrze. Ponadto. . . szykują się i inne zmiany.

Mroczny Wiatr postanowił puścić tę prawdziwie gryfonią — to znaczy mętną — uwagę mimo uszu.

— Jakbyś siedziała w umyśle Lodowego Cienia — dodał, uśmiechając się przy tym. — Po wszystkich kłopotach, obawach. . .

„. . . i innych rzeczach, o których nikt nie chce rozmawiać, jak na przykład, o tym, co spotkało mego ojca. . .” — dopowiedział sobie w duchu. — Doskonałym pomysłem było urządzić coś, o czym przez chwilę można by pomyśleć z przyjemnością i ulgą — ciągnął dalej, drapiąc bezwiednie Hydona po krecie na szyi. Zadowolony gryfon przymknął oczy. Jedno z gryfiątek przewróciło się z boku na bok, ćwierkając coś smacznie przez sen. — Dzień, dwa odpoczynku nie rozwiąże sprawy kamienia, być może pozwoli nam spojrzeć na nią z zupełnie innej strony.

Tre’valen uniósł brwi, ale powiedział tylko: — Niektórym bardzo przyda się

odpoczynek, na przykład Gwiezdnemu Ostrzu.

„Nie zadawaj zbyt wielu zuchwałych pytań, szamanie, moja odpowiedź może nie być ci w smak. Nie jestem pewny, czy Shin’a’in przygotowani są, by zmierzyć się z wyzwaniem swych kuzynów, bez względu na liczbę złożonych przysięg. Można nic nie robić, jeśli się czegoś oficjalnie nie wie” — ostrzegał w duchu Mroczny Wiar.

Treyvan uniósł łeb, który dotąd spoczywał na jego przednich łapach. — Wygląda na to, że ty jesssteś gotowy, Mroczny Wietrze — rzekł, gdy ten próbował bezskutecznie sflumić ziewnięcie — ssspojrzyć na wszysstko z perrrrsspektywy ssswego possłania.

— Masz rację, jak sądzę — przyznał, zadowolony, że może wycofać się z rozmowy, która stawała się coraz bardziej kłopotliwa. Nie miał ochoty drobiazgowo roztrząsać spraw k’Sheyna, przynajmniej teraz, gdy zmęczenie mózgu mogłoby sprawić, że wyjawiłby coś, co powinno pozostać nie ujawnione.

Na przykład to, co odczuwał wobec Gwiezdnego Ostrza. Wciąż bolało go serce i trząsał się cały na myśl, że jego chłodny, krytycznie myślący „ojciec” przez minione kilka lat nie był tym samym ojcem, który udzielił mu pierwszej lekcji magii i z taką dumą wdziewał kostiumy przygotowywane dla niego przez syna. Dlatego właśnie to, że Gwiezdne Ostrze miał jeden z nich na sobie dzisiejszego wieczoru z okazji nie tylko składania Przysięgi, ale i wzięcia po raz pierwszy od chwili oswobodzenia udziału w uroczystości towarzyskiej k’Sheyna, sprawiło, że ledwie panował nad swoim wzruszeniem. Upłynie trochę czasu, zanim dojdzie ze swymi uczuciami do ładu.

Domyślał się, że i Gwiezdne Ostrze musiał przeżywać podobne rozterki. Różnica polegała jedynie na tym, że jego ojciec znał prawdę, lecz nie potrafił skutecznie działać, a Mroczny Wiatr mógł skutecznie działać tylko dlatego, że nie znał prawdy. Sytuacja dla obu była równie bolesna.

Ziewnął ponownie, lecz tym razem nie zadał sobie trudu, by się z tym kryć. — Chyba się starzeje — powiedział. — Nie potrafię już biesiadować do wschodu słońca. Obiecałem Elspeth, że nauka rozpocznie się, gdy oboje się zbudzimy... — nie zwrócił uwagi na uśmiezek Tre’valena — ... a więc zamiast czekać, aż stanie na progu mojego ekele, lepiej udam się na spoczynek. Zobaczymy, czy uda mi się obudzić wcześniej.

— Dobry plan — zachichotał Tre’valen. — Zhai’hellewa.

— Nawzajem — odparł i wstał z miękkiej murawy, okalającej staw, otrzepując tunikę. Wrócił po własnych śladach, tym razem podążając ścieżką, którą wychodziło się z Doliny. Choć pogodzili się z ojcem, płynna, niestała moc kamienia sprawiała, że czuł się nieswojo i nie lubił odpoczywać w jego pobliżu. Gwiezdne Ostrze zrozumiał to tak jak i inni, i „dziwactwo” utrzymywania siedziby poza bezpieczną przystanią, jaką była Dolina, przestało być kością niezgody.

Dziś w nocy jednak nie mógł iść prosto przed siebie. Trzy razy musiał zbaczać

z drogi, by nie zakłócać schadzek, doprawdy powinien wziąć pod uwagę, że po biesiadzie odbywały się one wszędzie, jak Dolina długa i szeroka.

„Dlaczego zatem ja wracam do mego ekele samotnie?” — pytał sam siebie.

Nigdy dotąd nie uskarżał się na samotność. Gdyby nie był tak wybredny — albo też tak zajęty sobą — prawdopodobnie...

Mógłby rzec, że nosił żalobę po Jutrzence, i byłaby to po części prawda. Opanowywała go tak dotkliwa tęsknota za każdym razem, gdy o niej pomyślał, że zastanawiał się, czy ten ból kiedykolwiek ustąpi. Ona była jedyną, która mogła znaczyć dla niego coś więcej; łączyły ich wspólne zainteresowania i przyjemności. To, że nie umarła, w pewnym stopniu tylko pogarszało sprawę. Stała się czymś, co mógł zobaczyć, lecz czego nie mógł dotknąć. Pierwszy żal, który przeszył ciało jak strzała, minął i przemienił się w tępy ból, jakby od ułamanego zatruwającego krew grota.

Wiedział, że Jutrzenka kazałaby mu ułożyć sobie życie. Jeśliby żyła, a on utraciłby inną ukochaną, szeptałaby do niego, żeby znalazł sobie inną, poszukał łagodzącej ból przyjemności. Taka właśnie była, i za to też ją kochał.

A więc dlaczego nie skorzystał z jednej lub kilku ofert złożonych mu tej nocy? Bo nie pragnął skorzystać z żadnej z nich, nie pasowały do jego prawdziwych, choć mglistych, pragnień.

Prawdę mówiąc, wcale nie był zdecydowany, na co ma ochotę. Tej nocy pociągała go jedynie Elspeth. Jednak pośród wielu uczuć, jakie w nim budziła, znajdował się lęk. Mroczny Wiatr bał się, że dziewczyna zwiąże się z nim bardziej, niżby tego chciał.

Elspeth opuści Dolinę i powróci do Valdemaru, tymczasem jego lud znajduje się tutaj. Trwałe uczucie w ich przypadku jest niemożliwe, jeśli nie liczyć tęsknoty do tego, co mogłoby być. Odtąd jednakże, skoro została Skrzydlatą Siostrą, będą spędzać większość czasu razem; jego obowiązkiem będzie uczyć ją, jej zaś bronić Doliny póki będzie w niej mieszkać. Rada wyraziła się jednoznacznie, że on ponosi za nią całkowitą odpowiedzialność. Jeśli okaże się, że jest dla Elspeth w równym stopniu pociągający, i że ona pojmuje grę miłosną podobnie jak jego lud, a ich związek pogłębi się, być może wtedy będą mogli skorzystać z pewnych zaklęć magii miłości, którą można harmonizować i uwznioślać, a wtedy...

„Nie, nie mogę tego zrobić! Dopiero co utraciłem Jutrzenkę, nie stać mnie na utratę jeszcze jednej ukochanej. Nie ulepiono mnie z aż tak twardej gliny”.

Bez przeszkód dotarł do ścieżki prowadzącej do jego ekele, napotykał po drodze jedynie latające ćmy. To samo w sobie stanowiło przyjemną odmianę. Ostre powietrze i lekki aromat zmieniających szatę liści zapowiadał zmianę wiatrów na mniej przyjemne — za pasem była jesień, po której nadejdzie zima i na zewnątrz cudnie zielonej Doliny spadną śniegi i rozszałają się burze lodowe. Wraz z zimą pojawią się inne niebezpieczeństwa: zgłodniałe drapieżniki i strach, który w lecie trzymał je z dala od Doliny, może okazać się słabszy od chęci zaspokojenia

pustego żołądka. Zima utrudni zakochanemu Skifowi odnalezienie Zmiennolicej, trudniej będzie zwiadowcom przeszukiwać krainę w poszukiwaniu reszty klanu, jeśli nie będzie już żadnego innego wyjścia, aby doprowadzić do jedności.

Pomimo że kraina k'Sheyna stała się o wiele bezpieczniejsza niż przed starciem z Mornelithe'em, Mroczny Wiatr wrócił do dawnych nawyków, gdy tylko wyszedł z Doliny. W nieodpowiedniej chwili wystarczy jeden błąd, by stać się ofiarą. Tayledrasowie ginęli nawet na opanowanym przez siebie terytorium tylko dlatego, że czuli się tam całkowicie bezpiecznie. Mroczny Wiatr trzymał się zatem najgłębszych cieni, posuwał się bezszelestnie, wyczulony na wszystko, co niezwykle. Kiedy dotarł do swego ekele, księżyc schował się już za linią drzew. Z mieszanymi uczuciami zapalił w zagłębieniu dłoni małe, magiczne światełko oraz, przy pomocy niewielkiego zaklęcia, usunął skobel i opuścił wiszącą na wsporniku nad głową drabinę linową.

Za dnia nigdy nie uciekłby się do pomocy magii, poleciłby Vree rzucić ją na dół. Wciąż odczuwał niepokój, posługując się magią na zewnątrz Doliny. Mornelithe już nie czyhał na wszelkie oznaki świadczące o użyciu magii, by rozkazać swoim stworom atakować wszystko na zewnątrz Doliny. Jednak trudno jest wyzbyć się nawyku ostrożności, zwłaszcza gdy jest się niezdecydowanym, czy nadeszła na to pora.

Jednakże przy magicznym światełku znacznie łatwiej było wspiać się po drabinie, a dzięki zaklęciu nie musiał wdrapywać się w ciemności po pnium. Nic nie ryzykował, przynajmniej tej nocy. Być może istniało teraz wiele innych spraw, dla których warto było podjąć ryzyko...

Skif ledwie mógł uwierzyć własnym uszom. Przetarł zmęczone oczy i gapił się ponad niewielkim ogniskiem na nowego przyjaciela. Rozmowa zaczęła się od ogólnych uwag na temat noży, po czym zagłębiła się w szczegóły dotyczące kucia, hartowania, równoważenia, konstrukcji sztychu, stylów rzucania, teraz jednakże nastąpił w niej nieoczekiwany zwrot.

— Wybacz, ale ja... ehm... nie jestem tak biegły w mowie Tayledrasów jak Elspeth. Czy ja dobrze słyszę?

Zimowy Księżyc zaśmiał się i podał mu kubek z ostrym, lecz, jak solennie zapewnił, pozbawionym alkoholu napitkiem, który nalał z butelki przyniesionej przez hertasi.

— Powiem to prościej — powiedział powoli zwiadowca, sięgając po kiełbasę przypiekana nad ogniem. — Chcę pomóc ci odnaleźć Zmiennolicą Nyarę. Jeśli powiesz „tak”, wyruszymy razem. Powiadasz, że nie wiesz zbyt wiele o tropieniu w lesie, a ja naprawdę jestem niezłym zwiadowcą i myślę, że mógłbym się przydać.

On jest jednym z najlepszych zwiadowców i tropicieli k'Sheyna, Wybrany —

podszepnęła mu Cymry, nadstawiając z zainteresowaniem ucha. — *Doprawdy, jest bardzo skromny. Dyheli powiedziały mi, że jest jednym z niewielu, którzy potrafią polować i tropić w nocy, może jest nawet najlepszy.*

Skif chciał, by Zimowy Księżyc mu pomógł. Bardzo było mu to potrzebne, by nie błąkać się na chybił trafił po ziemiach k'Sheyna, z nadzieją, że natrafi na jakiś ślad Nyary. Korzystając z jego zręczności, mógłby właściwie zaplanować poszukiwania. Lecz czy była to próba złożonych przyrzeczeń i lojalności?

— Ja... ja nie wiem, co powiedzieć — zająknął się, uważnie przyglądając się wysokiemu Tayledrasowi o osobliwych włosach i jasnych oczach. — Trudno mi powiedzieć, jak bardzo jest mi potrzebna twoja pomoc; jesteś zwiadowcą, myślącym, jednym z najlepszych. A co z klanem? Czy nie będziesz im potrzebny? To znaczy, należę do Skrzydlatego Bractwa, czy z tego nie wynika, że powinienem przede wszystkim myśleć o klanie?

Zimowy Księżyc zamrugął leniwie i odwrócił się, by spojrzeć na drzewa. Uniósł chronioną rękawicą dłoń i w ułamek sekundy później coś białego przemknęło Skifowi bez szmeru koło ucha. Gdy wykonał unik, wielka biała sowa wczepiła się szponami w nadgarstek Zimowego Księżyca, złożyła skrzydła i odwróciła głowę, by popatrzeć na Skifa. Po chwili sowa obniżyła ostro zagięty dziób i zaczęła delikatnie szczypać palce trzymającej ją ręki.

— To K'Tathi — powiedział Zimowy Księżyc, delikatnie głaszcząc ptaka po głowie. — Corwith jest na drzewie. Niewielu Tayledrasów związanych jest więzią z największymi sowami.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie — przypomniał Skif.

— Ależ tak. — Sowa, przesadzona przez zwiadowcę na ramię, zaczęła gładzić pióra. Zimowy Księżyc westchnął i obrzucił Skifa wzrokiem pełnym wystawionej na ciężką próbę cierpliwości.

— Niewielu jest Tayledrasów, którzy związani są więzią z największymi sowami. Moje więź-ptaki potrafią polować za dnia, jednak wolą tego nie robić. Różnią się od sokołów i jastrzębi, instynktownie nie lubią więź-ptaków innych zwiadowców. Można to załagodzić, lecz wymaga to wielkiej cierpliwości — przez moment z ogniska buchnął wyższy płomień, oblewając sowę rdzawą poświatą. Zimowy Księżyc wrzucił ramionami. — Większej niż mnie na to stać, dlatego poluje w nocy i przeważnie samotnie. Dlatego można się beze mnie obejść, o ile czas nie jest zbyt niebezpieczny.

— Innymi słowy, twoja nieobecność nie sprawi kłopotu? — dopytywał się Skif, zaciskając dłoń na kubku.

Sowa odnalazła ucho Zimowego Księżyca i zaczęła je szczypać. Zwiadowca westchnął i podsunął jej swój palec.

— Zgodnie z nowym planem, magowie mają pomóc zwiadowcom — wyjaśnił. — Będzie więcej obserwatorów. Twoja przyjaciółka, Elspeth... Ona jest mądra i wypełni miejsce po mnie. Jak widzisz, jestem wolny i mogę ci pomóc.

Coś tu się nie zgadza — powiedziała Cymry.

Skif przyznał jej rację, on też miał podobne odczucia.

— O czym mi nie powiedziałeś? — zapytał twardo. — Czy to ma jakiś związek z Nyarą?

Sowa zostawiła palec Zimowego Księżyca, zjeżyła pióra i siadła nieruchomo, zafascynowana widokiem Cymry. Zwiadowca kiwnął głową.

— Tak sądziłem, że się domyślisz. To ma związek ze Zmiennolicą, przyrzeknij jednak, że nie poczujesz się urażony.

Urażony? — zapytała Cymry. — *A dlaczego?... Ach, oczywiście. Mimo wszystko nie ufają Nyarze, chcą mieć na nią oko. Z całą pewnością podobnie odnoszą się do tego przeklętego miecza.*

Dziwisz się? — zapytał trzeźwo Towarysz.

Jeśli chodzi o miecz, nie — odparł, a potem zwrócił się do Zimowego Księżyca: — Tayledrasowie nie ufają Nyarze ani mieczowi, prawda? Klan wysłała cię ze mną, byś dopilnował, aby ona nie sprawiła wam już więcej kłopotu?

Zimowy Księżyc skinął głową. — Tak. Wybacz, lecz taka jest prawda, ale, Skifie. . . ja chcę ci pomóc, z innego powodu. Nic nie wiesz o tropieniu, sam mi to powiedziałeś. Pomyśl o tym w ten sposób — mówiąc to, uśmiechnął się. — Ani mi się śni, by twoja przyjaciółka Elspeth wysyłała mnie w lodową burzę na poszukiwanie ciebie!

— Och, nie jestem aż takim niedojdą. — Skif uśmiechnął się smutno. — Mam za sobą niejaki doświadczenie, tyle że nabyte w Valdemarze, a tam wszędzie rozsiane są stаницe.

— Nie umiesz tropić ani odnajdywać ścieżek — powtórzył zwiadowca i zwrócił się do Cymry: — O pani, ty także tego nie potrafisz, a w nocy twoje oczy nie są tak bystre jak oczy Corwitha i K'Tathi, nie mówiąc już o znajomości naszych ziem.

Cymry potaknęła, pochylając łeb.

— Skifie, bardzo chciałbym ci pomóc, bo wiem, jak mocno jesteś przywiązany do Zmiennolicej. — Jego twarz spoważniała. — Nie wiem, czy jest ona choćby w połowie tak niebezpieczna, jak sądzi nasza Rada. Uważam jednak, że zasłużyła sobie, aby ktoś się nią zaopiekował, a ona tylko na tym zyska, jeśli będzie to oprócz ciebie jeszcze ktoś inny. Jesteś Skrzydlatym Bratem, ale także cudzoziemcem. Ja jestem k'Sheyna.

Skif zrozumiał, co Tayledras ma na myśli: tak jak jego słowo w granicach Valdemaru miałoby większą wagę od słowa Zimowego Księżyca, bez względu na wagę złożonych przysięg, tak samo słowo zwiadowcy miało większą wagę tutaj. Jeśliby powstały podejrzenia co do tego, komu Nyara może dochowywać wierności, zdanie Zimowego Księżyca mogło przeważać szalę. W dzicz, poza tym, lepiej nie wyruszać samotnie. . .

Przyjmij propozycję — radziła mu Cymry. — To dobry człowiek, może okazać się wiernym przyjacielem.

— Dobrze — powiedział Skif. — Z przyjemnością przyjmę twą pomoc. Cymry chce, byś nam towarzyszył, a ja nigdy się z nią nie spieram.

Nigdy?! — rozległo się prychnięcie.

No cóż... nigdy nie spieram się z tobą, kiedy masz rację.

— Doskonale — Zimowy Księżyc wstał i znów wyciągnął rękę. Ponownie coś białego śmignęło Skifowi koło ucha. Tym razem sowa nadleciała z boku, ostro zakręciła pod górę i leciutko, z gracją i w zupełnej ciszy przycupnęła na rękawicy zwiadowcy. — To Corwith — przedstawił ptaka, sadzając go sobie na drugim ramieniu. — Cała nasza trójka z radością przyjdzie ci z pomocą. Zatem zobaczymy się rano?

— Powiedzmy, po przebudzeniu — poprawił go Skif. — Już jest rano.

Zimowy Księżyc zmrużył oczy i spojrzął na zachód, gdzie księżyc właśnie schodził z nieba. — Rzeczywiście. Ha, noc jest moją ulubioną porą wyruszenia na wędrowkę, jeśli mogę coś w tej sprawie powiedzieć. Mniej oczu zobaczy nas udających się w drogę. Zhai'hellewa, Skrzydlaty Bracie. Obyś miał dobre sny.

— Nawzajem, przyjacielu. — Skif odruchowo podał mu dłoń. Po krótkiej chwili zawahania Zimowy Księżyc najpierw ujął jego dłoń, a potem przedramię.

Zwiadowca zniknął w ciemności pomiędzy drzewami. Skif zamierzał właśnie wspiąć się do ofiarowanego mu ekele, kiedy Cymry wyciągnęła szyję i trąciła jego bark chrapami.

Dobra robota — powiedziała ciepło. — Polubiłam go i myślę, że być może osiągnęliśmy więcej, niż możemy powiedzieć.

Sądzę, że się nie mylisz — mówiąc to, ziewnął. — Mam dobre przeczucia.

Po raz pierwszy od czasu zniknięcia Nyary zamiast zmagać się na posłaniu z bezsennością, zasnął smacznie, nie śniąc o jedwabistej skórze i zapłakanych, kocich oczach.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Skif zacisnął ostatnie węzły przy jukach. W każdej chwili hertasi mogła we-
tknąć głowę do izby na drzewie, wzywając go do Zimowego Księżyca. Ogromne
drzewa zasłaniały słońce i chroniły przed chłodem i ciepłem, tak więc trudno by-
ło określić czas. Sądził jednak, że zbudził się koło południa. W zewnętrznej izbie
jego niewielkiego domku na drzewie czekały na niego ser, owoce i świeży chleb,
obok wszystkich jego rzeczy i uprząży Cymry, przyniesionych z jaskini gryfonów
przez hertasi lub któregoś ze skautów, jak przypuszczał, bo byli oni jedynymi,
którzy wiedzieli, gdzie one są, oprócz oczywiście gryfonów. Razem z Elspeth
zatrzymali się tam po przybyciu na ziemię k'Shyna. Gryfony były bardzo miły-
mi stworzeniami, jednak nie zwierzętami jucznymi, sądził więc, że rzeczy będzie
musiał odebrać osobiście — oto jeszcze jeden przykład przemyślności Tayledra-
sów, a może hertasi? Zaskoczyło go jeszcze bardziej, gdy z radością stwierdził,
że jego odzienie zostało pieczołowicie oczyszczone i przed odłożeniem do juków
starannie poskładane, a wszystkie ukryte we wspomnianym odzieniu noże i pętle
równiutko ułożone obok.

„Stare nawyki trudno jest wykorzenić” — pomyślał.

Opuścił domek na drzewie, by wymyć się w ciepłym źródle, które służyło
za łaźnię, i podziękował pierwszej napotkanej hertasi za zaopiekowanie się je-
go rzeczami. Najpierw odszukał jaszczurkę. Było mu trochę wstyd, że nie po-
trafił odróżnić ich od siebie — przecież musiał istnieć jakiś sposób, a ignorancja
świadczyła o głupocie — lecz starał się jakoś to ukryć, prosząc niewielkie stwo-
rzonko o przekazanie słów podziękii innym. Hertasi nie wydawała się oburzona.
Grzecznie podziękowała mu i wskazała miejsce, gdzie można było wziąć kąpiel
oraz znaleźć zapasy na podróż.

Wróciwszy do domku na drzewie, przystąpił do gorączkowego pakowania ju-
ków. Osobliwe zapasy otrzymane z ukrytej kuchni — dopiero teraz dowiedział
się, że to stąd zaopatrywano biesiadę — ważyły znacznie mniej niż suszone owo-
ce, wołowina oraz podróżny chleb, które w Valdemarze heroldowie i gwardziści
zabierali ze sobą w pole. Nie były przy tym zbyt apetyczne, lecz nie dbał o to.

„Nie mogą smakować gorzej od gliniastych placków, którymi musiały zado-
wolić się wojska Karsu. Krochmal i zestarzały klej były od nich smaczniejsze”

— pomyślał. — „Niektórzy woleliby żuć własne siodła niż włożyć do ust racje Karsytów”.

— Mam nadzieję, że jesteś gotowy? — Skif aż podskoczył, słysząc z dołu okrzyk Zimowego Księżyca, który wszedłszy na górę, wystawił głowę ponad progiem domku.

Poniżej Skifa stał zwiadowca ze związanymi w kitę włosami, ubrany tak samo jak Mroczny Wiatr. Obok niego stały dwa zgrabne ogiery dyheli. Jeden niósł lekkie juki, a drugi nie miał nawet derki na grzbiecie. Cymry patrzyła na niego w górę swymi niebieskimi oczami, jakby rozbawiona jego zmieszaniem.

— Jestem gotów — rzucił. — Właściwie już się spakowałem. Uważajcie, zrzućmy toboły!

Zimowy Księżyc i wierzchowce cofnęli się kilka kroków. Skif najpierw zrzucił siodło i juki, w których nic nie mogło się stłuc, natomiast resztę zniósł po schodach na własnym grzbiecie.

Zanim stanął na ziemi, Zimowy Księżyc zdążył już osiodłać Cymry i czekał teraz na resztę juków.

— Powinieneś spróbować siodła Shin'a'in — zauważył Tayledras, gdy Skif wyłaniał się spod olbrzymiego liścia, który zwieszał się nad ścieżką. — Sądzę, że wam obojgu byłoby wygodniej.

— Może — odparł Skif, rzucając juki na ziemię i przyczepiając postronek do nosa Cymry. — Jednak Shin'a'in mają przed sobą tylko równiny, my musimy poruszać się w urozmaiconym terenie, czasami przychodzi nam spać w siodle, albo wiązać się do niego z powodu ran — zająknął się, jakby opanowany strasznym wspomnieniem, lecz po chwili dokończył: — Pewnego dnia może to zrobię, choć wykonanie naszych kosztowało sporo czasu i wysiłku, nie sądzę zatem, aby jeszcze coś można było ulepszyć.

Cymry przytaknęła kiwnięciem łba, czym najwyraźniej wprawiła zwiadowcę k'Sheyna w zdumienie. Skif chciał zapytać o to, gdzie są ptaki, gdy nagle sfrunęły z drzewa. Jeden z nich usiadł na objuczonym dyheli, a drugi osiadł na rogu luzaka. Widać było, że ogiery są do tego przyzwyczajone: luzak cierpliwie nadstawił rogi tak, by sowa mogła przeskoczyć na ramię Zimowego Księżyca.

— Ruchome gałęzie drzew — rzekł uśmiechając się Tayledras.

— Widzę. Powiedziałem Elspeth, że zamierzam się udać na poszukiwania Potrzeby — odezwał się do zwiadowcy Skif — bo nie możemy pozwolić wymknąć się tak wielkiej potędze spod kurateli. Przyznała mi rację, choć nie sądzę, by uwierzyła, iż jedynie o to mi chodzi.

— Wątpię, byś mógł zwieść swą przyjaciółkę w sprawach sercowych — odparł Zimowy Księżyc — przynajmniej nie na długo. Niewielu potrafi być dobrymi sędziami swych własnych serc.

Skif poczerwieniał i wołał wstrzymać się z odpowiedzią.

— Czy masz jakiś pomysł, dokąd w pierwszej kolejności powinniśmy udać

się na poszukiwania? — zapytał. — Co prawda wiem, że nie miałeś zbyt wiele czasu, aby się nad tym zastanowić, ale...

— Wręcz przeciwnie, czasu miałem dość — nieoczekiwanie przerwał mu zwiadowca. — Ostatniej nocy nieco czasu poświęciłem na zastanowienie się, co bym zrobił, gdybym znalazł się na jej miejscu. Chyba wiem, tak myślę, gdzie może być, czy raczej, gdzie nie powinniśmy szukać. Spójrz...

K'Sheyne wydobyl mapę z wiszącej u pasa sakwy i rozpostarł ją na ziemi. Skif dociągnął ostatnie rzemienie juków Cymry i przekrzywił głowę, by spojrzeć mu przez ramię.

— ... tu jest Dolina. — Zimowy Księżyc wskazał owalny kształt na obrzeżach krateru, który rozdzielał Równiny Dhorishy. — Nyara nie ucieknie na zachód, południe i północ. Na zachodzie i na południu znajdują się ziemie jej ojca. Na zachodzie i na północy rozciąga się dzika, nieujarzmiona, zaklęta kraina, pełna stworzeń nie lepszych od bestii podległych Mornelithe'owi.

— Czy ona o tym wie? — zapytał Skif.

— Z całą pewnością — prychnął Zimowy Księżyc. — Choćby nie wiem jak krótko ją trzymał ojciec, jeśli tylko miała jakąkolwiek styczność ze światem na zewnątrz murów, to wie. Zamierzaliśmy wziąć te ziemie w kleszcze, między tą Doliną a nową... Ha, teraz to nie ma znaczenia. Nie uda się na zachód, o ile została jej kropla oleju w głowie, ani nie skręci na południe.

— Na Równiny Dhorishy? — Skif błędził myślami, patrząc na mapę.

— Tak. Zostaje zatem wschód i północ. Może poszła na wschód... Mogła pójść na wschód... lecz tutaj... — Wskazał ciemniejszą plamę na mapie. — To oznacza, że ziemia jest uleczona. Jeśli tam pójdzie, napotka gospodarstwa rolne i osady, dalej znajdują się miasteczka i wsie, a w nich ludzie, którzy nie przyzwyczajeni są do widoku na poły stworzeń, na poły ludzi; dalej ciągną się drogi pełne karawan kupieckich. Nie, nie sądzę, by zapuszczała się zbyt daleko na wschód.

— A jeśli pójdzie na północ? — dopytywał się herold.

— O... znowu będzie miała przed sobą granicę ziem strzeżonych przez inny klan, który może nie być wobec niej usposobiony tak uprzejmie jak my. Nie znając jej, z pewnością odniosą się podejrzliwie lub nawet wrogo. — Zimowy Księżyc przysiadł na piętach. — Widzisz więc, że musi być gdzieś tutaj. — Powiódł palcem po mapie. — Dawniej były to nasze ziemie, którym jednak pozwoliliśmy rozwijać się dziko, zawężając granice. Tam, jak sądzę, powinniśmy ją znaleźć.

Skif pokiwał głową, studiując mapę.

— Nie jest to daleko od szlaków patrolowanych przez zwiadowców — zauważył. — Moglibyśmy rozpocząć poszukiwania i co kilka dni wracać do Doliny, dla prześledzenia rozwoju wypadków tutaj i sprawdzenia, czy nie jesteśmy potrzebni.

— To samo sobie pomyślałem — powiedział zwiadowca, składając mapę i wpychając pergamin do sakiewki. — Przy okazji wypełnimy także obowiązek wobec klanu. — Zwiadowca spojrział na Skifa z dziwnym uśmiechem. Ten nie

pozostał mu dłużny.

— Skąd we mnie to przecucie, że potrafisz tak samo dobrze jak ja dopiąć swego, nie zaniedbując obowiązków, za to lekko naginając reguły? — zapytał przebiegle.

— Kto, ja? — Oczy Zimowego Księżyca rozszerzyły się niewinnie. Zwiadowca roześmiał się. — Idziemy, należymy do tego samego stada ptaków. — Odwrócił się i wskoczył na grzbiet drugiego ogiera, tak że Skif nie musiał już odpowiadać.

Herold z namaszczeniem dosiadł swego rumaka, lekko wzdychając. Lubił wędrówki z Cymry, jednak mieli za sobą bardzo długą podróż i dlatego cieszył się na myśl, że spędzą jakiś czas w jednym miejscu. Jego radość trwała do czasu zniknięcia Nyary, gdy uzmysłowił sobie, że ona nie wróci. Teraz znów znaleźli się na szlaku. . .

Nie martw się, nie spędzisz w siodle tyle czasu, ile myślisz — pocieszała go Cymry. — Zimowy Księżyc nie przeoczy żadnego śladu. Na twoim miejscu wzięłabym kilka lekcji tropienia w dziczy. Chyba mógłbyś się sporo od niego nauczyć. Ja będę przyglądać się bardzo pilnie.

Skif był lekko zaskoczony tym, że Cymry tak rzeczowo podeszła do kolejnej wyprawy. Spodziewał się, że Towarzysz niechętnie zgodzi się opuścić Elspeth, której przecież miał być opiekunem, strażnikiem, obrońcą strzegącym, by nie wpadła w tarapaty.

Elspeth sama potrafi się o siebie zatroszczyć, Wybrany. Nieraz przypominała ci o tym. — Tym razem głos Cymry był lekko kpiący. Jednak szybko spoważniała. — Ancar nie może się tutaj dostać, nawet gdyby dowiedział się, gdzie jest. Elspeth musi sama zacząć dawać sobie radę, wiesz o tym. Nigdy nie wiadomo, co ją może spotkać. Strzały i noże mogą niewiele pomóc.

Skif uchylił się przed zwieszającą się nad ścieżką gałęzią i westchnął. To była prawda, Elspeth została magiem i znajdowała się teraz pod opieką uczących ją magów. Sztuka magii przekraczała jego możliwości i należało zapomnieć o dumie.

Nie mam żadnych magicznych uzdolnień — skwitował smutno. — Byłbym tylko zawadą, prędzej sam wpadłbym w tarapaty, niż pomógł Elspeth.

Niewykluczone — przyznała mu rację Cymry. — Za to możesz zrobić coś w sprawie Nyary. Moim zdaniem nawet powinieneś. Znalazłszy ją, będziesz się mógł przekonać, czy istnieje jakaś więź między wami i wreszcie przestanieś się o nią bać.

Słowa dyktował jej zdrowy rozsądek, jednak ton głosu brzmiał współczująco.

Cymry była jego najlepszym przyjacielem. Znała jego wszystkie tajemnice, nawet te najgorsze. Przez chwilę wpatrywał się w ścieżkę i plecy Zimowego Księżyca przed sobą, myśląc o tym, jak byli sobie bliscy. *Cymry, byłaś kiedykolwiek zakochana?*

Jasne Niebioso, co za pytanie! — wykrzyknęła. — Ja? Zakochana? Dlaczego chcesz wiedzieć?

Po tylu spędzonych razem latach udało mu się ją czymś zaskoczyć. — *Bo nie wiem, czy się zakochałem, czy nie... Czy w ogóle kiedykolwiek byłem zakochany. — Zamilkli na krótką chwilę. — Pomyślałem, że być może pomożesz mi to rozstrzygnąć.*

Dotarli do zapory ochronnej u wejścia do Doliny. Cymry potrząsnęła łbem, skóra jej zdrząła tak, jakby otrzepywała się od much. — *Tak, wiem coś o uczuciowym zaangażowaniu, co wcale nie czyni sprawy łatwiejszą. Nie byłeś zakochany w Elspeth, tego jestem pewna — powiedziała powoli. — W tym przypadku w grę wchodziło wiele rzeczy, mój drogi Wybrany. W końcu dostrzegłeś w niej bardzo interesującą kobietę i wywołało to dający się z góry przewidzieć skutek. Dlatego też zachowujesz się tak, a nie inaczej.*

Zaśmiał się, udając, że kaszle, gdy Zimowy Księżyc spojrział na niego pytająco. Cymry zazwyczaj nie mówiła do niego tak bez ogródek.

Obawiam się, że tylko pogorszyłeś sprawę, tak silnie poddając się tym uczuciom.

Sam na to wpadłem — odpowiedział z przekąsem. — Ale, co teraz?

Szczerze mówiąc, nie wiem — Towarzysz pokręcił łbem. — Rządzą tobą dość mocne uczucia, które trudno mi jest uporządkować, tak samo jak tobie.

Pocieszające, że Towarzysze nie wiedziały wszystkiego. Czasami się nad tym zastanawiał, dlaczego nie zależało im na rozstrzygnięciu tej kwestii.

Skif zaczął zwracać uwagę na las otaczający ścieżkę, starając się do niego przyzwyczaić, by wiedzieć, kiedy może mu grozić niebezpieczeństwo, a kiedy nie. Na razie jedyną rzeczą, jaką mógł zrobić, to założyć, że znajdują się w bezpiecznej okolicy i bacznie się jej przyglądać. Wszystko, co wyglądało podejrzanie, mogło stanowić zagrożenie.

Jego doświadczenie zdobyte poza miastem ograniczało się do objazdu, którego dokonał pod opieką Dirka zaraz po przywdzianiu Bieli Heroldów, i sporadycznych wypadów w roli posłańca i kuriera. Nigdy dotąd nie musiał radzić sobie samodzielnie w wyludnionej dzicy. Przemierzał gościńce, a nie szlaki wydeptane przez zwierzynę; noce spędzał w stanicach, a nie w namiotach lub pod gołym niebem owinięty w koce. Dopiero jadąc w te strony, po raz pierwszy zobaczył prawdziwą dziczą, było to wtedy, gdy dotarli do Równin Dhorishy, do morza traw nie tkniętych ręką ludzką. Być może dlatego w ich obliczu opanował go taki strach. Nigdy dotąd nie czuł się tak bezradny.

Może dlatego z takim uporem obstawał przy towarzyszeniu Elspeth. . .

No cóż, za progiem Doliny znów zaczynała się dzika kraina, gdzie próżno by szukać szlaków, które Tayledrasowie pieczołowicie za sobą zacierali. Tutaj można, było wyśledzić jedynie tropy zwierzyny: jeleni, niedźwiedzi i odyńców. Nawet dyheli starały się unikać zostawiania śladów, które mogłyby posłużyć do

zastawienia pułapki. Skif zastanawiał się, czy i Zimowy Księżyc jechał na ogierze dyheli, by nie pozostawić śladu ludzkiej stopy na ziemi.

Wszędzie widać już było nadchodzącą jesień. Świadczyły o tym wysychające, więdnące trawy, zmieniające szatę liście krzewów. Czuć było ich zapach, jakim przesycają powietrze po przejściu przymrozków. Nie była to przyjemna pora roku na prowadzenie męczącego rozpoznania w dzikiej głuszy.

Z drugiej strony, gdy liście zaczynają opadać, wrogowi trudniej jest się ukryć. Skif nie znał nic hałaśliwszego od szelestu suchych, opadłych liści. Dostał nauczkę, będąc jeszcze ulicznym rzezimieszkiem i odtąd zawsze starał się trzymać z dala od jesiennych ogrodów bogaczy. Nie uśmiechało mu się także obozowanie w chłodzie oraz jazda w lodowatych strugach jesiennego deszczu.

Choć tam, daleko na południu zimno nie powinno być zbyt dokuczliwe, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. Ta pora roku obfitowała w zwierzynę łowną, mnóstwo ptactwa i młodych zwierząt — niedoświadczonych, nawet głupich, które dla myśliwego były „łatwym łupem”. Mroczny Wiatr zacytował pewne powiedzenie Shin’a’in, gdy któregoś dnia Vree przyniósł królika, ledwie dwumiesięcznego: „Jeśli dał się złapać, zasłużył sobie, by go zjedzono”. Ogólnie rzecz ujmując, Skif przyznawał mu rację. Jeśli zwierzyna zamierza wystawiać się na pożarcie puchaczom, czy, lekkomyślnie narażając swe życie, dać się zastrzelić lub wpaść w sidła, być może nie będą musieli korzystać zbyt często z zabranych zapasów. Może wyprawa mimo wszystko nie będzie tak wyczerpująca.

Cymry zastrzygła uchem jak wtedy, gdy myślmówiła. Na samych obrzeżach mózgu wyłowił jakąś informację, jednak nie mógł nic zrozumieć, dotarło do niego zaledwie przebrzmiałe echo myśli. Miał takie wrażenie, jakby dwóch rozmawiających oddalonych było od niego o kilka izb. Nawet gdyby wyteżył słuch, ile się tylko da, i tak doszedłby do niego wyłącznie pomruk.

Z kim rozmawiasz! — zapytał zdumiony. Nie sądził, by Cymry mogła rozmawiać z kimkolwiek poza nim samym lub innym Towarzystem.

Z Elivanem — odparła krótko.

Z Elivanem? Kto...

Wtedy dyheli, na którego grzbiecie jechał Zimowy Księżyc, odwrócił z gracją łeb i skinął mu głową.

Dyheli?! Cymry myślrzomawiała z dyheli?! Przygnębiony starał się zrozumieć coś z docierającego jakby z dużej odległości murmurando. Nie mógł zrozumieć nawet jednego słowa. Co gorsza, zorientował się, że Zimowy Księżyc wydaje się „słuchać”, a nawet usłyszał, jak do rozmowy trzeci „głos” wtrącił jakąś uwagę.

Zimowy Księżyc wydawał się świetnie bawić. Skif przyjrzał mu się uważnie, gdy uchylił się przed nisko wiszącą gałęzią i odniósł wrażenie, że zwiadowca zachowuje się tak, jakby właśnie opowiedziano mu dowcip.

Skif poczuł się urażony, że został wyłączony z rozmowy. Właściwie, jak moc-

ny był dar myślmagii u Sokolich Braci? Dlaczego on nie słyszał dyheli, skoro Cymry i Zimowy Księżyc mogli? Czy to tylko Zimowy Księżyc mógł pochwalić się tym darem, czy też posiadali go wszyscy Tayledrasowie?

Nie ukrywali niczego, co dotyczyło prawdziwej magii, dlaczego zatem trzymają to w sekrecie?

Choć właściwie nie taili tego, przynajmniej przed Skifem. Chyba że nie potrafili ukryć tego, co robili. Dlaczego więc Cymry nie powiedziała mu po prostu, że rozmawia z ogierem?

Szmer głosów ustał. Zimowy Księżyc dał znak, by zatrzymać się na brzegu malutkiego, krystalicznie czystego strumienia, i zeskoczył z wierzchowca. Obydwa dyheli zbliżyły się do wody i zanurzyły w niej swe delikatne pyski. To, że zwiadowca nie musiał prowadzić jucznego zwierzęcia do wodopoju i ograniczać ilości wypitej wody, było kolejnym dowodem ich inteligencji.

Chętnie skorzystam z okazji — ucieszyła się Cymry i Skif ześliznął się na ziemię, by mogła do nich dołączyć. Zimowy Księżyc urządził sobie przechadzkę, aby rozprostować zeszywniałe od jazdy kości.

— Jesteśmy na granicy obszaru patrolowanego przez k'Sheyna — powiedział. — Dalej zakłócenie ciszy może być niebezpieczne. Jeśli coś zauważę, przekażę twojej pani ostrzeżenie myślą.

— Dlaczego nie mnie bezpośrednio? — zapytał Skif, starając się, by jego głos nie zabrzmiał ponuro, obawiał się jednak, że nie zdołał ukryć urazy.

Zimowy Księżyc nie był specjalnie zaskoczony. — Bo nie potrafię — odparł. — Zwiadowcy nie mogą porozumiewać się w ten sposób z ludźmi. — Zmarszczył brew na chwilę. — Być może dotarło do ciebie echo naszej rozmowy z Eliwanem. Wybacz, jeśli odebrałeś to jako nieuprzejmość, jednak dowiedziałem się od Cymry, że nie dzielisz daru myślmowy z nikim innym poza nią lub być może innym heroldem. Pomyślałem więc, że nie słyszysz nas. — Wzruszył ramionami. — Przepraszam, jeśli pomyślałeś, że celowo wyłączyliśmy ciebie z rozmowy. Wielu Tayledrasów posiada ten dar, jednak ja jestem jednym z najsilniejszych myślmówców, równie silnym była Jutrzenka. Czasami dotyczy on jedynie więźptaków. Mam szczęście, że tak jak mój brat mogę porozumiewać się i z innymi stworzeniami, ale, niestety, nie z ludźmi.

Skif zaczerwienił się. Nie przyszło mu do głowy, że Zimowy Księżyc może nie mieć pojęcia, że on choć wie o rozmowie, nie orientuje się, o czym była mowa.

„Ha, teraz czuję się jak prawdziwy półgłówek. . .” — skwitował w myślach.

— Czy zostaje się tylko albo zwiadowcą, albo magiem, czy jest coś jeszcze? — starał się jakoś naprawić gafę.

Zimowy Księżyc potrząsnął głową i uśmiechnął się.

— Wszyscy Tayledrasowie potrafią myślmówić, jednak zazwyczaj jedynie z więźptakiem — odparł. — To jest w nas: to jeden z wielu darów otrzymanych od Bogini, abyśmy mogli tutaj przetrwać. Trzeba jednak przyznać, że ci, którzy

potrafią porozumiewać się z innymi stworzeniami, należą do najlepszych zwiadowców; jeśli dodatkowo wrodzona im jest magia, to ona staje się rzemiosłem ich życia.

Skif przez chwilę patrzył na to, co znajdowało się za nim, na drugim brzegu strumienia. Nie wydawał się on dziwszy, bardziej niebezpieczny. Na koronach drzew po obu stronach liście stawały się żółtobrazowe i opadały, zasypując ziemię, niektóre unoszone przez strumień odpływały. Nagle rozległ się okrzyk sójki, a może ptaka, którego ochrypli głos tylko przypominał purpurową sójkę. Jakies poruszenie na przeciwległym brzegu strumienia przyciągnęło wzrok Skifa. W samą porę odwrócił nieco głowę, by zobaczyć ogonek wiewiórki znikający po drugiej stronie pnia. Można było przypuszczać, że ogonek miał swojego właściciela, choć z tego, co słyszał, wcale nie musiało tak być.

— Właściwie, co tam jest złego? — Jego duma ugięła się przed ciekawością. — Nie widzę tam nic niezwykłego, z drugiej strony nie wiem, czego szukać.

— Tam... niezbyt wiele — odparł Zimowy Księżyc, badawczo przyglądając się drzewom i ziemi wszyszkowidzącym wzrokiem. — Dalej, jak słyszałem, są wyrza, choć o tej porze roku nie grasują w stadach. Niedźwiedzie, oczywiście, i zmiennoniedźwiedzie, drzewolwy i zmiennolwy, odyńce i zmiennoodyńce. Może bukto i...

— Chwileczkę — przerwał mu Skif. Czekał właśnie na okazję, by dowiedzieć się czegoś o stworzeniach, ale jak dotąd jakoś się nie nadarzyła. — Zmiennoniedźwiedzie, zmiennolwy, zmiennoodyńce. O czym ty mówisz? Mroczny Wiatr zwał Nyarę „Zmiennolicą”. Czy to ma jakiś z nią związek?

— I tak, i nie. — Sposób udzielania przez Zimowy Księżyc odpowiedzi mógł doprowadzić człowieka do pasji. Skif zeszywniał i zniecierpliwiony czekał, aż zwiadowca znajdzie odpowiednie słowa. — Przypomnij sobie, co pokazał wam Lodowy Cień, jak zwyrodniała, puszczone samopas magia zwichrowała wszystko, czego się tutaj tknęła.

— Ale to było bardzo dawno temu, prawda? — odpowiedział Skif, kiedy przed oczami stanęły mu znów dziwne i tylko na poły przez niego rozumiane obrazy oraz jasność, która ukazała się wtedy Sokolim Braciom. Rozumiał, czego żądała Bogini, jednak nie widział nic ponadto. Elspeth i Shin'a'in ujrzeni więcej niż on.

— Nie dość dawno. — Zwiadowca smutno patrzył na niegroźnie wyglądającą krainę po drugiej stronie strumienia. — Swego czasu magia i wszystkie jej „kolory” i „dźwięki” stanowiły jedność. Czas, jak my go nazywamy, Wojen Magów, zburzył to. Magia, jej moc, została wyczerpana niemal do cna. W wielkim kataklizmie, który położył kres Ostatniej Wojnie, więzi uległy zerwaniu. Krystaliczne reguły, które dla magów były jak promienie światła, uległy zwyrodnieniu, upodobniły się do zniekształconych, opadłych igieł sosnowych. Dotknięte nimi ogromne, znacznie większe, niż można by teraz sądzić, połacie ziemi stały się niebezpieczne, pojawiły się na nich stworzenia, które nigdy nie powinny istnieć.

Skif potrząsnął głową, jakby nie mógł lub nie chciał tego zrozumieć. Zimowy Księżyc ciągnął dalej:

— Gdy przybyliśmy tutaj i osiedliśmy w Dolinie, okolica była tak niebezpieczna i przerażająca, jak wszystko przed pojawieniem się Pani. Udało nam się ją poskromić, na szczęście niewiele magicznych stworzeń może się w naturalny sposób rozmnażać. To także częściowo zawdzięczać należy magicznej sztuce Tayledrasów.

— Jednak nie wszystkie? — zapytał Skif.

Zimowy Księżyc skinął głową. — Te nazywamy „zmiennobestiami”. Pochodzą od zwykłych stworzeń, ale posiadają dodatkowe cechy, które zazwyczaj czynią je bardziej niebezpiecznymi. Weźmy choćby zmiennolwy, które często posiadają ogromne kły, wystające daleko poza szczękę, poza tym mają pewne zdolności magiczne. Nawet kiedy się na nie patrzy, mogą przestać być widoczne, i będzie to trwało tak długo, póki się nie poruszą. To jest... zwykła zmiana. Inne są nieprzewidywalne lub nierozpoznawalne. — Zawahał się, zbierając myśli. — Gdy wywodzą się z ludzi, nazywamy je „zmiennolicymi”. Z nimi, ogólnie mówiąc, prawdziwi ludzie nie tworzą par.

Zwiadowca spojrzał z ukosa na Skifa, sprawdzając, jakie wrażenie wywierają na nim jego słowa. Herold nie czuł się urażony, nie miał jednak zamiaru bez walki pogodzić się z tego rodzaju poglądem.

— Dlaczego nie? — zapytał, wojowniczo wysuwając podbródek. — Co to za różnica? Komu na tym zależy?

Zimowy Księżyc westchnął. — Bo, jak powiadają, łączenie się ze zmiennolicymi jest łączeniem się z bestiami, za które się je uważa. — Podniósł rękę do góry, by uprzedzić gniewne słowa Skifa. — Powtarzam tylko powszechnie panujący pogląd, ja tak nie myślę. Jednak musisz o tym wiedzieć, nie ma co chować głowy w piasek.

Skif zmarszczył brwi. — A więc większość Tayledrasów pomyślałaby, jeśli byśmy z Nyarą stali się parą, że jestem do pewnego stopnia nienormalny?

Sokoli Brat westchnął. — W tym klanie być może nie tak wielu, jak w innych, ale też. Zaś na zewnątrz klanu, wśród cudzoziemców, którzy zamieszkują nasze ziemie i są wobec nas lojalni, wśród handlujących z nami kupców, nie można by od tego uciec. Wszyscy tak uważaliby, w większym lub mniejszym stopniu.

„A więc zajmę się tym, gdy... jeśli... do tego dojdzie”. — Pokiwał głową, że rozumie, lecz nie, że się zgadza.

— Jest jeszcze jeden kłopot — ciągnął Zimowy Księżyc. — W tego rodzaju związkach albo nie ma dzieci, albo — tak jest najczęściej — na świat przychodzą prawdziwe potwory, stojące niżej nawet od zwierząt. Wiem, bo widziałem. Nieliczne, w miarę normalne dzieci — zazwyczaj jedno na czworo — podobne są z reguły do rodzica, który był zmiennolicym. Prawdopodobieństwo, że związek okaże się bezdzietny, jest takie samo.

— Nyara jest zatem Zmiennolicą — myślał głośno Skif. — Jak można odróżnić, że nią jest, a nie... powiedzmy... ofiarą eksperymentów ojca na prawdziwym dziecku?

— Pewne rzeczy nie mogą się u ludzkiej istoty wykształcić, nie można ich także podrobić. — Odpowiedź Zimowego Księżyca padła niepokojąco szybko. — Choćby oczy, zwężone jak u kota, czy uszy obrośnięte futrem.

— O? — Tym razem Skif dał wyraz swemu powątpiewaniu. — Mroczny Wiatr powiedział co innego. Powiedział, że możliwe jest, iż jest zmienionym ludzkim dzieckiem. Trzeba by do tego sporo zabiegów magicznych, jednak jeśli była dla Mornelithe'a swego rodzaju wzorem tego, co chciał osiągnąć, zdolny byłby do sporych poświęceń.

— Tak powiedział? — Słowa Skifa zaskoczyły Tayledrasa. — To ułatwiłoby całą sprawę. — Sokoli Brat przygryzł wargę. — Byłaby wtedy budzącą współczucie ofiarą.

— Chciałbym zapytać o coś jeszcze. — Cymry wróciła znad strumienia i stanęła obok Skifa, który pieszczotliwie poklepał ją po szyi. — A jeśli nie jest Zmiennolicą, ale nie jest także człowiekiem?

— Jak to możliwe? — zaintrygowany zwiadowca potrząsnął głową.

— A jeśli jest przedstawicielem jakiejś nieznaney rasy... — Skif żuł nerwowo wargę, starając się podać jakiś przykład. — Przecież nie nazywacie tervardi ani hertasi Zmiennolicymi. Czym oni różnią się od Nyary?

— Jest ich wielu — odparł szybko Zimowy Księżyc. — Normalnie się rozmnażają, tworzą skupiska, mieszkają w osadach.

— A skąd wiadomo, że nie ma ani jednej osady krewnych Nyary? — Skif wpadł mu w słowo. — Przed przybyciem Treyvana i Hydony nic nie wiedzieliście o gryfonach! — Uśmiechnął się z triumfem.

— Gryfony były na liście przekazywanej z pokolenia na pokolenie od czasu Wojen Magów. — Szybka odpowiedź Zimowego Księżyca przekreśliła budzącą się nadzieję. — Tak samo inne stworzenia. Każdy Tayledras uczy się ich na pamięć, inaczej nie odróżniłby, kto przyjaciel, a kto wróg. Na tej liście nie ma nikogo, kto byłby podobny do Nyary.

„No cóż, tak umierają dobre pomysły. Przynajmniej nie ma jej na liście wrogów. Należy uznać to za pomyślną wiadomość”. — Skif próbował dodać sobie otuchy.

Niemniej jednak nie mógł oprzeć się myśli, że Nyara należy do stworzeń, podobnie jak hertasi, które z jakiegoś powodu nie zostały wciągnięte na listę lub które w czasach Wojen po prostu jeszcze nie istniały.

„To doprawdy śmieszne” — myślał. — „Nieważne, czym ona jest, ważne jest, co robi”. Kiedy wychowywał się w Kolegium, powtarzał mu to każdy herold. Skoro wtedy było to prawdą, to prawdą powinno być i teraz.

— Wkrótce będzie ciemno — przerwał mu rozmyślenia Zimowy Księżyc.

Podczas rozmowy światło dnia przybrało głęboki złoty kolor, co było zwiastunem zachodu słońca, i sprawiło, że w otoczeniu zmieniającego kolor listowia powietrze złociło się jak słodki miód.

— Rozbijemy tu biwak, czy jedziemy dalej? - zainteresował się Skif. Gdyby była to wyprawa dwóch heroldów, stanęliby tutaj, jeszcze za dnia, obozem. Jednak Zimowy Księżyc z pomocą swych więź-ptaków potrafił robić rzeczy, o jakich żadnemu heroldowi nawet się nie śniło.

— Jedziemy — odparł szybko Zimowy Księżyc — ale na razie udamy, że zakładamy obóz, co powinno zwieść tego, kto by się nam przyglądał. Po zapadnięciu ciemności ruszymy dalej.

Szybko rozkulbaczyli wierzchowce. Zimowy Księżyc rozwiązał i rozłożył hamak, a potem pokazał Skifowi, jak to się robi. Następnie oczyścili mały skrawek ziemi ze ściółki i rozpalili ogień. Kiedy usiedli przy nim, na polanę wkroczyła jedna z sów Tayledrasa, wlokąc upolowanego przez siebie młodego królika. Ptak złożył zdobycz u stóp Zimowego Księżyca. Zanim zdążył wspiąć się na jego ramię, pojawił się drugi z wiewiórką w szponach.

— Doskonale — zaśmiał się Zimowy Księżyc, gdy druga sowa upuściła swą zdobycz obok pierwszej i odleciała, by przysiąść na znajdującej się nad jego głową gałęzi. — Jak mi się zdaje, moi przyjaciele postanowili nas nakarmić.

— Nie mam nic przeciw temu — uśmiechnął się Skif. — Właśnie zamierzałem zaglądnąć do juków z żywnością.

— Wydawało mi się, że słyszę burczenie i myślałem, że to jakieś zwierzę w krzakach. A to był tylko twój żołądek — zakpił Zimowy Księżyc, oprawiając królika. Obydwie sowy opadły obok niego na ziemię, czekając na jakiś kąsek.

Kiedy Skif zobaczył je zajądające ze smakiem podane wnętrzności, bez wahania zabrał się do oprawienia wiewiórki, idąc za przykładem zwiadowcy. Ciemniej upierzony ptak podszedł do Zimowego Księżyca.

Skifa zaskoczyło po pierwsze to, że mała „wiewiórka” bardziej przypominała królika niż drobnutkie stworzonka, do których był przyzwyczajony, a po drugie zdziwiła go delikatność, z jaką sowa odbierała od niego smakołyki tak, by nie złapać dziobem palców. — Który to jest? — zapytał. — Czy jest bardzo głodny?

— K'Tathi — odpowiedział Tayledras, nie podnosząc oczu. — Na razie zadowolą się tym, co dostaną. Wyruszą na polowanie później, gdy rozbijemy drugi obóz, tym razem dla siebie. Daj im to, co zostanie ci z posiłku.

Głowa, wnętrzności i kawałki łap okazały się całkowicie zadowalające. K'Tathi zjadł wszystko, co mu Skif podał i nawet kropelka krwi nie splamiła jego szaro-białych piór. Skif chciał mu dać i skórę, ale sowa nie okazała nią zainteresowania, a więc idąc za przykładem Zimowego Księżyca, odrzucił ją w krzaki. Gdyby nocowali w tym miejscu, byłoby to nieroztropne, bo krwawe resztki mogły zwabić jakieś spore i niebezpieczne zwierzę. Skoro jednak nie zamierzali tego robić, to na pewno jakiś stwór uzna je za godne uwagi. A jeśliby ktoś ich obser-

wował i śledził...

„Wtedy może spodziewać się miłej niespodzianki, o ile oczywiście coś dużego z zębami kręci się tutaj w pobliżu” — zauważył.

Oprawiwszy zdobycz, jeszcze raz wziął przykład z Zimowego Księżyca i nadał mięso na mocną gałąź, aby umieścić je nad ogniem.

Zachodzące słońce sprawiło, że niebo nad wierzchołkami drzew mieniło się pomarańczowo, szkarłatnie i na koniec niebiesko w cynobrowe smugi, a kiedy ich posiłek był już gotów, zalsniło od gwiazd.

W połowie kolacji Skifa zaskoczyły słowa Zimowego Księżyca.

— Wiesz, że ci zazdroścę?

Lekko wystraszony Skif podniósł wzrok, by spojrzeć w jasnoniebieskie oczy siedzącego po drugiej stronie zwiadowcy. Po posiłku, który Zimowy Księżyc przyrządził dla siebie, nie było śladu, jedynie niewielki stosik ogryzionych do czysta kości leżał u jego stop.

„Co on zrobił, wciągnął królika w siebie?” — pomyślał Skif.

Z drugiej strony zwiadowca musiał nauczyć się jeść szybko, nie wiedząc, kiedy może się spodziewać nieproszonego gościa na kolacji.

— Czego? — zapytał zaciekawiony. — Czego można mi zazdrościć? Jak na herolda nie jestem nikim specjalnym.

— Moje znajomości są raczej krótkie i niezobowiązujące — zabrzmiała odpowiedź. — Gwiezdna Pieśń zwróciła mi pióra i to był właśnie jeden z powodów, dla których chciałem wybrać się razem z tobą.

Skif nie wiedział, czy ma wyrazić swoje współczucie, wnosząc, że „zwrot piór” oznacza zerwanie związku pomiędzy zakochanymi. Zimowy Księżyc dostrzegł jego wahanie i potrząsnął głową.

— Nie, to nie zabołało. Nie mam zamiaru unikać ani Doliny, ani jej. W tej chwili nie mam bliskiego przyjaciela i na razie brak jest kandydatów. Jestem więc wolny i mogę zająć się czymś innym. — Wytarł palce do czysta w gęstą kępę trawy i wrzucił ją do ognia. — To tego ci zazdroścę. Czy teraz rozumiesz? — zapytał, wpatrując się w skręcające się w ogniu i czerniejące źdźbła. — Silnych uczuć, których nigdy nie doświadczyłem.

Skif kaszlnął, czując lekkie zakłopotanie. — Sądzę, że to zauroczenie czymś, co nieznanne i obce.

— Nigdy nie czułem nic tak silnego — nie ustępowałem zwiadowca. — Czasami powątpiewam, czy w ogóle jestem do tego zdolny.

Słowa te były czymś w rodzaju prezentu, Skif zrozumiał to. Namyślał się, szukając właściwej odpowiedzi. Ptaki — odpowiedziała Cymry.

— Łączy cię z Corwithem i K'Tathi silne uczucie, prawda? — zareplikował.

Zimowy Księżyc powoli skinął głową, jakby zaskoczony, że dotąd nie przyszło mu to do głowy.

— Jak widać. — Skif odwrócił dłoń wnętrzem do góry. — Bez obawy. Wydaje mi się, że czasem nie zdajemy sobie z tego sprawy. Dla heroldów tak jest z Valdemarem: kiedy trzeba, chętnie składamy życie w ofierze za kraj i władcę, jednak zazwyczaj wcale o tym nie myślimy. Jeśli spotkasz kogoś, z kim będziesz mógł być silnie związany, przekonasz się. Dotąd nie było okazji, zważywszy ograniczony wybór po odejściu trzech czwartych klanu i twojej skłonności do przebywania we własnym towarzystwie.

— To prawda. — Dopiero teraz, gdy Zimowy Księżyc odprężył się, Skif dostrzegł, jak był spięty. — Ojciec utrzymuje, że przyjście na świat bez talentu do magii jest poważnym upośledzeniem. Czasami zastanawiam się, czy nie brakuje mi jeszcze czegoś, co mniej rzuca się w oczy.

Zanim Skif zdążył zmienić temat rozmowy, zrobił to sam Zimowy Księżyc.

— Co zrobisz po odnalezieniu Nyary? — zapytał wprost. — Obiecuję ci, że ją odzujemy. Nie chwalebę się po próżnicy, gdy twierdzę, że nie ma ode mnie lepszego tropiciela pośród k'Sheyna.

— Ja... hmm... nie wiem — odparł Skif. — Prawdę mówiąc, w tej chwili nawet nie myślę o odnalezieniu jej. A potem... — Potrząsnął głową. — To staje się zbyt skomplikowane, potem zacznę się tym martwić. To, co zrobi, co powie, będzie dla mnie wskazówką.

— Aha — rzekł Tayledras i zamilkł.

„Przecież nawet tygodnia nie spędziłem w jej towarzystwie” — pomyślał Skif. — „Mogłem sobie wyrobić całkowicie błędny pogląd”.

Tylko że ona ocalała mu życie, rzucając własne na szalę. Dla niego zwróciła się przeciw osobie, której całkowicie była podporządkowana — własnemu ojcu. Zaatakowała Mornelithe'a gołymi rękami... A może raczej pazurami...

Tego rodzaju myśli uzmysławiały mu dobitnie, jak bardzo Nyara musiała czuć się wyobcowana, lecz ani na jotę nie osłabiała to siły jego uczuć dla niej. Choć trudno mu było je nazwać.

„Ważne jest to, co stanie się z nią, co stanie się z nami, czy poradzi sobie z tym, co wyrządził jej ojciec i czy znajdzie dla siebie miejsce, gdzie ludzie ją przyjmą. Może nawet nas” — myślał.

Być może nie będzie to Valdemar, był na to przygotowany. Tam mogą nie być w stanie znieść kogoś o spiczastych, zakończonych pędzelkami z włosia uszach, kocich oczach i satynowo gładkiej skórze pokrytej bardzo krótkim futerkiem, które nie rzucało się w oczy, jednak było widoczne, jeśli się uważnie przyjrzeć. Heroldowie byli otwarci, lecz czy aż tak bardzo, by przyjąć kogoś, kto wygląda jak półzwierze?

Kiedyś jednak będzie musiał wrócić do domu...

Rozmyślał nad tym, póki Zimowy Księżyc nie potrząsnął go za ramię. Potem był zbyt zajęty zwijaniem biwaku i nocną drogą w ślad za zwiadowcą, by cokolwiek innego mogło zaprzętać mu głowę. A kiedy po raz wtóry stanęli obozem,

zmęczenie wzięło górę i zabrakło mu sił, aby o czymkolwiek myśleć.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dwaj myśliwi wyruszali w drogę około południa, by rozbić obóz około północy. Mając sowy do pomocy, Zimowy Księżyc lubił tropić dopiero, gdy zapadały ciemności. Stopniowo i Skif zaczął nabierać w tym wprawy, przyzwyczajając się do nocnych poszukiwań w lesie, choć oczywiście nigdy nie dorównałby w tym swemu towarzyszowi. Działanie w nocy miało swoje dobre i złe strony, jednak zdecydowanie przeważały te dobre. Dzięki zwiadowczym umiejętnościom K'Tathi i Corwitha nie mogło ich nic zaskoczyć ani łatwo posuwać się ich tropem. Niewiele stworzeń z upodobaniem polowało w nocy i choć były niesłychanie groźne, można się było mieć przed nimi na baczności. Tak więc przez kilka dni nie byli niepokojeni nawet przez insekty — czy to na szlaku, czy na biwaku. Skif wiedział jednak, że nie mogło to trwać w nieskończoność. Prędzej czy później natkną się na jedno z owych stworzeń, z powodu których Tayledrasowie musieli cofnąć granice swych ziem; prędzej czy później coś zaczną na nich polować.

Właśnie tym zaprzątnięte były jego myśli, gdy zatrzymali się przy tropie jelenia. Zimowy Księżyc wysłał sowy na poszukiwania niebezpiecznych obszarów oraz innych śladów, które w najbliższej okolicy mógł pozostawić ktoś niezbyt zręczny w poruszaniu się po lesie. Cymry zaczęła się lekko niepokoić, spoglądając od czasu do czasu do tyłu, jednak Zimowy Księżyc, siedzący spokojnie na Elivanie, nie wyglądał na zaniepokojonego.

Pierwszym znakiem, iż naprawdę dzieje się coś złego i że Cymry nie jest przewrażliwiona, była raptownie wyprostowana ręka Tayledrasa, na którą natychmiast usiadł Corwith, zleciawszy z nieba jak wystrzelony z procy, sycząc ze strachu i gniewu. Poproszony przez k'Sheyna Skif także wyciągnął rękę, gdy druga sowa zaczęła krążyć nad nimi wyraźnie przestraszona. K'Tathi usiadł na niej w chwilę później, zaciskając szpony na rękawicy, jakby to była ofiara. Sowa po raz pierwszy wylądowała na ręce Skifa, którego doświadczenia z sokolnictwem ograniczały się do polowań z kobuzami i pustułkami. Nie był zatem przygotowany na ciężar i siłę ptaka, wczepiającego się teraz w jego nadgarstek. Zaciskające się, nawet z umiarkowaną siłą, długie na kciuk szpony z łatwością mogły przebić grubą skórę rękawicy. Tym razem do tego nie doszło, jednak ptak z taką siłą objął rękę Skifa, że ten nie mógłby się go pozbyć. K'Tathi zasyczał gniewnie i odwrócił

głowę, wskazując kierunek, skąd przybył.

Herold nie zdążył nawet zapytać, co się stało, gdy Zimowy Księżyc zaklął pod nosem, a jego ogier dyheli zarzucił łbem i przysiadł na zadzie; w świetle księżycy załśniły jego rozszerzone strachem oczy. Tayledras z łatwością utrzymał się na grzebieniu, jedynie Corwith zatrzepotał dziko skrzydłami dla utrzymania równowagi.

Tilredan, drugi ogier, objuczony zapasami, spłoszył się. Tym razem zaklął Skif i nie zrobił tego bynajmniej pod nosem, a ledwie to uczynił, Zimowy Księżyc poszedł w ślady jucznego zwierzęcia, sam zaś herold zdążył usłyszeć w myśli jedynie ostrzeżenie Cymry: — *Trzymaj się!* — i Towarzysz z miejsca ruszył za nimi.

„Trzymać się? Z uwieszoną u ręki sową?” — Skif nie mógł się nadziwić.

Puścił bezużyteczne w takich sytuacjach wodze i wolną ręką schwycił łęk siodła, bardzo z siebie zadowolony, że nie przyjął dobrych rad Zimowego Księżycy i nie wymienił starego siodła Cymry na jego odpowiednik proponowany przez Shin'a'in, w wypadku którego trudno jest mówić o łękach. . .

K'Tathi nie puszczał jego ręki, jednak litościwie nie rozwinął skrzydeł dla zachowania równowagi. Wystarczyłoby jedno silne uderzenie potężnego skrzydła w głowę i Skif wylądowałby na ziemi, wywijając koźła przez zad Cymry. Sowa skuliła się tylko na jego nadgarstku, by stawiać jak najmniejszy opór powietrzu. Skif chętnie umieściłby ją bliżej ciała, jednak nie był pewny, jak K'Tathi odniesie się do tego pomysłu.

Co u li. . . — zaczął.

Jakaś sfora zwietryła nasz trop — uzyskał krótką odpowiedź. — Czegoś takiego dotąd jeszcze nie widzieliśmy, znane jest to jednak Zimowemu Księżycowi i pozostałym. Gorsze od wilków, gorsze od zmiennowilków. przebiegłe. Uciekamy tam, gdzie będziemy się mogli bronić. K'Tathi znalazł to tuż przed tym, jak Corwith dostrzegł sforę.

Mógł mieć jedynie nadzieję, że sowy miały takie samo pojęcie, co nadaje się do obrony, a co nie, jak oni: naga skała jest doskonała, o ile można się na nią wspiąć, dziupla też, pod warunkiem, że będzie wielkości domu, w innym wypadku lepiej bronić się na otwartym terenie. To samo odnosiło się do odległości.

Za ich plecami rozległ się niesamowity dźwięk. Nie było to ujadanie, wycie ani skowyt, lecz jakby wszystko razem. Odgłos wywoływał dreszcz na plecach, jeżyły się od niego włosy na głowie. Wydawało się, że wydobywa się z co najmniej ośmiu, dziewięciu gardeł. Skif spojrzął za siebie i nie zobaczył nic, jednak jego wyobraźnia zaludniła otaczający go mrok. Skoro rozróżnił osiem głosów, ile naprawdę liczyła ścigająca ich sfora? Dwanaście? Dwadzieścia? Pięćdziesiąt?!

K'Tathi mocniej przywarł do jego nadgarstka i zabójcze szpony przekłuły skórę rękawicy. Nie był to najlepszy sposób przenoszenia ptaka, a niemożliwym było wysłanie go w powietrze. Dyheli szybkością nie ustępowały Towarzyszom i pę-

dziły ile sił w nogach. Sowy nie mogłyby za nimi nadażyć, przedzierając się przez baldachim listowia, i dlatego rozpaczliwie wczepiały się w nadgarstki Skifa i Zimowego Księżyca. Jednak K'Tathi miał z tym sporo kłopotu. Jeśli zaciśnie szpony nieco mocniej. . .

Cymry! Możesz porozmawiać z K'Tathi? — zapytał gorączkowo.

Jej myślgłot wyrażał zaskoczenie i zniecierpliwienie tym z pozoru całkowicie nie na miejscu pytaniem.

Tak, lecz to nie czas. . .

Wpadł jej w słowo: — *Powiedz, by się nie ruszał, muszę coś zrobić, zanim przebije mi nadgarstek.*

Przyciągnął rękę do piersi, osłaniając ptaka swym ciałem, co sprawiło, że sowa poczuła się niepewnie, z dziobem wtulonym w jego tunikę, jednak K'Tathi wykazał niezwykłą zręczność i inteligencję i udało mu się jakoś odwrócić tak, że oparł się o Skifa ogonem i skrzydłami. Ptak nie musiał już walczyć z wiatrem o własnych siłach i bolesny ucisk jego szponów na nadgarstku herolda zelżał.

„Przynajmniej udało się uniknąć jednego kłopotu” — pomyślał.

Pod nogami czuł pracujące mięśnie Cymry, tętent kopyt zagłuszał wszelkie dźwięki, słysząc było jedynie przerażające ujadanie ścigających, które zdawało się być coraz bliżej. Skif nie zawracał Towarzyszowi głowy pytaniami, nie miało to znaczenia; albo uda im się dotrzeć do bezpiecznej kryjówki, albo nie.

Chciałby bardzo wiedzieć, jak daleko jest jeszcze do obiecanej kryjówki, wtedy mógłby ocenić, czy warto się wysilać, czy może lepiej zawrócić i stawić czoło niebezpieczeństwu.

Zazdrościł Zimowemu Księżycowi jego umiejętności widzenia w nocy, dla niego księżycowa noc pełna była nieprzeniknionych cieni. W otaczającej go czerni mógł skrywać się wróg, ale równie dobrze mogło tam nie być nikogo i kto wie, czy nie warto byłoby się w niej ukryć. Od księżyca bił jasny blask, jednak dość gęste jeszcze listowie nie pozwalało mu dotrzeć do ziemi.

Ścigająca ich sfera zawyła. Skif nie miał złudzeń, w jakim znaleźli się niebezpieczeństwie; stwory zbliżyły się do nich. Jeśliby spojrzął za siebie, mógłby je zobaczyć. Krzewy porastające ścieżkę wydawały się wcale nie utrudniać im pościgu, a raczej go ułatwiać. Dawno temu przekonał się, że znacznie łatwiej jest ścigać, niż uchodzić przed pościgiem.

Ostrożnie pochylił się nieco bardziej nad karkiem Cymry, by nie przygnieść sowy. K'Tathi wydawał się rozumieć jego zamiary i nie opierał się, jednak gdy było mu niewygodnie, ostrzegł Skifa, silniej zaciskając szpony. Herold czuł na twarzy i dłoni dotyk miękkich piór skulonego ptaka.

Podniósł oczy. Przed nimi, pomiędzy drzewami zamajaczyła szara, skalna ściana. W tym świetle bardzo przypominała kryjówkę, w której ukrywali się wraz z Elspeth po przybyciu na ziemię Tayledrasów. W chwilę później dostrzegł, że skałę rozcina podobne pęknięcie.

Ostatnio mnóstwo czasu spędzał na ukrywaniu się w skalnych szczelinach. W niepamięć poszły kryjówki w izbach, komnatach, za kotarami i pod sprzętami.

„Och, nie. Znowu?!” — przemknęło mu przez myśl, zanim Cymry zaryła się czterema kopytami w ziemię i stanęła obok dyheli. Okazało się, że sowy miały jakieś takie pojęcie o tym, co nadaje się na kryjówkę dla pozostałych członków wycieczki. W szczelinie będzie tłoczno, lecz lepsze to niż spotkanie w lesie z tym, co podążało ich tropem!

Stłoczyli się w wąskiej przestrzeni. Skała była wysoka co najmniej na dwa piętra, szczelinę zamykała od tyłu jeszcze wyższa kamienna płaszczyna. W środku skały Cymry ledwie mogła zawrócić, ale w tym wypadku im mniej było miejsca, tym lepiej, bo utrudniało to prześladowcom przełamanie ich obrony.

Stłumione pohukiwanie K'Tathi i dotknięcie główki sowy na piersi przypomniały mu o potrzebie uwolnienia ptaka. Uniósł rękę i niezdarnie wysłał go w powietrze z powodu ciasnoty, w jakiej się znaleźli i tego, że był znacznie cięższy od kobuza. K'Tathi niewiele skorzystał z jego pomocy w nabraniu powietrza w skrzydła. Uderzył Skifa skrzydłem w głowę, odzyskał równowagę i wyfrunął ze szczeliny w tej samej chwili, gdy u stóp skały pojawiła się sfera.

W ujadaniu zabrzmiała nuta tryumfu. Skif podniósł głowę. Coś dziwnego, żółtego przepłynęło przez krzewy i zatrzymało się.

„Dobrzy bogowie” — wyszeptał w duchu.

Umiejętność widzenia w nocy okazała się niepotrzebna. Od przeklętych stworzeń biła poświata. Teraz wcale nie był zachwycony, że może im się wreszcie dobrze przyjrzeć.

Stworzenia miały coś wspólnego z psami; były szczupłe, długonogie jak charity, miały krótkie uszy stulone przy czaszce, długie, węzowe ogony i spiczaste nozdrza. Ich lekko lśniaca, jasnożółta skóra pokryta była jednak łuskami. Z łbów, które były czymś pośrednim między łbem psa i węża, wyzierały oczy jarzące się siarkową żółcią, znacznie jaśniej od reszty ciała, i sterczały rzędy ostro zakończonych kłów.

Bestie wydawały się płynąć, a nie biec. Dotarły przed próg szczeliny i splótły się w uścisku, tworząc groźny, niecierpliwy, ruchliwy węzeł, konopny splot zakończony zębami. Siedlisko żmij. Myliły wzrok i otepiały zmysły swą hipnotyczną ruchliwością. Zimowy Księżyc zsunął się ze swego wierzchowca, a w chwilę później Skif poszedł za jego przykładem.

Bestie nie mogły dostać się do środka. Cymry i dyheli stały w pogotowiu, by poczęstować je swymi kopytami; Skif i Zimowy Księżyc sięgnęli po łuki do sajdaków przy siodłach. Uciekinierzy nie mogli opuścić swego schronienia.

Pat.

Skif naciągnął na łuk cięciwę i założył strzałę. Zimowy Księżyc jak cień powtórzył wszystkie jego czynności. „Doskonale, wiemy, gdzie jesteśmy, ale co dalej?” — pomyślał Skif.

— Co to jest? — zapytał szeptem, nie spuszczać oka z krążących nieustannie przed progiem szczeliny bestii. Zamrugał powiekami, bo od patrzenia na nie zaczął mu się mącić wzrok. Nie wiedział: zmęczenie to, czy umyślne działanie stworzeń?

— Wyrsa — odparł Zimowy Księżyc. Celował i na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka. Wypuścił strzałę, lecz wyrsa, w którego była wymierzona, uskoczył w chwili, gdy grot dosłownie dotknął jego boku. Gdyby tego na własne oczy nie zobaczył, Skif nigdy by w coś takiego nie uwierzył. W życiu nie widział stworzenia, które byłoby tak zwinne i szybkie.

Zimowy Księżyc mruknął coś pod wąsem. Tych słów z języka Tayledrasów Skif nie znał, jednak domyślił się, co mogły znaczyć.

K'Sheyna nasadził kolejną strzałę i wycelował, jednak nie wystrzelił od razu.

— Nie dysponują magicznym orężem, ale też i niełatwo się zniechęcają. Ich kły są zatrute — wyjaśnił, przyglądając się krążącym bestiom. — Zwietrzywszy ofiarę, nigdy się nie poddają. Potrafią oszukiwać wzrok i, jak sam widziałeś, są szybkie i zwinne. W pojedynkę nie są uznawane za wielkie zagrożenie, lecz w sforze są niepokonane.

— Wspaniale! — dodał po chwili Skif. — Co z nimi zrobimy?

— Zabijemy — lakonicznie odpowiedział Zimowy Księżyc i wypuścił strzałę. Tym razem, choć bestia, w którą wymierzył, uniknęła strzały, druga, znajdująca się za nią, nie zdołała uskoczyć i grot utkwiał w jej piersi.

W wypadku innego stworzenia rana mogłaby nie być śmiertelna. Skif nie zauważył krwi i sądził już, że bestia strząśnie z siebie strzałę, która, zdawało się, trafiła w serce. Jednak ofiara zamarła na moment, milcząco rozwierając paszczę, i upadła na bok. Światło zgasło w jej oczach i w chwilę później zgasła żółta poświata skóry, i tylko księżyc oświetlał szary kształt na ciemniejszej ziemi.

Cała sfora uskoczyła w bok, byle jak najdalej od martwego ciała. Na chwilę bestie zamarły w zupełnej ciszy.

Skif pomyślał, że być może Zimowy Księżyc mylił się, i po śmierci jednej bestii reszta sfory pójdzie w rozsypkę.

Jednak wyrasy tylko spojrzwały z nienawiścią na k'Sheyna i wzniosłszy w niebo ostro zakończone pyski, zawyły.

Z tak bliska ich wycie okazało się znacznie gorsze. I nie tylko włos się od niego jeżył: wdzierające się w uszy dźwięki wywoływały zawroty głowy i nudności. Sfora wyrasy rozpoczęła na nowo swój taniec, od którego znów mąciło się w oczach i Skif wypuścił nałożoną na cięciwę strzałę na chybił trafił, nawet nie mierząc.

Dopisało mu jednakże szczęście. Dwie bestie uskoczyły w bok, odstawiając przed strzałą trzecią. Drugie ciało upadło na ziemię, blaknąc tak samo, jak stwór trafiony najpierw. Sfora przestała wyc i pośpiesznie usunęła się z drogi. Zgromadziła się u wylotu ścieżki i wlepiła oczy w swe zapędzone w kozi róg ofiary.

Skif odniósł nieprzyjemne wrażenie, że za jarzącym się żółcią wzrokiem kryje się sprytny umysł, zajęty oceną ich szans.

„Dwie padły, ile jeszcze?” — zapytywał siebie — „Trudno jest ocenić, ile ich tam jest. Od ich widoku mąci się w oczach”.

Sfóra znowu podeszła bliżej. Jednak tym razem ostrożniej, zachowując między sobą większe odstępny, aby unikać strzał i nie wystawiać siebie wzajemnie na szwank. Skif i Zimowy Księżyc wystrzelili jeszcze pięć czy sześć razy, tym razem jednak bez powodzenia, ale na szczęście bestie przestały wyć. Skif nie sądził, żeby długo mógł jeszcze to wytrzymać. Po ostatniej, niecelnej salwie Zimowy Księżyc nasadził strzałę, lecz nie napiął cięciwy, a tylko spojrzął kątem oka na współtowarzysza.

— Masz jakiś pomysł?

Skif potrząsnął głową. Choć bardzo się starał, nic nie przychodziło mu do głowy. Zimowy Księżyc wykrzywił w grymasie twarz.

Kiedy zaprzestali ostrzału, jedna z bestii wysforowała się przed stado i przywarła przed wejściem do szczeliny, jakby coś sprawdzała. Gdy nie zareagowali, reszta po kolei zaczęła się do niej przyłączać, póki wszystkie nie stanęły u wejścia do ich kryjówki. Skif skorzystał z okazji, by je policzyć. Doliczył się ośmiu.

Bywał w gorszych opałach, jednak nigdy nie stawiał czoła przeciwnikowi tak zwinnemu jak te stwory.

„Jesteśmy w mniejszości” — stwierdził.

— Gdyby to była pieśń — westchnął — pomoc w tej właśnie chwili wyszłaby spomiędzy drzew: jakieś stado dyheli, które szarżując rozdeptałoby wszystko na swojej drodze, albo mag zabijający piorunem.

— Gdyby to była pieśń — wymamrotał Zimowy Księżyc, nie spuszczać stworów z oczu — bestii nie miałyby się strzelać.

„Gdybyśmy mogli odwrócić ich uwagę, trafilibyśmy kilka, zanim połapałyby się, o co chodzi” — pomyślał Skif. Po chwili zapytał na głos: — Czy K'Tathi i Corwith dadzą radę przed nimi uciec? Czy mogą zlecieć i zaatakować ich głowy, oczy, zając je czymś w czasie, gdy my będziemy strzelać?

Zimowy Księżyc mocno pokręcił głową.

— Nie — odparł. — Sowy potrafią być bardzo zwinne w powietrzu i ciche, lecz nie szybkie. Jeśliby zaatakowały wyrusa, bestie by je na pewno pochwyciły. Nie poproszę ich o to.

„Ha, to był niezły pomysł. Chyba że... Tak, one wcale nie muszą atakować, aby odwrócić uwagę tych bestii”. — nie dawał za wygraną Skif.

— Dobrze, ale co powiesz na to — zastanawiał się głośno myśląc. — Czy mogą latać tuż poza ich zasięgiem i syczeć, zmuszając je do odwrócenia od nas oczu, prowokować do skoku, udawać, że uderzają, cały czas znajdując się poza ich zasięgiem?

— Nie na tyle długo — zasepił się Zimowy Księżyc — byśmy mogli ustrzelić wszystkie wyrsa.

— Możemy wystrzelić wszystkie strzały, poczekać, wysłać ponownie sowy, a potem ruszyć na nie ławą razem z Cymry i dyheli. — Skif doskonale wiedział, jak skuteczne mogły okazać się podkowy i kopyta w starciu z pojedynczą wyrś. Zmniejszyłoby to liczbę napastników, z którymi musieliby sobie razem z Zimowym Księżycem poradzić. — Zawsze możemy tutaj wrócić.

— Warto spróbować. — Zimowy Księżyc i Skif stali, nie zdejmując strzał z cięciw. Nagle dwa białe widma sfrunęły z pogrążonych w ciemności wierzchołków drzew, pohukując i sycząc. Przestraszone wyrś spojrzały w górę, sowy wykonały nawrót. Za trzecim razem, pomimo że sowy znajdowały się poza ich zasięgiem, wyrś, rozdrażnione ich bliskością i dźwiękiem, straciły nad sobą panowanie. Przestały zwracać uwagę na kryjące się w szczelinie ofiary i zaczęły skakać w kierunku ptaków.

Zimowy Księżyc odczekał jeszcze chwilę, by tym bardziej ich uwagę pochłonięły nowe ofiary, a potem naciągnął łuk i wystrzelił ostatnie trzy strzały tak szybko, jak tylko potrafił. Skif zrobił to samo.

Wyrśa szybko zapomniały o sowach, ale było już za późno. Wszystkie strzały sięgnęły celu: dwie bestie padły na ziemię trafione śmiertelnie, cztery były ranne. Wyglądało na to, że tylko strzały w samo serce mogą je zabić. Ranne stwory kulały, lecz nie krwawiły, a po chwili odgryzły sterczące w przednich lub tylnych łapach brzechwy. To je rozgniewało jeszcze bardziej. Skif poczuł na skórze ich wzrok, nienawiść bijącą z ich oczu łatwo było wyczytać. Kiedy odłożył łuk i dobył miecza, wydawało mu się, że dostrzegł w nich zadowolenie.

Zimowy Księżyc także uzbroił się w miecz. K'Tathi i Corwith sfrunęli ponownie, niepokojąc bestie z powietrza i trzymając się poza zasięgiem ich paszcz. Skifowi wpadło do głowy, że wyrśa nie nabiorą się na ten sam fortel dwa razy, jednak stwory najwyraźniej nie domyśliły się związku między sowami i atakiem, albo też po wystrzeleniu wszystkich strzał doszły do wniosku, iż następny atak pod osłoną sów jest już niemożliwy i zirytowane dręczycielami z powietrza, szybciej niż się tego Skif spodziewał, całą uwagę skupiły na ptakach. Wtedy Zimowy Księżyc dał sygnał do szarży.

Cymry, większa i cięższa od dyheli, wpadła galopem w sam środek sfory, tratując i kopiąc. Zawróciła i szybko schowała się bezpiecznie w szczelinie. Tuż zza niej wybiegły dyheli i stratowały wyrś, która uszła spod kopyt Towarzysza. I one wróciły do kryjówek. Dopiero za nimi, wywijając mieczami, uderzyli na sforę Skif i Zimowy Księżyc.

Świat Skifa zawęził się. Byli w nim tylko wrogowie i on, nikt ani nic więcej. Jak zawsze zniknął gdzieś strach, a jego miejsce zajęło zimne wyrachowanie, które miało trwać tak długo jak bitwa. Talia powiadała, że w takich wypadkach ogarniało go chwilowe szaleństwo, był wtedy wyprany ze wszelkich uczuć i bez-

litosny jak płatny morderca. Nie zawsze tak było, jednak tak jak wielu w Valde-marze, wojna z Ancarem odmieniła i jego.

Umknął przed wyszczerzonymi kłami i odciął łeb jednej z bestii. Dwie inne rzuciły się na niego, charcząc. Ich zatrute kły połyskiwały w księżycowej poświacie, ale jeden z dyheli kopnięciem odwrócił uwagę pierwszego, zostawiając Skifowi czas na zadanie śmiertelnego pchnięcia stworowi, który kulejąc, nie zdążył już odskoczyć przed sztychem.

Cymry zarżała ostrzegawczo i herold uskoczył przed stworem uchodzącym spod kopyt dyheli. Zamachnął się, trafił go płazem miecza i posłał wprost pod kopyta Towarzysza. Cymry wdeptała go w ziemię przy wtórze gruchotanych kości i pękającej pod kopytami czaszki, gdy próbował złapać ją zębami.

Skif kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie i trzecim pchnięciem powalił wyrsę, która szykowała się do skoku na plecy Zimowego Księżyca. Nie udało mu się zadać śmiertelnego ciosu, jedynie odciął bestii przednią łapę, lecz to wystarczyło, by ją unieszkodliwić. Dobił ją k'Sheyna w momencie, gdy Skif rozglądał się w poszukiwaniu następnego przeciwnika.

Nie znalazł nikogo.

— Udało się. — Skif sam ledwie mógł w to uwierzyć, wszystko odbyło się tak szybko. Wsparł się na mieczu, ciężko dysząc. Serce podeszło mu do gardła na wspomnienie, jak niewiele brakowało, żeby w jego ciało wbiły się zatrute kły. Naprawdę niewiele brakowało; spodnie w jednym miejscu miał rozdarte, tunikę rozszarpaną pazurami.

— Mieliliśmy szczęście — skwitował jego słowa Zimowy Księżyc. — Ogromne szczęście. Albo były to bardzo głupie wyrsa, albo zostały kompletnie zaskoczone naszą taktyką. Dotknięcie ich zębów powoduje rozkładanie się ciała. Ich ukąszenie jest znacznie gorsze od ukąszenia węży. Wyrsa często krąży w stadach dwa razy większych od tego. Gdybyśmy mieli do czynienia z jeszcze większą sforą, wtedy nie pokonalibyśmy ich tak łatwo.

Skif skinął głową. Gorączka bitewna, która dotąd dodawała mu sił, opuściła go. Stał, ciężko dysząc, na uginających się ze zmęczenia kolanach. Garścią suchej trawy otarł klingę i opadł pod skałą, która udzieliła im kryjówki.

— O niebios! Nie! Wystarczyłaby jeszcze tylko jedna bestia, a chyba nie dalibyśmy rady. W życiu nie widziałem nikogo ani niczego, co by poruszało się tak szybko. — Powiedziawszy to, zamknął zmęczone oczy.

— Myślę — głos Zimowego Księżyca świadczył, że był tak samo wyczerpany jak Skif — że warto rozbić w tym miejscu obóz.

Gdy pozbyli się ciał wyrsa, wrzucając je w las od zawietrznej strony na pastwę padlinożerców, k'Sheyna rozpalił ogień. W ciemności uporanie się ze stworami nie było najłatwiejszym zadaniem, gdyż wyrsa okazały się cięższe, niż na to

wyglądały, a ich kły nawet po śmierci były wciąż trujące. Pozostawiwszy ciała na skraju lasu, zebrali strzały i groty, które udało im się znaleźć. W jukach mieli ich zapas, jednak każda brzechwa była cenna, każdy grot mógł okazać się potrzebny. Kiedy przed szczeliną skalną zapłonął ogień, w mroku rozgrywała się już walka o szczątki pomiędzy jakimiś piszczącymi i poszczekującymi stworzeniami. Skif zastanawiał się, czy będzie miał odwagę zasnąć. Co rusz rozglądał się dookoła, spoglądał w las, skąd dobiegały odgłosy, choć wiedział, że niewielką ma szansę dostrzec cokolwiek. Miał nadzieję, że nie zwabili czegoś zbyt wielkiego. . .

— Będziemy czuwać, póki szczątki nie zostaną stąd porwane — powiedział zwiadowca, jakby w odpowiedzi na jego myśli. Przestraszony szybko opuścił Skifa. Zimowy Księżyc musiał wyczytać jego myśli z twarzy. — Gdy ciała znikną, odejdą i padlinożercy, do tego czasu nie zbliżą się zbyt blisko do ognia, są płochliwe i boją się go. Lepiej jednak nie odchodzić od ogniska.

Sokoli Brat usiadł na zwiniętym kocu. Sięgnął do jednego z juków, wydobyl szerniałą od ognia parę niewielkich kociołków i oba napełnił wodą pochodzącą z zapasów. Spojrzał na Skifa, który przyglądał mu się z zaciekawieniem.

— Skoro jesteśmy przywiązani do ognia, możemy to wykorzystać — powiedział. — Sowy muszą zatroszczyć się o własne żołądki, są zbyt znużone, by myśleć i o nas. Wolałbym nie korzystać z zapasów, jednak nie mamy wyboru.

Mówiąc to, wydobyl z worka płat suszonej dzicyzny i kilka innych rzeczy. Pokruszył mięso i wrzucił je do jednego kociołka, z którego już wydobywała się para. Dodał jeszcze kolorową zawartość papierowej paczuszki oraz szczyptę ziół. W drugim kociołku wylądowały także zioła, suszone owoce oraz kilka małych, okrągłych kawałków, których Skif nie rozpoznał.

— Mogę pomóc? — zapytał. — Ostrzegam jednak, że zwykle psuję wszystko, co gotuję własnoręcznie, ale mam nadzieję, że pod twoim okiem to, co przygotuję, będzie nadawało się do spożycia. . .

Zwiadowca roześmiał się i podał mu drewnianą łyżkę. Skif otulił się nieco szczelniej płaszczem i zamieszkał we wskazanym kociołku. Z przyjemnością wchłaniał ciepło ogniska. Choć nie było wiatru, powietrze było chłodne. Spodziewał się, że rano ziemię pokryje gruba skorupa szronu.

— Tego mi było trzeba — przerwał milczenie Zimowy Księżyc. — Często wyruszam samotnie. Hertasi raczej nie wyściubiają nosa poza Dolinę lub własne skupiska. Związki też należały do ulotnych, a więc nigdy nie miałem z kim dzielić. . . domowych obowiązków.

— Przebacz, jeśli jestem wścibski — odezwał się Skif — lecz trudno mi jest sobie wyobrazić dlaczego. Wydawałoby się, że jesteś lubiany.

Zimowy Księżyc chrząknął uprzejmie.

— Hm, wśród zwiadowców nie znalazł się nikt, kto chciałby nawiązać trwałą związek z kimś, kto uwielbia niebezpieczne wyprawy po nocy, żadnej zaś kobiecie klanu ani przez myśl nie przyjdzie związać się z kimś, w kim nie ma odrobiny

magii.

— Ależ w tobie jest magia — zaprotestował Skif. — O wiele więcej niż we mnie.

— Zgodnie z tym, co mówi Gwiazdne Ostrze, nie zasługuje to na miano magii. — Zimowy Księżyc wzruszył ramionami. — Nie wiem, co o tym sądzi się w innych klanach, jednak tak to już jest w k'Sheyna.

Skif zapamiętałe mieszał w kociołku, starając się wykoncypować, jak by tu taktownie wypytać o Gwiazdne Ostrze. Mroczny Wiatr był tak ucieszony uwolnieniem ojca, że najpewniej nie będzie szukał niczego głębiej, tymczasem Skif nie ufał zdolności Gwiazdnego Ostrza do właściwej oceny swych słabych i mocnych stron. Nigdy nie był specjalnie za pan brat z taktem, a więc koniec końców przestał łącać sobie głowę i postanowił zapytać wprost.

— Co myślisz o Gwiazdnym Ostrzu? Chodzi mi o to, czy uważasz, że można nim manipulować. Ufasz mu?

— Ni mniej, ni więcej, tylko to samo — padła zaskakująca odpowiedź. — Niezbyt często zaprzętałem sobie nim myśli. Zdemaskowanie go niewiele zmieniło pomiędzy mną a Gwiazdnym Ostrzem, żeby nie wspomnieć o Mrocznym Wietrze.

— Jednak... — zaczął Skif. Zimowy Księżyc na chwilę oderwał oczy od tego, co robił i spojrzał przelotnie na niego, ale w migoczącym świetle ognia trudno było odczytać wyraz jego twarzy.

— Gwiazdne Ostrze wyrzekł się mnie, gdy okazało się, że nie ma we mnie prawdziwej magii — odpowiedział starannie dobierając słowa. — Naprawdę chcesz się o tym dowiedzieć? To nic szczególnie zajmującego.

— Pozwól, że sam to osądzę. — Skif starał się być równie ostrożny. — Pomóż mi to zrozumieć k'Sheyna.

Zimowy Księżyc uniósł brew, ale nie wygłosił już żadnej uwagi.

— Moja matka — zaczął — była magiem k'Treva i przybyła do k'Sheyna w poszukiwaniu ojca dla dzieci spoza klanu. Dobiła targu z Gwiazdnym Ostrzem, umawiając się, że powije bliźnięta: chłopca i dziewczynkę. Chłopiec miał pozostać w k'Sheyna, dziewczynkę matka miała wziąć ze sobą. Nie wiem, czy moja siostra posiada magiczną moc, ja jej nie mam, i jak się dowiedziałem, bardzo rozczarowałem tym mego ojca. Wiedziałem, że jest moim ojcem tylko z przekazu, bo widywaliśmy się bardzo rzadko.

— Przynajmniej wiesz, kto jest twoim ojcem — odparł Skif, zaskoczony gorczyczą we własnym głosie. — Ja nie wiem. Nie wiem, czy mam rodzeństwo. Matka nigdy nie pofatygowała się mi o tym powiedzieć, była zbyt zajęta wychowywaniem mnie na kieszonkowca. Pewnego dnia ktoś postanowił się jej pozbyć — złodziej konkurent — i stałem się zdany wyłącznie na własne siły.

Zacisnął mocno usta, wstrząśnięty tak szczerym wyznaniem w obliczu niemal obcego, na co się nie zdobył dotąd przed nikim z wyjątkiem najdroższej przyjaciółki Talii.

— Ty byłeś miejskim złodziejaszkiem? — Zimowy Księżyc zdawał się być niesłuchanie zaintrygowany. — Chciałbym kiedyś o tym posłuchać. Nigdy nie widziałem miasta.

— Niewiele straciłeś — odparł herold. — Miasta wcale nie są tak bardzo interesujące. Dużo bym dał, by mieć brata.

Tayledras ponownie spuścił oczy. Pozornie całą uwagę zwiadowcy znów pochłaniało przygotowanie posiłku. — Ja mam przynajmniej Mroczny Wiatr, to prawda. Naprawdę cieszę się, że jestem od niego starszy: gdybym był młodszy, mógłbym go znienawidzić za to, że skradł mi miłość i opiekę ojca. Jednak byłem dostatecznie dorosły, by zrozumieć, że za to, co się stało, nie należy winić nikogo, że bez magii zawsze byłbym dla Gwiezdnego Ostrza zawadą, przypominałbym mu nieustannie o jego osobistej porażce, a Mrocznego Wiatru nie można obarczać większą winą niż magię, która nie zechciała się we mnie ujawnić. Mimo wszystko staram się trzymać na uboczu. Zazdrości ulega się łatwo, a ona często staje się zarzewiem czegoś gorszego.

Westchnął, a Skif pokiwał głową. Przez chwilę patrzył nieruchomym wzrokiem w ogień.

— Sądzę, że zawsze będę miał mieszane uczucia wobec Mrocznego Wiatru. Kocham go. Kiedy był dzieckiem, łatwo było go kochać, bo miał radosne usposobienie, a jego matka traktowała nas tak, jakbyśmy obaj byli jej synami. Nawet kiedy dorósł, nigdy nie okazywał pychy. Uwielbiał uczyć się rzeczy, które można osiągnąć, i nigdy nie popisywał się przede mną, jak to nieraz się czyni. Magia była dla niego ogromną i trudną łamigłówką. Mimo to wszystkiemu towarzyszyła zazdrość...

— Nie wydaje mi się, abyś mógł się przed tym uchronić — cicho powiedział Skif, mając nadzieję, że nie wytrąci zwiadowcy z nastroju sprzyjającego zwierzeniom. Jego słowa były bardzo ciekawe, dzięki nim mógł wyrobić sobie zdanie na temat zawilej sytuacji wewnątrz klanu.

— Och, ja jestem zazdrosny. — Lekki ton głosu Zimowego Księżyca wcale nie zwiódł Skifa. — Mrocznemu Wiatrowi tak wiele przychodziło tak łatwo: i więź-ptak, i magia. Ja musiałem o wszystko walczyć, często bez nadziei, że coś osiągnę. Na przykład o kobiety. Jeśli odniosłeś wrażenie, że on może zdobyć każdą kobietę w Dolinie, nie mylisz się. Ma to wiele wspólnego z tym, że był, a raczej jest, potężnym magiem.

Zaczekali w milczeniu, by ugotował się ich posiłek, i zjedli go bez słowa. Ciszę przerwał Zimowy Księżyc.

— Wydaje mi się, że za dużo powiedziałem. Teraz będziesz miał o mnie jak najgorsze zdanie. Zazwyczaj nie rozmawiam o tym nawet z najbliższymi przyja-

ciółmi. Nie wiem, co mnie podkusiło.

— Może to, że jesteśmy do siebie bardziej podobni, niż nam obu mogłoby się wydawać — odparł Skif. — Jeśli nie masz nic przeciw temu, to chciałbym coś powiedzieć. Gnębi mnie coś już od dłuższego czasu, a w domu nie mam nikogo, z kim mógłbym pogadać. Zresztą i tak by nie zrozumieli. — Spojrzał prosto w oczy Zimowego Księżycyca. — Sądzę, że ty mógłbyś.

Może Zimowy Księżyc był tak bardzo obcy, chociaż jednocześnie tak bardzo do niego podobny; może związane to było z próbą, jaką musiał ostatnio przejść klan; może chwila była odpowiednia, Skif nie miał pojęcia, ale na skinienie głową Zimowego Księżycyca nabrał powietrza do płuc i zaczął w prostych, przejmujących słowach opowieść o tym, jak zawiódł.

— Jak wiesz, prowadzimy wojnę z krainą położony na wschód od nas.

Zimowy Księżyc milcząco przytaknął.

— Powiedziałem już, że dawniej byłem złodziejem, stąd przez jakiś czas pracowałem przy granicy, bo przyzwyczajony jestem robić rzeczy wymagające umiejętności, których zazwyczaj heroldowie nie posiadają. — Zamilkł na chwilę, starając się zapanować nad głosem. — Miałem pomagać ludziom uciekającym przez granicę. Współpracowałem z pewnymi rodzinami, które przygotowywały kryjówki dla zbiegów. Mieszkałem razem z jedną z takich rodzin. Mąż polował na zwierzynę, żona zbierała dzikie zioła, jakich nie można było zasadzić w ogrodzie. Mieli dwoje dzieci, starszego chłopca i dziewczynkę. Byli dla mnie rodziną, której, jak wiesz, nigdy nie miałem.

Zimowy Księżyc pokiwał głową ze zrozumieniem. — Tak jak matka Mrocznego Wiatru dla mnie.

— Tak jest. — Skif poczuł ucisk w żołądku i dławienie w gardle. — Nigdy nie przypuszczałem, że spodoba mi się życie w samym środku głuszy. Przekomarzałem się z nimi, że są zacofani, lecz naprawdę ich polubiłem. Pewnego dnia dotarła do nas wieść, że ktoś oczekuje na przeprowadzenie go przez granicę. Poszedłem, aby go odebrać. Do licha, jeśli on nie przypominał mnie! Ta sama przeszłość, złodziejasek przed wstąpieniem do armii Ancara.

„Ufałem mu, powinienem domyślić się. Powinienem, ale polubiłem go i zaufałem mu...” — pomyślał.

— Musiał poczekać kilka dni, aby bezpiecznie przekroczyć granicę. Odbyliśmy wiele rozmów.

„Zachowywał się tak samo jak ja. Żartował z dziećmi, pomagał w obejściu, ale ja powinienem był wiedzieć...” — Dla Skifa sprawa ta wciąż była bolesna.

— Tak czy siak w końcu odszedł. Myślałem, że przekroczył granicę. Zostałem go, bo musiałem odwiedzić rodzinę, u której zatrzymał się poprzednio, zanieść im wieści i pieniądze. To wtedy się dowiedziałem...

— Że ich tam już nie ma — wtrącił Zimowy Księżyc. — Że ten przymilny znajomek jest zdrajcą.

— Jak się tego domyśliłeś? — Zwiadowca skrzywił się, widząc zdumienie Skifa.

— Bo mam o wiele więcej lat od ciebie, więcej niż ci się wydaje — powiedział łagodnie Sokoli Brat. — Niejedno w życiu widziałem. Zapomniałeś już, kto był mimowolnym zdrajcą w samym łonie naszego klanu. Zdrajca może być tylko ktoś układny i przymilny, w istocie będąc zupełnie kimś innym. Trzeba być wybitnym aktorem, osobą ciepłą, ludzką na zewnątrz, ale w środku mieć zimne, twarde serce. Były złoczyńca świetnie się do tej roli nadaje. — Obrzucił Skifa zamyślnym wzrokiem. — Nie sądzę, aby on mógł być złodziejem, choć z pewnością w jakiś sposób był z nimi związany, by móc wymieniać z tobą opowieści. Z pewnością był kimś znacznie gorszym, mordercą zabijającym ofiary z zimną krwią.

Skif zamrugał oczami, starając się uporządkować myśli. Do głowy przyszło mu jedynie pytanie: — Ile masz lat?

Zimowy Księżyc nie wydawał się zaskoczony tym niespodziewanym pytaniem. — Jesteś chyba rówieśnikiem Mrocznego Wiatru, tak mi się wydaje. Ja jestem starszy od niego o szesnaście lat. — Uśmiechnął się kpiąco. — Trudno jest na oko poznać wiek Tayledrasa, nawet jeśli należysz do klanu.

— Och! — Skif starał się jakoś pozbierać rozbiegane myśli, aby dalej snuć swą opowieść, której najgorsza część miała dopiero nastąpić.

— Wróciłem... wróciłem najszybciej, jak potrafiłem... ale... — Zamilknął na chwilę, gdyż żal ścisnął mu gardło. Nie zamknął jednak oczu; gdyby to zrobił, ujrzaliby ich ponownie, wiszących u stropu własnej szopy. Zobaczyłby, co wyrządzili im siepacze Ancara, zanim ich powiesili. W nocy do tej pory nachodziły go koszmary. — Ocalała jedynie dziewczynka, rodzinie udało się ją ukryć, nim pochwycili ich żołnierze. Znalazłem ją w lesie — „Bogom niech będą dzięki, że niczego nie zobaczyła” — myślałem w duchu — nie dowiedziała się, co ich spotkało”. — Przeprowadziłem ją przez granicę, zostawiłem wśród przyjaciół. Potem... potem wróciłem. Złamałem rozkaz. Ten drań nie powinien mi tyle opowiadać, nie domyślał się nawet, że ujawnia wskazówki, a ja znam miasta.

„I zanim go zabiłem, postąpiłem z nim tak samo, jak on postąpił z nimi” — dokończył, ale już w myśli.

Zimowy Księżyc pokiwał głową i czekał na dalszy ciąg opowieści.

Skif zawahał się, ale nie powiedział tego, o czym przed chwilą pomyślał. — Nikt nie pisnął słówkiem, choć musieli wiedzieć, co zrobiłem. Lecz przysięgam, gdyby było trzeba, zrobiłbym to raz jeszcze...

— Jednak część ciebie jest chora — miękko powiedział Tayledras. — Może wymierzyłeś okrutną sprawiedliwość; może postąpiłeś zbyt surowo. — Zamilkł, wpatrując się w niebo. — Jednak lepiej jest zabić od razu — dokończył. — Bo inaczej popełniamy błąd. Istota, którą opisałeś, nie była przy zdrowych zmysłach, nie bardziej niż Mornelithe Zmora Sokołów. Tymczasem nie zadaje się cierpień istotom szalonym, których nie można ocalić. Trzeba je po prostu zabić, aby nie

zarazić się ich szaleństwem.

Skif nie posiadał się ze zdumienia.

— Po tym wszystkim, co wyrządził twemu ludowi... gdyby Mornelithe stanął oko w oko z tobą... .

— Po prostu zabiłbym go — powtórzył głośno Zimowy Księżyc. — Otrzymałem tę lekcję, gdy miałem niewiele więcej lat od ciebie, biorąc odwet na niesłuchanie głupim rzezimieszku, który dręczył hertasi, zabijał i obdzierał ze skóry. Torturowanie tego rodzaju osobników nie zda się na nic: niczego się nie nauczą, sam za to upodabniasz się niejako do nich. To właśnie jest źródłem twojej udreki, Skrzydlaty Bracie. Zawsze o tym wiedziałeś, prawda?

Skif zwiesił głowę i przymknął oczy. — Tak — wyznał po chwili. — Wiedziałem.

Zimowy Księżyc odczekał chwilę i dokończył: — To, co się stało, podyktował gniew, a gniew odbiera rozum i mąci spojrzenie. Spójrz, teraz stało się to dla ciebie źródłem strapienia. Nie zapomnij lekcji, Skrzydlaty Bracie, lecz nie pozwól, by zżarła cię ona od środka jak zaraza; niech odejdzie, nie zapomnij jednak o nauce.

Skif odprężył się. Nie przypuszczał nawet, że był tak bardzo zdenerwowany. Poczul ulgę, w końcu udało mu się przed kimś zwierzyć. Zimowy Księżyc większości domyślił się sam i Skif nie musiał wdawać się w szczegóły. Przekonał się, że nie on jeden dopuścił się nieprawości.

„Wziąłem odwet na niesłuchanie głupim rzezimieszku, który dręczył hertasi, zabijał i obdzierał ze skóry” — przypomniał sobie.

Nigdy by tego nie podejrzewał, sądząc po niewinnym wyglądzie Zimowego Księżyca.

— Inni przebaczą ci, Skrzydlaty Bracie — cicho dodał Tayledras — lecz sobie jedynie ty sam możesz wybaczyć. Nie wolno ci nigdy zapomnieć.

— Nie zapomnę. — Skif przyrzekł to nie tyle sobie, co Zimowemu Księżycowi. — Nie zapomnę... — Potrząsnął głową, starając się przy okazji zebrać myśli. — Jednak potem postarałem się o przydział do stolicy. Odeszła mnie ochota na dalsze przygody.

Zimowy Księżyc roześmiał się. — W takim razie, Skrzydlaty Bracie, co robisz tutaj?

— Nie mogłem odmówić Elspeth. To dziwne, jak wbrew własnemu przecu-
ciu, że szansę są marne, idziesz za czymś, co cię pociąga. Wiem o tym od dawna, jednak sam przed sobą się nie przyznawałem. Elspeth zaplanowała już swoje życie, a mnie nie przypadła w nim rola ukochanego. Czuję jednak, że jestem jej potrzebny. W tę podróż mogła wyruszyć pod warunkiem, że odbędzie ją razem ze mną. — Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. — Jednakże kiedy będzie już po wszystkim, jeśli będzie mi to dane, to chciałbym mieć dom taki jak ta rodzina, może to dla mnie, a może dla ich upamiętnienia. — Skif wydał wargi i spojrzał na zwiadowcę. — Och, zapewne będzie ze mnie okropny mieszkaniec wsi, sąsiedzi

będą się ze mnie śmiali, ale warto spróbować. Chciałbym mieć dom. Rodzinę. — W jego uśmiechu pojawił się smutek. — Nikt w stolicy by mi nie uwierzył.

— Dość napatrzyłeś się już na krew i śmierć — skwitował Zimowy Księżyc. — Brałeś udział w bitwach?

— Tak. — Intuicja Zimowego Księżyca po raz kolejny zdumiała Skifa. Chyba że było w tym coś innego? — Czy ty rozmawiałeś z Cymry?

Tayledras kiwnął głową i pogrzebał w ognisku.

Powiedziałam mu tylko o kilku rzeczach. — Cymry wcale nie była skruszona. — *Kiedy zaczęłaś rozmowę i zaczęło zanosić się, że powiesz o „tym”, szepnęłam mu to i owo.*

Dlaczego? — Nie gniewał się, Cymry była tak częstym gościem w jego myślach, że stała się ich częścią. Była jego najdroższym i najlepszym przyjacielem, kochał ją tak bardzo, że wolałby poświęcić prawicę, niż ją utracić. Wiedział, iż nigdy w żaden sposób nie mogłaby go skrzywdzić. Wzięła udział w zemście, choć nie znała planu do końca. Nawet wtedy, gdy pochwycił tego drania i go zabił. Zachowała milczenie, choć początkowo protestowała. Nie sądził, by kiedykolwiek zdradziła jego tajemnicę jakiegokolwiek Towarzyszowi. A więc dlaczego ujawniła ją dzisiaj?

Bo uznałam to za rozsądne. Czuję, że jesteś gotowy o tym porozmawiać, i że on będzie dobrym słuchaczem — odparła rzeczowo. — *A i tobie nie tylko rozwiązał się wreszcie język, lecz także byłeś gotowy słuchać. Myliłam się?*

Potrząsnął głową. — *Nie, miałaś rację. Dziękuję, kochana.*

Zimowy Księżyc milczał podczas ich rozmowy, spoglądając to na Skifa, to na Cymry. Kiedy Towarzysz pokiwał łbem, westchnął, a na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech. — Mam nadzieję, że nie gniewasz się na nas — powiedział na poły przepraszająco. — I ja odbyłem podobną rozmowę z Lodowym Cieniem. Nie jest on myśluzdrowicielem, jednak brakuje mu mniej, niż sam myśli. Nie brak mu intuicji.

Sokoli Brat spojrzał na niego przenikliwie. — Z własnego doświadczenia wiem, że choć teraz czujesz ulgę, to i tak masz przed sobą jeszcze wiele bezsennych nocy, które spędzisz na zagłębieniu do własnej duszy, a to, co tam znajdziesz, nie wzbudzi twego zachwyty. Nabierzesz pewności, że wbrew wszystkiemu, co powiedziałem, to ty sam jesteś najgorszym z potworów. To dobry objaw, jednak musisz sobie wybaczyć i nie wolno ci wyciągnąć zbyt pochopnego wniosku, że twoje działanie było w jakikolwiek sposób usprawiedliwione. Ale... — zaśmiał się przekornie — jak to Lodowy Wiatr powiedział: „Nie zawsze wygodnie jest być rozsądnym, zasługującym na szacunek człowiekiem”.

Powinien założyć na jakimś szczycie szkołę — podsumował Cymry. — *Byłby z niego wspaniały Mądry Stary Nauczyciel. Dręczenie swych uczniów opanował już w stopniu doskonałym.*

Zimowy Księżyc wyprostował się i spojrzął na Cymry z udaną urazą. — Słyszałem — zaprotestował.

Tego właśnie chciałam.

Skif zaczął się uśmiechać i nagle ziewnął. Zimowy Księżyc zauważył to i wyciągnąwszy palec, rzekł rozkazującym tonem:

— Mamy jeszcze co nieco do zrobienia, a do tego potrzebny jest odpoczynek. Doskonale o tym oboje wiecie. — I z tymi słowy, rozwinąwszy pośłanie, położył się spać. — Niech gwiazdy oświetlą waszą drogę, Skrzydlaci Bracia — powiedział i ostentacyjnie obrócił się na bok, zamykając oczy. — Wyrsa nie dręczą dokuczliwe wyrzuty sumienia.

„To jest podsumowaniem całego wieczoru” — pomyślał Skif ;Przygotował legowisko dla siebie i otulił się ciepło; A potem niczego nie zdążył już przemyśleć, bo sen podkraść się niepostrzeżenie i go zaskoczył.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nyara przyglądała mokre od potu włosy, ledwie odczuwając zimno, gdy przenikliwy wiatr suszył skórę jej głowy. Zlizwała pot z ust i przykucnęła pod osłoną krzewów, badając wzrokiem popękaną, kamienną połąć ułożoną z nieregularnych płyt, która nie pozwalała, by las podkraść się aż do stóp jej wieży. Choć kamień był pokruszony, miejscami nawet rozsypał się w proch, z pewnością musiał być niebywale gruby, bo szczeliny porastała wyłącznie trawa. Podobny był do ruin wokoło domu gryfonów, jednakże Nyara nie wiedziała, kto i kiedy doprowadził je do takiego stanu.

Nie zobaczyła żadnego znaku, który by świadczył, że ktoś na nią czeka. Nauczyła się zastawiać subtelne pułapki na intruzów. Były nimi na przykład „przypadkowo” rozrzucone kamyki, które w istocie ułożono tak, by poruszył je każdy przemierzający kamienną płaszczyznę, czy słabe nici z osnowy magicznej zasłony, znikające w chwili przerwania, a nawet pod dotknięciem maga dokonującego rozpoznania. Niezbyt dobrze władając magią, nie mogła marzyć o utkaniu gęstej zasłony chroniącej przed zręczniejszym magiem, tak więc nawet tego nie próbowała. Zamiast tego skupiła się na środkach, które ostrzegłyby ją w wypadku wykrycia, dając czas na ucieczkę i znalezienie innej kryjówki.

Jednak jej schronienie wciąż wydawało się bezpieczne. Magiczne nici były na swoim miejscu, kamienny dziedziniec zdawał się czysty. Mimo wszystko nie wyszła od razu pomiędzy wiecznie zielonych krzewów. Ostrożnie sięgnęła zmysłami do samego wnętrza siedziby.

Jak tam? — Tylko tyle odważyła się myślwystać, więcej mogłoby zdradzić jej pozycję. Istniały stworzenia, niektóre należały do jej ojca, służące do wykrywania myśli przekazywanych myślmową. Zazwyczaj myślmowę mógł słyszeć tylko odbiorca, dla którego była przeznaczona, jednak stworzenia te potrafiły usłyszeć wszystko, nawet z odległości wielu mil, i pójść śladem myślmówcy.

Wszystko w porządku — rozległ się z wewnątrz ochryply głos. — *Wchodź, kotku. Mam nadzieję, że udało ci się polowanie.*

Nyara poczuła ulgę, nic ani nikt nie prześliznął się obok jej nauczyciela. — *Nieźle* — odparła krótko. — *Nie mieliśmy gości?*

Nikogo — padła odpowiedź. — *Jeśli nie liczyć śmieciarzy, ale oni są co dzień.*

Obawiała się, gdyby się nie pokazali. Tego, co odstraszy sępy, naprawdę należy się bać.

Wchodzi — przesłała myśl i dopiero wtedy wyszła z kryjówki. Jak zwykle przeciskając się przez krzewy i wychodząc na otwartą przestrzeń, poczuła gęsią skórę na zwróconych w kierunku puszczy plecach. Tam, w dziczy, zawsze ktoś mógł się zacząć.

Przebiegła szybko po kamiennej płaszczyźnie, starannie omijając zastawione przez siebie pułapki. Im mniej będzie miała do zrobienia rano, tym szybciej wyruszy na polowanie i tym szybciej nabędzie wprawy. Nie miała złudzeń co do swych przyszłych sukcesów łowieckich: wraz z nadejściem mroźnej pory roku zmniejszy się ilość zwierzyny i niełatwo przyjdzie ją złowić. Dotąd, aby się najeść, nie musiała nigdy polować. Nie miała też żadnego doświadczenia. Na szczęście okolica obfitowała w zwierzynę, mogła więc nabrać doświadczenia właśnie teraz, gdy porażki nie pociągały za sobą tak poważnych konsekwencji jak w zimie.

Stała pod wysokim murem zbudowanym ze spłowiałego, smaganego wiochrami granitu. Wieżę skonstruowano tak, żeby można się było w niej bronić ze wszystkich stron. Wzięła szyję upolowanego bażanta w zęby, wbiła pazury rąk i stóp w kamień i rozpoczęła wspinaczkę. Zapach świeżo zabitego ptaka spowodował, że pociekła jej ślinka. Na szczęście nie było widać krwi, boby jej skrzydło kiszki z głodu.

Podczas wspinaczki przyszło jej na myśl, że w zimie nie będzie to takie przyjemne, o ile w ogóle możliwe. Lód, śnieg i deszcz sprawią, że ściana stanie się śliska, a od zimna skostnieją jej dłonie i stopy. Poczula przygnębienie.

Nie było sensu martwić się na zapas. Jeszcze kilka tygodni upłynie, zanim pogoda naprawdę się pogorszy, teraz nic nie można było na to poradzić, zwłaszcza w chwili, gdy wisiała na ścianie trzy piętra nad kamienną płaszczyzną i miała do pokonania jeszcze trzy.

„Może przydałaby się drabina, jakiej Tayledrasowie używali na zewnątrz Doliny przy wchodzeniu do domów na drzewach” — pomyślała.

Nie posiadała ptaka, który by zrzucił przed nią drabinę lub ukrywał linę służącą do wciągania, ale mogła skorzystać z magii. Nauczyła się wykorzystywać wszystko, co umiała, choć było tego niewiele, i roztropnie się tym posługiwać. Przy pomocy odrobiny magii mogłaby podnosić i opuszczać koniec drabiny.

Tak wiele razy wspiniała się po kamiennym murze, że na pamięć znała położenie otworów; jej dłonie i stopy bezwiednie wykonywały niezbędne chwyt. Zejścia i powroty do domu należały do najniebezpieczniejszych chwil dnia, wtedy była całkowicie bezbronna. Wewnątrz wieży znajdowały się schody, których solidny wygląd był jednak bardzo zwodniczy. Prawdę mówiąc, była to jeszcze jedna z zastawionych przez nią pułapek na nieproszonych gości. Ten, kto odważyłby się po nich wejść, wylądowałby wkrótce dwa lub trzy piętra niżej, w zależności od tego, jak wysoko zaszedłby, zanim obluzowany kamień usunąłby mu się spod

stóp.

Uważała jednak, że śmiałek, który nieroztropnie odważy się na pokonanie schodów w doprowadzonej do ruiny wieży, zasługuje na los, jaki go spotka.

Zaczęła błędzić myślami, planując lekkie drabiny i wyobrażając sobie, jak będzie z nich korzystać i rezygnując z kolejnych pomysłów, doszła do wniosku, że być może stara się wymyślić coś zbyt skomplikowanego, wszak już z natury była znacznie zręczniejszym wspinaczem od Tayledrasów i zwykła lina z węzłami najlepiej spełni swoją rolę.

W chwili, gdy to wpadło jej do głowy, ręka napotkała otwór okienny i Nyara, mocno uchwyciwszy się obiema dłońmi parapetu, wlaźła na kamienny blok. Przerzuciła nogi do środka i zeskoczyła na podłogę, aby na chwilę przykucnąć. Wypuściła bażanta z zębów i uśmiechnęła się na dźwięk burkliwego głosu nauczycielki i obrońcy, który rozległ się w jej myślach.

Nie znoszę, kiedy to robisz. Wyglądasz jak kot, który właśnie porwał komuś kanarka.

— Ale to nie jest kanarek, Potrzebo — odparła zuchwale — lecz kolacja.

Tak jak kanarek dla kota — głos obstawał przy swoim. — *Ptaka nikt o samopoczucie w takiej sytuacji nie pyta.*

Nyara usiadła ze skrzyżowanymi nogami na nagiej, kamiennej podłodze i zaczęła pracowicie oskubywać swój łup.

— Skoro dał się złapać, zasługuje na to, aby go zjeść — zwróciła się do miecza.

Przywłaszczyłaś sobie to powiedzenie Sokolich Braci — oskarżycielskim tonem zaprotestowała Potrzeba.

Nyara zbyła to wzruszeniem ramion.

— I co z tego? Staje się przez to mniej prawdziwe? Jest mądre, jak zresztą wszystkie powiedzonka Tayledrasów. Skoro dał się złapać, zasługuje na to, aby go zjeść, rozkoszować się nim, spożyć z szacunkiem, a nie głupio ograbić z piór i resztę wyrzucić jako bezużyteczne. Szanuję mój łup, jestem wdzięczna, że udało mi się go złapać. Jeśli ma duszę, życzę jej, by spotkała ją nagroda.

Potrzeba nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, i Nyara uśmiechnęła się, wiedząc, że „brak komentarza” jest swego rodzaju pochwałą, komplementem.

Odłożyła na bok najlepsze pióra, największe przydadzą się na lotki do strzał, resztę wetknie w starannie wygarbowane, królicze skóry. Od czasu kiedy tutaj przybyła uzbrojona jedynie w skradziony Skifowi nóż i magiczny miecz, nauczyła się mnóstwo od Potrzeby. Teraz mogła odziać się w skóry upolowanych własną ręką zwierząt. Poślanie z wysuszonych traw miała wyściełane futrami i poduszkami wypchanymi pierzem.

A i to nie było jeszcze wszystko, co umiała wykonać. W kącie stał łuk i strzały, sporządzone według wskazówek Potrzeby. Miecz nauczył ją już posługiwania się procą, której użyła właśnie, by upolować bażanta. Dzięki jego czarom lub też ma-

gicznej zręczności złodziejskiej weszła w posiadanie kilku drobiazgów, których kiedyś nie potrafiłaby zrobić własnoręcznie: krzesiwa, czterech kociołków, trzech worów na wodę i wiadra, łyżki, jeszcze jednego noża i liny, niezastąpionej przy wciąganiu do wieży wody lub ciężkiej zwierzyny.

Czyżbyś miała ochotę zjeść to na surowo? — ostro zapytała Potrzeba. Nyara oblizwała wargi, zamyśliwszy się. Była bardzo głodna i właśnie to przyszło jej do głowy. Jednak sposób, w jaki zostało zadane pytanie, to że jej nauczycielka w ogóle je zadała, zmusiło ją do zastanowienia.

— A co? — zapytała. — To coś złego?

Gdyby miecz mógł się ruszać, wzruszyłby ramionami.

Samo w sobie nie — odparł. — *Jednak stwarza wrażenie, że jesteś bardziej zwierzęciem niż człowiekiem, a tego przecież nie chcemy.*

Nyara nie zaprzętała sobie głowy pytaniem o to, kto mogły jej się przyglądać. W wieży nie było nikogo oprócz niej i Potrzeby, jednak domyśliła się, że jej nauczycielka nie zamierza wraz z nią ukrywać się zawsze w dziczy.

„Nie chce, żebym bardziej przypominała zwierzę niż człowieka” — pomyślała. Potrzeba próbowała odwrócić zmiany fizyczne, którym poddał Nyarę jej ojciec, teraz wiedziała dlaczego. Potrzeba chciała, by ona mniej...

Przypominana zwierzę — dopowiedział miecz. Może powinna czuć się urażona tym, co przyszło Potrzebie do głowy. W pewnym stopniu rzeczywiście tak było, lecz nie ogarnął ją z tego powodu gniew na nią, lecz na ojca. To on był odpowiedzialny za tyle przemian, którym uległo jej ciało i umysł. Uzmysłowiwszy to sobie, przez kilka dni Nyara pałała gniewem. On był jej „ojcem”, który uczynił z niej kalekiego niewolnika, całkowicie uzależnionego od niego, często niezdolnego nawet działać we własnej obronie.

Potrzeba zrobiła, co mogła, by odwrócić zmiany, i niektóre udało się cofnąć, jednak tylko te, które dotyczyły jej wnętrza. Nie można się było pomylić co do jej pochodzenia. Wystarczyło spojrzeć w jej oczy, które zdawały się obwieszczać: „Oto Zmiennolica”.

Świat na widok zwierzęcia stara się je zabić. To nie było sprawiedliwe, jednak w życiu Nyary sprawiedliwości było niewiele. A ona chciałaby, żeby przynajmniej ktoś się domyślił, co ona czuje, zrozumiał ją.

Mornelithe nigdy taki nie był.

Nikt jej nie mógł zobaczyć w jej wieży, jeśli nie liczyć Potrzeby. Nyara pieczołowicie dokończyła oskubywać bażanta i zamiast rozerwać go na ćwiertki i pożreć, czego domagał się jej żołądek, starannie sprawiła ptaka, tak jak zrobiłby to Tayledras lub kucharz hertasi, i odłożyła go na bok.

Starając się nie zwracać uwagi na protesty żołądka, odgrzebała żar w paleńniku i podsyciła go gałązkami. Kiedy buchnął ogień, nadziała ptaka i udała, że przypieka go na rożnie, lecz kiedy skórka zarumieniła się już lekko, straciła panowanie i rzuciła się na jedzenie.

Potrzeba jęknęła coś cicho. Nyara odniosła wrażenie, że wzdrygnęła się, jednak nie powiedziała nic, zatem ona puściła to mimo uszu, byle tylko nasycić swój głód.

Jednakże kiedy ogryzła już kości do czysta i oblizała palce, miecz westchnął, a następnie zmienił temat. — *Powiedz mi, jak przebiegło polowanie?* — zapytał. — *I pokaż.*

— Zobaczyłam samca wychodzącego z kryjówki obok strumienia — powiedziała, odgrywając wszystko tak, jak tego została nauczona. — Wiedziałam, że stado jest gdzieś za nim w pobliżu.

Tropienie zajęło jej nieco czasu, lecz koniec polowania nastąpił tak szybko, że nawet Potrzeba poczuła się zadowolona. Nyara straciła zaledwie jeden starannie obtoczony pocisk, który rozprysnął się na skale i młodego samca ustrzeliła następnym. Była bardzo z siebie dumna, bo Potrzeba już nie kierowała jej krokami podczas łowów, a nawet przestała jej doradzać. Chociaż miecz w dalszym ciągu mógł ją śledzić, nie musiała już nosić go przy boku, by zachować łączność myślową.

Uciekając od Tayledrasów i swojego ojca, Nyara nie miała pojęcia, dokąd się uda i co będzie robić. Wiedziała jedynie, że zbyt wiele dzieje się na raz i że zbyt wielu ludzi się nią interesuje, a kierują nimi różnorakie intencje, od dobrych po jak najbardziej jej nieprzychylne, a ona nie potrafiła ich od siebie odróżnić. A więc uciekła, lecz dopiero znalazłszy się poza zasięgiem władzy Mrocznego Wiatru, stwierdziła, że znajduje się w posiadaniu miecza Elspeth. Nie pamiętała chwili, w której go spakowała. Później miecz przyznał się, że zmusił ją do wzięcia go ze sobą i jednocześnie sprawił, że o tym zapomniła.

W pierwszej chwili była rozgniewana i przestraszona, spodziewała się pościgu: ostrze bowiem było tak ważne, że ojciec pragnął za wszelką cenę dostać je w swe ręce. Kiedy nikt nie ruszył jej tropem, domyśliła się, że Elspeth rzeczywiście zamierzała przekazać jej ten magiczny oręż. Nie po raz ostatni poczuła zupełną dezorientację w sprawach, w które wmieszana była Potrzeba.

Nyara natknęła się na wieżę po długich poszukiwaniach łatwej do obrony kryjówki. Potrzeba, dzięki magii, przebudowała górne piętro, wzmocniła je i uczyniła zdatnym do zamieszkania. Mimo to budowla wciąż wyglądała na opuszczoną, jako że obie dokładały wszelkich starań, by nie zostawiać po sobie żadnych śladów. Wszelkie resztki Nyara wynosiła na dach, gdzie sępy mogły się zająć tym co jadalne, zaś reszta marniała poddana działaniu słońca, wiatru i deszczu, i stopniowo porwana przez wichury znikała rozsiana pod warstwami martwych liści.

Gratuluję — pochwalił ją miecz. — *Chociaż wciąż jesz jak barbarzyńca. Jednak nie sądzę, by wykwintne maniery przy stole mogły być nam wkrótce niezbędne.*

Przez chwilę Nyara siedziała w milczeniu. Napełniwszy żołądek, w izdebce rozgrzanej od ognia mogła spędzić chwilę na rozmyślaniach o uwagach czynionych przez Potrzebę i poczuła żal. Była jej wdzięczna za wszystko, co dla niej

zrobiła, za próbę cofnięcia wynaturzeń powstałych po dwudziestu latach okrucieństw, za nauczenie jej umiejętności radzenia sobie w trudnych warunkach. Mimo wszystko czasami czuła się zraniona jej uwagami.

— Nie jestem barbarzyńcą — odpowiedziała z lekką naganą w głosie. — Widywałam, jak Mroczny Wiatr tak samo pożerał potrawy.

Mroczny Wiatr jest człowiekiem, a ty nie. Jesteś mądra, inteligentna, bystra, ale nie jesteś człowiekiem: Musisz zatem sprawiać lepsze wrażenie od nich.

Po raz kolejny Nyarę uderzyła niesprawiedliwość takiej sytuacji, lecz tym razem głośno wyraziła swój protest: — To niesprawiedliwe! — wykrzyknęła. — Nie ma powodów, dla których miałabym się zachowywać jak jakieś... wyuczony sztuczek zwierzę, po to, by udowodnić, że jestem taką samą istotą ludzką jak wszyscy!

Ty byłaś zwierzęciem, Nyaro — nie ustępowała Potrzeba. — Jednak już nim nie jesteś i obie wiemy dlaczego.

Nyara zadrżała, ale nie powiedziała nic, tylko sprzątnęła resztki posiłku i z wyjątkiem kilku okruchów, które miały posłużyć jej nazajutrz za przynętę, pozostałe wyniosła na dach. Po wspomnianej przez Potrzebę wizycie sępów z resztek wczorajszego posiłku nie pozostał najmniejszy ślad.

Pomimo przenikliwego wiatru Nyara zatrzymała się, by obejrzeć zachód słońca. Skuliła się, otulając swą futrzaną, samodzielnie zrobioną tuniką. Potrzeba miała rację, ona rzeczywiście była kimś niewiele lepszym od wyuczonego sztuczek zwierzęcia. Ojciec podporządkował ją sobie całkowicie. Sprytnie posługując się kombinacją myślmagii, bólu i przyjemności, sprawił, że sama myśl o karze wyzwalała w niej tak nieopanowaną, bezmyślną chuć, że nie była nawet zdolna myśleć.

Potrzeba uwolniła ją z tych pęt. Spędziła na pracy z nią wiele godzin i dni, starając się ją uzdrowić, wyrwać z pęt bólu i przyjemności. Niegdyś Potrzeba bacznie przypatrywała się uzdrowicielce leczącej Gwiazdne Ostrze, a teraz wykorzystywała zdobyte wiadomości do leczenia Zmiennolicej.

Przynajmniej pod jednym względem była wolna, przestała ulegać zwierzęcym chuciom. Ale nawet Potrzeba nie mogła „naprawić” jej pędzelkowatych uszu, spiczastych kłów i wąskich, kocich źrenic, choć pomogła jej zapanować nad uczuciami i odruchami.

„Czy naprawdę muszę być od nich lepsza, aby uznali mnie za równą sobie?” Ni mniej, ni więcej, jeśli wierzyć Potrzebie. Spoglądając na zapalające się gwiazdy na niebie, niechętnie przyznała, że miecz miał rację. Musiała starać się o uznanie, by móc sprzymierzyć się z Sokolimi Braćmi. Ich pomoc była jej potrzebna. Wiedziała o tym, mimo że oni jeszcze nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo ona im jest potrzebna. Jej wiedza mogła okazać się dla nich bardzo pożyteczna, pomimo że dostęp do jej części był możliwy tylko za pośrednictwem sztuki badania umysłu Potrzeby. Z radością poddałaby się temu, byle tylko zapewnić sobie ich

opiekę.

Jednak, aby to osiągnąć, musiałyby przestać być sobą, przybrać swego rodzaju maskę, ich zdaniem cywilizowaną. To po prostu nie było uczciwe, zwłaszcza po tym, co ostatnio zmuszona była przejść! Po tym, co wyrządził jej Mornelithe! Nie chciała nawet o tym myśleć. Pod opieką Potrzeby nie tylko musiała znieść ból, który poprzedza uzdrowienie, lecz nocne — a czasami dzienne — wizje. Musiała przyznać, że osiągnęła już pewne wyniki: przestały ją nachodzić koszmary, ze snów zniknęły zjawy. Miecz był surowym nauczycielem, nie tylko poddał ją próbie snów, nauczył ją niezbędnych do przeżycia umiejętności, ale zmuszał ją do walki ze złem tego świata po to, by nabierała wprawę nie tylko w ćwiczebnym, ale i prawdziwym pojedynku. Nyara pokonała dotąd wędrownego rzezimieszka i na poły szalonego maga, który go ubezpieczał. Obaj zostali rzućeni na pastwę sępom, gdy próbowali napaść na samotną kobietę. Za każdym razem Potrzeba całkowicie podporządkowywała sobie jej ciało, gdy tylko doszła do wniosku, że Nyara jest już u kresu swych możliwości i dyrygowała nią ze zręcznością, której dziewczyna dotąd nie zdążyła osiągnąć. Nie ulegało wątpliwości, że w przyszłości czekało ją więcej tego rodzaju przygód.

A więc dlaczego musi, szukając uznania w oczach obcych, udowodniać, że jest kimś innym?

Nie, stwierdziła kategorycznie, patrząc na wschodzący nad horyzontem księżyc, to niesprawiedliwe. Potrzeba wymagała od niej zbyt wiele.

Zeszła do swojej izdebki mieszczącej się na dole wieży i znalazła przygasłe palenisko i milczący miecz. Przypatrywała mu się przez chwilę, a potem wzdrygnęła ramionami. Podgrzała odrobinę wody, by się jako tako umyć. Oprócz wspańskiego, prawdziwie sowiego wzroku miała nad ludźmi jeszcze jedną przewagę: krótkie jedwabiste futerko pokrywające jej ciało sprawiało, że nie trzeba było tyle wysiłku wkładać w mycie. A że to jest istotnie futerko, a nie bardzo gładka skóra, można było stwierdzić wyłącznie po bardzo dokładnym przyjrzeniu się z bliska. Nie była do końca pewna, czy Skif albo Mroczny Wiatr domyślili się tego; no może Skif, choć nie wydawał się być tym poruszony.

Ranek miał wstać o wiele za wcześnie. Aczkolwiek zamierzała łowić ryby, a nie polować, lepiej było wyruszyć o brzasku, gdy ryby są głodne. Tak więc wymywszy się, zasypała węgle i wpełzła do swojego wymoszczonego futrami łoża.

Kiedy oczy zaczęły jej się kleić, nagle ocknęła się Potrzeba: — *Rozpatrzmy zatem, co to znaczy „sprawiedliwość”*. — Słowa miecza brzmiały zwodniczo łagodnie. — *Zgadzasz się?*

Przestała być Nyara; przestała być Zmiennolicą.; Prawdę mówiąc, opuściła znany jej świat. . Tyle że przecież była Nyara — sobą, a zarazem kimś innym.

Odprężyła się. Nieraz zdarzyło jej się doświadczać podobnych rzeczy w wizjach zsyłanych przez Potrzebę. Tym razem jednak uzmysłowiła sobie, że jest inaczej, dziwniej, i nie umiała sobie tego wytłumaczyć. To życie... było wyblakłe. Toczyło się w starożytności, obciążonej balastem mnóstwa lat. Miała wrażenie, że słyszy zawodzenia, z których każde dochodzi jakby spoza woalu stulecia.

Miała na imię Vena i była nowicjuską w Związku Sióstr Zaprzysiężonych Zakłęciu i Mieczowi. Teraz była sama — jeśli nie liczyć miecza, który dawniej był jej nauczycielką, magiem-kowalem siostrą Lashan — w obliczu niewykonalnego zadania.

Mag, którego Lashan rozpoznała jako Czarodzieja Heshaina, najechał stojąc na czele armii magów niższych rangą enklawę Związku, pochwycił w niewolę nowicjuszki, zabijając pozostałych. Tylko dzięki szczęśliwemu losowi Venie udało się uciec i schronić w puszczy otaczającej enklawę. Sądziła, że została sama, póki nie nadjechała siostra Lashan powracająca z jarmarku, na którym sprzedawała z zyskiem handlarzom broni swe zaklęte miecze.

Ujrawszy swą nauczycielkę, nie myślała o niczym innym jak o wspólnej ucieczce w bezpieczne miejsce. Jednak zamiary Lashan były inne.

Wypytała Venę bardzo starannie i wydobyla z niej wszelkie szczegóły, pomimo że ta była śmiertelnie przerażona, a następnie długą chwilę siedziała w milczeniu.

Vena, która oczekiwała, że teraz wyruszą w drogę na poszukiwanie innej świątyni Bliźniąt, by w niej poprosić o schronienie, jako że próba wyrwania nowicjuszek z rąk tak potężnego lorda-maga była oczywiście niemożliwa, była całkowicie zaskoczona decyzją siostry Lashan. Czarodziejka oświadczyła zdumionej uczennicy, że we dwie wyruszą na ratunek wziętym w niewolę Siostrom. Przyznała, że nie wie, jaki je czeka los w rękach napastnika, bo, jak powiedziała, utalentowane magicznie, niewyszkolone młode kobiety, przeważnie dziewice, można było użyć do różnych celów. Jednak opisywana przez nią ich dola, jakakolwiek by była, niezmiennie przerażała. W końcu Vena musiała przyznać, iż nie można zostawiać Sióstr w rękach Heshaina.

Ratunek był możliwy, zwłaszcza przed dotarciem karawany Heshaina do jego warowni. Jednak czasu było zbyt mało, by pokusić się o zebranie oddziału, a i nie wiadomo, czy znalazłyby kogokolwiek, kto zgodziłby się wystąpić ze swoim wojskiem przeciw magowi.

Vena i siostra Lashan były zdane wyłącznie na własne siły. Lashan doszła do wniosku, kryjąc go przed swą uczennicą, że jej stare, sterane ciało nie nadaje się do tego zadania. Postanowiła je zmienić na inne: na ciało z hartowanej stali — miecz, a dokładniej; zaklęty miecz, taki, jaki Venę uczyła wykuwać.

Vena nie wiedziała, jak siostrze Lashan, która teraz kazała się nazywać „Potrzebą”, udało się zakląć samą siebie w miecz. Nie była pewna, czy pragnęłaby się tego dowiedzieć. Gdy odnalazła ją nabitą na sztych własnego miecza, sądziła,

że jej nauczycielka uległa w końcu rozpacz i żalowi, gdy nagle miecz się do niej odezwał.

Vena wyruszyła zatem w trop za Heshainem i jego pacholcami, uzbrojona w miecz — nie wiedząc zbyt dobrze, jak się nim posługiwać. Na dodatek miała niewystarczające zapasy i zupełnie nie miała pojęcia, co należy robić. Zima była za pasem, a ona, podróżując na północ, nie była przygotowana na takie mrozy. Jednak wiedziała, że jeśli niczego nie uczyni, nikt inny nie zrobi nic. Nie miała wyboru.

Wszystko to stanęło jej przed oczami w jednej chwili, tak jakby zawsze o tym wiedziała. Nagle nie była już Nyarą, ale Veną, jedynie czas wydawał się wyblakły i odległy, choć zarazem dziwacznie współczesny.

Vena czołgała się drogą, brzuchem po śniegu, starając się o niczym nie myśleć. Wprawdzie nic nie wskazywało, by Heshain miał w swych szeregach myśłowców, ale także że ich tam nie było. Pomimo wełnianego, podbitego futrem ubrania czuła dotkliwie zimno. Od dawna już nie miała odwagi rozpalić ognia, nie pamiętała, kiedy ostatni raz było jej ciepło.

Na dodatek doskwierał jej głód. Garść orzechów i suchych jagód tylko zaostrzyły apetyt. W dole, poniżej; nie było wszystkiego, czego potrzebowała: schronienie, buzujący ogień i pożywienie... Kłopot w tym, że w ręku wroga. A wrogowie, jak wiadomo, nie dzielą się dobrowolnie.

Poczuła, że siostra Lashan, czy raczej Potrzeba, ocenia sytuację poprzez jej oczy. Nie była pewna, co ona o tym sądzi, lecz z jej pozycji sprawa wydawała się beznadziejna. Oddział, który wziął nowicjuszek w niewolę, rozdzielił się. Przed sobą widziała część, która najbardziej została w tyle. Pojmane dziewczęta były w opłakanym stanie. Większość siedziała otępiała, niektóre straciły przytomność i rzucono je na wozy. Reszta ledwie zwracała uwagę na otoczenie. Żadna z nich nie była zdolna udzielić jej pomocy, przynajmniej dopóki nie zdoła wręczyć im Potrzeby, której dotyk leczył. Jednak można to było przeprowadzić dopiero po ich uwolnieniu, nie wcześniej.

A więc, w jaki sposób ona — na poły wyszkolony uczeń maga-kowala — pokona dwudziestu lub więcej wytrawnych żołdaków?

Spytem, oczywiście — w myślach Veny zazgrzytały słowa Potrzeby. — *Tam jest około dwudziestu lub więcej zmęczonych, znudzonych, niedbałych mężczyzn. Jak myślisz, co rozproszyłoby ich uwagę?*

— *Kobiety?* — wyszeptała niepewnie, myśląc o wyczarowaniu iluzji skąpo ubranych dziewczek i wykorzystaniu zamieszania wywołanego podnieceniem do przedostania się do obozu. Jednak, co potem? Wystarczy, że jeden z nich będzie chciał je dotknąć i skończy się iluzja, chyba że Potrzeba zdoła sprawić, by nie były tak ulotne...

Nagle usłyszała pogardliwie prychnięcie nauczycielki.

Trupa roztańczonych dziewczek nie wiadomo skąd? Nie sądzę, kochana. To wytrawni wojownicy, odnoszą się podejrzliwie do wszystkich i wszystkiego. Próbuj myśleć tak, jakbyś była jednym spośród nich. Spójrz na obóz — czym się w tej chwili zajmują?

Tak jakby zmienili zajęcie od chwili przygotowania ziemi pod namioty. — Jedzą? — odpowiedziała ostrożnie.

Już lepiej. Co jedzą?

Venie pociekła ślinka, gdy spojrzała na wspólne dla wszystkich ognisko. — Zdaje się, że racje zimowe: fasola, chleb. — Och, chętnie zabiłaby w zamian za ostro przyprawioną fasolę albo kromkę chleba. . . — Nie rozumiem. . .

Mięso, Veno. Nie mają go wcale. Muszą zadowolić się zimowymi racjami. Nie mieli czasu na polowanie, a to są wojownicy, przyzwyczajeni do niego. Nie wydaje się, by mieli wino, jednak nie przychodzi mi do głowy żaden pomysł, jakby im je podrzucić bez wzbudzania podejrzeń. Wycofaj się. Powoli! Spróbuję zwabić tu łosia, by lam kiedyś w tym niezła.

Koniec końców Potrzebie udało się przyciągnąć co prawda jelenia, a nie łosia, ale i tak było to to, o co jej chodziło. Zwierzę było stare, z odłamanym porożem i wychudzone, nie przetrwałoby śniegów. Vena pod ścisłym nadzorem nauczycielki zatrwała biedne stworzenie magią kontruzdrawiającą i naderwała mu ścięgno, żeby wyglądał jak tuż po ucieczce z paszczy wilka.

Zgraja mężczyzn napadła na rannego jelenia, nie posiadając się ze szczęścia i nie podejrzewając, że może być z nim coś złego, widząc jedynie jego wyczerpanie i rany. Działanie trucizny wprowadzonej przez Potrzebę do krwi i mięsa zwierzęcia uległo niewielkiemu osłabieniu podczas gotowania strawy. Potrzeba była bardzo przebiegła: ofiar nic nie ostrzegło, jaki los im pisany — żołdacy najedli się, zasnęli i nie obudzili się już więcej. O brzasku niektórzy z dwudziestki byli umierający, a inni już umarli. Vena zeszła do obozu, dobiła tych, których śmierć jeszcze nie dosięgła, i stwierdziła, że musi stanąć na czele jedenastu nowicjuszek, z których żadna nie potrafiła nawet zatroszczyć się o siebie, o drodze powrotnej nie mówiąc.

Z ufnością zwróciła się do Potrzeby o radę.

Niech mnie лихо, jeśli wiem, co z nimi począć — odparło ostrze. — Mogę zaleczyć ich rany, jednak resztą musisz zająć się osobiście. Na jad demona, dziewczko, toż ja wyłącznie zajmowałam się wyrobem mieczy, zanim wpakowałam się w tę przygodę! Masz dłonie i stopy, możesz więc coś wymyślić i zrealizować swój pomysł. Dziewczeta ciebie znają, mnie z całą pewnością pod tą postacią w życiu nie widziały! Mam pustkę w głowie, jeśli chodzi o dobre pomysły. Czas, aby i tobie wpadło co nieco do głowy.

Tak więc to Vena musiała radzić sobie z dziewczynami, wyrwać część z nich z głębokiego odrętwienia, wykoncypować, co począć z resztą, uprzatnąć ciała pobitych żołdaków z obozowiska, nakarmić swoich jedenaście podopiecznych, przygotować im schronienie i dopilnować, by konie nie zostały zaniedbane.

Wymagało to pracy w pocie czoła. Pozwoliła sobie odsapnąć chwilę i własnoręcznie rozpałała ognisko, przy którym wreszcie mogła się rozgrzać tak, że przestały ją łamać z zimna kości. Następnie poświęciła odrobinę czasu, by się najeść do syta chlebem i owsianką (a nie jak myślała fasolą), którą znalazła w kociołku nad ogniem. Kawałków zwęglonego mięsiwa i mięsnej zupy oczywiście nie tknęła.

Uwolniła nowicjuszek z klatek umieszczonych na czterech więziennych wozach, jednak większość z branek odniosła się do niej jak do nieznamoj, natomiast nieliczne, które ją rozpoznały, sądziły, że napotkały ducha, i skulone, przerażone przyglądały się jej w milczeniu. Starła się im nie przyglądać nazbyt badawczo; szaleństwo rozwarło oczy dziewczek szeroko i wraz ze śmiertelnym przerażeniem sprawiło, że dziewczki nie były podobne do ludzkich istot.

Odprowadziła jedną z nich, popędzając przez śnieg do jedyne go wozu bez krat i kajdanów, w którym zgromadzone były zapasy. Kiedy podała jej koc zabrany z jednego z legowisk w pobliżu ogniska, biedactwo wyrwało jej go z rąk i ukryło się w najciemniejszym kącie wozu.

Nie spoczęła, póki nie zgromadziła wszystkich w wozie, gdzie wtuliły się w siebie jak stado zdjętych śmiertelnym strachem królików i tylko z ciemności wyzierały ich okrągłe, przepełnione panicznym lękiem oczy.

Przeprowadzając swoje byłe towarzyszek do wagonu z zapasami, wyrzuciła z niego wszystko, co w nim poprzednio było. Teraz w ostatnich promieniach światła usiadła na worku z fasolą i sprawdziła wszystko, co wyrzuciła na ziemię. Z początku czuła się dziwnie, myszkuje w rzeczach będących cudzą własnością. Jednak wkrótce pod wpływem zmęczenia interesowało ją już wyłącznie, co należy zatrzymać, a co wyrzucić. Koce natychmiast znalazły się na powrót w wozie. Miała nadzieję, że dziewczkom zostało na tyle oleju w głowie, by ich nie odrzucić. Najlepsze zatrzymała dla siebie. W oddzielnych pakunkach zgromadziła żywność dla branek i dla siebie.

W końcu nie mogła już ociągać się z wykonaniem najbardziej nieprzyjemnego zadania. Spętała konie przy wozie i założyła uprzęż najłagodniejszemu, który odtąd miał jej służyć za wierzchowca. Starając się omijać wzrokiem martwe ciała, obwiązała powrozem sztywniejące już stopy wojowników i pojedynczo odwlokła zabitych do płytkej, okrągłej dolinki, z dala od obozu, by tam ich rozrzucić jak lalki pozostawione na śniegu przez niedbałe dziecko.

Uporawszy się z tym zadaniem, wróciła do wozu i swoich podopiecznych, które trudno było uznać za dobrą kompanię. Praca zajęła jej dwa dni. Nakarmiła nieszczęśniczki i otuliła najlepiej, jak potrafiła. Spędziła bezseną noc, słuchając

harmidru padlinożerców, gdy te natknęły się na martwych żołdaków, i pilnując, by żadna kobieta sama nie odeszła od wozu. Niewykluczone, że ta noc była nawet gorsza od nocy spędzonych samotnie w oczekiwaniu na powrót najeźdźców.

Koniec końców to widok koni nasunął jej pomysł, jak by się tu ruszyć z miejsca i co później począć. Vena pochodziła ze wsi. W jej rodzinnych stronach koń uznawany był za przyzwoite wiano, zaś ich para powinna być wystarczającą zapłatą za opiekę nad nimi do czasu, gdy ktoś przybędzie, by je zabrać.

Zmusiła sześć dziewczek, które przyszły do siebie na tyle, by utrzymać się w siodle uczone łęku — pomimo że większość czasu spędzały na wytrzeszczaniu otępiełych oczu lub nieprzerwanym łkaniu. Pozostałych pięć umieściła w wozie, do którego na długim postronku przywiązała pozostałe wierzchowce. Następnie skłoniła Potrzebę, by przy pomocy magii odnalazła najbliższe gospodarstwo. Jak się okazało, była nim posiadłość bogatego owczarza, ukryta w niewielkiej dolince tak starannie, że bez pomocy Potrzeby nigdy by tam nie trafiła.

Gospodarzowi powiedziała prawdę, jednak przestrzegła go, by wszelkich ciekawskich raczył ułożoną wspólnie z Potrzebą opowieścią o zarazie, sprowadzającej śmierć i słabość umysłu, która wygubiła wszystkich mężczyzn w wiosce, w której mieszkali jej krewni, zostawiając przy życiu jedynie najmocniejsze i najzdrowsze dziewczki. Podarowała mu całe stado koni, z wyjątkiem jednego, którego wybrała dla siebie. W zamian oczekiwała opieki nad nowicjuszami. Postawiła tylko jeden warunek: owczarz miał przy pierwszej sposobności wysłać wiadomość do najbliższej świątyni Bliźniąt z prośbą o pomoc dla dziewczek.

Jak się spodziewała, nie mógł odrzucić jej oferty. Potrzeba dla pewności zbadła jego myśli, czy dotrzyma umowy, lecz nie doszukała się niczego niewłaściwego. Zima jest czasem bezczynności dla rolników i pasterzy. W swym domostwie miał wiele córek i służby, które mogły zaopiekować się nieszczęśniczkami, a także szukających żon synów... Chętnie widziałby w swym domu utalentowane w magii narzeczone dla swych chłopców. Z takich związków przychodziły na świat utalentowane dzieci, nawet jeśli pod wpływem przeżyć własny talent opuścił kobiety, a mężowi może przytrafić się gorsza partia od żony potrafiącej posługiwać się odrobiną magii dla obrony siebie i rodzinnego domu oraz dla pomyslności całego rodu. Magii asekuracyjnej i kuchennego guślarstwa łatwo było się nauczyć, jednak potrzebna była moc dana nielicznym, by zechciały działać.

Zgodziła się w ich imieniu, że jeśli którakolwiek z nich zechce pozostać z nim i z jego synami, Związek Sióstr nie będzie żądał kontrybucji. Potem osiodłała wierzchowca, wskoczyła na konia i wyruszyła w pościg.

Od wroga dzieliły ją już nie dni, lecz tygodnie. Jednak miał on na swoim karku powolne wozy pełne oszalałych dziewczek, a samotna Vena dosiadała teraz wierzchowca. Gdy ściągnęła wodze, kierując łeb klaczy z powrotem na szlak, w końcu przemówiła Potrzeba: *Na jad demona! Dlaczego nie wskazałaś temu baraniemu łbu należącego mu miejsca? Narzeczone dla jego synów!?* A cóż on myśli,

że kim ty jesteś — swatką?! Skąd mu wpadło do głowy, że którakolwiek z nich zechce strawić żywot na warzeniu ziółowych uroków, opiekowaniu się bachorami i doglądaniu jagniąt? — Miecz złorzeczył przez chwilę, czemu Vena przysłuchiwała się spokojnie. Nowicjuszka miała mnóstwo na głowie. W tej chwili najważniejszą sprawą było odnalezienie prawie niewidocznego już teraz tropu reszty brank. Nie było to łatwe, zważywszy dwa tygodnie nieustannych wiatrów i pogody, która zacierała wszelkie ślady.

Jednak Vena posiadała teraz odpowiedni ekwipunek na tę wyprawę: płaszcz i buty z owczej skóry, wełniane spodnie, sweter i tunikę oraz wszelkie potrzebne, przynajmniej do następnej potyczki sprzęty. Postanowiła, że nie będzie o tym myśleć, póki nie nadejdzie czas.

W końcu odszukała trop: na poły roztopione odciski kopyt i kolein w śniegu. Stało się to akurat wtedy, gdy Potrzeba do końca dała upust swemu rozczarowaniu.

Vena odczekała chwilę, aby się upewnić, że to jest rzeczywiście właściwy trop i że Potrzebie minęło już rozdrażnienie.

Zrozum — zaczęła jej tłumaczyć. — Po tego rodzaju przeżyciach kilka z nich może zmienić zdanie o życiu poświęconemu Wielkiej Magii i Siostrzanemu Związ-kowi. Ów gospodarz godny był zaufania i miał dobre serce, to nieźle jak na teścia. Chłopczy są nieco nieokrzesani, jednak nie gorsi od pacholąt w mojej rodzinnej wiosce. Ani ty, ani ja nigdy nie zwrócimy dziewczkom — naszym siostrcom — tego, co utraciły, ale możemy stworzyć im możliwość wyboru.

Potrzeba zamilkła na chwilę. — *Może masz i rację* — burknęła w końcu. — *Nie podoba mi się to, ale możliwe, że się nie mylisz.*

Vena postanowiła nie mówić jej o własnych wątpliwościach... Nie sądziła, by udało jej się przeżyć tak długo, by mieć okazję zostać żoną rolnika. Pomimo początkowych sukcesów, gdyby poszło o zakład, w żadnym wypadku nie obstawiałyby siebie.

Nyara obudziła się, kiedy słońce zaczęło jej świecić w oczy. Przez chwilę czuła w kościach zimno z zamierzchłej przeszłości. Spodziewała się, że pod dłoń natrafi na koce, a nie na futra. Ogarnęło ją złudne znużenie, które ulotniło się natychmiast, gdy uzmysłowiła sobie, kim i gdzie jest.

Złudne znużenie ustąpiło miejsca prawdziwemu. Leżała, nie ruszając się z posłania, pomimo że poprzedniej nocy mocno postanowiła wyruszyć na wczesny połów ryb. Wyprawy we śnie zazwyczaj nie pozostawiały po sobie zmęczenia ani nie przytłaczały ją brzemieniem minionych lat... .

To dlatego, że nigdy nie zabierałam cię tak daleko ze sobą — przywitała ją Potrzeba. Wydawało się, że miecz jest równie znużony jak jego uczennica. — *Rzadko opowiadam to tym, którzy noszą mnie u pasa. Teraz znasz moje zapomniane imię, ludzkie imię.*

Nie to jednak liczyło się najbardziej dla Nyary. Nagle usiadła wyprostowana i wpatrzyła się bacznie w miecz przytulony do ściany. Ogarnęła ją złość i poczucie zdrady. — Nie pomogłaś jej! — wykrzyknęła oskarżycielsko. — Wcale jej nie pomogłaś!

Zrobiłam, co mogłam — spokojnie odpowiedziało ostrze. — *To było dla mnie coś nowego. Są pewne granice. Musiałam się uczyć tyle samo, co ona, jednak nie odważyłam się jej o tym powiedzieć, bo straciłaby zaufanie we własne siły. Od tego czasu miałam mnóstwo, mnóstwo czasu, by uczyć się magii, Nyaro. Wtedy nie wiedziałam nawet ułamka tego, co wiem teraz.*

Nyara patrzyła przerażona na oparty w kącie miecz. — To znaczy, że nie wiedziałas, co robiłyście?

Nie, wiedziałam, co ja robię. Wpędzałam nas obie w kłopoty. Cóż jednak miałam poczucie? Młodziutkie dziewczęta znalazły się w niebezpieczeństwie i jeśli Vena i ja nie zrobiłybyśmy czegoś dla nich, nikt by tego nie uczynił.

Nyara zamrużyła oczami i otworzyła usta: — Jednak to niespra. . .

. . . wiedliwe? Nie, nie było. Ani wobec Veny, ani wobec mnie, a już z całą pewnością nie wobec nowicjuszek. — Rzeczowe podejście Potrzeby do tej sprawy sprawiło, że Nyara zapomniała języka w gębie.

Wstała ze swego łóża z futer, czując, jak jej myśli krążą wokół czegoś, co jednakże niełatwo dawało się uchwycić. Potrzeba nie była okrutna, w każdym razie nieumyślnie. Starła się być praktyczna, nie patrzeć krótkowzrocznie. Jednak nie była okrutna. . .

Co zatem próbowała powiedzieć?

Poświęciła siebie w zamian za kiepską nadzieję ocalenia nowicjuszek rękami Veny. Dziewczyna postąpiła podobnie. I to właśnie było nie. . .

„To było niesprawiedliwe, tak jak to, co ojciec wyrządził mnie, Sokolim Braciom i gryfonom. . .” — pomyślała.

Życie nie jest sprawiedliwe. Wiedziała o tym i ona, i Potrzeba. Mimo to ostatnio mnóstwo czasu spędzała uskarżając się na niesprawiedliwość.

Doskonale, kotku. — rozległ się w jej głowie głos Potrzeby. — *Sama domyślałaś się tego, co trzeba. To dla mnie prawdziwy cud, że potrafisz pojąć, czym jest „niesprawiedliwość”, tak niewiele poza nią zaznawszy w życiu. Wciąż nad tym rozmyślam: To wydaje się nie pasować do tego, czego uczył cię twój po trzykroć przeklęty ojciec. Wiedz o tym, że pojęcie sprawiedliwości staje się ścianą nie do przebycia na drodze do czegoś, co musi być osiągnięte. Obawa przed niesprawiedliwością czasami uniemożliwia wymierzenie sprawiedliwości, a to właśnie jest niesprawiedliwość.*

Nyara kiwnęła głową, rozumiejąc coraz lepiej naukę Potrzeby.

A teraz pozwól, że pokażę ci, jak wygląda prawdziwa niesprawiedliwość. . .

Wczepiona palcami rąk i nóg w zбочe klifu Vena modliła się, by myślowcy Heshaina jej nie wykryli. . .

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Od kilku dni Mroczny Wiatr walczył o utrzymanie godności, opanowania i charakterystycznego dla Tayledrasów dystansu — i ustawicznie przegrywał. A to za sprawą Elspeth. Mag zastanawiał się, czy wszyscy nauczyciele miewają takie kłopoty, czy też akurat jego los pobłogosławił — a może przeklął — tak błyskotliwą i zdolną uczennicą. Czasami Elspeth zdawała się go wręcz przewyższać.

— Długo nie pozostanę lepszy, ona tak szybko się uczy — wyznał Treyvano-wi, wieszając półki na ścianie domu gryfów. Do tego rodzaju pracy nadawały się tylko małe, zręczne ludzkie dłonie. Treyvan i Hydona w czasie względnego spokoju, który nastąpił po ostatnim ataku, rozbudowali gniazdo, rekonstruując ściany budynku niegdyś tu stojącego. Wnętrze powiększyło się o kilka pomieszczeń. Mroczny Wiatr nie miał pojęcia, do czego gryfy potrzebują półek; wciąż zresztą niewiele o nich wiedział. Pamiętał, że Treyvan i Hydona zbierali rzeźby hertasi, może więc chcieli zrobić wystawę?

Mag przybił gwoździe i przywiązał do nich linki. Gryfy znalazły gdzieś płaskie, prostokątne płyty, które były rzadkością, a on zamierzał je wykorzystać w konstrukcji podobnej do ekele, lecz podtrzymywanej przez sznury.

— W czym prrrroblem? — spytał Treyvan. — Uczyłeśś się dłużej niż ona i masz większą wiedzę. — Rozłożył się w kącie i spoglądał na przyjaciela spod półprzymkniętych powiek. Położył się nie z lenistwa, lecz z przyzwyczajenia, dopiero co skończył posiłek, a gryfy, jak wszystkie drapieżniki, lubiły odpoczywać po jedzeniu.

— Nie umiem wszystkiego — przyznał z ociąganiem Mroczny Wiatr. Odgar-
nął włosy z twarzy i pociągnął za sznur. — Od lat nie posługiwałem się magią i sporo zapomniałem. Moje umiejętności, nie ćwiczone, zmniejszyły się z roku na rok. Dar magii słabnie, jeśli się go nie wykorzystuje.

— Jak każdy darr — zgodził się gryf. — Jak talent do polowania, walki i muzyki. . .

— Właśnie. Mój dar zardzewiał — westchnął Mroczny Wiatr. — Nie potrafię przypominać sobie tego wszystkiego, co zapomniałem, i jednocześnie uczyć Elspeth. Wszystko było w porządku, póki nic nie umiała: dawałem jej proste ćwiczenia, a sam pracowałem nad czymś bardziej skomplikowanym. Teraz już jednak

ta metoda nie skutkuje.

Gryf znieruchomiał w połowie leniwego przeciągania się i spojrzął na maga. — Aż tak szszybko ssię uczy? — zapytał.

— Aż tak szybko — odrzekł Mroczny Wiatr. — Ludzie stworzyli całą naukę o magii umysłu, a Elspeth opanowała ją doskonale, choć twierdzi, że nie jest w swoim kraju najlepsza. Albo raz zdarzyło się jej być skromną, albo jej rodacy osiągnęli niespotykany poziom, równy adeptom.

— A magia umysłu dała jej sssolidne podssstawy do nauki prawdziwej magii — dopowiedział Treyvan. — Czy może jej rrrównież przysssporzyć kłopotów?

Mroczny Wiatr przyłożył ciężką półkę do ściany i przyjrzał się jej krytycznie, nie zwracając uwagi na pytanie. — Czy muszą być równe? Co na nich położycie? — spytał.

— Ksssiażki — odparł Treyvan, kończąc gimnastykę. — Tylko ksssiażki. Półki muszszą być na tyle rrrówne, żeby ksssiażki się nie poprzewrrracały.

„Książki? Skąd je wezmą?” Jeszcze raz przebiegł wzrokiem całość. Wydawała się leciutko pochylona, lecz mogła to być wina nierównej podłogi. Z pewnością książkom to nie zaszkodzi, skądkolwiek by pochodziły i cokolwiek gryfy zamierzały z nimi zrobić. Trudno je sobie wyobrazić zatopione w lekturze. . .

— Tak, magia umysłu ma wystarczająco wiele wspólnego z prawdziwą magią, żeby Elspeth nasunęły się trudne pytania, na które pewnie ja będę musiał odpowiadać, a to może przysporzyć jej czasem kłopotów. Chodzi o to, że kiedy ona zadaje mi pytania, odciąga mnie od moich zadań. A kiedy pakuje się w tarapaty, trudno mi ją z nich wyciągnąć. Mnóstwo zapomniałem. W tej chwili tylko mnie to drażni, lecz w obliczu wroga może okazać się to niebezpieczne.

„A w jaki sposób wytłumaczyłbym to jej rodakom? Przykro mi, lecz pozwoliłem zabić waszą księżniczkę. Macie jakąś inną?” — pomyślał, ale nie powiedział tego na głos.

— Poprrroś innego adepta, żżżeby ją uczył — zaproponował Treyvan, podnosząc grzebień na głowie.

Mroczny Wiatr westchnął, oparł się plecami o ścianę i zjechał po niej, by usiąść na kamiennej posadzce, po czym rzekł: — Nie mogę. Wprowadziłem ją do klanu i odpowiadam za nią. Dopóki naprawdę nie będę potrzebował pomocy, nie wypada mi obciążać innych. Nie mamy zbyt wielu adeptów i szczerze mówiąc, w tej chwili nikt nie ma czasu, by uczyć Elspeth.

„Poza tym, widzę ją zadającą impertynenckie pytanki na przykład Lodowemu Cieniowi. . .” — dopowiedział sobie w duchu.

— A ccco byś powiedzdział o mnie? — spytał Treyvan po chwili namysłu.

— O tobie? — nie zrozumiał Mroczny Wiatr.

Gryf chrząknął i przechylił głowę na bok. — Wydaje mi ssię, że powinienem ją uczyć. Jessstem missstrzem i choć nie adeptem, to jednak mam sssporo doświadczenia. Z pewnością wysstarczy go, żeby odpowiadać na jej pytania,

wyciągać ją z kłopotów i uczyć wasss oboje. Jeśli ja nie znajdę odpowiedzi na jej wątpliwości, ty to zrrrobisz. — Otworzył dziób w gryfim grymasie. — Zrrrressz-tą mnie nie będzie trrraktowała tak lekceważąco, jak cciebie.

To rozwiązałyby wszystkie trudności. Mroczny Wiatr wiedział, że gryfy zna-ją magię i posługują się nią; widział to na własne oczy. Jeśli osiągnęły poziom mistrza, umiały prawie tyle, co adepci, od których różnili się tylko mocą, a nie umiejętnościami.

— Naprawdę, zrobiłbyś to? — spytał szybko. — Naprawdę?

Gryf wydał z siebie dźwięk pośredni między prychnięciem a chichotem. — Powiedziałem przeciezzz. Zabawne będzie znów uczyć ludzi. Co więcej, bezp-tórrry sssynu, zabiorrrę sssię także za ciebie. Hydona mi pomoże.

Mroczny Wiatr poczuł się, jakby wpadł w nawałnicę. Skończy się wymyślanie odpowiedzi, odwlekanie i uniki. Elspeth mogła się na to nabrać, ale nie Treyvan. Co gorsza, gryf miał taki wyraz twarzy, jakby myślał dokładnie to samo. Z drugiej strony Mroczny Wiatr potrzebował powtórki z magii, a jedynie Treyvan mógł mu w tym pomóc. Mroczny Wiatr nie chciał prosić o pomoc innych magów; wielu z nich i tak się przepracowywało, osłaniając kamień-serce i próbując go uleczyć; reszta współpracowała ze zwiadowcami. Po poprawie stosunków wewnątrz klanu można było skuteczniej bronić terenów wokół Doliny, a utrata jednego zwiadowcy nie oznaczała już przerwy w pierścieniu obrony, przez którą Zmora Sokołów mógłby się dostać w pobliże, Doliny, jak to czynił przedtem. Dlatego Mroczny Wiatr nie miał kogo poprosić o wspólne ćwiczenia. Między nim a Gwiezdnym Ostrzem ciągle były nie wyjaśnione, do końca urazy, zresztą stary mag był wystarczająco zajęty leczeniem siebie.

— Chodzi ci o coś jeszcze, prrrawda? — spytał Treyvan. Domyślność gry-fów często wprawiała ludzi w osłupienie. Przy nich nie dało się oszukać nawet samego siebie. — Ona budzi w tobie więcej uczuć, niż to konieczne, i to bardzo osssobistych uczuć...

Mroczny Wiatr zarumienił się.

— Nie całkiem — odparł sztywno. — Podoba mi się, owszem. Nic w tym dziwnego, tak się zwykle dzieje, kiedy nauczyciel i uczeń są młodzi, są prawie rówieśnikami. Chyba stałoby się tak z każdą piękną, młodą kobietą, która została-by moją uczennicą... — Nie było w tym wiele sensu, ale lepsze to, niż pozwolić Treyvanowi snuć dalsze domysły.

— Oczywiścieście — zgodził się chętnie gryf. Zbyt chętnie. Mag zaczął podej-rzewać, że przyjaciel drwi z niego, jednak nie miał na to żadnych dowodów, a o to chyba chodziło Treyvanowi. Dopóki nie obraził nikogo, mógł docinać, ile chciał.

„Wariat. Śmiałby się na własnym pogrzebie” — pomyślał kwaśno Mroczny Wiatr.

— Jeżeli ty zostaniesz naszym nauczycielem, wszystko się jakoś ułoży — ciągnął, jakby nic się nie stało. — Ja będę zbyt zajęty nauką, ona też, a szczerze

wątpię, czy Elspeth zainteresuje się tobą jako... hm, to jest... na twoim miejscu nie martwiłbym się tym.

— Nie zamierzam — odrzekł Treyvan, a w jego oczach pojawiły się figlarne błyski.

Mroczny Wiatr zazgrzytał zębami. Treyvan chciał go rozdrażnić i okazanie zdenerwowania tylko zachęciłoby go do dalszych prób. Gryf dzielnie znosił prześladowanie ze strony Vree zafascynowanego kolorowym gryfim czubem. Ptak polował na niego za każdym razem, mimo ostrzeżeń, próśb i gróźb Mrocznego Wiatru. Kilka razy zdołał go nawet sięgnąć pazurami, a raz skorzystał z dobrego nastroju gryfa, by ukraść mu jedno pióro.

„Cóż, chyba przełknę dawkę przytyków. Przynajmniej Treyvan nie rzuca się na mnie z pazurami” — próbował znaleźć dodatnie strony tej sytuacji. — „Choć mógłby wybrać inny temat żartów niż moje uczucia do Elspeth”.

Hydona zasyczała, by zwrócić uwagę Elspeth. Mroczny Wiatr nawet tego nie usłyszał. Wydawał się być rozkojarzony. Tymczasem Treyvan wykorzystywał każdy moment roztargnienia, by starannie odmierzonymi ciosami burzyć wznoszone przez niego osłony. Gryf obserwował go bardzo czujnie, choć starał się, by nikt tego nie zauważył. Dzięki osadzeniu oczu po bokach głowy miał o wiele szersze pole widzenia niż człowiek.

Mroczny Wiatr nie przypuszczał, że Treyvan rzeczywiście poprosi o pomoc Hydone. Jednak gdy tego ranka razem z Elspeth dotarli do obszaru ćwiczeń, na ich powitanie podniosły się cztery skrzydła, a nie dwa.

— Hydona ma więcej cierrrpliwości niż ja — wyjaśnił gryf. — I więcej doświadczenia w nauczaniu. Uznała, że będzie lepszą nauczycielką dla Elspeth. Ja zaśś zajmę ssię tobą. . .

— A co z gryfiątkami? — spytał zmieszany Mroczny Wiatr. — Nie powinny przebywać w pobliżu kamienia, mimo wszelkich osłon, jakimi go otoczyliśmy.

— Zossstały w gnieździe — odrzekł Treyvan. — Uroczyssstośści przyniossły nieoczekiwane rezultaty. Jeden z kyree, Torrl, został z nami, by pomóc zwiadowcom, zaśś wczoraj przyłączył się do niego kuzyn, Rris. On zaopiekuje się małymi. Mówi, że cieszszy ssię z tego. — Treyvan wykrzywił twarz. — Zdaje ssię, iż jessst gotów narazić ssię nawet na ssstratowanie przez maluchy, byle być blisssko takich legendarrnych ssstworzeń jak my.

Mroczny Wiatr potrząsnął jedynie głową. Kyree były duże, ale nie dorównywały wielkością nawet niedorośłym gryfom. Młode z łatwością mogłyby nimi rzucać jak piłką. Rris jeszcze pożałuje swej propozycji, gdy pozna ich ulubione gry w rodzaju „rzut Risem do celu” albo „krzycz i skacz. . .”

Chyba że kyree okaże się na tyle sprytny, że skłoni młode do spokojniejszej zabawy..

— Mam nadzieję, że ten Rris jest cierpliwy, przyjacielu — rzekł tylko. — Twoje dzieci mogą wziąć go za żywą zabawkę.

— Przypomnij sobie Torrla — zaśmiał się Treyvan. — Młody Rris jest rrrównie mądrrry i podobno śśświetnie sssobie rrradzi z dziećmi. Wszystko będzie dobrze.

Mroczny Wiatr nie miał już więcej czasu martwić się o odważnego kyree, opiekującego się Jervenem i Lythą, gdyż ich ojciec zaczął naukę natychmiast i w takim tempie, jakby chciał jak najszybciej uczynić z niego adepta. Okazał się bezlitosny, jednak wybrał inną metodę, niż były znane Mrocznemu Wiatrowi. Kiedyś uczono go najpierw operowania energią i osłonami, później ataku, a dopiero na końcu obrony. Treyvan zaś zaczął od obrony — i to od razu na poziomie mistrza.

Tak jak teraz: Mroczny Wiatr budował osłony, warstwa po warstwie jak cebula, a Treyvan obserwował z boku jego poczynania, czekając na najmniejszą szczelinę, by w nią natychmiast uderzyć. Chodziło o to, żeby stworzyć jak najwięcej różnorodnych tarcz, tak by wróg zatrzymał się, jeśli nie na pierwszej z nich, to na drugiej, czwartej czy piątej.

Wierzchnia warstwa służyła raczej zmyleniu przeciwnika niż obronie; miała ona odciągnąć od maga wewnętrzny wzrok patrzącego nań i jednocześnie ukryć go, rozpraszać jego magiczne odbicie. Napastnik nikogo nie dostrzeże. Następna tarcza odchyłała kierunek uderzenia, jeszcze następna wchłaniała i przekształcała energię, zaś najgłębsza odbijała z powrotem na napastnika, przechodząc przez wszystkie inne warstwy. Najwięcej kłopotu sprawiała Mrocznemu Wiatrowi tarcza pośrednia; owszem, wchłaniała moc, lecz nie przekształcała jej w nic przydatnego do obrony.

— Spójrz — rzekł wreszcie Treyvan, podczas gdy Hydona objaśniała Elspeth konieczność uziemienia osłon przed sięgnięciem do ogniska energii. Mroczny Wiatr usiłował przekonać ją o tym przez całe dwa dni. Słyszając to samo z innych ust, uparta księżniczka wreszcie chyba zaczynała wierzyć, że miał rację. „Zaczyna wierzyć, że to prawda” — poprawił się. „To się liczy, a nie źródło wiedzy. Jeżeli skłonna jest bardziej ufać Hydonie niż mnie, to świetnie. Przynajmniej nauczy się tego teraz, a nie na własnym przykładzie...”

Odkąd sięgał pamięcią, nikt z k'Sheyna nie uczył się tej lekcji „na własnym przykładzie”. Jednak według legendy mag k'Vala sięgnął do ogniska bez zakotwiczenia własnej mocy w ziemi — i ognisko okazało się skażone. To się zdarzało, jeśli w pobliżu nie było kamienia-serca, utrzymującego w równowadze prądy i węzły mocy. Ognisko, którego dotknął ów mag, niespodziewanie wybuchło, zaś człowiek nie miał ujścia dla nagromadzonej mocy ani osłon. Cała moc ogniska przetoczyła się przez niego, zamieniając go w żywą pochodnię, płonąca — jeśli wierzyć opowieści — kilka dni. W rzeczywistości mag prawdopodobnie spłonął tak szybko, że nie miał czasu nawet przekonać się, co się stało. Tak czy inaczej,

spotkała go straszliwa śmierć.

„Może potrzebowała nauczycielki kobiety” — myślał, obserwując oczy Elspeth, skupione i poważne. — „Jej mistrzyni walki, krewna Talesedrin, którą tak uwielbia, to kobieta, tak jak jej najbliższa przyjaciółka i jej Towarzysz. Może o to chodziło...”

Plask!

Mentalny policzek przypomniał mu, że miał pracować, a nie marzyć o niebieskich migdałach. Treyvan znów skorzystał z okazji, by przywołać go do porządku.

„Niech cię licho, gryfie. To boli” — skarżył się, w myśli. Ciągłe dzwoniło mu w głowie, ale odwrócił się do nauczyciela, którego zniecierpliwienie zdradzał powiewający ogon.

— Jeśśli nie będziesz uważał, oberrrriesz jeszcze barrrdziej, Mrrrocny Wietrze — ostrzegł gryf. — Już trzeci rrraz dzissisaj pozwoliłeśś myśśłom odpłynąć.

Wymamrotał przeprosiny, nie wspominając, iż to za sprawą Elspeth popadał w takie roztargnienie. Nie musiał się fatygować, Treyvan wiedział o tym doskonale i nie omieszkał tego obwieścić.

— Czy nie potrrafisz prracować w pobliżu młodej kobiety? — spytał zimno. — Ludzie! Dla wasss zawsze trrrwa porrra godowa!

Mroczny Wiatr zarumienił się gwałtownie. — To nie to... — zaczął, ale Treyvan uciał jego protesty.

— Nieważne. Terrraz patrz. Tak powinno wyglądać przekształcanie enerrrgii dla postrrronnego obssserrratorrra. Zbuduj osssłone, a potem odepchnij od sssiebie lekko i zatrzymaj ją w pewnej odległości od sssiebie.

Mroczny Wiatr wymazał z umysłu wszelkie myśli; czuł tylko przepływające strumienie mocy i energię, którą przekształcał Treyvan. Patrząc, jak gryf buduje osłony, powolutku, dokładnie, przywołał wreszcie, co umknęło mu z pamięci.

Treyvan utkał skomplikowaną strukturę, posiadającą tylko dwa ujścia mocy: na zewnątrz — mocy maga — i do wewnątrz — mocy skierowanej przeciwko magowi, po to, by ją wchłonąć i wykorzystać do obrony. Mroczny Wiatr zostawiał jeden kanał, skierowany na zewnątrz. Energia nim wpływająca blokowała przepływ mocy od maga do pierwszej warstwy osłon i gromadziła się wewnątrz, co okazywało się tyleż irytujące, co niebezpieczne. Do warstwy przekształcania moc w ogóle nie docierała.

Przeklinając samego siebie, Mroczny Wiatr ponownie wznosił osłony. Tym razem wszystkie zadziałały, a on uzyskał dwa kanały mocy kosztem jednego.

— Terrraz wiesz, jak zniszczyć wszysstkie warrrssstwy, tak? — zakończył Treyvan, kiedy nowe tarcze zostały już przetestowane.

— Dwoma sposobami, nawet trzema, jeśli liczyć też uderzenie wielką mocą, które po prostu rozsadzi kanały — odparł Mroczny Wiatr. — Pierwszy sposób: mogą znaleźć uziemienie i wykorzystać je do zniweczenia osłon. Sam się

uziemiam w tym samym miejscu, przejmuję energię tarcz i wtedy cała moc przeciwnika trafia do mnie, a jego osłony ulegną zburzeniu, zanim zdoła zareagować, oczywiście jeżeli zrobię to wystarczająco szybko.

Treyvan podniósł grzebień na znak aprobaty, po czym rzekł: — Świetnie. A co dalej?

— Mogę zaskoczyć wroga: zaatakować uziemienie, które jest najsłabszym punktem osłon, albo zupełnie inaczej. . . — Mroczny Wiatr zastanawiał się chwilę. — Gdybym był napastnikiem, zrobiłbym coś nieoczekiwanego. Rzuciłbym się na niego albo wysłał Vree, stworzyłbym iluzję, rzucił kamieniem, po to by stracił nad sobą panowanie.

— Dobrze — zaśmiał się gryf. — A terrraz sssłuchaj. Czy potrrrafiłbyś zrrobić to, co Potrzeba, czyli rrozbić ssstrumień enerrrgii ataku i przeksztalcić go?

Mroczny Wiatr przypomniał sobie dokładnie postępowanie miecza w chwili ataku Zmory Sokołów.

— Potrafiłbym — odrzekł pewnie — ale tylko w taki sam sposób, w jaki ona to zrobiła: likwidując wszelkie osłony z wyjątkiem warstwy przeksztalcenia energii. Dla miecza to całkiem skuteczny system obrony, lecz człowiek musiałby być głupcem, żeby go wykorzystać.

Treyvan skinął głową. — Jej sssposssób zadziałał, a to najważniejsze. Okazał sssię ssskuteczny wobec wszelkich magicznych ciosssów Zmorry Ssokołów. Gdyby zaatakował fizycznie, może ssskończyłoby się inaczej. Nasz wrrróg wykazał się krrrótkowzrrrocnością.

— Mieliśmy szczęście — rzekł ponuro Mroczny Wiatr. — Zmora Sokołów był zbyt pewny siebie, a dla nas los okazał się łaskawy. Czuję, że gdyby starannie zaplanował napaść i zmobilizował wszystkie siły, schwytałby nas razem z Shinain, a może nawet ich Boginię.

Treyvan zagwizdał cicho. — Nasze myśśli biegną tym sssamym torrem — odezwał się po chwili ciszy. — I coś mi mówi, że nie zawsze szczęście będzie nam tak sssprzyjać.

— Mnie też się tak wydaje. — Mroczny Wiatr kiwnął głową w stronę Elspeth i spróbował rozładować atmosferę. — Ta kobieta przyciąga kłopoty.

Treyvan zamknął dziób i przytaknął. — Przrzyciągnęła także ciebie. A wrracając do nassszych sssprrraw, ssspójrmy, jak uda ci sssię tym rrazem. . . ja atakuję.

Elspeth słuchała uważnie każdego słowa Hydony. Zdumiewająco szybko pogodziła się z faktem, że jej nauczycielką zostało stworzenie większe od największego konia, jakiego w życiu widziała, i które mogłoby odciąć jej ramię jednym uderzeniem potężnego dzioba. Hydona posługiwała się bardziej zrozumiałym językiem niż Mroczny Wiatr; może dlatego, że tyledraski nie był jej ojczystym językiem, starała się być precyzyjna w swych wyjaśnieniach i unikała niedomó-

wień, które tak drażniły Elspeth u Mrocznego Wiatru.

„Piękny przykład, jak należy zachować ostrożność w tłumaczeniu. Ciekawe. Nie posądzałam Hydony o taką subtelność” — rozmyślała.

Hydona przedstawiała Elspeth magię w odniesieniu do znanej jej magii umysłu. To brzmiało bardziej sensownie niż pogmatwane wywody Mrocznego Wiatru na temat przepływu energii. On zdawał się to dostrzegać i czasami uciekał się do drobnych kłamstewek, próbując ukryć luki w swej wiedzy. A ona już miała tego dość, dostatecznie dużo takich wybiegów naoglądała się na dworze.

Hydona dokładnie objaśniła jej sposób odpierania energii i budowania tarcz, to nasunęło jej na myśl uziemienie i skupienie; służyło zresztą tym samym celem. Elspeth wreszcie przestała podświadomie wątpić w sens podwójnej osłony: przeciw cudzym myślom i przeciwko atakowi magicznemu. Hydona zwróciła jej także uwagę, że dotąd wszystko to robiła dla Elspeth Potrzeba. Miecz był stałym punktem odpierania energii, odprowadzał jej nadmiar do ziemi i sam służył jako uziemienie dla właściciela. Potrzeba miała własne osłony, prawdopodobnie już nie kontrolowane świadomie, może w ogóle niezależne od samej Potrzeby, lecz związane z samym mieczem, jeszcze zanim wcieliła się w niego czarodziejka. Dlatego Elspeth mogła posługiwać się magią bez przygotowania, które Tayledra si i ich przyjaciele uznawali za niezbędne. Podjęto środki ostrożności, tylko że Elspeth o tym nie wiedziała.

Teraz, gdy już nie miała Potrzeby, Elspeth musiała nauczyć się robić to, co robił za nią miecz. „Jak łatwo miecz mógł robić wszystko za swego posiadacza, zamiast mu tylko pomagać” — stwierdziła z ironią.

Tak czy siak, Potrzeba sama zmusiłaby ją, by się tego wszystkiego nauczyła. Wyręczała ją tak długo jedynie dlatego, że groziło im bezpośrednio niebezpieczeństwo.

Elspeth posłusznie szła za Hydona, gdy ta wiodła ją przez kolejne etapy budowy osłon i zakotwiczenia energii, a potem tak długo ćwiczyła, aż osiągnęła wprawę. Po pierwsze musiała wyczuć stałe punkty w otaczających ją prądach energii, potem zaczepić się o nie mentalnymi „haczykami” i wreszcie wznieść osłony przeciw magii. Powtarzała to tyle razy, że w końcu czyniła to mechanicznie, z wysiłkiem nie większym niż utrzymanie się na galopującym koniu. Zaskoczyła ją nieco szybkość, z jaką opanowała podstawy. Hydona nic na ten temat nie powiedziała; wydawała się uważać to za naturalne.

Wreszcie zmęczyła się ciągłym powtarzaniem tego samego.

— Terraz uwaga — powiedziała Hydona. — Gdy zabezpieczyłaś sssię osłonami i umocniłaś, sssięgasz po moc. Na wssschód od ciebie leży mały ssstrumień; łatwo go opanować, lecz ty o tym nie wiesz. Założmy, że nic nie wiesz. Posz szukaj go, wyprrróbuuj, tak, jak cię uczyła Potrzeba. Sssprrrawdź, czy możesz go wykorzyssstać, czy też jessst dla ciebie za ssssilny.

Elspeth zamknęła oczy, znalazła prąd i zanurzyła mentalną próbkę, jak palce

w wodzie. Spróbowała, zbadała jego strukturę i siłę. Rzeczywiście, nie był mocny ani szybki. Raczej słaby w porównaniu z ogniskiem pod ruinami. „Nie na wiele się przyda” — pomyślała i nie zastanawiając się, pobiegła wzdłuż jego biegu dalej, do ogniska.

Nagle zadzwoniło jej w czaszce od mocnego mentalnego uderzenia. Otworzyła oczy i zaskoczona spojrzała na gryfa.

— Dlaczego to zrobiłaś? — spytała gniewnie. — Właśnie miałam. . .

— Właśnie miałam dotrzeć do kamienia-ssserrrca — przerwała Hydona. — Aż tego, dziecko, nie wyszłabyś inaczej niż w kawałkach. Na zbliżanie sssię do kamienia może sssobie pozwolić tylko doświadczony i osstrrożny adept.

Elspeth przygryzła wargi.

— Myślałam, że kamień został zabezpieczony i nikt prócz adeptów nie może się do niego dostać. Przecież to nad tym pracują wszyscy magowie, odkąd tylko pozbyliśmy się Zmory Sokołów.

— Tak jest — skinął gryf — ale osstony kamienia nie ssięgają tutaj. Ci, którzy prrróbuja uzdrrowić kamień, mogą ssstąd dotrzeć do niego, nie narruszając osstón.

— Czyli adepci pracują właśnie tutaj? — spytała Elspeth. Hydona przytaknęła. — Czy to bezpieczne? Czy nie zaszkodzimy kamieniowi?

— Nikogo tu terrraz nie ma prrrócz nasss — powiedziała spokojnie Hydona. — Boisz sssię?

Niechętnie kiwnęła głową. Po tym, co usłyszała o kamieniu i zagrożeniu z jego strony, nie miała ochoty znaleźć się w jego pobliżu bez żadnych barier ochronnych. Przebiegł ją dreszcz niepokoju.

— Barrrdzo dobrze — stwierdziła Hydona. — Powinnaś sssię bać. I to barrrdzo. Nie wolno go lekceważyć. On jesst jak błyssskawica, co prawda znajduje sssię pod kontrrrrolą, lecz w każdej chwili może sssię wymknąć. — Złożyła skrzydła i podwinęła ogon. — A terrraz powiedz mi, dlaczego poszłaś dalej, niż ci kazałam.

Elspeth poruszyła się niespokojnie, zbita z tropu przenikliwym spojrzeniem ciemnych oczu gryfa. — Tam. . . tam nie było dużej mocy — zająknęła się. — Chciałam, aby było więcej. To znaczy. . . z tą odrobiną niewiele bym zdziałała.

— Więcej, niż myślisz — powiedziała Hydona, a w jej głosie dało się słyszeć łagodną naganę. — Dotąd, dziecko, zawsze sssprzyjała ci forrrtuna i nie nauczyłaś sssię obywać mniejszą energią. — Gryf wstrząsnął głową; Elspeth poczuła zapach cynamonu i piżma. — Musssisz sssię nauczyć gossspodarrrrrować zapassami. — Hydona przechyliła głowę i popatrzyła na Elspeth. — Najssskuteczniejszy mag, jakiego znałam, nie wyszedł poza klassę wędrowca. Osssiągnął wiele, ponieważ dokładnie znał ssswoje możliwości i nie wykrrrraczał poza nie. Natomiassst w ich ramach czynił wszzysssstko, co sssię dało. Nigdy nie pozwolił, by przeszkodziły mu zbyt małe zapassy enerrrgii; po prostu znajdował sssposób

najlepszego ich wykorzystania.

Tak surowo Hydona nigdy się jeszcze do niej nie odezwała. Dotąd Elspeth nie zdarzyło się oberwać bury od gryfa; dziś widocznie na to zasłużyła. Klaps, który do tej pory jeszcze huczał jej w głowie, bardzo przypominał podobne klapsy „z czułości” wymierzane przez Kero.

Elspeth potarła skroń i porównywała przez chwilę obie nauczycielki. Kero mówiła: „To dla twojego dobra”. To, czego się teraz uczę, to także rodzaj walki, stwierdziła. A co powiedziałyby Kero? „Na ćwiczeniach zbrojmistrz jest jedynym bogiem”. To także są ćwiczenia, przyznała. Skinęła więc potulnie głową. Hydona wydawała się być zadowolona.

— Najpierrrrr tak, jak cię uczyłam. Znajdź prrrrad, sssprawdź go i zczerrrrnij z niego. — Hydona usiadła wygodnie. Jej spojrzenie dawało wyraźnie do zrozumienia, że nie puści płazem najmniejszej niedokładności.

Wzdychając cicho, Elspeth odnalazła nudny, spokojny potoczek i sięgnęła do niego. Jego moc ledwie się sączyła, podczas gdy w kamieniu-sercu przypominała wodospad. Tym razem Elspeth nie musiała nawet zamykać oczu. Od lat swobodnie poruszała się po niewidzialnym świecie mocy, była to część szkolenia herolda-dalekowidza. Ponownie okazało się, jak opanowanie magii umysłu ułatwia posługiwanie się prawdziwą magią. „Cóż, jak twierdzi Hydona, mniejsza moc nie oznacza mniejszej skuteczności. Magia umysłu też się przydaje. Jeżeli więcej heroldów posiada dar magii, chyba zdołam ich wyszkolić w dość krótkim czasie, na pewno krótszym niż w szkole Quentena, gdzie osiągnięcie statusu wędrowca zajmuje sześć do ośmiu lat” — pomyślała.

Gdy skończyła zadanie, Hydona z satysfakcją kiwnęła głową.

— Dobrze. Terrraz ssskierrrruj moc do mnie — rzekła i otworzyła dziób w gryfim uśmiechu na widok zaskoczonej miny Elspeth. — Czyżbyś nie wiedziała, że to możliwe? Przecież na tym polega uzdrrrrawianie. Między magią umysłu a prrrrawdziwą magią sssą podobieńssstwa, ale i rrróżnice, na które mussisz zwracać uwagę. Zaufaj insstynktowi, lecz nie zakładaj niczego z górrry.

Hydona nie powiedziała jeszcze jednego, z czego Elspeth doskonale zdawała sobie sprawę: to, że doskonale włada magią umysłu, nie oznacza wcale, że wie wszystko o magii.

Elspeth wysłała próbną wiązkę do gryfa i z ulgą stwierdziła, iż Hydona zburzyła osłony w oczekiwaniu na jej „dotyk”. Nie miała pojęcia, jak przesyłać energię komuś niechętnemu do współpracy lub, co gorsza, niezdolnemu do niej. Próbowowała kilka razy, zanim zdołała utrzymać oba kanały — pomiędzy sobą a prądem i między sobą a Hydona, lecz gdy to się udało, mogła przesyłać moc bez większych trudności. Miała ochotę stworzyć bezpośrednie połączenie między Hydona a strumieniem, ale gryf mógłby to wyczuć.

Hydona przerwała kontakt; Elspeth podtrzymywała połączenie z prądem, nie czerpiąc z niego energii, czekając na dalsze polecenia.

— Umiesz szukać, próbować, kierować i przesyłać moc. Teraz będziemy ćwiczyć i ćwiczyć, aż nauczysz się szukać, próbować, kierować i przesyłać ją w każdych warunkach.

Elspeth jęknęła cicho i przerwała połączenie z prądem, uwalniając moc. Zaczynała ją to nużyć. Hydona coraz bardziej przypominała Kero. „Powinna jeszcze zacytować przysłowie Shin’a’in” — pomyślała.

— Podobno to, na co się przygotowujesz, nigdy nie nadchodzi — powiedziała Hydona. — To stare przysłowie Kaled’a’in. Przygotuj się więc na taką możliwość: jesteś sama, chorra, ranna, wyczerpana, otoczona przez wrogów i potrzebujesz mocy, a nie wiesz, gdzie jej szukać. Hm?

Elspeth tylko westchnęła.

Kiedy gryfy wreszcie poszły, Mroczny Wiatr potarł obolałe i piekące oczy. Z zaskoczeniem stwierdził, że Elspeth wciąż jest obok — siedzi z zamkniętymi oczami na kamiennej ławce, oparta o marmurowy mur okalający plac ćwiczeń. Zastanawiał się, czy czeka, by jej pokazał drogę powrotną, czy też czeka na niego. Podszedł do niej; otworzyła oczy i spojrzała na niego. Wyglądała na zmęczoną.

— Musimy iść — rzekł ostrożnie, niepewny, jak się zachowa. — Zaraz tu przyjdą inni pracować nad kamieniem i będziemy przeszkadzać.

— Może być jeszcze gorzej, jeśli dobrze zrozumiałam aluzję Hydony — odparła, podnosząc się powoli. — Możemy się znaleźć w niebezpieczeństwie lub ściągnąć zagrożenie na nas wszystkich. Przynajmniej ja. Nie pozwala się małemu dziecku przebywać na polu walki; choć nikt nie uderzyłby go rozmyślnie, jednak... wypadki się zdarzają.

— Masz całkowitą rację — przytaknął z ulgą. — Pójdiesz ze mną poszukać czegoś do jedzenia?

Zawahała się; wzruszyła ramionami. — Nie czuję głodu — rzekła po chwili.

— Tym bardziej powinnaś coś zjeść — ostrzegł. — Dopóki się nie przyzwyczaisz do korzystania z energii magicznej, musisz sama dbać o to, żeby się nie zagłodzić.

Spojrzała na niego zaskoczona, lecz wyraz jego twarzy upewnił ją, że nie żartuje. — To nawet nie tak źle, jeśli chce się nieco schudnąć, ale...

— Pulchnych magów raczej się nie spotyka — zauważył po drodze. — Chyba, że ktoś zbyt sobie pobłaża lub jest po prostu chory. Posługiwanie się mocą magiczną wyczerpuje twoją własną energię, co oznacza, że wykonałaś właśnie ciężką, fizyczną pracę.

Poprowadził ją do przejścia zbudowanego na podobieństwo Bramy. Było to dodatkowe zabezpieczenie pracujących wewnątrz magów przed ciekawskimi i intruzami, tak jak mury okalające teren. Było to miejsce nie dla każdego dostępne; czasem Mroczny Wiatr zastanawiał się, czy i czas nie biegnie tam inaczej.

Elspeth potrząsnęła głową, próbując pozbyć się uczucia dezorientacji, towarzyszącego przekraczaniu przejścia.

— Jak wy się do tego przyzwyczajacie?

— Nie przyzwyczajamy się — odparł Mroczny Wiatr. — Jak i do wielu innych rzeczy. Przystajemy tylko okazywać, że to nam przeszkadza.

Nic nie odpowiedziała, lecz kątem oka dostrzegł jej ukradkowe spojrzenia. Mag chciał jak najszybciej znaleźć kuchnię hertasi, zanim głód nie zepsuje mu nastroju i nie sprowokuje do nie przemyślanych czynów. Nie chciał urazić Elspeth, lecz często nie wiedział, jak się wobec niej zachować; odnosił niekiedy wrażenie, że tańczy wokół niej jakiś skomplikowany taniec — i to go męczyło. Ciekawiło go, czy Elspeth czuje to samo. Każde z nich wyrosło w całkowicie odmiennych warunkach i kulturze — a przecież mieli tyle wspólnego.

„Kuchnia” nie bardzo przypominała kuchnię; był to po prostu wspólny magazyn, zaopatrzone przez hertasi w owoce, chleb, wędzone mięso i inne trwałe produkty. Przychodzili tu Sokoli Bracia, którzy nie umieli lub nie mieli ochoty przygotowywać sobie posiłków. Wybór nie był wielki, lecz jakość dobra. Mroczny Wiatr nie chciał teraz szukać własnego ekele i tracić czasu na gotowanie, kiedy żołądek przyrastał mu do kręgosłupa. Gestem pokazał Elspeth, żeby się rozgościła i wziął owoce, chleb, kawałek mięsa i korzeń dosent, który na surowo przypominał smakiem ser. Znaleźli miejsce do siedzenia na ustronnej polance i bez zwłoki zabrali się do jedzenia.

— Czego uczyła cię Hydona? — zaczął Mroczny Wiatr, kiedy zaspokoił pierwszy głód.

— Błahostek — skrzywiła się Elspeth. — Wiem, to dziecinne, ale kazała mi cały czas ćwiczyć na małym strumyczku mocy, póki nie upewniła się, że umiem to zrobić nawet zbudzona w środku nocy. A przecież pracowałam już z Potrzebą w ognisku w ruinach i ona o tym wie!

— I pewnie zastanawiasz się, dlaczego zmusza cię do korzystania z małej ilości mocy? — spytał, starając się podążyć za tokiem jej myśli.

Elspeth kiwnęła głową i ugryzła owoc chasern.

Mroczny Wiatr oblizał palce, z których ściekał mu sok i spróbował wytłumaczyć jej to tak, jakby zrobiła to Hydona.

— Po pierwsze, niektóre źródła mocy stanowią zbyt wielkie zagrożenie dla pojedynczego adepta. Tak, nawet tutaj, na naszej własnej ziemi. Mam na myśli inne ogniska, nie kamień. — Skinął głową, widząc jej zaskoczenie, — Nawet tutaj zachowały się obszary nieczystej magii, na przykład jaskinie pozostawione jeszcze po magicznych wojnach: Są one niewidoczne z zewnątrz, ale śmiertelnie niebezpieczne, kiedy w nie wpadniesz. Z tym radzą sobie jedynie adepci uzdrowiciele, a w tej chwili nie mamy nikogo takiego. Istnieją także naturalne ogniska mocy zbyt silne dla jednego adepta, na przykład ogniska, do których wpływa więcej niż siedem strumieni lub inne, których wielkość i siła zmienia się nieoczeki-

wanie. Dodaj do tego jeszcze łatwość przesuwania się prądów, zmiany kierunku, a zrozumiesz, dlaczego do niektórych można dotrzeć tylko w grupie magów, kiedy jeden osłania drugiego, a każdy wykonuje tylko część pracy, zostawiając sobie zapas sił na wypadek kłopotów.

— Rozumiem, dlaczego Hydona nie chciała, żebym czerpała z każdego źródła mocy, jakie napotkam — odparła Elspeth niecierpliwie — ale dlaczego każe mi operować takimi szczątkami mocy, skoro moc jest wszędzie?

— Ależ skąd — odrzekł, zadowolony, że wreszcie dotarł do przyczyny nieporozumienia i jej rozdrażnienia. — Każdy dar ma swoje granice, nawet najpotężniejszy. Choć jesteś dalekowidząca, możesz widzieć tylko na określoną odległość, nie dalej, prawda? — Kiwała powoli głową, słuchając go uważnie. — Myślmową też możesz się posługiwać tylko do pewnego stopnia. Mocy również nie znajdziesz wszędzie, przynajmniej wielkiej mocy. Zdarzają się obszary, na których ogniska bywają słabsze niż prąd, na którym dzisiaj ćwiczyłaś. My, Tayledrasi, z rozkazu Bogini oczyszczamy ziemię z magii, koncentrując ją tutaj. W Dolinie i wokół niej poziom mocy jest nienaturalnie wysoki, podobnie jak na obszarze nazywanym przez was Pelagirem, a przez nas ziemią skażoną.

Przełknęła kawałek owocu. — Czyli po powrocie do domu mogę stwierdzić, że w ogóle nie znajdę mocy do wykorzystania? — spytała przerażona.

— Och, nie — pocieszył ją szybko. — Będziesz jednak prawdopodobnie mieć do czynienia z mniejszymi zasobami energii niż tutaj lub z mocą głęboko ukrytą. Dlatego szkoły magów tworzą własne rezerwy mocy, dostępne dla adeptów tych szkół. I dlatego też krwawi magowie czerpią siłę z bólu i cierpienia swych ofiar. Musisz umieć działać subtelnie; czasem nie warto rzucać na szalę całej mocy, jaką się dysponuje. Sama to widziałaś, kiedy walczyliśmy ze stworzeniami Zmory Sokołów.

Potrząsnęła głową, z uporu czy z innego powodu, tego nie wiedział.

— Słuchaj — rzekł — według Hydony świetnie sobie radzisz. Kiedy nauczysz się najlepiej wykorzystywać małe źródła mocy i swoją własną energię, Treyvan i Hydona chcą, żebyśmy objęli posterunki na granicy.

Uśmiechnął się na widok jej wyraźnego ożywienia.

— Naprawdę? — zawołała. — Czułam się bezużyteczna. Owszem, trzeba opanować teorię, zanim się przejdzie do praktyki, ale...

— Ale chcesz się dowiedzieć, jak pokonać wroga twojego kraju — dokończył. — Jesteś zniecierpliwiona, wiem, lecz proszę, uwierz: lepiej wykorzystać zbyt mało energii niż zbyt wiele. Nie poluje się na wróble z maczugą, bo je zmiażdżysz i nie będziesz miała z nich żadnego pożytku. Zbyt wielka moc przyciąga nieproszonych gości, którzy mogą okazać się bardziej niebezpieczni niż ci, z którymi walczyłaś. Hydona usiłuje nauczyć cię dokładności i skuteczności. Wykorzystaj tę szansę. Na wielką magię przyjdzie czas.

Patrzył na nią; zamyśliła się. Miał nadzieję, że mu uwierzyła; od tego już

w niedalekiej przyszłości mogło zależeć jej życie. Hydona nie na próżno wspominała o patrolowaniu granicy. Tam będą zdani tylko na siebie i na gryfy; być może spotkają istoty bardziej niebezpieczne niż Mornelithe Zmora Sokołów.

ROZDZIAŁ ÓSMY

„Zostałam zwiadowcą Tayledras i to w Pelagirze. Ja, która nawet nie wyruszyłam na objazd w czasie praktyk czeladniczych! Matka dostałaby spazmów!” — rozmyślała Elspeth. Za każdym krzykiem ptaka i skrzypnięciem gałęzi podskakiwało jej serce, choć wiedziała, że prawdziwe niebezpieczeństwo nadejdzie jak zwykle nieoczekiwanie. Gwena reagowała równie nerwowo, co jeszcze pogarszało sytuację, ponieważ zburzyły między sobą osłony i Elspeth czuła wszystko to, co jej Towarzysz.

Czy może chodziło o coś innego? Gwena wyglądała na poruszoną, lecz nie zdenerwowaną.

No dobrze — powiedziała Elspeth, która nagle nabrała podejrzeń. — *Co ukrywasz tym razem?*

Nie ukrywam, to znaczy... nie przed tobą — odparła Gwena, próbując grać na zwłokę. — *Nie chciałam, żeby inni się domyślili. To jest... może ukrywałam, może nie, nie wiem, czy domyślili się o mnie i Cymry. Nie chodziło o ciebie, tylko...*

Elspeth zakrztusiła się i zakaszła, by to ukryć. — *Gwena, kochanie, przestań mamrotać bez sensu, dobrze?* — rzekła. — *Tayledrasi prawdopodobnie wiedzą o was mnóstwo, sądząc ze sposobu, w jaki traktuje was Mroczny Wiatr. Jednak nie dzielą się ze mną swą wiedzą. Może więc skończysz z sekretami i powiesz mi, o co chodzi.*

W jej głosie zabrzmiała uraza. Nawet dziecko zauważyłoby szacunek okazywany Towarzyszom przez Tayledrasów, większy nawet niż ten, jaki okazywano im w domu, w Valdemarze. Jednak członkowie klanu nigdy nie pozwalali sobie na rozmowę o Towarzyszach pod ich nieobecność, jakby bali się ich obrazić lub powiedzieć za dużo.

Nawet jeżeli takie postępowanie nie kryło w sobie żadnych podtekstów, drażniło ono Elspeth.

Cóż, i tak wkrótce musiałabym ci to powiedzieć — zaczęła Gwena. — *To nie strasznego. Teraz, kiedy umiesz przesyłać energię i odbierać ją od innych, możesz korzystać z mojej mocy.*

Elspeth tylko skinęła głową; przywykła do niespodzianek. — *Póki się tego nie nauczyłam, nie było sensu mówić mi o tym. To oczywiste.* — Zamknęła oczy

i bardzo wolno policzyła do dziesięciu. — *Na pewno nic więcej?*

Na pewno — odrzekła pokornie Gwena. — *Naprawdę. Mogę cię wspomóc, lecz podlegam tym samym ograniczeniom, chociaż...*

Elspeth ponownie policzyła do dziesięciu. — *Tak?*

— *Ciebie i mnie łączy szczególna więź. Odległość między nami nie gra roli w porozumieniu. Jesteśmy podobne do pracującej wspólnie pary połączonej więzią życia. Jeśli chcesz, spytaj Mroczny Wiatr: taka para może dokonać więcej niż dwójka przypadkowo dobranych adeptów.*

Elspeth zamajaczyło odległe wspomnienie ciemnej, wietrznej nocy, kiedy Gwena ją Wybrała. Jednak wrażenie znikło i po chwili bezowocnych wysiłków dała za wygraną.

Ciesz się mną to — powiedziała szczerze. — *Może się kiedyś przydać. To chyba nie znaczy, że jesteś także magiem?*

O nie! — odparła z ulgą Gwena. — *Nic w tym rodzaju! Po prostu potrafisz czerpać energię z ognisk i prądów, jak wszyscy Towarzysze, tyle że większość z nich wykorzystuje ją tylko na własne potrzeby: samouzdrawianie, zwiększona wytrzymałość, szybkość... no i nie potrafią przesyłać mocy swoim Wybranym. To dlatego jesteśmy białe. Spytaj Mroczny Wiatr o związek między korzystaniem z ognisk mocy a kolorem włosów i oczu.*

Elspeth usiadła prosto i spojrzała w górę, na drzewo, z którego Mroczny Wiatr „obserwował zakręt”, a właściwie w tej chwili tylko czekał na powrót Vree, wysłanego na zwiady.

— Mroczny Wietrze — wyszeptwała. Spojrzał na nią, lecz nie dał znaku nakazującego ciszę. — Gwena poradziła mi spytać cię o wpływ ognisk energii na rozjaśnianie włosów. Podobno Towarzysze są tak białe, bo używają energii ognisk do zwiększenia swej wytrzymałości i szybkości — powiedziała, wciąż nie bardzo mogąc sobie to wyobrazić.

Jednakże Mroczny Wiatr zdawał się doskonale rozumieć, o co chodzi. Oczy mu rozbłyły, zsunął się niżej i zeskoczył z drzewa obok niej. — To jest to! Tego mi brakowało! — rzekł zadowolony. — W takim razie nie powinnaś się obawiać braku źródeł energii w Valdemarze, skoro wszyscy Towarzysze umieją z nich korzystać. To znaczy, że mocy macie tam po dostatkiem.

Ulżyło jej. — A bielenie? — przypomniała sobie.

Wziął w rękę kosmyk własnych włosów; ich kolor wyblakł, a odrosty okazały się białe.

— Czerpanie ze źródeł energii powoduje zanik barwnika w skórze, włosach i oczach. Nie żartowałem, mówiąc, że magia zmienia człowieka. Towarzysze korzystają z prądów, więc mają białą sierść, niebieskie oczy i szare kopyta — objaśnił jej.

Srebrne kopyta — poprawiła Gwena.

Zaśmiał się cicho i pogłaskał ją po nosie. — *Jeżeli tak twierdzisz, pani. . .* — Odwrócił się z powrotem do Elspeth. — Jako zwiadowca farbuję włosy. Tayledra-si żyją w zasięgu energii z ognisk, więc wszyscy, także nie magowie, mają białe włosy, tylko u magów zmiany następują po mniej więcej pięciu latach praktykowania, a u innych w wieku około trzydziestu lat. Odkąd wróciłem do magii, muszę odnawiać kolor włosów co kilka dni.

Elspeth wzniosła oczy do góry. — To tak, jakbyś ciągle przebywał na słońcu? — rzekła. — Nic więc dziwnego, że farba się nie trzyma. Bogowie wiedzą, ile razy próbowałam; biały koń okropnie rzuca się w oczy!

Przykro mi — wtrąciła Gwena. — *Nic na to nie poradzę.*

— Cóż, mając do wyboru wygląd i wytrzymałość, wolę to drugie — rzekła Elspeth tak do Mrocznego Wiatru, jak i do Gweny. — *Przyjmuję cię taką, jaką jesteś, krętaczko* — to było przeznaczone tylko dla Towarzysza, który przyjął wyznanie z wielkim zadowoleniem, możliwe, że się nawet zarumienił.

Mroczny Wiatr wzruszył ramionami. — Wybrałbym to samo. Poza tym teraz możesz iluzją zmienić jej maść na jakąkolwiek inną — zauważył.

Zanim zdołała odpowiedzieć, zwinnie jak wiewiórka wspiął się z powrotem, zaczepiając się o gałęzie dziwnym narzędziem, czy też rodzajem broni, którą nosił w pochwie na plecach. Wciąż nie miała pojęcia, jak można wejść na drzewo w takim tempie, nawet w specjalnych rękawicach, które nałożył. Człowiek nie powinien być do tego zdolny.

Chciała spytać, co się stało, kiedy dał im znak dłonią, nakazując ciszę. Obie z Gwena zamarły, z nadzieją, że krzaki osłonią je przed wzrokiem obcych.

Elspeth nie pozbyła się osłon, by sprawdzić, kto nadchodzi. Mroczny Wiatr ostrzegł ją, by tego nie robiła, a po wysłuchaniu rozlicznych opowieści o Zmorze Sokołów i jego stworach skłonna była go usłuchać. Mogła jednak używać innych zmysłów. W pierwszej chwili nie zauważyła nic podejrzanego, lecz wkrótce zdała sobie sprawę z niezwyklej ciszy, jaka zapanowała w lesie. Nie było słyhać żadnych ptaków, skrzypienia gałęzi poruszanych wiatrem, a jedynie lekki szelest spadających liści.

Els. . . peth? — nadeszła próbna wiązka myśli, delikatna jak muśnięcie piórem. — *Vree coś znalazł. Czuję tylko pustkę, a to oznacza osłony, wewnątrz których Vree widzi dwunożną istotę.*

Mroczny Wiatr uprzedził ją, że będzie używał myśl-mowy, jeśli nie będzie pewny, że wróg ich nie podsłucha. O tym mógł się przekonać wysyłając szybką, niemożliwą do odkrycia próbkę. Chciała protestować, lecz znajdowali się na jego ziemi i to on miał doświadczenie w patrolach; musiała mu zaufać. Widocznie wiedział, co robi.

Powinniśmy ustalić, co zrobić, jeśli ktoś złapie próbkę i weźmie cię na rogi — przerwała, przesyłając mu obraz walczących jeleni.

Masz rację, ale nie teraz.

Nie, nie teraz. Co mam robić? Wysiać próbkę? Czy gryfy się tym zajmą?
Dopiero wtedy, kiedy będą musiały — odrzekł stanowczo. — Lepiej jak najdłużej utrzymywać ich istnienie w tajemnicy. Możesz spróbować sondy mentalnej, ale pewnie napotkasz same osłony. Nie, wyjdziemy mu naprzeciw i ostrzeżemy. Jeśli nie posłucha, wtedy się zmierzymy. — Przerwał połączenie tak szybko, że przez chwilę bała się, czy ktoś go nie zaatakował. Jednak odezwał się jeszcze raz. — *Jeszcze jedna komplikacja* — powiedział sucho. Spojrzała w górę; skierował ku niej twarz z ironicznym grymasem. — *Nasz gość to chyba Zmiennolicy.*

Pierwsze przypuszczenie brzmiało: to musi być Nyara. Następne: to nie może być Nyara, lecz inne stworzenie jej ojca, szalejące po jego odejściu. Elspeth wysłała sondę mentalną i odkryła to samo, co Mroczny Wiatr: silne osłony, na które nie mogła się porwać. Jedynym sposobem na poznanie intruza było bezpośrednie spotkanie.

Obserwując go z ukrycia, przekonała się, że wszelkie ich przypuszczenia mijają się z prawdą. Nie wiedziała, czy się cieszyć, czy martwić, że to nie Nyara. Gdyby trafili na córkę Zmory Sokołów, stosunki między Elspeth i Mrocznym Wiatrem bardzo by się skomplikowały. Wiedziała to instynktownie; ufała Nyarze tylko do pewnego stopnia. Zmiennolica została skrzywdzona i wykorzystana, lecz... lecz ta jej atrakcyjność! Nie mogła nic na to poradzić, taka była jej natura, zaś Elspeth musiałaby być ślepa, gdyby nie widziała, jak bardzo Mroczny Wiatr jej pragnął i jeżeli nic z tego nie wyszło, to na pewno nie z powodu braku chęci z jego strony. Może powstrzymywały go jego własna podejrzliwość i brak okazji, a może poczucie winy? W noc przed powrotem Jutrzenki uwięzionej w ciele własnego ptaka to Skif, a nie Mroczny Wiatr, wcielił się w kochanka. Mroczny Wiatr mógł czuć się odpowiedzialny za los, jaki spotkał Jutrzenkę i dlatego, być może, nie chciał się wiązać z nikim innym, zwłaszcza z córką oprawcy.

Jednak Zmora Sokołów zginął lub był bliski śmierci, a Jutrzenka odeszła, zostawiając kochanka samego. Czy gdyby zetknął się z Nyarą przed jej spotkaniem ze Skifem, oparłby się pokusie? Jeśli jeszcze Nyara go zachęciła...

Znając mężczyzn, Elspeth nie miała złudzeń.

Z drugiej strony fakt, że Zmiennolicy to obcy, rozczarował ją. Choć krótko знаła Nyarę, zdążyła ją polubić i współczuła jej. Czasem martwiła się o nią, zagubioną na pustkowiu, z magicznym mieczem, który może wcale się nią nie przejmował, pozbawioną zapasów i schronienia przed nadchodzącą zimą...

Teraz jednak nie miała czasu zajmować się Zmiennolicą, kiedy inne stworzenie tego samego rodzaju przekroczyło granicę k'Sheyna. Z rękami splamionymi krwią stało ono w narysowanym na ziemi kręgu i najprawdopodobniej zdolne było do najgorszego.

Elspeth polowała wystarczająco często, żeby na widok oprawionego jelenia

nie dostawać mdłości; przeraziło ją jednak co innego: nieznajomy zabił dyheli i wedle wszelkich śladów znęcał się nad nim przedtem, nie potem.

„Magia krwi. Czy to nie o niej wspominali Quenten i Mroczny Wiatr, nie chcąc mówić mi nic więcej?” — rozmyślała.

Cóż, w końcu się z nią spotkała. Teraz, kiedy wiedziała, czego szukać, poczuła potęgę nieznajomego, pochodzącą z bólu i śmierci. Elspeth w żadnych okolicznościach nie użyłaby tego sposobu; sam widok przyprawiał ją niemal o mdłości; a jednak była to moc i choć się na tym nie znała, czuła, że śmierć myślącego, inteligentnego dyheli wyzwoliła więcej energii niż śmierć zwykłego jelenia, zwłaszcza że długo cierpiał, zanim umarł.

„Łatwo dostępne źródło mocy — stwierdziła w duchu, patrząc na dyheli — a dla kogoś okrutnego z natury przynoszące dodatkowo przyjemność. Nic dziwnego, że Ancar tak je polubił”.

Jeśli Nyara przypominała kota, to ten przybysz węża. Obchodził swą ofiarę elastycznym, posuwistym krokiem; chwilami zdawał się w ogóle nie mieć stawów. Elspeth wzdrygnęła się na to skojarzenie. „Dziwne. Hertasi nie budzą we mnie takich uczuć, a przypominają ludzi jeszcze mniej niż on. Dlaczego więc...”

Fragmenty odkrytego ciała, które mogła dojrzeć — ręka i policzek — odbijały popołudniowe światło, przywodząc na myśl twarde łuski. Nieznajomy był ciepło ubrany, za ciepło jak na jesień: w ciężkie skórzane buty, lamowaną futrem tunikę, w grubą aksamitną koszulę i płaszcz. Kolory też były niespotykane: dziwny odcień złotego brązu, nadspodziewanie dobrze wtapiający się w tło pożółkłych liści. Jeżeliby nieznajomy leżał bez ruchu, mało kto mógłby go zauważyć. Sprytne.

Zmiennolicy odwrócił się, usłyszawszy szelest liści i zastygł w postawie bojowej. Mroczny Wiatr zeskoczył z drzewa jak wielki jastrząb spadający na królika i stanął, czujny na każdy ruch, gotów do odparcia ataku. Teraz wyraźnie widzieli twarz obcego: płaską twarz o cienkich, pozbawionych warg ustach, nieruchomych i okrągłych jak kulki oczach.

— Wkroczyłeś na obce terytorium — przemówił Mroczny Wiatr wolno i wyraźnie, w języku handlowym używanym zwykle w tych okolicach. — To ziemia Tayledrasów k’Sheyna, a ty skalałeś ją niepotrzebnym rozlewem krwi.

Wąskie usta rozciągnęły się w aroganckim uśmiechu; przybysz wyprostował się. — To było konieczne — odrzekł. — A kim lub czym ty jesteś, że mówisz mi, co mam robić?

— Tayledras k’Sheyna — odparł zimno Mroczny Wiatr. — To nasza ziemia. Nie wolno tu uprawiać krwawej magii. Zabieraj się stąd razem ze swym brudem.

Uśmiech się poszerzył; ręce nieznajomego zakołysały się. — Mam się przestraszyć jednego człowieka? Chyba nie... — rzekł Zmiennolicy. Nie poruszył się, ale nagle krąg wokół niego rozjarzył się mocą... i wypatroszony dyheli wstał. Chwiały się lekko; w miejscu brzucha ziała dziura, oczy świeciły czerwonym blaskiem, a wokół kopyt i rogów zajaśniała słaba poświata. — Jesteś sam — rzekł

cicho Zmiennolicy. — Jeden Sokoli Brat rzadko bywa groźny. Ten dyheli nie miał zbyt wiele mocy. Ty bardziej mi się przydasz.

Elspeth nie potrzebowała znaku maga, by wyjść z kryjówki z Gweną u boku. Stała obok Mrocznego Wiatru na tyle blisko, żeby nie dać się rozdzielić i na tyle daleko, by nie przeszkadzali sobie wzajemnie.

— Jesteśmy Tayledras k'Sheyne — powtórzył Mroczny Wiatr z naciskiem, ale spokojnie. — A ty zaraz stąd odejdziesz.

Tym razem Hydona nie mogła powstrzymać Elspeth przed sięgnięciem do najsilniejszego ogniska, jakie znalazła w pobliżu — pół mili dalej. Jego moc jarzyła się zielonkawym światłem; czerpanie z niego sprawiało przyjemność, jak łyk czystej, zimnej wody w upalny dzień. Połączyła się z nim i skierowała strumień energii do siebie i swych osłon, zanim obcy zdołał odpowiedzieć na wyzwanie Mrocznego Wiatru. Na zewnętrznej warstwie osłon utrzymywała stały, niski poziom mocy, by zmylić przeciwnika — tak, żeby tarcze wyglądały na stworzone przez początkującego maga. Jednak następne, o wiele silniejsze, zasilano bezpośrednio ognisko.

W tej chwili Zmiennolicy zaatakował.

Nie posiadał potęgi Zmory Sokołów, ale nie był nowicjuszem. Pierwsze uderzenie wymierzył w Elspeth, zmylony jej z pozoru słabym zabezpieczeniem lub przekonany, że kobieta okaże się słabsza.

Pomylił się.

Elspeth obserwowała nadchodzący cios: rój rozżarzonych do białości magicznych sztyletów, wyrzucony obiema rękami obcego. Z jego wzroku odgadła kierunek natarcia — i odpowiedziała na nie, podnosząc lustrzane osłony, podwajające siłę światła i odbijające cios w kierunku napastnika. Zaskoczyła go; nie zdołał już odesłać energii ani jej wchłonać; cios został sparowany i rozbił się o jego osłony, opadając w tysiącu iskier. Zanim Zmiennolicy doszedł do siebie, uderzył Mroczny Wiatr, w zupełnie nieoczekiwany sposób. Uformował moc w kształt długiej, ostrej włóczni i zaczął kłuć w osłony w miejscu osłabionym już przez poprzednie uderzenie. Białobłękitna smuga ze świstem przecięła powietrze, mierząc w obcego. Elspeth przygotowała następny atak, lecz na razie czekała.

Wtedy Zmiennolicy wysłał martwego dyheli — krwawiącego, chwiejącego się na nogach, lecz szybkiego. Zdążył przebyć pół drogi, kiedy Elspeth zorientowała się, że to kolejny atak; na szczęście Gwenę zareagowała błyskawicznie, jakby całe życie spędziła na magicznych walkach. Zręcznie uniknęła rogów, zaszła jeleń z boku i celnym kopnięciem tylnych nóg zmiażdżyła zad zwierzęcia. Jeleń upadł i mimo wysiłków nie podniósł się; połamane kości nie uniosły już ciężaru ciała. W tej samej chwili Mroczny Wiatr przebił się przez osłony Zmiennolicego, a Elspeth wysłała rój świetlistych strzał. Pierwszy strzał chybił, rozbijając się o osłony, lecz drugi sięgnął celu; Mroczny Wiatr poprawił jeszcze ognistym pociskiem. Wewnątrz osłon obcego energia wybuchła na kształt sztucznych ogni.

Zmiennolicy stał chwilę bez ruchu, tworząc ciemną plamę w powodzi światła — w końcu padł, razem ze swymi osłonami, i jak dyheli, więcej się nie poruszył.

Patrolowali okolicę do zmierzchu i nadejścia Letniego Nieba, zmiennika, lecz nic już się nie zdarzyło. Kiedy skręcili na drogę wiodącą do Doliny, Elspeth cieszyła się, że jadą konno. Choć Hydona uprzedzała ją o zmęczeniu następującym zawsze po magicznym pojedynku, nie spodziewała się aż takiego wyczerpania. Teraz marzyła tylko o gorącej kąpieli, posiłku, a potem łóżku.

Jednak oprócz znużenia czuła niezadowolenie. Ten pierwszy patrol nie spełnił jej oczekiwań. Wiele pytań pozostało bez odpowiedzi. Jadąc za Mrocznym Wiatrem i Treyvanem, próbowała uporządkować emocje i dotrzeć do sedna. Wcale nie pomagał jej widok maga i jego muskularnych...

Hydona zaśmiała się sama do siebie. Szła obok Elspeth korytem wyschłego strumienia. Jej głowa znajdowała się na poziomie ramion Elspeth, co trochę ją peszyło. Łatwo zapomnieć o wielkości gryfa, kiedy na ogół widuje się go zwiniętego w kłębek jak domowy kot.

— I co o tym sssądzisz? — spytała Hydona, jakby podążała za myślą Elspeth.

— Nie wiem — odparła, próbując wyrazić słowami emocje, jakie ją opanowały. — Nieraz uczestniczyłam w walce, nawet magicznej. Chyba sobie poradzieliśmy...

— Owszem — potwierdziła Hydona. — Jak na nowicjuszkę dobrze ci poszło, ale, jak sssama sstwierrrdziłaś, to nie była twoja pierrrrwsza bitwa, więc ssspodziewałam sssię, że okażesz sssię doświadczonym wojownikiem. — Zwróciła głowę w kierunku Elspeth. — Czy zdołasz pokonać waszego wrroga?

Elspeth zastanawiała się przez chwilę, porównując własne możliwości z umiejętnościami Ancara, po czym rzekła: O ile Ancar nie sprowadzi na nas armii magów, powinnam wkrótce mu dorównać, chyba że osiągnę kres swoich możliwości. Ancar zdobył już pewnie przynajmniej status mistrza.

— Nigdy nie ufaj w pobłażliwość wroga. A jak oceniasz waszą akcję?

— Chyba dobrze nam się z Mrocznym Wiatrem pracowało, kiedy już wreszcie zaczął działać. O to chodziło; to była przyczyna rozdrażnienia! Problem w tym, że najpierw wysłał ostrzeżenie, chociaż wiedział, kto to jest!

Nie próbowała ukryć oburzenia. Kero z miejsca zabiłaby łotra, szpikując go strzałami, aż zaczęłby przypominać jeża.

— Było was dwoje na jednego — odparła Hydona. — Rrrazem z Gweną trroje. Nie wydaje ci sssię, że powinien zossstać ossstrzeżony?

Elspeth z uporem potrząsnęła głową. — Nie, nie zgadzam się — rzekła. —

Rozpoznaliśmy krwawą magię; uprzedzanie takiego łotra o ataku to dawanie mu sposobności do ucieczki albo uderzenia na nas. Z pewnością nie bawiłabym się w to z Ancarem; gdybym miała okazję, złapałabym go w zasadzkę!

Jak zwykle na wspomnienie Ancara zagotowała się w niej krew. To, co uczynił Talii, własnej ojczyźnie, setki, tysiące zabitych, a przede wszystkim niedbała wesołość, jaką z tego czerpał... Nienawidziła go, nienawidziła jego uczynków. Ancara trzeba zabić. To jedyny sposób, by nikomu już nie zagrażał. Nigdy.

Szczerze mówiąc, gdyby istniała możliwość zabicia jego duszy, zrobiłaby to, aby nigdy się nie odrodził w innym ciele; podobno magowie to umieli.

— Jessteś zła — zauważyła Hydona. — Wrrróg doprrrowadza cię do wściekłości.

— Zawsze tak się dzieje, kiedy przypominam sobie Ancara — odparła gwałtownie Elspeth. — Nic na to nie poradzę; to ktoś podobny do Zmory Sokołów i pragnę jego śmierci tak samo, jak Tayledrasi śmierci Mornelithe'a. Co więcej, chciałabym dostać jego wątrobę na talerzu. Chcę, żeby cierpiał, jak cierpiały jego ofiary. Nienawidzę go, boję się go i gdybym mogła skazać go na to samo, na co on skazywał innych, na pewno bym to zrobiła.

Hydona potrząsnęła głową. — Jesteś za bardzo rrozgniewana, trracisz nad sssobą kontrrole — zauważyła. Nienawiść ci nie pomoże, rraczej osssłabi. Naucz sssię panować nad emocjami, bo inaczej one wezmą górrę nad tobą.

Elspeth skrzywiła się, lecz nie odezwała się ani słowem. Słyszała to samo od Mrocznego Wiatru, takie morały tylko wzmagają jej gniew. Jak mogła nie nienawidzić go po tym, co zrobił jej przyjaciołom, jej ziemi i własnym rodakom? Jak mogła nie czuć gniewu na widok jego postępów?

I jak silne uczucia mogą osłabiać? To sprzeczność.

Jednak nie warto było wdawać się w spory, więc powściągnęła język, zatrzymała swe myśli dla siebie i nie odezwała się, póki nie dotarli do Doliny.

Hydona również nic nie mówiła.

Gryfy zostawiły ich, kiedy dotarli do bezpiecznych terenów, kontrolowanych przez magów i pełnych zasadzek czekających na intruzów. Zanim doszli do wejścia do Doliny, ściemniło się, a Elspeth zdążyła już nieco ochłonąć. Nadal nie miała zamiaru zmieniać poglądów, lecz nie była już gotowa pobić natychmiast każdego, kto się z nią nie zgadzał.

Do opanowania gniewu przyczyniło się i to, że Gwena całkowicie ją popierała — przynajmniej w sprawie Ancara. Według Towarzyszki o ostrzeżenie Zmiennołicego można było się spierać, ale o Ancarze z Hardornu miała wyrobione zdanie.

To wściekły pies — powiedziała swojej Wybranej. — Nie czeka się, aż taki stwór ugryzie, ani nie próbuje się go leczyć, lecz zabija, zanim on zniszczy coś cennego.

Uczucia płynące od Gwenty, tak przypominające jej własne, pozwoliły Elspeth szybciej się uspokoić.

Ku swemu zdziwieniu Elspeth odkryła, że wiedziała o bliskości Doliny na długo przedtem, zanim ją ujrzała. Było to możliwe dzięki zdolności magicznego widzenia, przychodzącej jej teraz bez trudu. Każde żywe stworzenie i niektóre przedmioty otaczała blada poświata; pewnie dzięki temu Towarzysze tak dobrze orientowały się po ciemku. Magiczny wzrok działał równie dobrze w nocy, jak i za dnia, a Towarzysze dodatkowo używały go do odnajdywania ognisk energii. W ten sposób wytłumaczyła jeszcze jeden talent Towarzyszy. To odkrycie sprawiło jej satysfakcję.

Kiedy zbliżyli się do osłon Doliny, musiała wyłączyć wewnętrzny wzrok, gdyż ich jasność oślepiła. „Hm, więc magiczne oczy nie zawsze przydają się w nocy; zbyt łatwo dają się zmęczyć. Trzeba o tym pamiętać, można to wykorzystać jako broń”.

W czasie przechodzenia przez wejście poczuła lekkie mrowienie skóry, jak przed uderzeniem pioruna, a to za sprawą magicznych tarcz Doliny, strzegących jedynej drogi do wewnątrz i na zewnątrz. Jednak nawet gdyby nie poczuła zmiany mocy, wiedziałyby, że dotarli już do Doliny — w jednej chwili przeszli z późnej jesieni do pełni lata. Zrobiło się gorąco.

Gwena zatrzymała się; Elspeth zsiadła, zdjęła płaszcz i przewiesiła go przez siodło. Mroczny Wiatr zniknął w gąszczu przed nimi. Elspeth podwinęła rękawy i rozpięła bluzę pod szyją, wystawiając się na lekki powiew nocnego, balsamicznego powietrza, pełnego zapachu nieznanymi kwiatów.

To miejsce najbardziej przypominało niebiosy, takie, jakie znała z modlitw i pism. „Jaka szkoda, że nie mogę przenieść kawałka tego rajy do domu” — pomyślała tęsknie. „Świeże owoce i kwiaty w zimowe mrozy, gorące źródła do kąpieli, pełno malowniczych zakątków... Wielu chętnie by z nich skorzystało! Prawie niewidzialni służący, świeże, wonne powietrze... — Nic dziwnego, że Vanyel odwiedzał k'Treva, kiedy czuł się wyczerpany”.

Mroczny Wiatr nieraz mówił jej, iż Dolina, którą poznała, jest zaledwie słabym odbiciem prawdziwej Doliny w pełni rozkwitu. K'Sheyna liczyli niewielu członków, nawet kiedy wszyscy mieszkali razem, a od czasu odejścia części klanu Dolina zarastała zielskiem, pozbawiona pielęgnacji, bez wodnych rzeźb, bez wietrznych harf; połowa ekele popadała w ruinę; nikt nie zajmował się tkactwem ani ogrodnictwem. Prawie żadnych zabaw, spotkań — z wyjątkiem rzadkich okazji — żadnych artystów, prócz Skrzydła Kruka i hertasi. A przecież dla Elspeth Dolina była niemal spełnionym marzeniem. Zastanawiała się tylko, jak wyglądały inne Doliny i czy heroldowie potrafiliby stworzyć choćby jej miniaturę?

A czy powinni?

Odsunęła zwisającą nisko gałąź winorośli i zadumała się.

Dolina sprzyjała niefrasobliwej zabawie, a heroldów i tak już uważano za zbyt

swobodnych. Łatwo tu było się zapomnieć i zacząć sobie pobłażać; spać dłużej, moczyć się w ciepłej wodzie, siedzieć przy wodospadzie i nie myśleć o niczym.

Jej stopy nie czyniły najmniejszego hałasu, kiedy szła po miękkim, sypkim piasku. Wszystko w Dolinie miało posmak luksusu, tak rzadkiego poza nią. Nawet kuzyni k'Sheyna, Shin'a'in, nie mieli takich domów. A czy heroldowie powinni tworzyć sobie takie przystanie, kiedy wokół czeka tyle obowiązków?

Obok niej cicho przeleciała para ptaków z długimi ogonami; poza Doliną ich śpiew dawno ucichł, a one same odleciały na południe. Nawet gdyby heroldowie zdołali przekonać samych siebie o potrzebie stworzenia takiego miejsca, na pewno nie dałoby się uzasadnić trybu życia Tayledrasów. Dłuższy wypoczynek w Dolinie i Elspeth zajęłaby się projektowaniem masek i strojów z piór, zamiast wykonywać zadania herolda.

Elspeth poczuła wyższość nad członkami klanu. Podprowadziła Gwene pod swoje ekele, do źródła i basenu znajdującego się pod nim, czując się lepsza, bardziej wartościowa. . .

Wybrukowana kamieniem ścieżka zakręcała; z prawej strony doleciał ją szmer głosów — ktoś nadchodził. Stanęła, by ich przepuścić — i duma uleciała z niej jak z przekłutego balonika na widok nadchodzących Sokolich Braci.

— Els. . . peth — zawołał jeden z nich, gdy ją zauważyli. — Chcielibyśmy skorzystać z twego źródła. Hertasi zabrali się za czyszczenie niektórych stawów, a z gotowych do użytku twój był najbliżej. Można?

Nikłe magiczne światełko tańczące nad jego głową ujawniło ich pozałowania godny stan. Wiodący ich mag o imieniu Jesienne Skrzydło trzymał się najlepiej — a przecież i tak wyglądał żałośnie: blada twarz, zapadnięte oczy, drżące ręce i nogi. Za nim dwóch innych magów, wyglądających tak samo, podtrzymywało dwójkę zwiadowców, zakrwawionych i posiniaczonych.

— Co się stało? — zawołała, zanim zdołała się powstrzymać.

— Byłem przy kamieniu-sercu; znów wybuchł. Ciesz się, że wyjechaliście poza Dolinę, bo wzięlibyśmy was do pomocy, wyszkolonych lub nie. Mnie się prawie nic nie stało, lecz tych czworo natknęło się na stado Zmiennolicych, ścigających dyheli — i gdyby nie ich odwaga, kto wie, czy nie mielibyśmy w Dolinie nieproszonych gości. Ja na ich miejscu pewnie bym uciekł — dodał, widząc rozszerzone oczy Elspeth.

Ranna w ramię kobieta chrząknęła i dorzuciła: — Walka na czterdzieści strzał — i wzruszyła ramionami.

— P. . . proszę, czujcie się jak u siebie — zająknęła się Elspeth. — Szłam właśnie po jedzenie. Przynieść wam też, czy przysłać hertasi?

— Co wolisz — odparł znużonym głosem jeden z przybyszów. — W tej chwili zjadłbym nawet jednego ze Zmiennolicych, na surowo i bez soli.

Ja się tym zajmę — rzekła Gwena. — *Szybciej znajdę hertasi.*

W odpowiedzi Elspeth schyliła się, by poluzować popręg; siodło i koc zsunęły się na ziemię, a Elspeth zdjęła Towarzyszce uzdę. Gwena znikła w zaroślach.

— Poszła po jedzenie — wyjaśniła Elspeth, podnosząc siodło.

— Dzięki — powiedział poważnie mag. Elspeth przepuściła ich przodem, kiwając głową na pożegnanie. „Gorące źródła i wieczne lato nie rekompensują takich trudów” — myślała, zarzucając siodło na ramię. „A skoro wypełniają rozkaz Bogini, nawet w nieskażonych Dolinach magowie nie spędzają czasu, roztrząsając zagadnienia rzeźby wodnej”.

Tyle o wyższości moralnej.

„Doliny muszą wydawać się rajem, zwłaszcza z perspektywy dzicy Pelagiru — rozmyślała dalej — ale ten raj nie ostałby się długo, gdyby nie wyruszali na pustkowia, by go bronić. Czy Valdemar nie jest tym samym dla heroldów?

Nie po raz pierwszy widziała Sokolich Braci w takim stanie. Magowie, nawet nie do końca wyleczony Gwiazdne Ostrze, każdego dnia narażali się na niebezpieczeństwo, chroniąc Dolinę i usiłując uzdrowić kamień. Tego dnia sama Elspeth przekonała się, jakie zagrożenia niesie z sobą patrol na granicy.

Była też świadkiem najgorszego — prócz śmierci — losu, jaki może spotkać Sokolego Brata: Widziała to, co się stało z Jutrzenką. Pewnego razu Kethra poprosiła ją o pomoc w zabiegach, jakim poddawała Gwiazdne Ostrze, gdyż mag, z którym zwykle współpracowała, był zbyt wyczerpany. Stary mag przebył wtedy męczarnie; Kethra wyjaśniła jedynie, że jest to nieodzowna część kuracji. Elspeth dotąd nie lubiła tego wspominać; choć tłumaczyła sobie, że to dla dobra pacjenta, czuła się ciągle jak pomocnik kata.

„My, heroldowie, jesteśmy rozpieszczani” — zdała sobie sprawę, zatrzymując się na chwilę, by przerzucić ciężar na drugie ramię. „Mamy wszystko, czego nam trzeba: gotowe kwatery, służbę... Tayledrasi mają Doliny, my — komnaty w kolegium. Im służą hertasi, nam — ludzie. Oni dostają gotowe pożywienie i ubranie, my także. A wszystkie te ułatwienia nie rekompensują niebezpieczeństw i zmęczenia”.

Dotarła do stóp drzewa, na którym mieszkała; stłumione głosy i chlupot wody świadczyły o gościach korzystających z jej źródła. Powiesiła siodło i uprzęż na poręczach schodów i wspięła się na górę.

Według Mrocznego Wiatru każdy dysponujący odpowiednią mocą mógłby stworzyć Dolinę, która właściwie była wielką cieplarnią, z osłonami magicznymi zamiast szkła. A co jest takiego niezwykłego w cieplarni?

Otworzyła drzwi ekele i spojrzała w dół ze szczytu schodów. Dzięki lekcjom Kero, poświęconym taktyce i strategii, zauważyła jeszcze coś.

Ekele nie służyły tylko jako egzotyczne schronienia kochanków. Zbudowano je na wzór obronnych domostw tervardi i najlepiej było to widać w budowlach poza Doliną: po podniesieniu drabinki właściwie nie dało się ich zdobyć. Nawet przed ogniem chroniły je zaklęcia i pas przezroczystej farby na pniach, sięga-

jący dwukrotnej wysokości człowieka. Nawet ekele Elspeth mogło zamienić się w twierdzę — wystarczyło tylko zniszczyć schody.

Gwena musiała szybko odnaleźć hertasi, gdyż wewnątrz czekała już taca z jedzeniem oraz czajnik z gorącą, ziołową herbatą. Elspeth wzięła chleb i mięso i padła na poście.

„Moi rodacy — snuła dalej swe rozważania — budują mury obronne, Tayledrasi chronią się wysoko na drzewach. To tylko różnica w założeniach. Bardziej przypominają heroldów niż zwykłych mieszkańców Valdemarku; myślą raczej kategoriami uniku niż trwania na posterunku do ostatka”.

Skończyła jedzenie i zdjęła brudne, poplamione krwią ubranie. To krew dyheli, nie jej lub Mrocznego Wiatru, lecz i tak należało się jej pozbyć. Mogłaby wykorzystać do tego magię, ale uznała to za marnotrawstwo. Mogła wrócić do ubrań zwiadowcy, na pewno bardziej przydatnych do biegania po lesie, ale owinęła się ręcznikiem i zeszła w dół, do stawu. Sama czy w towarzystwie, musiała się wykąpać. W końcu zasłużyła na kąpiel tak jak ci, których spotkała; przecież spędzili dzień w ten sam sposób. Należało się jej nieco luksusu. Wszystkim się należało.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Vree siedział nieruchomo na ramieniu Mrocznego Wiatru, kiedy przekraczali osłony strzegące wejścia do Doliny, chociaż dotąd wołał przebywać poza nią. Rozszalała energia kamienia-serca bardzo mu przeszkadzała, jak i innym ptakom towarzyszącym zwiadowcom. Jednak dodatkowe tarcze wokół kamienia zdawały się przynosić efekt.

Dobrze się czujesz? — spytał na wszelki wypadek Mroczny Wiatr. — *Możemy wrócić; zwołam spotkanie zwiadowców w ekele; magowie będą musieli wspiąć się po linie zamiast po schodach, ale wszyscy powinni się pomieścić. Ekele, mam nadzieję, wytrzyma takie obciążenie.*

Vree przechylił głowę i ziewnął. — *Świetnie. Dobrze* — odparł sennie. — *Jedzenie niedługo?*

Niedługo. Jak tylko dotrzemy na miejsce.

Ptaki pozostałych zwiadowców są na pewno równie głodne; hertasi zatroszczą się i o nie, i o ludzi.

Miało to być pierwsze od długiego czasu spotkanie dziennych zwiadowców i magów-zwiadowców. Burzowa Chmura zwołał podobne zebranie nocnych strażników Doliny. Mroczny Wiatr uprzedził, że ma coś ważnego do omówienia, nie wgłębiał się jednak w szczegóły. Był przedstawicielem zwiadowców w Radzie k'Sheyna w najgorszym dla klanu okresie: kiedy Gwiezdne Ostrze, kierowany przez Zmorę Sokolów, doprowadził do rozdzwienku między magami a resztą, osłabiając klan, by wróg mógł ich łatwiej zniszczyć. Mroczny Wiatr zdecydował się na to, wiedząc, że nikt inny nie odważy się sprzeciwić jego ojcu, który przewodził Radzie. Niestety, nie zawdzięczał nowej pozycji swej sile, lecz raczej słabości pozostałych. Czasem potrafił wpłynąć na ojca, czasem dawał sobą kierować, co było tak samo bolesne.

Teraz, gdy wrócił do magii, nie mógł dzielić czasu pomiędzy przyjaciół zwiadowców a ćwiczenia magiczne — musiał się jednego wyrzec. Nadszedł czas na zmiany — teraz musiał tylko przekonać o tym resztę. Na ogół strażnicy nie ubiegali się o władzę.

Najlepszym miejscem na spotkanie byłaby polana, na której odbyła się niedawno uroczystość, lecz według Mrocznego Wiatru leżała ona zbyt blisko kamie-

nia, niezależnie od wszelkich tarcz, jakimi go chroniono. Wybrał więc małą łączkę wokół najwyższego drzewa w Dolinie, wykorzystywaną przez zwiadowców jako miejsce pokazów tanecznych.

Kiedy na nią dotarł, zastał widok przypominający uroczystość klanową, choć bez tańca i muzyki. Brakowało także fantastycznych kostiumów odświętnych, a rozmowy toczyły się przyciszonymi głosami. Ptaki siedziały na przenośnych żerdkach, korzeniach i konarach. Większość zajęta była jedzeniem, inne wpatrywały się w kupki piór i futra, resztki z obiadu. Światła, jaśniejsze niż podczas uczty, zalewały polanę żółtym blaskiem, przypominającym słoneczny, lecz mniej intensywnym. Tayledrasi siedzieli, gdzie komu wygodniej, jedząc i rozmawiając. Mroczny Wiatr wysłał mentalną próbkę i stwierdził, że brakuje kilku osób. Vree przerwał mu, domagając się jedzenia, wyciągając głowę w kierunku obiadu i pochwierkując z cicha.

Głodny! — przypomniał przyjacielowi, a Mroczny Wiatr tłumił śmiech, słuchając dźwięków, jakie wydawał. Laików często zaskakiwały głosy, wydawane przez duże drapieżniki, brzmiące bynajmniej nie wojowniczo i dumnie. Poza wojennymi wezwaniami ptaki te posługiwały się szczebiotem, piskiem i gdakaniem. Niektóre ich odgłosy przypominały kwakanie kaczki cierpiącej na zapalenie krtań. Sowy zaś syczały. Razem wzięwszy, ich głosy brzmiały niezwykle jak na dumnych podniebnych myśliwych.

Vree jednak był naprawdę głodny; zapracował na solidny obiad. Mroczny Wiatr przeniósł go na rękaw i podrzucił w powietrze. Kilkoma uderzeniami skrzydeł ptak znalazł się na gałęzi, potem zanurkował w dół, lądując obok kilku pożywiających się pobratymców. Zamierzył się na tłustą kaczkę. Sokół zaskrzeczał z oburzeniem, kiedy wyrwano mu kęs niemal spod dzioba, a dwie sowy zasyzczały gniewnie, bo Vree przecisnął się bezceremonialnie między nimi. Nie zwracając uwagi na zamieszanie, jakie wywołał, Vree porwał zdobycz na pobliską gałąź i zatopił w niej ostry, zakrzywiony dziób.

— Proszę. — Gwiazdny Cień podała Mrocznemu Wiatrowi mięso z chlebem i zaśmiała się, widząc, z jakim zapałem rzuca się na pożywienie. — Ciężko było?

— Dość — odparł. — To był długi dzień zakończony magicznym pojedynkiem. — Przełknął kęs mięsa; dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo zgłodniał. — Gdzie Letnia Gwiazda i Światłne Skrzydło? I... ci... — próbował przypomnieć sobie imiona magów, którzy pomagali dwójce zwiadowców.

— Pieśń Światła i Taniec Wiatru — odpowiedziała Gwiazdny Cień. — Poszli opatrzeć rany. Nic poważnego; napotkali stado Zmiennolicych.

Mroczny Wiatr poczuł nieznaną więźkę myśli.

Tu Pieśń Światła. Moczmy siniaki. Jeśli chcesz, pozostanę z tobą w kontakcie i przekażę innym, co mówisz, Mroczny Wietrze.

Dzięki — odrzekł mag, siadając tak, by wszystkich widzieć. — *To nie potrwa długo.*

Wyjął sztylet i uderzył jego rękojeścią w drzewo, by zwrócić na siebie uwagę. — Chyba większość z was odgadła, dlaczego was wezwałem. . . — zaczął, lecz przerwała mu Gwiazdny Cień.

— Domyślamy się — powiedziała, wstając; reszta kiwała głowami. — Rozmawialiśmy o tym przed twoim przyjściem. Nie chcemy cię stracić, jednak uważamy, że zasłużyłeś na odpoczynek, a w tej chwili pracujesz za dwóch.

Przytakiwały jej kiwnięcia głową; Mroczny Wiatr poczuł ulgę: chcieli go jako przywódcę, ale też pozwalali mu odejść.

— Czy macie kandydata? — spytał. Ku jego zaskoczeniu odpowiedział mu mag.

— Zimowy Blask — powiedział młody mężczyzna. — Był już poprzednio naszym przedstawicielem i teraz, kiedy klan się zjednoczył, nie ma przeszkód, żeby nie wrócił do dawnej pozycji.

Mroczny Wiatr odwrócił się do starego przyjaciela, jednego z najstarszych strażników w klanie, podnosząc pytająco brew. Zimowy Blask uśmiechnął się i zakaszał. — Znam się na tym. A odkąd znikły kłótnie i pretensje. . . — zaczął.

Mroczny Wiatr skrzywił się. — Jeśli o mnie chodzi, jesteś przywódcą — rzekł. — Oczywiście, o ile reszta się zgodzi.

Zamierzał otworzyć dyskusję, lecz zgoda była jednomyślna. Nawet ptaki zdawały się być zadowolone. Istotnie, dokonali dobrego wyboru; choć nie był magiem, Zimowy Blask nosił się jak oni: nie farbował włosów, zapuścił je dłuższe, niż zwykle mają zwiadowcy; jako rówieśnik Gwiazdnego Ostrza i Lodowego Cienia mógł się z nimi łatwo porozumieć.

— Jeśli poprą cię także nocni strażnicy, kłopot z głowy — powiedział zadowolony Mroczny Wiatr. — Jeżeli wystawią innego kandydata, cóż, będziesz musiał jakoś z nim dojść do porozumienia.

— Wtedy podzielimy obowiązki między siebie — odparł natychmiast Zimowy Blask. — Mam już dość waśni.

Mroczny Wiatr wzruszył ramionami. — Świetnie — odrzekł.

Stary zwiadowca uśmiechnął się. — Młodym chodziło nie tylko o twój wypoczynek — zaszeptał konfidencjonalnie. — Podśluchałem jednego, gdy mówił, że żyjesz w celibacie i potrzebujesz odmiany. Powinieneś wziąć tę ładną cudzoziemkę do altanki i. . .

Mroczny Wiatr poczerwieniał tak mocno, że miał wrażenie, iż świeci własnym światłem. Reszta zebranych wybuchnęła śmiechem.

Zimowy Blask uśmiechnął się znacząco i spytał maga, czy nie chciałby pożyczyć piór. Mroczny Wiatr przyjrzał się niezwykle uważnie Vree, potem zajął się jedzeniem, a kiedy spojrzał w bok, stwierdził, że zwiadowca odszedł. . . a na jego miejscu usiadła szamanka Shin'a'in, Kethra.

„O, a czemu zawdzięczam tę przyjemność?” — pomyślał. Mechanicznie strzepnął niewidzialny pyłek z tuniki. Kethra wprawiała go w zakłopotanie i nie

tylko z tego powodu, że była kochanką jego ojca.

Chociaż częściowo także dlatego. . .

— Czy ojciec dobrze się czuje? — spytał szybko. Kiwnęła głową. Jej zielone oczy były równie nieodgadnione jak u jastrzębia. Czarne, gładkie włosy zaczesła za uszy; w kosmyk przy lewej skroni wplotła pióra. Na szyi miała amulet w kształcie ptaka, połyskujący w magicznym świetle.

— Całkiem dobrze — odrzekła. Jakby na znak, zwiadowcy zabrali ptaki i odeszli do swych ekele. Na polance nie zostało pożywienia, gdyż resztki zabrali ci mieszkający poza Doliną.

Kethra jednak nie zamierzała odchodzić. — Muszę — rzekła — porozmawiać z tobą o pewnych sprawach, zanim przejdę do następnego etapu leczenia. O tobie i twych stosunkach z ojcem.

— To znaczy? — spytał ostrzej, niż chciał. Czyżby każdego w Dolinie interesowało jego życie prywatne? „Czy nie mogę mieć własnych myśli?” Rozejrzał się wokół z nadzieją, że ktoś im przeszkodzi, lecz wszyscy zwiadowcy zniknęli jak śnieg pod wpływem słońca, jakby umówili się z szamanką. Kethra zacisnęła usta i potrząsnęła głową, nie pozwalając mu na rozproszenie uwagi.

— Muszę wiedzieć, co o nim myślisz. O nim i o mnie.

— Wbiła w niego wzrok. — Wiesz, że jesteśmy kochankami.

Zaczerwienił się. — Wiem — odparł krótko. — Lodowy Cień powiedział mi dlaczego. . . to konieczne.

— Co ci powiedział?

Próbował uniknąć jej spojrzenia, lecz nie udało mu się. — Zmora Sokołów uzależnił mego ojca od siebie także magią związaną z seksem — odrzekł. — Dlatego uzdrowiciel musiał się zająć również tą sferą życia, innymi słowy: musiał stać się także kochankiem.

Kethra przytaknęła, splatając szczupłe ręce na kolanie.

— Owszem — rzekła spokojnie. — Jeśli cię to interesuje: wiedziałam o tym, zanim tu przybyłam na prośbę Kra'heery. Czy dotarło również do ciebie, że staliśmy się z twym ojcem więcej niż kochankami; że się kochamy?

Mroczny Wiatr usiłował odwrócić w zmieszaniu wzrok, lecz coś go powstrzymywało. — Zauważyłem to — przyznał. — Nie jestem ślepy, a wasze uczucia widać jak na dłoni.

Jej usta ułożyły się w charakterystyczny dla niej półuśmiech. — I co o tym myślisz? — spytała bez ogródek. Zaskoczyła go. — Czy mnie widzisz w tej roli?

„Bogowie moich ojców, musiała o to zapytać!” — Czuję się zmieszany — rzekł tak szczerze, jak potrafił. — Nie wiem, co myśleć. Podziwiam cię, szamanko, ze względu na siebie samą. Jesteś zdolną, mądrą i silną kobietą. Zmuszasz mego ojca, żeby odzyskał siłę. Widocznie jest to konieczne. Widzę, jak zachęcasz go, żeby wykrzesał z siebie wszystkie siły, żeby robił samodzielnie wszystko, co

tylko może. Nie pozwalasz mu upaść i użyczasz mu swoich umiejętności, kiedy nie potrafi sam osiągnąć celu.

— Opisujesz partnera — rzekła Kethra. — Kogoś, kto prawdopodobnie będzie stał u boku twego ojca w przyszłości. Niechętnie skinął głową, był cały spocony ze zdenerwowania. — I dlatego jesteś zagubiony — stwierdziła raczej, niż spytała. — Źle się czujesz w mojej obecności, niezależnie od tego, czy jestem z twym ojcem, czy sama.

Westchnął. — Tak, pani — rzekł. — To nie tylko dlatego, że jesteś szamanką, choć to też. . .

Kethra zachichotała. — Szamani cię drażnią? — spytała.

Mroczny Wiatr wziął głęboki oddech i zaczął starannie dobierać słowa. — Szaman zawsze wprawia w zmieszanie, gdyż potrafi dostrzec wiele rzeczy, więcej, niż ktokolwiek chciałby ujawnić — odpowiedział jej — ale to nie wszystko. Nie wiem, jak z tobą rozmawiać, jak cię traktować. Od śmierci mej matki jako pierwsza z kochanek ojca stałaś się jego partnerką. Kiedy patrzę wstecz i staram się być bezstronny, muszę przyznać, iż okazujesz więcej cierpliwości i współczucia niż moja matka. A jednak. . .

— A jednak powinieneś zachować lojalność wobec matki, kiedy ja zajęłam jej miejsce, prawda? W twoich oczach jestem intruzem i tracę przez samo porównanie ze wspomnieniami o niej.

— Łatwo uznać nieżyjącą osobę za ideał — przyznał. — Straciłem tylu przyjaciół i bliskich, że jestem tego świadomy. — Przechylił głowę i przygryzł wargę. Była to jedna z najdziwniejszych rozmów, jakie zdarzyło mu się prowadzić. — Wiem, że mogę nazwać cię przyjaciółką. Jeśli dasz mi czas, staniesz się nią naprawdę; nawet więcej niż przyjaciółką. Czy to wystarczy?

Kethra uśmiechnęła się szerzej i wyciągnęła rękę, by pochwycić jego dłoń w ciepły uścisk. — Wystarczy — rzekła. — Wystarczyłaby nawet przyjaźń. Miło, że masz o mnie takie dobre zdanie. Nie wiedziałam o tym. Jesteś mistrzem w ukrywaniu uczuć, Mroczny Wietrze; wiem, musiałeś to robić. Tak się często zdarza wśród Tayledasów, Shinain i innych ludów. Wierz mi, szamani również muszą czasem opanować swe emocje, żeby walczyć pomimo bólu.

Wzruszył ramionami. — Wszyscy musimy opanowywać się do pewnego stopnia. Ostatnio stało się to koniecznością.

Kiwnęła głową. — Cóż, przynajmniej ty i ja zajrzeliśmy pod maski i udało nam się nie uciec na widok tego, co ujrzeliśmy — skwitowała. Uśmiechnął się, mile zaskoczony jej poczuciem humoru. — Teraz niemiła nowina. Twemu ojcu jeszcze daleko do wyzdrowienia. Kuracja nie potrwa kilka tygodni ani nawet miesięcy; to kwestia lat.

Odetchnął głęboko i przesunął dłonią po włosach. Ramiona mu opadły; kiepska to oznaka siły, lecz Kethra i tak przejrzy jego próby ukrycia przygnębienia. Zamknął oczy. — Tak mi się wydawało, ale nie chciałem wierzyć. Ojciec zawsze

był taki... mocny. Zawsze szybko wracał do zdrowia. Czy jesteś tego pewna? — spytał.

Z tyłu rozległ się głęboki, męski głos.

— Musisz w to uwierzyć, mój synu. — To był Gwiazdne Ostrze. Mroczny Wiatr podniósł głowę i odwrócił się do niego. Gwiazdne Ostrze miał na sobie luźną tunikę zaprojektowaną dla niego przez Pieśń Wiatru... przez Mroczny Wiatr z dziesięć lat temu. Adept podszedł do nich powoli. Teraz, gdy znał prawdę, Mroczny Wiatr widział ślady magii Zmory Sokołów — i fizyczne, i mentalne.

Mag usiadł obok Kethry.

— Musisz wierzyć. Jestem już tylko cieniem tego, kim byłem kiedyś. Szczerze mówiąc — zachichotał — rozważałem zmianę imienia z Gwiazdnego Ostrza na Gwiazdny Cień, lecz wprowadziłoby to niepotrzebne zamieszanie, bo mamy już strażniczkę o tym imieniu.

Mroczny Wiatr zacisnął splecione dłonie. Niełatwo przyszło mu słuchać ojca przyznającego się do słabości — tak wielkiej, że chciał zmienić imię. Oznaczało to zupełnie nowy stan rzeczy.

Gwiazdne Ostrze wziął rękę szamanki w swoją lewą dłoń, którą Mroczny Wiatr przebił sztyletem, żeby uwolnić ojca spod władzy Zmory Sokołów. Pozostała na niej długa, biaława blizna.

— Mam nadzieję, że doszliśmy do porozumienia, synu — rzekł mag, a Mroczny Wiatr starał się wszelkimi siłami nie okazać cierpienia. — Muszę ci się przyznać, że nie dowierzam swojej zdolności podejmowania decyzji ani na jotę bardziej, niż mojej osłabionej mocy. — Mroczny Wiatr poderwał się w proteście, lecz ojciec go powstrzymał. — Nie chodzi mi o drobne decyzje dotyczące życia codziennego, lecz o sprawy ważne, od których może zależeć nasz los — takie, jak podejmowałem w przeszłości. Teraz nie potrafiłbym tego robić samodzielnie bez porównania mojego punktu widzenia z innymi. W trakcie leczenia przyglądam się moim uczynom jeszcze raz. Kethra pomaga mi zrozumieć ich motywy i odrzucić te podyktowane przez Mornelithe'a. To powolny proces, Mroczny Wietrze. Nie wiem, które z moich postępków miały źródło w dumie, które w podpuszczeniu wroga, a które wynikały z prawidłowego osądu wydarzeń. Potrzebuję cię, synu. Potrzebuję twej wizji, twej świeżo odzyskanej mocy. Co więcej, k'Sheyna również cię potrzebują.

Mroczny Wiatr był ogłuszony, zdolny jedynie do kiwania głową. Zdarzyło się coś strasznego, niepojętego. Nawet w najgorszych chwilach Gwiazdne Ostrze zachowywał samokontrolę i siłę woli. Zdawał się wiedzieć, co robi, zawsze był tak pewny siebie, stanowił istną twierdzę mocy.

To tak jakby dowiedzieć się, że skała pod Doliną to piasek, który pierwsza burza może zmyć.

Kethra i Gwiazdne Ostrze czekali na odpowiedź, więc Mroczny Wiatr starał się opanować swe emocje. — Co mam zrobić? — spytał.

— Chcę znać twe poglądy, twoje uczucia — powiedział ojciec. Miał postarzałą, pobrużdżoną twarz. — Najpilniejsza sprawa to sam kamień. Co powinniśmy zrobić? Wiesz dosyć, by zaproponować rozwiązanie. Nie potrafimy go uspokoić, w każdym razie nie bez twojej pomocy. Prawdopodobnie nie potrafimy również pozbawić go energii. Kiedy próbujemy, wybucha niespodziewanie. Potrzebuję także twojej pomocy, żeby skończyć z naszymi kłopotami. Chcę, żebyś zajął moje miejsce w kręgu adeptów.

Mroczny Wiatr gwałtownie potrząsnął głową. — Ojczy, nie mogę. Nie powtórzyłem nawet połowy tego, co umiałem i... — próbował zaprotestować.

— Siła woli i młodość nadrobią brak praktyki — wtrąciła Kethra. — Najwyższym adeptem nie musi być najbardziej doświadczony mag, lecz najsilniejszy, a ty taki jesteś.

Gwiazdne Ostrze zakaszłał i poprawił się, wpatrując się surowo w syna. — W takim razie wyjaśnię ci to inaczej. Matka i ja wychowaliśmy cię na silnego, odpowiedzialnego człowieka, zwiadowcę lub maga. Teraz, kiedy straciłem własną siłę, chciałbym się na nowo jej nauczyć od ciebie. Jesteś częścią mnie.

Gdyby mógł, powiedziałyby im, że to niemożliwe, wstałyby i uciekł z Doliny, do ekele. Jednakże nie miał wyboru i wszyscy troje to wiedzieli. — Jeśli tego chcesz — rzekł nieszczęśliwy — zrobię, co w mej mocy.

— Dziękuję — rzekł po prostu Gwiazdne Ostrze. Wstał i położył rękę na ramieniu syna. — To wyznanie wiele mnie kosztowało, lecz chyba było warto. Nie chcę już uczynić z ciebie mojej kopii; mam nadzieję, że kiedyś powiem te same słowa Zimowemu Księżycowi i zostanę wysłuchany. Niestety, oddaliliśmy się od siebie, muszę jeszcze poczekać, aż znów zaczniesz mi wierzyć. Chcę, żebyś był sobą, synu, nikiem innym. Chciałbym być twoim przyjacielem, a nie tylko ojcem.

Z tymi słowami, które zaskoczyły Mrocznego Wiatra bardziej niż wszystkie inne wydarzenia tego wieczoru, Gwiazdne Ostrze odwrócił się i odszedł z Kethrą w mrok.

Vree przeniósł się na gałąź znajdującą się bliżej Mrocznego Wiatru; przekrzywił głowę, przyglądając się przyjacielowi, choć z pełnym wolem nie było mu łatwo. Wyglądał śmiesznie, jakby połknął piłkę.

Śpiący — zawiadomił. — *Idziemy spać?*

Mroczny Wiatr mechanicznie wyciągnął rękę i ptak sfrunął mu na nadgarstek.

Chyba tak — odrzekł z roztargnieniem, zastanawiając się, czy uda mu się zasnąć dzisiaj nocy.

Ktoś nim potrząsał. Mroczny Wiatr machał rękami, a pod powiekami majaczyły mu oderwane strzępy koszmaru.

— Co? Kto...? — mamrotał; hamak wydawał się obcy, pokój też się zmienił.

Zapalono światło i Mroczny Wiatr zamrugał oślepiiony. Obudził go Sathen, hertasi opiekujący się domem Gwiezdnego Ostrza. Sathen trzymał w dłoni latarnię, drugą rękę położył na ramieniu maga. Znajdowali się w ekele ojca, w komnacie gościnnej. Vree spał dalej na żerdzi przymocowanej do ściany, z jedną nogą podkurczoną i spuszczonej głową — wyglądał jak kulka puchu, z której wystawał tylko dziób. „Muszę znaleźć ojcu nowego ptaka” — pomyślał Mroczny Wiatr, podczas gdy hertasi czekał cierpliwie, aż mag się przebudzi i zacznie mówić do rzeczy.

— O co chodzi? — spytał w końcu Mroczny Wiatr.

— Kłopoty — wyszeptał hertasi. — Wezwanie o pomoc od Śnieżnej Gwiazdy. Potrzebuje maga. Magów — poprawił się. — Więcej niż jednego.

„Cudownie. Cóż, pewnie jestem najmniej zmęczony” — pomyślał, a na głos powiedział: — Co się stało? Nie mogło chodzić o walkę; zanim ktokolwiek dotarłby do nich, byłoby dawno po bitwie. Mroczny Wiatr sięgnął po ubranie i włożył bryczesy. „Przynajmniej ktoś inny pojedzie na patrol i to nie ja zdecyduje, kto to będzie” — skwitował.

— Bazyliszek — powiedział Sathen. Hertasi nie lubili bazyliszków, które szczególnie upodobały sobie ich tereny. Nikt zresztą nie przepadał za tymi stworami.

Mroczny Wiatr jęknął i wciągnął tunikę, starając się myśleć tak jasno, jak pozwalał mu na to zamroczony snem umysł. — Zanieś wiadomość do Zimowego Księżyca — rozkazał. — Jadę ze Skrzydlatą Siostrą odstraszyć bazyliszka, więc będzie musiał wyznaczyć innych zwiadowców na dzisiejszy patrol. Potem idź do Elspeth i powiedz jej, że po nią przyjdę.

Na szczęście Elspeth mieszkała niedaleko. Z pewnością nie spodoba jej się wstawanie o tej porze, lecz — kto to lubi? „Złożyła przysięgę” — powiedział do siebie, wkładając buty. Opryskał twarz wodą zostawioną przez Sathena w misce. „Dowie się, na czym polega jej dotrzymanie” — pomyślał. Poza tym wstawanie w środku nocy może pomóc jej pozbyć się tego drażniącego sposobu bycia. A kiedy zobaczy bazyliszka na własne oczy, nauczy się przywiązywać większą uwagę do jego słów, zwłaszcza do tego, co mówił o niebezpieczeństwach skażonych ziem. To będzie dla niej dobre ćwiczenie cierpliwości; tak, przyda się jej takie doświadczenie. Bazyliszek nie reagował na magię — ataki mocy po prostu ignorował, odsyłając je w ziemię. Nie dało się go także usunąć siłą. Można było go jedynie przekonywać, co wymagało wielkiej cierpliwości. Elspeth wkrótce się o tym przekona.

Mroczny Wiatr zbiegł schodami w dół, skacząc o dwa stopnie, powstrzymując się od pogwizdywania. Zapowiadała się niezła zabawa.

To nie był zwyczajny bazyliszek, lecz samica z brzuchem pełnym jaj.

Śnieżna Gwiazda trzymał swą pochodnię z nadzieją, że zimno powstrzyma stworę od napaści. Bazyliszek obserwował ich z jamy wygrzebanej w skarpie nad potokiem, ale nie poruszył się. Światło bezlitośnie ujawniało jego brzydotę.

— Niebiosa, jaki on okropny — wyszeptła zafascynowana Elspeth. Istoty te miały różne barwy, zawsze jednak ziemiste: od brudnej czerwieni błota z Równin do zgaszonego brązu mułu rzecznoego. Ten miał kolor zielonkawej gliny. Z twarzą ropuchy, nie istniejącą szyją, ciałem olbrzymiej jaszczurki, długim ogonem, szarym grzebieniem biegnącym wzdłuż całego ciała, pyskiem pełnym trujących, na pół spróchniałych zębów nie mógł się podobać nikomu spoza własnego gatunku. W dodatku jego zwyczaje higieniczne i oddech, od którego nawet wściekły byk uciekłby na tysiąc kroków, nie czyniły go mile widzianym sąsiadem.

Tak było nawet wtedy, kiedy stwór pograżał się w zimowym odrętwieniu, jednak kiedy tylko się ociepliło, wychodził na łowy. Nie wybrzydzał, jadł to, co się trafiło, żywe czy martwe — ważne, że mięso. Jednak kiedy rozgrzała się w nim krew i mózg, nikt wokół nie był bezpieczny. Nie dlatego, że bazyliszki odznaczały się szczególną inteligencją; nie były ani sprytne, ani szybkie. Nie musiały. Wystarczyło im rozejrzeć się dokoła, a wszystko w zasięgu wzroku zastygało w bezruchu, posłuszne ich mentalnej mocy. Wtedy podchodziły spokojnie do ofiary i raczyły się obiadem.

Mroczny Wiatr stworzył magiczne światło nie dające ciepła i wysłał je do kryjówki bazyliszka, by się mu dokładniej przyjrzeć. Elspeth zadrżała, zauważywszy olbrzymie rozmiary potwora.

— Czy teraz go zabijemy? — zapytała; chyba chciała szybko z nim skończyć. Nie winił jej. Zapach bijący od stwory przypominał woń zgnilizny. W odpowiedzi wyręczył go Śnieżna Gwiazda.

— Bogowie naszych ojców, nie! — zawołał. — Jeśli uważasz, że teraz cuchnie, nie chciałybyś się znaleźć bliżej niż dwa dni drogi od martwego, zakładając, iż udałoby się nam go zabić. Ma trzy serca, skórę twardszą od dwudziestu warstw wyprawionych rzemieni i przeżyje wiele ran, które dla nas wyglądają na śmiertelne. Przeżyje pozbawiony dwu nóg, połowy twarzy i obu oczu, o ile udałoby ci się podejść na tyle blisko, żeby mu je wyłupać. Ja bym nie próbował.

Elspeth potrząsnęła ze zdziwieniem głową. — A magia? — spytała.

— Też nie działa — odrzekł Mroczny Wiatr, kiedy przyjrzał się dokładnie intruzowi; stwora była większa od trzech koni, nie licząc ogona. — Ciosy przechodzą obok i giną w ziemi. Chciałbym mieć takie osłony! Zadziwiająca zwierzę.

— Czyżbyś je podziwiał? — spytała zaskoczona Elspeth.

Mag wzruszył ramionami i odszedł kilka kroków, żeby przekonać się, czy bazyliszek zwróci na niego uwagę, czy też pograżył się w letargu. — W jakiś sposób podziwiam — odrzekł. Oczy bazyliszka śledziły jego poruszenia. — Podobno stworzył je jeden z wielkich magów nie jako broń, ale z resztek istot służących jako broń, zbyt niebezpiecznych nawet po śmierci, żeby je pozostawić samym sobie.

— Mroczny Wiatr zakończył obserwację i wrócił do Elspeth. — Miały pozostać niezdolne do rozmnażania, lecz, jak w wielu innych przypadkach, okazało się, że z niektórych jaj wykluwają się młode.

Odwrócił się do Śnieżnej Gwiazdy. Zwiadowca przetarł dłonią łzawiące oczy i wyprostował się. Był jednym z najmłodszych strażników. Mroczny Wiatr cieszył się, iż starczyło mu wiedzy, żeby nie próbować pokonać bazyliuszka samemu, lecz wezwać pomoc. Czasem udawało się tego dokonać bez magii, ale rzadko, zwłaszcza w niepewną, jesienną pogodę. — Znalazłeś dla niej nowe schronienie? — zapytał.

— Tak, chociaż nie tak dobre, jak bym chciał — odrzekł zwiadowca, znów wycierając oczy. Wiatr zmienił kierunek i zwiewał opary stwora prosto na nich. Mrocznego Wiatra zaczęły piec oczy, a Śnieżna Gwiazda przebywał tu już od pewnego czasu. — Niedaleko stąd, w rowie o skalistym dnie i ścianach zbyt stromych na wspinaczkę. Mnóstwo tam padliny, lecz wylot rowu otwiera się prosto na strumień i nie wiem, jak go zamknąć.

— Czy gdzieś tam jest bagno? — zapytał Mroczny Wiatr, machając ręką w kierunku, z którego poczuł wilgoć.

— Moglibyście zaprowadzić ją tak daleko? — nie dowierzał Śnieżna Gwiazda. — Byłoby wspaniale. Znajdzie tam pożywienie, a hertasi nie lubią tych moczarów z powodu źródeł siarkowych. Dzięki siarce z jaj nic się nie wykluje.

— Jeżeli uda nam się zmusić ją do ruszenia z miejsca, zaprowadzimy ją tam — powiedział Mroczny Wiatr. — Chodzi jedynie o to, żeby nie rozgrzać jej na tyle, by stała się zdolna do odczuwania gniewu lub strachu, gdyż wtedy wszystko wokół znieruchomieje.

— Zgadza się. — Zwiadowca rozłożył ręce. — Zostawiam to wam. Ja będę was prowadził i osłaniał.

— W porządku. — Mroczny Wiatr obserwował bestię, zastanawiając się, czy lepiej ją wywabić z kryjówki, czy wystraszyć. Wystraszyć, zdecydował. W tym stanie zwierzę nie zareaguje na przynętę. — Oto, co zrobimy — powiedział do Elspeth, wpatrzony w bazyliuszka z fascynacją pomieszaną z odrazą. — Jest jej tu bezpiecznie i wygodnie. Musimy sprawić, żeby zmieniła zdanie i wyszła z jamy, potem powstrzymać ją przed powrotem do niej i skierować w stronę, która nam odpowiada.

Elspeth powoli kiwała głową. — Magią? — spytała.

— Magią prawdziwą lub magią umysłu, albo też ich połączeniem. — Mroczny Wiatr ziewnął na zakończenie. Miał nadzieję, że starczy mu sił na to przedsięwzięcie. Elspeth czuła się tak samo, przynajmniej tak wyglądała. — Masz jakiś pomysł, jak to zrobić?

Oparła się o drzewo. — A co wyciągnęłoby z łóżka ciebie lub mnie? Hałas? — spytała rzeczowo.

„Ciekawe spostrzeżenie” — zauważył.

— Nikt dotąd tego nie próbował, z tego co wiem — zastanawiał się przez chwilę na głos. — Gdyby było cieplej, moglibyśmy przestać jej iluzję pożywienia, ale w odrętwieniu nie czuje głodu. Zimno i gorąco? Nie, wtedy obudzi się na dobre, a tego nie chcę. Zbyt duże zimno wprawi ją w śpiączkę.

— A kamienie w legowisku? — zaryzykowała Elspeth. — Ostre i spiczaste, a dodatkowo hałas.

— Dobrze, dobrze, podoba mi się ten plan. Powinno ją to rozdrażnić, lecz nie rozżłościć, a jeśli w legowisku znajdą się kamienie, nie wróci do niego. — Podrapał się po głowie. — Co chcesz: kamienie czy hałas?

— Kamienie — odparła ku jego zaskoczeniu. — Mam myśl.

Ponieważ Mroczny Wiatr wiedział mniej więcej, jakiego rodzaju dźwięki irytują bazyliżka, odpowiadał mu taki podział pracy. Obawiał się przedtem, że Elspeth nie odważy się manipulować wielkimi odłamkami skalnymi, lecz ona najwidoczniej wiedziała, co robić.

— W takim razie do roboty — rzekł krótko i skupił całą uwagę na punkcie tuż za bazyliżkiem. Nie chciał przestraszyć stwory, jedynie wypędzić z legowiska. Przerazona mogłaby odzyskać pełnię swych umiejętności, a o to bynajmniej im nie chodziło. „Nie mam ochoty skończyć jako wieczorna przekąska dla niewiarygodnie głupiej bestii o cuchnącym oddechu” — pomyślał.

Wiedział, że wysokie, czyste tony denerwują wilki i ptaki; mógł spróbować tego samego z bazyliżkiem. Musiałoby tylko to trwać wystarczająco długo.

„Dysonans” — przyszło mu nagle do głowy. Dwa dźwięki nie harmonizujące ze sobą. Już je przedtem wykorzystywał podczas ćwiczeń. Był na tyle dobry, że umiał wydobywać głosy z powietrza. Proste dźwięki były łatwiejsze, choć kosztowały sporo energii.

Zaczął od wysokich tonów znajdujących się na granicy słyszalności dla ludzkiego ucha. Przez chwilę przypominał sobie sposób wydobywania jeszcze wyższych dźwięków, a kiedy mu się to udało, Śnieżna Gwiazda podskoczył na krzyk bazyliżka i zasłonił uszy. Mroczny Wiatr pozazdrościł mu tej możliwości — sam musiał słuchać dźwięków, które wydawał, by móc je kontrolować. Kiedy kątem oka spojrzął na Elspeth, ujrzał ją z palcami w uszach i brwiami zmarszczonymi w skupieniu.

Jego wysiłki zdawały się nie przynosić rezultatów. Bazyliżek poruszył się jedynie niespokojnie, jakby nagle zrobiło mu się niewygodnie. Mroczny Wiatr podniósł dźwięk o ton wyżej i czekał. Po całej oktawie nadal nie doczekał się skutków. Potwór tylko kręcił się i kłapał zębami w powietrzu, jakby chciał pochwycić niewidzialnego intruza.

Wreszcie Mroczny Wiatr przestał słyszeć samego siebie, a miał głos o największej skali w całym klanie. Elspeth już dwa dźwięki wcześniej wyjęła palce z uszu, Śnieżna Gwiazda przed nią, z wyrazem głębokiej wdzięczności. Głos o takiej wysokości mogły usłyszeć tylko zwierzęta, a Mroczny Wiatr nie zamierzał

się poddać, dopóki nie wypróbuję dźwięków równych tym, którymi posługiwały się nietoperze. Z determinacji widocznej na twarzy Elspeth wywnioskował, że ona także nie zrezygnuje, zanim nie stworzy kamieni o wielkości kucyka i nie wyścieli nimi legowiska potwora.

Na szczęście, jak się okazało, nie musieli posuwać się aż tak daleko. Trudno powiedzieć, czy szalę przeważały dysonanse Mrocznego Wiatru, czy skały Elspeth; od kilku chwil bazyliiszek kręcił się niespokojnie, w końcu wynurzył się z jamy, kipiąc gniewem. Przez chwilę stał nieruchomo, wahając się, czy wracać do niewygód w domu, czy zostać na zimnie — gdyby zdecydował się wrócić, już by go stamtąd nie wyciągnęli. Zanim Mroczny Wiatr miał czas pomyśleć, Elspeth zadziałała: pociągnęła niewidzialne nitki energii biegnące do wejścia i cała jama zapadła się pod zwałami ziemi. Bazyliiszek został bez dachu nad głową. Z głębi stwory wydobył się głuchy grzmot, po czym zwierzę odwróciło się i skierowało w dół strumienia.

— Tyle na razie wystarczy, lecz potem, przy rozwidleniu, będziemy musieli odciągnąć ją od wody — powiedział Śnieżna Gwiazda, kiedy bazyliiszek znalazł się poza zasięgiem światła pochodni.

— Nie martw się, damy sobie radę — odparł Mroczny Wiatr, idąc wzdłuż rzeczki i wysyłając przodem magiczny ognik. Światełko wydobyło z ciemności tył zwierzęcia; teraz mieli pewność, że nie stracą go z oczu. Mag nie przypuszczał, że tak wielkie i ciężkie istoty potrafią się tak szybko poruszać. Musieli dobrze wyciągać nogi, by dotrzymać mu kroku. Elspeth rozwiązała trudność, podjeżdżając na Gwenie i wyciągając rękę.

— Możemy przez jakiś czas jechać razem — powiedziała. Mroczny Wiatr wspiął się na grzbiet Towarzysza i usadowił z tyłu. — Czy nadal zamierzasz prowadzić ją tym dźwiękiem?

— Tak — odrzekł krótko; trudno mu było rozmawiać, kiedy podskakiwał w rytm kłusu Gweny. — Taki... miałem... zamiar...

Proponuję inne rozwiązanie — odezwała się Elspeth w myśl-mowie. — *To gad, czyli prawdopodobnie jest bardzo wrażliwa na zmiany temperatury. Stworzymy kulę ciepła wielkości bazyliiszka i prowadźmy ją zawsze trochę przed nią, aż dojdzie tam, gdzie chcemy. Co o tym myślisz?*

Wspaniały pomysł, na pewno zainteresuje wszystkich w Dolinie — odrzekł, przechodząc także na myśl-mowę. Uśmiechnął się, widząc jej zadowolenie. — *Odkryłaś coś nowego i bardzo pożytecznego. Dotąd używaliśmy dość niebezpiecznych metod odstraszania bazyliiszków. Uszczęśliwisz klan nowym sposobem walki.*

Na razie uszczęśliwiła jego: bazyliiszek posłusznie szedł za ciepłem i głosem i mieli szansę wrócić do Doliny o wiele wcześniej, niż przypuszczali.

O wiele wcześniej i opromienieni chwałą zwycięstwa.

Nie najgorsze zakończenie.

Wszyscy chcieli usłyszeć o pokonaniu bazyliuszka; po raz pierwszy udało się tego dokonać z pomocą mniej niż tuzina ludzi, w dodatku nikt z nich nie odniósł ran. Dolina wrzała, a magowie domagali się każdego szczegółu ich zmagania. Gdyby z powodu braku dostatecznej liczby ludzi Elspeth i Mroczny Wiatr nie zdecydowali się na nowatorską metodę postępowania, nie wskóraliby nic. A gdyby Śnieżna Gwiazda był bardziej doświadczony, nie wezwałby tylko dwojga magów.

— Nie mieliście szczęścia — rzekł Lodowy Cień. — Szczęście sprzyjało Śnieżnej Gwieździe, bo wysłano was, lecz wy dwoje wykazaliście się sprytem i refleksem. Czy może wyciągam nazbyt pochopne wnioski?

Mroczny Wiatr ziewnął i wypił kolejny kubek zimnej wody; po długim przebywaniu w zasięgu oparów bazyliuszka dokuczało im pragnienie. Razem z Elspeth wypili już małe jezioro i wciąż chcieli więcej.

— Zdawaliśmy sobie sprawę, że gdyby nam się nie udało, powinniśmy wezwać innych, zanim staruszka się zdenerwuje — zapewnił Mroczny Wiatr. — Nie dowierzam niczemu, co mogłoby w całości mnie połknąć.

Kiedy wreszcie zostawiono ich w spokoju, ochota do snu odeszła im zupełnie. Mroczny Wiatr wstał nagle, ku zaskoczeniu Elspeth, która podskoczyła i spojrzała na niego.

— Mam chęć na kąpiel — powiedział. — Staw pod twoim ekele jest najbliżej. Przeszkadzałyby ci, gdybym z niego skorzystał?

— A przeszkadzałyby ci, gdybym do ciebie dołączyła?

W pierwszej chwili wziął to za zaproszenie, wstęp do czegoś więcej, lecz po chwili zreflektował się. Była po prostu zmęczona, tak jak on, nawet jeśli mniej ucierpiała od jazdy wierzchem i obijania się o kości Gweny. Nawet gdyby w odruchu nieopanowanego pożądania chciałby zedrzeć z siebie ubrania, nie starczyłoby im sił na nic więcej. Nie, po prostu była uprzejma.

Przynajmniej pozbyła się — chociaż częściowo — skrępowania. Dla niego była nadal atrakcyjna. Ciągle mógł mieć nadzieję.

— Z pewnością mi nie przeszkodzisz — zapewnił i wyciągnął uprzejmie rękę, pomagając jej wstać. — W tym stanie mógłbym podzielić się źródłem nawet z... — Powstrzymał się w ostatniej chwili, nie dopowiadając „... tym bazyliuszkiem”. Mogłaby uznać, że uważają za tak samo brzydką, a przecież nie o to chodziło. — ... z połową klanu — wybrnął. — Chcę tylko zmyć z siebie ten smród i rozgrzać mięśnie, zanim zasnę.

— Dobry pomysł — rzekła z uśmiechem. — Wiesz co, jeżeli zdobędziesz ten owocowy napój, ja przyniosę ręczniki, mydło i tuniki.

— Zgoda.

Elspeth znikła w zaroślach, a Mroczny Wiatr udał się na poszukiwanie maga-

zynów, skąd wy dostał beczułkę mineralnego napoju, który Elspeth bardzo lubiła. Co prawda on za nim nie przepadał, jednak po dużym wysiłku docenił jego zalety. Z beczułką pod pachą i parą drewnianych kubków w rękach poszedł nad staw. Elspeth dotrzymała słowa; nad wodą przy dolnym basenie leżało mocno pachnące ziołami mydło, a z gałęzi zwisały ręczniki i ubrania. Nad każdym z dwóch stawów wisiał w powietrzu magiczny ogień.

Elspeth moczyła się już w wyższym basenie. Mroczny Wiatr postawił naczynia na brzegu i wskoczył do wody w pierwszej sadzawki. Trzy razy musiał się szorować, zanim pozbył się wszelkich śladów zapachu bazyliuszka i poczuł się czysty. Wtedy miał ochotę jedynie na kubek napoju i długą kąpiel.

— Myślałam, że zedrę z siebie skórę — powiedziała leniwie Elspeth ze swe go końca stawu, kiedy Mroczny Wiatr prześliznął się przez barierkę pomiędzy sadzawkami i zanurzył w gorącej wodzie. — Tarłam i tarłam, i kiedy myślałam, że wreszcie się domyłam, wciąż nadal czułam ten odór.

— Bazyliuszek jest gorszy od skunksa i tchórza — zgodził się. Po raz pierwszy widział ją tak odprężoną.

— Zauważyłaś, jak Lodowemu Cieniowi spodobał się twój pomysł kierowania stwora przy użyciu dźwięku?

— Ale to ty wymyśliłaś, żeby wykorzystać dysonans — odparła natychmiast. — Ja wykorzystabym czyste tony lub dźwięk walącej się jaskini.

Sprawiła mu przyjemność.

— Muszę ci przyznać rację; warto kusić się o nowe rozwiązania także w magii. To, że dotąd działało w inny sposób, nie znaczy, iż jest to najlepsze. Do Doliny nadchodzą zmiany.

Roześmiała się serdecznie. — Wreszcie się doczekałam! — odparła, wciąż się śmiejąc. — W zamian ja też ci coś wyznam. Trochę cię popychałam, specjalnie, bo wydawałeś się tak... uparty w odrzucaniu nowości. Nie chciałaś o nich nawet słyszeć. Oczywiście, wiem, dlaczego w tej Dolinie niektóre rzeczy są zakazane. Hydona mi wyjaśniła... — Jej głos załamał się na chwilę. — Hydona przypomina mi czasem Talię.

„Przyjaciółkę jej matki, nie nauczycielkę taktyki” — pomyślał. — W jaki sposób? — rzekł na głos.

Elspeth zamachała ręką, żeby rozwiać parę, po czym odpowiedziała: — W dzieciństwie Talia kazała mi obiecać, że nigdy nie odrzucę od razu niczego, co mi powie, nawet jeśli nie chciałabym tego usłyszeć lub jeśli będę bardzo zła. Musiałam najpierw odejść i przemyśleć wszystko. Dopiero wtedy miałam prawo się złościć, a gdyby Talia miała rację, miałam do niej wrócić i jeszcze raz porozmawiać.

„Chyba teraz moglibyśmy pomówić o jej zachowaniu...” — Mroczny Wiatr stwierdził, że teraz nadarzyła się okazja, by z nią o tym porozmawiać. — Nie znamy się tak dobrze, jak ty z Talią — rzekł na próbę — lecz czy mogłabyś złożyć

mi podobną obietnicę?

— O bogowie — rzekła smętnie. — Byłam jędzą, prawda?

Miał ochotę zaśmiać się, ale zachował spokój. — Nie całkiem — odrzekł z uśmiechem. — Jednak twoja postawa nie ułatwiała mi pracy z tobą. Między innymi dlatego przyjąłem propozycję gryfów, kiedy zaoferowały się nas uczyć.

— Moja postawa? — spytała głosem bez wyrazu. Był to zły znak.

— Owszem — odrzekł, przygotowany na wybuch gniewu. — Jesteś bardzo dumna, Elspeth, i przekonana o własnej wyższości. W dodatku robisz wszystko, by przekonać o tym także innych. Właściwie nieco przypominałaś jędzę. Śmiałaś się z tego, uważałaś to za zabawne. Wydawałaś się nie zwracać uwagi na to, że obrażasz otoczenie. Czasem przepraszałaś, ale bez przekonania. Jednak nic się nie zmieniało.

Milczała, siedząc w swoim kącie sadzawki; cisza nie wróżyła nic dobrego. Czy mu się zdawało, czy woda trochę się ociepliła?

— Elspeth, masz wielki talent — próbował dalej, ale wiedział, że nie spodoba jej się to, co chciał jej powiedzieć. — Twój kraj znam tylko ze strzępów legend. Gdybyś była niewolnikiem z Valdemaru, traktowalibyśmy cię tak samo jak teraz. Tu nie liczy się twój tytuł, twoja ojczyzna ani twój lud. — Poruszyła się, wyczuł to po drobnych falach, które do niego dotarły. Nadal jednak milczała. — Ważne jest to, iż nam pomogłaś, przecież po to zostałaś Skrzydlatą Siostrą. Jako Skrzydłata Siostra uzyskałaś prawo do nauki magii, nie z powodu korony i tytułu następczyni tronu ani na twoją własną prośbę, tylko dlatego, że zostałaś przyjęta do klanu. Co więcej, jedynie ja i gryfy chcieliśmy cię uczyć. Reszta miała ważniejsze sprawy na głowie.

To nie była cała prawda. Może jednak nią wstrząśnie.

— Czyli ja się nie liczę, tak? — Bez wątpienia rozgniewał ją.

— Nie, to nie jest tak; ty się liczysz, ale twój tytuł nie. — Miał nadzieję, że dostrzegła różnicę. — Mogłabyś więc przestać się zachowywać, jakbyś miała koronę na głowie. Królowie wiele tu nie znaczą. Każdy może się tak nazwać. Autorytet to coś całkiem innego. Dopóki się tego nie nauczysz, zwracaj uwagę na sposób, w jaki traktujesz otoczenie. Na razie nie wywarłaś na nas wrażenia.

— Czyżby? — Jej gniew narastał, szykowała się do riposty. Jednak nic nie powiedziała. Nic. Zastanawiał się, o czym myśli. Wreszcie ziewnęła i przeciągnęła się. — Jestem zmęczona — powiedziała, ziewając jeszcze raz. — Zbyt zmęczona, żeby myśleć i działać logicznie. Muszę się przespać z tym, co powiedziałaś.

— Zastanów się nad tym, Elspeth. Może od tego zależeć więcej niż tylko dobre warunki do nauki. — Spojrzał w dół i westchnął. — Lubię cię, Elspeth, i wolałbym nie zastanawiać się cały czas nad tym, co właściwie masz na myśli.

Ku jego zaskoczeniu wstała i wyszła z wody. Owinęła mokre włosy ręcznikiem i wciągnęła miękką tunikę. Odwróciła się i spojrzała na niego. — Powiedziałaś dużo i nie wiem, co myśleć — rzekła spokojnie. — Jednego jestem pewna: nie

byłeś złośliwy. Dobranoc, Mroczny Wietrze. Jeśli pozostało coś do powiedzenia, zrobię to jutro.

Zebrała wokół siebie godność jak fałdy sukni i odeszła w ciemność, zostawiając go samego.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mroczny Wiatr dwa razy próbował wstać z łóżka i dwa razy dawał za wygraną, zapadając z powrotem w sen. Skoro zaś nikt nie przyszedł, a wokół ekele jego ojca panowała niezmacona cisza, spał dłużej niż zwykle, nie zdając sobie z tego sprawy.

Kiedy wreszcie się przebudził i oprzytomniał, leżał jeszcze chwilę, trochę zdezorientowany. Światło powinno padać pod innym kątem.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co się stało.

„Nie pamiętam, kiedy zdarzyło mi się tak zasnąć” — przebiegło mu przez głowę.

Czując się trochę winny, sięgnął na półkę po czyste ubranie i szybko je włożył. W ekele został tylko Vree, wciąż pogrążony we śnie. Mroczny Wiatr zbiegł po schodach i pognął do Elspeth.

Elspeth nie było.

Poczuł się zmieszany i zaniepokojony. Odeszła bez niego; może coś się stało? Zostawiła przynajmniej wiadomość. W pierwszej chwili wzięła ją za bezsensowne bazgroły; dopiero po chwili domyślił się, że zapisywała słowa tak, jak dla niej brzmiały:

„Muwiłamz gwiezdymoscem i zimowyblaskiem. Kazali pracować naganicy madją sgryfami. Czekaemy naciebietu kiedysie obucisz.”

Z trudem odcyfrował ten list, dopiero później dotarła do niego treść: spotkała się z Gwiezdnym Ostrzem i Zimowym Blaskiem, by dowiedzieć się, co mają robić. Prawdopodobnie poprosili ją, żeby razem z gryfami strzegła osłon Doliny. Wszyscy troje już na niego czekają. Tylko nie zawiadomiła go, gdzie czekają; mogli pójść wszędzie.

Jak zwykle tam, gdzie w grę wchodziła Elspeth, ogarniały go mieszane uczucia. Cieszył się, że sama znalazła sobie użyteczne zajęcie; jednak nie spytała go o radę...

Szybko przełknął posiłek i zastanowił się, czy nie warto byłoby znaleźć Zimowy Blask. Powinien wiedzieć, dokąd poszli. Wtedy dotarło do niego, iż nie spytał najważniejszej osoby — Vree. Ptak nie opuścił jeszcze ekele, dopiero odzyskiwał formę po wieczornym obżarstwie.

Mag wysłał myślwezwanie; po chwili dojrzał biały błysk w koronach drzew. Wyciągnął rękę; Vree złożył skrzydła, zanurkował i miękko usiadł. Zaćwierkał i wyciągnął głowę, domagając się pieszczot.

Wiadomości? — zagadnął Mroczny Wiatr.

Od konia — odparł Vree. „Koń”, z akcentem wskazującym na odmienność istoty, mógł oznaczać tylko Towarzysza. Inteligencja ptaka była ograniczona i Mroczny Wiatr z trudem wydobywał od niego informacje.

Kogo dotyczy wiadomość? — spytał Mroczny Wiatr.

Kobiety i dużych mężczyzn. — Vree przymknął oczy, poddając się podrapywaniu.

Co mówi? — Już dawno temu Mroczny Wiatr nauczył się cierpliwości w postępowaniu z ptakami. Pośpiech nic tu nie dawał. Tylko w ten sposób mógł dowiedzieć się wszystkiego.

O magicznym miejscu — odrzekł Vree.

W takim razie nie trzeba będzie prosić Vree o wyśledzenie ich. To dobrze, bo ptak ciągle nie doszedł do siebie po trudach trawienia kolacji. Gdyby jadł tak częściej, utyłby straszliwie. Swoją drogą, interesujące: Towarzysz przemówił do ptaka... Mroczny Wiatr nie zdziwił się tym zbyt, lecz Gwena na ogół nie korzystała ze swych umiejętności porozumiewania się, z kim tylko chciała, zbyt chętnie. W dodatku nie musiał opuszczać Doliny, jeszcze lepiej. Ciągle czuł w kręgosłupie skutki jazdy wierzchem.

Czy chcesz wyjść na zewnątrz? — spytał ptaka. W końcu przebywali w Dolinie już drugi dzień, a Vree nie znosił dobrze tak bliskiego sąsiedztwa kamienia. Teraz przechylił głowę, jakby rozważał, co odpowiedzieć.

— *Nie* — zdecydował Vree. — *Głowa nie swędzi.*

Tak właśnie Vree opisywał zawsze sposób, w jaki oddziaływał na niego uszkodzony kamień: „głowa swędzi”. Dopiero po jakimś czasie Mroczny Wiatr uświadomił sobie, iż ptak miał na myśli odczucia wewnętrzne, a nie skórne.

Wracaj więc do Gwiazdowego Ostrza albo leć na polowanie, lecz nie oddalaj się zbyt od Doliny. Idę do magicznego miejsca; tam nie wolno ci wejść, bo głowa znów zacznie swędzieć.

Dobrze. — Vree rozpostarł skrzydła, Mroczny Wiatr podrzucił go i ptak wzbился się w powietrze. Po chwili znikł wśród gałęzi.

Mroczny Wiatr nie miał wątpliwości, co znaczy „magiczne miejsce: teren ćwiczebny. Można było stamtąd kontrolować osłony, choć wymagało to cierpliwości i starannego zabezpieczenia się od wpływu kamienia.

Może o to właśnie chodziło.

„Z pewnością znajdę okazję do sprawdzenia moich osłon, a jeżeli potrafię osłonić się przed kamieniem i jednocześnie pracować, prawdopodobnie zdołam także pracować nad samym kamieniem. Bogowie wiedzą, że póki się tego nie nauczę, w k'Sheyna nie zapanuje spokój” — rozmyślał.

Tamci zaczęli się już pewnie zastanawiać, czy nie spadł ze schodów; chyba powinien pokazać im się żywy. Im szybciej, tym lepiej.

Zanim przekroczył bariery dzielące obszar ćwiczeń od Doliny, usłyszał szmer rozmowy. Nagła cisza, która zapadła, kiedy go ujrzeni, dowiodła, iż to o nim dyskutowała Elspeth z gryfami. Mroczny Wiatr zdusił w sobie poryw złości.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedział, starając się nie okazywać irytacji. — Zasnęłam. Co robimy?

— Tworzymy zakłęcia ochronne — odparła Hydona spokojnie, jakby przed momentem nie zamknęła dzioba w pół słowa, widząc go w wejściu. — Elssspeth wyssowała do ciebie herrrtasssi, lecz ssspałeś tak mocno, że cię zossstawiliśśmy. Widocznie potrzebowałeśśś odpoczynku.

Irytacja Mrocznego Wiatru nieco opadła. Przynajmniej sprawdzili, co się z nim dzieje, zanim podjęli decyzję na własną rękę.

Nie spodziewał się, że przypadnie im w udziale takie zadanie. Czary ochronne nie wymagały dużych umiejętności, ale za to niezwyklej wręcz cierpliwości i dokładności. Miały odstraszać, nie ranić, i stanowiły pierwszą linię obrony na granicy. Najmocniej oddziaływały na istoty inteligentne — na bazyliuszki mniej niż na Zmiennolicych. Najsilniej zaś dotyczyły ludzi, zwłaszcza przekraczających granice przypadkowo: wędrowców i handlarzy.

Treyvan podniósł złocisty czub i złożył skrzydła z charakterystycznym szumem. — Ty i ja otrzymaliśśmy inne zadanie od Gwiezdnego Ossstrza: mamy przenieśś prrządy z kamienia do ognisska pod gniazdem, odciąć je od niego — rzekł do maga.

Mroczny Wiatr zmarszczył czoło. Takie zajęcia zaliczał do kategorii „nudne i konieczne”, jednak nie wtedy, kiedy wykonywano je w pobliżu uszkodzonego kamienia-serca. Z pewnością potrafił tego dokonać. — Wiesz, dlaczego mamy to robić? — spytał.

— To pomniejsze linie mocy — odrzekł gryf. — Gwiezdne Ostrze chce je wyizolować, albo chociaż sssprrrawdzić, czy to możliwe i czy wpłynie to na kamień.

— Hm. Gdyby usunąć najpierw słabsze prądy, można potem rozszczepić silniejsze strumienie na kilka: mniejszych i w ten sam sposób przenieśś je do innego

ogniska lub kamienia.

Treyvan rzucił mu prawdziwie gryfie, enigmatyczne spojrzenie, które Mroczny Wiatr odczytywał zawsze jako: „Wiem coś, co też chciałbyś wiedzieć”. — To możliwe — odparł wolno.

Mroczny Wiatr kiwnął głową, obserwując Elspeth magicznym wzrokiem; kładła warstwy obronne z finezją i zręcznością jubilera, nie okazując najmniejszych oznak zniecierpliwienia i wyzbywszy się królewskiej postawy. To znów go rozdrażniło. Dlaczego nie mogłaby zachowywać się rozsądnie przez cały czas? „Ponieważ nikt nie wytłumaczył jej tego w sposób dla niej zrozumiały” — odpowiedział sam sobie. „Jest tu obca, jak gryfy, choć wydaje się być zadowolona i pewna siebie”. Rzeczywiście wyglądała na zadowoloną w tym (ubraniu, które jej dał. Wreszcie pozbyła się tych świecących uniformów i barbarzyńskich szat, z którymi przyjechała. Co prawda, nie całkiem wyglądała na jedną z Tayledrasów — zdradzały ją włosy — lecz dopóki nie przemówiła, można ją było wziąć za członka sojuszniczego klanu.

„Zabierz się za zadanie, zamiast rozmyślać o kobietach” — zgromił siebie.

— Czy nikt dotąd nie próbował przenosić prądów z kamienia? — spytał głośno Mroczny Wiatr. To było mało prawdopodobne, powinni od razu o tym pomyśleć.

— Owssssem — rzekł gryf, machając niestrudzenie ogonem — ale dotąd sssię nie udawało. My wyprrróbujemy inną metodę. Kamień przyciągał prrądy z powrrrotem w ciągu jednego dnia i stawał opórrr, kiedy magowie chcieli je przesssunąć. My zaśś przeniesssione ssstrrumienie od rrrazu zakotwiczmy i ssskierrrujemy do innego ognissska. Nie pozwolimy im ssszukać i drrryfować, bo właśnie tak kamień je odzyssskuje.

Elspeth zakończyła snucie czaru i odesłała go na granicę. Dla wewnętrznego wzroku zakłęcie przypominało niesione wiatrem nici babiego lata lub smugę mgły. — Zrobione — ogłosiła, otrzepując ręce. — Kolej na was. — Usiadła obok z twarzą zdradzającą żywe zainteresowanie. — Myślałam, że prądy energii przypominają rzeki i nie można zmienić ich biegu.

— Zwykle udaje się to tylko z małymi strumykami; do większych potrzeba wszystkich magów klanu. Od tego zaczynamy zakładanie nowej Doliny: znajdujemy lub tworzymy ognisko i kierujemy do niego wszelkie pobliskie linie mocy. Kamień-serce pochłania dziką magię z całego obszaru.

— Przypomina to wytyczanie korrryta rzeki, zanim popłynie nim woda — rzekła Hydona. — Woda wypełni łożysko i ssskierrruje się w kierrrunku, którrry jej nada. Tak sssamo dzieje sssię z dziką magią: ssspływa do urregulowanych, szszerrokich kanałów.

— Rozumiem. A kiedy opuszczacie Dolinę, moc kamienia-serca odpływa nowymi korytami — powiedziała Elspeth.

— Może też wypełniać czasowe zbiorniki.

— A potem?

— Potem pozwalamy prądom wrócić w pierwotne łożyska i usuwamy kamień — odparł Mroczny Wiatr, koncentrując się na osłonach, których będzie potrzebował: osłonach przeciwko kamieniowi, odbijających energię i zakrzywiających jej tor i sondzie obdarzonej zmysłami pozwalającej obserwować reakcje kamienia. Kamienie-serca nie były istotami świadomymi, lecz w pewnym sensie żyły i pozwalały sobą kierować. Z wyjątkiem tego.

— Ale czy na początku nie wytyczaliście nowych szlaków właśnie po to, żeby się pozbyć dzikich prądów? — spytała zaskoczona Elspeth. — Czy ja coś pomyliłam?

„Przynajmniej nie daje mi do zrozumienia, że nie mam pojęcia, o czym mówię” — pomyślał Mroczny Wiatr.

— Tak... — Jednoczesne udzielanie wyjaśnień i obserwacja kamienia wymagały najwyższego skupienia, a o to z pewnością chodziło Treyvanowi. Inaczej narobiłby sobie kłopotów, a w tego rodzaju zadaniach „kłopoty” wiązały się najczęściej z niebezpieczeństwem. Gryfy nie okazały chęci przyjścia z pomocą, niczego mu nie ułatwiały. — ...zmieniamy tory energii. Przez cały czas naszego tu pobytu dzika magia zanika. „Dzika” nie znaczy naturalna. — „Osłony, o tak... żeby wyczuwać kamień bez narażania się na osłepienie wybuchem mocy...” — Ona nie jest częścią tej ziemi. Pozostawiamy po sobie właśnie naturalny poziom mocy.

— Czyli po waszym odejściu i zniknięciu kamienia-serca wszystko wraca do stanu sprzed magicznych wojen? — dopytywała się Elspeth. Mroczny Wiatr i Hydona wyjaśnili już jej naturalny przepływ mocy, tworzenie energii przez istoty żywe oraz gromadzenie jej w prądach i zbiornikach w taki sam sposób, w jaki woda zbiera się w rzekach i jeziorach.

— Przynajmniej na tyle, że żyjący tu ludzie nie muszą się bać narodzin dzieci z pazurami i dwiema głowami. Nie pozostają tu także Zmiennolicy, chyba że cudem przedrą się przez nasze ziemie. — „Jeszcze jedna tarcza pomiędzy końcem prądu a kamieniem...” — Odchodząc zabieramy magiczne, lecz niewinne lub niegroźne istoty, aby nie musiały obawiać się spotkania z ludźmi, którzy na pewno tu nadejdą.

Jej twarz zmieniła się, jakby przyszło jej do głowy coś, o czym nigdy dotąd nie myślała. Mroczny Wiatr chciałby się dowiedzieć, co to było. Może jednak później.

— Zbuduj wokół siebie tyle osłon, ile umiesz — rzekł. Nie wiem, co się stanie; pracowało tu tylu magów, że kamień mógł zmienić zachowanie. Zdołasz patrzeć moimi albo Treyvana oczami?

Skinęła głową i wysłała do niego wiązkę energii, czekając, aż ją uchwyci.

„Obiecujące. Nie rzuciła mi mocy w twarz, bez pytania” — cieszył się w duchu. Dokładnie osłonił myśli przed przypadkowym odczytaniem i połączył się z Elspeth. Nie podejrzewał jej o sondowanie umysłów innych, lecz wypadki się

zdarzają. Nie miał ochoty dzielić się z nikim swymi spostrzeżeniami, zwłaszcza z Elspeth, dla której nie byłoby to przyjemne.

Treyvan dał mu znak i również wysłał sondę. Połączyli się bez trudu. Gryf jednak czekał, aż to Mroczny Wiatr zacznie. Najwyraźniej miał zamiar odegrać rolę rezerwy; w razie potrzeby pośpieszyć z pomocą, lecz na razie pozostawić przywództwo uczniowi. Przed nimi jaśniał czerwono-kamień-serce; jego energia pulsowała, iskrzyła się i wirowała wokół. W podstawie kamienia zakotwiczone linie mocy; pomiędzy większymi prądami przebiegała siateczka drobnych strumyków, których magiczna energia została przechwycona i przekształcona przez kamień.

Czy był gotowy?

Wkrótce się okaże.

W porządku, stary przyjacielu. Zróbmy to szybko i dokładnie. — przekazał w myślomwie Treyvanowi.

Było dokładnie, lecz nie szybko.

Jak przewidział Treyvan, kamień stawiał opór. Mimo wszystko Mroczny Wiatr nie przewidział jego zachowania, kiedy odciął pierwszy strumień.

Uformował energię w cienkie ostrze, wsuwając je pomiędzy kamień a linię mocy w miejscu ich połączenia i ciął, a raczej przesunął „nóż” po powierzchni, jak przy czyszczeniu skóry królika. Ku swemu zaskoczeniu poczuł się, jakby miał odciąć nogę starego, długo gotowanego, żylastego koguta — moc ugięła się, jednocześnie oplatując ostrze.

Zmienił taktykę; zamiast przeciąć, wypalił sobie drogę. Również nic nie osiągnął, więc spróbował zamrozić prąd i oderwać go od kamienia. Udało się, lecz w chwili, kiedy pochwycił końcówkę strumienia, wyczuł w kamieniu poruszenie. Przesłał moc do Treyvana. W samą porę! Kamień zdążył już wysłać sondy w kierunku Mrocznego Wiatru — promienie zgaszonej czerwieni. Magowi włosy stanęły dęba, kiedy złowróżbne ramiona wyciągnęły się ku niemu; jednak zignorowały go, szukając utraconej mocy. Przez jedną przerażającą chwilę magowi wydało się, że kamień wie, kto pozbawił go strumienia energii i pragnie zemsty. Bramy podobnie wysyłały wiązki energii w poszukiwaniu miejsca przeznaczenia. Sondy kamienia znalazły prąd i prześlizgnęły się po powierzchni osłon, którymi go zabezpieczyli, jednakże zanim zdołały sięgnąć dalej, Treyvan usunął linię poza ich zasięg.

Mroczny Wiatr zadrżał, obserwując wyciągające się bezsilnie czerwone palce. Było w nich coś dziwnego. Nigdy, w żadnej opowieści ani na żadnej lekcji, nie natknął się na opis takiego zachowania kamienia-serca.

Na szczęście, te macki nie dorównywały siłą sondom Bramy i szybko osunęły się w chaos powstały wewnątrz kamienia. Jednak nie oznaczało to rezygnacji;

kamień na pewno miał jeszcze w zanadru niespodzianki i magowie musieli zachować czujność.

Mroczny Wiatr czuł, że kamień wie, co zrobili, i wpadł w gniew — a to uczucie wcale mu się nie podobało.

Z jednym „okiem” wpatrzonym w kamień obaj magowie wkładali całą siłę w wytyczanie nowego szlaku dla strumienia, co przypominało ciągnięcie bardzo, bardzo długiej liny grubości człowieka. Prąd opierał się siłą bezwładności i kiedy wreszcie skończyli, Mroczny Wiatr był równie zmęczony, jak po biegu pod górą.

Treyvan skupił się na domu swoim i Hydony. Sięgnął do ogniska mocy, znajdującego się pod nim — znał je najlepiej — i część jego powierzchni uczynił lepka, przynajmniej tak określił to Mroczny Wiatr. Cokolwiek to było, przyciągnęło strumień mocy, gdy tylko usunęli osłony; wkrótce energia przyciągnęła do ogniska jak gwóźdź do magnesu. Wtedy Mroczny Wiatr poszerzył i umocnił nowe koryto, żeby ułatwić energii osadzenie się w nim. Przez chwilę obserwował, co się stało.

Nie liczę na przypadek, nie tym razem — odezwał się do Treyvana, czując w głębi mózgu obecność Elspeth, obserwującej z ciekawością ich poczynania. — Nie podoba mi się to, co kamień zrobił poprzednio i nie chcę, by się to powtórzyło. Musimy dobrze osłonić połączenie.

Świetnie — zgodził się gryf.

Prawdopodobnie nie było to konieczne, prawdopodobnie tylko dołożyli sobie pracy, lecz Mroczny Wiatr nie mógł zapomnieć o wyciągniętych w poszukiwaniu mackach. . . „Im bardziej osłabimy kamień, tym mniejsze będą szanse, że znów nas zaatakuje, kiedy spróbujemy wreszcie pozbawić go mocy”. Mroczny Wiatr myślał o kamieniu jak o istocie żywej i rozsądnej, i zdawał sobie z tego sprawę. Podświadomie mógł sprawić, iż jego obawy się spełnią — tak się zdarzało w magii uprawianej przez adeptów, która polegała nie tyle na tworzeniu zaklęć i rytuałach, ile na wykorzystywaniu podświadomości w oddziaływaniu na świat fizyczny.

Mroczny Wiatr nie miał wątpliwości, że wielu członków klanu myślało o kamieniu-sercu podobnie: jak o żyjącej, na poły szalonej, złośliwej istocie — dotyczyło to tak magów, jak i innych, bez względu na wiek.

Do tej pory kamień mógł już wykształcić w sobie rodzaj mózgu; to wyjaśniałoby jego dotychczasowe zachowanie. Jeśli tak się stało, Mroczny Wiatr wolał raczej przeceniać przeciwnika, niż go nie doceniać.

Dlatego obaj z Treyvanem poświęcili czas na upewnienie się, iż odcięta linia mocy nie powróci już do kamienia. Potem osłonili następny oderwany prąd, potem następny. . .

Kiedy pozbawili kamień czterech strumieni, Mroczny Wiatr był gotów dać hasło do zakończenia. Treyvan chyba też. Kiedy mag spojrział na niego, ujrzał opuszczony bezsilnie grzebień i zmierzwione pióra na krezie.

Dosyc — odezwał się. — *Wiemy już, że to działa. Nawet mój ojciec dałby mi teraz radę. Każda para adeptów potrafi to zrobić, jeżeli nam się udało. Powinni pracować dwójkami. Nie radziłbym nikomu stracić go z oczu.*

Treyvan wyraził zgodę słabym skinieniem głowy i przerwał połączenie. Kiedy Mroczny Wiatr wracał do siebie, odzyskując poczucie swego ciała, gryf opadł ciężko na ziemię i westchnął.

— To najbarrrdziej oporrny i uparrty przeciwnik, Mrroczny Wietrze — pskarżył się, podnosząc powoli pióra na czubie. — Nie sspotkałem nic podobnego.

— Odejźmy stąd — powiedział mag. — Nie ufam moim osłonom, jestem zbyt zmęczony.

— Zgadzam się — poparła go Hydona i poprowadziła ich do przejścia. Po drugiej stronie bariery Treyvan wrócił do swych spostrzeżeń.

— Nigdy nie widziałem takiego zachowania — powtórzył zdenerwowanym głosem, strosząc lekko czub.

— Chodzi ci o sposób, w jaki szukał odciętego przez nas prądu mocy? — spytał Mroczny Wiatr, a następnie zwrócił się do Elspeth: — Treyvan ma rację, to nie jest normalne. Kamień-serce nie powinien sam szukać utraconej energii.

Gryf zadrzał. — Wydawało sssię, jakby żył i umiał myśleć — mówił z przejęciem Treyvan. — Przecież to ognissko, enerrrgia, ono nie żyje!

— Tak i nie — odparł Mroczny Wiatr. — Choć to jedynie moje domysły, lecz widziałem stworzone przez magię zjawiska zachowujące się tak samo: Bramy.

— Jednak to ich twórrca każe im tak działać, nie one sssame — poprawił Treyvan.

— Na początku owszem, lecz pod koniec mag może snuć zakłęcie nieświadomie i wtedy cały proces przebiega bez czyjegokolwiek kierownictwa. . .

Błysk bieli w koronie drzewa powinien go ostrzec, lecz Mroczny Wiatr był zbyt zmęczony, żeby dzielić uwagę między kłopoty z kamieniem i otoczenie. Dopiero kiedy Vree niebezpiecznie zbliżył się do grzebienia Treyvana, zdał sobie sprawę, co się dzieje. A wtedy było już za późno.

— NIE!

Tym razem Treyvan był zmęczony, skłonny do rozdrażnienia. . .

Vree wysunął pazury gotowy uchwycić zdobycz i natknął się na coś, czego nie oczekiwał. Treyvan miał już dość jego psot. Nagle Vree zorientował się, że leci wprost do szeroko otwartego dzioba gryfa, w którym bez trudu mógłby się zmieścić cały. Mroczny Wiatr wyciągnął ręce w zbędnym proteście; nie miał czasu nawet pomyśleć, wydarzenia następowały zbyt szybko. Vree rozpaczliwie usiłował wzbić się w górę.

Za późno.

Trzask!

Odgłos zamykanego dzioba gryfa poniósł się echem przez Dolinę. Wydawało się, że olbrzymia gałąź pękła na pół lub zacisnęła się żelazna pułapka, albo że

olbrzym klasnął w dłoń.

Z drzew poderwały się zaniepokojone ptaki.

Vree zakrzyczał i schronił się u Mrocznego Wiatru. Treyvan wypluł lotkę, którą zdołał uchwycić. Na jego twarzy zagościł wyraz triumfu.

Mroczny Wiatr westchnął z ulgą. Gryfy to także drapieżniki, nigdy o tym nie zapominał. Vree miał nieprawdopodobne szczęście... bo Treyvan nie spudłował. Odciał dokładnie tyle, ile chciał — jedno piórko. Gdyby chciał zrobić Vree krzywdę, z pewnością by mu się udało — jego refleks i zmysły były niezawodne.

Ostrzegalem — powiedział Mroczny Wiatr. Elspeth wahała się między współczuciem dla przerażonego ptaka a tłumionym śmiechem. — *Ostrzegalem, lecz ty nie słuchałeś!*

Treyvan osadził drżącego ptaka spojrzeniem jednego oka. — Miałeś ssszczęście, że nie byłem głodny — zasyczał, a Mroczny Wiatr „słyszał”, jak gryf jednocześnie przesyła Vree tę samą treść w prostych, łatwych do zrozumienia obrazach. — Na drrrugi rrraz może ci sssię nie udać.

Vree, przytulony do opiekuna, świergotał cicho.

Teraz będziesz musiał obejść się bez jednego pióra, chyba że uda mi się je złożyć — rzekł Mroczny Wiatr.

Boli! Boję się! — jęczał ptak.

Wiem, że boli. Ciesz się, że Treyvan nie wyrwał ci tego pióra albo nie odciał całego ogona. — Mroczny Wiatr głaskał tak długo Vree, aż ten przestał się trząść. Elspeth podniosła pióro i podała mu je. Nie był to gest uświęcony tradycją Tayle-drasów, lecz zwykła pomoc.

Przepróż Treyvana — powiedział surowo, podnosząc Vree na wysokość oczu gryfa.

Przepraszam! — wyjąkał ptak. — *Przepraszam! Przepraszam!*

Brzmiało to szczerze.

Obiecuj, że już nie będziesz zaczepiał Treyvana — polecił Mroczny Wiatr.

Vree położył pióra. Był nieszczęśliwy. — *Nie będę już nigdy więcej polować na niego. Nigdy, nigdy, nigdy...* — obiecał ptak.

Mroczny Wiatr przeniósł go na ramię, gdzie Vree natychmiast schował mu się we włosy i starannie obejrzał pióro z nadzieją, iż nie okaże się mocno uszkodzone. Vree potrzebował ogona do sterowania w locie i strata nawet jednego pióra mogła osłabić jego sprawność.

— Dobrze się spisałeś — powiedział mag do gryfa, który znów podnosił grzebienie. — To czyste, równe cięcie. Nie będę musiał sięgać do zeszłorocznych zapasów.

— To częściowo zasssługa Vrrree — zachichotał gryf. — Gdyby nie ssskrrręcił, nie złapałbym jego ogona. Miałem zamiarrr przytrzymać go i puśścić.

— Umarłby ze strachu. Chyba w końcu zrobiłeś na nim wrażenie — powiedział Mroczny Wiatr, powstrzymując śmiech, żeby nie urazić Vree. — Wreszcie

zobaczył w tobie większego, bardziej drapieżnego i niebezpiecznego ptaka niż on sam, a nie kogoś w rodzaju ptaków ognistych. Prawdę mówiąc, chyba zafascynowały go twoje pióra na czubie, tak jak interesują go ogony ptaków ognistych, na które ciągle poluje.

Treyvan podniósł czub z udanym oburzeniem. — Na szczęście, nie jesteście ptakami ognistymi — powiedział z przekąsem. — Jestem prróżnym ptakiem i doceniam fakt, iż Vree tak sssię ssspodał mój grzebień.

— Kim więc jesteście? — spytała nagle Elspeth. — Nie przypominacie żadnych stworzeń, które znam, z wyjątkiem jastrzębi i orłów, lecz to bardzo odległe podobieństwo.

— Bo też nie znasz nikogo takiego jak my — zagadkowo odrzekła Hydona. — Nie jesteście jassstrzębiami ani orrłami. Nie sstworzono nas z kawałków kota i ptaka i nie posskładano w jedną isstotę.

— Na północny wschód od Valdemaru podobno żyją gryfy — nie ustępowała Elspeth. — Nigdy jednak nie spotyka się ich na terenach zamieszkałych przez ludzi. Skąd pochodzicie wy dwoje?

— Ze wsschodu. — Hydona wzruszyła ramionami. — Nie znasz tego miejsca, nawet Sssokoli Brrracia o nim nie sssłyszeli.

— Czy stamtąd wywodzi się cały wasz rodzaj? — nie dawała za wygraną Elspeth. Czy dlatego nie ma gryfów w Valdemarze?

Treyvan spojrzał na nią kątem oka. — Jeżeli chodzi ci o to, czy należymy do Zmiennolicych albo innych sstworrrów Pelagirru, odpowiedź brzmi: „Nie”, a to dzięki Ssskandrrranonowi — odparł. — Sstworzył nasss jeden z Wielkich Magów, Czarrrodziej Ciszy, zwany przez nasss Urrrtho, i to dawno temu, jeszcze przed magicznymi wojnami. On także powołał do życia herrrtassi i inne isstoty. Dawanie życia przynossssiło mu wielką rrradość, tak mówią.

Zanim Elspeth zdołała zadać następne pytanie, Hydona ziewnęła szeroko i spojrzała na niebo. — Już późno — przerwała. — Jestem głodna, nawet jeżeli Treyvan nie.

— Nie zjadłbym całego sssokoła — zaśmiał się Treyvan — lecz jakaśś gąska albo jelonek. . .

Hydona otworzyła dziób w uśmiechu. — Chyba wasss zostawimy, Mrrrocny Wietrze — rzekła.

— Zatem do jutra — odrzekł Mrocny Wiatr, gładząc Vree. — Śpijcie dobrze, pozdrówcie Lythę i Jervena.

— Ode mnie też — dodała Elspeth ku zdziwieniu Mrocnego Wiatru.

— Do jutra — zgodził się Treyvan. Oba gryfy skierowały się ku wyjściu z Doliny. Słył pieszko, gdyż splątane gałęzie drzew nie pozwalały na bezpieczny lot tak dużych stworzeń. Elspeth śledziła je wzrokiem, potem odwróciła się do Mrocnego Wiatru.

— Czy coś cię dręczy? — zapytał, mając na myśli lekcję magii, którą właśnie obejrzała.

— Świetnie umieją unikać pytań, na które nie mają ochoty odpowiadać — rzekła sucho. Nie po raz pierwszy próbuję dowiedzieć się, skąd pochodzą i kim są, lecz ich odpowiedzi są zawsze wymijające.

— Możesz im zaufać — zaprotestował.

— O, nie wątpię, w końcu Potrzeba im wierzy, a to najbardziej podejrzliwa istota we wszechświecie. Wydają się mieć tyle sekretów, ile Towarzysze! — Spojrzała na Gwene, która potrząsnęła grzywą i zarżała. — Czuję, że nie powiedziała Tayledrasom więcej niż mnie.

Powoli skinął głową. Miała rację; dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak mało zna gryfy. Przyjaźnili się od dawna, ale ciągle wiedział o nich tylko tyle, ile zechcieli mu wyjawić.

Ostatnio dostarczyli mu wielu niespodzianek: znali starożytny język Kaledain i okazali się lepszymi magami, niż przypuszczał. Mówili o Urtho, jak gdyby znali historię wojen magicznych o wiele lepiej niż Tayledrasi. Jak gdyby nigdy nie zapomnieli tej historii.

Ciekawe. Bardzo ciekawe. Jednak także irytujące! Oni nawet nie starali się robić z tego sekretów, jak Elspeth i Skif. Oni po prostu byli tajemnicą.

Wystarczyło mu materiału do myślenia na całą drogę do ekele Elspeth. Z wyrazu jej twarzy wywnioskował, że snuła podobne rozważania.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Skif spakował bagaże. Niewiele ich było; Cymry powinna zachować szybkość na szlaku.

— Wyglądasz jak Sokoli Brat — powiedziała siedząc na skale obok Elspeth. Jak wszystko w Dolinie, gład wyglądał na stworzony przez naturę, lecz leżał w miejscu starannie wybranym, a jego powierzchnię wyrzeźbiono tak, by mogła być wygodnym siedziskiem. Elspeth siedziała po turecku; w jej włosach, oświetlonych słońcem, widać już było kilka białych nitek. Skif zastanawiał się, jak długo potrwa, zanim całkiem zbieleją. Dowiedział się od Zimowego Księżyca, że w ciągu kilku pierwszych miesięcy nauki Elspeth miała kontakt z większą mocą niż większość adeptów przez cały rok, poza tym spędzała wiele czasu w pobliżu kamienia. Zwiadowca zapewniał Skifa o nieszkodliwości tych ćwiczeń, lecz ostrzegł także o nieuchronnych zmianach, i to nie tylko w wyglądzie, jakie zajądą w Elspeth.

Rzeczywiście, od czasu jego wyjazdu z Doliny Elspeth się zmieniła. Wydała się spokojniejsza i bardziej opanowana. Nie przypominała Kero ani swej matki, była sobą — Elspeth, jego przyjaciółką, ale tylko przyjaciółką, nic więcej. Wszelkie romantyczne marzenia znikły w obliczu chłodnej, rozważnej kobiety. Kto zakochałby się w posągu?

Spojrzał na nią i uśmiechnął się. — Ty też tak wyglądasz — odrzekł jej. — Nawet ci z tym do twarzy.

Upodobniła się do Sokolich Braci; zapuściła włosy i nauczyła się tutejszego stylu ich czesania. Miała na sobie jedwabną tunikę w kolorze głębokiej czerwieni, w której wyglądała lepiej niż w czymkolwiek, co nosiła w domu.

— Co się stało z twoją Bielą? — zapytał.

Zaśmiała się. — Znikła i mam przecucie, że nie zobaczę jej aż do dnia wyjazdu — odpowiedziała mu na to pytanie. — Hertasi chyba nie lubią uniformów. Kiedy pytani o moje stare ubrania, patrzą na mnie dziwnie i odpowiadają: „Są w praniu”. Piorą je tak już od kilku tygodni.

— Moją odzież spotkał ten sam los — rzekł Skif. — Zimowy Księżyc nie pozwolił mi zabrać ich na zwiad. Podobno nie nadają się na zimę. Kazał mi nosić ubranie zwiadowcy.

Zachichotała. — Zaczynam podzielać zdanie Kerowyn na temat Bieli, a przynajmniej jej kroju — powiedziała. — Już mi się znudził. Nie zmienił się od setek lat, a przecież mogliby dać nam chociaż jakiś wybór.

Skif wzruszył ramionami. — Prawdopodobnie nikt o tym nie myślał. — Podniósł na próbę pakunek; ważył tyle, ile miał ważyć. W końcu wróca do Doliny, by uzupełnić zapasy. — Chyba będzie dobrze.

Elspeth zmierzyła wzrokiem bagaż. — Starczy na dwa tygodnie? — spytała podejrzliwie.

— Powinno. Powinniśmy wrócić nawet wcześniej. — Skif zamocował paczki przy siodle i odwrócił się do Elspeth. — Przykro mi, że nie miałem dla ciebie żadnych nowin.

Wzruszyła ramionami, po czym rzekła: — Powiem ci prawdę, duży bracie. Nie zależy mi już tak bardzo na odzyskaniu Potrzeby, nawet gdyby ona sama tego chciała, w co wątpię. Najważniejsze to odnaleźć Nyarę, zarówno ze względu na nią, jak i na ciebie.

Zaczerwienił się, lecz nie odpowiedział. Dostrzegł jeszcze jedną zmianę, jaka w niej zaszła: Elspeth stała się bardzo przenikliwa. Nie wiedział, czy to jest intuicja czy umiejętność odczytywania drobnych gestów, które kiedyś umykały jej uwadze? — Nie sądzę, abyście siedząc tutaj, mieli pojęcie o pogodzie na zewnątrz — rzekł do niej. — Nadchodzi zima, nie zdołamy przeszukać zbyt dużego obszaru.

— Nie spieszcie się. Nasze rozkazy pozostają bez zmian; nie potrzebują nas w domu, a ja muszę dokończyć naukę. Według Gweny, sytuacja w Hardornie nie pogorszyła się, może z powodu pogody. Tam także zaczęła się zima.

— A nikt, nawet szaleniec, nie wszczyna wojny w tym czasie. — Skif skinął głową. — Jeśli szczęście nam dopisze, wiosną będziesz gotowa do powrotu.

„A twój Mroczny Wiatr będzie gotowy do opuszczenia z nami Doliny” — pomyślał, jednak zachował swe spostrzeżenia dla siebie. Nie tylko Elspeth szczyła się przenikliwością.

— Mamy szansę zdobyć sojuszników. Gwena mówiła, że Talia, Dirk i Alberich szykowali się do negocjacji z Karsytami.

— Co takiego? — Brwi Skifa podnosiły się aż do włosów. Ostatnio mieszkańcy Valdemaru byli wdzięczni za to, że Karsytom ich własne wewnętrzne kłopoty nie pozwalały niepokoić sąsiadów. O żadnych sojuszach nie słyszał. — Kiedy to się zaczęło?

— Wczesną jesienią, kiedy dotarliśmy do Doliny. Zapomniałam cię o tym powiadomić, przepraszam. Zapomniałam, że wtedy cię tutaj nie było. — Spojrzała na niego, marszcząc brwi. — Dowiadywałam się o tym stopniowo. Alberich bardzo okreśną drogą skontaktował się na próbę z kimś z armii karsyckiej. Podobno znał tę osobę i mógł jej zaufać. . . do pewnego stopnia.

— Z Karsu? — nie dowierzał Skif. — Jak cokolwiek wydostało się z Karsu?

— Przez kupców i odłam czcicieli Pana Słońca, którzy sprzymierzyli się z Valdemarem. To nie był zbyt pewny sposób komunikacji, w dodatku wiadomość była niejasna: „Mogliśmy z wami porozmawiać, gdyby zdarzyło wam się znaleźć w tym miejscu o tej porze”. Alberich nie ufał jej zbyt, lecz to pierwszy gest z Karsu od setek lat, więc nie chciał od razu go odrzucać.

— Miał rację — zgodził się Skif. — Jednak ktoś mógł wciągać go w ten sposób w pułapkę, licząc na jego tęsknotę za ojczyzną.

— Musiały nie znać Albericha. Od tego czasu minął miesiąc; on sam, Kero i Eldan sprawdzili pogłoski. Były prawdziwe. Dwa tygodnie temu przygotowano oficjalną odpowiedź, a w zeszłym tygodniu Talia i Dirk pojechali nad granicę, na ziemię Holderkinów i spotkali się z posłami Karsu.

— Kapłanami słońca? Dowiedzieli się, skąd taka propozycja?

Elspeth zaczęła się śmiać. — Jeżeli Gwena dokładnie przekazuje mi wieści od Rolana, to cała intryga jest równie niezrozumiała jak Karsyci. Musiały tam wybuchnąć zamieszki, doszło chyba nawet do przewrotu. Król-kapłan nagle okazał się królową; poselstwo w połowie składało się z kobiet. Talia odebrała ich uczucia: „między nami kobietami”, lecz nie wie, czy odnoszą się one do niej czy do Selenay.

— Ciekawe — rzekł Skif, pogrążony w myślach. Szansę na porozumienie wzrastały.

— Ancar napadał także na Kars i dał mu się o wiele bardziej we znaki, pewnie dlatego, że nic nie chroni ich przed magią, jak w Valdemarze. Nie dość na tym, zaczął wykradać demony kapłanów słońca i to chyba przeważało szalę. — Wykrzywiła się, jak kupiec, który właśnie sprzedał kucyka z Równin jako rumaka Shin'a'in. — To musiało ukłuć ich do żywego; nie tylko przyszli do nas, posługujących się nie uświęconą magią, lecz także przyznali, że sami jej używali!

— Znam Talię, na pewno nie dała im tego odczuć. — Skif potrząsnął głową i zaśmiał się. — Ja nie byłbym taki taktowny.

— Ani ja — przyznała Elspeth. — Cóż, tak wyglądają sprawy w domu. Jeśli szczęście nam dopisze, wydobędziemy od nich obietnicę pozostawienia w spokoju naszych granic, póki nie uporamy się do końca z Ancarem.

Skif potarł kark i skierował wzrok na północny wschód. — Chciałbym tam być — rzekł bardziej do siebie niż do Elspeth. — Pokój z odwiecznym wrogiem... To naprawdę coś!

— Uwierzę, jak zobaczę — odparła. — Na razie wiemy, że nie tylko nas prześladowuje Ancar. Przynajmniej można sprzymierzyć się z innymi ofiarami przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi.

Skif otrząsnął się z zadumy. — Zdziwiałające — rzekł. — Mam jednak własne sprawy, których nie załatwię, stojąc tutaj i gryząc paznokcie z podziwu dla zdarzeń rozgrywających się setki mil stąd.

— Jadę na patrol z Mrocznym Wiatrem — powiedziała. — Wieczorem, ze zwiadowcą i jego sową. Podobno znalazł jakieś stwory i chce je pokazać magom.

— A gryfy? — zainteresował się Skif. Polubił je i żałował, że wyjeżdżając z Zimowym Księżycem, straci okazję lepszego ich poznania.

— Zostają z dziećmi. I tak zajmujemy im czas — zachichotała.

— Co w tym śmiesznego?

— Chodzi o kyree, Rrisa. Kyree zwykle zachowują się dostojnie; spójrz na Torrla. Jednakże Rris przypomina wielkiego szczeniaka. Bez przerwy skacze i łąsi się, a co najśmieszniejsze, zawsze ma w zanadrzu historyjkę o słynnym kuzynie, Warrlu.

Imię zabrzmiało znajomo. — Warrl? Czy to nie brat nauczycielki Kero? — zapytał.

— Ten sam. Wyobraź sobie te same opowieści, które znamy od Kero, relacjonowane z punktu widzenia kyree!

Skif westchnął. Znów go coś ominie. Nie można być wszędzie, a na zewnątrz Doliny bardziej się przyda. Razem z Zimowym Księżycem pokonali całe stado, gandle i inne, mniejsze, lecz równie nieprzyjemne bestie. Żaden ze zwiadowców nie lubił tego typu spotkań. Znajomi Zimowego Księżyca uważali, że zamieszkiwanie zimą poza Doliną to czyste szaleństwo. Zimowy Księżyc nie chciał przeprowadzić się z powrotem, mimo obowiązku patrolowania Doliny. Twierdził, iż zima mu nie przeszkadza.

Cóż, jeśli tak uważał...

— Chodźmy — rzekł Skif. — Zimowy Księżyc już jest pewnie gotowy. — Chciał jak najszybciej powrócić na szlak.

— Mroczny Wiatr i Gwena czekają na mnie, muszę się także przygotować do wyjazdu. — Elspeth zerwała się i cmoknęła go w policzek. — Do zobaczenia za dwa tygodnie?

— Jasne. — Pogłaskał ją po głowie, jakby znów była małym dzieckiem. — Nie wpakuj się w zbyt wielkie kłopoty, dobrze?

— Ja? Cóż znowu! — Pomachała mu ręką i znikła.

Pierwszy śnieg tej zimy okazał się prawdziwą zadymką.

— Czy zima zawsze zaczyna z takim... gwałtownym nasileniem? — spytał Skif przewodnika, kiedy urządzali sobie schronienie, które sklecili pod zwisającymi nisko gałęziami olbrzymiej sosny. W porównaniu ze stanicami heroldów kryjówka była maleńka, lecz dla dwóch osób wystarczająca. Skif nie mógł odgadnąć, z czego ją zrobiono — prawdopodobnie z jakiejś wodoodpornej tkaniny. Zimowy Księżyc wyjął ją z paczki niewiele większej niż złożona koszula, rozwinął i u sufitu zawiesił małą latarnię.

— Czasami — odrzekł Zimowy Księżyc wzruszając ramionami. — Zależy

to, między innymi, od poczynań magów. Przepływ dużej ilości energii magicznej zmienia pogodę, zwykle na gorsze.

— Dopiero teraz mi to mówi — powiedział Skif do ścian namiotu. — Gdybym wiedział, zabroniłbym im tych sztuczek ze Zmorą Sokołów!

— O, to nie było nic wielkiego — odrzekł niedbale Zimowy Księżyc. — Prawie nie wpłynęło na przyrodę. Przy tworzeniu Bramy trzeba się upewnić, że pogoda utrzyma się przez kilka dni. Burza może przynieść fatalne skutki. Podobnie wielkie zmiany wywołałoby odprowadzenie energii z kamienia — o ile da się to uczynić. To dlatego ważne zadania magiczne staramy się wykonywać w spokojniejszej porze roku.

— Jak na kogoś, kto nie jest magiem, wiesz zadziwiająco dużo — zauważył Skif. Zwiadowca zaśmiał się.

— Wszyscy Tayledrasi wiedzą dużo o magii, tak jak wszyscy Shin'a'in znają się na koniach, nawet jeśli są muzykami lub tkaczami. Magia ma wpływ na nas wszystkich, co widać na przykładzie naszych włosów i oczu. — Skończył mościć sobie posłanie i powątpiewająco zmierzył wzrokiem legowisko Skifa zrobione z sosnowych gałązek i przykryte derką. — Czy na pewno chcesz na tym spać? Twoje łożo wydaje się zimne i twarde. Mam drugi hamak. . .

— Przywykłem do tego. Nie umiem spać w powietrzu jak nietoperz — odrzekł Skif.

— Tak jest cieplej. — Zimowy Księżyc wyjrzał przed namiot i starannie zasznurował wejście. — Nadchodzi burza. Spędzimy tu trochę czasu, przynajmniej do przedpołudnia. Żadna istota nie wyjdzie dziś na łowy.

— Poczyszające. Przynajmniej nikt nie zawinie nas w namiot i nie wyniesie nie wiadomo dokąd.

W rogu zwiadowca ustawił przenośne żerdki dla swych sów, Corwith i K'Tathi. Pakunki zajmowały resztę wolnej przestrzeni; zrobiło się ciasno. Dla Cymry i dyheli zwiadowca zbudował daszek obok namiotu i przykrył zwierzęta ciepłymi derkami.

Jak się czujesz? — spytał Skif Cymry. — *Jeżeli ci zimno, znajdziemy inne. . .*

Nie gorzej niż na północy — odparła. — *Nawet lepiej, śnieg tak nie ziębi, jak tam. Dyheli mnie grzeją i dotrzymują towarzystwa.*

Mógł się nie martwić.

Zimowa odzież zwiadowców była o wiele lepsza od jego własnej. Zamiast z kilku warstw wełny, futra i skór, uszyto jaz czegoś lekkiego i miękkiego, zewnętrzne pokrycie zaś stanowił nieprzemakalny jedwab. Tak twierdzili hertasi. Zwiadowcy nie mieli peleryn, bardzo użytecznych do jazdy konno, lecz zawadzających w leśnym gąszczu.

— Gdybyśmy znali się na magii, rozpalilibyśmy sobie światło — odezwał się Zimowy Księżyc. — Ogrzalibyśmy się. Mam, co prawda, przenośne palenisko,

lecz tu nie ma odpływu dla dymu. Gdybym uchylił poły namiotu, stracilibyśmy akurat tyle ciepła, ile dałby nam ogień.

— Według Elspeth, magowie nie muszą się rozgrzewać, po prostu ignorują chłód — powiedział Skif. — Nie znam się na tym.

— Tak, można tak robić, lecz płaci się za to większym zmęczeniem. Utrzymanie ciepła wymaga energii — ognia lub magii. Wkrótce się o tym przekonasz.

W takim razie do uczenia Elspeth najbardziej nadawał się Mroczny Wiatr. Elspeth miała skłonność do zachwywania się wszelkimi nowinkami i upatrywania w nich rozwiązania wszystkich trudności; on powinien trochę ją powstrzymać.

— Czy zamierzasz zmienić taktykę z powodu śniegu?

— Właściwie on ułatwi nam poszukiwania. — Zimowy Księżyc ułożył się w hamaku; zawinięty po szyję w koce wyglądał jak w kokonie. — Drzewa straciły liście, ziemię pokrywa śnieg, Nyarze trudno będzie ukryć ślady swej obecności. Sowy ją znajdą. Ale nas czeka jeszcze inne zadanie. Skończył się czas narodzin dla młodych, nie nadszedł dla starych i słabych, a sezon myśliwski trwa. Teraz możemy okazać, co jesteśmy warci dla k'Sheyna.

Skif położył się na posłaniu i trząsł z zimna, czekając, aż się rozgrzeje. Ciepła Dolina z gorącymi źródłami wydawała się odległa o setki mil. — klan wiele dla ciebie znaczy, prawda? Nawet kiedy... — zaczął.

— Gdy ojciec się mnie wyrzekł, klan otoczył mnie opieką. To jest coś więcej niż zwykła lojalność. K'Sheyna jest moją rodziną. Czy to rozumiesz, skoro nie miałeś nigdy rodziny? Nie wiem.

— Może gdybym nie został Wybrany... — Skif słuchał szelestu płatków śniegu spadających na dach namiotu i skrzypu gałęzi drzew. — Mam rodzinę. Więcej ojców i matek, sióstr i braci, niż mogę zliczyć. Heroldowie są moją rodziną.

— Czyli heroldowie przypominają klan? Klan nie połączony więzami krwi, lecz celem, do którego został stworzony.

— Chyba tak. A jednak chciałbym mieć własną rodzinę. Zresztą już ci to mówiłem.

— Gdzie chciałbyś się osiedlić? Spotkałeś takie miejsce?

„Kiedyś miało to być gospodarstwo...” — rozmarzył się, a na głos powiedział: — W Przystani lub gdziekolwiek indziej. Tutaj jest także spokojnie, nawet spokojniej niż w domu. — Właściwie jedynie ta ziemia przyciągnęła go, choć poznał już tyle krajów. — Dolina wydaje się spokojna i bezpieczna. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego tak często z niej uciekasz.

— Pozory mylą — odrzekł zwiadowca. — Gdybyś był chociaż trochę wyczulony na energię magiczną, wiedziałbyś, że wcale nie jest taka spokojna, nawet gdyby kamień nie został uszkodzony. W każdej Dolinie wrze nieustanna walka. Kiedy się kończy, należy ją przenieść. Ale ty... jak mógłbyś opuścić miasto? Brakowałoby ci ruchu, ludzi, twoich spraw i zajęć.

— Nie mam ich aż tyle — zamyślił się herold. — W mieście równie łatwo o samotność, jak w tej głuszy. Nawet łatwiej. Spotykając ludzi w tłoku, nie zwraca się na nich dużej uwagi; oni także cię ignorują, nie czują się za ciebie odpowiedzialni. W mniejszej grupie ludzie szybciej zaczynają czuć za siebie nawzajem odpowiedzialność.

— Możliwe. Pozwól mi jednak opisać Dolinę z mojego punktu widzenia, bo ty uważasz ją chyba za raj na ziemi. — Zimowy Księżyc umilkł na chwilę. — Weźmy samą Dolinę: ciągły podskórny przepływ mocy — odczuwamy także wtedy, kiedy kamień nie jest uszkodzony — ponieważ to miejsce istnieje dzięki magii. To tak, jakbyś ciągle słyszał niski, cichy ton, czy jakby ktoś obok ciebie ciągle nucił — bardziej się to jednak czuje, niż słyszy. No i wszechobecni hertasi. — Zwiadowca westchnął. — Mają dobre intencje, lecz są zbyt towarzyscy. Nie potrafią zrozumieć, że od czasu do czasu ktoś chce побыć sam.

— Zauważyłem — zachichotał Skif. — Kiedy tylko nie śpię, w pobliżu zawsze czeka jeden z nich, żeby dowiedzieć się, czy czegoś mi nie trzeba.

— Kiedy śpisz, też są w pobliżu — powiedział z rezygnacją Zimowy Księżyc. — Nie potrafią pojąć, że niektórzy wolą obywać się bez luksusu. A czy zabrali ci ubranie?

— Tak — odrzekł zaskoczony Skif.

— Na pewno im się nie spodobało, bo jest zbyt surowe, mało strojne. Zobaczysz je dopiero przed wyjazdem i kto wie, czy nie odmienione. — Skif zaśmiał się. — O, to bez wątplenia zabawne, lecz jeżeli ktoś lubi proste rzeczy? Jeżeli woli sam sobie gotować i nie chce, żeby inni kręcili mu się po domu? A jeszcze moi współplemieńcy... — skarżył się Zimowy Księżyc.

— Co robią? — dopytywał się Skif.

— Jedna sprawa dotyczy nas obu: oni mniemają, że ludzie nie obdarzeni talentem magicznym liczą się mniej niż magowie. — Z głosu zwiadowcy przebijała gorycz. — Nieważne, że ktoś musi polować, patrolować granice, spotykać się z Shin'a'in i zdobywać od nich to, czego sami nie umiemy zrobić. Setki zwykłych, codziennych spraw nie wymagają magii. A jednak ci, którzy nie posiadają mocy, są uważani za mniej potrzebnych.

— Może to z powodu Gwiezdnego Ostrza, może wkrótce się zmieni.

— Może, lecz jeśli nie, ty także odczuwasz to na własnej skórze jako mniej wart niż Elspeth.

Łóżko wreszcie się rozgrzało i Skif wyciągnął się wygodnie. — To nic nowego — odrzekł sennie. — W Valdemarze to ona jest córką królowej, a ja nikim ważnym.

— Aha.

Świeczka przygasła, pogrążając ich w mroku. Od strony zwierząt dobiegło ich ciche, jakby kocie mruczenie. To dyheli.

— Zmiennolicy nie cieszą się popularnością.

— Masz na myśli Nyarę — powiedział Skif, starając się być obiektywnym, a przynajmniej nie ulegać emocjom. — Zaczniemy się tym martwić, jak ją odnajdziemy.

— Mają też inne uprzedzenia — ostrzegł zwiadowca. — Nie lubią obcych, zwykle wychodzą im na spotkanie ze strzałami i włóczykami. I to nie tylko k'Sheyna, lecz wszystkie klany. Jedyne poparcie Shin'a'in i obecność Towarzyszy uchroniła was przed podobnym powitaniem.

Skif ziewnął. — Przepraszam cię, lecz zasypiam i nie potrafię już skupić się na tym, co mówisz — rzekł do zwiadowcy.

Tayledras westchnął. — Masz rację. Mnie też się płaczą myśli — stwierdził.

Skif wreszcie przestał opierać się senności. — Porozmawiamy o tym rano — wymruczał. Odpowiedzi już nie usłyszał.

Przez okno wieży wpadało za dużo światła.

Nyara odrzuciła skóry, którymi była przykryta, i zadrżała z zimna. Narzuciła na plecy skórę wilka i ostrożnie podeszła do szczeliny we wschodniej ścianie. Wyjrzała. Za oknem zobaczyła odmieniony świat. Przeraziła się.

Las tonął w śniegu, sięgającym do kolan. Ściana wieży lśniła od lodu.

„Co robić?” — pytała samą siebie.

Nie była do tego przygotowana. Nie opracowała jeszcze metody wdrapywania się na górę po lodzie, nie umiała polować zimą.

„Zwierzęta ukryły się lub zapadły w sen. Zobaczą mnie na długo przedtem, zanim się zbliżę na odległość strzału. Nie umiem szybko biegać po śniegu” — rozmyślała, spanikowana.

Myśli biegały jej po głowie jak przerażone myszy. Gdy wyobraziła sobie takie stadko, odzyskała zimną krew.

„Spokój” — rzekła do siebie surowo. Zmusiła się żeby usiąść i pomyśleć, tak jak uczyła ją Potrzeba; żeby wykorzystać siłę strachu do znalezienia wyjścia z sytuacji.

Najpilniejsze było obmyślenie sposobu poruszania się po oblodzonym murze. Musiała stąd wyjść, żeby zapolować. Miała jeden pomysł, na razie nie wypróbowany. Nadszedł czas, by go sprawdzić. „Jest tu mnóstwo liny; każda istota zostawia na śniegu bardzo wyraźne ślady, więc nikt tu nie podejdzie bez mojej wiedzy. Mogę wykorzystać linę do wspinania się i schodzenia w dół. Wystarczy jeden koniec przywiązać do okna” — starała się trzeźwo myśleć.

A co do zwierzyny... mróz utrudniał zwierzętom poruszanie się tak jak jej... Właściwie mogłaby nawet zgromadzić zapasy; wywieszane po zewnętrznej stronie muru mięso nie zepsuje się na zimnie. Jeżeli powiesi je dość wysoko, nie dostanie się do niego żaden drapieżnik. Mogłaby upolować nawet jelenia i nie martwić się, że się zmarnuje.

Jeleni dotąd nie szukała, więc się jej nie bały. „Po śniegu łatwiej mi będzie ciągnąć zwierzęta, bez potrzeby krojenia ich i noszenia kawałków” — myślała.

Z gotowym planem w głowie znów spojrzała na las, tym razem z ciekawością, nie ze strachem.

Nigdy dotąd nie widziała takiego śniegu. Zmora Sokołów naśladował swych przeciwników, choć się do tego nie przyznawał, także w tym, iż ogrzewał swą ziemię i w ten sposób nie dopuszczał do nadejścia zimy. Nienawidził zimy, śniegu i lodu i spędzał ją na własnym terenie, zabijając czas rozrywkami lub magicznymi sztuczkami. Nyara raz widziała zimę, kiedy odważyła się dotrzeć do bram i spojrzeć na drogę otoczoną lasami pokrytymi śniegiem. Nie wpuszczano jej na szczyty wież w obawie przed ucieczką, a okna w komnatach i korytarzach szczelnie zamykano.

Nyara bała się nadejścia zimy, bo wtedy ojciec zaczynał się nudzić. Jego stworzy nie mogły docierać na ziemie Tayledrasów. Zmora Sokołów nie ruszał się z zamku bez konieczności, ludzie zamykali się w domach, a zwierzęta zbierały w stada — trudniej było złowić ofiarę. Mornelithe mimo wszystko nie mógł sobie pozwolić na nadmierny rozlew krwi służby, żeby nie doprowadzić jej do rozpacz i buntu — z tego zdawał sobie sprawę. Sam więc musiał wymyślać sobie zajęcia.

Kiedy się nudził, projektował nowe zmiany w swej powierzchowności i próbował je na córce, której przysparzało to bólu. Zawsze jeszcze pozostawały im stare gierki, których teraz nienawidziła — wtedy też ich nie znosiła, jednak zarazem pragnęła.

Aż do tej pory nie lubiła zimy. Najlepsza była wiosna i jesień — wiosna, dlatego że ojciec wyrwał się z zamku, by uciec z zamknięcia w murach; jesień, gdyż starał się wykorzystać każdą okazję do podróży przed nadejściem zimy.

W tym roku jednak nadejście zimy nie napawało jej takim strachem.

„Dziwne. Dlaczego?” — zadawała sobie pytanie.

Nagle uświadomiła sobie, co ją tak przerażało. Oznakami nadchodzącej zimy były dzieła Zmory Sokołów: większa ilość magicznych ogni, w miarę jak dni się skracały; coraz wyższa temperatura w zamku i zamykanie okiennic, lecz także pojawiające się w zakamarkach dziwaczne, często niebezpieczne rośliny, wyrosłe dzięki magii — często trujące, kłujące lub wydzielające zabójcze opary. Obserwowanie, kto wpadnie w te pułapki, sprawiało ojcu Nyary dużo radości. Rosła też na zimę liczba niewolników, dostarczających rozrywki Zmorze Sokołów — niewolników młodych i atrakcyjnych, lecz niezbyt błyskotliwych. Inteligentnych Mornelithe zatrzymywał i szkolił na swych popleczników, lecz i oni żyli w zamku dwa, najwyżej trzy lata.

Pamięta twarze tych, którzy nie wiedzieli, czy dożyją wiosny... W długie, ciemne wieczory Zmora Sokołów tracił czasem nad sobą panowanie...

W tym roku było inaczej. Krótsze dni nie niosły ze sobą strachu, dłuższe noce oznaczały tylko dłuższy sen. W kątach wieży nie migotały światełka budzące złe

wspomnienia, jedynie ognisko rozsiewało przyjazny blask. Nie nadeszło gorąco, wręcz przeciwnie — trzeba było zadbać o zapasy drewna i trzymać się blisko ognia, by nie zmarznąć.

Wieża, w której mieszkała, nie wytrzymywała porównania z domami adeptów, lecz należała do niej, była pierwszym miejscem, które mogła nazwać swoim, niezależne od władzy jej ojca.

Za radą Potrzeby, z którą się zaprzyjaźniła, ułożyła w niej futra, drzewo i liny.

Widok z okna zaskoczył Nyarę swym nieoczekiwanym pięknem: śnieg wygładził ostre krawędzie skał i złagodził czarne zarysy gałęzi. Na chwilę zapało jej dech. Podziwiała krajobraz dość długo, zanim wróciła do rzeczywistości.

To piękno mogło okazać się zabójcze dla nowicjusza.

Ponownie zaczęła ogarniać ją panika.

Zdławiła ją. „Nie ma sensu się bać. Mam Potrzebę, ona mi pomoże, i jeśli trzeba, użyje magii” — próbowała się pocieszać.

Skierowała swe myśli do miecza. . .

I natrafiła na pustkę.

Nigdy potem nie potrafiła przypomnieć sobie dokładnie tych pierwszych kilku godzin, które spędziła zawinięta w futra, na przemian płacząc i jęcząc. Na szczęście nie nadszedł nikt niebezpieczny; w przeciwnym razie stałaby się łatwą zdobyczą.

Gdy płacz ją wyczerpał, mimo rozpacz i strachu zasnęła.

Kiedy po południu obudziła się, uczucie rozpacz ustąpiło, choć strach pozostał. Zdołała się jednak opanować tego dnia i następnego, i następnego także.

Wytropiła zwierzynę przy wodopoju i zastawiła pułapkę. Złapała geś i powiesiła ją w zaimprovizowanej spiżarni, po czym udała się do lasu na poszukiwanie królików. Nie znalazła żadnego, lecz odkryła, w jaki sposób można łowić ryby pod lodem przy użyciu kawałka metalu znalezionej w wieży jako przynęty.

Naznosiła drewna do wieży i dbała, by nie zwilgotniało i nie zamarzło; zaplanowała następną pułapkę — tym razem na jelenie.

Udawało jej się panować nad sobą i nie wpadać w panikę na myśl, że miecz przestał ją chronić. Jeżeli coś się stało z Potrzebą, sama musi o siebie zadbać. Nie ma innego wyjścia — poddanie się losowi oznaczało śmierć. Wcześniej czy później ktoś zacznie jej szukać.

Godzinami siedziała przy ogniu, przywołując z pamięci, co Potrzeba opowiadała jej o osłonach, o jej własnej magii. Jeszcze więcej czasu zabrało jej konstruowanie, warstwa po warstwie, tarcz ochronnych, czerpanie nikłej mocy z zaśnieżonego lasu i własnej energii. Żeby jednak wykorzystywać swą moc, potrzebowała pożywienia i snu — czyli wracała do początku. Zdecydowała się jak najszybciej zacząć polowanie na jelenie — tylko w ten sposób mogła zapewnić

sobie odpoczynek konieczny do budowania osłon.

Resztę czasu — parę godzin przed snem, gdy już się zrobiło ciemno — spędzała, przyglądając się mieczowi i błagając go o powrót do życia. Oglądała go ze wszystkich stron, starając się odkryć, co się zepsuło. Coś musiało się stać, bo inaczej dlaczego by Potrzeba miała nagle umilknąć?

Nic nie wskórała. Teraz był to tylko miecz — ani mniej, ani więcej — broń, którą Nyara nie umiała nawet prawidłowo się posługiwać; dotąd kierowała nią zawsze Potrzeba.

Wreszcie trzeciego dnia, po kolejnych bezowocnych wysiłkach, które sprawiały ją o ból głowy, dała za wygraną i zapadła w głęboki sen — tak głęboki, że nawet rozpacz nie przedarła się przez niego.

Po obudzeniu — późnym rankiem — zauważyła, że chmury znikły i słońce świeci na czystym niebie. Wyjrzała przez okno i natychmiast się cofnęła, zasłaniając dłonią piekące oczy. Na zewnątrz panowała jasność — blask zbyt silny, by cokolwiek zobaczyć. Promienie słoneczne odbijały się od każdej powierzchni i nawet cień pod drzewami nie dawał wytchnienia zmęczonym oczom. Teraz dopiero zrozumiała, co mieli na myśli słudzy jej ojca, mówiąc o śnieżnej ślepcie.

Nie zdoła wyrzeć na zewnątrz bez narażania się na ból głowy; musi jakoś osłonić oczy. Choć i to zapewne niewiele da; światło odbite od śniegu nie zmniejszy swej intensywności. Przypomniała sobie, że przecież umie zmienić oczy; Potrzeba nauczyła ją kontrolować własne ciało, uczynić oczy mniej wrażliwymi na blask, sprawić, by mniej światła do nich wpadało... choć przez pewien czas...

Nadszedł czas, byś szukała odpowiedzi w sobie — odezwał się znajomy szorstki myślęty.

Nyara podskoczyła i odwróciła się do wnętrza komnaty.

— Wróciłaś! — zawołała, wpatrując się w znajomy kształt miecza leżący obok ogniska, tam, gdzie położyła go poprzedniego wieczora.

Nigdy nie odeszłam — powiedziała Potrzeba. — *Po prostu zdecydowałam się pozwolić ci samodzielnie pokierować swym życiem.*

Nyara zawrzała gniewem, ale szybko odetchnęła głęboko i opanowała go. Nie ukierunkowana złość niczemu nie służy, jedynie osłabia i pozwala wrogowi zdobyć przewagę. Przypomniała sobie, że Potrzeba nigdy nie działała bez powodu.

Gniew zmniejszył się. Usiłowała nie myśleć o pierwszych godzinach rozpacz i strachu, kiedy to wydawało jej się, iż nie przeżyje zimy. Rozpamiętywanie wszystkiego od nowa tylko by ją rozłościło.

— Dlaczego? — spytała. — Dlaczego to zrobiłaś? Czy zasłużyłam na karę?

Miecz nie odpowiedział wprost. — *Rozejrzyj się wokół. Co widzisz? Zapasy mięsa, drewna, osłony...*

Nie musiała się rozglądać, znała wyposażenie komnaty. — Przejdź do rzeczy — powiedziała niechętnie. — Dlaczego mnie opuściłaś? Dlaczego zostawiłaś mnie bez ochrony?

Czy to ja zrobiłam którąś z tych rzeczy? Czy to ja polowałam, łowiłam ryby, zaczęłam drabinę wiodącą na szczyt wieży? — Szczególny ton w głosie miecza całkowicie uśmierzył gniew Nyary.

— Nie ty — przyznała. Przez te trzy dni, bez niczyjej pomocy, dokonała całym sporo; dopiero teraz to dostrzegła.

Czy ja skonstruowałam osłony? — ciągnął miecz. — *Czy to ja ułożyłam je w kaskadę?*

— Nie — odrzekła Nyara, tym razem z dumą. — Ja to zrobiłam. Przy tak słabej mocy, jaką dysponowała — w porównaniu do Potrzeby czy nawet magów jej ojca — chyba nieźle sobie poradziła.

Czy gdybym miała jutro zginąć, zdołałabyś znaleźć sobie kryjówkę, pożywienie? Zdołałabyś przetrwać?

Miecz cierpliwie czekał na odpowiedź; brzmiała ona zupełnie inaczej, niż mogłaby wyglądać jeszcze kilka dni temu.

— Chyba tak — powiedziała powoli Nyara. — Tak, poradziłabym sobie. Czy o to chodziło?

Właśnie. Gdybym zadała ci to pytanie cztery dni temu, usłyszałabym, że nie przeżyjesz beze mnie. Teraz przekonałaś się, iż umiałabyś to zrobić. — W głosie Potrzeby zabrzmiała duma. — Nyara uśmiechnęła się pomimo tłących się w niej resztek urazy. Miecz zachichotał. — *Niełatwo by ci przyszło poradzić sobie samej i wiele stworzeń pokonałoby cię w mgnieniu oka, lecz gdybyś zdecydowała się ukryć, miałabyś szansę. Znadto się ode mnie uzależniłaś, a ja nie jestem niezwykczona, kochanie. Można mnie zranić lub zniszczyć. Mógłby tego dokonać twój ojciec, gdyby znał sposób a także adepci Tayledras. Musisz nauczyć się radzić sobie sama.*

Nyara zastanawiała się przez chwilę i jej gniew opadł całkowicie. Tego również nauczyła ją Potrzeba: opanowanie emocji pomagało skupić się na problemie, zamiast paraliżować zdolność myślenia w ogóle. — A co z twoimi próbami znieweczenia magii ojca, którą mnie zmienił? — spytała. — Usiłowałam to zrobić sama, lecz się nie udało. Nie skończyłaś...

Być może, nigdy nie skończę — wyznała szczerze Potrzeba. — *Zadanie to wymaga adepta uzdrowiciela — a ja nim nie jestem — i wielu lat, żeby odwrócić skutki działań twego ojca. Jednakże częściowo sama sobie pomagasz, współpracując ze mną z własnego wyboru i dążąc do zmiany.*

— Och — powiedziała Nyara.

Powinnaś zastanowić się jeszcze nad jedną sprawą.

Przez okno wpadł zimny powiew. Nyara zadrżała i odsunęła się od szczeliny, powracając na posłanie z futer. Owinęła się ciepło i skuliła, pozwalając oczom przywyknąć do mroku komnaty.

— Nad czym? — zapytała. Może chodziło o wykorzystanie własnej mocy magicznej?

Czego pragniesz? — spytał głos w jej głowie.

Pytanie zupełnie ją zaskoczyło. — O... o co ci chodzi? — dopytywała się.

Nikt dotąd nie postawił ci tego pytania i nigdy nie musiałaś sama go sobie zadawać — tłumaczyła cierpliwie Potrzeba. — Teraz znalazłaś się na pustkowiu, nie wiadomo, gdzie jesteś. Masz okazję sama pokierować swym życiem. Czego więc chcesz? Załóżmy, że dysponujesz wielką mocą; zresztą wielu ludzi uznałoby, że potrzebujesz pomocy i na pewno by ci nią służyli, gdybyś ich poprosiła. Zaśłużyłaś na nią, dziecko. — W głosie miecza wyczuwało się pewną miękkość. — Chociaż nie chciałabym, żeby do tego doszło.

Czego chciała? Pierwszą myślą była ta, by wszyscy zostawili ją w spokoju.

W spokoju... Tu, na pustkowiu, życie było proste, nie przysparzało cierpień — pomijając próbę, jakiej poddała ją Potrzeba. Pierwszy raz w życiu uzyskała kontrolę nad swoim postępowaniem i decyzjami. Świadomość własnej samodzielności okazała się fascynująca.

Jednak... nie, czuła się trochę samotna. Zwykle nie miała czasu o tym myśleć, lecz w mroku nocy czasem łzy napływały jej do oczu na myśl o odosobnieniu, w jakim się znalazła. Początkowo miała zbyt wiele zajęć, potem Potrzeba dostrzymywała jej towarzystwa, ale teraz brakowało jej obecności innego człowieka, przyjaźni, rozmowy...

A może brakowało jej nie tylko przyjaciela? Porywy jej ciała nie wygasły; poddała je tylko kontroli. Jednak nie chciała być sama. W takim razie musiałyby przyłączyć się do grupy ludzi, wrócić do świata. Nie zamierzała szukać innych klanów, mieszkających na północy, jeszcze mniej pobłażliwych dla Zmiennolich niż Tayledrasi. Na południu leżały równiny Dorisha. Pozostawał jej wschód — prawdziwy świat, albo zachód — powrót do Doliny k'Sheyna. Tam zresztą także czekały ją kłopoty. Czy może lepiej będzie odejść zupełnie gdzie indziej, na wschód?

Ale co miałyby tam robić? Jak zdobyć pożywienie? Na ziemiach zamieszkałych przez rolników nie było na co polować. Skąd wzięłyby ubranie? Na cywilizowanych terenach nie można mieszkać w jaskini i chodzić w źle wyprawionych skórach. Nawet gdyby znalazły się tam jaskinie.

— Mogłabym udać się do kraju, w którym mieszkają cudzoziemcy, tam chyba można polować — powiedziała głośno. — Mogłabym zarabiać jako myśliwy lub tropiciel czy też strażniczka...

Potrzeba zgodziła się z nią. — *Zgoda, lecz po co uciekać na obszary, o których nic nie wiesz i gdzie nikogo nie znasz? Tam nikt nie zna podobnych tobie istot. Prawdopodobnie przywitaliby cię niechętnie, nawet wrogo, a sama nie poradziłabyś sobie z gromadą.*

Pozostawało jeszcze jedno wyjście.

— Mogłabym... mogłabym zarabiać jako... kochanka. — Nie spodobał się jej ten pomysł, lecz mogłaby to robić. Przynajmniej to umiała dobrze. Skifowi się;

podobała. . .

Potrzeba znów przytaknęła, lecz z lekkim ociąganiem. — *Na pewno dobrze by ci szło, lecz czy to jest to, czego pragniesz? A chyba o to nam chodziło. . .*

Nyara westchnęła. — Nie, nie chcę tego — rzekła. — To nie najlepszy wybór, choć i tak lepszy niż śmierć głodowa. Ale przecież nie muszę iść na wschód, prawda?

Jeżeli nie na wschód, to pozostawał tylko zachód.

Z powrotem do k'Sheyna. Do dwojga cudzoziemców.

Nie da się tego uniknąć. Jediną osobą, o której myślała z tęsknotą, był ten cudzoziemiec. A jedynie k'Sheyna wśród Sokolich Braci mogliby potraktować ją dość łagodnie. Przecież pomogła im w walce ze Zmorą Sokołów. Coś jej byli winni. . .

Skif także. Uratowała mu życie, ryzykując własne.

Intensywność uczuć, jakie odczuwała w stosunku do Skifa, niemal ją przestraszyła. Częściowo dlatego właśnie uciekła. Nie chciała znajdować się obok niego, wiedząc, że ojciec ciągle ma na nią wpływ.

A tak mocno go pragnęła.

Wyobrażam sobie — odezwała się Potrzeba, idąc za tokiem jej myśli. — *Wiedziałam, że Skif gdzieś tu się płacze.*

— A co w tym złego? — spytała w swej obronie Nyara, na pół oczekując reprimendy miecza. W końcu jako kobieta Potrzeba ślubowała celibat. Potem zaś, kiedy stała się mieczem, czy zdołała zachować zdolność rozumienia ludzkich uczuć?

Nie, dziecko, to nic złego. Powiedziałabym, że to całkiem zdrowy objaw, zwłaszcza kiedy on cię szuka.

Nyara zamarła, zaskoczona. — Słucham? — spytała, nie dowierzając własnym uszom. Nigdy dotąd nie doświadczała tak mieszanych i silnych uczuć: radości i strachu, zmieszania i pragnienia. Otuliła się skórą.

Spodziewałam się, że tak zareagujesz. — Miecz westchnął, a potem uśmiechnął się. — *Widziałam dosyć przypadków miłości, żeby rozpoznać ją nawet wśród miliona innych, a to za sprawą moich właścicieli; najpierw zakochała się ta, która wyruszyła na równiny Dorisha, potem Kerowyn, w końcu ty. Zaczynam się czuć jak swatka, może powinnam zmienić zajęcie.*

Nyara opanowała emocje i spróbowała zdobyć się na kontynuowanie rozmowy. — I co? — zapytała.

Obie wiemy, czego chcesz, więc przygotujmy cię na to. Ten młody człowiek potrzebuje i pragnie partnerki — nie tylko do łóżka, i nie kogoś, kogo trzeba wlec za sobą i co jakiś czas bronić przed wszystkimi. Lepiej zaczniemy kształtować cię w ten sposób. O ile podoba ci się takie rozwiązanie — zakończył nieco sarkastycznie miecz.

Nyara usiadła na posłaniu. Partnerka — ktoś, kto umie być sam, lecz nie chce, kto pomaga, ratuje. . .

— Tak — rzekła spokojnie, podnosząc brodę do góry. — To mi się podoba.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Tre'valen zamknął oczy i zawężył swój świat do własnego ciała, koncentrując się na nim do granic możliwości. Po chwili odnalazł środek równowagi i z głębi siebie uczynił krok na zewnątrz — na Księżycowe Ścieżki, do królestwa ducha.

Dzięki szczególnej więzi z Gwiazdzistooką, Shin'a'in, wolno było spacerować po Księżycowych Ścieżkach, lecz tylko w noc pełni księżyca i pod warunkiem, że udawali się tam dla dobra innych. Zaprzysiężeni mieczowi mogli chodzić po tych ścieżkach o każdej porze i wzywać leshy'a Kal'enedral — duchy służące Wojownicze.

Również szamani mieli tam wstęp o każdej porze mogli wzywać duchy i otrzymywać odpowiedzi — jeżeli duch chciał ich im udzielić.

Ta świadomość budziła niepokój. „O to właśnie chodzi. Czy Jutrzenka zechce się do mnie odezwać?” — To pytanie nie dawało mu spokoju.

Jutrzenka. Pochodziła z Tayledrasów, lecz wybrana została przez Boginię Shin'a'in jako symbol jednego z czterech pierwszych klanów. Tre'valen rozmawiał z nią już kilka razy, zawsze jednak czuł strach, że tym razem nie odpowie na jego wezwanie.

Dlaczego ciągle próbował?

Kra'heera kazał mu zostać w Dolinie k'Sheyna, żeby poznał cel powołania awatara Bogini spośród Sokolich Braci. Nigdy dotąd Bogini nie wybrała nikogo na swe wcielenie. Dlaczego wybrała klan parający się magią? Jeżeli nawet Kra'heera snuł jakieś przypuszczenia, zachował je dla siebie. Tre'valen nie miał pojęcia, o co chodzi.

Dotąd nie dowiedział się niczego o zamiarach Gwiazdzistookiej, lecz aż za dużo o własnych uczuciach. Coś — kogoś — utracił; tęsknił. Przecież ona była nieosiągalna. Jak na ironię, odnalazł miłość i kobietę swego życia dopiero po jej śmierci. Cóż, to podobne do Bogini.

„Trzymaj się szlaku, wędrowcze. Księżycowe Ścieżki kryją dość niebezpieczeństw, skup się na nich” — przemierzał Ścieżki, śląc w przestrzeń wezwanie. Otaczała go złocista mgła; gdyby wędrował w nocy, miałyby kolor srebra. Szamanowi takie podróże nie sprawiały trudności, chociaż mniej przyzwyczajeni wracali do swego ciała wyczerpani. W tym świecie czas się nie liczył. Szaman wiedział

o tym; błędził cierpliwie, czekając na znak od Jutrzenki.

Był sam — i nagle zjawiła się ona, w postaci sokoła, krążąc nad nim. Bił od niej blask rozpraszający mgłę wokół. Jednak zamiast jak zwykle usiąść przed nim na ścieżce, przemówiła do jego umysłu: — *Chodź za mną.*

Poleciała z szybkością, o jakiej nie mógł marzyć; snuła się za nią świetlista smuga, pokazując mu drogę z powrotem, do własnego ciała, do realnego świata. Znów czuł swoje ciało, schronił się w nim jak w skorupie.

Odetchnął głęboko i otworzył oczy. Sokół-Jutrzenka siedział przed nim, przyglądając mu się uważnie. Nagle rozjarzył się blaskiem, tak jak podczas swej pierwszej przemiany; wkrótce światło stało się zbyt jasne, by ludzkie oczy mogły je znieść.

Tre'valen odwrócił wzrok. Kiedy spojrzał ponownie, sokół zniknął. Na jego miejscu pojawiła się przejrzysta, jaśniejsza postać kobiety. Nigdy nie widział jej w takiej postaci w świecie materialnym. Wydawała się figurą z płynnego, złotego szkła.

Obejrzała swe ręce i uśmiechnęła się. Szaman wstał i podszedł do niej; nie wiedział, czy wolno, ale nie potrafił się powstrzymać.

— Nie byłam pewna, czy umiem to zrobić, chociaż moi nauczyciele zapewniali, że to nic trudnego — przemówiła trochę nieśmiało. — Nigdy nie miałam talentu magicznego i sama nie wiem, w jaki sposób dokonuję tego wszystkiego.

To była prawdziwa mowa, a nie przesyłane wprost do mózgu myśli, jak dotychczas. Tre'valen skinął głową; ręce mu drżały. — Rozumiem cię. My, Shin'a'in, także nie znamy magii. Zostawiamy to dla Niej — rzekł.

Jutrzenka opuściła wzrok, widząc jego pożądlive spojrzenie. — Chciałam... być z tobą realnie, tak jak tylko się da — powiedziała powoli. Podniosła wzrok; w jej oczach ujrział tę samą tęsknotę i pragnienie, które sam czuł. Nie mylił się, choć jej twarz była przejrzysta.

— Nie umarłam. Tylko... zmieniałam się, a chciałam choć przez chwilę być taka, jak kiedyś.

Chciał dotknąć jej ręki jak niczego w życiu; wyciągnął dłoń poprzez przepaść o wiele szerszą niż fizyczna odległość — ona też wyciągnęła rękę...

Ich dłonie spotkały się: jedna z krwi i kości, druga ze światła i mocy. Mężczyzna poczuł lekki uścisk, ciepło — to mu wystarczyło. Mogli się więc dotknąć, na moment — wyrazić dotykiem i wzrokiem to, czego usta nie umiały powiedzieć.

Tre'valen pierwszy cofnął rękę; twarz Jutrzenki była nieporuszona, lecz w oczach czaiło się pragnienie. Nie wiedział, co zrobić.

— Jestem z tobą nie tylko dlatego, że chciałam — odezwała się po chwili niezręcznej ciszy. — Moi nauczyciele kazali mi rozmawiać z tobą, dowiadywać się, przekazywać ci, co wiem, gdyż teraz widzę wiele rzeczy w innym świetle. Widzę to, o czym oni nie mieli pojęcia. Stałam się kimś zawieszonym pomiędzy światem ducha a światem materialnym, nie należę w pełni do żadnego z nich.

Skinął głowę i opanował uczucia. Po raz pierwszy odezwała się w taki sposób, po raz pierwszy zaczęła mówić o sprawach, które tak interesowały Kra'heerę — o tym, kim jest. Pytał ją o to już wcześniej, ale tylko wprawiał ją w zakłopotanie. Przystał więc; bał się, że ją wystraszy i przestaną się spotykać.

„A jednak nie wystraszyła się. Jest taka odważna; chyba nigdy w życiu nie uciekała ze strachu przed nikim ani niczym” — pomyślał.

— Nie chciałam się zastanawiać nad odpowiedziami na twoje pytania, ale w końcu musiałam to zrobić — odezwała się. — Nie mogłam uciec w sen, w marzenia. . . a kiedy już zaczęłam myśleć, pojawiły się pytania.

Wpatrzyła się w przestrzeń, a Tre'valen wstrzymał oddech. Marzył o niej i śnił od lat, a sny szamana mają większą moc niż zwykłych śmiertelników. Wiedział, że ona stanie się jego utraconą częścią, wiedział — choć nigdy jej nie spotkał. Kiedy Kra'heera poprosił go, żeby został w Dolinie i zebrał wiadomości o Jutrzence, nie miał żadnych przeczuć.

A potem na Księżycowych Ścieżkach ujrzał przeistoczoną Jutrzenkę. Ujrzał jej twarz, nie tylko maskę sokoła-awatara, i dowiedział się, kim ona jest. Po pierwszej chwili radości wiedza ta przysporzyła mu jednak cierpienia i bólu; Jutrzenka znalazła się poza jego zasięgiem, nie umarła i nie żyła w zwykłym sensie tego słowa. W żaden sposób nie mogli być razem, jak o tym marzył. Jak mógł się tak pomylić, dlaczego oszukały go sny, sny szamana, sny wróżebne?

— Wiatry niosą zmiany i niebezpieczeństwa — rzekła wreszcie Jutrzenka, odrywając Tre'valena od rozpamiętywania własnego zawodu. — Mogą się okazać straszliwe, jeżeli się nie przygotujecie na ich spotkanie. Żaden Shin'a'in, żaden Tayledras ani żaden obcy nie znają całego rozwiązania, lecz każdy z nich ma jego część.

— Czyżby czas rozdzielenia miał się skończyć? — Już to samo było wystarczającą zmianą, niekoniecznie na lepsze.

— Może. — Nie oddychała, więc nie mogła westchnąć, a jednak miał takie wrażenie. — Widzę to wyraźnie, lecz nie umiem opisać. Wszystkie klany znajdują się w niebezpieczeństwie, lecz trzy z nich ryzykują najwięcej: Shin'a'in. . .

— Ze względu na to, czego strzeżemy. . . — szepnął. To było oczywiste.

— Tak — przytaknęła. — Tayledrasi, ze względu na to, co wiedzą — i cudzoziemcy, ze względu na to, kim są. I wszystkie zagrożenia spłoty się nierozdzielnie, jak losy cudzoziemców wplotły się w życie klanu. — Potrząsnęła głową. — Nie mogę ci tego pokazać, a nie umiem wyrazić; to tylko przybliżenie.

Jednak Tre'valen zrozumiał. Słowa Jutrzenki potwierdziły tylko jego własne przeczucia — stwierdził.

— Ostatnie wydarzenia nie są zbiegiem okoliczności ani splotem przypadków.

— Nie, w żadnym wypadku — odparła natychmiast. Potwierdziło się jego podświadome przypuszczenie: to ręce bogów utkały tę sieć, żeby połączyć wreszcie rozdzielone klany i włączyć do nich cudzoziemców. — Ścieżka, na której się

znaleźliśmy, biegnie w przeszłość, dalej, niż sięgają nasi wrogowie; widzę, jak dociera do czasów magicznych wojen; to, co się teraz dzieje, to słabe echa tamtych wydarzeń.

Tre'valen poczuł zimny strach chwytający go za gardło. — Co masz na myśli? — zapytał.

Widział, jak Jutrzenka stara się znaleźć właściwe słowa, opisujące to, co widzi — jakby próbowała opowiedzieć niewidomemu o gwiazdach.

— Ani Urtho, ani jego wróg nie uświadomili sobie do końca skutków swych czynów. Pozostawili po sobie echo, lecz ono nie słabnie z upływem czasu, przeciwnik — teraz brzmi coraz mocniej, kiedy biegnie przez świat do jego początku.

— Jednakże co to ma wspólnego z nami? — zawołał szaman. — Tamci magowie mieli ogromną moc, a co my możemy? Nie mamy żadnych szans! Umiemy jedynie ukrywać magię, żeby nie posłużyli się nią ci, którzy nie powinni!

Bezradnie pokręciła głową. — Mówię ci jedynie to, co widzę — powiedziała powoli. — Pytałeś mnie o przeszłość i terażniejszość. Przyszłość jest dla mnie zamknięta.

Usiadł na kamieniu, próbując zebrać myśli. Siedzieli oboje przez chwilę.

— Kra'heera musiał to wyczuwać i dlatego poprosił mnie, żebym tu został. Może on umie to wyjaśnić, może Kethra lub twoi rodacy. Porozmawiam z nimi, przekażę twoje słowa Kal'enedral. . .

— Powiedz im — przerwała mu Jutrzenka — że muszą się porozumieć. Wszyscy. Tyle wiem. Zbyt wiele nagromadziło się tajemnic, trzeba je zgłębić.

— Tajemnice. . . — Spojrzał na nią, świadomy tęsknoty i bólu wypisanego na swej twarzy.

— Muszę iść — powiedziała nagle. Nie wstała w zwykłym znaczeniu tego słowa, lecz zebrała energię i uniosła się; jej postać zaczęła falować. Szaman ukrył rozczarowanie. Pozostała niedostępna, mimo chwilowego kontaktu; pragnienie nie zmniejszyło się ani na jotę.

Jutrzenka zwróciła się do niego i wyciągnęła rękę. — Ja. . . — zająknęła się. Nie spodziewał się, że jeszcze przemówi, i niemal podskoczył z radości.

Przybrała formę pośrednią: kształt kobiety, lecz z zarysem skrzydeł z tyłu. Zajaśniała słonecznym blaskiem; mimo łez spływających z oślepionych oczu Tre'valen nie odwrócił wzroku.

— Wejrzałam w twoje serce, zobaczyłam ból i cierpienie — powiedziała. — Podzielam je. . . ukochany.

Znikła, zostawiając go doszczętnie ogłuszonego.

Mroczny Wiatr oczekiwał brata na skraju Doliny, trzęsąc się tyle razy, ile razy spojrzął na śnieg. W tym roku gorzej znosił zimno; ciepło Doliny pozbawiło go dawnej odporności. Kiedy mieszkał na zewnątrz, spędzał większość czasu na

śniegu. Do swego starego ekele wrócił jedynie po to, żeby zabrać rzeczy i przenieść je do Doliny. Jako jeden z pierwszych przeniósł się znów do Doliny; teraz, kiedy ptakom już nie przeszkadzał uszkodzony kamień, poszła za jego przykładem większość zwiadowców. Prawdopodobnie także Zimowy Księżyc zrobi to samo po powrocie z poszukiwań. Był uparty, lecz niegłupi.

Dolina oznaczała bezpieczne schronienie, ciepło i wygodę, które docenia tylko ten, kto musi się bez nich często obywać. Trudno oprzeć się urokom ciepłych kąpielii, lekkiej bryzy, usługiwanych hertasi spełniających wszelkie zachcianki, kiedy na zewnątrz hula zimny wiatr i sypie śnieg. W ekele w Dolinie nie trzeba było zamykać okien. . . przynajmniej w tych na niższym poziomie. A teraz, kiedy zostało ich tak niewielu, nie trzeba było walczyć o miejsce bliżej ziemi. Zwiadowcy nie lubili mieszkać wysoko i Mroczny Wiatr nie stanowił wyjątku. Po całodziennym lub całonocnym patrolu ostatnią rzeczą, o jakiej się marzy, jest wspinaczka po stromych schodach lub, co gorsza, drabinie.

Po powrocie do Doliny Mroczny Wiatr mieszkał początkowo u ojca, potem zaś przeniósł się niżej, do ekele w pobliżu wodospadu przy końcu Doliny. Miał tam zarówno zimną wodę z wodospadu, jak i gorące źródło. Cieszył się, że znów może korzystać z wygod i żałował brata, który wybrał zimową wędrówkę.

„No tak, lecz nie potrafimy wytropić Nyary, nie ruszając się z Doliny. Próbowaliśmy użyć magicznego wzroku, lecz ona albo miecz umiejętnie się osłaniają. Dobrze, że to nie ja musiałem wyruszyć na poszukiwania” — rozmyślał Mroczny Wiatr.

K'Tathi przyleciał tuż przed jego wyjazdem z Elspeth na patrol. Przyniósł wiadomość — na piśmie, gdyż jej treść była zbyt skomplikowana dla ptaka. Zimowy Księżyc i Skif oddali sporo jedzenia tervardi, osłabionym potyczką ze Zmiennołicymi. Aby nie tracić czasu, zwiadowca wracał do Doliny po zapasy; Skif został z tervardi. Prosił brata o spotkanie przy wejściu i przyniesienie bagaży o zmierzchu.

Mroczny Wiatr ucieszył się. Chciał pokazać bratu, że może na niego liczyć, jednak zwykle bywało na odwrót — to Zimowy Księżyc, jako starszy, przejmował rolę opiekuna. Rzadko prosił o przysługi; lubił samotność jak Mroczny Wiatr lub nawet bardziej.

Mroczny Wiatr poszedł przeszukać magazyny. Znalazł w nich stare latarnie, magiczne płaszcze i piecyk nie wymagający drewna — pozostałości z czasów, kiedy zwiadowcy korzystali z pomocy magów i ich wynalazków. Od dawna zwiadowcy nie wyruszali na nocne patrole i nie nosili przy sobie tych przedmiotów, żeby magią nie zwabić stworów z pustkowi Pelagiru. Jednakże Skif i Zimowy Księżyc nie powinni się ich bać, skoro udali się w przeciwną stronę. Płaszcze dobrze trzymały ciepło i nie przemakały na śniegu; było ich pięć — wystarczy dla dwóch ludzi, Towarzysza i dyheli. Mogły też posłużyć w nocy jako przykrycie. Piecyk mógł działać jeszcze przez kilka tygodni; ogrzeje mały namiocik, który

dzielili wędrowcy.

Kiedy Mroczny Wiatr poprosił Lodowy Cień o zgodę na przekazanie swych znalezisk bratu, mag, podniósłszy brwi, spytał, czy na pewno ich potrzebują czy też grzeją się w inny sposób. Mroczny Wiatr zapewnił starszego, że takie przypuszczenie jest nieuzasadnione; nie znał upodobań obcego w tym względzie, lecz znał swego brata. Nic takiego nie mogło się zdarzyć, o ile dzika magia pustkowi nie zmieni płci jednego z nich.

Ostatnie błyski światła gasły, a spod drzew wypełzały cienie. Mroczny Wiatr drżał od zimnych podmuchów przenikających przez zasłonę; miał nadzieję, że brat wkrótce nadjedzie. Miał za sobą długi i ciężki dzień. Razem z Elspeth zmierzili się z parą Zmiennolicych, może nawet tych samych, którzy napadli na tervardi. Sypki, głęboki śnieg utrudniał poruszanie, nawet Gwena nie mogła im pomóc. Zmiennolicy, o kocich łapach, mieli nad nimi przewagę. Warstwa śniegu skrywała lód; potykali się więc i upadali tak często, iż chyba całe ciała mieli pokryte siniakami. Mroczny Wiatr marzył o powrocie do ekele i gorącej kąpieli. Przez głowę przemknęła mu myśl o towarzystwie, lecz szybko ją odrzucił. Miał kilka koleżanek, atrakcyjnych i pewnie chętnych do spędzenia z nim nocy, ale żadna z nich nie mogła równać się z Elspeth.

„Głupi — karciał się w duchu. Nie bądź naiwny. Nie komplikuj wszystkiego. Ona jest twoją przyjaciółką, uczennicą, nie próbuj tego zmieniać. Nie żyjemy w bajce, masz do wykonania określone zadanie”.

Jednak stała się także równorzędną partnerką. Nie wątpiła już w swoje umiejętności; tak jak i on. Tworzyli dobrą drużynę. Przyjął propozycję gryfów w przebłysku nadziei.

Przed nim zamajaczyło coś białego, przemykając cicho jak duch pomiędzy gałęziami; obok niego leciał drugi, bliźniaczo podobny. Vree wydał powitalny okrzyk. Odpowiedziało mu głębokie pohukiwanie; jedna z sów przeszła przez zasłonę i usiadła nad głową maga. Druga poszła za przykładem brata. Kiedy wylądowała, Mroczny Wiatr dojrzał odległą figurę jeźdźca na dyheli, przedzierającego się przez zaśnieżony las. Dyheli bez większego trudu pokonywały zasy, w których zapadali się ludzie; ich długie nogi i kopyta dobrze trzymały się lodu ukrytego pod śniegiem. Za zwiadowcą szedł drugi dyheli, bez bagażu; z jego nozdrzy unosiła się para.

Zimowy Księżyc z szerokim uśmiechem pomachał bratu. Mroczny Wiatr był zaskoczony; nie był przyzwyczajony do takiej wylewności. „Towarzystwo cudzoziemca — stwierdził — dobrze mu zrobiło. Rozluźnił się”. W osobie herolda Zimowy Księżyc mógł znaleźć bliskiego przyjaciela. Czy wzajemnie? Mieli sporo wspólnego; Skif także sprawiał wrażenie samotnika. A Zimowy Księżyc nigdy dotąd nie miał przyjaciela. „Najwyższy czas” — pomyślał.

Dyheli przekroczyły zasłonę; zwiadowca zsunął się z siodła.

— Mroczny Wietrze! — zawołał z radością i objął brata. — Dzięki, że czeka-

łeś i że zatroszczyłeś się o pożywienie. Co to? — Rozejrzył się po pakunkach. — Nie prosiłem o tyle!

— To nie jedzenie — odparł Mroczny Wiatr i powiedział, co zawierają dodatkowe paczki. Zwiadowca wahał się.

— Nie wiem... boję się używać magicznych przedmiotów.

— Osłoniłem je najlepiej, jak umiałem — przekonywał mag. — Od wielu tygodni korzystamy z magii i nic się nie stało. A ciepło i światło na pewno się wam przydadzą, weź to pod uwagę. Nadeszła zima, nawet, wokół Doliny spadł śnieg, a im dalej będziesz podążał, tym będzie jeszcze gorzej.

— Już jest gorzej. — Zimowy Księżyc po chwili namysłu załadował na dyheli także dodatkowy bagaż.

— Ty pierwszy zrezygnowałeś z magii. Skoro teraz, twierdzisz, że można do niej bezpiecznie wrócić, zaufam ci. Chyba jednak nie mam czym ci odplacić.

— Nie znaleźliście śladów Nyary? — spytał Mroczny Wiatr przygotowany na niepomyślną odpowiedź.

— Stare i zatarte — odrzekł zwiadowca, przywiązując paczki. — Jednak mam przeczucie, iż podążamy za nią. Wierzę, że ją znajdziemy, lecz nie mówię tego Skifowi. Nie chcę niepotrzebnie budzić w nim nadziei. Jednak trudno utrzymać sekret.

— Mądrze postępujesz — rzekł ostrożnie Mroczny Wiatr, przesuwając bagaż nieco do tyłu.

Brat spojrzał na niego ponad grzbietem jelenia. — Przeżył wiele rozczarowań — powiedział nagle. — Nie chcę ich pomnażać. To Skrzydlaty Brat, poza tym — nie zasłużył na kolejny zawód.

— Mało kto na nie zasługuje — zauważył mag. — Jednak zgadzam się z tobą. Skończyli ładowanie bagaży.

— Jeżeli zechcesz znów zaoszczędzić czasu, przyślij K'Tathi — powiedział Mroczny Wiatr. — To żaden kłopot, a może uda mi się wygrzebać dla was jeszcze coś pożytecznego.

— Dziękuję — Zimowy Księżyc wpatrzył się w ciemność lasu widoczną poza zasłoną. — Powinienem już jechać; z takim obciążeniem nie pojedę szybko.

Mroczny Wiatr kiwnął głową. Zwiadowca dosiadł wierzchowca, skinął ręką na pożegnanie i odjechał, szybko ginąc bratu z oczu. Nad nim leciały dwa srebrzyste cienie.

Mroczny Wiatr odwrócił się do Doliny. Marzył teraz o obiedzie, gorącej kąpieli i łóżku, nawet bez towarzystwa. Bolała go głowa, pewnie ze zmęczenia.

Kiedy mijając ekele ojca, dojrzał pod nim zgromadzenie całej Rady, łącznie ze staruszką Deszczowym Biczem i wszystkimi magami klanu oraz Elspeth — miał ochotę wycofać się i uciec. Takie zebranie oznaczało kłopoty, a on miał ich dość jak na jeden dzień.

Jednak...

„Niech to lichy” — pomyślał. — „To coś ważnego. Wytrzymam jeszcze trochę bez jedzenia i snu, mam w tym wprawę”.

Magiczne ogniki jarzyły się słabo nad głowami zebranych i gdyby mag wybrał inną ścieżkę, nikt by go nie zauważył. Elspeth pierwsza go dostrzegła; inni podążyli za jej wzrokiem. Mroczny Wiatr westchnął z rezygnacją i dołączył do zebrania.

„Miałem rację. To ważne” — rzekł do siebie.

Kiedy tylko wkroczył w krąg światła, zobaczył, że wszyscy, prócz kilku strażników, byli wyczerpani, bez sił.

Wszyscy? Mógł być tylko jeden powód.

— Kamień-serce? — odezwał się głucho. Lodowy Cień skinął głową. — Kamień-serce powtórzył, przesuując rękami po oczach. — Odgadłeś. Próba się nie powiodła. . . więcej jej nie powtórzymy.

— Zakłęcie nie tylko nie osłabiło kamienia — dodał jeden z zebranych — ale też umożliwiło mu wysśanie z nas energii. Potrzebujemy kilku dni, nawet tygodnia, żeby odzyskać siły.

„Dlatego nie będzie więcej prób” — myślał logicznie Mroczny Wiatr. — „Kamień może powtórzyć napaść. Dzięki bogom, magowie pracowali wewnątrz osłon, inaczej wszyscy byśmy tak wyglądali”.

— Mimo to k’Sheyna nie pozostaną bezbronni — westchnął Lodowy Cień. — Magowie-zwiadowcy zostali wyłączeni z tego zadania, podobnie ty i Skrzydlata Siostra, Elspeth. Osłony Doliny nadal działają.

Jednej twarzy brakowało, choć powinna tutaj być. — A mój ojciec? — spytał ostro Mroczny Wiatr.

— Efekt uboczny naszej akcji, którego nie wzięliśmy pod uwagę. . . — powiedział starszy, unikając wzroku maga. — Życie Gwiazdowego Ostrza połączono z kamieniem w sposób, którego nie rozumiemy. Przekonaliśmy się o tym za późno. Kiedy nasze zakłęcie załamało się, część mocy uderzyła twego ojca.

Mroczny Wiatr zeszywniał. — Co mu się stało? — zapytał.

Lodowy Cień nie odezwał się.

— Omal nie zginął, chociaż Kethra zastłoniła go własnym ciałem — przemówił cicho Deszczowy Bicz.

— Żyje i wróci do zdrowia — powiedział ktoś szybko. — Jednak teraz oboje są w szoku i słabi. Tre’valen się nimi opiekuje.

„Są pod doskonałą opieką. Gdybym go odzyskał po to, żeby znów stracić. . .” — przebiegło mu przez myśl. — Czy to zebranie klanu? — zapytał, zatrzymując dla siebie inne rzeczy, które miał ochotę powiedzieć. Rzucanie oskarżeń nie miało sensu. Kto mógłby przewidzieć, że plany Zmory Sokołów okażą się tak podstępne? Odcięli Gwiazdne Ostrze od wpływu Mornelithe’a i myśleli, że to wszystko. „Intrygi Zmory Sokołów — rozmyślał — grożą nam nawet po jego odejściu, są jak trucizna wsączona do żyły”.

— Spotkanie klanu i magów — odpowiedział Lodowy Cień. — Próbowaliśmy wszelkich sposobów, żeby ujarzmić kamień i nic nie osiągnęliśmy. Nie zostało nam nic innego, jak tylko wezwać pomoc z zewnątrz, z sąsiednich klanów.

Twarze zgromadzonych wyrażały jasno ich niezadowolenie z takiej decyzji — dla nich oznaczało to przyznanie się do własnej porażki i słabości. Mroczny Wiatr od lat naciskał na sprowadzenie pomocy i wreszcie odniósł zwycięstwo, lecz kosztowało go ono niemal życie ojca. Gorzkie zwycięstwo, a jednak poczuł nikłą radość — miał rację i wreszcie mu to przyznali.

Przepełniony sprzecznymi emocjami, bez słowa wpatrywał się w przywódcę Rady.

— Musicie wysłać wezwanie — odezwał się wreszcie Lodowy Cień. — Ty, Skrzydlata Siostra i gryfy. Elspeth, Treyvan i Hydona już się zgodzili. Jedynie do was możemy się zwrócić. Umiecie stworzyć zaklęcie odnajdujące na tyle silne, żeby znalazło właściwą osobę.

Oszołomiony Mroczny Wiatr kiwał głową.

— Zaraz padniesz — powiedziała po cichu Elspeth. — Jesteś zmęczony, ja także. Nic dzisiaj nie zdziałamy. — Wstała i kiwnęła głową starszym. — Z całym szacunkiem, mamy za sobą długi dzień i potrzebujemy odpoczynku. Zabierzemy się za to jutro.

— Skoro czekaliśmy tak długo, możemy poczekać jeszcze jedną noc — zgodził się Lodowy Cień, a w jego głosie dało się wyczuć znużenie. — Nie ma sensu także was pozbawiać sił. Zatem jutro.

— Jutro — przytaknęła Elspeth i dała znak Mrocznemu Wiatrowi, żeby za nią poszedł.

— Poprosiłam hertasi o przyniesienie jedzenia do stawu pod twoim ekele — powiedziała, gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem wzroku znajdujących się na polanie. — Pewnie ci się przyda, tak jak kąpiel.

— Masz rację. — Potarł bolącą skroń. — Kiedy to się stało?

— O zachodzie słońca. Zaklęcie załamało się zaraz po rozpoczęciu próby. Nikt poza terenem ćwiczeń go nie poczuł... z wyjątkiem Gwiezdnego Ostrza. Dowiedziałam się o wszystkim dopiero, kiedy dwóch magów przeszło przez osłony, szukając pomocy. Byłam akurat w pobliżu. Niektórych trzeba było nieść.

— Bogowie! — Potrząsnął głową. — Czyli zostało nas tylko czworo.

Pięcioro — przemówił głos w umyśle maga.

Aż do tej chwili nie dostrzegł Gwenty; szła za nimi cicho jak cień. — *Pięcioro*? Czy ty, pani, również posiadasz dar magii? — spytał.

Elspeth rzuciła Towarzyszce spojrzenie, które powinno ją spopielić. — Ja też nie miałam o tym pojęcia — powiedziała głosem tak wypranym z uczuć, że mógł on oznaczać tylko wielki gniew. Zatrzymała się; Mroczny Wiatr i Gwena również stanęli. Zanim Towarzyszka zdołała się odsunąć, Elspeth uchwyciła jej uzdę

i zmusiła, żeby na nią spojrziała. — Słuchaj — rzekła ostro. — Wiesz, jak ważne jest opracowanie strategii, zwłaszcza tu i teraz.

Wiem — zgodziła się niechętnie Gwena.

— Ukrywasz informacje — ciągnęła Elspeth głosem złowroźnie spokojnym. — Informacje, których potrzebujemy, żeby zaplanować cokolwiek z sensem. Co zrobiłabyś z kimś, kto tak postępuje?

Gwena potrząsała głową, próbując wyrwać się swej Wybranej.

— Mam tego dość! — krzyknęła Elspeth. — Jeżeli nie uwzględniłaś tego w swych wspianiałych projektach, zastanów się. Żadnego ukrywania. Rozumiesz?

— Gwena szarpała się, jednak na tyle ostrożnie, żeby nie zranić Elspeth. Po jej błękitnych oczach widać było, że nie spodziewała się takiej reakcji. — Pytam, czy mnie rozumiesz? — Elspeth pociągnęła głowę Towarzyszki w dół i spojrziała jej w oczy.

Mroczny Wiatr stał obok ze skrzyżowanymi ramionami i surowym wyrazem twarzy, dając do zrozumienia, iż w pełni popiera Elspeth.

Rozumiem — wydusiła wreszcie Gwena.

— Skończysz z tymi tajemnicami?

Gwena pogrzebała kopytem w piasku, lecz Elspeth nie zamierzała jej uwolnić, póki nie osiągnie tego, co chciała. — *Tak* — rzekła pokornie, nie widząc innego wyjścia.

— Dobrze. — Elspeth puściła uzdę. Wyprostowała się, położyła ręce na biodrach i rzuciła Towarzyszce nieodgadnione spojrzenie. — Pamiętaj. Dałaś słowo.

Według Mrocznego Wiatru, Gwena nie zamierzała zapomnieć.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Z pochmurnego nieba nie dało się odgadnąć, która jest godzina, ale Mroczny Wiatr przypuszczał, że ranek dopiero się zaczął. Nie czuł się wypoczęty; nawet we śnie prześladowały go zmęczone twarze magów k'Sheyna. Nie oczekiwał nikogo o tak wczesnej porze i gdy Elspeth zjawiła się w jego ekele, przywitał ją słowami:

— Nie możemy zrobić tego tutaj.

Zastanawiał się nad tym, co mieli zrobić; myślał o tym podczas posiłku, długiej kąpieli wieczornej (zresztą, przysnął w jej trakcie i obudzili go dopiero hertasi) i w nocy, zanim wreszcie zapadł w sen. Ubierając się, określił warunki, jakimi dysponowali. To, co mieli zrobić, nie stanowiło problemu; Elspeth i Treyvan przyzwyczaili go do improwizacji opartej na już istniejących zaklęciach. To zaklęcie będzie odmianą czarów odnajdujących. Jednak gdzie miało się to stać? To już zupełnie inna sprawa. Na pewno nie w Dolinie, nawet gdyby brać pod uwagę teren poza obszarem ćwiczeń. Przekonanie to w czasie snu tylko się umocniło. Wszystkie jego zmysły — łącznie z szóstym — wzdragały się, gdy próbował brać pod uwagę inne rozwiązanie.

Coś złego działo się z kamieniem-sercem albo raczej wewnątrz niego. Mroczny Wiatr nie miał pojęcia, o co chodzi, ale wolał nie czynić w pobliżu kamienia nic, co mogłoby na niego w jakikolwiek sposób oddziaływać. Nieważne nawet, że wysłał on moc czarowników k'Sheyna — ale sposób, w jaki tego dokonał, budził obawy. Kamień wydawał się czekać chwili, kiedy magowie poczują się bliscy sukcesu i tracą czujność.

Być może, zdarzył się wypadek, ale jeśli nie? Nie wiedział. Wypadek — to brzmiało prawdopodobnie, ale rzeczy nieprawdopodobne również się zdarzały — i to z niepokojącą regularnością. Nastąpiły dziwne czasy.

Gdy tylko odezwał się do Elspeth, zdał sobie sprawę, że ona nie ma pojęcia, co zaszło w jego umyśle od czasu ostatniego spotkania. Poczł się jak głupiec, gdy tylko zamknął usta. „Pomyśli, że zwariowałem, że majacze” — stwierdził. Jednakże Elspeth, zamiast się zdziwić, kiwnęła tylko głową.

— Z pewnością — odpowiedziała, jak gdyby cały czas rozmawiali na ten temat. — Zbyt wielki wpływ czarów ochronnych, a jeszcze sam kamień... Myślę o tym od wczorajszej nocy. Wasz kamień działa zbyt mądrze jak dla mnie. Nie

chciałabym mu się sprzeciwić, gdy się znajduję w jego pobliżu. Jako cudzoziemce, mógłby mi zrobić coś więcej, niż tylko wyczerpać moją energię.

— Ale on nie jest istotą myślącą — zaprotestował bez przekonania Mroczny Wiatr.

— Nawet jeśli nie, to zachowuje się, jakby nią był. — Spojrzała przez ramię w tył, w stronę kamienia. — Być może, to zbieg okoliczności, albo coś ustanowionego przez samego Mornelithe'a w dawnych czasach, a on się tak zachowuje, jakby umiał myśleć. Zakładam, że umie rzeczywiście. — Skrzywiła się. — Jak zwykła mówić moja nauczycielka z Shin'a'in: nawet jeśli wydaje ci się, że za każdym krzakiem czai się wróg, nie znaczy to, że popadasz w manię prześladowczą. Może ci się dobrze wydawać.

„Przysłowia Shin'a'in w ustach cudzoziemki! Boże, ratuj!” — ta myśl przebiegła mu przez głowę, a na jego twarzy pojawił się pełen smutku uśmiech. — Kłopot z przysłowiami polega na tym, że są one truizmami — odrzekł jej. — Podejrzewam, że czytasz w moich myślach — wrócił do interesującej go sprawy.

Jego oskarżenie zabrzmiało na pół serio, choć mówił z uśmiechem. Wszyscy wiedzieli, że heroldowie umieją czytać w myślach — ale czyżby używali takich umiejętności bez ostrzeżenia? Elspeth roześmiała się. — Absolutnie — zaprotestowała. — Zapewniam cię, ja nie podsłuchuję cudzych myśli. Żaden herold by tego nie uczynił. Po prostu myśleliśmy o tym samym. W takim razie dokąd idziemy?

„Heroldowie nie podsłuchują, ale może Towarzysze... chociaż podejrzewam, że ona o tym wie” — próbował dojść do tego, w jaki sposób docierają do niej jego koncepcje. Myśl o Towarzyszce Elspeth zagładającej w jego umyśle nie zmartwiła go. Prawdopodobnie nie znalazłaby w nim nic nowego dla ducha opiekuńczego.

— Jadłaś coś? — spytał. Potrząsnęła głową. Wrócił do swojego ekele i przeszukał tobołki. Po chwili wyszedł, niosąc dwa płaszcze przewieszane przez ramię, owoce i chleb. Podał jej. Skinęła głową, dziękując, i oboje usiedli na stopniach. — Pomyślałem o ruinach — zaczął.

— Legowisko gryfów? — Zamyślona przekrzywiła głowę. — Ognisko energii znajduje się pod nim. Prawdopodobnie będziemy go potrzebować. Ale jeśli... przyciągniemy coś w trakcie rzucania zaklęć?

— Płaszcz ochronny Doliny już tam nie sięga, nic nas nie obroni. W tym cały kłopot — przyznał, gryząc dojrzałe pomera. — Nie wiem, jak sobie z tym poradzimy. Nic mi nie przychodzi do głowy.

Myślała przez chwilę, potem wzruszyła ramionami. — Poradzimy sobie — rzekła. — Gwena także nic jeszcze nie wymyśliła, ale zgadza się z nami co do miejsca: na pewno nie w pobliżu kamienia. — Dokończyła chleb i wstała, otrzepując ręce z okruchów. — Więc co robimy?

Mroczny Wiatr oblizał z palców sok i poszedł za jej przykładem; podał jej płaszcz i poprowadził schodami w dół, do ścieżki zaczynającej się u ich stóp. —

Nie możemy otwarcie użyć myślomowy... — zaczął.

— Z pewnością nie — odrzekła sucho. — O ile nie chcemy zawiadomić wszystkich wrogów wokoło, że k'Sheyna znaleźli się w tarapatkach. Nie wyobrażam sobie także myślwezwania przenieszonego przez kogoś lub coś; zawsze istnieje niebezpieczeństwo przechwycenia wiadomości, nawet gdybyśmy przeznaczyli ją tylko dla Tayledras. Z tego, co wiemy, istnieją także tacy, którzy tylko czekają na takie wezwanie.

— Poza tym, po co marnować tak wielką ilość energii, jaka jest potrzebna do myślwezwania, skoro we wszystkich klanach może znaleźć się nie więcej niż dwóch adeptów, którzy umieliby nam pomóc? — Mroczny Wiatr zakończył wątek. — Nie, uważam, że powinniśmy użyć innego rodzaju zaklęcia: wysłać skomplikowaną wiadomość za pośrednictwem ptaka. — Uśmiechnął się do siebie. Elspeth nie domyśli się, jaki ptak przeniesie wiadomość w swoim ciele. Jednak to było najbardziej logiczne rozwiązanie.

— Do kogo chcesz go wysłać? — spytała zaskoczona. Gwena dołączyła do nich, idąc taktownie kilka kroków z tyłu. — Myślałam... — urwała zmieszana.

— Nie wiem na razie, kogo zawiadamiać, ale wiem, o czym i w jaki sposób — wyjaśnił, odsuwając gałąź zwisającą nad ścieżką. — W którymś klanie żyje adept — uzdrowiciel na tyle wtajemniczony, że powinien wiedzieć lub domyślić się, co należy zrobić. Wiem już teraz, że tu nie ma kogoś takiego, więc wyśle wiadomość do najbliższego klanu i skieruję ją do każdego adepta równego nam lub wyższego rangą. Najbliższym klanem jest k'Treva. Mam prawie pewność, że u nich znajduje się ktoś lepiej przygotowany do rozwiązania trudności niż my. Kiedyś już ofiarowali pomoc, ale ojciec odmówił.

— A jeśli jednak nikt stamtąd nie potrafi nam pomóc? — spytała ponuro.

— Wtedy poproszę, aby przekazali wiadomość dalej, do następnego klanu. Oni w każdym razie nie mają uszkodzonego kamienia. Mogą przesyłać, co tylko chcą, do każdego innego klanu. Szczerze mówiąc, największą przeszkodą w zapanowaniu nad kamieniem jest nasze odosobnienie. Gdybyśmy poradzili sobie z tym, rozwiązalibyśmy i resztę problemów.

W Dolinie panowała niezwykła cisza; wszyscy magowie leżeli w domach, wracając do zdrowia. Kroki idących rozlegały się na tle szumu liści na wietrze i śpiewu ptaków, których zawsze było tu pełno. Elspeth milczała przez całą drogę do wejścia i strzegącej go osłony. Za nią widzieli płatki śniegu wirujące na wietrze i nagie gałęzie drzew. Spojrzeli na siebie z rezygnacją, szczerzej otulili się w płaszcze i przekroczyli niewidzialną granicę lata i zimy.

Pierwszym dźwiękiem, jaki usłyszeli na zewnątrz, był chlupot ich butów po kałużach, które potworzyły się wokół emanującej ciepłem bariery. Wiatr ucichł; stopy zapadały się w śniegu prawie do kolan. Śnieg padał równo, osiadał na twarzach; powietrze było wilgotne, ale nie aż tak mroźne, jak tego oczekiwał Mroczny Wiatr. Nad szarymi gałęziami drzew rozciągało się białe niebo — aż po horyzont,

jednostajne i ciężkie. Mroczny Wiatr miał przez chwilę dziwne wrażenie, że płatki śniegu są oderwanymi, wolno spadającymi kawałkami nieba. Ciemne pnie drzew wynurzały się zza śnieżnej kurtyny; śnieg pokrył grubą warstwą ziemię pod drzewami i usypał zasy na krzewach. W tej części lasu nie rosły żadne drzewa iglaste, więc nic nie mąciło jednostajnej szarości krajobrazu. Śnieg skrzypiał pod nogami i wpadał Mrocznemu Wiatrowi do butów; zmarzną oboje na kość, zanim dojdą do ruin. Nie przeszkadzała mu bezbarwność otoczenia. Po intensywności kolorów i obfitości zieleni w Dolinie odcienie szarości działały kojąco i odprężające. Żałował tylko, że okoliczności i brak czasu nie pozwalają mu się tym cieszyć. „To dzień nadający się do tego — pomyślał — żeby skulić się przed kominkiem, patrzeć, jak śnieg pada i nie myśleć o niczym szczególnym”.

— W takie dni jak ten zawijałam się w koc przy oknie i czytałam — odezwała się Elspeth tak cicho, że ledwie ją usłyszał. — Po prostu siedziałam, słuchałam, jak ogień trzaska, patrzyłam, jak śnieg zbiera się na parapecie i myślałam, jak to dobrze siedzieć w ciepłe zamiast być na zewnątrz.

Mroczny Wiatr zachichotał, Elspeth popatrzyła na niego. Gwena wyprzedziła ich, żeby przecierać szlak w śniegu.

— Myślałem właśnie o tym samym — wyjaśnił. — Gdybyśmy tylko mieli czas. W taką pogodę robiłem dokładnie to samo, co ty.

— Aha. — Kiwnęła głową. — Zapomniałam, że mieszkałeś kiedyś poza tą wspaniałą oranżerią. Lubię Dolinę, ale czasem brakuje mi w niej prawdziwej pogody. Nie da się powiedzieć, jaka jest akurat pora dnia, nie wspominając już o porach roku.

— Cóż, wydaje mi się, że Zimowy Księżyc i Skif byliby szczęśliwi, gdyby mogli wybrać się z nami na wędrowkę — odparł zamyślony. — Ta pogoda nadaje się do siedzenia w domu, ale nie na biwakowanie. Taki mokry śnieg staje się bardzo ciężki, gdy uzbiera się w odpowiedniej ilości na dachu szałasów. A, jeszcze jedno, jeśli cię to interesuje, wysłałem Vree przodem z wiadomością o naszych planach. Przypuszczam, że Treyvan i Hydona będą nas oczekiwać.

— Owszem, interesuje mnie to. — Znów na niego spojrzała, tym razem z półuśmiechem. Wsunęła włosy głębiej pod kaptur. — Nie dlatego, że bałam się ich odmowy, ale w dobrym tonie jest uprzedzić właściciela domu, że masz zamiar puszczać z jego dachu sztuczne ognie. A w dodatku ty chcesz uzyskać od nich pomoc.

Zaśmiał się; w zachowaniu Elspeth zaszła wyraźna zmiana na lepsze w ciągu ostatnich kilku tygodni. Stała się bardziej rozsądna i łatwiej mu było się z nią porozumieć. Ujawniło się także jej poczucie humoru, dotąd ukryte. — Masz rację — zgodził się. — Poprosiłem ich, by jeśli się nie zgodzą, dali mi natychmiast znać. Zrobiłem to zaraz po obudzeniu, ale Vree dotąd nie wrócił. W takim razie pewnie nie mają nic przeciw temu.

— Mogli jeszcze zapomnieć o obietnicy i schwytać znów jakiegoś grzebie-

niowca — odparła, próbując zachować powagę. — W takim wypadku będziesz musiał znaleźć sobie innego ptasiego przyjaciela.

Elsbeth podobała się wędrówka; z Gweną przecierającą dla nich szlak nie namęczyli się zbytnio i mogli uznać ten wypad za przyjemną poranną wycieczkę. Oczywiście, musieli zachować czujność na wypadek nieprzewidzianych kłopotów, ale prócz kraczącej nad nimi ze złością wrony nikogo nie spotkali. „Odkąd tu jestem, nie czułam się tak swobodnie” — pomyślała. Prawdopodobnie dlatego, że skończyło się wreszcie czekanie. Cały czas miała przeczucie, iż magowie k’Sheyna nie poradzą sobie sami. Czuła, że Mroczny Wiatr myśli tak samo, ale nigdy się z tym nie zdradził. On także wyglądał na odprężonego, lecz był zbyt dobrze wychowany, by cieszyć się z porażki magów klanu, nawet jeśli to potwierdzało jego racje. Nie był małostkowy.

Ruiny przykrywał śnieg, który dawał im częściowo wygląd opuszczonego i bardzo zaniedbanego domu. Ścieżka gryfów, często używana, nie była przysypana. Łatwiej się nią szło; jednak brak drzew upodabniał to miejsce do pustyni.

Vree musiał się dobrze sprawić. Gdy podeszli, zauważyli go siedzącego na krokwi i z wielkim zapalem pożerającego świeżo zabita przepiórkę. Zdażył się zaledwie przywitać z przyjacielem, gdy z gniazda wypadły młode gryfy. Mroczny Wiatr został zwalony z nóg i wytarzany w śniegu; gryfy bawiły się nim jak kot myszą. Elspeth śmiała się, aż ją boki rozboleły; za każdym razem, gdy mag próbował wstać, któreś młode powalało go na ziemię. Był już zupełnie biały i przypominał żywego bałwana; śmiał się przy tym tak, że aż Elspeth zdziwiła się, że nie stracił tchu. Gwena obserwowała zamieszanie z nie ukrywaną zazdrością; chciałyby się przyłączyć. . .

Elsbeth zdecydowała, że Mroczny Wiatr potrzebuje pomocy. Wkroczyła zatem do akcji, ciągnąc gryfy za ogony, aby zwrócić na siebie ich uwagę. W mgnieniu oka wywinęła kilka koziołków ze skrzeczącym radośnie Jervenem wczepionym w jej kark. Każde poruszenie jego krótkich, mocnych skrzydeł wzbijało tumany śniegu. Wtedy dołączyła do nich Gwena; odepchnęła młode i przetoczyła je po śniegu, tak jak wcześniej one uczyniły to z Mrocznym Wiatrem i Elspeth. Młode uwielbiały takie igraszki, a Gwena była wystarczająco duża i silna, żeby sobie na nie pozwolić. Dopóki pazury były schowane, nic nikomu nie groziło.

Po chwili pojawili się rodzice, jednak nie tylko nie zakończyli zabawy, lecz się do niej przyłączyli. Odtąd szansę młodych zmały, toteż najpierw Mroczny Wiatr, a potem Elspeth zmienili front, przychodząc gryfiątkom z pomocą. Gwena pozostała po stronie dorosłych. Śnieg fruwał wszędzie, tworząc coś w rodzaju trąby powietrznej podnoszącej się z ziemi. Najlepszym sposobem okazało się złapać ogon gryfa i przytrzymać, podczas gdy młode podfruwało naprzód, chowając głęboko pazury, aby nikogo nie skaleczyć. Jednak zabawa nie mogła trwać

w nieskończoność. Nagle Hydona zawirowała, pociągnęła za sobą dziewczynę, niemal nakrywając ją ogromnymi skrzydłami i jednym podrzutem skrzydła poturlała Elspeth do Jarvena, którego potraktowała podobnie. Zanim którekolwiek z nich zdołało się wygramolić, stanęła nad nimi, celując w nich pazurem.

— Rrozejm? — spytała, przekrzywiając głowę. Jej grzebień rozpostarł się i dymił z lekka; unosił się z niego obłoczek pary. Elspeth wyczuła skrywaną i powściąganą moc, gdy gryf pomógł jej podnieść się i popchnął lekko w kierunku domu. Ze śmiechem przyznała się do porażki.

— Dzięki — powiedziała, rozglądając się wokół za Gwena. Zobaczyła, że Mroczny Wiatr i Lytha wzięli ją jako zakładnika w zamian za poprawne zachowanie Treyvana. Niebieskie oczy Towarzyszki błyszczały jak szafiry, jej uszy stały sztywno, a ogon powiewał. Elspeth wiedziała, że Gwena nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Jednak nie zareagowała, czekając na pierwszy ruch Gwenty. Treyvan zrobił unik. Mroczny Wiatr ruszył, żeby go złapać i odwrócił na chwilę wzrok od Towarzyszki. Moment ten wystarczył, by Gwena chwyciła go zębami za kołnierz, uniosła w powietrze i z rozmachem odrzuciła w stronę Lythy. Mroczny Wiatr krzyknął, zaskoczony tym; Lytha zapiszczała. Oboje potoczyli się w dół, tworząc jedno kłębowisko nóg i skrzydeł. Elspeth zachichotała, nabrała pełną garść śniegu, uformowała zgrabną kulę i wycelowała w Gwena. Trafiła w zad. Gwena zakręciła się w kółko i spojrzała na swoją Wybraną z oburzeniem. Mroczny Wiatr zanosił się śmiechem, a młode mu wtórowały.

— Bałam się, że przerwiesz zabawę — rzekła Elspeth do Hydony, gdy Mroczny Wiatr i jego partner poddali się Gwencie. Gryf zatrzęsł grzywą, otrzepując się ze śniegu.

— Nie mogłam dziś sobie porrradzić z grrryfiatkami. Pozwoliłam więc im się wyszaleć, teraz dadzą nam spokój.

Elspeth przeciągnęła się i zaczęła się również otrzepywać; czuła wszystkie kości i mięśnie. — Zdaje się, że zabawa mnie trochę rozluźniła — zaczęła, gdy z legowiska gryfów wynurzyła się jeszcze jedna istota, z nastawionymi uszami i oczami rozszerzonymi z zainteresowania.

— Czy ta walka się skończyła? — spytał Kyree. — A może to chwilowa przerwa?

— Chyba zostałem pokonany ze szczeniem i nie będę się rewanżować — odpowiedział rażno Mroczny Wiatr. — Mimo oburzenia Gwenty. Zgadzasz się ze mną, towarzyszeko walki? — zwrócił się do Lythy.

Lytha z przekonaniem pokiwała głową i strząsnęła z siebie trochę śniegu. — Mokrrro — poskarżyła się. — Mam pełno śniegu w piórrrach.

— Jeśli ssstoczyłaś bitwę w śniegu, musisz się z tym liczyć — odrzekła jej matka, mrugając do niej okiem.

Mój słynny kuzyn Warrl zwykł powtarzać: „Nie możesz walczyć, nie narażając futra”. — Kyree podrapał się w zamyśleniu za uchem. — Mówił jeszcze: „Gwał-

towność bitwy możesz ocenić po czasie potrzebnym do posprzątania po niej”. Jeśli wy dwoje chcecie wejść do środka, rozpalę dla was magiczny ogień; położycie się przy nim, a ja opowiem wam coś ciekawego. — Głowa kyree znikła w głębi jamy.

Jerven wyprzedził Lythę o pół długości w drodze do domu.

— Czyżby to był Rris? — spytała Elspeth, próbując nie wybuchnąć śmiechem.

— Owszem — westchnęła Hydona. Spojrzała na Treyvana i oboje jednocześnie powiedzieli: — To był „Rris — opowiem — wam — o — moim — sławnym — kuzynie — Warrlu z Hyrrul”.

— Dzieci go uwielbiają — dodał Treyvan. — Myślę, że wytrzymam jego historryjki, póki nie będzie ssię powtarzał.

— Sssame przyssssłowa i dobrre rrrady — Hydona próbowała udawać oburzoną. — To nie gorrsze niż mieszkanie z Ssshin’a’in.

— Z pewnością, ale co poradzisz? — odparł Mroczny Wiatr i spojrzał na niebo. — Mamy jeszcze całe popołudnie i trochę przedpołudnia. Chcecie zacząć już teraz?

— Myślę, że to byłoby rozsssądnie — stwierdził Treyvan. — Nasz dom nie znajduje ssię bezpośrednio nad węzłem. Gdy go znalazłem, zbudowałem także nad nim coś w rrrodzaju szopy. Chodźcie za mną.

Mroczny Wiatr skinął na niego, by prowadził. Treyvan poszedł więc z Hydona przodem, a za nimi reszta z Gwena pośrodku. Elspeth położyła dłoń na jej grzbiecie.

Dobrze się bawiłaś? — spytała. — Dawno cię taką nie widziałam.

Świetnie. — Nozdrza Gwena parowały, oczy jeszcze lśniły energią. — To dopiero zabawa! Już prawie zapomniałam, jak to jest być dzieckiem albo być z dzieckiem. Niezależnie od powagi sytuacji one zawsze znajdą czas i ochotę do zabawy.

I jeszcze jedno — Elspeth zachichotała, głaszcząc Towarzyszkę po szyi — dzieci przypominają nam, dorosłym, że czasem trzeba zapomnieć o powadze sytuacji. Tęsknię za bliźniakami.

Ja też — westchnęła Gwena. — Tęsknię za wieloma rzeczami.

Elspeth zdała sobie sprawę, że Gwena czuje się samotna. Ona przynajmniej miała innych ludzi wokół siebie, nawet jeśli byli jej obcy. Po odejździe Skifa na poszukiwanie Nyary Gwena nie mogła nawet porozmawiać z Cymry.

Towarzyszka widocznie podążała za tokiem jej myśli. — *Nie żałuj mnie — odezwała się, szturchając Elspeth nosem w ramię. — Bardzo dobrze sobie radzę na własną rękę.*

Elspeth wykrzywiła twarz w śmiesznym grymasie.

— *Jestem tego pewna — docięła jej. — Nawet nie muszę cię zachęcać.*

Święta prawda. — Gwena zastrzygła uszami i podniosła głowę. — Zdaje się, że jesteśmy na miejscu.

Stali przed kolejnym budynkiem, podobnym do domu gryfów, tylko bardziej surowym. Była to zwykła szopa, składająca się ze ścian i dachu. Jednak w środku

znalazło się dość miejsca dla gryfów i ich gości. Treyvan i Hydona z pewnością zbudowali to pomieszczenie jeszcze przed pierwszym śniegiem. Elspeth zastanowiła się, w jakim celu. Czyżby mieli zamiar uprawiać tu magię, czy mieli jeszcze jakieś inne plany?

Gdy weszli, stwierdzili, że Treyvan już rozpałił magiczny ogień; migocąca kula dawała trochę światła i ciepła. Wnętrze okazało się cieplejsze niż otwarta przestrzeń, choć wiało szparami. Nie było jednak aż tak ciepło, by Elspeth zdecydowała się zdjąć płaszcz.

— Co my właściwie będziemy robić? — spytał Treyvan, sadowiac się na zerdziach. — Znam jedno zaklęcie przynoszące wiadomości, ale nie wiem, czy to sssamo, kórrrego wy chcecie użyć.

— Nasze zaklęcie wymaga pośrednika — wyjaśnił ostrożnie Mroczny Wiatr. Rozejrzał się wokół, znalazł wystarczająco duży kamień i usiadł na nim. — Zwykle przynoszą je ptaki. Ma to swoje zalety. Sam w sobie czar nie waży nic, nie może także zostać odkryty, dopóki mag nie zbliży się na pewną odległość do ptaka. Ptak nie musi niczego pamiętać, czyli nie musi to być jeden z naszych przyjaciół. Zaklęcie podzielone jest na dwie części; jedna to wiadomość, druga prowadzi ptaka do celu. Wskazuje mu określoną osobę, dla której przeznaczony jest przekaz; w naszym wypadku nie chodzi o jakąś konkretną osobę, ale raczej o jej profesję.

— Barrrdzo ciekawe. — Hydona skinęła głową.

— Lepsze niż nasze czarry; trrrrudniejsze do wykrrrrycia. Jakiego ptaka chcecie wysssłać?

— Tego. — Mroczny Wiatr wskazał na kaptur swojego płaszcza. Spomiędzy włosów wyrzwał malutki łebek; wydawał się składać prawie tylko z czarnych, lśniących oczek i długiego, ostrego dzioba. Elspeth zamrugła i spojrzała znów.

— Takie maleństwo? — spytała z niedowierzaniem. — Skąd je wzięłeś?

— Z Doliny — odrzekł Mroczny Wiatr. — Chował się w moim płaszczu akurat do chwili, gdy przybiegły do nas gryfiątka. Podczas przewracanki na śniegu poleciał razem z Vree w bezpieczne miejsce. Vree dobrze wie, że nie wolno mu napadać na te ptaki, bo czasem używamy ich jako posłańców. A ten skrył się z powrotem w kapturze, gdy mu pozwoliłem, i w ten sposób przybył tutaj.

— Ale dlaczego akurat ten? — Zmarszczyła czoło. Ona wybrałaby inaczej. Małe ptaszki wyglądały wdzięcznie i z pewnością świetnie przystosowały się do cieplarnianych warunków Doliny, lecz chyba zupełnie się nie nadawały do dalekich podróży w świecie poza Doliną. — Czy on nie zamarznie na śmierć w taką pogodę? Co będzie jadł? Jak się obroni? — dopytywała się.

Mroczny Wiatr wyciągnął rękę i ptaszek po chwili krążenia tu i tam, sam usadowił się na jego palcu. Był niewiele większy od kciuka. — Dopóki leci, nie grozi mu zimno — starał się rozwiać jej wątpliwości — nie będzie musiał tracić czasu na łapanie pożywienia, bo zaopatrzyłem go w zapas energii wystarczający na drogę do k'Treva. Poza tym, spójrz na niego.

Elspeth powstrzymała na razie uwagi i przyjrzała się dokładniej ptaszko-
wi. Nie przypominał latających po Dolinie pierzastych klejnocików; był czarny,
z plamką zgaszonego fioletu na gardle.

— Ten maluch nie musi się bronić. Niewiele istot zdoła go dostrzec — ciągnął
Mroczny Wiatr. — Ty też nie zauważyłaś, gdy wyleciał z mojego kaptura. Jego
zaletami są szybkość i małe rozmiary. Nawet jeśli go ktoś zobaczy, raczej go nie
schwyta. A jeśli okaże się na tyle głupi, by próbować, nauczy się, że nie tak łatwo
złapać go w locie.

— Hmm... — Treyvan z przechyloną głową przyglądał się uważnie maleń-
stwu. Ptaszek patrzył prosto na niego, nie okazując cienia strachu, choć gryf mógł-
by go połknąć wraz z powietrzem, nawet tego nie zauważywszy. — W takim rra-
dzie ssstworzycie porrrcję; enerrrgii, żeby go karrmiał? To nie powinno wywołać
większego zamieszania niż sssamo zakłęcie.

— Właśnie. — Mroczny Wiatr wyglądał na bardzo ; zadowolonego. — Te
maluchy poruszają się tak szybko, że nawet jeśli ktoś wysledzi czar, to zanim
dotrze na miejsce, ptak już będzie daleko.

— Z map, które oglądałam, wynika, że k'Treva mieszkają bardzo daleko od
nas — zauważyła z powątpiewaniem Elspeth.

— Jego dzicy krewniacy odlatują zimą tak daleko na południe, że nawet nie
wiemy, dokąd — odparł Mroczny Wiatr.

Ma rację — wtrąciła Gwena. — *Słyszałam, jak jeden z ludzi Kero, ten czarny,
opowiadał, że te ptaki spędzają zimę w jego kraju. A nie mamy pojęcia, jak daleko
na północ dotarł ten człowiek.*

Cóż, jeśli tak...

— Zrobi to, nie martw się — powiedział stanowczo Mroczny Wiatr. — Już
to robił, on i jego krewniacy, nawet zimą. A gdy dotrze do k'Treva i odnajdzie
naszego adepta, już ktoś dopilnuje, by dostał najlepszy nektar i kącik dla siebie
w tamtej Dolinie.

Elspeth była pewna, że ptak będzie mieć dobrą opiekę — o ile doleci —
gdyż Tayledrasi otaczali swoich skrzydlatych przyjaciół, zresztą nie tylko ich, ale
wszystkie istoty dzielące z nimi Dolinę, niezwykłą troską.

Mroczny Wiatr potrząsnął głową. — Nasz mały posłaniec jest gotów do drogi
i bardzo chce już wyruszyć — rzekł. — Nie dajmy mu czekać.

Elspeth nie miała pojęcia, skąd o tym wiedział, ale zgodziła się. Wysłanie
ptaka zajmie im trochę czasu.

— Rzeczywiśście — powiedziała Hydona, kiwając głową. — Rrrriss nie
utrzyma dzieci w ssspokoju zbyt długo.

Elspeth cieszyła się, gdy podeszła do nich Gwena, jeszcze bardziej zaś z tego,
że Towarzyszka nie była tak zmęczona jak oni. Spacer do Doliny, przedtem tak

przyjemny, teraz przedstawiał się w zupełnie innym świetle.

Żadne z was nie jest zbyt ciężkie — rzekła Gwena, gdy szli za gryfami przez śnieg. — *Do Doliny nie jest aż tak daleko. Poniosę was albo, jeśli wolicie, oprzyjcie się na mnie.*

Słońca prawie nie było widać zza ciężkich chmur; do zachodu pozostała prawdopodobnie jedna miarka świecy.

— Co o tym myślisz? — spytała Elspeth. — Idziemy czy jedziemy?

Dowiozę was na miejsce przed zachodem słońca — powiedziała chętnie Gwena.

— Jedziemy — zdecydował Mroczny Wiatr. — O ile nie masz nic przeciwko temu.

— Absolutnie.

Właściwie mogło to być nawet intrygujące...

Mroczny Wiatr był chyba najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego spotkała w życiu. I to nie tylko z powodu egzotycznej urody. A odkąd zdała sobie sprawę, że nie udawał tępoty podczas lekcji tylko po to, by ją drażnić — uznała go za jeszcze bardziej atrakcyjnego.

Szczerze mówiąc, Tayledrasi w większości odznaczeni urodą — zarówno fizyczną, jak i duchową. A Mroczny Wiatr pociągał ją jak nikt inny. Chciała dowiedzieć się o nim jak najwięcej; chciała, by on poznał ją lepiej. Być kimś zafascynowanym, a samemu fascynować — to zupełnie różne sprawy...

Zwłaszcza jeśli dotyczy to tylko jednej strony...

Okropne przypuszczenie. Niestety, prawdopodobne.

A duma nie pozwoli jej skakać wokół niego i łaścić się jak szczeniak. Poznała ślepe zauroczenie na przykładzie Skifa i nie miała zamiaru go naśladować. Nigdy nie postawi się w sytuacji tak upokarzającej.

Pierwsza wskoczyła na siodło. Mroczny Wiatr, mniej doświadczony, wykorzystał skalę, by wspiąć się za nią na grzbiet Gweny.

Obiecuję łagodną jazdę — rzekła zaczepnie Gwena, przypominając im poprzednie przeżycia Mrocznego Wiatru, gdy uczipiony kurczowo Elspeth obijał się o kości Towarzyszki; gnali wtedy na pomoc jednemu ze zwiadowców. — *Szybkim, równym stepem.*

— Dziękuję ci — powiedział z uczuciem Mroczny Wiatr.

Gryfy już się z nimi pożegnały; snucie czaru je najbardziej wyczerpało. Jako gospodarze węzła energii zużyły najwięcej sił, by połączyć się z ogniskiem i przesłać jego moc do Elspeth i Mrocznego Wiatru. Posłaniec mknął po niebie jak strzała. Nic więc ich tu już nie zatrzymywało.

Śnieg ciągle sywał, a dzień już się kończył. W zapadającym zmroku ruiny wyglądały tak przerażająco, że Elspeth dostała gęsiej skórki. Gwena odpowiedziała na jej niepokój, wybierając najkrótszą drogę do domu, wiodącą obok bagna za-

mieszkałego przez hertasi. Nie należało zostawać w tym miejscu dłużej, zwłaszcza w taką pogodę.

— Jak hertasi spędzają zimę? — spytała nagle Elspeth. — Mam na myśli te spoza Doliny, z moczarów?

— Nie zapadają w sen zimowy, ale rzadko opuszczają swoje jaskinie — wyszeptał Mroczny Wiatr prosto w jej lewe ucho. Gwena szła szybkim krokiem. — Zamykają się w domu, dużo śpią, mało jedzą, trzymają się blisko ognia. Kiedy nie śpią, wytwarzają różne drobiazgi, w większości figurki. Wszystko, co posiadają, jest rzeźbione lub zdobione.

— Chyba lubią to robić — odrzekła Elspeth. — Wiesz, oni potępiają moje ubranie jako zbyt surowe.

— Na pewno — zachichotał. — Między innymi dlatego chętnie z nami współpracują. Używają tradycyjnych wzorów, a my tworzymy nowe. A może dlatego, że jesteśmy mniej skrepowani tradycją i konwenansami. Na tym polega handel między nami: oni, jeśli chcą się zaopatrzyć w nowe wzory, przychodzą do nas, artystów i służą nam w zamian za pomysły, schronienie i pożywienie.

— Do nas artystów? — zdziwiła się Elspeth. — Nie znałam cię od tej strony. . .

— Kiedyś projektowałem stroje. Nie jestem wielkim artystą jak Skrzydło Kruka, raczej rzemieślnikiem — odrzekł. Wydawał się zakłopotany. — Choć to może dziwne, hertasi z Doliny lubią w wolnych chwilach się stroić.

Miała ochotę mu przygadać, ale powstrzymała się. Przypomniała sobie odświętne kostiumy Mrocznego Wiatru i jego ojca; wyglądały, jakby stworzyła je jedna ręka. I chyba tak było. To jego dzieła. Czy miała to być cicha propozycja pojednania? Czy przeoczyła inne sygnały?

— Wiesz — zaczęła powoli — u mnie w domu istnieje cały kodeks dotyczący kwiatów, które ludzie noszą i które dają sobie nawzajem. Na dworze te przepisy są chyba najbardziej skomplikowane. Niektórzy mogą i prowadzić długie rozmowy bez słów, posługując się tylko kwiatami przypiętymi do ubrań.

— Naprawdę? — Wyglądał na zainteresowanego, chociaż odetchnął z ulgą, gdy zmieniła temat. — Tutaj ofiarowanie komuś kwiatów ma tylko jedno znaczenie.

— Jakie?

— Takie samo, jak podarowanie pióra: „Pragnę cię”. — Teraz zrozumiała. Widziała przecież tyle razy podobne sceny; nie wiedziała jednak, co oznaczały. — Jeśli pióro pochodzi od jakiegokolwiek ptaka, oznacza to krótką przygodę — ciągnął Mroczny Wiatr. — Jeśli zaś to pióro ptaka związanego z daną osobą, jest to znak głębszych uczuć.

Nagle przypomniała sobie szamankę Kethrę z wplecionymi we włosy piórami; nigdy przedtem nie spotkała Shin'a'in przystrojonego w ten sposób. — Czy to dlatego Kethra. . . — zaczęła i zaraz ugryzła się w język, zawstydzona własnym brakiem taktu.

Jednak Mroczny Wiatr nie miał jej tego za złe. — Owszem — odrzekł. — To były pióra ptaków ojca, zanim oswoił tego kruka. Pióra szarej sowy i sokoła perlina. Zatrzymujemy pióra zrucane przez nasze ptaki. Część z nich zużywamy na naprawianie połamanych piór, a część chowamy na specjalne okazje — i na prezenty.

— On potrzebuje nowego ptaka — myślała głośno Elspeth. — Obserwowałam wasz stosunek do nich. To nie jest to samo, co łącząca nas z Towarzyszami więź, lecz coś podobnego. Twój ojciec potrzebuje takiego przyjaciela. Może nawet nie zdaje sobie sprawy, on ani Kethra, jak bardzo go potrzebuje — i jak mógłby mu pomóc ktoś taki.

Zapadła cisza. Gwena brnęła przez śnieg. Nad nimi wisały szare gałęzie, przez które z trudem przenikały resztki dziennego światła. Drzewa w dali przed nimi majaczyły w półmroku, przybierając najdziwniejsze kształty. Elspeth zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie przekroczyła dopuszczalnych granic. A może jej słowa; zabrzmiały przemądrzałe, jakby uważała, że wszystką wie lepiej?

— Dziwne — odezwał się wreszcie Mroczny Wiatr — Myślałem dokładnie tak samo. Ojciec stracił poprzedniego ptaka przez Zmorę Sokołów. Chyba waha się, czy poprosić kogoś o pomoc w znalezieniu następnego. Kethra nic nie wie o więzi łączącej nas z ptakami, o tym, jak one są dla nas ważne. Każdy z nas ma takiego czy innego fruującego przyjaciela, magowie zwykle oswajają małe sowy, ale wszyscy kogoś takiego mamy — i zawsze z własnej hodowli.

— Wasze ptaki przypominają mi domowe koty. Są tak samo niezależne, ale chcą komuś podlegać. — Potrząsnęła głową, niezadowolona z porównania. — Nie, jak psy... no, prawie. Jednakże z pewnością nie przypominają w niczym sokołów i innych drapieżników, które ja znam! Tamte mogą cię w najlepszym wypadku tolerować, o ile nie posiadasz daru myślmowy zwierząt.

— Jesteś bardzo spostrzegawcza. To prawda. Nasze ptaki są do nas bardzo przywiązane, i to je różni od innych drapieżników. Lubią towarzystwo i starczą im inteligencji, by polować w zorganizowanych grupach, zamiast niszczyć się nawzajem. Dlatego więź między nimi a nami opiera się w równym stopniu na przyjaźni, co na podporządkowaniu. Kłopot polega na tym, że sezon lęgowy dawno minął, a wszystkie dorosłe ptaki w Dolinie mają już ludzkich przyjaciół.

Może przytłumione światło wyostrzyło inne zmysły Elspeth, a może przyzwyczaiła się do odczytywania niuansów w wypowiedziach Mrocznego Wiatru. — W Dolinie? — powtórzyła. — Czy ptaki z tego samego rodzaju można spotkać także poza Doliną?

— O tak. Wszystkie te, które nie związały się z kimś z nas jako pisklęta, mają wolny wybór. Mogą lecieć, gdzie chcą. — Milczał przez chwilę. — Jednak bez łączącej ich z człowiekiem więzi ich instynkty biorą górę i ptaki takie przestają się różnić od dzikich kuzynów. Moglibyśmy schwytać w sidła któregoś z nich, gdy będzie tędy przelatywał, ale to kiepski sposób nawiązania przyjaźni. Z pewnością

nie dałoby się pozyskać jego zaufania.

— Rozumiem — rzekła. I naprawdę tak było. Dziki ptak nigdy nie kojarzył pułapki, w którą wpadł, z człowiekiem uwalniającym go stamtąd. Często zresztą otrząsał się z szoku dopiero wtedy, gdy znalazł się w domu sokolnika, a ten zaczynał długi i żmudny proces osvajania. A ptak z Doliny natychmiast powiązałby obecność człowieka z sidłami i nie dałby się przekonać o dobrych intencjach tego, kto je zastawił. — Czy pytałeś Vree, co on o tym myśli?

— Prawdę mówiąc, nie — odparł Mroczny Wiatr wyraźnie zaskoczony. Chyba nikt z jego rodaków nie wpadłby na ten pomysł. Elspeth jednak była przyzwyczajona do zasięgania opinii Gwenty. Ptak nie dorównywał inteligencją Towarzyszowi i pewnie nie poradziłby sobie z naprawdę skomplikowanym zadaniem, ale ten problem na pewno by zrozumiał.

Vree zniżył lot, zatoczył koło nad nimi i zaskrzeczał do maga, zanim znów wzbił się w górę.

Mroczny Wiatr roześmiał się głośno. — Bardzo mu pochlebiłaś, Skrzydlata Siostrze, pytając go o zdanie. I na swój prosty sposób ma doskonałą odpowiedź. Twierdzi, że powinniśmy poczekać, aż któryś z ptaków zostanie ranny, o co teraz, zimą, nie jest trudno. Mnóstwo młodzików, polując, odnosi rany. Zwykle same się wyleczą, czasem inne ptaki z Tayledras dostarczą im pożywienia w czasie rekonwalescencji. Jeśli jednak rany okazują się zbyt poważne i nie ma krewniaków do pomocy, ptak ginie. Kiedy zaś inne ptaki z Doliny dowiedzą się, że szukamy rannego, pomogą nam go znaleźć i wtedy odegramy rolę zbawców.

— I dostaniemy ptaka wdzięcznego za uratowanie życia, a nie rozgniewanego z powodu utraty wolności. — Elspeth uśmiechnęła się. To było najlepsze rozwiązanie. — Przypuszczam, że Vree rozgłosi nasze poszukiwania po całej Dolinie?

— Znów masz rację — powiedział ciepło Mroczny Wiatr. — Elspeth, nie chciałbym cię urazić, ale teraz o wiele łatwiej się z tobą rozmawia niż wtedy, na początku.

Zarumieniła się. — Cóż... — zaczęła — to, czego nie lubiłaś w moim zachowaniu, było często czymś, co musiałam robić w moim kraju. Tam oczekiwano ode mnie przejęcia dowództwa, określonego stylu bycia. Ta postawa, o którą mnie oskarżałaś, jest częścią mojego wychowania. Przykro mi, że stała się nawykiem, którego nawet sobie nie uświadamiałam. To był odruch: jeśli osoba znajdująca się akurat obok nie miała na sobie białego stroju, przyjmowałam inny sposób bycia, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. — „Czy zrozumie? Czy choć spróbuje?” — Elspeth niepokoiła się o reakcję Mrocznego Wiatru — Jestem członkiem rodziny królewskiej, Mroczny Wietrze. Niezależnie od tego, że mój kraj znaczy dla ciebie mniej niż jedno złamane pióro Vree, ja ciągle jestem z nim związana, jestem następczynią tronu, muszę postępować według norm przyjętych przez moich rodaków; nie mogę od tego uciec. W ten sposób mnie wychowano.

— Aha — odrzekł. — Miał nadzieję, że dosłyszała w jego głosie zrozumienie.

Westchnęła. — Jeszcze coś — wyznała z zażenowaniem. — Jestem raczej mało urodziwą przedstawicielką mojej rodziny. Wszyscy inni są tak piękni, że... że życie z nimi to jak życie pomiędzy Sokolimi Braćmi. Jeśli jakikolwiek młody mężczyzna zwróci na mnie uwagę, to tylko ze względu na moje pochodzenie, przynajmniej mnie się tak wydaje. Zresztą czasem okazywało się to prawdą. Dlatego staram się trzymać ich wszystkich na dystans.

— Mogę to zrozumieć — powiedział po chwili. Głośny oddech Gweny i skrzypienie śniegu pod jej kopytami wypełniały półmrok lasu i wytyczały granice ich małego światka. — Ale ci młodzi mężczyźni zaślepieni twoim pochodzeniem byli głupcami, Elspeth. Nie dostrzegli spokojnego piękna ukrytego pod pozorami przeciętności. Albo... — Raczej wyczuła, niż zobaczyła jego grymas za plecami. — Albo może oślepił ich twój biały strój.

Jęknęła. — I ty spiskujesz przeciwko mojej Bieli! — nakrzyczała na niego.

— Tylko troszkę. — Elspeth czekała na ciąg dalszy. — Przyznaję, kazałem Lurstenowi zadbać o twoją garderobę.

Zaśmiała się. Jechali dalej w milczeniu, aż zmierzch przeszedł w prawdziwą noc, a powietrze jeszcze bardziej się ochłodziło. Vree wrócił i usiadł na dłoni maga, zanim zrobiło się zbyt ciemno, by mógł latać. Mroczny Wiatr trzymał ptaka między sobą a Elspeth, grzejąc go ciepłem ludzkich ciał — czego nie ścierpiałby żaden ze znanych Elspeth ptaków.

Zgodnie z obietnicą Gweny, dotarli do Doliny akurat w chwili, gdy ostatnie przebłyski światła znikwały po zachodniej stronie nieba. Mroczny Wiatr zsunął się z końskiego grzbietu zaraz po przekroczeniu wejścia. Vree ciągle siedział na jego ręce.

— Idę spać — powiedział z uśmiechem mag. — Ale przedtem... Nie zrozum mnie źle, Skrzydlata Siostrze, raczej uznaj to, co powiem, za komplement. Odkąd się poznaliśmy, chciałem ci ofiarować pióro, bo uważam cię za bardzo atrakcyjną kobietę, a najbardziej lubię, gdy się uśmiechasz, a nie złowrogo marszczysz.

Zaskoczył ją. Po chwili jednak odwzajemniła jego uśmiech. — Dziękuję — powiedziała po prostu; słowom towarzyszył rumieniec. — I... Mroczny Wietrze, gdybym nie była tak bardzo zmęczona... wiem, to brzmi jak wymówka, ale...

— Ale, niestety, to prawda. Elspeth, nawet gdybyś ty nie była zmęczona, ja najpewniej padłbym po drodze do domu. Przyjmijmy więc, że to prawda, a nie wymówka, dobrze?

Poczuła ciepło w sercu. „To chyba rozsądne” — zgodziła się z nim.

Ja również uważam, że oboje powinniście wypocząć — przypomniała o sobie łagodnie Gwena.

— Dobrze, mameczko — powiedział rozbawiony jej troskliwością Mroczny Wiatr. — Już idziemy. Jutro będziemy sobie radzić z istotami zwabionymi przez naszą magię. Musimy nabrać sił.

Elsbeth czuła, że nie powinna czuć się rozczarowana. Mimo wszystko nie. Jednak na pewno to nie wystarczy.

Zsiadła z konia i podszedłszy do mężczyzny, objęła go w pasie. Spojrzała w górę, prosto w jego przejrzyste oczy. Mroczny Wiatr odsunął rękę, na której trzymał ptaka, jakby zapraszał ją bliżej. Uśmiechnęła się. Czuła cichą aprobatę Gwenty. Podniosła rękę i pogładziła włosy na jego skroni. W tej chwili Vree rozwinął skrzydła i odleciał. Mroczny Wiatr pochylił głowę — akurat tyle, aby ją pocałować. Otaczały ich światła i ciepło Doliny.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Mroczny Wiatr obudził się, poczuwszy dotyk malutkiej, chłodnej dłoni. Podniósł głowę z poduszki i zamrugał, żeby lepiej widzieć.

Wciąż panowała ciemność.

Mroczny Wietrze — mówił hertasi — *mamy kłopoty*.

Rozpoznał myślmowę Surasa, jednego z trzech hertasi, którzy przyglęli do niego po jego powrocie do Doliny. To była jedna z właściwości tego jaszczurko-podobnego ludku: sami decydowali, komu chcą służyć — i od razu wprowadzali swoje postanowienie w czyn. Jednego dnia Mroczny Wiatr nie miał czasu posprzątać, daremnie próbował pogodzić gotowanie i pranie z rozlicznymi zajęciami maga. Nazajutrz, bez żadnego uprzedzenia, po powrocie do czystego, wysprzątanego domu zastał gorący posiłek na stole i uprane ubrania.

Powrót do Doliny miał swoje ujemne i dodatnie strony. Do pierwszych z pewnością zaliczała się o wiele mniejsza swoboda. Z drugiej jednak strony, dzięki hertasi łatwiej go było znaleźć w razie potrzeby, co pozbawiło go już możliwości odespania kilku nocy spędzonych na wykonywaniu obowiązków maga.

Suras pociągnął go za rękaw. — *Kłopoty. Potrzebują cię* — rzekł.

— Co znów? — wymamrotał w poduszkę z nieśmiałą nadzieją, że uda się wysłać kogoś innego w zastępstwie.

Z magią — rzekł lakonicznie Suras. Jego ton mówił sam za siebie. Mroczny Wiatr nie wywinie się. — *Magiczna bariera między Doliną a ruinami*.

Teraz już wszelkie wątpliwości znikły: uporanie się z tym należało do niego, Gweny i Elspeth. Oni sprowokowali napastników. — W porządku, już idę — odrzekł mu.

Suras zapalił latarnię i zniknął. Mroczny Wiatr przetarł powieki, niechętnie je otworzył i zwlókł się z łóżka.

Vree też się obudził i ziewnął szeroko. — *Już wstajesz? Miałeś się wyspać* — pytał zdziwiony.

Mag także ziewnął. — *Obaj wstajemy, mój drogi* — powiedział. — *Tylko ja pierwszy. Pójdę przodem i w razie czego cię wezwę.*

Ty wstajesz, ja śpię. W porządku.

Ptaka znów schował głowę w pióra. Mroczny Wiatr macał na oślep w poszu-

kiwaniu ubrania. Suras powinien położyć je obok łóżka. „Nie mogę twierdzić, że jestem zaskoczony” — pomyślał pośepnie. „Jednak wolałbym, żeby zaczęło się o świcie. Może trzeba było zostać u gryfów?”

Wiedział doskonale, iż stworzenie czaru o takiej koncentracji mocy przyciągnie różne istoty. W Pelagirze żyło ich zbyt wiele, by wykształcony mag miał nadzieję, że jego działania przejdą niezauważone. Aż dziwne, ile energii zmieściło się w takim małym posłańcu. Małym — co nie oznacza zwyczajnym. Wzbogacili ptaszka zaklęciami szybkości, wytrwałości i dodatkową energią zastępującą pożywienie. Do tego dodali czary przenoszące wiadomość i następne, potrzebne do odnalezienia adresata. . . „Zrobiliśmy, co w naszej mocy, aby go ochronić — dostał wszystko, co zostało po utkaniu czaru. Nie mogliśmy dać mu więcej. Ktoś jednak nas zauważył. Właściwie od czasów bazyliuszka w okolicy nie pojawił się nikt naprawdę groźny. Jeśli szczęście nam dopisze, pokonamy intruza, to znaczy odstraszymy, zamiast zabijać” — myślał.

Ubrał się starannie, wiedząc, co znaczy spędzenie całego dnia na zimnie; owinał szyję i stawy ochraniaczami z bawełny. Gdy schodził na ziemię, nie zauważył oznak bliskiego świtu. Czeka ich naprawdę długi dzień.

Dyheli przybiegł, gdy walczyli z parą lodelli; starszy szybciej dał się odgonić i uciekł z podwiniętym pod siebie ogonem. Młodszy był mniej rozsądny lub odważniejszy — musieli użyć magicznych uderzeń, zanim i on wreszcie poddał się i odszedł.

Mroczny Wiatr zamachał ręką do partnerów. Gwena i Elspeth zbliżyły się do niego akurat w chwili, gdy dyheli zarył kopytami tuż przed nim.

— Co teraz? — spytała Elspeth, opierając się o szyję Gweny; zaraz jednak przesunęła się do tyłu, aby uniknąć pary wydostającej się z nozdrzy Towarzyszki. Nie spędziła wiele czasu w siodle; Gwena przydała im się bardziej jako pomocnik w wypędzaniu nieproszonych gości niż jako wierzchowiec. Nie tylko z powodu znacznych rozmiarów, ale i dlatego, że wydała się stwarzać szczególne poczucie obecności mocy, zniechęcające mniej inteligentne stworzenia.

Na razie kłopoty stwarzały im tylko skubacze — istoty nie wyrządzające właściwie szkody, lecz nie dopuszczane w pobliże osad. Trafiło się też kilka bardziej złośliwych bestii — z tymi poradziło sobie dzięki pomocy gryfów. Stwory pozbawione magii Zmory Sokołów dawały się znacznie łatwiej pokonać.

Gryfy zabrały się za pierwszy poważniejszy problem: pół tuzina gandeli, które próbowały przedrzeć się do ruin. Jednak, pozbawione pomocy swojego pana, gandle nie wytrzymały długo. Widok pazurów Hydony i Treyvana przekonał je, że im dalej od ruin, tym bezpieczniej. W ten sposób ustaliła się metoda postępowania: raczej odstraszać niż dać się wciągnąć w walkę. Bardzo pomocne okazały się iluzje: za gandelami Elspeth i Mroczny Wiatr wystali kilka wilkołaków i obraz

drugiej, jeszcze większej grupy nadciągającej z przeciwka. Jednak iluzje wyczerpywały bardziej niż sama walka. Po całym dniu ich stosowania mogły ogłuszyć nawet najsprawniejszego maga. „Z drugiej strony rzucanie iluzji nie grozi ranami, pogryzieniem, wzięciem na rogi albo jeszcze czymś gorszym. Vree powiedziała, że tak jest w porządku” — myślał Mroczny Wiatr.

Było to też zabawne — gdy Mroczny Wiatr i Elspeth zaczęli się prześcigać w wymyślaniu najdziwniejszych zjaw. Elspeth wygrała, wyczarowując olbrzymie gliniane naczynia i wpychając je na głowy atakujących; dodatkowo posłała im pył z polnych kwiatów. Oboje mimo zagrożenia zaczęli się śmiać.

Na razie mieli niesamowite szczęście. Odstraszyli wszystkich intruzów wyłącznie iluzjami, wzmocnionymi w jednym czy dwóch przypadkach odrobiną siły magicznej. Czy teraz dobry los się odwróci?

Wzywają was do ruin — powiedział dyheli, zanim Mroczny Wiatr zdążył zadać pytanie. — *Gryfy mówią, że przysłała do was wiadomość. Na wasze miejsce przyjdzie zaraz trzech magów z Doliny.*

Mroczny Wiatr oparł się z ulgą o drzewo. Zupełnie zapomniał, że ktoś mógłby przejąć ich obowiązki.

— O co chodzi? — spytała Elspeth. — Kogo mamy teraz ratować?

— Nikogo — odrzekł, jednocześnie dziękując w myśl-mowie jeleniowi. — Możesz wierzyć albo nie, nikogo. Nadeszła odpowiedź na nasze wezwanie. Dotarła do ruin, bo stamtąd ją wysłaliśmy. Skierowano ją najwidoczniej do nas, gdyż nikt inny nie mógł jej otworzyć.

Coś w rodzaju wiadomości do rąk własnych? Też byśmy taką wysłali, gdyby się dało — powiedziała Gwena, której ciekawość wzięła górę nad zmęczeniem. — *Ale przecież nie minęły nawet dwa dni. Nie sądziłam, że te maluchy latają tak szybko i tak daleko!*

— Miałem nadzieję, że ptak trafi na dobre prądy nad chmurami — przyznał Mroczny Wiatr. — Także nasze czary wzmacniające stworzyły sporą różnicę. Gdy już k'Treva odebrali przesyłkę, pośpieszyli się z odpowiedzią. Mieli ułatwione zadanie; wiedzieli do kogo i gdzie ją skierować. Zajmuje to tylko trochę więcej czasu niż bezpośrednia myśl-mowa.

— Ptak dotarł na miejsce pewnie akurat w chwili, gdy zmagaliśmy się z wilkami. — stwierdziła w zamyśleniu Elspeth. — To niemal nieprawdopodobne, ale skoro jastrząb może zostać uniesiony na setki staj przez prądy powietrzne, dlaczego i inne ptaki nie mogłyby w ten sposób podróżować? — Wyprostowała się i rozejrzała wokół. — Musimy iść pieszo — zawiadomiła. — Gwena nie jest w stanie nas nieść.

Schyliła się, zebrała w garść trochę śniegu i natarła nim czoło Towarzyski, mimo jej gorących protestów. Jednak Mroczny Wiatr wiedział, że Elspeth miała słuszość. Gwena nie snuła czarów, ale służyła im obojgu swoją energią oraz odstraszała co tchórzliwszych intruzów. Wyczerpała swoje siły tak jak oni.

— Jasne — rzekł. — To niedaleko. — Znalazł właściwy kierunek, rozpoznając zarośla iglaków, dęb, grupę wierzb i charakterystyczne ustawienie skał. — Poruszaliśmy się po okręgu. Nie odeszliśmy dalej niż dwanaście staj od ruin.

— To na co czekamy? — spytała Elspeth.

— Aż złapię oddech. Nie mam już twoich niespożytych sił i tylu lat co ty.

Zaśmiała się. Mroczny Wiatr zamknął oczy, zebrał resztki energii i stanął prosto.

Nowinę przyniósł ognik tańczący w powietrzu nad ruinami. Rozjaśnił się, gdy weszli do budynku. W chwili gdy stanęli na miejscu — Mroczny Wiatr na wschód od ogniska energii, Elspeth obok niego — płomyczek rozjarzył się jeszcze bardziej. Po chwili zaś rozwinął się — to było najlepsze określenie, jakie przyszło Mrocznemu Wiatrowi na myśl. W dół spłynęło pasmo światła; dotknęło ziemi, rozszerzyło się, aż w końcu uformowało zwierciadło, zawieszony w powietrzu między nimi.

Przez chwilę Mroczny Wiatr widział tylko własne odbicie. Potem tafla lustra zszarzała, ściemniała do błękitu — i wyjrzała z niej twarz kogoś z klanu Tayledras, prawdopodobnie w wieku jego ojca. Niemal zapomnieli, że to tylko wytwór iluzji, z którym nie da się rozmawiać. Iluzja była tak doskonała, że z wysiłkiem powstrzymali się od przywitania nieznanego.

K'Treva usłyszeli o kłopotach k'Sheyna — dotarła do nich jego myślmowa. — Martwimy się waszą sytuacją, ale też cieszymy się, że wreszcie wezwaliście pomoc. Baliśmy się o was, lecz nie mogliśmy sami mieszać się w wasze sprawy. Nie chcemy wystąpić w roli intruzów, nawet w najlepszych intencjach.

Mroczny Wiatr przytaknął. To miało sens. Żaden klan nie wtrącał się w wewnętrzne sprawy sąsiadów, o ile nie stało się coś naprawdę groźnego.

Mamy kogoś, kto chyba jest w stanie wam pomóc — ciągnął gość. — Adept-uzdrowiciel, potężny i doskonały w swojej sztuce, a przy tym jeden z najbardziej twórczych w tym klanie. — Nieznajomy uśmiechnął się. — Może moje słowa wydadzą się wam przesadą, ale, jak powiadają Shin'a'in, nie ma pochwały tam, gdzie mówią fakty. Zbuduję dla niego Bramę wychodzącą na miejsce, które znam, w pobliżu waszej Doliny, mam nadzieję, w wystarczająco dużej odległości od kamienia. Droga stamtąd do samej Doliny powinna mu zająć około pół dnia, a na pewno nie więcej niż dzień. Oczekujcie go w tym czasie, w którym poczujecie poruszenie Bramy. Jeśli Śpiew Ognia wam nie pomoże, nikt inny tego nie zrobi. Bądźcie dobrej myśli, bracia.

Po tych słowach lustro rozjarzyło się jeszcze jednym, krótkim błyskiem i rozwiało. Mroczny Wiatr spojrział na Elspeth. Ledwie śmiał wierzyć w taki uśmiech losu.

— Wyglądasz jak ogłuszony ptak — zauważyła.

— I tak się czuję — przyznał. — To niewiarygodne.

— Muszę ci coś powiedzieć — wyznała. — Cały czas czekałam na uderzenie piorunu. Nigdy nie myślałam, że znajdziemy kogoś wystarczająco potężnego i chętnego do pomocy już w pierwszym napotkanym klanie. Zwłaszcza po tym, co kamień uczynił z naszymi magami.

— Ja też tego nie oczekiwałem — rzekł. — Myślałem, że nawet jeśli znajdziemy uzdrowiciela u k'Treva, będziemy musieli go długo namawiać, by do nas przyjechał. A potem musielibyśmy przekonać jego klan, by pozwolił mu odejść i narażać się na niebezpieczeństwo. Okazuje się, że oni byli już przekonani o konieczności pomocy i tylko czekali na nasze wezwanie.

Elsbeth przeszła przez pokój i stanęła obok Mrocznego Wiatru. — Czy źle zrozumiałam, czy też on dał do zrozumienia, że był już tutaj po uszkodzeniu kamienia i że martwi się o was? — spytała.

Mroczny Wiatr zmieszał się, jednak nie próbował tego ukryć. Nie musiał już kryć przed Elspeth swoich odczuć. — Zgadłś — przyznał jej rację. Właśnie to dał do zrozumienia.

Wspomnienia, choć przytłumione przez czas, wciąż sprawiały mu ból. To była prawdziwa męka dla serca, ciała i umysłu. Zamazane postacie obcych ludzi obok łóżka... Lęk, nie pozwalający odpowiadać przytomnie na pytania, nawet najłagodniejsze... I głos ojca, każący zostawić chłopca w spokoju...

— Zaraz po pęknięciu kamienia powiedziano mi, że k'Treva wysłali magów do pomocy i wyjaśnienia przyczyny zakłóceń. Byłem wtedy jeszcze w szoku, ranny — prawie nic nie pamiętam. Ale oni odeszli. Pomogli jedynie uzdrowić najciężej rannych. Przypuszczam, że ojciec ich odesłał najszybciej, jak mógł.

— Jeśli miał zamiar zatuszować sprawę, to z pewnością nie poradził sobie tak dobrze, jak myślał — odparła sucho. — Skoro nawet po tak długim czasie k'Treva nie pozbyli się podejrzeń.

— Albo zdołał przekazać im tyle, by wzbudzić w nich wątpliwości, chociaż wtedy znajdował się pod silnym wpływem wroga. Może nie chciał tak bardzo wszystkiego tuszować... — Brzmiało to tym bardziej prawdopodobnie, gdy pomyślał o tym, czego dokonał jego ojciec. Choćby próba ocalenia własnego syna przez wysłanie go poza Dolinę...

Elsbeth potrząsnęła głową. — Czasem się zastanawiam, czy w ogóle zdajesz sobie sprawę, jak potężny jest twój ojciec — rzekła. Gdy pomyśle, ile musiały go kosztować wszystkie te próby... Mnie nie udało się dokonać nawet połowy tego, co zrobił on. Obchodzenie rozkazów Zmory Sokołów też wymagało sprytu. Gwiazdne Ostrze to silny człowiek.

— To krucha siła — odparł ze smutkiem Mroczny Wiatr. — I tak jak zbyt często zginany metal może się złamać przy następnej próbie. — Pokręcił głową. — Ale te smutne myśli nie pasują do dzisiejszego radosnego dnia. Kto wie, może zdołamy przyspieszyć uzdrowienie ojca...

— Może.

Mrocznemu Wiatrowi wydawało się, że Elspeth porusza się teraz bardziej energicznie; sam też poczuł się raźniej, jakby zdjęto mu z ramion zbyt wielki ciężar. K'Sheyna otrzymają pomoc, której tak bardzo potrzebowali. Niedługo skończy się koszmar.

Nie chciał wybiegać myślą zbyt daleko. Później będzie wystarczająco dużo czasu na planowanie przyszłości. Najpierw trzeba się uporać z kamieniem; gdy to się uda, będzie martwił się o to, co dalej.

Zatrzymał się przy domu gryfów i przekazał im dobrą nowinę. Potem poszli we trójkę przez śnieg do Doliny. Był to zupełnie inny powrót niż poprzedniego dnia. Zaczęli już wydeptywać ścieżkę do ruin. Kilka miesięcy temu starałby się to ukryć. Teraz już nie musiał zacierać śladów. Odetchnął z ulgą; napięte dotąd mięśnie zaczęły się rozluźniać. Wkrótce ta ziemia stanie się znów prawdziwym domem Tayledras, a różnego rodzaju kreatury nie przekroczą jej granic.

„*Na pomoc!*” — rozległo się nagle.

Aż go podrzuciło. Wołanie dotarło tylko do niego. Vree! Zamarł w miejscu i pobiegł myślą do swojego ptaka, obawiając się najgorszego. Czyżby znów Jutrzenka i jej rudzielec? Elspeth i Gwena wpatrywały się w niego przez chwilę nie dłuższą niż uderzenie serca, potem przyjęły postawę obronną. Przygotował się na przerwanie połączenia z Vree w razie niebezpieczeństwa. . .

A jednak Mroczny Wiatr nie odczuł bólu i bezpośredniego zagrożenia. Vree ponownie przestał sygnal; był zdenerwowany, ale nie ranny. Jednak komuś groziło niebezpieczeństwo.

„*Na pomoc! Tutaj! Patrz! Patrz!*” — wołał go znów Vree. Tym razem pozwolił mu spojrzeć swoimi oczami. W pierwszej chwili mag nie mógł się zorientować, co widzi, bo ptak krążył i zmieniał wysokość. Trwało to jednak krótko, bo Mroczny Wiatr był przyzwyczajony do patrzenia oczami ptaka. Natychmiast rozpoznał miejsce: skraj bagna; jednak człowiek, który wywołał takie wzburzenie Vree, był obcy. Mężczyzna zakładał właśnie coś, co mogło być tylko sidłami na hertasi. Gdy Vree zawrócił, obraz się zamazał. Mroczny Wiatr czuł w głębi mózgu zdenerwowanie ptaka. Zaciśnął pięści. Wreszcie za następnym zakrętem dojrzał przyczynę gniewu Vree.

Nieznamy miał trzy juczne muły; na ostatnim siedział jastrząb — duży, związany i zakapturzony. Z tego, co mógł dojrzeć, Mroczny Wiatr wywnioskował, że to orłosep — i to spokrewniony z ptakami z Doliny.

Mroczny Wiatr nie miał pojęcia, że biegnie, dopóki nie zobaczył Elspeth kłusującej obok na Gwennie. Dziewczyna podała mu rękę; chwycił ją i wskoczył na siodło za nią. Nie przypominało to poprzedniej dzikiej gonitwy, bo Gwena nie mogła galopować w głębokim śniegu. Posuwała się do przodu skokami; tym trudniejsze stawało się utrzymanie się na jej grzbiecie.

Mężczyzna usłyszał ich, bo nie starali się zachować ciszy. Jednak nie wiedział

o dwóch ważnych rzeczach.

Po pierwsze: znajdował się bliżej wioski hertasi, niż sądził. I choć hertasi nie lubili zimna, to w razie potrzeby potrafili zdobyć się na wysiłek, zwłaszcza gdy rozgrzewał ich gniew. Wtedy stawali się równie zwinni, jak podczas letnich upałów. Poza tym, mogli się ciepło ubrać.

A po drugie: choć mężczyzna — mag, jak już wiedzieli — otoczył swojego więźnia barierą, uniemożliwiając mu porozumienie z kimkolwiek, to Vree miał całkowitą swobodę działania. Dzięki temu Mroczny Wiatr mógł ocenić sytuację i ułożyć plan uwolnienia więźnia. Choć w posługiwaniu się myślomową zwierząt nie dorównywał swemu bratu, jednak uchodził za jednego z najlepszych specjalistów w klanie.

Podczas gdy Vree wzywał krewniaków, mag zajął się zaalarmowaniem wioski hertasi, poczynając od starej Nery. Zaatakowali w najlepszym momencie, z trzech stron jednocześnie. Jeśli mag — bo na pewno był to mag, gdyż miał w pogotowiu magiczne światło i zapalił je, gdy wynurzyli się zza pagórka i zjeżdżali w jego kierunku — miałby przeciw sobie tylko Elspeth i Mroczny Wiatr, mógłby wygrać. Oboje byli już zmęczeni, a on dysponował pełnią sił. Gdyby miał się zmierzyć tylko z hertasi, też miałby szansę uciec z łupem. Udowodnił już, że potrafi ściągać do siebie myślą ptaki. Nie wiedział jednak nic o pościgu hertasi. Zorientował się dopiero poniewczasie.

Mroczny Wiatr otoczył całą trójkę barierą ochronną, by osłabić pierwsze uderzenie. Drugie udaremnił Vree, wpadając prosto na obcego maga — rozdarł mu kaptur i minął czaszkę o milimetry. Za Vree nadleciał inny ptak, potem jeszcze jeden i jeszcze — wszystkie atakowały głowę i twarz mężczyzny długimi, ostrymi pazurami. Uderzały, by zranić, a nie tylko odwrócić uwagę; rzuciły się na niego jak na kaczkę. Mężczyzna wrzasnął z bólu, gdy pazury rozorały mu głowę; zachwiał się pod uderzeniami skrzydeł, wystarczających do pozbawienia go przytomności. Próbował zasłonić się rękami; widocznie, jak większość magów z Pelagiru, miał poważne luki w wykształceniu. Chyba nie umiał wytworzyć żadnej fizycznej osłony.

Ptaki wzbiły się znów w niebo. Mężczyzna stał, przyciskając dłonią krwawiącą ranę na głowie. Spoza niego, z półzamarzniętych bagien, wynurzył się nagle gąszcz włóczni. Wtedy uderzył Mroczny Wiatr; zza pleców Elspeth wyciągnął dłonie zaciśnięte w pięści. Szare i zielone pasma zakłęcia związującego unieruchomiły na chwilę maga i jego czary. Potrzebowali właśnie tej chwili — reszta należała do hertasi.

Zaroili się wokół maga, zasypując go deszczem włóczni z uwiązаныmi linkami. Mężczyzna próbował biec, ale poślizgnął się i upadł w śnieg. Próbował się jeszcze podnieść, ale po raz ostatni. Upadł; pokrył go tłum hertasi. Po chwili mag już nie żył. Wyglądał jak jeź, tak był naszpikowany włóczniami.

Gwena poślizgnęła się, hamując w śniegu przy przyglądających się walce z zu-

pełną obojętnością mułach. Mroczny Wiatr zsunął się z siodła i podbiegł do ostatniego ze zwierząt; do jego grzbietu, pomiędzy jukami i mnóstwem pakunków, przywiązano ptaka — jak jeszcze jeden tobołek. Więzień miał związane nogi, a skrzydła przymocowane do tułowia, by się sam nie skaleczył; głowę zasłaniał mu kaptur — nic nie widział i nie mógł walczyć. Kaptur łączyła ze związanymi nogami cienka linka, uniemożliwiająca jakiegokolwiek poruszenie; z linki zwisał wisiorek.

Mroczny Wiatr dotknął rękami więzów i poczuł coś podobnego do wyniszczającego działania kamienia, promieniującego z wisiorka na całość pęt. Odsunął się i jeszcze raz obejrzał ptaka, tym razem używając magicznego wzroku — i zaklął. Nic dziwnego, że nie słyszał wołania ptaka; był on związany równie mocno magią, jak i sznurem; a magia ta kierowała jego umysłem. Porywacz mógł mieć tylko jeden cel.

Elsbeth zagryzła wargi i również spojrzała na sznury. Spoważniała, jakby odkryła coś bardzo niedobrego.

— Chciał go użyć jako ofiary, prawda? — powiedziała głosem zduszonym z gniewu. — To nie wszystko, Mroczny Wietrze; on cierpi. Został ranny, gdy go tamten schwytał.

Szybciej to zauważyła niż on; choć nie mogła porozumieć się z ptakiem, wyczuła jego ból. Mroczny Wiatr ucieszył się, że nie dotknął więźnia — mógłby tylko przysporzyć mu niepotrzebnego cierpienia.

Najpierw trzeba rozwiązać magiczne więzy i uwolnić umysł jeńca, by mógł usłyszeć ich myślmowę. Jeśli tego nie zrobią, ptak weźmie ich za wrogów i zacznie walczyć.

Porywacz był magiem, ale nie adeptem. Mroczny Wiatr rozerwał magiczne supły jednym mocnym szarpnięciem, ale sznur zostawił na miejscu. Ostrożnie usunął wisiorek. Ptak był w szoku, ale przytomny. Mroczny Wiatr mógł dostać się do jego umysłu, przemówić i mieć nadzieję, że ten mu logicznie odpowie.

Wysłał sygnał — ostrożnie, delikatnie, ale pewnie. — *Przyjaciel* — rzekł uspokajająco.

Ptak podrzucił głową i szarpnął się. — *Nie!* — krzyknął.

Przyjaciel — powtórzył Mroczny Wiatr, przesyłając więźniowi obraz jego prześladowcy leżącego w śniegu we krwi. — *Wróg nie żyje.*

Ptak szarpał się jeszcze przez chwilę i zamilkł. Znów podniósł głowę, tym razem powoli — już nie ze strachem, ale z namysłem. Przez chwilę rozważał słowa Mrocznego Wiatru i obraz, który mu pokazano. — *Widzieć!* — zażądał.

— Mam zamiar zdjąć mu kaptur — ostrzegł Mroczny Wiatr. Hertasi odstepili do tyłu, ale Elspeth i Gwena nie ruszyły się z miejsca. — Nie wiem, co się stanie. Na razie zachowuje się rozsądnie, lecz kto wie, co w niego wstąpi, gdy odzyska wzrok.

Elspeth wyciągnęła przed siebie ręce w rękawicach. — Będziesz potrzebował pomocy w rozwiązaniu supłów — rzekła.

— Pamiętaj, że ostrzegałem. . .

Nawet najinteligentniejsze ptaki z Doliny pozostały drapieżnikami; w szoku i ranne mogły być nieobliczalne. Zdarzało się to nawet Vree, choć Mroczny Wiatr znał go od pisklęcia. Ten zaś ptak nie miał nigdy ludzkiego przyjaciela. Jednak Elspeth miała słuszość; przyda mu się pomoc. Poza tym — im szybciej rozwiążą ptaka, tym bardziej prawdopodobne będzie nawiązanie z nim przyjacielskich kontaktów.

Kaptur był przeznaczony dla myszołowa; był za mały, niewygodny, uniemożliwiający więźniowi jedzenie. Mroczny Wiatr wąpił jednak, by porywacz zamierzał karmić swą ofiarę. Wziął koniec sznurka w zęby, drugi koniec w rękę i pociągnął, zsuwając drugą ręką kaptur.

Oślepiiony ptak mrugał przez chwilę, strosząc w obronie pióra na głowie; jego źrenice zwiężyły się do wielkości łebka od szpilki. Potem odwrócił głowę i zobaczył to, co Mroczny Wiatr pokazał mu wcześniej: swojego prześladowcę w kałuży krwi. Zasyczał gniewnie, ale z satysfakcją, a potem zwrócił zadziwiająco inteligentne spojrzenie na wybawcę.

Rozwiąż! — rozkazał, napinając skrzydła tak, że nie było wątpliwości, o co mu chodzi. — *Rozwiąż!*

Wydawał się spokojny.

Najpierw uwolnię ci nogi — zaproponował Mroczny Wiatr. — *Będziesz mógł stać, a wtedy rozwiążę cię do końca.*

Jeszcze raz ptak rozważył jego słowa. Mroczny Wiatr zdumiał się jego zdolnościami; nawet Vree rzadko myślał nad tym, co od niego słyszał.

Dobrze — rzekł krótko i zaprzestał prób uwolnienia się. Pozwolił, by Elspeth go przytrzymała, podczas gdy Mroczny Wiatr rozwiązał szmaty i sznurki krępujące stopy i pazury. Gdy wreszcie skończyli, Elspeth postawiła ptaka na siodle. Pazury kurczowo zacisnęły się na skórze; zakołysał się kilka razy, by upewnić się, że złapał równowagę. Cierpliwie przeczekał odwijanie gałganów ze związanych skrzydeł, chwilami tylko wbijając pazury głębiej w siodło. Każdy pazur miał długość palca człowieka i z łatwością rozerwałby kręgosłup jelenia. Mroczny Wiatr zdziwił się brawurą nieznanego, nawet jeśli był to mag. Vree mógł zabić człowieka — zresztą raz już to zrobił. Ten ptak był dwa razy większy od Vree. Nie tylko mógłby zabić człowieka, ale byłoby to dla niego równie łatwe, jak dla Vree rozszarpanie królika. Gdyby nie to, że więzień był spokrewniony z ptakami z Doliny i gdyby nie posługiwał się myślumą z takim opanowaniem, zważywszy okoliczności — Mroczny Wiatr nie odważyłby się zdjąć mu kaptura. Równałoby się to samobójstwu. Nawet związany ptak ciągle był niebezpieczny — mógł użyć ostrego i silnego dzioba.

Gdy ostatnie sznury opadły, więzień rozpostarł wielkie, brązowe skrzydła na

pełną szerokość — ale jedno natychmiast opadło. Znow spróbował, ale nie mógł go podnieść. Po kilku nieudanych próbach złożył skrzydło i spojrzał wyczekująco na człowieka.

Boli. Skrzydło i pierś boli. Zraniłem się, kiedy upadłem.

Mroczny Wiatr zbadał go ostrożnie i odkrył złamany obojczyk. Na to istniało tylko jedno lekarstwo: odpoczynek i spokój, by kość mogła się zrosnąć. Leczenie może potrwać tygodnie, bo sztuka uzdrowicieli nie zawsze okazywała się równie skuteczna wobec zwierząt, jak wobec ludzi. Wielki orłosep może już nigdy nie będzie w stanie latać tak swobodnie i wysoko, jak przed wypadkiem. Zwłaszcza zimą będzie mu ciężko, gdy na mrozie rana znów zacznie boleć, a skrzydło sztywnieć. Jeśli zostanie na wolności — to może być dla niego tragedia. Jeśli jednak zamieszka w Dolinie, nie powinien mieć kłopotu ze zdobyciem pożywienia.

Ptak miał prawo sam dokonać wyboru, stanął przed alternatywą: wolność pełna niebezpieczeństw albo opieka ludzka i pozostanie w Dolinie. Mroczny Wiatr wyjaśnił mu to wszystko najprościej, jak umiał: jeśli przeniesie się do Doliny, czeka go przyjemne życie u boku Gwiazdnego Ostrza, który też jest ranny i potrzebuje pomocy...

Nie mylił się: ptak, oszołomiony bólem, wyraźnie się ożywił. — *Pokaż* — zażądał. Mroczny Wiatr ukazał mu swojego ojca takiego, jaki był teraz, a potem — maga z jego ukochanym ptakiem Karry. — *Tak...* — rzekł ptak z namysłem. — *Hmm...* — opuścił głowę, namyślając się. Po chwili jednak podniósł ją i spojrzał mężczyźnie prosto w oczy. — *Idę. Idziemy do niego. Do rannego, w ciepłe miejsce. Należymy: on do mnie, ja do niego. Potrzebuje go i on mnie.*

I choć Mroczny Wiatr, zgodnie z regułami, przedstawił mu drugą możliwość, ptak nie zastanawiał się nad nią ani chwili.

Idziemy — nalegał. Mroczny Wiatr chętnie się zgodził, z niemałym zresztą zdziwieniem. Nigdy się nie zdarzyło, by ptak mówił do niego tak bezpośrednio i tak wyraźnie okazał zdolność do abstrakcyjnego myślenia. Ptak był przekonany, że Gwiazdne Ostrze go potrzebuje — i odpowiedział na tę potrzebę.

Mroczny Wiatr słyszał o zdolności orłosepów do nawiązywania bardzo silnych więzów z innymi — czy to był ptak, czy człowiek. Zwykle polowały w grupach i dzieliły się zdobyczą, czego inne drapieżniki nigdy nie praktykowały. Jednak nikt z k'Sheyna nie posiadał takiego ptaka, a cała o nich wiedza opierała się na plotkach i domysłach. To właśnie go zastanawiało: skąd wziął się tutaj orłosep, skoro w tych okolicach nigdy ich nie było?

— Trochę was rozumiałam — powiedziała Elspeth, zdejmując z muła paczki, które miały stać się łupem hertasi. — Zdaje się, że chce z nami jechać?

— Na to wygląda — odparł Mroczny Wiatr, sani zdziwiony gotowością, z jaką ptak przystał na jego prośbę. Czyżby to była pułapka? '

Głupi — wtrącił się Vree siedzący na drzewie. — *Hyllarr idzie do Doliny. Dostaje dobre jedzenie, ciepły kąpiel, poluje wtedy, kiedy chce. Ma przyjaciela. Hyllarr*

chce przyjaciela, przyjaciela-w-myśli. Hyllarr lata, w zimie śnieg, w lecie burze, musi polować, znów się rani, samotnie umiera.

Mroczny Wiatr roześmiał się. Elspeth mu zawtórowała. Wyglądała na nieco zdziwioną faktem, że ona również usłyszała Vree.

— Ujęte w ten sposób wygląda to na najrozsądniejszą decyzję na świecie — przyznała. W jej oczach błyszczały wesołe ogniki. — Chodź! — Podała ptakowi ramię ubrane w skórę. — Potrzymam go, a ty usiądź w siodle. Potem ci go podam.

Hyllarr przyjrzał się jej ramieniu, potem twarzy — i z ostrożnością, która jednak nie ukryła faktu, że mógłby przebić jej rękę na wylot, przeszedł na nowe miejsce. Tam poczekał, aż Mroczny Wiatr usadowi się w siodle. Elspeth wstrzymała oddech, gdy ptak na jej ramieniu zakotłosał się nagle, usiłując utrzymać równowagę.

Nie było sensu zabierać reszty zwierząt. Zostawili im wolną rękę; gdyby poszły za nimi do Doliny, ktoś by się nimi zajął. Jeśli nie, czekała je wolność ze wszystkimi jej niebezpieczeństwami. Wybór należał do nich.

Elspeth starała się stać możliwie nieruchomo, choć Hyllarr ciążył jej na wyciągniętym ramieniu. Zanim jednak Mroczny Wiatr zdążył podać ptakowi swoją rękę, ten sam rozłożył skrzydła i przeskoczył na jego ramię. Mroczny Wiatr napiął mięśnie, oczekując zaciśnięcia się pazurów, ale Hyllarr przesunął się nieco, a potem powoli i delikatnie zamknął szpony. — *Boli?* — spytał, zaciskając uchwyt.

Nie... tak, teraz — ostrzegł mag, gdy pazury wbiły się w ubranie. Hyllarr rozluźnił uścisk na tyle, by nie przedziurawić skórzanej bluzy.

Dobrze — stwierdził ptak, wyraźnie zadowolony. — *Nie boli. Dobrze. Teraz prowadź do ciepłego schronienia.*

To był rozkaz. Mroczny Wiatr odwrócił się do Elspeth; w jej oczach dostrzegł wesołe isierki. Śmiała się, ale też była zdziwiona. — Słyszałam go! — zawołała. — Chyba nauczyłam się porozumiewać z ptakami. Zdaje się, że ich myślgłos jest o pół tonu wyższy niż ludzka myślmowa.

— Właśnie — odparł, równie jak ona zadowolony; z jej osiągnięcia. — Wspaniale! Słyszałaś więc, co mówił. Dostaliśmy rozkaz wymarszu. ’

Elspeth zmierzyła wzrokiem długie, ostre pazury, i zakrzywiony dziób. — Wiesz — rzekła — biorąc pod uwagę miejsce, które w tej chwili zajmuje, nie sprzeciwiałabym się jego rozkazom, gdybym była tobą.

— Nie mam zamiaru — zapewnił i pogonił muła; niechętnego marszowi w stronę Doliny. Elspeth i Gwena podążyły za nimi.

Mroczny Wiatr poprosił hertasi o znalezienie gałęzi na tyle długiej i grubej, by mógł ją trzymać opartą o ramię. W ten sposób Hyllarr zyskał podporę stabilniejszą niż ludzkie ciało, a ramię człowieka mogło odpocząć. Cieszył się, że znaleźli ptaka — a najlepsze, co mogli zrobić, to oddać go Gwiezdnemu Ostrzu. Już on będzie

wiedział, co robić.

Orłosep nastroszył się nieco, poczuwszy ciepło Doliny, i podniósł czub. Jechali powoli wprost do starego maga; Mroczny Wiatr zdecydował się na natychmiastową próbę. Pozostało mu tylko nakłonić ptaka do współpracy. Lekkim dotknięciem myśli, takim, jakiego używał w porozumiewaniu się z Vree, zwrócił na siebie jego uwagę.

? — Taką uzyskał odpowiedź. Hyllarr pozbył się już prawie całkowicie poprzedniego zdenerwowania.

Gwiazdne Ostrze jest ranny — zaczął Mroczny Wiatr. Miał nadzieję, że ptak zrozumie skomplikowaną treść, jaką chciał mu przekazać.

Ranny — zgodził się Hyllarr. I zamilkł.

Mroczny Wiatr uznał to za zachętę. — *Gwiazdne Ostrze jest dumny* — ciągnął dalej, przekazując Hyllarrowi obraz jego samego — rannego, lecz nie godzącego się ze słabością, za wszelką cenę próbującego latać.

Dumny — powtórzył znów ptak. — *Głupi. Jak nieopierzone piskłę. Za dużo chce sam.*

Właśnie! — krzyknął Mroczny Wiatr, zaskoczony pojętnością ptaka. Ale czekała go jeszcze większa niespodzianka. Nagle Hyllarr opuścił bezwładnie ranne skrzydło.

Boli — jęknął ptak. — *O, jak boli. Potrzebuję Gwiazdnego Ostrza! Niech wyleczy!* — Potem znów się wyprostował. W jego oczach zabłyśły wesole ogniki. — *Dobrze?* — spytał. — *Dobrze dla dumnego Gwiazdnego Ostrza?* Mroczny Wiatr miał ochotę wybuchnąć śmiechem zarówno na widok komedii odegranej tak zręcznie przez Hyllarra, jak i wyrazu twarzy Elspeth. Mag zrobił również zaskoczoną minę i zwrócił się do ptaka: — *Doskonale!*

Hyllarr urósł z dumy. — *Hyllarr udaje ranne piskłę, pochlebia Gwiazdnemu Ostrzu, dostaje dobre jedzenie, delikatne, smaczne jedzenie, Hyllarr wyzdrowieje. Wszystko dobrze* — powiedział.

A ty — rzekł Mroczny Wiatr, grożąc mu palcem — *musisz uważać, bo staniesz się zbyt gruby, by latać.*

Hyllarr powiódł wzrokiem za palcem i zamrugał z udawaną naiwnością. Wyraźnie było widać jego dobry nastrój. Z drugiej strony rozległ się wybuch śmiechu Elspeth.

— Nie waż się nas zdradzić! — ostrzegł Mroczny Wiatr. — Nie wiem, jakim cudem Hyllarr się tego domyślił, ale ojciec naprawdę go potrzebuje. Jego powrót do zdrowia może się dzięki Hyllarrowi bardzo przyspieszyć, o ile sami czegoś nie popsujemy.

Skinęła głową. Uśmiechnął się z wdzięcznością.

Gdy znaleźli się w zasięgu wzroku Gwiazdnego Ostrza wyglądającego ze swego ekele, Mroczny Wiatr przekazał sygnał Hyllarrowi, który natychmiast przyjął swoją pożałowania godną postawę, uzupełniając ją cichymi jękami. Cichymi —

a jednak stary mag je dosłyszał; ukazał się w drzwiach, oparty ciężko o futrynę, podtrzymywany przez Kethrę.

— Mroczny Wiatr? — odezwał się, spoglądając w dół w niezbyt wyraźnym świetle późnego popołudnia. — Co się... — Dostrzegł obcego ptaka i urwał.

Mroczny Wiatr pokrótce opowiedział ojcu historię Hyllarra. — Potrzebuje teraz spokoju i kogoś, kto się nim zaopiekuje. Bardzo cierpi. Nie mam czasu się nim zająć, a Kethra jest przecież uzdrowicielką. Pomyślałem, że mu pomoże — zakończył.

Hyllarr wybrał akurat ten moment, by podnieść głowę i spojrzeć prosto w oczy starszego mężczyzny. — *Boli* — jęknął. — *Booli!*

Mroczny Wiatr w najśmielszych przypuszczeniach nie spodziewał się takiej reakcji ojca; twarz Gwiezdnego Ostrza wyrażała osłupienie. Ale trwało to tylko chwilę. Natychmiast potem pojawiło się skupienie i ta pełna siły opiekuńczość, z jaką — nie mógł się mylić — Tayledras odnosili się tylko do swoich ptaków.

— Wnieś go na górę — polecił Gwiezdne Ostrze, cofając się do wnętrza ekele.

Mroczny Wiatr wdrapał się na górę, z ciężkim ptakiem na ramieniu, z trudem utrzymując równowagę na stromych stopniach. Jeśli Hyllarr będzie chciał się wydostać z ekele, zrobi to już o własnych siłach. Gwiezdne Ostrze jeszcze długo nie zdoła go unieść.

Przy drzwiach przywitała ich Kethra. Mroczny Wiatr sprężył się, czekając na wymówki, bo ojciec, zamiast leżeć, krzątał się po pokoju, szykując kąpiel dla nowego mieszkańca. Ale oczy uzdrowicielki błyszczały wesoło. — Czy on pozwoli się dotknąć? — spytała.

— Chyba tak — odrzekł Mroczny Wiatr. Kethra musnęła pióra ptaka.

— Znalazłeś dla ojca najlepsze lekarstwo — powiedziała cicho. — Będzie teraz myślał o kimś innym zamiast o sobie. Ten ptak był równie silny i dumny jak on i tak samo teraz potrzebuje pomocy. Dziękuję.

Mroczny Wiatr zarumienił się i podziękował bogom za panujący w ekele półmrok.

— Ptak ma pęknięty obojczyk, ke'chara — zawiadomiła Kethra Gwiezdne Ostrze, który układał w kącie poduszki i skrzynkę na piasek, przeznaczoną specjalnie dla ptaków. — Musi bardzo cierpieć. Jego wyleczenie będzie wymagać sporo czasu i wielu starań.

— Będzie latał — powiedział Gwiezdne Ostrze z odrobiną dawnej siły w głosie. — Przeprowadziłeś go we właściwe miejsce, synu.

Spojrzeli sobie w oczy. Mroczny Wiatr znów poczerwieniał, tym razem z radości. Jego ojciec uśmiechał się, zapominając o bólu i zmęczeniu. Serce młodego maga podskoczyło. To był znów jego ojciec!

Weszli hertasi, niosąc torby z piaskiem i żerdź tak długą, jak oni sami i niemal równie ciężką. Wysypali piasek do skrzynki i zawiesili nad nią żerdź. Kethra przyglądała się, kręcąc włosy na palcu.

Mroczny Wiatr umieścił Hyllarra na nowej żerdzi. Ptak znów odegrał swą rolę inwalidy, moszcząc się delikatnie na drewnianym drągu; uspokoił się, gdy poczuł się pewnie. Mroczny Wiatr odetchnął z ulgą i pomasaował sobie ramię, zmierzając do wyjścia. Kethra skinęła głową z aprobatą.

Gwiazdne Ostrze usiadł przy ptaku. Patrzył na niego z uwagą i troską, gładząc jego pióra; Hyllarr przypatrywał mu się z zaciekawieniem. Nić przyjaźni została zadziergnięta.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Elsbeth z Gwena czekały na dole.

— I co? — spytała niecierpliwie dziewczyna, gdy tylko Mroczny Wiatr zbliżył się na taką odległość, by mógł dosłyszeć jej szept.

— Działa — oznajmił radośnie mag. Pogratulowali sobie krótko i odeszli dalej, by Gwiazdne Ostrze nie mógł ich usłyszeć.

— Ojciec już wstał i krząta się wokół Hyllarra. Przypadli sobie do gustu. Nie wiem, czy zdają sobie z tego sprawę, ale są jedną z najlepiej dobranych par, jakie do tej pory widziałem.

— Czy Hyllarr całkiem wyzdrowieje?

Mroczny Wiatr wzruszył ramionami. — Wystarczy, jeśli pozbędzie się bólu — odrzekł. — Powrót do idealnej formy nie ma takiego znaczenia. Ojciec na pewno będzie o niego dbał, nawet gdyby Hyllarr nie odzyskał zdolności latania. Gwiazdne Ostrze nie jest zwiadowcą i nie musi mieć ptaka pomocnika. Jednak mimo wszystko myślę, że Hyllarr będzie zdolny do krótkich lotów.

Gwena skinęła głową. — *No tak* — włączyła się do rozmowy. — *Rany, które uniemożliwiłyby przeżycie ptakowi na wolności, w Dolinie nie mają znaczenia. Najważniejsze jest uśmierzenie bólu, a nie doskonałą formą.*

Mroczny Wiatr potwierdził to uśmiechem. — Pamiętam z dzieciństwa maga — rzekł — który miał kruka ze złamanym skrzydłem. Ptak nie mógł wcale latać i przemierzał Dolinę pieszo. W ostateczności Hyllarr może robić to samo. I na pewno będzie równie rozpieszczany przez swego przyjaciela, jak tamten ptak.

Wesoły obrazek — prychnęła Gwena. — *przodem Gwiazdne Ostrze, a za nim Hyllarr, też pieszo — albo, co bardziej prawdopodobne, niesiony przez hertasi. Cóż, jeśli wybierze piesze wędrówki, tusza mu nie grozi. Z pewnością twój ojciec nie jest jeszcze w stanie go nosić.*

— Dla mnie Hyllarr był zbyt ciężki, by go nosić przez cały dzień — przyznał Mroczny Wiatr. — Nie mam pojęcia, jak sobie radzą z orłami zwiadowcy. Ja miałem wrażenie, że mi ramię odpada.

— Najważniejszy jest Gwiazdne Ostrze, a Hyllarr chyba bardzo mu się przyda — podsumowała Elspeth.

Mroczny Wiatr przytaknął. Tymczasem żołądek przypomniał mu o opuszczo-

nym posiłku, którego pora dawno minęła. Najwyższy czas nadrobić stratę. Oboje nic nie jedli od rana — a właściwie cała trójka, bo Gwena przecież równie ciężko pracowała. Tyle, że Elspeth i Towarzyszka mogły nie czuć głodu, często się to zdarzało mniej doświadczonym magom — organizm nie przyzwyczajony do operowania dużą ilością magicznej energii nie upominał się o swoje prawa. Działała tu podobna zasada, jak w chwilach wielkiego strachu lub gniewu. Trwało to dopóty, dopóki mag nie nauczył się zwracać uwagi na potrzeby swojego organizmu, a organizm nie zaczął odróżniać własnej energii od magicznej.

— Nawet jeśli nie czujecie głodu, to na pewno jesteście głodne — powiedział Mroczny Wiatr. — Elspeth, ciebie ostrzegałem o skutkach manipulowania energią magiczną, ale dla Gweny to chyba całkiem nowe zjawisko.

Gwena zamyśliła się. — *Powinnam umierać z głodu* — rzekła — *Hmm... Pozwólcie, że się oddalę; poszukam hertasi i poproszę ich o porządną posiłek.* — Kiwnęła im głową i odeszła. Zostali sami.

— Jest mądra — stwierdził Mroczny Wiatr. — Wejdziemy jeszcze tylko do Lodowego Cienia, przekazemy mu nowinę, a potem zajmujemy się jedzeniem.

— Zdaje się, że przyzwyczałam się do magii, bo żołądek przyrósł mi do kręgosłupa. Chodźmy! — odparła wesoło.

Uzczęśliwili Lodowy Cień dobrymi wieściami od k'Treva i o ojcu Mrocznego Wiatru, i zostawili go snującego plany powiadomienia reszty magów, a sami poszli w kierunku wyjścia z Doliny.

Po drodze znajdowały się kuchnie, jednak oni wybrali ekele Mrocznego Wiatru. Cekał tam na nich ciepły posiłek. Szybkość przekazywania wiadomości u hertasi mogła zadziwić laika. Zastali na stole jarzyny na chrupko i kury, chleb, ser, owoce i gorące chava z bitą śmietaną na deser. Mroczny Wiatr uwielbiał chava — ciepły, słodki napój o pełnym, bogatym smaku. Czasem udawało mu się namówić hertasi, by upiekli do niego ciasteczka; takie połączenie mogło wprawić każdego łasucha w ekstazę.

Hertasi zastawili stół na dwie osoby. Mroczny Wiatr musiał przyznać, że mieli nosa. Zanim spotkał Elspeth, rzadko jadał samotnie. Jednak ten posiłek był wyraźnie przeznaczony dla kochanków. A hertasi doskonale wiedzieli, że odkąd zaczęli mu służyć, nie było w jego życiu nikogo. Czyżby w ten sposób chcieli mu w coś pomóc?

Z pewnością chava mogła przełamać pierwsze lody. Mogła też być niedwuznaczną przynętą. Mroczny Wiatr znał wielu ludzi zdolnych prawie do wszystkiego w zamian za chava.

Elspeth miała okazję spróbować tego napoju po raz pierwszy w życiu. W momencie, gdy dotknęła ustami kubka, na jej twarzy pojawił się wyraz błogości. A więc, przybyła następna wielbicielka chava. Wzięli kubki i przeszli w kąć pomieszczenia, zarzucony poduszkami i przeznaczony do odpoczynku.

— Wyglądasz jak Hyllarr, gdy ojciec zaczął go głaskać — stwierdził Mrocz-

ny Wiatr, chichocząc. — Masz tak samo przymknięte oczy i zaraz padniesz z zachwytu.

— Nic dziwnego — odparła, rozkładając się wygodnie na poduszkach. Ciągle trzymała w dłoni kubek, starając się nie uronić ani kropelki. — Do pełnego podobieństwa brakuje mi jeszcze dzioba, orlich oczu i piór.

Powiedziała to lekkim tonem, ale Mroczny Wiatr czuł, że ją dotknął. Tym samym tonem mówiła o mężczyznach przyciąganych przez jej pozycję, a nie nią samą.

— Dlaczego tak mówisz?

— Myślałam, że będziemy wobec siebie szczerzy. — potrząsnęła głową. — Wiesz dlaczego. Czy możesz uczciwie powiedzieć, że nie jestem brzydka? Albo przeciętna?

Przyjrzał się jej dokładnie: szczupła twarz o wyrazistych rysach, duże oczy, budowa ciała zdradzająca siłę i zręczność nie pasowały zupełnie do białego uniformu herolda, pozbawionego zupełnie ozdób — ani do stroju szarego zwiadowcy, który nosiła w Dolinie. Gęste, ciemne włosy widywał zawsze niedbale związane w węzeł na karku albo po prostu spięte w koński ogon.

— Uważam — zaczął po chwili — że sama się krzywdzisz źle dobranymi ubraniami. Ta Biel czyni cię bezbarwną. Wyglądasz w niej na osobę praktyczną, kompetentną i energiczną, ale surową.

— Czyli tak, jak mówiłam. Jestem brzydka. — Elspeth pochyliła nisko twarz nad kubkiem pełnym chawy. — Podobają mi się kolorowe stroje, które dostałam od hertasi, ale chyba nawet one niewiele pomogą.

— Nie — poprawił się. — Nie brzydka, tylko źle ubrana. Nawet ubiór zwiadowcy jest dla ciebie zbyt ubogi. Powinnaś przymierzyć kostium maga. Magowie nie muszą się przejmować tym, czy ubierają się praktycznie, bo na ogół nie przedzierają się przez krzaki, jak zwiadowcy.

Wiele kostiumów Tayledras pasowało tak na mężczyzn, jak i na kobiety, a Elspeth ze swoją szczupłą figurą mogłaby włożyć nawet jego własne stroje. Miał ich kilka, własnoręcznie zaprojektowanych i wykonanych dawno temu; nie zamierzał ich kiedykolwiek nosić. Gdy Pieśń Wiatru przedzierzgnął się w Mroczny Wiatr, a mag — w zwiadowcę, malownicze kostiumy powędrowały do schowka; w nowej sytuacji nie mogły się na nic przydać. Teraz zaś przywodziły tylko na myśl przykre wspomnienia i Mroczny Wiatr tym bardziej nie chciał ich wykorzystać. Nie miał nawet ochoty ich oglądać. Należały do innego człowieka, żyjącego w innych czasach. Ich wesołe barwy nie pasowały do gniewu i żalu, oddzielającego dwa etapy w jego życiu. Nie włożył ich nawet wtedy, gdy wrócił do Doliny i do magii, choć wyjął je z ukrycia, wiedziony przecuciem, że się przydadzą. Teraz leżały gdzieś w skrzyni, tu, w ekele, w którymś z wolnych pomieszczeń na górze. Mroczny Wiatr przyjrzał się uważnie Elspeth, wygrzebując z pamięci kolejne stroje i próbując je do niej dopasować.

„Najpierw rubinowa, jak ptak ognisty” — zdecydował. „Jeszcze jedwab koloru kości słoniowej, coś szafirowego albo szmaragdowego. Może także koszula w ciepłym brązie i beżowe bryczesy, chociaż nie, za jasne, rozmyją jej naturalny koloryt... Hmm... Powiniennem sprawdzić, co tam jeszcze zostało, połowy rzeczy już nie pamiętam”. — Poczekał chwilę — rzucił i zanim Elspeth zdobyła się na odpowiedź, pobiegł po schodach czy raczej drabinie, na górę ekele, do rupieciarni.

„Może jednak ta brązowa, ale z czarną koszulą o wysokim kołnierzu dla kontrastu...” — myślał wciąż.

Wrócił ze stosem ubrań: sukni, tunik, koszul, spodni, szali w stylu Shin’a’in, płaszczy i oponczy; wszystko to było w żywych, jasnych barwach — delikatne jedwabie, miękkie skóry przesycone zapachem cedru, z którego zrobiono skrzynie. Były tam lekkie stroje, dostosowane do ciepłego klimatu Doliny, ale też inne suknie magów, cięższe, przeznaczone do noszenia na zewnątrz — te zwykle nie odznaczały się taką ekstrawagancją i fantazją. Magowie Tayledras nie obnosili swoich dzieł po świecie, o ile nie mieli pewności, że znajdą widzów zdolnych docenić ich kunszt.

— Masz — powiedział Mroczny Wiatr, wybierając spośród ubrań krótką, rubinową tunikę i szarawary takie, jakie nosili Shin’a’in: szerokie jak spódnica, wiązane w kostce. Bluza miała szerokie rękawy, które powiewały za idącym, niczym skrzydła, miały wycięte w ząbki brzegi i asymetryczne zapięcie. — Włóż to, a ja znajdę coś na głowę.

Popatrzyła na niego, na stos odzieży i znów na niego, jakby zwariował. — Jednakże... — zaczęła.

— Zrób mi tę przyjemność. To moja sztuka. Już od dawna nie miałem dla niej czasu... Przebieraj się. Jeśli się mnie krępujesz, w kącie stoi parawan.

Mroczny Wiatr zwrócił wzrok na kolekcję piór, wisiorków, kryształów i srebrnych łańcuchów, wiszących na ścianie jak na wystawie. To hertasi stworzyły tę wystawę. W czasie pobytu poza Doliną Mroczny Wiatr nie miał czasu posegregować ozdób i porozmieszczać ich na właściwych miejscach. Klejnoty migotały w świetle lamp i świec. Niektóre z nich stworzył sam, inne były dziełem rąk jego przyjaciół z których większość już nie żyła lub znajdowała się z resztą klanu w nowej Dolinie. Pozostawili mu te cacka, jakby dla przypomnienia, że nie całe życie trzeba poświęcić walce.

Elspeth, która siedziała za jego plecami, wstała, zabierając nowe ubrania. Po chwili usłyszał zza parawanu szelest materiału jej bluzy i lżejszy, delikatny szum jedwabiu. Przymknął oczy, ciesząc się tą chwilą poświęconą sztuce i umiejętnościom nie związanym z taktyką wojenną.

Elspeth wysunęła się zza zasłony. Usłyszał stąpanie jej bosych stóp po deskach podłogi. — Mam nadzieję, że włożyłam to we właściwy sposób — rzekła z powątpiewaniem.

Mroczny Wiatr wybrał trzy spośród wiszących na ścianie ozdób. Z dłońmi pełnymi piór i koralików odwrócił się i uśmiechnął się na jej widok.

Elspeth miała jednak kwaśną minę, gdy niezręcznie obracała się wkoło. — Wyglądam głupio, prawda? — spytała.

— Wręcz przeciwnie. Wspaniale! — odrzekł szczerze. Zacisnęła usta, ale po chwili uśmiechnęła się niechętnie. Podziwiał ją przez chwilę. Miał rację: soczysty, nasycony kolor czerwonego wina dodał blasku jej opalonej twarzy i ciemnobrazowym włosom. Biel czyniła ją bezbarwną. Kolor ją ożywiał; włosy lśniły kasztanowo. Jeśli je jeszcze splecie i ozdobi zamiast tylko odgarniać z twarzy. . .

„Będzie wyglądać wspaniale, gdy zbieleją jej włosy” — pomyślał, podziwiając ją. „Jednak teraz taki surowy styl jej nie pasuje”. Zanim zdołała się poruszyć czy zaprotestować, zanurzył ręce w jej włosach, wplatając po obu stronach twarzy wisioriki z piór. Potem przeciągnął jedno pasmo przez czoło i splótł je z włosami z drugiej strony. Nie zajęło mu to wiele czasu; Elspeth miała bardzo krótkie włosy w porównaniu z magami czy nawet zwiadowcami. Ale rozpuszczone, okazały się miękkie i falujące, świetnie komponowały się z piórami.

— Spójrz — rzekł, odwracając ją do lustra, zgodnie ze zwyczajem zakrytego serwetu. Odrzucił zasłonę, ukazując nową Elspeth. — Spróbuj się teraz nazwać brzydką.

Elspeth zastygła w milczeniu przed własnym odbiciem. Zarumieniła się, zbladła i znów zarumieniła; potem zaczęła się wyraźnie odprężyć i uspokajać.

— Chciałbym cię zobaczyć ubraną w ten sposób na twoim dworze — rzekł. Czuł dumę; ciągle jeszcze nie wyszedł z wprawy. Prezentowała się nawet lepiej, niż przypuszczał. — Pewnie stworzyłabyś całkiem nową modę.

Poruszyła się ostrożnie. Rozłożyła ramiona, by obejrzeć szerokie rękawy; dotknęła jedwabiu szarawarów. Oczy jej lśniły. — Nie miałam pojęcia, że tak wiele zależy od ubioru. Ostatnio ubrałam się tak strojnie na ślub Talii. Byłam wtedy małą i ładną dziewczynką; potem, z wiekiem, zbrzydłam. Nigdy nie przypuszczałam, że mogę tak wyglądać. — Potrząsnęła głową z oczami wciąż utkwionymi w lustrze. — Podobały mi się stroje zostawione przez hertasi, ale w porównaniu z tymi. . .

— To były stroje zwiadowców. — Mroczny Wiatr wzruszył ramionami. — Praktyczne, jak wasze uniformy heroldów. Magowie ubierają się z fantazją i bardziej wygodnie. Te kostiumy służą przyjemności. Przeznaczone są na pokaz, do tańca, mają służyć czystej radości, imitować ptaki puszące pióra, albo. . . — Nie dając jej czasu na odpowiedź, sięgnął po suknię całą w żywym błękicie. — Przebierz się — rzekł. — Przymierz to. Chcę cię zobaczyć we wszystkich tych strojach.

— Mnie? A ty?

— Ja? — był zaskoczony. — O co ci chodzi?

— Jesteś magiem, prawda? Przecież to twoje kostiumy! — Założyła ręce na

piersi. — Ja też chcę widzieć, jak w nich wyglądasz!

Nie zdołał jej przekonać. Nie zgadzała się na przymiarke, póki on nie zrobi tego samego. W końcu uległ i spędzili długie wieczorne godziny, buszując wśród ubrań jak dzieci w rodzicielskiej garderobie, śmiejąc się i podziwiając wzajemnie.

Wreszcie Mroczny Wiatr podał Elspeth suknię bladozłotą, w kolorze, który rozjaśniał włosy blaskiem słońca i dodawał skórze delikatności. Doszedł do wniosku, że dobrze jej we wszystkich żywych kolorach, ale najlepiej w ciepłych — wtedy promieniała. To była — choć tego jej nie powiedział — suknia przeznaczona do wypoczynku, lenistwa, flirtu, do oglądania tylko przez jedną osobę, a nie tłum. Uszył ją dla siebie, ale przy pierwszej przymiarce uznał, że ten kolor mu nie odpowiada. Rzadko zdarzała mu się pomyłka; wtedy jednak tak się stało.

Na niej jednak...

— Musisz ją zatrzymać — wyszeptał, gdy się odwróciła do niego. Dotyk miękkiej, delikatnej tkaniny sprawiał jej przyjemność. — Naprawdę musisz — powtórzył, słysząc głos protestu. — Na mnie nigdy ten strój nie leżał. Przypuszczam, że zaprojektowałem go z myślą o tobie, choć jeszcze cię wtedy nie znałem.

Chciał to powiedzieć lekkim tonem, ale jakimś sposobem słowa zawisły w powietrzu, pełne znaczeń, których sam nie podejrzewał. Sięgnął po szklane puzdro, otworzył je — i zanim jego świadomość zdążyła zaprotestować — podał Elspeth jedno jasne, długie pióro.

Nie było to pióro Vree; gdyby się spodziewał, że je przyjmie, dałby jej, ale nie ośmielił się tego uczynić. Ledwie zdobył się na odwagę, by podać jej to pióro. Teraz wiedziała już, co to znaczy — i gdy patrzyła na niego, jej twarz spoważniała i stawała się coraz bardziej nieprzenikniona. Przeraził się, że zepsuł wszystko, co wyrosło między nimi.

Jednakże ona wyciągnęła rękę i przyjęła pióro. Potem delikatnie, by go nie uszkodzić, wplotła je we włosy. Jej oczy powiększyły się i ściemniały. W jednej chwili oboje zbliżyli się o krok do siebie. Mroczny Wiatr wziął jej twarz w dłoń, ostrożnie, jakby dotykał świeżo wyklutego pisklęcia. Skóra Elspeth była ciepła, wręcz gorąca i gładka jak jedwab sukni. Uzmysłowił sobie, że musi się czuć skrępowana — sobą, nim, tym, co ich czeka; ostatnim wysiłkiem magii zgasił światła w pokoju.

Nasunęło się nieuniknione stwierdzenie: Elspeth nie była Jutrzenką. Przy całej jej odwadze i śmiałości teraz drżała i wydawała się przestraszona. Uświadomił sobie jej sytuację: sama w obcym kraju, zmuszona codziennie stawiać czoło nowym wyzwaniom. On powinien sprawić, by poczuła się pewnie i bezpiecznie; on powinien przejąć inicjatywę. A widział, że ona pragnie go tak samo jak on jej. Prawdopodobnie miała już za sobą doświadczenia miłosne, ale niezbyt liczne. Nie chciał jej spłoszyć czymś, czego nigdy dotąd nie poznała. Miał szczerą nadzieję, że znajdą jeszcze okazję do, eksperymentów; później, gdy się dobrze poznają, a nie teraz, za pierwszym razem.

Pocałował ją i ująwszy za ręce, zaprowadził do niskiego tapczanu zarzuconego poduszkami. Stanęli naprzeciwko siebie. Przesunął dłońmi po jedwabiu sukni, dotknął lekko jej ramion, pleców, piersi, szyi, czując przez cienką tkaninę jej drżenie — ale teraz oznaczało ono oczekiwanie, nie strach. Rozchyliła usta i odchyliła głowę do tyłu. A po chwili, najpierw z wahaniem, potem coraz śmielej zaczęła go dotykać. Mroczny Wiatr skupił całą uwagę na opanowaniu własnych pragnień w obawie, by nie spłoszyć jej niepotrzebnym pośpiechem. Okazało się to równie trudne jak panowanie nad magią, zwłaszcza że od tak długiego czasu nie był z kobietą.

Przysunęli się do siebie i pocałowali jeszcze raz. Wszystkie obawy mężczyzny znikły na widok gotowości, z jaką Elspeth oddawała pocałunki. Wkradł się delikatnie w jej myśli i stwierdził, że nie ma ona wielkiego doświadczenia, ale wielką chęć do pójścia tam, gdzie on ją zaprowadzi. Ufała mu.

Nie wolno się śpieszyć. Im większe pragnienie, im dłuższy czas na poznanie się wzajemne, tym większa potem przyjemność.

Wsunął ręce pod jej suknię i dalej ją pieścił łagodnymi, powolnymi ruchami, tak długo, póki całkiem nie zapomniała o strachu. Znow połączył swoje myśli z jej umysłem i przekazał jej bez słów, co sprawia mu największą przyjemność; dowiedział się też, co ona lubi najbardziej. Przesuwała się w jego ramionach. Miała skórę gładką jak jedwab, a usta słodkie niczym miód czy nektar. Pachniała sandałem, cynamonem i ziołami. Ona też czuła jego zapach — zapach chawa i piżma.

Dopiero gdy ich umysły stopiły się w jedno, połączyły się i ciała. Para jastrzębi wzbiła się w niebo i poleciała w stronę słońca.

Elspeth leżała w cieple, nie myśląc o niczym, całą sobą chłonąc spokój i bezpieczeństwo tego miejsca. Mroczny Wiatr oddychał spokojnie. Leżał obok niej bez ruchu. Znikły przeszłość i przyszłość, liczyła się tylko chwila obecna; trwanie. Elspeth wsłuchiwała się w jego oddech; czuła, że zaraz też zaśnie, ale chciała jeszcze przedłużyć ten moment, posmakować go do głębi.

— Mam nadzieję, że spełniłem twoje oczekiwania — usłyszała nagle. Zerwała się. Mroczny Wiatr położył jej uspokajająco dłoń na ramieniu. Roześmiała się; wciąż waliło jej serce.

— Myślałam, że śpisz. Tak wyglądałeś.

— To byłby niewybaczalny błąd, przynajmniej według naszych zwyczajów.

Przypomniała sobie nielicznych kochanków, których miała — ściśle biorąc, trzech. Skif nigdy nie był kimś takim. Zawsze przyjaźniła się z nimi, ale nie łączyło ich jakieś głębsze uczucie i na nic więcej nie liczyli. Wszyscy byli oczywiście heroldami. Talia słusznie twierdziła, że następczyni tronu może zaufać w takich sprawach tylko heroldowi. Dwóch z nich zasypiało natychmiast po fackie, a ona wykradała się z ich pokojów, by wrócić do siebie. „Byli ciągle zmęczeni”

— wzięła ich w obronę. „A gdy tylko trochę odpoczęli, znów ich wzywano. Nic nie mogli poradzić. A gdybym pokazała się z którymś oficjalnie, wywołałabym skandal”. Neave nigdy nie zasypiał; nie mógł zasnąć, jeśli obok niego ktoś leżał. Był uzdrowicielem, ale sam nie mógł sobie pomóc. Spotkania z Elspeth przynosiły mu ulgę. Miał talent. Biedny dzieciak. Jak ktokolwiek mógł wykorzystać przestraszone dziecko w taki sposób. . .

Oderwała myśli od przeszłości. — Chyba polubię wasze zwyczaje — rzekła lekkim tonem. — Wydają się bardziej cywilizowane niż praktykowane powszechnie odwracanie się plecami i zapadanie w sen. Tak, jakby natychmiast się zapomniało o tej drugiej osobie.

— To nie żart — odparł, wodząc palcem po jej policzku. — Zaczekaj chwilę. . .

Odsunął się; usłyszała szelest ubrania i Mroczny Wiatr znikł w ciemnościach. Nadstawiła uszu, ale nie wyłowiła żadnych dźwięków prócz cichych kroków. Po chwili Mroczny Wiatr wrócił i podał jej po ciemku chłodne naczynie. Spróbowała. Napój okazał się cudownie zimną i czystą wodą. Wypiła do dna i odstawiła kubek na stolik znajdujący się obok łóżka.

— Czasem podejrzewam hertasi o zdolności jasnowidzenia — powiedział Mroczny Wiatr. — Najpierw obiad dla dwojga, chava dla rozgrzania zmysłów, a potem zimna woda dla ochłodzenia i ugaszenia pragnienia. . .

Elspeth zaśmiała się. — Może — rzekła. — Czy do waszych zwyczajów należy również rozpieszczanie partnera?

— Nie aż tak — odparł, odkładając kubek. — Po prostu nie wypada od razu zasnąć, nie wyrażając wdzięczności i podziwu.

Powiedział to takim tonem, że aż się zarumieniła. — Bardzo miły zwyczaj. — odrzekła po chwili. — I. . . — szukała słów, by nie popaść w jeszcze większe zakłopotanie — możesz uznać swój podziw za wyrażony.

— Czy przyjmiesz jeszcze kiedyś ode mnie pióro? — spytał wprost.

Zaczerwieniła się gwałtownie. — Bardzo chętnie. . . — wyjąkała.

— Przepraszam, jeśli jestem zbyt obcesowy — rzekł szybko. — Jak zresztą większość Tayledras. Shin'a'in uważają nas za bezwstydną jak pustułki. Nie chciałbym cię obrazić. . . ale bardzo się cieszę z twojej odpowiedzi.

— Nie obraziłeś mnie — wydusiła z trudem. Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się jak pensjonarka, ale nie mogła nic na to poradzić.

— Dzięki ci, pani. — Znów dotknął jej policzka i już nie cofnął ręki. — Odpoczęłaś?

— Chyba tak — znów się zająknęła. O co mu chodzi?

— Mamy też zwyczaj — zaśmiał się — z powodu którego Shin'a'in porównują nasze nienasycenie do pustulek. . .

Przysunął się do niej i — ku jej zaskoczeniu — zaczął wszystko od nowa. W pierwszej chwili była zbyt zaskoczona, by zareagować, ale wkrótce zdała sobie

sprawę, że brał to, co mówił, najzupełniej poważnie.

I okazał się tak wspaniały, jak poprzednio. . .

Tym razem Elspeth przyniosła wodę, przyświecając sobie małym magicznym ognikiem. Mroczny Wiatr podziękował jej rozespanym uśmiechem i pocałował jej rękę. Elspeth położyła się obok niego. Nie czuła się na siłach wracać do swojego ekele. Zresztą nie miała ochoty wychodzić; jej łóżko było zimne i samotne, tu zaś czekał Mroczny Wiatr, by ją przytulić i ogrzać. Poza tym, kogo mogłaby zgorszyć? Nie Gwenę. Nie hertasi. Nikogo z Sokolich Braci, dobierających sobie partnerów z zupełną swobodą. Nie było Skifa ani dworskich plotkarzy. Nikt w domu się nie dowie, żaden z kandydatów nie poczuje się obrażony. A właściwie, jacy kandydaci? Na pewno nie Ancar, na pewno nikt z Karsu. . . a z Rethwellanem Valdemar już się połączył przez małżeństwo matki Elspeth. Kto został dla niej? Jakiś ubrany w skóry „książe” z północy? Te wędrowne plemiona nie miały nawet władców. Może więc powinna sama wybrać. . .

— A teraz — szepnął Mroczny Wiatr — zwyczaj dopełniony i obawiam się. . . muszę się przespać. . . — Każdą pauzę znaczyło szerokie ziewnięcie. Elspeth poszła w jego ślady.

— Zwyczaj dopełniony. — Ziewnęła również. — Zgadzam się. . .

— A więc, dobranoc — wyszeptał. — Zhai'helleva. . .

Zasypiała już. Czyżby się przestyszała? Czy naprawdę to powiedział? Czy szepnął ostatnim wysiłkiem człowieka zapadającego w nicość snu: „Zhai'helleva, ashke?”

„Wiatru w twe skrzydła, ukochana?”

Hertasi przynieśli ubranie dla Elspeth i położyli obok śniadanie, nie okazując nawet mrugnięciem, że nocny gość u Mrocznego Wiatru jest czymś niezwykłym. Wkrótce potem przyszła Gwena. Przyniosła dobrą nowinę; nie musieli już zajmować się ściganiem intruzów zwabionych magią. Ona również nie skomentowała ani słówkiem wyboru dokonanego przez Elspeth.

Lodowy Cień zdecydował się wykorzystać waszą taktykę — powiedziała Gwena. — Nadal będzie walczył iluzją, by zużyć mniej mocy magicznej. Wystął na miejsce kilku magów. Chce się zobaczyć z wami, ze starszymi i wszystkimi innymi na ogólnym zebraniu klanu.

— Pewnie chce, byśmy powtórzyli im wiadomość od k'Treva — wyraził swe przypuszczenie Mroczny Wiatr, odgarniając włosy z twarzy.

Być może. Nie mówił mi, o co mu chodzi. — Gwena podrzuciła głowę z udawanym oburzeniem. — Powiedziałam mu, że według mnie potrzebujecie, przynajmniej jednego dnia odpoczynku. Chyba się zgodził. Dokładnie jego słowa brzmia-

ty: „*Będą mieli tyle dni odpoczynku, na ile klan może sobie pozwolić*”.

— A to znaczy, że ciągle jesteśmy w gotowości — zaśmiał się Mroczny Wiatr — ale to lepsze niż spacer w śniegu.

Jedli powoli, nie mogąc powstrzymać długich i tęsknych, choć ukradkowych spojrzeń rzucanych sobie nawzajem. Mroczny Wiatr z pewnością przyciągał wzrok. Nie wyglądał już tak obco i egzotycznie, jak na początku, ale ciągle jeszcze niezwykle, z włosami całkiem białymi u nasady. Elspeth przypomniła sobie znajome damy z Valdemaru, uchodzące za blondynki, a szczyjące się całkiem innym kolorem włosów u nasady. Przywykła już do ciągłej obecności Vree; nawet teraz, przy posiłku, ptak siedział na ramieniu swego pana, karmiącego go kawałkami surowego mięsa. Wspólne śniadanie z ptakiem przestało ją dziwić.

Przypomniała sobie nagle, że ostatnio „usłyszała” myślmoję Vree. Czy to przypadek, czy nauczyła się rozumieć ptaki z Doliny? Dlaczego nie miałaby spróbować jeszcze raz?

Vree? — zaryzykowała, modulując ton swojego myślgłosu tak wysoko, jak mogła, by możliwie najbardziej zbliżyć się do jego sposobu „mówienia”. Zaskoczony ptak odwrócił głowę w jej stronę.

?!

— Owszem, Elspeth odezwała się do ciebie, głuptasie — zaśmiał się Mroczny Wiatr, rzucając jej jednocześnie spojrzenie pełne uznania, pod wpływem którego zrobiło się jej gorąco. — Wypada chyba odpowiedzieć, nie uważasz?

Taak? — odrzekł ostrożnie Vree, prostując się.

Jak się ma Hyllarr? — zaczęła, wybierając temat neutralny i prosty do zrozumienia dla ptaka.

Głodny. Zdrowieje. Szczęśliwy. — Vree nastroszył pióra. — *Bardzo dobrze. Zaprzyjaźnili się.*

Dziękuję — zakończyła. Vree wrócił do smakołyków podsuwanych przez Mroczny Wiatr.

— Dlaczego dopiero teraz mogę go zrozumieć? — spytała Elspeth.

— Prawdopodobnie teraz, gdy wiesz o myślmoję ptaków, podświadomie przygotowałaś się do odbioru ich komunikatów — wyjaśnił Mroczny Wiatr, sam nie do końca pewny tego, co mówił. — Gryfy mają tembr myślgłosu wysoki, ale ciągle w zasięgu twoich możliwości. Może porozumiewanie się z gryfami pomogło ci przystosować się do odbioru jeszcze wyższej o ton myślmoję ptaków. Tak przypuszczam. Nie sądzę, żeby objawił się u ciebie nowy dar.

— To dobrze — uspokoiła się. — Jeden dar w zupełności wystarczy.

Roześmiał się i podał Vree ostatni kęs.

— Idziemy? — spytał, wstając i wyciągając do niej rękę.

Spotkanie przebiegało spokojnie, dopóki nie pojawił się Gwiazdne Ostrze.

Przyszedł, opierając się ciężko na ramieniu Kethry, w drugiej ręce trzymał laskę. Usiadł, gdy tylko doszedł do siedzących w kręgu członków klanu. Nie przypominał dawnego załamane go mężczyzny; mimo fizycznej słabości na jego twarzy pojawił się nowy wyraz nadziei, a w oczach rozbłysło światło. Wysłuchał relacji z odebrania wiadomości od k'Treva i przeczekał dyskusję. Chrząknął. Zapadła cisza.

— Chcę coś wyjaśnić, zanim sami zaczniecie snuć domysły — zaczął niepewnie. — K'Treva już przedtem, zaraz po... po pęknięciu kamienia przysłali magów z propozycją pomocy. Odesłałem ich, twierdząc, że sami sobie poradzimy. Wszyscy wiecie, czemu tak postąpiłem. Przykro mi teraz, ale być może w jakiś sposób wyszło nam to na dobre. W tamtym czasie uzdrowiciel, który do nas właśnie jedzie, dopiero zaczynał praktykowanie magii. Teraz dysponuje pełnią sił i mocy. Gdyby wtedy próbował uzdrowić kamień, prawdopodobnie zginąłby — aż nim my wszyscy. Z pewnością zostałby ranny — a wówczas wróg mógłby zawładnąć nim, jak zawładnął mną. Przejąłby moc uzdrowiciela. Nie byłibyśmy w stanie zapobiec katastrofie.

Rozległy się głosy potwierdzenia. Elspeth wołała nawet nie myśleć o takiej możliwości. Wystarczyło jej to, co widziała na własne oczy. Zmora Sokołów był i tak wystarczająco potężny.

— Mam nadzieję, wierzę, że z pomocą Mrocznego Wiatru, Elspeth, Gweny i naszych przyjaciół gryfów naprawimy zło. Ale na razie jestem sam. Chcę usłyszeć wasze zdanie. Tu chodzi o los nas wszystkich.

Od tej chwili Elspeth przestała nadażać za potokiem słów; Sokoli Bracia w podnieceniu zaczęli mówić jeden przez drugiego i w tempie kilka razy szybszym, niż zwykle. Z tego, co zdołała zrozumieć, większość zebranych poparła Gwiazdne Ostrze; jednak już raz zostali oszukani i chcieli się na przyszłość zabezpieczyć przed taką ewentualnością.

Zebranie przeciągało się, a Gwiazdne Ostrze wyraźnie słabł. Nie pozwolił jednak się odprowadzić; uparł się przekonać współplemieńców o swoim nawróceniu. Wreszcie Elspeth miała dość. Wstała. Natychmiast się uciszyło.

— Nie wycierpiałam tyle, co wy — zaczęła wolno. — Od niedawna dopiero jestem magiem. Nie spotkałam dotąd adeptów-uzdrowicieli, więc nie mam pojęcia o ich możliwościach. Jednak mogę was zapewnić, że przygotowaliśmy wiadomość jak najstaranniej i k'Treva dowiedzieli się z niej wszystkiego, co sami wiemy. Zresztą, skoro już wcześniej znali nasze kłopoty, mieli czas przygotować adepta na to, czego się może tutaj spodziewać. Na pewno zabezpieczyli go i uzbroili najlepiej, jak mogli. — Usiadła, zastanawiając się, czyjej śmiałe wystąpienie odniesie jakikolwiek skutek poza oburzeniem zebranych. Szaman uśmiechnął się. Inni także kiwali głowami z aprobatą.

— Czy jeszcze ktoś chce zabrać głos? — spytał Lodowy Cień i rozejrzał się. Nikt się nie odezwał. — Bardzo dobrze, zatem...

Raptem żołądek podskoczył Elspeth do gardła. Nie poruszając się, odniosła wrażenie, jakby wysoko podskoczyła. Rozejrzała się gwałtownie. Czy to atak? Coś złego z kamieniem-sercem? Ale wszyscy siedzieli spokojnie. Czuła się, jakby ktoś uderzył ją deską w plecy.

Lodowy Cień stłumił uśmiech na widok jej miny. — Chyba wszystkie wątpliwości zostały rozwiane. Zatem kończę zebranie — oświadczył.

Wykorzystując zamieszanie i gwar, Elspeth nachyliła się do Mrocznego Wiatru. — Co to było? Trzęsienie ziemi? Słyszałam o nich, ale... — rzekła.

— Nie trzęsienie ziemi, choć podobnie wygląda. Ziemia się nie poruszyła, nawet jeśli tak ci się wydawało. To, co odczułaś, było zamknięciem Bramy. Nagłym zamknięciem; prawdopodobnie po to, by nie dać kamieniowi czasu na reakcję. Zwykle trwa to nieco dłużej i nie jest tak przykre.

— Masz na myśli...

Wziął ją za rękę i uścisnął z triumfalnym uśmiechem na twarzy. — Tak — powiedział. — Nareszcie. Już nic go nie zatrzyma. Skończyły się spory. Nadchodzi pomoc. Wygraliśmy!

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Mroczny Wiatr ciągle nie ośmielał się formułować pochopnych opinii o Elspeth, jednak gdy wracali razem do jego ekele, wydawała się zadowolona. Nie był jednak tego pewny — zawsze była tak opanowana, pełna rezerwy, rzadko ujawniała swoje uczucia. Nie wiedział także, jak zareaguje Gwena. Dotąd nie okazywała niezadowolenia, ale szczerze mówiąc, nie wyraziła na razie swojego zdania na temat Elspeth i Mrocznego Wiatru.

Czekały ich jeszcze trudne, niezręczne chwile, jak zawsze w nowym związku. Chwile, gdy nie wiadomo, co zrobić, jak się zachować i jak odczytać to, co druga osoba chce przekazać; chwile, gdy każdy boi się oskarżenia z jednej strony o oschłość, z drugiej o zaborczość... Przypominało mu to taniec na linie, w którym tak łatwo stracić równowagę i runąć w przepaść. Były to kłopoty znane wszystkim budującym nowy związek.

Stanęli u stóp schodów prowadzących do mieszkania Mrocznego Wiatru. Mężczyzna chrząknął. W tej samej chwili Elspeth zaczęła: — Mroczny Wietrze...

Spojrzeli na siebie i roześmiali się mimowolnie.

— Chciałem zaproponować, byśmy wolne chwile wykorzystali na moczenie siniaków — powiedział Mroczny Wiatr. Kąpiel była czynnością neutralną, ale mogła się przekształcić w coś zupełnie innego. Dlatego wpadł na ten pomysł. W końcu miał doświadczenie w zalotach. — Hertasi za pomocą doskonałego masażu umieją ulżyć mięśniom. Używają do niego drewnianych wałeczków i gęstych olejków. Osiągają znakomite efekty.

Elspeth przeciągnęła się z trudem, rozprostowując zeszywniałe ramiona; więcej w tym było chęci pozbycia się bólu niż kokieterii. — Podoba mi się twój pomysł — oświadczyła. Uśmiechnęła się. — Pozwól, że zadam ci pytanie: czy miałeś na myśli kąpiel w tym samym źródle, co ja, czy wyprawę na własną rękę? Cieszyłabym się z twojego towarzystwa, ale zrozumieć, jeśli wolisz samotność. — Skrzywiła się. — Astera wie, że mój ostry język mógł ci się już sprzykrzyć. Nie miałabym ci za złe, gdybyś chciał się ode mnie uwolnić.

— Szczerze mówiąc, marzyłem o wspólnej kąpieli, lecz w twoim źródle — odparł uspokojony jej słowami, a bardziej jeszcze poczuciem humoru w nich wi-

docznym. — Twój staw jest najcieplejszy w całej Dolinie. Poproszę moich hertasi, by przynieśli olejki, jednak najpierw muszę ich odnaleźć. Nie ustaliliśmy jeszcze sposobu komunikacji w nagłych wypadkach.

— Spotkajmy się przy źródle — zaproponowała z wdzięcznością. — Masz na pewno i inne obowiązki, a ja ciągle jestem tu obca i nie znam wielu waszych spraw. Poczekam na ciebie.

Znalezienie dwóch hertasi nie zajęło mu wiele czasu; jeszcze krócej trwała droga do źródła, o którym myślał już teraz jako o „źródle Elspeth”. Zastał dziewczynę zanurzoną po szyję w wodzie, z włosami upiętymi na czubku głowy i półprzymkniętymi oczami wyrażającymi pełne zadowolenie.

— Potykaliśmy się i upadaliśmy w śnieg chyba ze sto razy. Mam siniaki w miejscach, w których bym się nie spodziewała. Muszę znaleźć jakiś sposób, by odtworzyć takie ciepłe źródła u nas, w domu, gdy już wrócę — rzekła, gdy dołączył do niej. — To lepsze niż gorąca kąpiel w wannie.

Dwóch hertasi rozłożyło obok nich na trawie poduszki i ręczniki; wkrótce Elspeth i Mroczny Wiatr mogli się położyć i powierzyć zeszywniałe, obolałe mięśnie ich zręcznym rękóm. Po rozgrzewce w gorącej wodzie masaż okazał się o wiele skuteczniejszy.

— Nie macie gorących źródeł? — spytał leniwie Mroczny Wiatr, gdy wrócili do stawu. — To dziwne.

— Wiele rzeczy w mojej ojczyźnie wydałoby ci się dziwne — odrzekła. — Przynajmniej tak samo, jak mnie i Skifowi Dolina. A co do Skifa. . .

Mimo gorąca przeszył go zimny dreszcz. Czy teraz usłyszy coś wstrząsającego? Czy była ze Skifem zaręczona, związana w jakiś sposób? Nie miał do niej żadnych praw, a jednak samo przypuszczenie bardzo go poruszyło. Nie, nie chciał rozważać bliżej swoich uczuć wobec Elspeth.

Dziewczyna mówiła dalej. W jej głosie nie znalazł nic, co mogłoby potwierdzić jego obawy lub je rozproszyć. — Wracając do Skifa. . . Mroczny Wietrze, co powinnam zrobić z Nyarą, gdy już się odnajdzie? Mam się martwić? Czy w ogóle próbować coś zmieniać? — spytała.

— Nie wiem — zaczął ostrożnie, dobierając słowa, by nie sprowokować nieporozumienia. — Najpierw muszę cię spytać. . . kim jest dla ciebie Skif?

— Dla mnie? — Otworzyła szeroko oczy. Z ulgą zauważył, że nie ujawniły się na jej twarzy żadne skrywane dotąd uczucia, tylko troska. — Skif to mój bardzo dobry przyjaciel. Mój brat, jak Sokoli Bracia, bo heroldów łączy podobna więź. Oni są rodziną Skifa, innej nie miał, a ja jestem mu najbliższa z heroldów. Boję się o niego.

Chyba jeszcze nie powiedziała mu wszystkiego. . .

— Dlaczego miałabyś się o niego bać? Według mnie, on sam potrafi się o siebie zatroszczyć.

Przygryzła wargi. — Znam go od dawna — rzekła. Skif, którego poznałeś

tutaj, nie jest tym, który został moim bratem. Nie mówiłam o tym nikomu. Coś się zdarzyło kilka lat temu, w czasie wojny w Hardornie, coś, co go wtedy odmieniło. Odtąd nie jest już sobą. Nigdy mi o tym nie wspominał, a ja wolałam nie pytać. Chciałam uszanować jego prywatność.

Rozmyślał przez chwilę. Miał nadzieję, że Elspeth nie zauważyła, jak odechnął z ulgą. Skif był jej bliski w zupełnie inny sposób, niż podejrzewał! Nie dziwił się zbytnio zdenerwowaniu Elspeth. Sam dobrze poznał, co znaczy przemiana charakteru. Choć Skif chyba nie zmienił się aż tak, jak Gwiazdne Ostrze. Raczej przeżył szok, podobny do tego, który z Pieśni Wiatru uczynił Mroczny Wiatr.

— Gdyby chciał ci się zwierzyć, zrobiłby to dawno temu — powiedział wreszcie. — Może sądzi, że nie rozumiałabyś, albo się krępował, albo po prostu tak postąpił dlatego, że jesteś kobietą, a on mężczyzną. To doświadczenie go złamało, mam rację?

— Pewnie tak. Nigdy potem nie był już tak beztroski — odparła z namysłem. — Tak, chyba się załamał. Może te wszystkie trzy przyczyny spowodowały jego milczenie.

— Być może otworzy się przed moim bratem — myślał głośno Mroczny Wiatr. — To najlepsza rzecz, jaką mógłby zrobić. Zimowy Księżyc ma swoje kłopoty, mogliby się podzielić troskami i pomóc sobie nawzajem.

Spojrzała na niego z nadzieją. — Naprawdę? — nie mogła uwierzyć. Skif jest teraz taki... nie wiem nawet, jak to wyrazić. Kiedyś zawsze szukał nowych doświadczeń. Teraz przygody straciły dla niego wszelki urok i pragnie tylko spokoju. Może Nyara będzie mogła mu pomóc, o ile nie przysporzy mu nieświadomie dodatkowych cierpień.

— Nyara za nic nie zrani Skifa celowo — zgodził się z nią. Podniósł mokrą rękę, by poprawić włosy spadające na twarz. — Zbyt dużo sama wycierpiała i stała się zbyt wielkim zagrożeniem dla innych, by pragnąć czyjejś krzywdy. Tak przypuszczam. Jednak niechący może sprawić Skifowi wielki ból. Nawet w najlepszych intencjach.

Skinęła głową. — Masz rację — rzekła. — Ale... nie, kiedy już się odnajdą, a okaże się, że go nie kocha, będzie cierpiał.

— To nie jest takie proste. Będzie cierpiał, nawet jeszcze bardziej, gdyby się okazało, że ona go kocha, a uciekła po to, by go nie narażać. — Mroczny Wiatr podniósł się nieco i oparł o stopnie prowadzące do wody. — Musisz to brać pod uwagę, Elspeth. Pomyśl. Nawet jeżeli ona go kocha i przyjmie jego miłość, to gdzie się podzieją? Mój lud z trudem akceptuje istoty takie jak Nyara, a twój? Czy dla mieszkańców Valdemaru nie będzie ona po prostu potworem?

Jęknęła. Przetarła oczy. — Chciałabym ci zaprzeczyć, ale nie mogę — powiedziała. — Bogowie, nawet na Shin'a'in patrzy się w Valdemarze z nieufnością. Sokoli Bracia istnieją jedynie w legendach. A Nyarę pewnie umieściliby w me-

nażerii! — Potrząsnęła głową. — Nieważne, jak byśmy ją maskowali, prawda wyjdzie na jaw.

— Wcześniej czy później każda iluzja się rozwiewa, każde przebranie spada — zgodził się. — A tu chodzi nie tylko o wygląd Nyary. Ona jest całkiem odmienna. Nigdy nie będzie jedną z nas. Nawet my odbieramy ją jako obcą, a w Valdemarze wyglądałaby jak pantera kokardką na szyi, nazwana kotkiem.

— I na dodatek ta aura zmysłowości, którą roztacza całkiem nieświadomie. Z pewnością nie przysporzy jej to przyjaciół. Nawet mnie czasami drażniła, choć przecież nie miałam żadnych powodów do zazdrości.

— Z wyjątkiem tego, że każdy mężczyzna musi zwrócić na nią uwagę — powiedział ponuro. — Nawet gdyby Skif był jej wierny, nic nie poradzi na instyngt. Mnie też przychodziły do głowy różne myśli, a przecież dobrze wiem, czym to groziło. Podobno Skif szuka spokoju, a na pewno nie znajdzie go z Nyarą u boku! Każdy mężczyzna bez skrupułów spróbuje ją zdobyć dla siebie. Każda kobieta zareaguje tak jak ty albo jeszcze ostrzej.

— Nyara nic na to nie poradzi. — Usta Elspeth drgnęły w uśmiechu, lecz opanowała się szybko. — Mroczny Wietrze, co robić?

— A czy w ogóle powinnaś robić cokolwiek? Czy możesz im pomóc?

Potrząsnęła głową. — Pewnie nie — stwierdziła. — Mogę jedynie przygotować się na decyzję ich obojga.

— To wszystko, co może zrobić dla nich przyjaciel. Co powinien zrobić — poprawił się — ale musisz rozważyć jeszcze jedną sprawę. Jak zareagujesz — ty i twój lud — jeśli zechcą oboje pozostać tutaj?

— Co takiego? — Wpatrzyła się w niego, jakby sama myśl brzmiała nieprawdopodobnie, by mogła ją przyjąć. — Przecież Skif jest heroldem!

— Jest również człowiekiem. I mężczyzną, w dodatku najprawdopodobniej zakochanym. — Mroczny Wiatr poczuł się tak, jakby rozmawiali o kimś innym, a nie o heroldzie Skifie. — Czy wasi rodacy zmusiliby go do wyboru pomiędzy miłością a ojczyzną? Czy opuściłby go jego Towarzysz?

— Nie wiem — odrzekła bezzadnie. — Nie przyszło mi to nigdy do głowy.

— Ciekawe. — Wyciągnął się znów w wodzie. — Spróbuj porozmawiać o tym z Gweną. To może być ważne. Tak czuję.

— Ja też... — powiedziała wolno. — Ja też...

Uzdrowiciel k'Treva nie pojawił się do wieczora. Mroczny Wiatr uznał, że postąpił rozsądnie, poszukawszy sobie schronienia na noc. Utwierdził go w tym mniemaniu Lodowy Cień.

— Nie przyjedzie przed świtem — mówił mag, gdy szli w trójkę do jego ekele. — Gdybym był na jego miejscu, spróbowałbym znaleźć jakiegoś tervardi i wprosił się na nocleg. Nie wyczuwam żadnego niebezpieczeństwa. Gdyby mu

coś groziło, wiedzielibyśmy o tym.

Mroczny Wiatr przytaknął. Tayledras bardzo rzadko podróżowali nocą, zwłaszcza przez nieznany i prawdopodobnie niebezpieczny teren. — Uzdrowiciel wie — rzekł — że nasze granice się skurczyły i nawet w ich obrębie nie jest bezpiecznie. Przyczyną opóźnienia mogą być też śniegi. Wątpię, czy nadawca wiadomości brał pod uwagę porę roku, gdy zapewniał, że adept przybędzie w ciągu jednego dnia. Nawet na dyheli nie podjąłbym się teraz dotrzeć nigdzie w tak krótkim czasie.

Dotarli do ekele; Lodowy Cień zatrzymał się i położył dłoń na poręczy schodów. — Nie martwcie się — powiedział. — Ja nie mam żadnych obaw. Na pewno ten cudotwórca do nas dotrze. Dzień czy dwa nie robią różnicy, prawda?

Przytaknęli. Zaśmiał się i z błyskiem w oczach życzył im przyjemnego wieczoru, przenosząc wzrok z Elspeth na Mroczny Wiatr i na odwrót.

Mrocznemu Wiatrowi zwłoka nie przeszkadzała w najmniejszym stopniu. Przybycie adepta oznaczało dla nich obojga powrót do ciężkiej pracy; a wtedy to po całym dniu będą mieli ochotę jedynie na sen, a nie na flirtowanie. Wiedział o tym z własnego doświadczenia.

Na razie mieli przed sobą jeszcze jedną noc.

Tym razem Elspeth zaprosiła go do siebie na kolację, skoro byli tak blisko jej ekele. Hertasi znów się zabrali za ich zmęczone mięśnie. Jeden z nich, Faras, uśmiechał się dziwnie, słysząc zaproszenie. Mroczny Wiatr zauważył to, ale nie zareagował; wiedział doskonale, że ten mały lud posługuje się myślumą równie łatwo, jak ludzie głosem — i bardzo bawi go swatanie.

Jeszcze raz wykapali się w stawie i ubrali się w grube, miękkie szaty, zostawione dla nich na brzegu. Wracali już w kompletnych ciemnościach. Mroczny Wiatr od dawna nie czuł się tak odprężony i zadowolony. Miał nadzieję, że Elspeth także odpoczęła. Podążał ścieżką do jej ekele, z góry przewidując, co tam zastanie.

Nie zawiódł się. Na Elspeth czekała jedwabna suknia koloru bursztynu, już wyczyszczona, a na niego — ulubiona ciemnobłękitna szata. Stół zaś hertasi nakryli do posiłku dla dwojga; posiłku innego niż poprzednio, przeznaczonego wyraźnie dla kochanków. Mroczny Wiatr od razu rozpoznał intencje hertasi, choć Elspeth nie zauważyła nic szczególnego. Na stole znajdowały się smakołyki mające podrażnić podniebienie, lekkie, podane w małych porcjach, akurat takich, by wziąć je w palce i — podać drugiej osobie.

Elspeth wzięła suknię i zniknęła w pokoju obok. Przy stawie nie była taka wstydliva. Mroczny Wiatr chciałby widzieć, jak jedwab ześlizguje się po jej gładkiej skórze — ale na to przyjdzie czas, gdy się poznają bliżej. O ile starczy im czasu. . .

Stłumił niepokój. Nie ma sensu planować przyszłości, gdy nie wiadomo, co się stanie z nimi wszystkimi. Musi na razie wystarczyć im teraźniejszość, trzeba się

nią cieszyć. Przebrał się. Elspeth wróciła w obłoku złocistego jedwabiu i zapaliła pachnące świece. Mężczyzna patrzył z przyjemnością na jej zwinne ruchy. Czy zawsze była taka zręczna, a on dopiero teraz zaczął to zauważać?

Elspeth usiadła wygodnie na poduszkach i wskazała mu miejsce obok. Posłuchał, choć w tej chwili nie miał ochoty na jedzenie. Wziął kawałek pigwy, Elspeth skubnęła sera.

— Jak on będzie wyglądał? — spytała nagle, najwidoczniej błędząc myślami gdzie indziej.

Zaskoczyła go. Z wysiłkiem odwrócił uwagę od jej postaci, by skupić się na bardziej odległych sprawach. — Masz na myśli adepta? — zaryzykował. Tylko do niego mogło się odnosić to pytanie. — Adepta k'Treva?

Skinęła głową. Mroczny Wiatr wzruszył ramionami. Nie myślał o tym, najbardziej interesowały go zdolności uzdrowiciela.

— Zwykle osiągnięcie pełni mocy zajmuje adeptowi wiele lat, przypuszczam więc, że jest w wieku mojego ojca — powiedział po chwili. — Może jest tak samo bardzo poważny i rozsądny. Chociaż — zmarszczył czoło, przypominając sobie słowa wiadomości — k'Treva uważają go za nowatora. Lubi eksperymentować. To ciekawostka. Ten uzdrowiciel mógłby przypominać bardziej Kra'heera niż ojca.

— Kuglarza? — Miętosła w palcach owoc. — Ale bardzo potężnego?

— Mniej więcej — zgodził się. — Musi być potężny, skoro podjął się podróży przez nieznanne tereny. Chyba przypomina szamana w chwilach, gdy czuje się bardzo pewny siebie.

— Ty też czasem bywasz taki, jak Lodowy Cień — rzekła nagle.

Znów go zaskoczyła. — Naprawdę? — spytał z niedowierzaniem.

— Naprawdę. — Oblizła sok ściekający jej po palcach i spojrzała na niego z ukosa. — Na przykład zeszłej nocy. Czasem myślę, że sam siebie nie doceniasz.

Potrząsną głową. — Pochlebiasz mi, ale... — próbował zaprotestować.

— Nie jestem specjalnie głodna — przerwała mu. — A ty?

Roześmiał się. Wiedział, do czego zmierza. — Nie mam ochoty na ten rodzaj pożywienia... — odrzekł jej.

Rano ptaki doniosły o adepcie k'Treva widzianym nie dalej niż kilka staj od Doliny. Ci, których nie zatrzymały obowiązki, zebrali się przed wejściem, by powitać gościa. Mimo śniegu po kolana nie wypadało oczekiwać go dopiero w ciepłej Doliny.

Elspeth i Mroczny Wiatr także przyszli; według Elspeth, tajemniczy mag wybrał najlepszy moment na przyjazd. O świcie chmury znikły i na czystym niebie zaświeciło słońce, wypełniając blaskiem las. Wiatr ucichł, zapanowała cisza, przerywana jedynie krzykiem ptaków. Stali w milczeniu, wytężając wzrok i słuch.

Nawet Gwena wydawała się spięta.

Wreszcie dobiegł ich upragniony dźwięk: skrzypienie śniegu pod kopytami dyheli. Jeździec musiał zmusić go do galopu. Na pewno nie jechał tak szybko całą drogę — tylko Towarzysz mógłby tego dokonać. „Albo chce jak najszybciej dotrzeć na miejsce, albo zrobić wrażenie” — pomyślała rozbawiona.

Zza drzew wynurzył się jeździec w tumanie śniegu; nad jego głową leciał śnieżnobiały ognisty ptak; długi ogon powiewał za nim w powietrzu jak długie włosy adepta.

Elsbeth nigdy dotąd nie widziała ptaka ognistego takiej wielkości. Nie słyszała też, by ktokolwiek go oswoił. Białe pióra połyskiwały w słońcu, gdy leciał. Żywa legenda.

Z pomruku zdziwienia wywnioskowała, że adept zaskoczył również resztę klanu. Ptak dorównywał wzrostem Vree, a długi ogon czynił go jeszcze większym. Głowa z wielkimi, błękitnymi jak woda oczami była rozmiarów głowy innych ptaków z Doliny, co oznaczało, że ptak dorównuje im zdolnościami i inteligencją, tylko że ogniste ptaki żywiły się owocami i ziarnem, a nie zwierzętami. . . „I co z tego? Jest magiem, nie zwiadowcą. Nie potrzebuje pomocnika w walce i do polowań” — pomyślała.

Adept stanął przed Bramą w obłoku śniegu; wyglądał jak bóg zimy albo wcielenie burzy śnieżnej. Jego dyheli odznaczał się nieskazitelną bielą sierści i podobnymi do maga zimnobłękitnymi oczami. Stali przez chwilę nieruchomo. Elspeth zdała sobie sprawę, że czynią to z rozmysłem. Nie miała pretensji.

„Co za próżny człowiek! Jak się pławi w naszym podziwiewie. Słusznie” — uśmiechnęła się do siebie.

Oczekiwali czcigodnego starca, kogoś w rodzaju szamana. Spotkało ich kompletne zaskoczenie.

Adept wyciągnął ramię i ptak usiadł lekko jak spadające piórko na jego białym rękawie. Teraz widzieli, że dorównuje rozmiarami orłom. Jego ogon opadł prawie do ziemi; ptak przyjął postawę identyczną jak jego pan, zapewne był równie świadomy swej urody.

Mag ubrał się na białe — w futra i skórę, w białe włosy wplótł pióra — też białe. Długi płaszcz spadał na grzbiet jelenia. Jego błękitne oczy patrzyły beznamietnie na zebranych; biła z nich pewność siebie, zresztą zupełnie zrozumiała — nie tylko z powodu statusu adepta (o jego wielkiej sprawności świadczyła doskonała biel włosów, sierści dyheli i piór ptaka), ale także ze względu na niespotykaną, absolutnie doskonałą urodę.

Elsbeth w całym swoim życiu nie spotkała kogoś tak pięknego. Tylko to słowo do niego pasowało. Jego piękność wyrastała ponad zwykłą zmysłowość. Miał pełne prawo do zarozumiałości, nawet jeśli nie był starszy od Mrocznego Wiatru.

Gwena wpatrywała się w gościa ze skupieniem, które zdziwiło Elspeth.

Co się stało? — spytała cicho Towarzyszkę. — *Coś nie w porządku?*

Właściwie nie — odparła wolno Gwena. — *Nie, nieprawda. Na pewno nie. Jednakże mam wrażenie, że już go gdzieś widziałam. Nie mam pojęcia, gdzie. Widzę w nim coś znajomego...*

Oczywiście, moja droga — przerwał jej głęboki męski głos. Adept k'Treva spojrział na Gwene w sposób nie zostawiający żadnych wątpliwości.

Elspeth osłupiała, a Gwene niewątpliwie szczęka opadłaby do samej ziemi, gdyby to było możliwe. Cofnęła się o krok.

— Pozdrawiam was, bracia i siostry — powiedział spokojnie adept, jakby przed chwilą nie zbił Gwene z tropu. — Nazywam się Śpiew Ognia z k'Treva. Mam nadzieję, że nie kazałem wam zbyt długo czekać.

Zsunął się z siodła, ciągle trzymając ptaka na ramieniu. Odsłonił paczkę owiniętą w białą skórę, którą miał za plecami. Z półuśmiechem na przystojnej twarzy szedł powoli w stronę gospodarzy, z dyheli kroczącym obok. Przywitał się ze starszymi i zaraz odwrócił ku Elspeth i Mrocznemu Wiatrowi.

— A oto ci, którzy mnie wezwali — rzekł, odrzucając warkocz na plecy. Na jego twarzy wciąż gościł nieodgadniony uśmiech. — Widzę jednego członka klanu i dwoje cudzoziemców. Ciekawe połączenie.

— To jest nasza siostra, Elspeth k'Sheyna z Valdemaru, i jej Towarzysz, Gwena — przedstawił je ostrożnie Mroczny Wiatr; zbyt ostrożnie, osądziła Elspeth. — Ja mam na imię Mroczny Wiatr.

— Z Valdemaru? — powtórzył Śpiew Ognia, uśmiechając się nieco szerzej. — I Towarzysz. Zhai'hellewa, siostry. Opowieść o waszych przygodach musi być fascynująca.

— Elspeth jest heroldem z Valdemaru, jeśli ci to coś mówi — ciągnął Mroczny Wiatr obojętnym tonem. — Przebywa u nas także inny herold, nasz brat, ale pilne sprawy zatrzymały go poza granicami. Zresztą, on nie jest magiem.

— Za to ty, jaskółeczko, z pewnością nim jesteś. — Śpiew Ognia ujął rękę Elspeth w swoje ciepłe, mocne dłonie. — Wyobraźcie sobie, słyszałem o heroldach. Pojawiali się w legendach k'Treva, podobno kiedyś nas odwiedzali. Jednak k'Treva zawsze uważano za... niekonwencjonalnych... — Spojrzął na szamana, który zakaszłał z zakłopotaniem. — Ale nie powinienem was trzymać na zimnie i śniegu przed wejściem! — zawołał, obracając się z wdziękiem. — Chodźmy, kuzyni! Dokończymy powitanie w nieco lepszych warunkach.

Mroczny Wiatr walczył z narastającym rozdrażnieniem. Ten młodzik, Śpiew Ognia, był doprawdy irytujący. Jego umiejętności tylko wzmagaly gniew.

Świadczył o nich chociażby ptak. Tayledras rzadko eksperymentowali z nowymi gatunkami do osuwajania, ale nigdy nie próbowali tego z ptakami ognistymi. Uznano je za nieprzydatne do takiego zadania z powodu ich płochliwości i trudności w przyzwyczajaniu się do nowego otoczenia. A jednak na ramieniu adepta

ptak ognisty siedział tak spokojnie jak każdy inny. Nic dziwnego, że klan określił go jako nowatora. . .

Mógł być starszy, niż na to wyglądał; u adeptów pierwsze oznaki starzenia ujawniały się dopiero koło sześćdziesiątki, jednak Mroczny Wiatr nie dałby mu tyle lat. Arogancja Śpiewu Ognia była arogancją młodości; być może liczył jeszcze mniej lat niż Mroczny Wiatr.

Równie mocno drażniła go widoczna fascynacja Elspeth.

„Jest piękny jak bóg” — szeptał złośliwy głos w mózgu. „Jak mogłaby się oprzeć jego urokowi? Jak ktokolwiek może go nie podziwiać?”

Mało pocieszał go fakt, że Śpiew Ognia wybrał na mieszkanie ekele w przeciwnym końcu Doliny, ściśle rzecz biorąc, obok Gwiezdnego Ostrza, na tym samym drzewie, ale nieco wyżej. Gdy tylko mag wrzucił niedbale swoją paczkę do sypialni, odesłał ptaka na żerdź i zdjął ciężki płaszcz — odwrócił się i spojrzał w dół na Mroczny Wiatr, z tym swoim doprowadzającym do pasji uśmiechem.

— Chciałbym się spotkać z twoim ojcem, jeśli pozwolisz — rzekł bez ogródek. Zbiegł po schodach i zapukał do drzwi starego maga, jakby go oczekiwano. Może i tak było, bo Kethra otworzyła od razu i zaprosiła go do środka. Mroczny Wiatr został na zewnątrz. Nikt o nim nie pomyślał. Poczul się jak głupiec. Dziękował losowi, że oszczędził mu świadków tej sceny. Zazgrzytał zębami i poszedł znaleźć sobie coś pożytecznego do roboty.

— Hej, Mroczny Wietrze!

Nieznamy głos mógł należeć tylko do nowo przybyłego adepta. Mroczny Wiatr stanął, z wysiłkiem przyjął przyjemny wyraz twarzy i odwrócił się do maga.

Śpiew Ognia przebrał się już w strój bardziej odpowiedni w ciepłej Dolinie: krótką tunikę i spodnie. Gdyby Mroczny Wiatr nie widział tego na własne oczy, nie uwierzyłby, że można stworzyć kostium bardziej efektowny niż ten, w którym adept przyjechał. Jednak można — przykład miał przed sobą. Złoto, biel i błękit ubrania odpowiadały błękitowi oczu, bieli włosów i złocistej karnacji maga. Ktoś — pewnie hertasi — zadał sobie wiele trudu, by doprowadzić czuprynę uzdrowiciela do porządku. Mroczny Wiatr poczul się niepozorny, wręcz brzydki.

— Rozmawiałem z Kethrą, twoim ojcem, starszymi i Tre'valenem — rzekł raźnie Śpiew Ognia, doganiając Mroczny Wiatr. — Potwierdzili to, czego dowiedziałem się od was. Na razie nie możemy nic zrobić z kamieniem. Muszę go dokładnie zbadać.

„Przynajmniej ma na tyle zdrowego rozsądku” — pomyślał Mroczny Wiatr, a na głos powiedział: — Chyba nie muszę ci przypominać o ostrożności. . .

Śpiew Ognia skinął głową; wyglądał wyjątkowo poważnie.

— Wiem, kamień jest wyjątkowo zdrażliwy — rzekł. — Tak nie zachowywał się jeszcze żaden inny kamień w żadnym innym klanie. Nie liczę na szczęśliwy

traf.

Mroczny Wiatr odetchnął z ulgą. Młody adept, jakkolwiek arogancki, nie był jednak głupcem.

— Jeszcze coś — ciągnął Śpiew Ognia. — Coś, co, jak myślę, przewidziałeś. W całej Dolinie tylko dwoje ludzi może mi pomóc pokonać kamień: ty i cudzoziemka. Jednak nie zostaliście jeszcze zatwierdzeni jako adepci.

Mroczny Wiatr skrzywił się i ruszył w kierunku swojego ekele. — To prawda — przytaknął. — Mamy adeptów, ale żaden z nich nie czuł się na siłach zająć się naszym kształceniem.

— Wiem. Mądrze z ich strony, że nie przeceniali swych możliwości — odparł idący obok uzdrowiciel. — To się musi skończyć. Podejmę się ćwiczyć z wami i sam was zatwierdzę. Potrzebuję pełni waszych sił i zdolności. — Spojrzał przed siebie; Mroczny Wiatr łypnął okiem. — Mam także zamiar popracować nad twoim ojcem, ale o to już się nie martw.

„Jasne. Przecież to tylko mój ojciec. Dlaczego miałbym się przejmować tym, co z nim zrobią?” — pomyślał, ale zatrzymał te myśli dla siebie. Skinął tylko głową. — W takim razie kiedy się spotkamy? Czy będziesz pracował z każdym z nas osobno, czy razem?

— Razem — odparł niedbale adept, jakby go to nie obchodziło. — Chcę, żebyście działali jako partnerzy. Jutro się zobaczymy, byle nie za wcześnie. — Ziewnął. — Jestem zmęczony. Hertasi obiecali mi masaż. Muszę odpocząć po trudach podróży.

Obrócił się na pięcie i skręcił na ścieżkę prowadzącą do ekele Gwiezdnego Ostrza.

„Oczywiście, hertasi już się do niego przyczepiły” — pomyślał z irytacją Mroczny Wiatr. „Lgną do piękna i potęgi, a tego mu nie brakuje. Pewnie z pół tuzina błagało o służbę u niego, ledwie pojawił się w Dolinie. Biegli za nim ze wsi położonej na bagnach, choć uważają się za tak niezależnych. A Nera na przedzie”.

Poszedł do Elspeth, by oznajmić jej nowiny. Zastanawiał się, jak je przyjmie. Jak się odniesie do tego niespotykanego człowieka... zaskoczyło go ukłucie zaskońcy, jakie poczuł na wspomnienie podziwu w jej oczach.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Nyare obudził szum wielkich skrzydeł widocznych ponad wieżą i odgłos kogoś ciężkiego lądującego na dachu. Wyślizgnęła się z łóżka, łapiąc w przelocie pelerynę uszytą ze skóry zabitego przez siebie niedźwiedzia. Zanim zdążyła się przestraszyć czy choćby otrząsnąć z sennałości, odezwała się Potrzeba:

To gryfy. Pozdrów je ode mnie.

Dziewczyna stała, nie całkiem jeszcze rozbudzona i nie do końca świadoma tego, co się dzieje.

— Gryfy? — Otuliła się futrem i poszła schodami w górę. „Gryfy? Ale dlaczego tu przyleciały?” — myślała po drodze.

— Witaj, mała! — zawołał Treyvan, gdy ostrożnie wysunęła głowę. — Jak tam lekcje?

Wyglądał tak przyjaźnie i pogodnie, jak nigdy dotąd — odkąd Nyara go poznała. Jego pióra lśniły w słońcu, głowa i grzebień były dumnie podniesione. Jak gdyby nigdy nic się nie stało — jakby nie zdradziła jego dzieci, nie zawiodła zaufania, nie uciekła z ukradzionym mieczem. Jakby nic ich nie dzieliło.

Starła się nie pokazać zmieszania. Wyszła na dach.

— Chyba dobrze — rzekła nieśmiało, jednocześnie kiwając głową Hydonie, stojącej obok Treyvana. — Tak przynajmniej twierdzi Potrzeba. Kazała was pozdrowić. Jak mnie znaleźliście?

— Ssstój ssspokojnie, niech ci sssię przyjrę — powiedziała Hydona, przekrzywiając głowę jak ptak, gdy go coś zaciekaWi. Nyara znieruchomiła. — Dobrze — orzekła Hydona. — Ślady ssskażenia znikły i wyglądasz mniej złowrróżbnie. Oczywiście wiedzieliśmy, gdzie jesteś. Od Potrzeby.

— Oczywiście... — rzekła cicho Nyara.

— Ktoś musssiał wiedzieć — zauważył Treyvan, powiewając ogonem. — A gdybyś tak ssspotkała kogoś silniejszego? Gdyby tak znalazły cię krrreaturr-ry twojego ojca? Potrzeba uznała, że w rrrazie czego cię obrrronimy, a póki co, zossstawiliśmy cię w ssspokoju.

— Barrrdziej ufała nam niż Brrraciom Sssokołom — wtrąciła Hydona. — Właśnie dlatego jesssteśmy tutaj: Ssskif i Zimowy Kssiężyc.

Odruchowo podniosła rękę do gardła. — Są blisko? — spytała. Nie spodzie-

wała się, że tak szybko spotka Skifa.

— Barrrdzo — odpowiedział krótko Treyvan. — Nie próbowałaś nawet zacierać za sobą śladów. Nie uciekniesz przed Zimowym Ksssiężycem, gdy rrraz złapie twój rrrrop. Sssowy znajdą twoją krrryjówkę najpóźniej jutrrro wieczorem.

Hydona trąciła małżonka. — Musssimy lecieć, jeśśli nie chcemy, by ssstało się to zarrraz. — Zawahała się chwilę. — Nyarra, wszszysscy ci wybaczyliśmy. Rrrobiłaś, co mogłaś. Życzymy ci jak najlepiej. A Skif może się okazać wssspañiałym towarzyszem życia. Zrrresztą, to już sssama wiesz. . .

Z tymi słowy zanurkowała z wieży, otworzyła skrzydła i poszybowała w niebo. Treyvan skinął głową i poszedł w jej ślady.

Po chwili już ich nie było widać. Nyara śledziła ich wzrokiem. Bardzo ją pocieszyli, ale z drugiej strony pomieszali szyki. Powoli zeszła do „sypialni”, wciąż niepewna, co robić. Poczekać i pozwolić Skifowi się znaleźć? Ukryć się gdzieś? Ukryć się tutaj i udawać, że jej nie ma?

Poszukaj go, dziecko — przemówiła Potrzeba. — *Znasz opinię Hydony, teraz poznaj moją. Zgadzam się z nią. Hydonie, być może tym bardziej zależy na waszym pojednaniu, że sama ma towarzysza życia. Pewnie woli widzieć ludzi w związkach niż samotnych.*

— Ale. . . — zaczęła Nyara.

Żadne ale. Nie pozwól, by zdanie zaprzysięgłej starej panny wpłynęło na twoją decyzję. — Potrzeba zachichotała. — *Słuchaj, dziecko, nigdy nie przypieram moich właścicielk do muru, nie każę im wybierać między mną a mężczyzną. To, że zawsze bronię kobiet, nie oznacza, że pogardzam mężczyznami. Byłaby to głupota równa głupocie tych, którzy nienawidzą kobiet! Nie mam zamiaru brać z nich przykładu! Idź uporządkować swoje sercowe sprawy. Wyjdź Skifowi i Zimowemu Księżycowi naprzeciw, zamiast czekać, aż cię wyśledzą.*

— Ale ciągle nie wiem. . . — zaczęła znów Nyara bezradnie.

Nie musisz wiedzieć. Musisz sobie z tym poradzić. Dziewczyno, nie widzisz, że to twój najstarszy punkt, coś, co twój ojciec wykorzysta przeciw tobie? Musisz zamienić go w siłę! Ta zasada działa, pamiętasz?

Pamiętała. Rzuciła się na ojca z pazurami, gdy uderzył Skifa. Zaskoczyła go, widziała to wyraźnie w jego twarzy, zanim ją odepchnął.

Ten łotr nie rozumie potęgi prawdziwych uczuć. Nigdy ich nie zrozumie. Dzięki temu nie przewidzi twojego postępowania. Wykorzystaj to — radziła jej Potrzeba.

Nyara westchnęła i podeszła do okna. Popatrzyła na spokojny krajobraz, który do dzisiejszego poranka należał tylko do niej i był pełen światła. Teraz zaczęła dostrzegać cienie. Były obecne cały czas, ale nie chciała ich widzieć. — Chyba powinnam być wdzięczna za to, że jeszcze liże rany, zamiast mnie szukać. . . — rzekła.

Zaczynasz rozsądnie myśleć, dziewczyno. Gryfy byty moim atutem w walce między Skifem a Mornelithe'em. Skif okazał się szybszy; za to też powinnyśmy być

wdzięczne. To dobry chłopak.

— Zatem — owinęła się ciasniej płaszczem — jeśli poluje z Zimowym Księżycem i sowami, na pewno jada nocą.

Trafne spostrzeżenie — pochwaliła Potrzeba.

— Teraz powinni spać — myślała głośno Nyara. — Chyba dam radę się podkraść i nie zaniepokoić Cymry. Znajdą mnie, gdy się obudzą. Tak, pójdę zaraz.

Mądra dziewczyna — rzekło ostrze. Nyara z ironią zwróciła się do miecza: — Założę się, że wiesz, gdzie oni są. Prowadź! — rozkazała.

Mornelithe Zmora Sokołów wyciągnął się na miękkich poduszkach w zaciemnionej pracowni. Pałał zemstą niczym ranne, oszalałe z bólu zwierzę. Od swojego powrotu nie opuścił gabinetu, był obolały, poraniony zarówno fizycznie, jak i duchowo. Nie chciał jednak okazywać słabości; dla kogoś z jego pozycją było to niedopuszczalne. Każda oznaka zmniejszania się potęgi może obudzić niebezpieczne domysły poddanych.

Podwładni jednak unikali go jak ognia. Wysyłali niewolników z pozywieniem, a ci zostawiali wszystko pod drzwiami. Zresztą zbliżali się do drzwi tylko dlatego, że strach przed chłostą przewyższał strach przed Mornelithe'em. Uciekali natychmiast, uszczęśliwieni, że ich nie zauważył. Czasem tylko pechowy wysłannik napotykał palący wzrok, utkwiony w sobie — oczu świecących w ciemnościach. Potem inni usuwali sprzed drzwi pozostałości po nieszczęśniku. Nie był to przyjemny widok. Zwykle brakowało panu części ciała. Nikt nie próbował ich szukać w komnacie.

Zmora Sokołów wykorzystał własną krew, by otworzyć wielką Bramę w ruinach; zmusił ją do służenia jego celom. Była to jednak próba desperacka, nie wiedział, czy uda mu się uciec, czy starczy mu sił, by otworzyć przejście. Musiał zaryzykować — wołał śmierć niż dać się pochwyć tym przeklętym miłośnikom koni czy ptasim głupcom. Udało się; wyczołgał się z Bramy tuż przy granicy własnej ziemi, po czym upadł i leżał w odrętwieniu cały dzień. Przeżył dzięki zaklęciom siły, w które przezornie się zaopatrzył. Każdy inny na jego miejscu zginąłby, każdego adepta pochłonełaby nicość między Bramami; może kiedyś, gdzieś zostałby wypuszczony, może leżałby martwy, może obłąkany, z pewnością wycieńczony do ostatka. Zabicie Mornelithe'a wymagało czegoś więcej niż siły i zaklęć k'Sheyna czy nawet pułapki Bramy. Przebudził się z letargu wyczerpany i poraniony, bez kropli magicznej energii. Najpilniejszą sprawą stało się zdobycie pozywienia. Szybko złapał zająca i zjadł go wraz ze skórą i kośćmi. Wtedy dopiero mógł się zająć szukaniem schronienia. To nie było zbyt trudne — miał zwyczaj tworzenia kryjówek przy każdej Bramie, nabyty wieki wcześniej i tak ugruntowany, że stał się odruchem. Teraz ten nawyk uratował mu życie. Zmora Sokołów dowlókł się do małej chatki, złożonej ledwie z dwóch pomieszczeń, lecz

obficie zaopatrzonej w żywność, drewno i zioła uzdrawiające. Spędził tam prawie miesiąc, lecząc najpoważniejsze rany. Jego słudzy nie wiedzieli, gdzie go szukać i czy w ogóle żyje, zanim nie dotarł o własnych siłach do domu. Jedynie strach zatrzymał ich na miejscu po jego powrocie — i przeświadczenie, że jeśli uciekną, znajdzie ich i straszliwie się zemści.

Na szczęście byli posłuszni jak zawsze. Tylko kilku usiłowało wywalczyć wolność, widząc jego osłabienie. Nie miał czasu ani ochoty bawić się w dyplomację. Po prostu ich zabił. W ten sposób uspokoił resztę. Dla umocnienia strachu od czasu do czasu zabijał któregoś z niewolników — ot tak, by przypomnieć im, do czego jest zdolny, i by udowodnić, że ich życie leży w jego rękach. Poza tym bawiło go to.

A jednak ciągle cierpiał i żadne zioła ani odpoczynek nie mogły mu ulżyć — cierpiał męki nie zaspokojonej zemsty. Dlatego zabijał niewolników. Jednak ich śmierć nie wystarczała. Tylko trzy istoty mogły zaspokoić głód krwi.

Nyara.

Wbił pazury w skórę fotela. Co z nią zrobi, gdy wreszcie jej dopadnie? Z pewnością ją zabije, ale nie od razu. Nie, Nyara musi umierać powoli, bardzo powoli i długo. Będzie ją torturował, wypełni jej umysł strachem, paniką — tak, by stała się drżącą, szlochającą kupką nieszczęścia. Już nigdy nie będzie tą osobą, która odważyła mu się przeciwstawić. Zniszczy ją; najpierw duszę, potem ciało. Powoli, po kawałku, będzie obdzierał jej skórę, ale ona będzie wciąż żyła, czuła i cierpiała. To, co zostanie, umieści w klatce i powiesi na wieży na uciechę wronom i sępom. A wszyscy inni planujący zdradę zobaczą, co ich czeka. Ona zaś będzie żyła... ciągle żyła. Już jego magia potrafi dopilnować, by nie umarła za wcześnie. Z jej skóry zrobi się dywanik albo pelerynę...

K'Sheyna.

Następny obiekt nienawiści. Cały klan musi zginąć. Dotąd nie zaatakował ich całą mocą, bawił się z nimi jak kot z myszą; teraz jednak będzie ich gnębił po kolei. Najpierw zwiadowcy. Potem magowie. Na samym końcu Gwiazdne Ostrze z synami; porwie ich z Doliny do swojej kwatery, rzuci na kolana, ugnie i upokorzy, by błagali o śmierć. Jednak nie umrą od razu; dołączą do Nyary. A w końcu, gdy w Dolinie zostaną już tylko trupy, wyssie moc z kamienia i wypełni nią całą Dolinę, by przeobraziła się w piekło na ziemi, pełne wzburzonej wody i wrzącej lawy.

I największy wróg, a raczej wrogowie: gryfy. Istoty, które uważał za dawno wymarłe, które wróciły po wiekach i znów się osiedliły w tych stronach, w domu Skandranona. . . „Gryfy. Odwieczni, nienawistni nieprzyjaciele. Dla nich przygotuję coś specjalnego!” — pomyślał.

Zatracił się w rozmyślaniach i zupełnej ciemności komnaty, aż zaszedł na skraj

jawy i snu...

Zobaczył siebie obcymi oczami; był teraz chłopcem z klanu Niedźwiedzia, pochodzącego od klanu Wilków. Nazywał się An'desha shena Jor'ethan z Shin'a'in. Stał na granicy znanego sobie świata i drżał. Nie został jeszcze żołnierzem, a już przestał być Shin'a'in. Nie mógł dłużej przebywać z krewnymi, bo posiadał dar magii, a nie chciał wybrać zawodu szamana. Bogini żądała, by jedynie Jej służący parali się magią na Równinach. — Postawiła przed Shin'a'in takie oto zadanie: utrzymywać magię z dala od swojej ojczyzny. An'desha nie czuł powołania do takiego życia. Dla kogoś takiego jak on została jeszcze jedna droga: wygnanie, przyłączenie się do krewniaków z Tale'edras, Braci Sokołów. Oni posiadali wiedzę o tym, jak korzystać z magii i mogli ją sprawdzać w praktyce oraz uczyć innych.

Dotarł do granicy ziem Sokolich Braci. Wymknął się z domu bez czyjejkolwiek wiedzy, bez rady szamana, gdyż nikt w klanie nie miał pojęcia o jego zdolnościach. Wolał się z nimi nie zdradzać. Wiedział, że jeśli by inni się o tym dowiedzieli, przekonali by go, by został szamanem. Nie odznaczał się szczególnie silną wolą i pewnie w końcu by uległ.

Teraz stał w ciszy lasu i rozmyślał. Może powinien był zwierzyć się szamanowi Vor'kela albo oznajmić swą wolę całemu klanowi, powołać się na przysługujące mu prawo wyboru i zażądać przewodnika do najbliższych Tale'edras?

Jednak dobrze wiedział, że postawiony w obliczu całego klanu ugiąłby się i dał namówić na pozostanie w domu — jako szaman, oczywiście. Nie pozwoliliby mu odejść bez oporu. Na pewno niektórzy stwierdziliby, że taka postawa to skutek wiązania się z cudzoziemkami, wszak jego matka pochodziła z Kata'shin'a'in. Być może inni domagaliby się od niego celibatu, by nie przekazał tego niebezpiecznego daru dzieciom. Nie wymknąłby się łatwo. Raczej załamałby się i poszedł do szamana na naukę. Oznaczało to zmarnowanie życia, lata poświęceń, służby i znoszenia humorów Vor'kela. Nie, nie zniósłby tego. Lepiej było czmychnąć po cichu w poszukiwaniu nowego życia. Wziął tylko swoje rzeczy. Nie złamał żadnych praw. Za to teraz nie miał przewodnika. Nigdy dotąd nie przekroczył granicy Równin; stał na szczycie grzbietu otaczającego ich wklęsłość; przed sobą widział tylko drzewa, wszędzie drzewa, aż po horyzont. Na Równinach nie spotykało się zbyt często drzew. I nigdy takich wysokich; nie mógł dojrzeć wierzchołków, jedynie płataninę gałęzi. Drzewa pochylały się nad nim, jakby go obserwowały. Szumiały, jakby prowadziły rozmowy, jakby gdzieś tam miały własne, ukryte życie.

Z desperacką odwagą zarzucił tobołek na ramię — nie miał konia, zostawił go na początku ścieżki, by znalazł drogę do domu — i wszedł w chłodny cień lasu. Wiedział, jak zazdrośnie Sokoli Bracia strzegą swojej ziemi. Pewnie wkrótce go

schwytają...

Zgubił się już przed południem. Przed wieczorem był zmarznięty i przerażony. Przypomniały mu się wszystkie opowieści o żyjących w lesie dziwnych stworzeniach, z którymi walczyli Tale'edras; dziwne, magiczne istoty, odporne na strzały i sprytnie jak ludzie. Słyszał obce dźwięki; nie wiedział, czy wydawały je nieszkodliwe zwierzęta czy drapieżniki, czy też demony.

Gdyby tylko miał ogień! Wszystkie narzędzia do krzesania zostały w domu — należały do całej rodziny, nie do niego. Mógłby się rozgrzać i odpędzić dzikie zwierzęta. Blask płomienia ściągnąłby do niego strażników Tale'edras. Gdyby miał ogień...

Ale zaraz — czyż magowie nie potrafią rozniecać ogniska bez krzesiwa? Nawet tacy początkujący jak on? Umiał rozpoznać prądy mocy, czuł je nawet teraz pod stopami, czuł je, jeszcze silniejsze, na Równinach. Dlaczego nie miałby ich użyć?

Ledwo pomysł zaświtał mu w głowie, wprowadził go w czyn. W zapadających ciemnościach wygrzebał w mchu płytką jamkę; zebrał trochę chrustu, suchych szyszek i kawałków kory; większe gałęzie położył obok, pod ręką. Zamknął oczy i skoncentrował się na obrazie płonącego ogniska...

I wydarzyło się coś nieoczekiwanego.

Nareszcie!

Z łoskotem wytoczył się z kryjówki w momencie rozpalania ognia i z ogłuszającym rykiem wszedł w ciało chłopca. Jak zawsze. Znów zawładnął czyimś ciałem, by żyć dalej. Odkąd Ma'ar, Mag Ciemnego Płomienia, pokonał Urtha, nauczył się, jak przeżyć wieki, nie tracąc sił.

Użył mocy śmierci swojego ciała, by skryć się w zakątku nicości pomiędzy Bramami; tam trwał pod osłoną czarów. Czekał na właściwą chwilę. Doczekał się. Gdy przybył człowiek z kroplą krwi wielkiego Ma'ara i spróbował rozniecić płomień, uderzył, opanował jego ciało i duszę. Znów żył; znów przybrał widzialną postać. Gdy ta powłoka zginęła, schował się do kryjówki — by znów czekać. Trwało to wieki. Nowe ciała, nowe imiona. Krawlven, Renthorn, Geslaken, Leareth, Zendak.

I jeszcze raz nowe narodziny. Duch chłopca stawiał opór coraz słabiej, cichł, wreszcie umilkł, znikł — wtedy wstąpił w nowe ciało, rozprostował się — miał nowe siły.

Mornelithe. Ja jestem Mornelithe! Wróciłem do życia!

Jego śmiech rozległ się pod gałęziami drzew. Las nagle ucichł przerażony.

Mornelithe zniknął w ciemności. Czas odbudować imperium.

Ocknął się. Od wielu lat nie wracał pamięcią do tej chwili. Dlaczego teraz sobie ją przypomniał? I dlaczego przyszedł mu na myśl duch chłopca, dawno już

nieobecny?

„Nieważne” — powiedział do siebie niecierpliwie. „To się nie liczy. Chyba tylko po to, żeby przypomnieć, jak długo żyję i o ile jestem bardziej doświadczony od innych. O ile silniejszy i mądrzejszy choćby od ptasich głupców. Powiniennem się zająć najpierw gryfami. Gryfy, potem k’Sheyna, a na końcu Nyara.

Przeciągnął się i usiadł. Narastał w nim przygnębienie i rozdrażnienie. W czasach, gdy był Ma’arem, wystarczyłoby wyciągnąć rękę, by schwytać wszystkich wrogów naraz. Ale jego potęga osłabła. Zmiażdżyli go. Pokonali. Dawne imperium skurczyło się do rozmiarów małego kraiku. Musiał polegać na sojuszach, których kiedyś nie ścierpiałby. Przez moment zawstydził się sam przed sobą, że upadł tak nisko. Jednak mógł ciągle działać, choć na mniejszą skalę. . .

Gryfy. Dlaczego one nie tracą energii, nie słabną, wciąż kwitną życiem? Przez chwilę samiec gryfa przybrał w jego umyśle elegancką postać Skandranona. Wargę Mornelithe’a uniosła się z wściekłością. Nie było wątpliwości co do rodowodu tych stworzeń. Nie powinny były przetrwać upadku Urtha, ani one, ani ci nadgorliwi słudzy, Kaled’a’in. Powinni byli zginąć w kataklizmie, który pochłonął Urtha i jego królestwo. Powinno po nich zostać ledwie para dymiących dziur w piasku, by każdy ślad pracy Urtha i jego sprzymierzeńców zaginął na wieki.

A jednak ciągle istnieją. Kaled’a’in, wierni słudzy Urtha, kręcący się wszędzie jako ptasi głupcy i miłośnicy koni. Ucierpieli, lecz przeżyli. Połowa strzeże magii — a raczej tego, co z niej zostało — reszta usiłuje uleczyć ziemię po katastrofie. A wszystkich chroni przekłeta Bogini, tak zainteresowana ich poczynaniami. Gryfy żyją — i to całkiem dobrze — na zachodzie; ostatnio ośmielają się wracać na wschód.

Jak? Jak to się stało?

Zerwał się z posłania i zaczął miotać się po komnacie jak uwięzione w klatce zwierzę. Zbyt długo siedział beczynn timer. Trzeba zacząć działać. Potrzebował czegoś, co wzburzy znów krew, co zatrzyma niepewnych sojuszników, choćby ze strachu. Musi ich przekonać o swej sile, a samemu nasycić się zemstą.

Nyara. Ich najślabszy, najwrażliwszy punkt; dla niego zaś najbardziej osobisty wróg. A jednak w niewytłumaczalny sposób znalazła się poza jego zasięgiem. Szukał jej od chwili powrotu, na próżno. Sięgał tak daleko, na ile pozwalały mu nadwątlone siły. Nie było po niej ani śladu. A raczej — coś ją przed nim skrywało, bo gdyby zginęła, szybko by się o tym dowiedział. Moc, którą w niej związał, wróciłaby do niego. Tak się jednak nie stało. Ktoś ją ukrył.

K’Sheyna?

Możliwe, choć zaskakujące. Uważał ptasich głupców za zbyt skrupowanych odwieczną nienawiścią do Zmiennolicej, by potrafili rozpoznać w niej sojusznika. Czyżby się jednak przełamali i to na tyle, by użyczyć jej gościny? Czy to w ogóle możliwe? Sądząc z zaciekłości, z jaką walczyła po stronie przekłetej Mrocznego Wiatru — możliwe. . . Właściwie nawet prawdopodobne, jeśli głębiej

to rozważyć.

Gryfy...

Długo czekał na sposobność do ataku, ale czas zemsty jeszcze nie nadszedł. Zresztą je też chronili k'Sheyna. Mógłby je co prawda złapać w zasadzkę, jednak nie miał przy sobie żadnego dobrego maga. Ostatni zginął podczas szukania składników czaru. Sam musiałby zadać cios, a to ryzyko, zbyt mało wiedział o gryfach.

W takim razie zostawali k'Sheyna. Wybór najbardziej logiczny, jeśli Mornelithe miał wyrzucić wrażenie na sprzymierzeńcach. Musiałby zadać klanowi dotkliwe straty i to jednym szybkim ciosem w chwili najmniejszej czujności. Gdyby mu się powiodło, nikt z dotychczasowych sojuszników i podwładnych nie ośmielił się go opuścić. A ptasi głupcy przekonają się, jak niebezpieczne jest udzielanie schronienia obcym. Jeśli Zmora Sokołów się postara, zada cios w taki sposób, jakby pochodził od jednego z nich — wtedy k'Sheyna przestaną ich chronić, a w jego ręce wpadną, oprócz Nyary, także obcy i gryfy.

Tak, wtedy sięgnie po drogą córeczkę — i jej skrzydlatych przyjaciół...

Ci dziwni cudzoziemcy... Dziewczyna dysponowała zdolnościami pozwalającymi jej osiągnąć status adepta. Ostatnio, kiedy ją widział, stwierdził, że dopiero zaczęła się uczyć. Z pewnością ktoś z k'Sheyna podjął się dalej ją kształcić, a niedouczone magów najłatwiej pokonać. Po śmierci Nyary obca przyda mu się jako nowa zabawka. Tak robi: zabije mężczyznę, ale kobietę zatrzyma przy życiu. Ona przeniesie jego ducha w następne pokolenia, skoro Nyara zdradziła. Może lepiej będzie dokonać transformacji w ciało cudzoziemki, nie czekając na śmierć dotychczasowej powłoki. Tak. To dobry pomysł. Świetny pomysł. Przyda mu się młoda, zdrowa, pełna energii postać. Tak... zostało więc tylko jedno pytanie: jeśli najpierw uderzyć w k'Sheyna, to gdzie?

Jego wargi zacisnęły się w nieprzyjemnym uśmiechu. „A gdzieżby, jak nie w najsłabszego ze stada? Ptaszka bez piór i prawie bez duszy? Gwiazdne Ostrze już się nie oprze mojej przewadze. Pewnie uważają mnie za zmarłego i są nieostrożni” — rozmyślał.

Atak na starego maga nie wyrządzi dużej krzywdy klanowi. Jednak jeśli wykorzysta powiązanie tego człowieka z kamieniem, jeśli dokończy, co wcześniej zaczął...

„Niszcząc kamień, zniszczę prawie wszystko, co żyje w Dolinie, a przynajmniej to, co się liczy. Połowa magów zginie w pierwszej chwili uwolnienia mocy kamienia. Jeśli nie mogę go kontrolować, użyję go jako pocisku”. Przy odrobinie szczęścia zginą też gryfy; ale to nie będzie jeszcze pełnia zemsty. O wiele bardziej ucieszyłyby go poranione, słabe, poddane jego woli gryfy. To sprawiłoby mu dużą przyjemność.

Rzucił się z powrotem na łożo, przeżuł ostatni kęs ciała byłego sługi i zaczął

uściślać plan napadu.

Pieśń Ognia uznał, że Dolina leży zbyt blisko kamienia, by w niej uprawiać magię. Mroczny Wiatr w zasadzie podzielał jego zdanie, ale bynajmniej nie zachwyciło go miejsce wybrane przez uzdrowiciela na plac ćwiczeń. Przede wszystkim trudno było tam dotrzeć. Małą polankę stworzono jako kryjówkę kochanków; kiedyś świetnie nadawała się na schadzki, ale od dawna porastały ją chaszczce i zielsko. Trzeba było przeciskać się między spletanymi pędami winorośli i krzewami po to, by po dojściu do celu ujrzeć taki sam gąszcz.

— Oczyszcicie ją — rzucił Pieśń Ognia i usiadł na kamieniu. Mroczny Wiatr zmiął w ustach niezbyt uprzejme słowa, widząc nonszalancję uzdrowiciela. Kiedyś Elspeth wystawiała jego cierpliwość na próbę, ale wszystkie kłopoty z krnąbrną księżniczką stawały się nieistotne przy tym człowieku, było nie było, jego rodaku. No, może tylko ojciec mu dorównywał.

Uzdrowiciel nawet na nich nie spojrział; przywołał swego śnieżnobiałego piezrastego przyjaciela i zaczął go karmić owocami i pączkami kwiatów. Oni tymczasem wyrywali rękami złośliwe chwasty; użycie magii do tak prostej czynności byłoby głupotą.

— Może być — powiedział wreszcie Śpiew Ognia, gdy ukazała się ziemia, a wszystkie siedzenia wychynęły na światło dzienne spod zwisających nisko gałęzi. — Wracamy do podstaw. Mroczny Wietrze, sięgnij do prądu biegnącego pod nami.

„Do podstaw? Po co? Nie dowierza naszym umiejętnościom?” — Mroczny Wiatr nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Posłuchał jednak.

— Stój — przerwał zdecydowanie adept, gdy Mroczny Wiatr starannie zakotwiczył swoją moc w ziemi, a potem skoncentrował się, by włączyć się w strumień energii. — Co robisz?

— Uziemiam moc — odparł Mroczny Wiatr, z trudem powstrzymując się od dodania: „Każdy dureń by to zauważył”. Było oczywiste, iż Śpiew Ognia miał swoje powody, zadając głupie z pozoru pytanie. Słońce przeświecało przez liście, budząc błyski na włosach adepta. Tego ranka ubrał się on na niebiesko, pod kolor własnych oczu. Wyglądał tak, że mógłby zdobyć każdą kobietę w Dolinie... i niejednego mężczyznę.

— Dlaczego? — spytał adept, przerzucając włosy przez ramię. — Dlaczego tak robisz?

— Bo tak mnie uczono. Jeśli... — przypomniał sobie dawne lekcje — jeśli nie odprowadzę części mocy, zanim sięgnę po energię prądów, ich siła zwali mnie z nóg. — Jego rozdrażnienie znów rosło. Dlaczego Śpiew Ognia tak wypytuje? Co to za różnica, dlaczego tak się robi? Tak się po prostu postępuje.

— Wszystko to piękne — odparł Śpiew Ognia z tym samym uśmiechem, do-

prowadzającym do szału i ze spojrzeniem mówiącym więcej niż opasłe tomiska — ale jeśli rozluźnisz osłony już po przejściu mocy strumienia, co wtedy będzie? I dlaczego topisz swoją energię zawsze w ziemi pod stopami, a nie gdzieś indziej?

Mroczny Wiatr wpatrzył się w adepta, niezdolny odpowiedzieć. Śpiew Ognia ciągle podważał wszystko, czego go dotąd uczono.

— Pokażę ci, jak to się robi — Młody adept skoncentrował się i odesłał moc w mgnieniu oka w ziemię; sięgnął do podziemnego prądu i wchłonął jego energię, następnie wtopił ją w swe osłony z łatwością, która wzbudziła ukłucie zazdrości w sercu Mrocznego Wiatru. Wtedy uwolnił zatopioną w ziemi energię. — Uderz mnie. Z całej siły. Nic się nie bój.

Jego osłony pozostały w tym samym miejscu, wbrew przypuszczeniom Mrocznego Wiatru. Uderzył — tym razem z większą siłą, niż zamierzał; podświadomie zawarł w ciosie całą frustrację, jaka narosła w nim od czasu przybycia adepta. Ten cios, gdyby był dobrze wymierzony, mógł wyrządzić prawdziwą krzywdę; wzmocniły go urażona duma i gniew. Powinien całkowicie zmiażdżyć osłony przeciwnika, przynajmniej zewnętrzne. Zamiast jednak stawić opór, nie zakotwiczone w ziemi osłony rozstały się. Mroczny Wiatr patrzył oniemiały, jak jego wściekłe uderzenie jedynie nieco je skrzywiło; energia ataku nie została ani wchłonięta, ani odbita; jej strumień zakrzywił się, odchylił na zewnątrz, zawirował i odpłynął. Mag stał nieporuszony.

— To niebezpieczne, kuzynie — powiedział chępliwie adept, wciąż otulony osłonami, bezpieczny jak w domu. — Ktoś sprytny zauważy od razu, że strumień energii płynący z prądu do mnie, nie uziemiony, jest mało odporny na atak. Wtedy mógłby otoczyć mnie moimi własnymi osłonami, a potem, zamiast miotać ciosy, skierować jeden dobrze wymierzony promień energii w mój najsłabszy punkt. Ale jeśli na to nie wpadnie, nic mi nie grozi, za to wróg strwoni swe siły bezużytecznie. Nie muszę się nawet obawiać zatrutej magii, bo nie dociera ona ani do mnie, ani do moich tarcz.

Ku niezadowoleniu Mrocznego Wiatru Elspeth skinęła głową z wyrazem najwyższego podziwu. — Sprytny przeciwnik stworzyłby również wokół ciebie wir magicznych piorunów — zauważyła. — One zniszczą twoje ochronne tarcze w mgnieniu oka i choć tobie nic nie zrobią, jednak stajesz się bezbronny.

— Mimo wszystko taki wir nie przydałby się na wiele, Skrzydlata Siostrze — rzekł adept, uśmiechając się do niej, co wywołało nową falę zazdrości „kuzyna”. Mroczny Wiatr przygryzł wargę i spojrzał w bok, na płataninę winorośli na skraju polany. — Wir, który uniesie i zniszczy zakotwiczone w ziemi osłony, te ledwie parę razy obróci. Zaczną się kręcić wokół mnie, jednak na mnie nie wywrze to żadnego wrażenia, bo nie jestem z nimi związany.

— Rozumiem. — Na próbę wystrzeliła w osłony małą wiązkę mocy; tarcze tylko się ugięły. — Ciekawe — stwierdziła. — Czyli jeśli wróg nie wie, że można tak się bronić, pozwalasz mu właściwie samemu się wykończyć.

Śpiew Ognia opuścił osłony. — Właśnie — powiedział. — Trochę gry aktorskiej zachęci go do dalszych ataków w nadziei, że zaraz padnę. A teraz trudniejsze zadanie: zakotwiczenie mocy, ale nie w ziemi. — Twarz adepta spoważniała na chwilę. — Uważaj, kuzynie. Pokażę ci sztuczkę, na którą może sobie pozwolić tylko bardzo silny mag, ale nigdy bezkarnie. Myślę, że umiałbyś to zrobić, ale jest to bardzo niebezpieczne.

Ponownie skoncentrował moc, uziemił ją i wzniosł osłony — wszystko tak szybko, że nie zdążyli nawet zauważyć, kiedy tego dokonał. Wyglądał zupełnie normalnie — o ile kiedykolwiek wyglądał normalnie. Mroczny Wiatr przyjrzał mu się uważnie.

— Gdzie twoje umocnienia? — spytał zaskoczony.

— Chciałbyś wiedzieć, prawda? — Młody mag wyraźnie z niego drwił. — Szukaj! Już wiesz, że nie w ziemi pode mną. Szukaj gdzie indziej! Może w powietrzu? A może tylko ci się wydawało, że uziemiam moc?

Elsbeth potrząsnęła głową, kompletnie zbita z tropu. Jednak Mroczny Wiatr nie tak łatwo dawał za wygraną. Obejrzał dokładnie adepta, nie zwracając uwagi na jego ironiczny uśmiech. Potem sięgnął magicznym wzrokiem poza realny świat, na Równiny Mocy. Tam znalazł to, czego szukał; na myśl o zuchwalstwie adepta oblał go zimny pot. Spojrzał na niego; nie mieściło mu się w głowie, że Śpiew Ognia stał sobie spokojnie, jak gdyby takie sztuki były dla niego chlebem codziennym. Może były. Ale wtedy byłby to najodważniejszy mag, jakiego Mroczny Wiatr kiedykolwiek spotkał. Albo najgłupszy. Albo i jedno, i drugie.

— Zakotwicyłeś energię pomiędzy Bramami! — wykrztusił po chwili. — Nie wierzę! Przecież mogłeś ściągnąć na nas nawałnicę! Stracić całą moc!

Śpiew Ognia wzruszył ramionami, ściągnął moc z powrotem i opuścił osłony. — Powiedziałem: nikt nie robi tego dla zabawy. Nie próbowałbym tego, gdyby ktoś w pobliżu podtrzymał Bramę, ani w czasie burzy. Miejsce pomiędzy Bramami działa na energię magiczną jak magnes — stwierdził. — Jeśli chcesz wyczerpać wroga, zakotwicz swoją moc jak zwykle — tyle że nie w ziemi, a właśnie tam — i pozwól mu zmarnować siły na daremne ataki. Jego moc wsiąknie w grunt i pozostawi go bezbronnym, ty zaś nie stracisz więcej energii niż na zwykłe osłony. — Wyciągnął długą, piękną rękę w kierunku zdziwionego maga. — Dotknij jej — rozkazał. Mroczny Wiatr usłuchał; była zimna jak lód. — W tym tkwi niebezpieczeństwo. To miejsce wchłania energię, także twoją. Możesz tylko mieć nadzieję, że przetrzymasz wroga, jeśli oprzesz tu swoją moc; najlepiej sprowokować go do ślepej furii, wtedy masz szansę zwyciężyć. — Potem zwrócił się do Elspeth, będącej wyraźnie pod wrażeniem: — Nie wierz nikomu na słowo, Skrzydlata Siostrze. Czegokolwiek cię uczono, w magii można dokonać prawie wszystkiego, choć reguły nie zawsze o tym mówią. Chodzi tylko o to, czy rezultat wart będzie wysiłku.

Pochlebiał mu podziw wypisany na jej twarzy. Tak, bez wątplenia Śpiew

Ognia zdobył sobie prawo do arogancji. Jego pobratymcy nie przesadzali, nazywając go potężnym nowatorem. W dodatku genialnym. . .

Ale wszystko to nie znaczyło, że Mroczny Wiatr zmienił swój stosunek do przemądrzałego młodzika.

Pod koniec dnia, gdy on już padał z nóg, Śpiew Ognia wyglądał równie rześko jak rankiem, kiedy zaczynali. Mroczny Wiatr zamierzał dać hasło do zakończenia ćwiczeń, ale adept uprzedził go.

— Wystarczy — podsumował z chłodną aprobatą. — Przynajmniej na coś się już przydadacie. Jutro zajmiemy się czymś innym.

Z tymi słowy odwrócił się na pięcie i odszedł za swym ptakiem, znikając w gąszczu zieleni.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Mroczny Wiatr włókł się z Elspeth w kierunku jej ekele. Szli do niej, bo było bliżej, a bez odpoczynku i posiłku mag nie dotarłby do siebie. Cieszył się, że dzień jeszcze trwał; nie zapadł nawet wieczór. Gdyby ściemniło się na tyle, by zapalić magiczne światła, pewnie upadłby tam, gdzie stał, i już się nie podniósł.

— I co myślisz o Śpiewie Ognia? — zaczęła Elspeth, gdy mijali łagodny zakręt tonący w kwitnących krzewach. Z daleka mignął mu ogon hertasi, rozpraszając go na chwilę. W następnej rzucił dziewczynie podejrzliwe spojrzenie. Jednak jej twarz, jak i głos, pozostały obojętne.

— Cóż, z pewnością to doskonały mag — przyznał niechętnie. — Łamie uświęcone zasady i osiąga sukcesy. Jednakże nigdy w życiu nie spotkałem kogoś równie przemądrzałego.

— Ma do tego pełne prawo — odparła Elspeth, zwiększając jego irytację. — Wiesz, wielu ludzi uważa zbrojmistra Albericha albo Kero za arogantów. I mają rację. Jednak istnieje poziom umiejętności, który zezwala na tego rodzaju postawę...

Nie odpowiedział. Nie mógł, jeśli chciał zachować spokój. W pewnym sensie Elspeth miała całkowitą słuszność. Jeśliby wspomniał o arogancji adepta ojcu czy Lodowemu Cieniowi, usłyszałby, że to tylko pewność siebie i duma z własnych umiejętności.

Śpiew Ognia był najlepszym magiem, jakiego Mroczny Wiatr spotkał w życiu; prawdopodobnie najlepszym ze wszystkich magów. Nie tylko był uzdrowicielem, lecz i nowatorem, błyskotliwym, twórczym geniuszem. Jednak nie brawurowym — na poziomach jego działania brawura oznaczała śmierć — ale dysponującym wystarczająco dużą wiedzą, by podejmować ryzyko i wygrywać o włos. Był o niebo lepszy od Mrocznego Wiatru — teraz i kiedykolwiek. Lepszy od każdego innego maga. A taka konkluzja bynajmniej nie brzmiała przyjemnie. Mroczny Wiatr nie przywykł do zajmowania drugiego miejsca. Raniło to jego dumę równie mocno, jak drażniło go zachowanie adepta. W dodatku ten pyszałek był tak przystojny! Elspeth otwarcie go podziwiała, co już było trudne do przyjęcia, a przecież od podziwu do czegoś bardziej osobistego, może nawet fizycznego, pozostał tylko krok...

W tym momencie uświadomił sobie, że zżera go całkiem nieuzasadniona zazdrość. „Koniec. Myśl, co ci się podoba, ale uważaj, co mówisz. W tej chwili nieostrożne słowo mogłoby się wymknąć bardzo łatwo, ale też nie ma lepszego sposobu, by ją zrazić, niż rzucać oskarżenia, do których nie masz prawa” — próbował siebie przekonać. Elspeth nie przełknęłaby gładko czegoś takiego. Nieważne, że wszystkie zalety Śpiewu Ognia zjednały mu tłum zagorzałych wielbicieli. Jeśli Elspeth zechce do nich dołączyć, on nie ma nic do gadania. „Ona nie należy do ciebie. Zgodziła się dzielić z tobą rozkosz, ale to nie daje ci żadnych praw. Nawet jeśli zechce dalej dzielić z tobą łożę, albo z tobą i Śpiewem Ognia, nie wolno ci żądać od niej żadnych deklaracji wierności. Może cię nawet rzucić dla niego... to jej wybór” — tłumaczył sobie.

— Nad czym tak rozmyślasz? — spytała Elspeth.

— Chyba... mogę być przewrażliwiony na punkcie Śpiewu Ognia. — Było to jedyne ostrzeżenie, jakiego mógł jej udzielić. Miał nadzieję, że wystarczy. — W sprawach magii jest jednak prawie nieomylny. Nie znałem dotąd kogoś tak utalentowanego, z wyjątkiem Zmory Sokołów.

— Chce spróbować zupełnie nowej metody postępowania z kamieniem — powiedziała. — Mogliśmy tak przypuszczać, ale szczerze mówiąc, nie spodziewałam się w tym uczestniczyć. — Uśmiechnęła się. — W takim razie do czegoś jednak się nadajemy.

Mroczny Wiatr ujrzał nagle sposób na odzyskanie choć części urażonej dumy, zwłaszcza jeśli adept planował uczyć ich razem. Nie tylko Śpiew Ognia próbuje nowości...

Po chwili dołączyła do nich Gwena. Mroczny Wiatr przełknął cisnące mu się na usta pytania: „Czy on ją pociąga? Jak bardzo? Czy Elspeth ma zamiar poprosić go, by dalej ją uczył, zamiast mnie? A jeśli tak, to czy po ujarzmieniu kamienia pójdzie z nim do k'Treva?” Nie powinno go to obchodzić, ale nie mógł nic poradzić. Nie mógł jej do niczego zmusić. Dzieliła jego łożę, on — jej, ale przecież nie pochodziła stąd, z Doliny; była obca. Wszystkie wątpliwości dotyczące Nyary i Skifa odnosiły się także do nich dwojga. Tayledrasi po prostu nie opuszczali Dolin. Przysięgali pracować w nich i dla nich. On był Sokolim Bratem, pelagirskim uzdrowicielem zniszczonej ziemi. Ona — następczynią tronu, najważniejszą osobą w państwie, gwarantującą jego spokój i bezpieczeństwo. Nie zostanie tutaj. To niemożliwe. Odejdzie. A on pozostanie w Dolinie, niezależnie od przebiegu wydarzeń.

Zaczął budować dodatkową osłonę wokół swych emocji i resztek dumy. Musi zapanować nad sobą, by jej nie spłoszyć — i tak niedługo się rozstaną. Ale tym będzie się martwić, gdy nadejdzie czas. Wtedy dopiero będzie przetykał łązy — żegnając się ze Skrzydlatą Siostrą, Elspeth.

W jego życiu zostało już niewiele do zrobienia. Nie musiał się śpieszyć jak wiatr gnający burzowe chmury. Pośpiech mógł wszystko zepsuć.

— Elspeth — zaczął z niefrasobliwością, ale trochę przesadzoną — gdy już trochę odetchniemy, co będziemy robić, jakie masz plany na dzisiejszy wieczór?

Gwiazdne Ostrze usadowił się na łożu tuż przy żerdzi zajętej przez Hyllarra i zaczął ptakowi czochrać pióra. Hyllarr niemalże mruczał z zadowolenia, podnosząc raz jedną, raz drugą nogę. Przypominał teraz Karry — ale na tym podobieństwo się kończyło. Stary mag raczej się z tego cieszył, przynajmniej nie prześladowały go wspomnienia dawnego przyjaciela. Hyllarr to Hyllarr, nikt inny. Inteligentny, spokojny, zadziwiający. Udało mu się oczarować nawet Kethrę, odporną na pochlebstwa Vree.

Kethra właśnie usiadła obok i spojrzała z rozbawieniem na ptaka. — Zastanawiam się, jak będziesz go nosił, gdy już wyzdrowieje, ashke — rzekła. — Nawet Zimowy Księżyc nie utrzyma go zbyt długo na ramieniu, a co dopiero ty.

— Zastanowię się nad tym w odpowiednim czasie — powiedział surowo. Miał już parę pomysłów, na przykład kij na ramionach. — Czy twój rodak przyjdzie?

— Powinien zaraz być... — zaczęła, gdy przerwały jej odgłosy kroków na schodach. Zgodnie z przewidywaniami w drzwiach ukazał się Tre'valen. Widać było po nim, że stoczył wewnętrzną walkę. Gwiazdne Ostrze czuł od pewnego czasu, że dzieje się coś złego, a dziś tylko utwierdził się w tym przekonaniu. Klan powinien wiedzieć, o co chodzi.

— Siadaj, szamanie — powiedział łagodnie.

Tre'valen usłuchał. Jego spojrzenie dawało do zrozumienia, iż wie o prawdziwej przyczynie zaproszenia do tego domu. To dobrze. Nadeszły czasy, w których nie dało się zaślaniać prawdziwych uczuć nic nie znaczącymi słowami. Niektórzy z klanu sądzili, że z przybyciem adepta ich kłopoty się skończyły. A przecież on przybył tu pomóc im rozwiązać jeden problem. Po zwycięstwie nad kamieniem wróci do domu, a oni zostaną z resztą kłopotów. Jak bezpiecznie połączyć rozdzielony klan? Co zrobić z Jutrzenką? Co zrobić z Doliną? Jak postąpić z córką Mornelithe'a, stanowiącą zagrożenie dla nich wszystkich i samą będącą w niebezpieczeństwie, póki żyje jej ojciec? Jak się dowiedzieć, co stało się ze Zmorą Sokołów i jak go pokonać, jeśli mimo wszystko przeżył?

— Był czas — zaczął Gwiazdne Ostrze — gdy mogłem sobie pozwolić na rzucanie aluzji i półsłówek. Teraz nie mam sił na dyplomację. Tre'valenie, twoi bracia i siostry z klanu wiedzą, dlaczego Kethra jest tutaj i dlaczego Kra'heera prosił, by u nas została. Była już wtedy Skrzydlatą Siostrą i potrzebowaliśmy jej pomocy. — Kethra wzięła go za rękę i uścisnęła w milczeniu. Mag uśmiechnął się do niej, czerpiąc odwagę i siły z jej poparcia. — Kra'heera prosił, byśmy przyjęli także ciebie, bez zbędnych wyjaśnień. Dotąd stosowaliśmy się do tej prośby, teraz jednak, jak sądzę, nadszedł czas, byś zaczął mówić.

Tre'valen poruszył się niespokojnie i spojrzał na Kethrę. — Nie szukaj u mnie

pomocy, bracie — odparła na tę niemą prośbę. — Zgadzą się całkowicie z Gwiezdnym Ostrzem.

Szaman westchnął ciężko. — To z powodu Jutrzenki — zaczął niezręcznie.

Gwiezdne Ostrze pokiwał głową. — Tak przypuszczałem — rzekł sucho. — Chętnie dowiem się czegoś bliższego.

Tre'valen wyraźnie czuł się bardzo zakłopotany, bardziej, niż — jak sądził mag — uzasadniała to sytuacja.

— Kra'heera wysłał mnie na jej poszukiwanie — rzekł szaman. — Miałem też z nią porozmawiać. Podobno stała się wcieleniem Gwiazdzistockiej, ale zupełnie nie znanego nam dotąd rodzaju. Jak się zdaje, wy też nie wiecie, co o tym myśleć. Kra'heera chciał, bym, o ile to możliwe, odkrył znaczenie wszystkich tych dziwnych wydarzeń. Nigdy dotąd nie zetknęliśmy się z czymś takim. Nawet Kra'heera czuł się zagubiony. . . — Przerwał i potarł nos, odwracając wzrok od przenikliwego spojrzenia maga.

— Nowe rzeczy po prostu nie zdarzają się na Równinach, ashke — wtrąciła Kethra. — Gwiazdzistocka wołała zwykle pielęgnować to, co istnieje, niż zmieniać.

Jednak Gwiezdne Ostrze, obserwując uważnie szamana, doszedł do wniosku, że nie usłyszeli jeszcze wszystkiego. Zastanawiał się, co Tre'valen ukrywa. Nagle przypomniał sobie jego twarz i oczy wpatrzone w ptaka, który mógł być Jutrzenką. Niezbyt często widział ten szczególny wyraz twarzy, ale zawsze znaczył on to samo. — Tęsknisz za nią, prawda? — spytał spokojnie. Z cieniem satysfakcji ujrzał, jak Tre'valen niemal podskoczył; zaczął mamrotać o emocjach i właściwym dystansie.

— Starczy — przerwała młodszemu koledze Kethra. — Gwiezdne Ostrze ma rację. Powinnam była cię rozszyfrować od razu. Ona cię zafascynowała. Może nawet zakochałeś się w niej.

— Ja. . . — Tre'valen patrzył z niepokojem to na Gwiezdne Ostrze, to na jego przyjaciółkę, lecz bardzo szybko skapitulował. — Macie rację — powiedział zmęczonym, niemal żalonym głosem. — Zakochałem się. Próbowałem wybić to sobie z głowy, wmówić sobie, że to zwykłe zaślepienie, ale nie dałem rady. Nie wiem, co znaczy słowo „miłość”, lecz jeśli w miłości stawia się dobro drugiej osoby nad własne, w takim razie muszę być zakochany. Nie mam pojęcia, co zrobić. Nigdy dotąd nic takiego mi się nie zdarzyło.

Co innego snuć podejrzenia, co innego przekonać się o ich słuszności, zwłaszcza z ust zainteresowanego. Gwiezdne Ostrze zerknął na Kethrę, szukając pomocy, ona jednak zacisnęła usta i wzruszyła ramionami. Również nie wiedziała, jak się zachować. Wplątali się w kabałę. W dodatku byli na prostej drodze do obrażenia Bogini. . .

— Czyżby Gwiazdzistocka nie przesłała ci żadnego znaku? — zaryzykował Gwiezdne Ostrze. — Żadnej wzmianki o jej własnej opinii?

Tre'valen potrząsnął głową. — Tylko tyle, że pozwala nam się spotykać w tym świecie lub w świecie ducha — rzekł. — Zesłała też Jutrzence te niezwykle wizje, o których wam mówiłem, wizje o powrocie starożytnej magii, o potrzebie zjednoczenia ludzi i o zmianach, ale nie wiem, jakich.

Gwiezdne Ostrze przymknął na chwilę oczy, ale nie znalazł odpowiedzi. Zaczął więc rozważać sprawę. Jutrzenka nie umarła, przynajmniej nie w sensie, jaki się zwykle przypisuje temu określeniu. Mornelithe Zmora Sokołów zniszczył jej ciało, lecz dusza przeżyła w ciele ptaka. Zwykle taka tragedia oznaczała powolny zanik wszystkiego, co ludzkie, aż wreszcie zostawał jedynie niedołączony umysłowo drapieżnik, który mógł wegetować przez jeszcze jakiś czas. A jednak w tym przypadku ktoś o wiele potężniejszy zainteresował się losem dziewczyny i stworzył całkiem nową istotę. Jutrzenka nie stała się leshya, jak u Kal'enedral — duchem, czasem goszczącym w świecie śmiertelników. Nie mogła też, jak magowie, składać wizyt w świecie ducha. Żyła w obu światach naraz, a jednak nie należała do żadnego z nich. Wydawało się, że Wojowniczką Shin'a'in stworzyła ją tylko po to, by następnie zostawić własnemu losowi. Choć przecież mogło być całkiem inaczej — Bogini nie opuściła jej, lecz pozwoliła samodzielnie dojrzeć.

— Jedyne, co mogę ci poradzić, to zachować ostrożność — odezwał się wreszcie mag. — Wypływasz na niebezpieczne wody; nie wiem i nikt nie wie, jakie prądy i wiry kryją się pod powierzchnią. Cokolwiek to jest, jest groźne.

— Wiem — przemówił Tre'valen po długiej przerwie. — Wiem o tym wszystkim. Gwiazdzistooka chce zatrzymać Jutrzenkę dla siebie, lecz nie objawiła, w jakim celu. Pewnie nie pochwała moich zamiarów i pragnień.

Gwiezdne Ostrze rozłożył tylko ręce.

— Nie jestem szamanem, jak ty. Mówię tylko: bądź ostrożny i rozważ najpierw, co okaże się lepsze dla Jutrzenki i tych, którym przyrzekłeś służyć.

— Zapamiętam — odrzekł Tre'valen, podnosząc się i ruszając do wyjścia. — Przekażę wam wszystko, co zobaczę. I — co czuję.

Skłonił się, odwrócił i zbiegł po schodach. Pozostał po nim nastrój przygnębienia i niepewności. Kethra długo jeszcze siedziała bez słowa, trzymając rękę Gwiezdnego Ostrza.

Mroczny Wiatr potrząsnął głową, odrzucając mokre włosy na ramię. Pot spływał mu po twarzy i szczypał w oczy, ale nie liczył się zmacony wzrok zewnętrzny, lecz to, co podsuwała pamięć. Mniejsza o to, że pokłócił się z Elspeth na zaledwie jedną miarkę świecy przed Przyłączeniem do Śpiewu Ognia na placu ćwiczeń; mniejsza o to, że zostawił ją, nie dając szansy odpowiedzieć na raniące ją słowa, wypowiedziane mimo woli. W czasie ćwiczeń oboje stanowili jedno, nieporozumienia poszły w niepamięć.

Nie oczekiwał tego. Zaskoczyła go, gdy bez wahania przyłączyła swą moc do

jego mocy. Oczywiście nie mógł okazać się gorszy. Nie pozwalała mu na to dumna. Maleńkim fragmentem umysłu, nie zajętych ćwiczeniami, zastanawiał się, czy sam nie sprowokował kłótni w nadziei, że Elspeth obrazi się i przerwie szkolenie pod kierunkiem Śpiewu Ognia.

Ten tymczasem w pełni potwierdzał trafność swego imienia; jego moc wyładowała się w iluzorycznych płomieniach i podsycającej efekt muzyce bębnow. Mrocznemu Wiatrowi ułatwiło to śledzenie posunięć adepta, z pomocą przyszedł mu trening tancerza. Zaczął tańczyć wewnątrz koła, zamknawszy oczy. „Zanim to się skończy, mam szansę sporo zeszcupleć... i na pewno poprawić swoje taneczne umiejętności” — pomyślał.

Elspeth uzupełniła jego taniec pokazem, o jakim dotąd tylko słyszał: pasmami światła, biegnącymi w różnych kierunkach, wplątanych w taniec i muzykę, w dziwny sposób jednoczącymi je.

Prawdopodobnie Śpiew Ognia również nie zrozumiał posunięcia Elspeth, gdyż widząc jej świetlną pajęczynę, spróbował stworzyć wokół niej rodzaj naczynia, by złapać i przytrzymać uciekające nici. Nie udało mu się — punkt dla nich — sieć owinęła się wokół niego. Zdołał się wyplątać, zanim nitki zacisnęły się i zniknęły z lekkim plaśnięciem, ale klęska minęła go o włos. Odtąd zaczął wprowadzać ich w zawiłości swych metod, zamiast powtarzać podstawy. Coraz częściej używał magii jako broni — czasem jako prawdziwej broni. Mroczny Wiatr czuł, że za chwilę coś się stanie i rzeczywiście: Śpiew Ognia stworzył dla nich wroga — ćwiczebnego, ale dysponującego magiczną energią.

Mroczny Wiatr zmienił taktykę. Ujrzał nad sobą światło, rozpinające płaszcz ochronny. Elspeth zaskoczyła ich obu, adept oczekiwał raczej magicznego ostrza. Jednak dziewczyna miała własne plany. Może zauważyła zmęczenie towarzysza i zdecydowała się na obronę, nie na atak. W każdym razie Mroczny Wiatr podążył za jej myślą; energia nad nimi przybrała kształt jaśniejszej klepsydry, podwójnej osłony; stwór adepta syczał, daremnie próbując przez nią się przebić. Ściany osłon migotały i zwijały się jak prawdziwy płomień, więc napastnik nie mógł przyssać się do żadnej na tak długo, by ją uszkodzić; ogniste włócznie skręcały się wściekle, lecz nie mogły przebić tarczy. „Ten stwór wysuwa języki ognia jak ślimak różki. Hm. Może uda się to wykorzystać” — rozmyślał. W następnym ataku Mroczny Wiatr wypróbował nową strategię. Osłona nagle zaczęła się lepić, o ile można tak powiedzieć o energii.

Bębnienie ucichło. Mroczny Wiatr tańczył siłą rozpędu, pozwalając mocy wrócić do podziemnego prądu, by nie wisią w powietrzu, grożąc nagłą błyskawicą. W końcu on także się zatrzymał i otworzywszy oczy, spojrzął nieco nieprzytomnie na nauczyciela.

— Niezłe posunięcie — stwierdził spokojnie Śpiew Ognia. — Ja bym to rozwiązał inaczej, ale udało wam się obronić, a to najważniejsze...

— Mroczny Wiatr nie mógłby pokonać tej rzeczy — wtrąciła Elspeth zmę-

czonym głosem. — Poprzednie ćwiczenia za bardzo nas wyczerpały.

— Dlatego na poczekaui wymyśliliście obronę i atak za jednym zamachem. — Śpiew Ognia uśmiechnął się do Elspeth, a Mroczny Wiatr z trudem zwalczył przyływ irracjonalnego gniewu. — Shin'a'in powiadają: „Jeśli nie podoba ci się walka, zmień reguły”. Nieraz wypróbowałem użyteczność tej zasady.

Śpiew Ognia wyglądał, jakby przeszedł spacerkiem Dolinę; mimo wściekłego bębnienia nie zwichrzył mu się ani jeden włos, ani jedna fałda ubrania nie skrzywiła.

„Oczywiście. Jak zwykle bez skazy” — pomyślał rozdrażniony tym Mroczny Wiatr.

Zgodnie z przewidywaniami Mrocznego Wiatru uzdrowiciel zdobył wielką popularność wśród k'Sheyna, zarówno ludzi, jak i innych stworzeń. Piękno i moc przyciągają każdego, a Śpiew Ognia miał i jednego, i drugiego w nadmiarze. Przyjmował hołdy, jakby mu się należały — co zniechęcało wielbicieli. Elspeth też.

Co do hertasi — to ekele przybysza wprost się nimi zaroilo. Gdyby zechciał, pewnie nie musiałby nawet sam się myć, ubierać i jeść, ale chyba jednak wolał to robić osobiście.

„Oho, Mroczny Wietrze, pokazujesz pazury” — powiedział do siebie.

Ale jakim cudem Śpiew Ognia przeszedł bez uszczerbku przez wszystkie trudy ćwiczeń? „Ponieważ jest wielkim magiem i adeptem, większym, niż ty lub ktokolwiek w klanie — przypuszczał. — Pewnie jego moc rośnie z roku na rok. Elspeth i inni mają absolutną rację, podziwiając go. I nic dziwnego, że zachwyca się sobą i swoimi możliwościami. . .” — odpowiedział sobie.

— Jesteście już prawie gotowi — stwierdził Śpiew Ognia, wstając i odkładając bęben do ozdobnego kuferka, na którym siedział. — Świetnie współpracujecie. Jutro zaczniemy planować, jak ujarzmić wasz zbuntowany kamień, zgoda?

Mroczny Wiatr przytaknął, lecz adept jeszcze nie skończył. Elspeth odeszła od razu, zmierzając w stronę gorących źródeł, a Mroczny Wiatr został, gdyż uzdrowiciel pochwycił go za łokieć.

— Między tobą a cudzoziemką zaszło coś niedobrego — stwierdził raczej niż spytał Śpiew Ognia. Mroczny Wiatr unikał jego wzroku. Nie mógł zdobyć się na odpowiedź. — Także między tobą a mną powstały zadrażnienia.

Mroczny Wiatr podniósł głowę, czując powracającą niechęć. — Nic, z czym bym sobie sam nie poradził — rzekł, powstrzymując się od sarkazmu.

Śpiew Ognia spojrział na niego dziwnie, sadowiac się z powrotem na skrzyni. Skrzyżował nogi i splótł ręce na kolanie. Wreszcie przemówił: — Mroczny Wietrze, zajmuję się magią, odkąd postawiłem pierwsze kroki. Moje włosy zbielały, nim skończyłem dziesięć lat. Zawsze stawiano mi przed oczy wzór do naśladowania: mojego pra-pra-przodka, herolda Vanyela Ashkevrona z Valdemaru. Elspeth nie ma pojęcia o moim pochodzeniu.

— Ale... — zająknął się mag — dlaczego?

— To długa historia, ale postaram się ją streścić. — Adept wyciągnął rękę, na którą z gałęzi nad nimi sfrunął jego ptak. — To nasza rodzinna tradycja, przekazywana od czasów przybranych rodziców Jasnej Gwiazdy — Gwiezdnego Wiatru i Tańczącego Księżyca. Kobieta z k'Treva chciała mieć dziecko, ale nie odpowiadał jej żaden mężczyzna z klanu. Również Tańczący Księżyc i Gwiezdny Wiatr pragnęli zostać rodzicami. Vanyela znał i szanował cały klan; herold zgodził się zostać ojcem. Urodziły się bliźnięta, jednym z nich był mój przodek, Jasna Gwiazda. A w Valdemarze osobisty herold i towarzyszką życia króla, Shavri, też marzyła o dziecku. Znów ojcem został Vanyel; zachowano jednak ścisłą tajemnicę, by nikt nie dowiedział się, że król Randal nie może mieć dzieci. Córka Shavri, Jisa, poślubiła kuzyna króla, Trevena; po śmierci Randalu oboje władali Valdemarem. Z tej linii wywodzi się twoja cudzoziemka.

Śpiew Ognia zachichotał na widok zbaraniałej miny swojego ucznia. „Muszę wyglądać jak cieleń” — pomyślał Mroczny Wiatr.

— Nie, kuzynie — ciągnął dalej adept — my, z k'Treva nie znamy zbyt dobrze ziem leżących poza naszymi granicami. Po prostu Jasna Gwiazda wiedział o przyrodniej siostrze i jej mężu. Krew Ashkevrona rozpoznaje pobratymców; znamy się, choć ona nie wie, skąd. — Adept uniósł brew. — Pewnie stąd wzięła się jej fascynacja moją skromną osobą.

— Jakbyś kiedykolwiek był skromny! — prychnął Mroczny Wiatr.

— Zdarzyło się raz czy dwa, dawno temu. — Adept wzruszył ramionami i umieścił ptaka na ramieniu. — Uznałem za właściwe wspomnieć ci o tym. Przeszedłem o wiele dłuższe i dokładniejsze szkolenie niż ty. Nigdy nie rozstałem się z magią. Biorąc pod uwagę to, co przeszedłeś, uważam, że radzisz sobie o wiele lepiej, niż przypuszczałem. Możesz to rozumieć, jak chcesz. Powiem więcej, gdy nadejdzie czas.

Spuścił na moment głowę, lecz zaraz ją podniósł i odsunął z twarzy śnieżnobiałe włosy. Wstał z nieodgadnionym wyrazem twarzy i poszedł ścieżką, którą wcześniej odeszła Elspeth. Ptak siedział wciąż na jego ramieniu.

„Powinienem przynajmniej ją przeprosić, jeśli oni nie...” — myślał Mroczny Wiatr. „A nawet jeśli oni są... razem. Tak, powinienem, ale nie potrafię”. W końcu on także podążył tą samą ścieżką prowadzącą na koniec Doliny, w którym stało ekele Elspeth. Zawahał się chwilę przy wejściu, nadsłuchując plusku wody w „jej” źródle. Nad wejściem nie znalazł znaku „zajęte”. Wszedł.

W pierwszej chwili myślał, że popełnił błąd, przychodząc tutaj. Obok stawu leżała Elspeth, owinięta w suknię, z głową położoną bardzo blisko kogoś w biele... .

Na niebiosa, nie róbże z siebie jeszcze większego głupca — prychnęła Gwena.

Zanim zdążył pośpiesznie się wycofać, rozpoznał leżącą postać, o którą opierała się Elspeth. To nie był Śpiew Ognia, tylko jej Towarzysz.

— Czy... czy przeszkadzałoby ci, gdybym skorzystał z kąpieli? — spytał nieudolnie Mroczny Wiatr. Podniosła się, oparła na łokciu i obrzuciła go długim, uważnym spojrzeniem.

— Tylko wtedy, gdy nie zachowasz się tak jak poprzednio — odparła.

— Nie miałem zamiaru tak się zachować — odrzekł niepewnie. — Jakoś... samo tak wyszło.

— Hm... — odparła i opadła z powrotem na poduszki.

Jeśli nie macie nic przeciwko temu, zostawię was samych — odezwała się Gwena, wstając. — *Radzę wam: cokolwiek was dzieli, pogódźcie się, zanim wplynie to na waszą magię. Przynajmniej co do jednego zgadzam się z tym młodzieńcem: nie zanoście waszych zawirowań emocjonalnych w pobliże kamienia* — powiedziała i znikła między drzewami.

Mroczny Wiatr zrzucił ubranie i wskoczył do wody. Elspeth została na miejscu — bez słowa i bez ruchu. W końcu mag zdecydował się przerwać tę ciszę, zanim przyprawi go o ból głowy. — Przepraszam — rzekł. — Nie chciałem być napastliwy.

— Jestem tego pewna — odparła Elspeth. Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. — Wiesz, Gwennie przyszło coś na myśl i podzieliła się tym ze mną. Dostajesz właśnie małą próbkę tego, co twój brat musi znosić całe życie, zauważyłeś?

— Co takiego? — spytał niezbyt mądrze. — Zimowy Księżyc?

— Oczywiście. — Elspeth przewróciła się na brzuch i podłożyła sobie pod brodę poduszkę. — Pomyśl. To ty byłeś zawsze adeptem, kimś, kto posiada moc. Miałeś wszystko, co chciałeś — od miłości i podziwu ojca po każdą kobietę z klanu. On był tylko zwiadowcą, bez magii; na wyprawach ryzykował życie, nigdy nie wiedział, czy wróci. Nikt nie chciał się z nim związać na stałe. Nawet gdy porzuciłeś magię i przestałeś być oczkiem w głowie ojca, ciągle zajmowałeś wysoką pozycję, należałeś do rady, przyjaźniłeś się z gryfami. I miałeś Jutrzenkę. Teraz znów jesteś magiem i dostałeś z powrotem wszystkie przywileje. A Zimowy Księżyc jest ciągle na uboczu...

— Nigdy dotąd nie myślałem o tym w ten sposób — rzekł wolno. — Nigdy nie przyszło mi to do głowy.

— Tak przypuszczałam. Czy zastanawiałeś się, dlaczego twój brat spędza tyle czasu poza Doliną? Dlaczego zdecydował się towarzyszyć Skifowi? — Potarła rękawem czoło. — Ja tak. Według Gweny Zimowy Księżyc stara się nie dać opanować zazdrości o twoje powodzenie. Naprawdę cię kocha, jak prawdziwy brat — ale, na ognie piekielne, to musi być dla niego straszne stać z boku i patrzeć, jak wszystko, o czym zamarzysz, wpada ci prosto w ręce jak dojrzały owoc.

— Och — powiedział tylko, czując się bardzo dziwnie. Był zupełnie zbity z tropu.

— Pojawił się Śpiew Ognia; masz teraz okazję poczuć się tak, jak Zimowy Księżyc czuje się od czasu, gdy przejawiał pierwsze oznaki talentu magicznego.

— Jej oczy patrzyły uważnie na niego. — Nie brzmi to zbyt miło, prawda?

— Nie — przyznał. — Ale ty...

— O, ja jestem przyzwyczajona do tego, że istnieją lepsi ode mnie — przerwała mu. — Talia zawsze lepiej się uczyła, mama przewyższa mnie urodą, Kero lepiej prowadzi bitwy, ojczym zawiera układy pokojowe, a Skifowi nikt nie dorówna w skradaniu się. Jedyna rzecz, którą mogłam się pochwalić, to garncarstwo. Nie łudziłam się jednak, że jestem najlepsza w królestwie. — Jej słowa brzmiały lekko, ale Mroczny Wiatr wyczuł kryjącą się za nimi starą, nie zabliźnioną ranę.

— Elspeth, chyba najbardziej w tym wszystkim drażni mnie twój podziw dla niego — wyznał nieszczęśliwy. — Jestem zazdrosny. Czuję się przy nim jak czeladnik, tak bardzo przewyższa mnie w sztuce magicznej. Jednak najgorsze jest to, że ty go uwielbiasz. Nie mogę nic poradzić na moje ataki złości.

Dużo go kosztowało to wyznanie. Elspeth zatrzymała wzrok na jego twarzy. — Kero powiedziała mi kiedyś: „Jeśli myślisz, że umiejętność myślmowy usuwa wszelkie nieporozumienia między ludźmi, to bardzo się mylisz”. Miała rację.

Potrząsnął głową. — Kiedy powstają konflikty, obie strony przestają dzielić się myślami — rzekł.

— Właśnie. — Otworzyła szerzej oczy. Poczul delikatne dotknięcie jej umysłu.

Śpiew Ognia ma moc. Śpiew Ognia jest zbyt piękny jak na człowieka. Jest godny podziwu. Ale z dystansu. Nie nadano mu imienia bez powodu — on żyje uwielbieniem innych. Ogień z pewnej odległości grzeje, lecz z bliska parzy. — W jej słowach brzmiała szczerłość. Zanurzył się pod wodę, potem wyszedł na brzeg obok niej.

— Wybaczysz mi moje zachowanie?

— Cóż, mógłbyś mnie przekonać, bym ci wybaczyła...

Tre'valen wzbił się w niebo w nowej postaci sokoła. Mniejszego niż Jutrzenka i bez połowy jej mocy; jednak miał nadzieję, że dziewczyna zauważy jego starania. Unikała go od paru dni, nie wiedział, czy z jego powodu, czy powstrzymywało ją coś innego.

Na pewno Bogini znała jego uczucia do Jutrzenki w ciele ptaka. Czy je akceptowała, czy pozwalała mu jej szukać? Jednym, najmniejszym ruchem mogła go strącić na ziemię, daleko od dziewczyny — a jednak dalej szukał. Chciał służyć jak najlepiej ludowi Bogini i Jej samej; o tym też musiała wiedzieć. Bez względu na ból, jaki sprawiało mu oddalenie od Jutrzenki, jego pierwszym obowiązkiem pozostała lojalność Gwiazdzistookiej i Jej zamysłom; nie przestał być zaprzysiężonym szamanem.

A jednak, czy Jutrzenka naprawdę go potrzebowała? Może źle odczytał jej

uczucia? Jej oczy nie przypominały już ludzkich, gdy ją zobaczył. Czy naprawdę ujrzał w nich tęsknotę — tęsknotę za tym, by mieć kogoś bliskiego? Wszystko było tak skomplikowane, same przypuszczenia, a tylko kilka faktów. . . Jako szaman mógł zrobić tylko jedno: zaufać swojej pozycji i pozwolić, by pokierowały nim zasady postępowania wpojone szamanom.

Zawsze szukał przygód i Bogini musiało się to spodobać, bo go wybrała. Nie ma sensu zaprzeczać własnej naturze, lepiej wykorzystać ją w działaniu.

Przemierzył księżycowe ścieżki, lecz bez skutku. Teraz więc spróbował desperackiego posunięcia. Opuścił ścieżki i zanurzył się w rozgwieżdżoną noc. Rozważny Kra'heera nigdy nie zbaczał z utartych szlaków. Tre'valen słyszał o kilku, którzy tego dokonali i przeżyli, by spróbować znów. Nie było ich wielu, a ich pomysły nie dorównywały zuchwałością temu, co robił teraz Tre'valen. Zdarzyło się już tyle nowych, dziwnych rzeczy, przerażających i jednocześnie obiecujących. Warto podjąć ryzyko — a nie było większej śmiałości niż próby zbliżenia się do wcielenia Bogini. Zawziął się; jeśli Jutrzenka nie przyjdzie do niego, sam ją znajdzie.

Poczuł ucisk w żołądku, gdy unosił się ze ścieżki na skrzydłach ze złotego pyłu, świecącego własnym światłem. Dreszcz jak za podmuchem lodowatego wiatru, ukłucie — i ścieżki księżycowe zostały w dole. . .

Głupota. . . ale wspaniała głupota.

Zataczał kręgi wokół ścieżek, widząc teraz z daleka ich spletaną sieć, ich kolory i warstwy. Jednak jej nigdzie nie było. Może szukał w niewłaściwym miejscu?

Równie dobrze mógł przemierzać w tej postaci podniebne ścieżki realnego świata. Jutrzenka na pewno go rozpozna, skoro sama miała ciało ptaka.

Zamknął swe oczy drapieżnika i poszukał w pamięci zakrętu prowadzącego do domu. Gdy je otworzył, przeniknęły go ciepłe promienie słońca. Jak każdy ptak-duch w realnym świecie stawał się półprzezroczysty. Sokół ze złotego szkła. . .

Czyż nie zachowywał się zupełnie jak one w okresie godowym, wabiące partnerkę wymyślnym lotem? Czy przelot ze świata ducha do rzeczywistości nie przypominał szybowania nad przepaścią? A wszystko po to, by przyciągnąć uwagę wybranki. . .

Mimo woli zaśmiał się sam z siebie, wciąż czując lekki zawrót głowy po powrocie z gwiazdnych ścieżek. Czy może ciągnąć porównanie dalej i mieć nadzieję na oczarowanie Jutrzenki? Czy polecą kiedyś razem? Tyle pytań — i tak niewiele odpowiedzi. Jednak w swoim poszukiwaniu prawd znalazł ledwie parę prawd absolutnych, a mnóstwo osobistych, innych dla każdego. Pójdzie więc za swoją prawdą, dokądkolwiek ona go zaprowadzi.

Być może jego gotowość do podjęcia ryzyka wynikała z umiejętności przystosowania się. Czuł się jak w domu w odgradzonej od zim i burz świata Dolinie, w której panowało ciągłe lato. Wszędzie czuł się jak w domu. Kra'heera czasem ganił go za ten brak przywiązania do jednego miejsca, a przecież łatwość dostoso-

wania się do warunków mogła przykrywać odwagę, a nie brak głębszych uczuć. . .

Krażył wciąż w chłodnym wietrze nad Doliną. Tam mieszkali jego bracia. Oni też szli za głosem serca, za własną prawdą, choć pomagały im znaki Bogini. Zadanie, które sobie postawili, zostało zakrojone na skalę przekraczającą długość życia ludzkiego — zapewne nie ujrzą już celu. A jednak poświęcali się swej pracy z takim zapałem, jakby już jutro mogli ujrzeć jej efekty. Nie różnili się w tym od jego własnego ludu, strzegącego Równin i ich śmiertelnych sekretów. Sokoli Bracia walczyli, Shin'a'in strzegli i chronili, co wcale nie było łatwiejsze. Kal'enedral i adepci Braci uzupełniali się wzajemnie.

W Kata'shin'a'in widział bezcenne gobeliny przedstawiające historię klanów. Czy nadszedł czas na utkanie nowych? Gdyby wątki szamana Tre'valena i Jutrzenki splotły się w nowym kilimie, byłby to najlepszy koniec tej historii. . . nowe narodziny.

Zatoczył koło nad Doliną. Był zdziwiony, ale nie dał się owoładnąć uczuciom. Miał odnaleźć dziewczynę-ptaka i porozmawiać z nią, po to sam przybrał taką postać. Przeszukał wzrokiem całą Dolinę, poszerzył pole widzenia — i wtedy dostrzegł coś oślepiająco błyszczącego, sunącego ku niemu.

Ta rzecz nie miała fizycznej formy; była to tylko wiązka magicznej energii, dłuższa niż dwóch mężczyzn. Mknęła znad Równin w stronę szamana, błyskając ogniem jak błyskawica — i uderzyła go prosto w pierś. Promień rozsypał się w snop iskier. Szaman krzyknął z bólu. Oszołomiony, przestał utrzymywać się w powietrzu; zdążył spaść o kilka sążni, zanim odzyskał przytomność i rozwinął skrzydła. Zatrzepotał niepewnie. Tymczasem nadchodził kolejny atak; Tre'valen szybko się zabezpieczył.

Przez chwilę myślał, że jego obawy się spełniły i Bogini karze go za zuchwalstwo. Jednak to nie on był celem. Znalazł się przypadkiem na drodze pocisku; cios przeszył go, nie wyrządzając większej szkody. Następne uderzenie zahaczyło o niego, utraciło niewiele ze swej mocy i biegło dalej do celu — nisko, do Doliny.

Gwiazdne Ostrze!

Tre'valen widział, jak stary mag pada na kolana pod siłą ciosu, a jego ptak rzuca się w bezsilnym gniewie; po chwili jednak mężczyzna wstał. Tre'valen zwinął skrzydła i zanurkował na pomoc, choć prawdopodobnie nie na wiele przyda się jego znikoma moc; zobaczył jeszcze Kethrę zasłaniającą maga własnym ciałem i łączącą swoją magiczną energię z mocą Gwiazdnego Ostrza. Ze zdziwieniem zauważył, że mag oddał kontrolę nad całą mocą Kethrze, pozwalając jej zbudować nad nimi osłony.

To Zmora Sokolów!

Nadszedł trzeci cios i zaraz po nim czwarty; ludzie zachwiali się, a ich osłony ugięły pod siłą ataku. Kethra krzyknęła; zwróciła twarz w górę, ku niebu, zaciśnęła pięści i ukształtowała energię w nowy sposób. Wokół niej i maga zaczął

się rozchodzić krąg zimna, pokrywając wszystko wokół grubą warstwą szronu. Sprzęty pękały z trzaskiem, całe ekele chwiało się i skrzypiało pod dotknięciem mrozu.

Zmora Sokołów!

Hyllarr wrzasnął przeraźliwie i zeskoczył z żerdzi na podłogę, wycofując się w stronę ścian ekele w miarę, jak rozszerzał się krąg śmiertelnego zimna. Tre'valen wiedział już, że ofiary ucierpiały; skutki ataku musiały być trudniejsze do zniesienia niż jego odparcie.

Nawet ktoś pozbawiony wewnętrznego wzroku bez trudu zorientowałby się, co się stało. Reszta klanu nie zdąży z pomocą na czas. Mornelithe sprawdzał dotąd ich wytrzymałość. Następny cios sięgnie z pewnością poprzez osłony Doliny, poprzez Gwiazdne Ostrze do kamienia, miażdżąc go i niszcząc cały teren w promieniu wielu staj. Zginą wszyscy, a prądy energii magicznej zmieszają się i złączą.

„Muszę go powstrzymać!” — postanowił sobie Tre'valen.

To oznaczało śmierć. Ale nieważne. Zbyt wielu ludzi zginie, jeśli nie odważy się przeciwstawić...

Tutaj! — usłyszał nagle.

Spojrzał w górę. Jutrzenka leciała nad nim w postaci ptaka, jaśniejąca. Ona miała moc wystarczającą do obrony Gwiazdnego Ostrza. Tre'valen wiedział, że najprawdopodobniej zginie, ale wiedział też, że musi ochronić braci. Razem mogli tego dokonać, ona posiadała moc, on — wiedzę.

Teraz! Razem! — krzyknął i złożywszy skrzydła, rzucił się w dół. Dziewczyna sunęła obok; mknęli na spotkanie świetlistej smugi...

Śpiew Ognia wziął w ręce bęben i stanął twarzą do kamienia. Palcami delikatnie wybijał cichy rytm oczekiwania. Mroczny Wiatr wstrząsnął się; przeszył go nerwowy dreszcz. Tego dnia mieli tylko dokonać próby, by zorientować się, co mogą zdziałać w trójkę.

Aaaa!

To nie było wezwanie, lecz okrzyk bólu, choć w myślmowie. Mroczny Wiatr poznał od razu, czyj to krzyk.

— Ojciec! — wrzasnął i w popłochu zaczął gromadzić energię.

Śpiew Ognia wyprzedził go. Wstał, zacisnął pięści, aż pobiełały mu kostki — i wysłał najsilniejszą, jaką znał, osłonę... w stronę kamienia.

— Co!!! — Mroczny Wiatr nie miał czasu na wyrażenie gniewu. To Gwiazdne Ostrze i Kethra potrzebowali ochrony, a nie przeklęty kamień!

Śpiew Ognia upadł na kolana z rozłożonymi szeroko rękami, otaczając kamień coraz nowymi kręgami osłon. Skała rozjarzyła się; około tuzina krwistoczerwonych promieni wytrysnęło z niej w kierunku ekele Gwiazdnego Ostrza, jednak

żaden nie zdołał przebić się przez wszystkie warstwy ochronne, ciągle uzupełniane przez uzdrowiciela.

Płomienie szukały ojca Mrocznego Wiatru. Wewnętrzny wzrok ukazał im następny ogromny piorun nadlatujący nad Dolinę. Na jego spotkanie sunęły dwa jastrzębie, lśniące w słońcu. Znalazły się nad ekele wcześniej niż płomień — i przyjęły na siebie całą jego siłę. Wokół budynku wybuchła oślepiająca jasność i zapadła cisza, przerywana jedynie protestami Hyllarra i trzaskami kamienia. Śpiew Ognia zakończył budowanie osłon; wciąż miał zamknięte w skupieniu oczy. Płomienie znikły.

Mroczny Wiatr sięgnął po omacku myślą do Elspeth. Poczuł, że ona też go szuka. Skierowali wzrok w górę; wystrzelili strumień mocy w stronę napastnika, lecz nie trafili. Nikogo nie było. Mornelithe Zmora Sokołów — byli pewni, że to on — zaniechał ostatniej próby i rozproszył energię w ogromnym snopie iskier nad Doliną, niknącym z każdą chwilą.

Nie mieli dokąd skierować uderzenia. Mornelithe znów się wymknął.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

— To był Zmora Sokołów! — wydyszała Elspeth, wstając. — To on, wiem! Co go powstrzymało?

— Nie wiem — odparł Mroczny Wiatr. — Nie mam pojęcia.

W głowie jeszcze mu szumiało od zderzenia potęg, a w bliskości kamienia nie mógł nic odczytać. Pomknął przed siebie. Po chwili przekroczył próg osłon, dzielący teren wokół kamienia od reszty Doliny, i wysłał w przestrzeń pytanie.

Ślad był czysty i wyraźny, choć szybko znikał; wiódł do miejsca nie zniszczonego, lecz dziwnie pustego. Nawet więcej. . .

Gdy zdał sobie sprawę z tego, co odkrył, cofnął się i szybko podniósł swoje osłony. Elspeth także przeszła przez próg; u jej boku pojawiła się Gwena. Obie dyszały po biegu.

Nadleciał Vree, który dotąd wygrzewał się w słońcu przy wodospadach; cały napięty i czujny, wietrzył nowe niebezpieczeństwo. Usiadł na drzewie obok i wysłał do przyjaciela pytanie, a widząc jego przerażenie, wspomógł go swoją energią. Mroczny Wiatr podniósł ostrzegawczo rękę i pobiegł do odległego zakątka Doliny — do miejsca, w którym wyczuł nie tylko spopielała energię, ale i coś więcej: pustkę, jaką zostawia po sobie tylko śmiertelny strzał.

Śmierć.

Ktoś zginął, chroniąc jego ojca. Nie znał śladu, który pozostawił, śladu energii życiowej, ale z przerażającą jasnością wiedział, kto to był.

Z tyłu zastukały kopyta; Elspeth i Gwena zrównały się z nim. Elspeth wyciągnęła rękę. Mroczny Wiatr chwycił ją i wskoczył na grzbiet Gweny. Przedzierali się przez gąszcz; co chwilę Gwena musiała zwalniać, zakręcać, zawracać. Zwykle pełne uroku splecione rośliny teraz tylko przeszkadzały. Jedyne na polanach mogli przyśpieszyć.

Ktoś ich dogonił. Gwena uskoczyła w samą porę, by uniknąć zderzenia z białym dyheli. Jechał na nim na oklep Śpiew Ognia; nad nim leciał ptak. Wyprzedził ich i zniknął w zaroślach.

Gdy dotarli do celu, zastali go podnoszącego w ramionach ciało Tre'valena, lekkie jak piórko. Wyraz jego oczu wyraźnie dawał do zrozumienia, że wszelkie słowa są zbędne. Mroczny Wiatr usłyszał za sobą zduszony szloch Elspeth. Gwena

wycofała się.

Śpiew Ognia przeszedł między nimi ze wzrokiem utkwionym w dali. Wyniósł ciało z polany i szedł dalej. Nie odezwał się ani słowem. Za to Mroczny Wiatr miał ochotę krzyżeć. „To on zabił szamana! Oślonił kamień, nie ojca, dlatego zginął Tre’valen. I ten zarozumiały bękart wie o tym! Dlaczego?! Dlaczego chronił ten przekłety kamień?! Widział atak, zanim ja go zauważyłem, wiedział, co się stanie!...” — krzyżał w myśli.

— Mroczny Wietrze, twój ojciec — przynagliła Elspeth. Przypomnił sobie o reszcie poszkodowanych.

— Bogowie! — krzyknął z rozpaczą i rzucił się do biegu w odwrotnym kierunku niż uzdrowiciel. Ekele nie leżało daleko, ale czuł się, jakby przebył mile, gdy przeciskał się pomiędzy gałęziami, nie zważając na ich uderzenia. Kłuło go w płucach, nogi się pod nim uginały, ale nie było czasu, nie było czasu...

Choć wydawało się, że od nieszczęścia upłynęły wieki, Mroczny Wiatr i Elspeth dotarli do ekele na chwilę przed innymi magami k’Sheyna. Hyllarr zaalarmował całą Dolinę. Mroczny Wiatr wpadł do głównego pomieszczenia i cofnął się o krok, porażony ogromem zniszczenia.

Gwiazdne Ostrze leżał rozciągnięty na podłodze, a na nim, zasłaniając go własnym ciałem, Kethra. On był przytomny, choć oszołomiony; ona nie ruszała się. Elspeth odepchnęła stojącego w wejściu maga, dopadła Kethry i ściągnęła ją z mężczyzny, by Mroczny Wiatr mógł się dostać do ojca. Poślizgnęła się na podłodze, ale utrzymała równowagę. Wszystkie sprzęty były potrzaskane i pokryte szronem; ściany i podłoga popękały. Ekele nie nadawało się już do zamieszkania.

Hyllarr uspokoił się natychmiast, gdy weszli, dalej jednak przestępował z nogi na nogę i wyciągał szyję, by zobaczyć, co robią. Doszedł ostrożnie do obszaru mrozu, dalej nie miał odwagi się posunąć. Czekał.

Gwiazdne Ostrze próbował się podnieść; Mroczny Wiatr zdecydował, iż lepiej mu pomóc dotrzeć do łóżka niż powstrzymywać — daremnie — przed próbami powstania z podłogi. Palce Gwiazdnego Ostrza zbiełały od mrozu.

— Zmora Sokołów — zamruczał mag, podnosząc drżącą rękę do oczu. — Znów ta jego brudna wojna...

Zadrżał; syn ułożył go na poduszkach i pobiegł po wodę na drugi koniec ekele. Podał jeden kubek Elspeth, która tymczasem pomogła Kethrze usiąść. Drugi dał ojcu. Stary mag chwycił naczynie trzęsącymi się dłońmi i wypił zawartość do dna tak łapczywie, jakby pił wodę życia. Mroczny Wiatr zanurzył palce w wodzie, a potem przeciągnął nimi w poprzek brwi i oczu ojca — był to stary sposób magów na skupienie czyjejś uwagi.

— Co się stało? — spytał. Gwiazdne Ostrze zamknął oczy i położył się z powrotem. Bruzdy wyryte na jego twarzy przez ból i cierpienie uwidoczniły się bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

— Nie jestem pewien... — zawahał się. — To Zmora Sokołów. Chciał wy-

próbować moje osłony. — W jego głosie odbiło się zmieszanie i strach, że znów zdradził klan.

— Nie złamał ich — przypomniał mu syn. — Nie dotarł do ciebie, ojcze. Jego panowanie nad tobą minęło, widzisz?

Gwiazdne Ostrze potrząsnął głową, lecz nie zaprzeczył. — Ja... on zaatakował. Kethra próbowała ochronić nas oboje. — Podniósł się z wysiłkiem i rozejrzał wokół.

— Jest w szoku — odezwała się łagodnie Elspeth. — Potrzebuje spokoju, musi odbudować swoją energię, ale na pewno wszystko będzie dobrze.

Do tej chwili w ekele zgromadził się już spory tłum, jednak tylko Lodowy Cień przepchnął się do środka. Podszedł najpierw do Kethry, potem do maga i widząc, że są zdrowi, choć oszołomieni, potrząsnął głową. — To dziwne — rzekł wyraźnie zaskoczony. Nikt z nas nie miał czasu ruszyć na pomoc. A jednak pomoc nadeszła.

— Były sokoły — wyszeptał Gwiazdne Ostrze. — Dwa jaśniejące sokoły o skrzydłach z ognia. One nas osłoniły.

— To był Tre'valen — odezwał się ktoś bezbarwnym głosem. Przy wejściu stał Śpiew Ognia. Twarz chował w cieniu. — To Tre'valen w postaci duchowej i prawdopodobnie dziewczyna, którą zabrała Bogini Shin'a'in. — Wydawał się czekać, aż ktoś podpowie jej imię. Zrobił to Mroczny Wiatr, starannie kontrolując głos, by nie okazać gniewu.

— Jutrzenka — rzekł głosem równie bezbarwnym jak Śpiew Ognia. Uzdrowiciel nie zwrócił na niego uwagi.

— Jutrzenka, tak, ona też tam była. To magia szamanów, jedyny rodzaj magii całkowicie obcy Mornelithe'owi; nie wie, jak jej używać i jak z nią walczyć. — Śpiew Ognia pochylił się i położył rękę na czole Gwiazdnego Ostrza, który chyba nawet tego nie spostrzegł. — Musiał wiedzieć, że w duchowej postaci nie przeżyje takiego ciosu.

Mroczny Wiatr przygryzł wargi, bojąc się powiedzieć choćby słówko — czuł, że wtedy wybuchłyby wyrzutami. Śpiew Ognia wyprostował się i spojrział mu prosto w oczy.

Na widok wyrazu jego twarzy Mroczny Wiatr zdusił w sobie wszelki gniew. Rysy adepta, zwykle nie zdradzające wieku, ale pełne pewności siebie, teraz zastęły w żalu. — Nie mogłem bronić twego ojca i kamienia jednocześnie — powiedział uzdrowiciel zdławionym głosem. — Tre'valen zginął z powodu mojej nieprzezorności. Nie pomyślałem, by poszukać wroga; nie zabezpieczyłem przeciw niemu kamienia. Musiałem wybrać: albo twój ojciec, albo cała Dolina. Spójrz — ciągnął, podnosząc kamienną czarękę pokrytą pajęczyną pęknięć — popatrz, jak to naczynie przypomina kamień-serce. Zniszczenie promieniuje z tego miejsca, od Gwiazdnego Ostrza. Jedno uderzenie przez niego w kamień... widzisz? — Upuścił czarękę; rozprysła się na kawałki.

Owszem, Mroczny Wiatr widział. Gdyby uzdrowiciel nie zareagował tak błyskawicznie, pod jednym ciosem kamień rozpadłby się jak miseczka upuszczona przez adepta; cała zgromadzona w nim energia zostałaby od razu uwolniona. Powstałby nie tylko krater wielki jak Równiny Dorisha, ale pęknięcie sięgnęłoby w głąb, do skał, zabijając wszelkie żywe istoty w Dolinie i poza nią.

— Przykro mi — westchnął ciężko Śpiew Ognia. — Nawet nie wiecie, jak bardzo mi przykro. Zrobiłem, co musiałem. Jak Tre'valen.

Odszedł; ludzie rozstapili się przed nim.

Minęło sporo czasu, zanim Mroczny Wiatr opuścił ekele, zostawiając ojca i Kethrę pod opieką Lodowego Cienia i dwóch innych magów. Lodowy Cień był przekonany o ich szybkim powrocie do sił; Elspeth została z nimi, dołączając swoją i Gweny energię do mocy magów, wspomagając rannych.

Mroczny Wiatr uznał, że nic tu po nim. Znaczną część swych sił stracił na bezskuteczny atak na Zmorę Sokołów i wciąż czuł się rozbity. Nie wiedział, co robić, co myśleć. Nie był już w stanie pomóc uzdrowicielom. Poszedł więc Doliną w kierunku zasłony kryjącej wejście. Na zewnątrz znów padał śnieg. Ostatnie promienie światła dziennego gasły pod gałęziami drzew. Mag szedł dalej do uskoku w zboczku pagórka, gdy zdał sobie sprawę, iż białe spadające płatki to nie śnieg.

Śpiew Ognia odwrócił się powoli, zobaczył go i skinął głową. Wyglądało to na zaproszenie. Mroczny Wiatr przeszedł przez zasłonę i stanął obok. Po chwili adept przemówił: — Wraca do domu. Ciało wraca.

Mroczny Wiatr zauważył, jak jeden z cieni na granicy widzialności poruszył się; jednakże to nie był cień, lecz czarno odziany jeździec na szarym jak duch koniu. W poprzek siodła leżało coś podłużnego. Postać oddalała się w stronę Równin.

— A dusza?- spytał wreszcie Mroczny Wiatr.

— Nie jestem szamanem. Nie wiem.

Mroczny Wiatr wstrząsnął się; zaczął marznąć. — Chcę, żebyś to wiedział: postąpiłeś słusznie, chroniąc kamień. Inaczej wszyscy byśmy zginęli — rzekł.

Śpiew Ognia zeszywniał i spojrzał w górę; krystalicznie białe płatki osiadały mu na czole i brwiach, na rzęsach i włosach. — Wybrałem mniejsze zło, ale ta świadomość niewiele daje — powiedział. — Nie łagodzi bólu.

Mroczny Wiatr kiwnął głową.

Śpiew Ognia podniósł do ust długą piszczałkę zrobioną z kości. Rozległy się wysokie, nosowe dźwięki. Mroczny Wiatr znał tę pieśń: był to lament Shin'a'in. Po chwili dołączył drugi głos; w pierwszej chwili mag nie wiedział, kto śpiewa, lecz gdy rozejrzał się wokół, dostrzegł ptaka siedzącego na gałęzi nad adeptem. Śpiewał z wysoko uniesioną głową.

Po tylu latach spędzonych wśród adeptów Mroczny Wiatr umiał rozpoznać

człowieka pogrążonego w transie; po chwili zdał sobie sprawę, iż Śpiew Ognia nie zwraca uwagi na nic poza swoją muzyką. Odwrócił się i odszedł do Doliny, zostawiając żalosne dźwięki padające w ciszę i ciemność lasu. Wydało mu się, że kątem oka zauważył coś mokrego, błyszczącego na twarzy uzdrowiciela; jednak melodia płynęła nieprzerwanie dalej, a rysy grającego pozostały bez wyrazu, odległe, jak wyrzeźbione w marmurze. Może to topniejący śnieg tak błyszczał.

A może nie.

Krzyk zabrzmiał i od razu ucichł.

Zmora Sokołów zaatakował wysuniętymi pazurami, a okrwawiony niewolnik upadł na kamienną posadzkę. Jego pan obserwował go z niesłabnącą wściekłością. Chłopiec rzucał się po podłodze, zaciskając palce na rozszarpanym gardle. Krew tryskała na marmurowe płyty; niewolnik drgnął jeszcze parę razy i znieruchomiał.

Za mało. Trzeba zniszczyć coś więcej. Zmora Sokołów rozejrzał się po komnacie, lecz nie znalazł niczego zbędnego. Co mógł rozbić, porozbijał. Kotary łoża zwisały w strzępach, stół leżał w kawałkach, tylko książki nie były uszkodzone — zawierały zbyt cenną wiedzę.

Wrócił więc do nieszczęsnej ofiary i zaczął rozdzierać pazurami jej ciało, ale nawet to nie usmierzyło gniewu. Kopnięciem otworzył drzwi; może w korytarzu znajdzie kogoś czającego się za rogiem. Nie dostrzegł nikogo; pewnie wszyscy ukryli się w pokojach, zaryglowali drzwi i modlili do wszelkich możliwych bogów, by wystarczyła jedna ofiara. Tchórze. Otaczali go nędzni, parszywi tchórze.

Zawył. Nie tak parszywi, jak parszywy jest teraz ten niewolnik! Wypadł z komnaty na korytarz i pobiegł na górę, na strych i dalej na dach. Tam się zatrzymał, uderzony ciepłem i zbytciem tego miejsca. Chciał je zniszczyć, ale zamiast tego poszedł szukać ciemności nocy i chłodu śniegu, by się uspokoić. Znalazł zakątek, w którym nie było nic do mszczenia — szczyt jednej z czterech baszt narożnych. Hulał po nim wiatr i śnieg, ale i to nie pomogło. Mornelithe znalazł więc inny sposób wyładowania wściekłości: jednym ruchem ręki przemienił zimową zadymkę w wyjąca burzę śnieżną; wściekły ryk sprawił mu przyjemność. Szkoda tylko, że nie było to wycie umierających w męczarniach Braci Sokołów. . .

Pobity. Znowu! To się nie mogło zdarzyć! Przecież wysłał szpiegów. Shin'a'in nie robili nic nadzwyczajnego. Nawet nie próbowali wykorzystać mocy uszkodzonego kamienia. Starali się ją wyciągnąć, ale kamień się oparł, tak jak go Mornelithe uczył. Magowie Shin'a'in byli do niczego, a nie mieli żadnego wielkiego adepta.

Nie mógł wybrać lepszej chwili. A jednak go zwyciężono. . .

Przede wszystkim nie dotarł do Gwiazdowego Ostrza. Wszelkie kanały magicznej energii, tak kunsztownie założone w jego sercu i umyśle znikły. Nie zostały zablokowane, lecz znikły, uzdrowione jakąś dziwną metodą, całkiem mu obcą.

Czuł w tym kobiecą rękę, osłaniającą maga.

Utrata najlepszego narzędzia była wystarczającym powodem do wściekłości, jednak niepowodzenie ataku skierowanego poprzez maga na kamień doprowadziło Zmorę Sokołów niemal do szaleństwa. I to podwójne niepowodzenie: kamień-serce okazał się otoczony nieprzeniknionymi osłonami, a kanał łączący go z siłą życiową Gwiezdnego Ostrza został zablokowany! Gdzie ci głupcy znaleźli adepta na tyle zdolnego, by mógł się zmierzyć ze Zmorą Sokołów? W Dolinie nikt — łącznie z cudzoziemką — nie wykazywał nawet załączków takiej mocy! I w jaki sposób wstrzymali śmiertelne uderzenie w maga? Nie tylko nie rozpoznał rodzaju magii, która go pokonała, ale do dziś czuł skutki spotkania z nią. Unicestwiła jego piorun, wchłonęła jego moc i przeistoczyła w coś, czego nie potrafił nawet nazwać.

Każde z tych zdarzeń z osobna wystarczyło, żeby go rozwścieczyć. Wszystkie razem obudziły w nim żądzę mordu, domagającą się zaspokojenia natychmiast. Wrócił znad Doliny do fortecy, pałając chęcią zemsty.

Czekali na niego wysłańcy. Wszyscy widzieli to samo: czarno ubranych jeźdźców na granicach jego ziem. Jeźdźcy nie robili nic; ukazywali się tylko, jakby chcieli się upewnić, że zostali zauważeni — i znikali. Nie zostawiali śladów na śniegu; nikt nie dostrzegł twarzy skrytych pod kapturami.

Magowie potwierdzili te relacje, dorzucając wieści o wielu drobnych zmianach, jakie zaszły w czasie, gdy ich władca zmagił się z k'Sheyna. W różnych punktach kraju wyczuli delikatne zaburzenia równowagi magicznej: porwane siłła bez śladu zwierzyny; prądy podziemne, których bieg Mornelithe zmienił dla własnych celów, wracały w dawne łożyska, ale nie biegły do nowych źródeł mocy — biegły właściwie donikąd. Obszary zniszczone, gotowe do żywienia potwornych istot wyhodowanych przez niego, zostały uzdrowione.

Nie było w tym widać żadnego planu, niczego wskazującego na przyczynę lub cel tych zakłóceń. Z dwóch pułapek założonych w pobliżu siebie jedną zniszczono, a drugą zostawiono; tereny niedaleko Doliny zostały bez zmian, a uleczono inne, o wiele bardziej odległe.

Zmora Sokołów warczał i zgrzytał w ciemności zębami. Nie znosił takiego bezładu. Nie znosił głupców działających bez planu i zmian pojawiających się bez ostrzeżenia. A już najbardziej nienawidził rzeczy, które zdarzały się bez widocznej przyczyny!

Każde z tych drobnych zakłóceń burzyło jego ład, niszczyło starannie obmyślane metody działania i zostawiało po sobie tylko chaos. Po co?

Wrzasnął straszliwie; wiatr poniósł krzyk i dźwięczał on, póki mroźne powietrze nie osłabiło wściekłości Zmory Sokołów przynajmniej na tyle, by odzyskał zdolność działania. Nie wiedział, jak długo stał na zimnie; gdy oprzytomniał, stwierdził, że może wrócić na dół i nie zniszczy niczego, co się jeszcze przyda.

Uciszył burzę; znów śnieg padał cicho z pochmurnego nocnego nieba.

Otworzył drzwi. Do środka wpadło ciepło i światło schodów. Czekał tam jeden z wysłanników. Mornelithe zacisnął pięści; te same wieści, wiedział to na pewno. Zdjęła go ochota uderzyć posłańca. Zadrżał z wysiłku, próbując się opanować.

Twarz mężczyzny zbieła jak papier. Trząśnięcie ze strachu tak, że nie mógł mówić. W wyciągniętej ręce trzymał małe czarne pudełko, z łatwością mieszczące się w dłoni. Zmora Sokołów wziął je i czekał, aż mężczyzna zdoła wykrztusić bodaj jedno słowo o pochodzeniu przedmiotu. Gdy się nie doczekał niczego więcej od kilku chrząknięć i nieartykułowanych dźwięków, bez skrupułów sięgnął do jego umysłu i wydarł całą opowieść. Zajęło mu to ledwie chwilę, a to, czego się dowiedział, ukośliło jego gniew skuteczniej niż wichur.

Zacisnął palce na puzderku, odczytując bieg wydarzeń. Zostawił posłańca skulonego i drżącego na stopniach schodów, nie przejmując się spustoszeniem, jakie poczynił w jego mózgu. Zbiegł w dół do uprzątniętej już komnaty. Nie pozostał w niej nawet ślad po krwawej jatce, jaką tam urządził — jedynie mokra plama na podłodze. I dopiero tam, zabezpieczony przed wścibskimi oczami, z wszelkimi środkami ostrożności, zachowawszy odpowiednią odległość, otworzył pudełeczko.

Jeśli ciągle znajdował się w racjonalnym, uporządkowanym świecie, powinno ono zawierać coś, co go zrani lub zabije.

Podniósł zasłony i czekał.

Nic.

Na dnie spoczywała, owinięta w czarny zamsz, maleńka figurka z lśniącego, również czarnego onyksu. Przedstawiała doskonale uchwyconego w ruchu konia stojącego dęba, nie większego od paznokcia. Ani w niej, ani wokół niej nie zauważył śladu magii czy też śladu jej twórcy. Zmora Sokołów wiedział jednak, kto ją przyniósł — jego posłaniec — i domyślał się, od kogo. Od czarnych jeźdźców.

Oparł się na poduszkach posłania i podniósł statuetkę do światła. Rozważał strzępki informacji wydartych z umysłu sługi. Mężczyzna widział czarnych jeźdźców aż trzy razy; zawsze jednak znikali natychmiast po tym, jak ich zauważył. Nie zostawiali nawet śladów podków. Ostatnim razem zdarzyło się inaczej. Jeden z nich zwałił jednym ciosem miecza drzewo i zostawił coś na pniu. Dopiero potem zniknął w cieniu, sam jak cień. Sługa Zmory Sokołów znalazł pudełko na resztkach drzewa, razem ze skrawkiem papieru, który spłonął, ledwie poznał jego treść. Na karteczce widniało imię Mornelithe'a Zmory Sokołów, wykaligrafowane pieczołowicie zakrętasami pisma kupców.

„Jakby istniały wątpliwości, dla kogo było to przeznaczone” — pomyślał.

Obracał figurkę na wszystkie strony. Nie miała znaku rozpoznawczego, cech charakterystycznych dla sztuki określonego kraju czy plemienia. Czy to ostrzeżenie, czy podarunek? Jeśli podarunek, to co oznacza? Jeśli ostrzeżenie — to kim

są jeźdźcy, kto ich wysłał i czego chcieli?

Nyara i Skif rozmawiali leniwie o polowaniu; królik, którego akurat oprawiali, nie był wart tylu kłopotów, ile im sprawiło złapanie go, ale upolowała go Nyara. Zimowy Księżyc o kilka kroków od nich czyścił ostrożnie ranę dyheli.

Nyara wkroczyła ponownie w ich życie. Któregoś ranka obudzili się i po prostu ją zobaczyli między dyheli. Siedziała z kolanami podciągniętymi pod brodę z Potrzebą u stóp. Wyglądała inaczej — bardziej ludzko, miała bardziej prężną, zwinną sylwetkę. Poruszała się też inaczej, już nie jak kot. Czyżby robiła to celowo? Zmieniła się. Zwiększyło to tylko fascynację Skifa.

Nie wyczuli zagrożenia, lecz nagle Cymry podrzuciła głowę i zatoczyła dziko oczami, aż błysnęły białka. Naprężyła mięśnie; stała sztywno, całą sobą przekazując Skifowi to, co zwietrzyła. Niebezpieczeństwo. Śmiertelne niebezpieczeństwo. Coś się działo, coś bardzo złego.

Herold wstał i położył rękę na grzbiecie Towarzyszki, by ją uspokoić. Jednocześnie twarz Nyary zmartwiała. Dziewczyna skoczyła na równe nogi i spojrzała w tym samym kierunku, co Cymry. W jej oczach odbił się strach, ten sam, który Skif znał aż nazbyt dobrze. On sam nic nie wyczuł; cóż, nie umiał, jeśli to magia tak je poruszyła. Rozpoznał jednak kierunek, w którym tak uporczywie obie się zwracały.

Dolina. Tam jest Elspeth!

Spróbował nawiązać kontakt z Towarzystką, ale ona cała skupiła się na grożącym im niebezpieczeństwie. Gdy daremnie starał się przyciągnąć jej uwagę, w głębi umysłu usłyszał głos Potrzeby: — *Zostaw ją w spokoju, chłopcze. Rozmawia z Gweną. Twoi przyjaciele w Dolinie mają duże kłopoty.*

Odważył się sięgnąć myślą do miecza, gotów na ostrą odprawę. Ciągle nie wiedział, co Potrzeba o nim sądzi. Mimo tych kilku słów, które zamienili, właściwie się nie znali.

Co za kłopoty? Związane z nami? — spytał.

Miecz zawahał się. — *Hmm. Raczej tak* — odpowiedział. — *Ojciec twojej przyjaciółki właśnie próbował zrównać Dolinę z ziemią. I wydaje mi się... tak. Bez wątplenia. Śmierć.* — Zanim Skif zdążył ulec panice, miecz ciągnął: — *Nie Elspeth, nie Mrocznego Wiatru. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Wplątała się w to magia szamanów, a niech mnie licho, jeśli potrafię cokolwiek z niej odczytać.*

Zimowy Księżyc wpatrywał się w nich z wyrazem twarzy człowieka gotowego popełnić morderstwo, o ile nie usłyszy wyjaśnień, i to szybko. Skif nie miał do niego pretensji. Przerwał rozmowę z mieczem i przekazał mu, czego się dowiedział. Imię Mornelithe'a Zmory Sokołów obudziło natychmiastowe zainteresowanie zwiadowcy.

— Zmora Sokołów! A ja myślałem...

— Wszyscy myśleliśmy — a raczej nie myśleliśmy — odparł Skif, próbując się opanować. — Po prostu uznaliśmy przypuszczenia za pewnik. A tam, gdzie działa magia, nie wolno się opierać na przypuszczeniach. To samo tyczy Zmory Sokołów — trzeba wiedzieć na pewno, co robi i gdzie się znajduje. Następnym razem nie uwierzę w jego śmierć, póki osobiście nie spalę ciała i nie posypię prochów solą.

— Jeśli coś się stało, musimy natychmiast wracać, z Nyarą lub bez niej. Nie mamy czasu jej przekonywać — rzekł stanowczo Zimowy Księżyc. — Wolałbym, żeby jechała z nami, ale nie będę jej zmuszać.

Nyara przebudziła się na dźwięk swojego imienia.

— Oczywiście jedziemy, nocny zwiadowco — odrzekła silnym głosem, mimo ciągle nieco błędnego spojrzenia. — Jadę z wami. Wiem zbyt wiele o moim ojcu, by stać z boku i przyglądać się, jak twój lud z nim walczy. Nie będę się dłużej kryła w nadziei, że mnie nie zauważy, polując na was. — Potrząsnęła głową. Po chwili z wahaniem, patrząc Skifowi prosto w oczy, powiedziała: — Gdybym mogła wybierać, powiedziałabym ci to w cztery oczy, ashke. Ale chyba lepiej, żeby Zimowy Księżyc to usłyszał i w razie potrzeby zaświadczył.

Skif zeszytniał w oczekiwaniu. Jeszcze chwilę temu miał tyle nadziei. . .

— Zależy mi na tobie, cudzoziemcze — rzekła cicho. — Bardziej niż kiedykolwiek zdałam sobie z tego sprawę dziś rano, gdy znów ujrzałam twoją twarz. Marzę o . . . o wielu rzeczach, ale najbardziej o tym, by spędzić z tobą resztę życia. Najpierw jednak muszę uporać się z ojcem. Nie powiedziałam o nim — i o mnie — wszystkiego.

Skif widział taki wyraz oczu, jak teraz u Nyary, kilka razy, jeszcze zanim został heroldem — i później też, wśród uciekinierów spod panowania Ancara. Widział go u kobiety opowiadającej o własnym ojcu i potwornościach, które jej uczynił.

Wiedział. Wiedział o wielu rzeczach, które przyzwoitym ludziom przedstawiają się tylko w koszmarach sennych. Ludzie nie wierzą, by takie przerażające sny mogły się urzeczywistnić. Skif wiedział, jakie wspomnienia kryją się często za takim szklanym, pustym spojrzeniem. Nie musiała nawet zaczynać, wiedział już przedtem, co z nią uczyniono. Nie winił jej za to bardziej niż winiłby drzewo otoczone płomieniami. Przeciwnie, siła, z jaką wytrzymała piekło i usiłowała się wyzwolić, dodała jej urody.

Może za bardzo pragnął ją zatrzymać przy sobie, by zwracać uwagę na jej przeszłość. Nic w tej przeszłości nie mogło go zniechęcić. Wyrzucił Zmorę Sokołów z umysłu. Nie poświęcał mu uwagi, nawet nie darzył nienawiścią. To Zimowy Księżyc, jego przyjaciel, nauczył go, że emocje mącą jasność widzenia. Może cel stał się dla niego zbyt ważny, by pozwalać sobie na uniesienia gniewu. . . Nie wiadomo, czy stałby taki spokojny w obliczu wroga, ale na razie zdołał wreszcie nad sobą zapanować.

Wszystko się zmienia. Jeszcze parę lat temu ostrzyłby nóż, przysięgając krwawą zemstę; teraz bardziej liczyło się usunięcie wroga. Zemsta wydawała się dziecinadą; nie pomoże ukochanej. Jakie to dziwne, że teraz, po tylu przejściach, uznał pomstę za drobiazg w porównaniu ze sprawiedliwością.

Nyara o wiele bardziej zasługiwała na uwagę niż jej ojciec.

Dotąd nie przypuszczał, by Potrzeba podsłuchiwała jego myśli, dopóki sama go nie zagadnęła: — *Niech bogowie mają cię w swojej opiece, chłopcze! Zaczynam myśleć, że jest dla ciebie nadzieja.* — Chichot miecza odbił się echem w głowie Skifa. — *Masz rację! Na ognie piekielne, mam ochotę mianować cię honorową siostrą!*

Poczuł, jak pieką go uszy. Nyara spojrzała na niego z ciekawością.

Hmm, dziękuję — odparł. Nie chciał urazić Potrzeby, dodając: „Myślę...”

Powiedz jej, chłopcze. Nie wdawaj się w szczegóły, lecz powiedz jej to, co najważniejsze. Powinna wiedzieć — podpowiadała mu Potrzeba.

— Nyaro... — zaczął z trudem. Chciał jej tyle przekazać, lecz słowa nie przechodziły przez ściśnięte gardło. — Ja... ja cię kocham. Pewnie się już domyśliłaś, ale wolę sam ci to powiedzieć. Nic nie zmieni moich uczuć do ciebie. Nie jestem wzorem cnót ani niewiniątkiem, widziałem więcej, niż przypuszczasz. Spędziłem jakiś czas na granicy państwa Ancara. Widziałem, co spotykało dziewczęta i kobiety, które... nie wiem, jak to nazwać — które zostały zdradzone przez rodziców. Wiem, co czujesz. Nie możemy zająć się przyszłością, zanim nie pozbedziemy się stąd twego ojca.

Trochę to pogmatwałeś, chłopcze, ale ona wie, o co chodzi. Później z nią porozmawiam i wytłumaczę, co trzeba. — Potrzeba znów zachichotała. — *Przekonam ją, że to nie są puste słowa, że spotkałeś się z rzeczami równie okropnymi jak te, przez które przeszła. Któżby pomyślał: Potrzeba bawiąca się w swatkę! W moim wieku!*

Nyara patrzyła zaskoczona na Skifa, przyciskając miecz do siebie. Jednak po chwili spod futra, w które się owinęła, wysunęła rękę i poszukała dłoni mężczyzny. Uśmiechnęła się leciutko. — Albo kłamiesz — ale Potrzeba twierdzi, że nie — albo jesteś świętym, co również do ciebie nie pasuje, albo głupcem jak ja. — Potrząsnęła głową, nie spuszczać z niego wzroku.

— W takim razie zostanmy parą głupców — wyszeptał wpatrzony w jej niezgłębione oczy. — Chętnie się tego nauczę... z tobą...

Zamęt przy wejściu do Doliny przyciągnął uwagę Mrocznego Wiatru i przerwał jego rozmyślenia. Zapadła ciemność nie rozjaśniana magicznym światłem. Mroczny Wiatr wciąż był zły na adepta, na kogokolwiek, na los — ale czuł, że Śpiew Ognia poniósł już dotkliwą karę i to z własnej ręki. A on mógł niebacznym słowem tylko powiększyć jego ból.

Sądząc z tłumu zebranego przed zastoną, do Doliny wjeżdżał liczniejszy niż zwykle orszak podróżnych. Drugi oddział zwiadowców już wyruszył i mieszkańcy nie oczekiwali gości. Niespodzianki oznaczały ostatnio jedynie kłopoty.

Mroczny Wiatr wysłał pytanie do Vree; gdy doszła do niego odpowiedź, poderwał się z miejsca i popędził po schodach ekele na złamanie karku.

Grupka jeźdźców mijała właśnie pierwsze gorące źródło. Gdy Mroczny Wiatr ujrzał gości i tego, kto ich witał, był pewien, że śni.

Cudzoziemiec Skif jechał na swym białym Towarzyszu, mając po prawej stronie Zimowy Księżyc na dyheli, a po lewej... po lewej jelenia z jeźdźcem, którego widok kazał mu zwątpić we własne zdrowe zmysły. Na dyheli bowiem siedziała — z wielką wprawą — Nyara, ubrana w płaszcz z niedźwiedziej skóry, trzymając na kolanach miecz. Obok niej zaś, podtrzymując magiczne światła, zatopiony w pogawędce, szedł Śpiew Ognia.

Zimowy Księżyc podniósł dłoń. Pozostali stanęli i zsiadli z dyheli. Zwierzęta odeszły na pastwisko. Uzdrowiciel wciąż rozmawiał żywo z Nyarą i Skifem. Mroczny Wiatr podszedł do brata, odsyłającego swego jelenia przyjacielskim klepieniem. Cymry szła przodem. Mroczny Wiatr był pewien, że nie uroniła ani słowa z rozmowy.

— Kto to, na wszystkich bogów? — spytał Zimowy Księżyc po serdecznym przywitaniu z bratem.

— Śpiew Ognia z k'Treva. Adept-uzdrowiciel. Rada pozwoliła nam wreszcie wezwać pomoc. On... — odpowiedział mu Mroczny Wiatr.

— Robi sam na sobie doskonale wrażenie — uzupełnił Zimowy Księżyc. — Musi jednak być niezwykłą osobą. Bracie, od tamtego poranka tyle się zdarzyło, że nawet nie wiem, od czego zacząć.

— Może więc ja to zrobię — zaproponował Mroczny Wiatr. — Elspeth i ja wezwaliśmy pomoc. Przybył Śpiew Ognia. To naprawdę nieprzeciętny mag. Jego zdolności usprawiedliwiają częściowo jego arogancję. Ma prawo być z siebie dumny.

Zimowy Księżyc prychnął. — Może. Chciałbym zobaczyć go w położeniu, gdy jego ładna buzia nic nie znaczy, a moc tylko przeraża — rzekł. — Odejmij mu to, co wrodzone, a zacznę podziwiać to, czego dokonał własnym wysiłkiem. Cóż, jestem nieuprzejmy, ale magia nigdy nie robiła na mnie dużego wrażenia.

Mroczny Wiatr zakrztusił się śmiechem i objął brata. — W każdym razie uczy mnie i cudzoziemców — próbował usprawiedliwić maga.

— Uczy ciebie w przerwach między próbami poderwania cudzoziemki — poprawił zwiadowca.

— No i jak mam skończyć, skoro ciągle mi przerywasz? — roześmiał się mag, ale zaraz spoważniał. — Źle się tu działo. Przeprowadzaliśmy właśnie próbę z kamieniem...

— Gdy Zmora Sokołów podniósł łeb po raz kolejny i zamierzał zniszczyć

Dolinę — przerwał mu brat. — Tyle wiemy. Nyara wyczuła obecność ojca; także Towarzysz Skifa i miecz wiedzieli, że w Dolinie stało się coś strasznego i ktoś zginął. Ktoś nieznajomy. Kto?

— Tre'valen, szaman Shin'a'in. — Mroczny Wiatr znów poczuł wzbierający w sercu ból. Zwiadowca otworzył szeroko oczy. — On... Ten łotr Zmora Sokółów uderzył w naszego ojca. Śpiew Ognia osłonił kamień — nie, nie przerywaj mi tym razem — gdyby tego nie zrobił, nikt by was tu dziś nie witał. Zastalibyście dymiącą dziurę w ziemi. Ani ja, ani Elspeth nie byliśmy w stanie nic zrobić.

— Ale ojciec żyje? Czy Tre'valen go osłonił? — Zimowy Księżyc potrząsała głową w zdziwieniu. — Co prawda, on jest... był szamanem, ale nie miał aż takiej mocy!

Mroczny Wiatr kiwał potakująco głową. Zaskoczyła go przenikliwość brata. — Śpiew Ognia twierdzi, iż szaman nie był sam. Jutrzenka mu pomogła. Nie wiadomo, co się z nimi później stało. Tre'valen zginął. Nie mam pojęcia, co to wszystko znaczy. Może potem znajdziemy trochę czasu, by to przemyśleć. A teraz powiedz mi, jak znaleźliście Nyarę.

— Bez trudu. — Zwiadowca zdjął płaszcz i przewiesił go przez ramię. — Szedłem po jej śladach jak po sznurku. Zatrzymaliśmy się o dzień lub dwa dni drogi od jej kryjówki, gdy postanowiła sama się ujawnić. Rano zastaliśmy ją siedzącą spokojnie na środku obozowiska.

— Naprawdę?

— Miecz jej poradził nas odnaleźć. To znaczy odnaleźć Skifa, ściśle rzecz biorąc. Chciała rozmawiać tylko z nim, więc go obudziłem. Było wiele wzdychania i wymownych spojrzeń. — Zimowy Księżyc uśmiechnął się trochę smutno. — Śmiałybym się pewnie, gdyby po tych wszystkich nieszczęściach nie wyglądało to na brak taktu. Spotkanie wypadło uroczo, całkiem jak z sentymentalnej ballady. Prawie słyszałem harfę barda. Skif nie podziękowałby mi za to, co teraz mówię. W każdym razie mogę chyba uważać, że tych dwoje już się nie rozdzieli. Rozłąka tylko wzmocniła łączącą ich więź. Gdybym bawił się w zakłady, postawiłbym na nich. Prawdziwa miłość.

Mroczny Wiatr przypomniał sobie rozmowę z Elspeth. — Nie zaprzeczam, masz dużo racji, lecz czeka ich jeszcze wiele przeciwności — rzekł, a w myślach dopowiedział sobie: „Na przykład ojciec Nyary. Co by zrobił, gdyby dostał ją w swoje łapy...?”

— Oni zdają sobie z tego sprawę. Zagrożenie wydaje się jeszcze silniej ich łączyć. Wiedzą, z czym walczą, ale walczą wspólnie. — Zimowy Księżyc spojrział na idących przodem i znów się uśmiechnął. — Dobrze zobaczyć trochę miłości, gdy wokół tyle cierpienia. Ale muszę skończyć opowieść. Gdy już mieli dość westchnień i spojrzeń, zaczęli posługiwać się mową, wtedy to nadeszło uderzenie na Dolinę. Zdecydowaliśmy się natychmiast wracać. Razem z Nyarą. Ona uważa, że może nam jeszcze wiele powiedzieć o ojcu. Ja jednak nie jestem pewien, czy

dobrze robimy. Nyara będzie naszym słabym punktem. . .

— Nie z Potrzebą u boku — rzekł stanowczo Mroczny Wiatr. — Rozmawiałem z Elspeth o mieczu. Choć z tego, co wiemy, Potrzeba nie jest adeptem, to jednak posiada wielką moc i wiedzę, o której nie mamy pojęcia.

Zimowy Księżyc kiwnął głową. — Nyara wydała mi się teraz bardziej ludzka, ale ponieważ przedtem widziałem ją zaledwie raz, mogłem się mylić — powiedział. Może miecz zdoła ją odmienić. Bez względu na niebezpieczeństwo, jakie stwarza, musi tu zostać. Jeśli ten uzdrowiciel jest rzeczywiście tak potężny, niech utka wokół niej jak najmocniejsze osłony. Wróciliśmy tu najszybciej, jak mogliśmy.

— Czy przy zasłonie zastaliście Śpiew Ognia? — Mroczny Wiatr nie wytrzymał, musiał zadać to pytanie.

— Tak. Stał nieruchomy jak posąg z lodu. Na nasz widok szybko wrócił do życia. Widzieliśmy też jego ptaka. Czy on zawsze się tak puszy?

Mroczny Wiatr wzruszył ramionami. — To chyba leży w jego naturze — odrzekł. — Ale opowiedz, jak powitał Nyarę? Słyszałem, że k'Treva nie lubią Zmiennolicych jeszcze bardziej niż my.

— W takim razie on nie podziela tej cechy swojego klanu. Nie wyglądał nawet na zbyt zaskoczonego. Zresztą jeśli obserwował nas z daleka oczami swego ptaka, wiedział, kim jest Nyara na długo przed naszym przybyciem do Doliny.

— A teraz z nią rozmawia. Nie spodziewałem się tego.

Cóż, chłopcze, nie chcę pochopnie wydawać osądu — wtrącił się szorstki myślgłós. — *Córka Zmory Sokolów w Dolinie nie zachwyca go, ale sądzi, iż potrafi ocenić uczciwość jej zamiarów* — prychnął miecz. — *Tak jakbym ja mogła zostać w niej jakiegokolwiek ślady jej ojca!*

Z pewnością, pani — odrzekł ostrożnie mag. — *Czy według ciebie Nyara jest gotowa stawić czoło ojcu?*

Sama? Nie, nawet za sto lat. Zrobiłam, co mogłam, lecz nie jestem wszechmocna. Nie jestem wielkim adeptem, lecz rzemieślnikiem magii. — Miecz wydawał się zaskakująco skromny. Zaszły w nim zmiany równie interesujące, jak w Nyarze. — *Obiecuję ci jedno: gdy udzielisz tej dziewczynie pomocy i poparcia, ona zmierzy się ze swym ojcem. Nawet jeżeli na razie nie uświadamia sobie tego. Przestała być wystraszoną, tępych narzędziem w jego rękach.*

To była dobra wiadomość; pierwsza tego dnia.

— O ile nie planujesz nic innego. . . — zaczął Zimowy Księżyc, gdy Śpiew Ognia stanął i odwrócił się do nich.

— Myślę — rzekł głośno, by wszyscy usłyszeli — myślę, że nadszedł czas zwołania rady.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

To była nietypowa rada. Odbywała się w prześwicie między drzewami poniżej ekele zajmowanego tymczasem przez uzdrowiciela. Jego hertasi zakrzętnęli się wokół pożywienia. — Niektórzy z uczestników, jak sam adept, Elspeth i Mroczny Wiatr nic tego dnia jeszcze nie jedli. Mroczny Wiatr nie przywiązywał zbytnej wagi do jedzenia, czym narażał się na dezaprobatę hertasi. Uwijali się oni wokół wszystkich gości, lecz szczególną troską otaczali Śpiew Ognia. Na pierwszy rzut oka widać było, że zbiegło się ich dwa razy więcej niż zwykle.

Rada nie zgromadziła wielu członków. Obecni byli: Lodowy Cień jako przedstawiciel starszyny i magów, Mroczny Wiatr, Śpiew Ognia, zwiadowca Zimowy Księżyc, Nyara i Potrzeba. Kethra zawiadomiła, że nie czuje się na siłach przyjść. Elspeth nie miała ochoty dołączać do zgromadzenia, ale ustąpiła wobec nalegań uzdrowiciela. Skif nie odstępował Nyary na krok i zasiadł obok niej w kręgu. Obok heroldów, na prośbę Mrocznego Wiatru, stanęli Towarzysze.

Obrady jeszcze się nie zaczęły, gdy przybył następny gość, przypominając, iż mieli omawiać nie tylko sprawę Doliny. Był to kyree. Usiadł obok Nyary, nie pytając o pozwolenie. Mroczny Wiatr rozpoznał od razu Rrisa po dumnie podniesionej głowie i postawionych czujnie uszach. Śpiew Ognia nieco zaskoczyła bezpośredniość kyree. Mroczny Wiatr śmiał się w duchu z jego reakcji, głośno zaś zaproponował, by Rris został jako pierwszy dopuszczony do głosu.

Wysiali mnie Hydona i Treyvan — zaczął kyree, nie dając się zbić z tropu taksującym spojrzeniom adepta — To gryfy, młodzieńcze — zwrócił się do niego protekcyjnie, odpłacając pięknym za nadobne. — Są przyjaciółmi Doliny i chcą wiedzieć, co się stało, prócz tego, co oczywiste; o ataku wroga i śmierci szamana już wiedzą.

Mroczny Wiatr zamaskował śmiech chrząknięciem. Sam wysłał wiadomość gryfom, lecz Rrisa ktoś dobrze przeszkolił. I chyba wiedział, kto.

Chciałbym wiedzieć, co zamierzacie — ciągnął Rris. — Gryfy podjęły już pierwsze kroki: zabezpieczyły gniazdo, leżące w ruinach blisko węzła energii. Ostoniły też sam węzeł, tak by nikt prócz nich nie mógł go wykorzystać. Znalazły również starą Bramę i otoczyły ją barierą, żeby Zmora Sokolów jej nie przekroczył. Jednak muszą znać plany sojuszników. Zawiadamiają radę, że razem z Po-

trzebą ręką za Nyarę. Uznają ją za godną zaufania, gdyż znają wszystkie jej postęпки od czasu opuszczenia Doliny.

Usiadł z bardzo zadowoloną miną. Przekazał słowo w słowo, odpowiednim tonem to, co miał powiedzieć i spotkał się z należytą uwagą. Nikt mu nie przeszkodził podczas przemówienia. Mroczny Wiatr miał nadzieję, iż Śpiew Ognia właściwie odczytał spojrzenie kyree.

„Młodzieńcze!... Za chwilę jego brwi zniknęłyby we włosach, tak wysoko je podnosił!” — cieszył się w duchu Mroczny Wiatr. Jednak w całej tej powodzi nowin znalazła się jedna zaskakująca także dla niego: gryfy wiedziały, gdzie przebywała Nyara i co robiła. Więcej, ręczyły za nią... .

Śpiew Ognia po chwili konsternacji odzyskał panowanie nad zebraniem. Wstał. — Nie wykazałem się zdolnością przewidywania — powiedział spokojnie.

— Nie przypuszczałem, by Mornelithe Zmora Sokołów miał nam kiedykolwiek jeszcze zagrozić. Uwierzyłem w jego śmierć. Popełniłem błąd, za który drogo zapłaciliśmy — życiem człowieka. Może nawet dwojga ludzi. Nie wiem, czy Jutrzenka przeżyła, czy zginęła z szamanem. Czas uporać się z obydwojma problemami: pierwszy z nich to kamień-serce. Zmora Sokołów ciągle może go wykorzystać przeciw nam. Drugi problem to sam Mornelithe. — Spojrzał po twarzach. Wszyscy kiwali potakująco głowami. — Teraz niech każdy opowie wszystko, co wie na temat wydarzeń dzisiejszych i wcześniejszych; wszystko, co może nam pomóc. Nie szkodzi, że już wiele z tego słyszeliśmy; być może dowiemy się nowych szczegółów, zwłaszcza od naocznych i świadków.

I sam zaczął od opisu ataku — tego, co odebrał. Po nim opowiadali inni. Zajęło to sporo czasu, lecz pod koniec nawet Mroczny Wiatr czuł się zadowolony. Części łamigłówek zaczęły do siebie pasować.

— Teraz, gdy uzupełniliśmy naszą wiedzę, musimy zastanowić się równocześnie nad dwiema sprawami. — Śpiew Ognia przestępował z nogi na nogę. — Ja wiem, jak poradzić sobie z kamieniem. Ci, którzy mi w tym pomogą, dowiedzą się za chwilę o moich planach. Jednak nie wiem, jak pokonać Zmorę Sokołów i chyba nie na wiele się tu przydam, bo nie mam doświadczenia w magicznej walce. Prawdę mówiąc, w ogóle nie mam wojennego doświadczenia. Jednak nie wydaje mi się, by bezpośrednie zmagania były najlepszym rozwiązaniem.

Mroczny Wiatr musiał wyglądać na zaskoczonego wyznaniem uzdrowiciela — że istnieje coś, czego ten nie umie — bo uchwycił jego sarkastyczny uśmiešek.

— Oto moja propozycja: podzielimy się na dwie grupy. Elspeth, Mroczny Wiatr, wysłannik gryfów — Śpiew Ognia popatrzył ironicznie na Rrisa, który odpowiedział mu solennym skinieniem głowy — i Gwena zostaną ze mną. Jeśli Lodowy Cień i Zimowy Księżyc zechcą poprowadzić resztę, myślę, że Nyara udzieli im wielu przydatnych informacji o swoim ojcu. Na pewno wie o nim wię-

cej, niż ktokolwiek z nas. Z pewnością także Potrzeba dysponuje większą wiedzą na temat walki na miecze i walki magią, niż ja.

Dzięki, młodzieńcze — odpowiedziała sucho Potrzeba tak, by wszyscy ją usłyszeli — *ale nie mam wielkiego doświadczenia w tych sprawach.*

Śpiew Ognia podniósł brwi, ale powstrzymał się od komentarzy. „Bardzo mądrze” — stwierdził Mroczny Wiatr. „Nie ma sensu podejmować wyzwania, gdy rywal dysponuje ostrzem równie ciętym, jak język”.

— Gdy obie grupy podejmą decyzję, spotkamy się ponownie, tym razem całą radą k’Sheyna. Czy to wam odpowiada? — spytał adept.

— Ja się zgadzam — rzekł ostrożnie Lodowy Cień. Zimowy Księżyc i Skif przytaknęli. — W takim razie chodźmy do mnie.

Śpiew Ognia długo i starannie szukał wygodnego miejsca, podczas gdy reszta podążyła za Lodowym Cieniem. Uspokoił się dopiero, kiedy tamci znaleźli się na tyle daleko, by nie usłyszeć o czym będzie mowa. Wtedy westchnął i przyjrzał się kolejno Elspeth i magowi. — Wyłożę wam teraz mój plan — rzekł cicho. — A ty, szanowny kyree, szczególnie uważaj na to, co powiem. Musisz zanieść gryfom wiadomość, zaraz jak tylko skończę. Proponuję niebezpieczne zadanie i chciałbym, by mi pomogły.

Rris skinął głową i nadstawił uszu. Śpiew Ognia wziął głęboki oddech.

— Zamierzam rozbić kamień. — Na odruch protestu Mrocznego Wiatru adept potrząsnął głową. — Nie, nie tak jak chciał Zmora Sokołów. Nie uwolnię energii od razu i na oślep. Oszlifowanie kamienia to nie to samo, co rąbanie weń młotem. Chcę to zrobić pod całkowitą kontrolą. Najpierw trzeba przygotować kamień tak, jakby miał się stać Bramą. Powiedzmy — stworzyć proto-Bramę, z wykorzystaniem tylko energii związanej z kamieniem, a nie mocy samego kamienia. W ten sposób zaczepię energię, choć nie w konkretnym przedmiocie.

Mroczny Wiatr kiwał głową. To miało sens, choć sam nie próbowałby takiego rozwiązania. Każdy wiedział, że tworzenie Bramy wiązało energię, unieruchamiało ją — lecz nikt nigdy nie próbował przeistoczyć kamienia-serca w Bramę. Na pewno zatrzymają w ten sposób wirujące wokół kamienia prądy mocy, ale lepiej nie myśleć, co stałoby się z tym, kto próbowałby przekroczyć taką Bramę.

— K’Sheyna stworzyli nowy kamień-serce w niedawno założonej Dolinie, prawda? — ciągnął adept. Mroczny Wiatr przytaknął. — Gdy ten kamień zostanie rozbity, proto-Brama przesunie się do miejsca o największej koncentracji mocy i najbardziej przypominającego stary kamień. Jeśli trzeba, popchniemy ją lekko we właściwym kierunku — w kierunku nowego kamienia-serca. Oba stworzyli ci sami magowie; Brama pociągnie za sobą prądy energii. Będziemy mogli kierować nią stąd.

— To zajmie dużo czasu — wtrącił Mroczny Wiatr.

— Owszem. Aby poruszyć Bramę, trzeba kilku adeptów i kilku dni, ale powinno się udać. — Śpiew Ognia spojrział na Rrisa. — Będziemy pracować w parach.

Potem, gdy dojdziemy do samego kamienia, podwoimy liczbę magów. Pary będą się składać z kobiety i mężczyzny, by dodatkowo zapewnić równowagę. Gryfy zajmą pozycję na zachodzie, jeżeli zgodzą się do nas przyłączyć. Czy możesz im to przekazać, razem z wszystkim, co usłyszałeś dziś wieczorem? Zapamiętasz?

— Oczywiście. — Kyree uniósł z godnością łeb. — Znam wszystkie opowieści historyczne kyree oraz te, którymi podzielili się z nami Tayledras, plus czterysta dwadzieścia trzy opowieści mojego sławnego kuzyna Warrla. Zapamiętanie wiadomości to dla mnie frazka.

Mroczny Wiatr poczuł, że usta mu drgają w powstrzywanym śmiechu.

— Pozwolicie, że was opuszczę — zakończył Rris. Adept skinął głową. Kyree skoczył w zarośla i zniknął im z oczu.

Gwena wybrała tę chwilę, by odejść. Mroczny Wiatr, Śpiew Ognia i Elspeth zostali sami.

Mag poruszył się, by również wstać, lecz Śpiew Ognia zatrzymał go wyciągniętą ręką.

— Ciągłe dzielą nas urazy, Mroczny Wietrze — powiedział. — Nie wyjaśniliśmy ich. Także ty i Skrzydlata Siostra nie uporaliście się z waszymi problemami. Poza tym powinienem porozmawiać z Elspeth. Chyba poczyniła pewne założenia co do mnie, a ja nie wyprowadziłem jej z błędu. — Mroczny Wiatr poczuł żołądek w gardle. Chętnie by uciekł, ale nie odważył się. — Musimy wszystko do końca wyjaśnić, zanim razem przekroczymy krąg — rzekł uzdrowiciel, lecz zamiast do Mrocznego Wiatru, zwrócił się najpierw do Elspeth.

— Nie byłeś z nim do końca szczerą. — stwierdził.

— Ja. . . — poderwała się w proteście, lecz słowa zamarły jej na ustach pod surowym spojrzeniem adepta.

— Nie wyjawiaś mi swych prawdziwych uczuć do mnie — ciągnął Śpiew Ognia. On to wyczuwał, ale ty sama przed sobą nie chciałaś się do nich przyznać, nie wspominając o nim. Nie powiedziałaś mu prawdy.

— Chyba nie. Jestem bardzo przywiązana do Mrocznego Wiatru. Ale ty. . . — Bezradnie wzruszyła ramionami. — Nic na to nie poradzę. . . i to nie tylko z powodu twojej niebiańskiej urody. . . Śpiewie Ognia. — Zacerwieniła się gwałtownie i zwiesiła głowę. — Nigdy jeszcze nie pragnęłam nikogo — fizycznie — tak jak ciebie.

Mroczny Wiatr opanował wzbierającą falę zazdrości. Czy wyobrażała sobie, że na jego miejscu jest Śpiew Ognia, gdy oni. . .

— Cóż — rzekł chłodno adept bez najmniejszych oznak zakłopotania. — Nie jesteś pierwszą kobietą gotową rzucić mi się w ramiona. Pozwól mi powiedzieć, Elspeth, iż uważam cię za dobrą uczennicę, godną pochwał, które ode mnie usłyszałaś. Ale jedno musisz wiedzieć: nie jestem taki, jak myślisz. — Potrząsnęła głową. Nie rozumiała. Również Mroczny Wiatr nie zgadywał, do czego adept zmierza. — Jestem prawdziwym potomkiem waszego herolda Vanyela, po obojgu

rodzicach. To z tego pochodzenia czerpię moją moc, ale odziedziczyłem po nim coś jeszcze. — Elspeth jednak wciąż nie rozumiała, co próbował jej powiedzieć.

— Dobrze, spróbuję być bardziej bezpośredni. Elspeth, z pewnością wielu mężczyzn uzna cię za bardzo atrakcyjną kobietę. . . jednak gdybym miał wybrać, wplótlbym pióra we włosy Mrocznego Wiatru. — Zagryzł wargi. — Szczerze mówiąc, chciałem to zrobić, odkąd go ujrzałem. I zrobiłbym to, gdyby on nie ulokował już swych uczuć gdzie indziej, co nawet ślepy by zauważył.

Śpiew Ognia zarumienił się.

Elspeth myślała, że Sokoli Bracia nie dostarczą jej już więcej niespodzianek, że poznała ich zbyt dobrze, by mogli ją jeszcze zaskoczyć. Tymczasem to, czego się dowiedziała w ciągu ostatnich kilku chwil, zważyło ją z nóg.

Po pierwsze — sławny herold Vanyel pozostawił po sobie potomstwo. Nie znalazła na ten temat wzmianki w kronikach, pieśniach ani balladach. Następna rewelacja — Śpiew Ognia to potomek Vanyela! Nie widziała powodu, by mu nie wierzyć. Nigdy dotąd nie kłamał, zresztą po co miałby w takiej sprawie oszukiwać, gdy nie można udowodnić ani obalić jego twierdzeń? Adept dzięki swym zdolnościom zajmował wystarczająco wysoką pozycję w klanie; nie musiał się podierać tanimi opowieściami o dalekim i niejasnym pokrewieństwie ze słynnym heroldem.

A do tego — ostatnia niespodzianka. . . „On jest, bogowie, jak się to nazywa? Shay’ a’chern? To stąd pochodzi nasze słowo shaych? Ale po co mam się zastanawiać nad słowami, gdy. . . gdy on pragnie Mrocznego Wiatru, nie mnie. . .” — myślała.

W pierwszej chwili poczuła przede wszystkim ogromne zmieszanie. Nie zrobiono z niej głupiej. Dokonała tego sama, na własną rękę, snując przypuszczenia, do których nie miała prawa. Teraz chciała już tylko uciec i schować się w mysią dziurę. . .

Po chwili jednak opanowała ją zazdrość. Nie o to, iż Śpiew Ognia pragnął Mrocznego Wiatru. Nie; bała się raczej, że Mroczny Wiatr zapała uczuciem do uzdrowiciela. Tayledras znani byli z niekonwencjonalnego podejścia do spraw miłości i swobody w dobieraniu partnerów większej niż dopuszczalna w Valdemarze, nawet wśród heroldów. A jeśli Mroczny Wiatr wybierze adepta? Od tej myśli zrobiło się jej wręcz niedobrze. Nie mogła wydobyć słowa ze ściśniętego gardła. Śpiew Ognia obserwował ich z nieodgadnionym uśmiechem. Co sobie o niej myślał? Czy wiedział, jak się czuje? Czy bawił się jej zakłopotaniem? Znów poczuła dławienie w krtani i szum w głowie. Nie mogła opanować rozszalałych emocji. Zaczerwieniła się, potem zbladła; poczuła fale gorąca i zimna na przemian. Uszy jej płonęły, a ręce zlodowaciały; wreszcie przemogła się i spojrzała w twarz uzdrowiciela.

Bez wątpienia odczytał jej wewnętrzną walkę — przynajmniej częściowo. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Potrząsnął głową, odrzucając włosy na plecy,

z rozmysłem uniósł wysoko podbródek. Potem skrzywił się i odszedł w ciemność, zostawiając im magiczne światło.

Nie mogła spojrzeć w oczy Mrocznemu Wiatrowi. Nie mogła na niego patrzeć; gdy raz spróbowała, przechwyciła jego wzrok i odwróciła twarz. Mroczny Wiatr chrząknął. Ze wzrastającym, o ile to możliwe, zdziwieniem zauważyła, że również lekko się zaczerwienił. Nawet więcej niż lekko. To tylko magiczne światła osłabiały jego rumieniec. Ręce Elspeth ciągle były zimne, lecz ucisk w gardle nieco zelżał.

— Czuję się jak głupiec — odezwał się mag, przerywając niezręczną ciszę. — Prawdziwy, koronowany głupiec.

— Wyobraź sobie, jak ja się czuję — odrzekła ostro. — Zwłaszcza gdy zdałam sobie sprawę, że nie obchodzą mnie jego uczucia do mnie lub do ciebie, tylko...

— Tylko? — podchwycił. Elspeth zapłonęła jeszcze gorętszym rumieńcem. Nie miała ochoty mu odpowiadać, lecz musieli wreszcie wyjaśnić sobie wszystko do końca. To jedyna, może ostatnia szansa...

— Najbardziej cierpiałam, gdy pomyślałam, że ty... ty mógłbyś... — Potrząsnęła rozpaczliwie głową i w końcu spojrzała na niego. — No dobrze! — krzyknęła ze złością. — Byłam zazdrosna, jeśli o to ci chodzi! Byłam zazdrosna, bo mógłbyś bardziej zainteresować się nim niż mną!

Patrzył na nią bez ruchu. Nie odezwał się ani słowem. Znowu poczuła mdłości. Do zażenowania dołączyło się upokorzenie.

Gdy Śpiew Ognia zmusił ją do uporządkowania swoich uczuć i ujawnienia ich, zdała sobie sprawę, iż jej fascynacja uzdrowicielem to zwykłe zauroczenie, wzmocnione podziwem dla jego zdolności, inteligencji i urody. Mroczny Wiatr był również zdolny i inteligentny — i łączyła ich więź o wiele głębsza, na tyle głęboka, by obudzić w niej zazdrość, by doprowadzić ją w ostateczności do kompromitacji.

— To ja byłem głupcem — rzekł cicho Mroczny Wiatr. — Tak jak ty. Może do naszych nieporozumień przyczyniło się napięcie ostatnich kilku miesięcy. Przeżyliśmy przez ten czas więcej niż inni przez całe życie. Oboje się zmieniliśmy. Na pocieszenie zostało nam przysłowie Shin'a'in: „Kto nie poczuł się choć raz jak głupiec, ten nie żył naprawdę”. — Dojrzała jego nikły uśmiech. — Ten raz powinien wystarczyć nam na całe życie.

— Mam nadzieję.

— Jeszcze jedno. Myślę, że to — wskazał głową w kierunku, w którym odszedł adept — przyczynia mu tyle samo kłopotów, ile jego moc przysparza mu uznania. Gdziekolwiek trafi, zostawi gospodarzy w zmieszaniu. I do pewnego stopnia bawi się tym.

Elspeth uśmiechnęła się lekko, z ulgą. Napięcie zelżało. — Na pewno — rzekła. — Najbardziej podobałoby mu się, gdyby cała Dolina biegła wokół niego i plotkowała o nim, jak hertasi. Cierpi, jeśli nie znajduje się w centrum uwagi.

— Z przyjemnością pozwoliliby nam pokłócić się o niego — odparł Mroczny Wiatr. — Możesz być tego pewna. Dostał niezwykle trafne imię. Przypuszczam, że zostawia zakochanych w nim biedaków jak zeschłe liście. Stałby się przyczyną kłótni choćby po to, by potem wystąpić jako rozjemca. Jednak jest zbyt wielkim uzdrowicielem, żeby ryzykować teraz, gdy czeka nas ważne i trudne zadanie. W spokojniejszym czasie, kto wie, jak by się to skończyło. . .

— Na pewno nie dam mu więcej okazji do bawienia się moimi uczuciami — odrzekła stanowczo. — Niech uprawia takie gierki z kimś innym. — Potrząsnęła głową. Wszystkie mięśnie, dotąd napięte, dały o sobie znać bólem. — Słuchaj, po tych przejściach muszę ochłonąć w wodzie. Co ty na to?

Uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę. Chwyciła ją. Jego ciepłe palce zaciśnęły się na jej lodowatej dłoni.

— Dobry pomysł — powiedział.

Po niedługim czasie zanurzyli się w gorącym źródle obok ekele Elspeth. Woda cudownie rozluźniała obolałe i zeszywniałe mięśnie.

Pod drzewem panowała głęboka ciemność; żadne z nich nie zapaliło magicznego światła. Mroczny Wiatr siedział bez ruchu, nie dotykając Elspeth. Nad nimi szeleściły liście, poruszane lekkim wietrzykiem wiejącym zawsze w Dolinie. Gdzieś w oddali zaświergotał ptak, potem znów zapadła cisza. A może to nie był ptak, może ktoś grał?

Mroczny Wiatr uniósł rękę; plusk spadających kropeł zabrzmiał głośno w otaczającej ich ciszy. Elspeth usiłowała nie myśleć o niczym.

— Czy on miał to na myśli, jak ci się wydaje? — spytał mag.

— Kto i co miał na myśli? — odrzekła leniwie.

— Śpiew Ognia. Czy on naprawdę tak uważał, gdy mówił o. . . zawahał się — o mnie?

— Dlaczego pytasz? — odparła gwałtownie. — Jeżeli chcesz pójść do niego, ja. . . ja. . . — szukała najbardziej absurdalnej groźby — wydrapię mu te błękitne oczka!

Mroczny Wiatr zaśmiał się. — Nie, nie pójde do niego — uspokoił ją.

— To dobrze — odrzekła. — Gdyby doszło do walki na zęby i paznokcie, nie miałby szans.

— Z pewnością — zgodził się leniwie.

— Ponieważ zawsze w takiej walce oszukuje — ciągnęła.

— O, jestem o tym przekonany — zachichotał.

Wyciągnęła rękę w jego stronę i odnalazła jego dłoń.

Przyciągnął ją do siebie. Nie stawiała oporu.

— Zrobiłabyś to dla mnie? — spytał. — Walka, oszustwa. . .

— Walczyłabym na pewno. A oszukiwałabym tylko jego, bo on też by oszukiwał. — Mroczny Wiatr otoczył ją ramieniem. Położyła głowę na jego piersi i wsłuchiwała się w noc.

— On prawdopodobnie też by oszukiwał — odetchnął głęboko. — Ale nie musisz się o niego martwić. Czy mam cię o tym przekonać, żebyś mi uwierzyła?

— Tak — odparła nieoczekiwanie dla samej siebie.

Nie oczekiwała również tego, co nastąpiło potem.

Mroczny Wiatr trzymał rękę Elspeth. Naprzeciwko, po drugiej stronie kręgu, stali Lodowy Cień i Klejnot Nocy, przesłonięci częściowo kamieniem. Po prawej wpatrywali się w kamień Hydona i Treyvan, nie okazując śladów zdenerwowania; po lewej — Gwiezdne Ostrze i Kethra, jak odbicie młodszej pary. Środek starannie zaprojektowanego kręgu zajmował kamień.

Jego uszkodzenia stały się widoczne dla każdego, nie tylko obdarzonych wewnętrznym wzrokiem. Smugi czerwonego światła przecinały powierzchnię skały jak miniaturowe błyskawice. Wyizolowali wszystkie kanały energii, jakie mogli, i uziemili je w ognisku w ruinach. Zajęło im to cały dzień, a pracowali całą grupą: Elspeth, Mroczny Wiatr, gryfy, Śpiew Ognia i Potrzeba. Uzdrowiciel zaskoczył ich, pojawiając się z mieczem; jeszcze bardziej, gdy użył jego mocy. Dwie pary — gryfy i ludzie — trzymały straż w kręgu, podczas gdy adept razem z mieczem wyciągnęli prądy mocy z kamienia, zostawiając tylko dwa, a następnie przenieśli je do ogniska. Śpiew Ognia nie miał ochoty wyjaśniać, w jaki sposób zdołał użyć mocy tak wyraźnie kobiecej; Potrzeba również nie kwapiła się do rozmowy na ten temat. To Nyara udzieliła wreszcie odpowiedzi, gdy Mroczny Wiatr ją zagadnął. Wyglądała przy tym na dziwnie skrepowaną.

— On zachowuje całkowitą równowagę między swoją żeńską i męską stroną. Dlatego, choć zwykle używa męskiej magii, może również posługiwać się mocą kobiecą — odpowiedziała.

— Tak jak Potrzeba?

— Tak. Ona może czerpać energię z żeńskich cech Śpiewu Ognia. Nie potrafiłaby tego zrobić, gdyby nie doskonała równowaga obu jego stron.

Skoro Nyara nie miała wystarczającej siły, by wejść w krąg i współpracować z Potrzebą, miecz znalazł inną drogę włączenia się w ich usiłowania.

Zmora Sokołów, dzięki bogom, nie dał znaku życia przez cały ten dzień oraz następny, kiedy Śpiew Ognia całkowicie sam stworzył proto-Bramę z resztek energii pozostawionej jeszcze kamieniowi. Nie wpuścił nikogo na teren ochrony, groziło to zbyt wielkim niebezpieczeństwem — tak twierdził. Jego wyjątkowo poważny głos skłonił nawet Mroczny Wiatr do zaniechania protestów. Zresztą w tym czasie wraz z Elspeth patrolowali granice Doliny. Wrócili ze zwiadu na skraj niebezpiecznego terenu i czekali na Śpiew Ognia. To wtedy Mroczny Wiatr zdał sobie sprawę, co to znaczy być uzdrowicielem i jaką cenę trzeba za to zapłacić.

Tuż po zachodzie słońca Śpiew Ognia przekroczył próg i upadł w ich ramiona.

Nie był to już denerwujący, przemądrzały arogant; drżał ze zmęczenia, po twarzy spływał mu pot. Ledwie stał na nogach, nie było mowy, by doszedł do domu. Podtrzymali go.

— W porządku — zachrypiał. — To tylko zmęczenie. Zmęczenie... wezwalem... już pomoc.

W tej chwili ukazał się biały dyheli, ten sam, na którym adept przybył do Doliny. Mroczny Wiatr pomógł magowi wdrapać się na grzbiet zwierzęcia.

— Moi hertasi czekają — wyszeptał Śpiew Ognia. — Powiedziałem im, czego się mają spodziewać, czego będę potrzebował. Dzięki za pomoc.

— Może zawołać jeszcze kogoś? — spytał niepewnie Mroczny Wiatr. Adept potrząsnął głową.

— Wiedzą, co robić. To ich tradycyjne zajęcie. Za dzień lub dwa będę zdrow. Mroczny Wiatr odstąpił krok do tyłu. Dyheli odszedł.

Śpiew Ognia ozdrowiał prawie całkowicie w ciągu jednego dnia, co dla kogoś, kto widział go po przekroczeniu progu, zakrawało niemal na cud. Widocznie jego zdolności samouzdrawiania dorównywały talentowi magicznemu.

Następnego dnia Elspeth i Mroczny Wiatr ponownie wyruszyli na objazd okolic Doliny. W każdej chwili oczekiwali powrotu Zmory Sokołów, jednak nie zauważyli nic podejrzanego. Kilka razy odnieśli wrażenie, że w dali mignęły im cienie jeźdźców; mogło to być jednak złudzenie wywołane zmęczeniem i napięciem. Kimkolwiek byli dziwni przybysze, nie zostawili żadnych śladów na śniegu. Wieczorem zawrócili do Doliny. Czekał na nich Śpiew Ognia, już w pełni sił.

— Jutro — rzekł. — Musimy to zrobić jutro. Gwiazdne Ostrze i Kethra nie odzyskali jeszcze zdrowia, lecz Nyara obawia się, że każdy dzień zwłoki działa na korzyść jej ojca. Potrzeba zgadza się z nią, ja także. Raz nie doceniłem wroga i nie chcę powtórzyć tego błędu. Wieczorem wybieram się do gryfów udzielić im wskazówek, a jutro spotkamy się wszyscy.

Mroczny Wiatr nie wiedział, jak przebiegło spotkanie u gryfów, ale niewątpliwie było interesująco. Hydona na pewno odpowiedziała na pychę uzdrowiciela własną arogancją, a Treyvan wspomógł ją kilkoma ciętymi komentarzami. W każdym razie teraz stali obok, ze spokojem oczekując tego, co nastąpi.

A w środku kręgu, gotowy do uderzenia, gdy nadejdzie pora, stał Śpiew Ognia z Potrzebą w ręku.

Młody adept przyjrzał im się badawczo. Mroczny Wiatr uniósł głowę i kiwnął do niego w odpowiedzi na nieme wyzwanie; Elspeth zdobyła się na cień uśmiechu. Śpiew Ognia doszedł do wniosku, że nie ma sensu dłużej czekać. Skinął głową.

— Zaczynamy — rzekł krótko. Nie trzeba było szczegółowych objaśnień ani uroczystych wstępów. Każdy wiedział, co ma robić; ćwiczyli razem tyle, ile się dało. Teraz słowa nic nie pomogą.

Mroczny Wiatr trzymał rękę Elspeth; teraz wyciągnął „rękę” mentalną i uchwycił smugę jej mocy równie silnie. Pozwolił przez chwilę narastać więzi między nimi i zwrócił uwagę — lecz nie wzrok — w lewo, ku ojcu i Kethrze. Elspeth skierowała się w prawo. Mroczny Wiatr poczuł, iż Kethra gromadzi moc między sobą a Gwiezdnym Ostrzem, a potem, zabezpieczywszy się, skupia uwagę na nim. Wtedy „wyciągnął” do niej drugą „rękę”. Uchwyciła ją, zrazu słabo, po chwili silniej. Jak wojownik przed bitwą. Ale Kethra była uzdrowicielką, nie wojownikiem. — *Uzdrowiciel również walczy. Walczy o życie tych, których leczy, czyż nie?* — rzekła lekko Kethra. A potem skupiła się na wzmocnieniu więzi między sobą a Mrocznym Wiatrem.

Na prawo od maga Treyvan łączył swoją moc z mocą Elspeth. Krąg zachwiał się przez moment, gdy moce szukały nowej równowagi. Siła męska, kobieca, ludzka, moc gryfów, starości i młodości; moc ziemi, powietrza, ognia i wody; moc Tayledras, Valdemaru, Shin’a’in i moc wędrowca. . .

Wtedy Mroczny Wiatr poczuł nieoczekiwanie coś jeszcze: pełnię radości, taką lekkość ducha, jakiej nie zaznał od czasu uszkodzenia kamienia-serca. Ujrzał odbicie swego zaskoczenia w oczach Kethry; czuł drżenie ręki Elspeth w swojej dłoni. Chciał krzyczeć, śmiać się, śpiewać — tak powinna wyglądać magia! Cudowne poczucie słuszości!

W tej chwili jego uwagę przyciągnęło poruszenie w środku kręgu. Spojrzał na Śpiew Ognia. Młody adept uśmiechał się, oczy mu błyszczały — i w jakiś sposób Mroczny Wiatr czuł, że ta radość, to poczucie jedności pochodzą od niego. Czy tak się działo za każdym razem, gdy używał magii? Nic dziwnego, że czynił to tak bez wysiłku, że zgadzał się na wycięczenie do granic możliwości — jeśli taka była nagroda. . .

Gdzieś w głębi umysłu narodziło się pytanie: „Czy on sam kiedykolwiek jeszcze, rzucając czar, poczuje to, co teraz?” Chyba nie — nie tak intensywnie, ale część radości powróci. Już powróciła — dzięki dotykowi uzdrowiciela.

Ośmioro członków kręgu przysunęło się do siebie. Elspeth tkąta wokół nich magiczną sieć, aż otoczyła ich kula energii szczelna i delikatna jak porcelana, a jednocześnie mocna jak stal.

Śpiew Ognia zaczął przytupywać. Nie przyniósł bębna, gdyż nie mógłby jednocześnie używać jego i miecza. Stojąca tuż za Gwiezdnym Ostrzem, ale wewnątrz niebezpiecznej strefy, Nyara podchwyciła rytm i zaczęła wybijać go na bębnieku z wprawą, o jaką Mroczny Wiatr nigdy by jej nie posądzał. Mroczny Wiatr dołączył się do rytmicznego tupania, a inni poszli za jego przykładem. Przypominało to taniec, a taniec zawsze wzmacniał magię; Elspeth nadała ich wspólnej mocy kształt, taniec zaś wprawił ją w ruch. Kula magicznej energii zaczęła wirować, słabe jej punkty zostały umocnione; zresztą teraz żaden punkt nie przebywał w jednym miejscu na tyle długo, by narazić się na atak.

Mroczny Wiatr zamknął oczy i poddał się jednostajnemu rytmowi. Czuł sto-

jącą obok Elspeth, czuł oczekiwanie Śpiewu Ognia...

Uderzył!

Potrzeba zadźwięczała w zetknięciu z powierzchnią kamienia-serca. Jednak zamiast agonalnego krzyku usłyszeli dzwonienie, wypełniające powietrze i dusze, zagłuszające wszelkie inne dźwięki, wypełniające cały świat. Jeśli go nie pokonają, popłynie przez Dolinę, krusząc wszystko, co mu stanie na drodze.

Nyara bębniła niestrudzenie. Choć Mroczny Wiatr już jej nie słyszał, jednak czuł wibracje powietrza w monotonnym rytmie. Skupił całą moc i siłę woli, by wytrwać — wytrwać do końca. Zachwiał się; chwiał się cały krąg. Jeszcze raz zdołał zebrać resztkę sił i włąć je do osłony wokół kręgu. I wtedy dostrzegł zmianę w tonie dzwonek. Zaczęły cichnąć...

To dodało mu sił. Stał pewnie na nogach. Wiedział, że mogą zapanować nad siłą kamienia, słabnącą w miarę zanikania dźwięku. Jednak ciągle utrzymywanie go pod kontrolą wymagało skupienia wszystkich sił.

Wreszcie uporczywe dzwonienie rozplynęło się w ciszy.

Mroczny Wiatr otworzył oczy; świat się kołysał, ziemia ugięła się pod nogami. Spojrzał wokół. Śpiew Ognia opierał się ciężko na mieczu zanurzonej po rękojeść w stosie nierównych, szarych odłamków. Kethra podtrzymywała Gwiazdne Ostrze. Lodowy Cień i Klejnot Nocy padli bez tchu na ziemię. Nawet gryfy zwiesiły ze zmęczenia głowy. Jednak gdy Treyvan podniósł z wysiłkiem łeb i spojrzał na przyjaciela, Mroczny Wiatr ujrzał w jego oczach triumf.

— Bracia, siostry — dobiegł ich słaby głos ze środka kręgu — udało się.

Do licha, udało się! — powtórzyła Potrzeba. I ona wydawała się zmęczona.

Śpiew Ognia wyprostował się i jednym gestem rozwiązał osłony tak długo otaczające kamień; moc zaś podzielił równo pomiędzy wszystkich — starczyło, by stanęli na nogi.

Mroczny Wiatr nie musiał zamykać oczu, by widzieć żarzące się resztki energii, które kiedyś były kamieniem-sercem, a teraz — przyszłą Bramą, zawieszoną między realnym światem a światem mocy i magicznych przejść; jednak już nie złośliwą, niebezpieczną rzeczą, w którą zamienił się kamień. Teraz była to już czysta moc.

Opadło z nich całe zmęczenie. Gryfy podniosły głowy i rozwinęły z szumem skrzydła.

Nyara podeszła cicho do środka kręgu. Śpiew Ognia podał jej miecz z lekkim ukłonem. Potem zwrócił się do gryfów. — Cóż — rzekł głosem o wiele silniejszym niż przed chwilą, gdy nie zaczerpnął jeszcze mocy z nowego ogniska. — Czy jesteście gotowi do następnego etapu?

— Prrowadź, bezpiórry — odparł Treyvan. — I przyjmij wyrrirazy uznania. Dobrrra rroboty.

Na twarz Śpiewu Ognia powrócił już zwykły uśmiezek, ale Mrocznemu Wiatrowi przestał on przeszkadzać. Nigdy wcześniej nie widział pokazu takiego ge-

nieszu magicznego — i prawdopodobnie nigdy więcej nic takiego nie zobaczy.

— Dziękuję — uzdrowiciel odparł bez skrępowania. — Za nami najtrudniejsza część zadania. Reszta, choć żmudna, jest o wiele prostsza.

— Hmm. Może, ale lepiej nie liczyć piasków, zanim słońce nie opierzą. — Hydona nastroszyła pióra. Tak bardzo przypominała w tej chwili Vree, iż Mroczny Wiatr zachichotał mimo woli. — Im pręcej zaczniemy, tym pręcej skończymy. Zrobimy porządek z tą twoją proro-Brrramą, zanim zechce jej słońce rozpocząć wędrówkę na własną rękę.

Na razie jednak, skoro odzyskali nieco sił, skierowali się do Dębu Rady, gdzie czekały już przygotowane przez hertasi napoje i pożywienie. Mroczny Wiatr odechnął z ulgą i uściskał Elspeth rękę. Cokolwiek się jeszcze zdarzy, Zmora Sokołów nie zdoła zniszczyć kamienia-serca i Doliny. Na razie oddalili niebezpieczeństwo — przynajmniej na tyle, ile mogli, bo przecież Mornelithe ciągle żył. Ciągłe knuł i obserwował. Zmora Sokołów. . .

Wciąż nieprzejednany, wciąż niepokonany.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Dolina zamieszkała przez ptasich głupców wytworzyła tego dnia jakąś dziwną aurę. Zmora Sokołów nie potrafił jej dokładnie określić; czuł tylko, że osłony wokół kamienia-serca zostały podwojone. Ktoś zniszczył także linie energetyczne w samym kamieniu, zostawiając jedynie dwie najsilniejsze. Nikt z nich nie mógłby tego dokonać, nawet gdyby uważał się za potężnego adepta.

Mornelithe uśmiechnął się do siebie, obracając w palcach figurkę czarnego konia. Ciągłe nie umiał nazwać materiału, z którego ją zrobiono; nie z onyksu, nie z obsydianu, i nie z jakiegokolwiek znanej mu skały. Tego cacka nie dało się w żaden sposób uszkodzić, choć wyglądało na tak kruche. Polecił wcześniej jednemu ze sług uderzyć w figurkę kamiennym młotem, gdy już inne środki nie zdołały jej nawet zarysować. Młot i owszem się skruszył — statuetka zaś pozostała nietknięta.

I pozostała zagadką, tak jak jej twórca. A Zmora Sokołów nie miał czasu zająć się jej rozwiązywaniem. Czekwały go inne sprawy; musiał opracować plan uderzenia na k'Sheyna, co wymagało wielkiej cierpliwości i czujności. Jeśli się jednak powiedzie, efekty okażą się nadzwyczajne. Miłośnicy ptaków mogą sobie osłaniać kamień, jak im się podoba, nie zdołają jednak ukryć go przed okiem Mornelithe'a. W momencie nieuwagi on uderzy — i tym razem nie da się pokonać.

Niech tylko opuszczą osłony.

Czekał na to już od kilku dni, zagrzebany w pracowni, zbierając siły, przygotowując jedyny, miażdżący cios, który sięgnie Gwiezdnego Ostrza, spali jego umysł i poprzez niego dotrze do kamienia.

Nigdy dotąd nie działał w ten sposób i liczył na zupełne zaskoczenie przeciwnika. Żadnych prób, zwiadów. Jeden szybki, celny strzał, zawierający całą moc, jaką zdoła zebrać — a w chwilę później zapali się dom Gwiezdnego Ostrza, za nim zaś wszystkie inne. Nie będzie to koniec, o jakim marzył, lecz przynajmniej pozbędzie się wrogów i dopełni zemsty.

Niech tylko opuszczą osłony...

Czatował cierpliwie jak kot przed mysią dziurą, jak lew przy wodopoju. Wie-

dział, że będą musieli to zrobić, aby odnowić strumień energii i mocą ogniska z ruin uzdrowić kamień. Będą przynajmniej próbować, wcześniej czy później. W samej Dolinie nie znajdzie się wystarczająco dużo czystej mocy, żeby chociaż zacząć próbę ujarznienia kamienia, zakładając, że w ogóle jest to możliwe. Sam Mornelithe uważał takie próby za skazane z góry na niepowodzenie. Miał za sobą kilkaset lat doświadczenia w praktykowaniu magii i nie usiłowałby tego dokonać.

Myśli rozproszyły się. Próbował skupić je na Dolinie, w której najwyraźniej zaczęło się coś dziać. Osłony wokół kamienia zdrzały.

Światło!

Rzucił się w tył z okrzykiem bólu, zaciskając mocno powieki i zatykając uszy w daremnej obronie przed oślepiającym blaskiem i ogłuszającym hukiem. Na chwilę stracił zdolność reagowania.

Gdyby nie obserwował tak uważnie Doliny i kamienia, nie zauważyłby jego śmierci. Gdyby skoncentrował się na obiekcie materialnym, nic by nie poczuł. Ogłuszające efekty objawiły się tylko w postaci energii, widzianej jedynie przez obdarzonych wewnętrznym wzrokiem i słuchem. Choć oślepiony, dostrzegł, co się stało; skupił całą siłę i sięgnął magicznym wzrokiem do Doliny, do kamienia.

Przez moment nic nie widział, osłabiony wybuchem. Mag o mniejszym doświadczeniu padłby nieprzytomny i prawdopodobnie straciłby część swych zdolności. Zmora Sokołów zdołał jednak zachować świadomość, choć z wielkim wysiłkiem. Skoncentrował całą siłę woli na rzeczywistości, zamknął wszelkie drogi powrotu - nie myślał o niczym innym, nie słyszał i nie widział nic innego. Gdy chwila oszołomienia minęła, kamienia już nie było. Zmora Sokołów siedział w bezruchu.

W pierwszym momencie nie uwierzył w to, co się stało. To nie miało sensu; Tayledrasi nigdy nie postępowali w ten sposób. Przez moment wydawało mu się, że to złudzenie, wynik oślepienia eksplozją. Jednak wkrótce oszołomienie ustąpiło miejsca wściekłości. Jego plany legły w gruzach w ciągu kilku chwil. Jak mógł się tak pomylić?! Powinni starać się oszczędzić kamień, a nie go niszczyć! Czegoś takiego mogliby próbować samobójczy Shin'a'in, lecz nigdy Tayledras.

Potrząsnął głową, był coraz bardziej wściekły. Ból nie ustępował; w skroniach mu pulsowało, a w głąb mózgu wbijał się sztylet — było to ostrzeżenie, by nie podejmował teraz żadnych wyczerpujących działań. Ból zwiększył złość. Jak mogli zrobić coś tak zupełnie nieoczekiwanego, tak do nich nie pasującego? Co więcej: w jaki sposób dokonali tego, nie znosząc z powierzchni ziemi całej Doliny, jak on to planował?

Wewnętrzne oczy ciągle nie odzyskały pełnej zdolności widzenia, oczy fizyczne piekły i łzały, mimo to jednak jeszcze raz skierował wzrok na Dolinę, w nadziei, że trafi na jakikolwiek ślad nieznanego adepta, który dokonał niemożliwego. Rzeczywiście, znalazł — nawet więcej niż ślady, znacznie więcej. Zobaczył niezwykle czystą, jaśniejszą moc, zawieszoną pomiędzy światami,

tam, gdzie powstają Bramy i strumienie energii. Zajmowała tę samą przestrzeń, co przedtem kamień, a raczej jego moc. Przez długą chwilę Zmora Sokołów po prostu wpatrywał się w ów kształt, zastanawiając się, jak powstał i co to w ogóle jest. Nie przypominało niczego, co już istniało w Dolinie lub jej pobliżu ani niczego, z czym się zetknął. Poza tym, jakim cudem ta rzecz zajęła miejsce kamienia? Jak przyciągnęła do siebie dwie najważniejsze linie energetyczne? Dotąd znał jedynie takie linie związane z kamieniami lub ogniskami mocy. . .

I wtedy zdał sobie sprawę, iż widzi kamień — a raczej to, co zeń pozostało. Cokolwiek nieznany adept uczynił z samą skałą, zniszczenie jej uwolniło czystą moc w nowym kształcie. Prowadziły do niej tylko dwie ścieżki. Zmora Sokołów nie mógł już jej użyć ani opanować, nie mógł nawet do niej sięgnąć. Ta moc reagowała na dotknięcie tylko jednej dłoni — w każdym razie nie jego — istniała dla jednego człowieka i nikogo innego.

Właściwie bardzo przypominała Bramę. Jednak tylko kilku najpotężniejszych magów umiało stworzyć Bramę z energii zewnętrznej. W pierwszej chwili odrzucił takie przypuszczenie — nawet ptasi głupcy nie odważyliby się budować Bramy w pobliżu ogniska, a co dopiero kamień! Zresztą po co marnować aż tyle siły na jedną Bramę? Nie dało się z niej skorzystać — nieostrożny śmiałek zostałby najpewniej wessany przez wiry nieokiełznanej energii i unicestwiony.

A jednak ta rzecz niezupełnie była Bramą — tylko ją przypominała. Była początkiem, czymś, z czego Brama dopiero powstanie, jeszcze nie teraz. Właściwie im bardziej Zmora Sokołów się jej przypatrywał, tym więcej różnic odkrywał między prawdziwą Bramą a tą formą energii. Przede wszystkim nie posiadała wyjścia, nie związane z nią żadnej struktury, zaczepiono jedynie między jedną rzeczywistością a drugą. Był to rodzaj Bramy opartej tylko na sobie, nie na magu — to właśnie dawało jej całą równowagę. Wyglądała trochę jak jeden z promieni, wysyłanych przez Bramy szukające miejsca przeznaczenia.

W tej chwili zobaczył, jak to coś o dziwnym kształcie porusza się nieco, przesuwając na zachód i na północ, jakby w poszukiwaniu. . .

Wtedy zrozumiał. Ta moc naprawdę szukała — dlatego stworzono ją na wzór Bramy. Szukała kształtu, który da jej punkt zaczepienia; formy stworzonej przez te same ręce, które zbudowały jej stare naczynie. Szukała nowego kamienia-serca w nowej Dolinie.

Niewiarygodne. Nieprawdopodobne. Sam nigdy by na to nie wpadł.

Przez chwilę siedział niemal w podziwieniu dla śmiałości nieznanego adepta. Śmiałości i geniuszu. Trafił na równego sobie przeciwnika. Nie był to następny Urtho, ale cóż — Mornelithe także nie był już Maarem. W przyпіływie szczerości wobec samego siebie — czego raczej unikał — musiałby przyznać, że Urtho lub ktoś jemu podobny pokonałby go teraz bez wielkiego wysiłku. Chociaż. . . obaj nie dysponowali już taką mocą, jak kiedyś; obowiązywały też inne reguły.

„Zaraz, zaraz, zaczynam się rozpraszać! Nic dziwnego, że dzieciuch mnie

podszedł!” — przebiegło mu przez głowę.

Dzieciuch? Nie; ktoś młody, lecz nie dziecko. Dojrzały mocą i umiejętnościami, młody tylko wiekiem. „Ciekawe... czy jest równie piękny, jak ci miłośnicy ptaków, których widziałem?” — pomyślał.

Ogarnęło go pożądanie. Nie tylko pragnienie mocy, ale i jej twórcy, tego, kto ułożył i przeprowadził tak śmiały plan. Mieć kogoś takiego pod kontrolą, na własne usługi, do spełniania zachcianek i kaprysów Mornelithe...

„A znaleźć się pod władzą kogoś takiego?...” — pomyślał i otrząsnął się gniewnie.

Śmieszne! Ptasi głupcy znów wygrywają! Nie może na to pozwolić. Na pewno istnieje sposób odebrania im panowania nad sytuacją.

Chwileczkę, wróćmy do tej rzeczy. Co zrobiłby on sam, będąc w jej posiadaniu?

Na pewno moc przyciągałaby prądy energii, osadzona w bezpiecznym miejscu, wkrótce pokryłaby się siecią linii równie skomplikowaną, jak sam kamień.

„Gdybym miał takie ognisko, przejąłbym kontrolę nad całym obszarem. Bez wysiłku ściągałbym do siebie kolejne strumienie, jak pająk pociąga za nitki pajęczyny. Stworzyłbym drugą sieć pułapek, tylko o wiele większej mocy...” — rozmyślał.

Pogładził w zamyśleniu figurkę. Przed oczami przewijały mu się kolejne rozwiązania. Wrócił do obrazu sieci. Zaświtał mu nowy pomysł.

„Cóż, czarodzieju, wypróbujemy nową magię?” — zapytał siebie i uśmiechnął się złośliwie. „To gra dla dwóch. Przecież kiedyś już zaczęłam Bramę o siebie!” Zdarzyło się to dawno, dawno temu, na długo przedtem, nim tak sprytni Sokoli Bracia rozpostarli opiekuńcze skrzydła nad tą ziemią. Wtedy cały ten kraj należał do niego, po serii nie kończących się wojen. Był młodszy i lubił próbować nowych rozwiązań; spłodził już około tuzina dzieci, ludzkich i Zmiennolicych, więc nie obawiał się śmierci. Jak długo żyje ktoś z jego krwi i z darem magii, on sam będzie nieśmiertelny. Gra okazała się warta świeczki.

Nikt przed nim nie próbował przesunąć ogniska stałej Bramy tak, by zahaczyć ją o człowieka. Jego doradcy twierdzili, iż to niemożliwe — zbyt wielka energia zabiłaby śmiałka. A przecież Bramy tworzone na krótki czas zaczepiano o moc człowieka — wszak powstawały one z energii ludzkiej. Warto więc spróbować. Stałe przejścia posiadały własne małe siatki prądów mocy, jak kamienie i działały jak małe ogniska — dowiedział się o tym, zanim zetknął się z Sokolimi Braćmi, zanim poznał prawdziwą moc. Próba uczynienia samego siebie ośrodkiem sieci mocy takiego rodzaju wydawała się całkiem rozsądna.

Zaczął więc szukać. Przyłączył swą siłę do stałej Bramy, znajdującej się na jego własnych ziemiach. Przypominał wtedy naprawę pająka w sieci — przyciągał do siebie wszystko, czego tylko zapragnął. Musiał za to zapłacić; wówczas uznał cenę za niewygórowaną: nie mógł oddalać się z domu dalej niż kilka staj,

gdyż jego ciało nie zniosłoby fizycznego rozdzielania z mocą Bramy. Z drugiej strony, gdy chciał wrócić, Brama przenosiła go natychmiast, bez żadnych etapów pośrednich. Eksperyment się powiódł, a przymusowy pobyt w domu lub jego pobliżu wynagradzała z naddatkiem możliwość kontrolowania całej energii magicznej w zasięgu jego wewnętrznego wzroku.

Przemyślał dokładnie sytuację, w jakiej się teraz znalazł. Jeśli choćby dotknie tej rzeczy, oni natychmiast się o tym dowiedzą, to oczywiste. Adept na pewno pilnuje, a inni magowie mu pomagają. Co za okropne położenie: widzieć wszystko, co się stało i nie móc się włączyć!

Będzie musiał działać ostrożnie. W końcu istnieje wiele sposobów pokierowania mocą. Zostają prądy, za które można pociągać. . .

Dotknął lekko najbliższego prądu energii i szarpnął, stopniowo zmieniając kierunek, w którym dryfowała cała moc. Nikt nie zauważył.

Uśmiech Zmory Sokołów zmienił się w grymas ponurej satysfakcji. Polowanie znów się zaczęło, a zwierzyna jeszcze się nie spostrzegła, że myśliwy odnalazł jej trop.

Jak każdy dobry myśliwy, Zmora Sokołów musiał od czasu do czasu odpocząć. Zdołał ściągnąć moc z jej pierwotnego kursu; to wystarczyło. Zbyt długo pozostawił służących samym sobie, trzeba im przypomnieć o potędze ich pana. Trzeba też przygotować się do późniejszego uczynienia Bramy częścią siebie. Przedtem jednak Mornelithe chciał odpocząć, zjeść coś i odświeżyć się.

Opuścił pracownię. Dopiero po wyjściu na korytarz poczuł wiszący w powietrzu ciężki zapach kadzidła i duchotę pokoi zamkniętych przez zbyt długi czas oraz niezbyt przyjemny zapach pocących się w nich ze strachu ludzi. Potrząsnął głową. Zanim cokolwiek zje, powinien odetchnąć świeżym powietrzem.

Obrócił się i wszedł na schody prowadzące na szczyt wieży, gdy nagle wszystkie pozamykane szczelnie okna i drzwi otwarły się z ogłuszającym trzaskiem; posypało się szkło, światło wpadło do wewnątrz — i zapadła cisza. Jednak tylko na moment. Ze światłem wpadł gwałtowny podmuch wiatru. Wiatr wiał zewsząd i znikąd. Darł zasłony, gasił ogień w kominkach, rozdmuchiwał popiół. Mknął korytarzem, poszarpał włosy i odzież Mornelithe'a, sypnął mu w oczy pyłem, aż ten zawył z bólu. Zanim Zmora Sokołów zdążył zareagować, przestało wiać. Znów zapadła cisza; przez okna ciągnął ziąb i wlatywał śnieg.

Nieoczekiwana wichura zapoczątkowała całą serię niewytłumaczalnych wypadków. Nie tworzyły one żadnego ciągu, nie miały sensu. Czasem wyglądały na atak — jednak nie czyniły poważnych szkód. Czasem wydawało się, iż ktoś bardzo potężny chce się pojawić w zamku — lecz nikt się nie zjawił. Za każdym razem, gdy Mornelithe próbował przyciągnąć bliżej nowe źródło energii powstałe z kamienia-serca, przeszkadzał mu taki wypadek.

Okno jego pracowni otwierało się na niebo, odkąd podmuch wiatru wybił szyby i wyłamał okiennice. Pewnego razu wleciał przez nie ognisty ptak — lub inny, bardzo podobny — i upuścił u stóp Zmory Sokołów czarną różę. Zanim zaskoczony mag zareagował, ptak opuścił komnatę tą samą drogą, jaką przybył.

Oddział czarnych jeźdźców prześladował jednego z wysłańców, nie pozwalając mu dostać się do zamku. Nie używali przy tym innej broni prócz strachu. Mężczyzna uciekał konno; potem, gdy koń padł, pieszo, aż do krańcowego wyczerpania. Jeźdźcy zostawili go leżącego w śniegu. Znalazł go patrol z zamku, jednak za późno — ledwie nieszczęśnik zdołał opowiedzieć o prześladowcach, zmarł na serce.

Wszystkie wybite szyby zostały w ciągu godziny zastąpione nowymi, ale szkło przybrało barwę krwi, pogrążając całą twierdzę w złowieszczym półmroku. Zmorze Sokołów nawet spodobał się ten efekt, ale służący wszelkimi sposobami starali się rozjaśnić wnętrze.

Wszystkie warzywa w spiżarni wypuściły kiełki, długie, blade korzonki i kłącza. Cebule zakwitły. Kucharz wpadł w panikę w obawie przed gniewem pana. Całe wino skwaśniało, a piwo wykopiało z beczek, zostawiając na podłodze piwnicy cuchnącą kałużę.

Dwieście łokci czarnego aksamitu pojawiło się na dziedzińcu. Materiał pocięty był na kawałki.

Jeden z czarnych jeźdźców zdybał kuchcika wysłanego do rekwizycji żywności i zmusił go, by jechał za nim. Na środku pokrytej śniegiem polany stały wozy pełne beczek z winem i piwem oraz worków z warzywami. Wokół nie widać było żadnych śladów — nawet śladów wozów. Nikt nie mógł odgadnąć, skąd się wzięły i jak dotarły na to miejsce.

W ciągu jednej nocy wszystkie chorągwie zastąpiono nowymi. Stare przedstawiały godło poprzedniego właściciela zamku; nowe — czarnego konia.

Wielkie stado czarnych ptaków opadło pewnego dnia na dachy fortecy i odleciało dopiero po kilku godzinach, zostawiając po sobie białe plamy.

Ktoś niewidzialny dostał się w biały dzień do stajni, otworzył boksy i wystraszył konie. Odszukanie ich zajęło trzy dni. Ostatni wierzchowiec, należący do samego Mornelithe'a, został znaleziony we wspaniałej czarnej uprzęży, z czarnym siodłem. A w jukach ukryto kryształ dwa razy większy od tego, który Zmora Sokołów rozbił w napadzie szału.

Teraz Mornelithe przemierzał czerwono oświetloną pracownię, próbując doszukać się sensu w nonsensie ostatnich dni. Był całkowicie zbity z tropu — nawet działania wydające się atakiem wroga mogły stanowić część tajemniczego zaproszenia do zawarcia znajomości. Sam nieraz tak postępował: wysyłał prezent, potem zaś pokazywał całą swą siłę, jakby chciał powiedzieć: „Zobacz, jaki jestem

potężny, mogę cię dopaść w twoim własnym domu”. Zawieranie przyjaźni i sojuszków wśród magów przebiegało inaczej niż u zwykłych śmiertelników. Często zawierało w sobie tyleż pragnienia, ile nienawiści.

Jeśli jednak to propozycja przymierza — w takim razie kto ją wysłał? Nie Shin’a’in, bo oni unikali wszelkiej magii. Nie Tayledras, gdyż nienawidzili Zmory Sokołów tak mocno, jak on ich. Więc kto? Myślał, że pokonał wszelkich możliwych rywali. . . ale tylko rywal mógł się tak zachowywać.

Nagle stanął jak wryty. Zaświtało mu rozwiązanie.

Jakiś czas temu mag, którego cudzoziemcy tak się bali, wydawał się szukać z nim przymierza. A jeśli ów mag krył się za tymi wydarzeniami? Wtedy nabrałyby one sensu. Czarni jeźdźcy przeciwko białym, czarne konie zamiast duchów opiekuńczych. . . To przypuszczenie wydawało się bardziej prawdopodobne.

Zawołał służbę. Mężczyzna pojawił się od razu, ale nie okazywał zwykłego przerażenia. Zmora Sokołów nie winił poddanych za ostatnie wypadki — dzięki temu ludzie nieco odetchnęli. Zresztą miał już dość atmosfery strachu. Od jakiegoś czasu nawet nikogo nie zabił. . .

— Znajdź Dhashela, Torona, Fleckera i Quorna — polecił służącemu. — Zaniesiesz im rozkaz. Jest prosty: Na północnym wschodzie leży kraj Hardorn. Władą nim mag Ancar, zaprzysięgły wróg obojga cudzoziemców i k’Sheyna. Teraz toczy wojnę z Valdemarem. Tyle o nim wiem. Chcę wiedzieć więcej, o wiele więcej. — Utkwił wzrok w mężczyźnie. — Rozumiesz?

Służący skinął głową i powtórzył wszystko słowo w słowo. Zmora Sokołów był zadowolony. Postanowił go oszczędzać na przyszłość.

W końcu dobra służba zasługuje na nagrodę.

— Idź i powiedz im, niech się pośpieszą — rzekł jeszcze, odwracając się ku posłaniu i nowemu kryształowi. — Chcę jak najszybciej usłyszeć nowiny.

Mroczny Wiatr podniósł się niepewnie, gdy Lodowy Cień dotknął jego ramienia — skończyła się jego zmiana. Powlókł się z miejsca zajmowanego do niedawna przez kamień-serce do ekele Nyary. Był zmęczony, lecz sprawa, o której chciał porozmawiać, nie mogła czekać.

Coś lub ktoś zmieniało tor proto-Bramy. Chwile spędzone ze Śpiewem Ognia na próbach popchnięcia jej w kierunku nowej Doliny zmieniały się w walkę o utrzymanie właściwego kursu.

Nie byli do końca pewni, czyje to dzieło, lecz Zmora Sokołów zajmował pierwsze miejsce na liście podejrzanych. Dzięki bogom, Bramę można było co jakiś czas zakotwiczać — nikt nie zdołałby utrzymać jej bez przerwy. Usiłowania przeciągały się już parę dni, choć miały trwać tylko kilka godzin.

W szczególnie ciężkiej sytuacji znalazł się Śpiew Ognia. Ponieważ proto-Brama związana była z jego osobą, on odpowiadał za nadanie jej poruszeniom kie-

runku i utrzymanie go. Choć hertasi biegali wokół, zaopatrując uzdrowiciela we wszystko, czego potrzebował, nie mogli dać mu jednego: odpoczynku.

Odkąd dowiedzieli się, że Bramę można zakotwiczyć, magowie pracowali na zmiany trwające po cztery miarki świecy. Jedynie zmiana uzdrowiciela była dwukrotnie dłuższa.

Mroczny Wiatr miał wątpliwości, czy zostawianie proto-Bramy bez ochrony jest rozsądne — nie mieli jednak wyboru. Śpiew Ognia wieczorem włókł się do łóżka i zasypiał kamiennym snem. Pozostało mieć nadzieję, że nikt nie mógł wykorzystać Bramy bez wiedzy adepta.

Odkąd Bramę zatrzymywano na noc, coś lub ktoś wydawało się jej strzec, albo Zmora Sokołów nie znalazł sposobu, by ją ruszyć. . .

Mroczny Wiatr zatrzymał się na tym spostrzeżeniu. Strzeże. . . ?

Potrząsnął głową i snuł rozważania dalej. Czy naprawdę dziś rano, gdy wspólnie z Elspeth i adeptem pracowali na pierwszej zmianie, widział dwa jaśniejące sokoły ulatujące cicho w szarą mgłę innego świata? I czy nie stały one — chwilę wcześniej — na straży przy proto-Bramie?

Właściwie nie miało to znaczenia, chyba tylko dla uzdrowiciela. Śpiew Ognia na pewno poruszyłaby wiadomość, że Tre'valen przeżył, choć w innej postaci. Młody uzdrowiciel ukrywał swe uczucia pod maską obojętności, ale Mroczny Wiatr nie dał się zwieść pozorom. Śmierć szamana ciągle go bolała.

Może jednak się pomylił? Może to złudzenie — wszak znajdowali się na granicy światów, tam, gdzie zmysły zawodziły, a pragnienia rodziły zwodnicze iluzje.

Z pewnością ktoś próbował ukraść moc kamienia, przekształconą w początki Bramy. Mroczny Wiatr zakładał, że to Zmora Sokołów — przynajmniej póki nie zdobędą dowodów wskazujących na kogoś innego. W takim razie rada wojenna będzie musiała zrealizować plany przedyskutowane tuż przed i po zniszczeniu kamienia.

Mroczny Wiatr nie miał pewności co do zamiarów wroga wobec Bramy. Przede wszystkim — o co zamierzał ją oprzeć? Przypuszczalnie o coś w rodzaju kamienia-serca, gdzieś w głębi własnego kraju. Jeśli mu się uda, Zmora Sokołów uzyska dostęp do czegoś, co może stać się prawdziwą, stałą Bramą — o ile starczy mu umiejętności, aby dokończyć dzieła. A chyba starczy — jak podejrzewał Mroczny Wiatr. Niewielu magów znało potrzebne do tego zaklęcie, z wyjątkiem adeptów uzdrowicieli — a i z tych nie każdy. Na pewno nikt z k'Sheyna, o tym był przekonany.

Jednakże nawet jeśli Zmora Sokołów nie znał sekretu, opanowanie proto-Bramy dawało mu dostęp do dużej porcji mocy magicznej. Co więcej — gdyby Śpiew Ognia nie zdołał uwolnić się od niej, dostęp do Bramy oznaczał również zawładnięcie adeptem. Mroczny Wiatr nie miał ochoty zobaczyć uzdrowiciela, ani kogośkolwiek innego, w rękach wroga.

Nawet gdyby Śpiew Ognia zdołał go pokonać w równej walce, albo chociaż

zatrzymać do przybycia pomocy. . . Nie wolno dopuścić do takiej ostateczności. Zmagania ze Zmorą Sokołów nauczyły ich raczej przeceniać przeciwnika niż go nie doceniać.

„Mógłby zawładnąć Śpiewem Ognia, jak moim ojcem — wtedy dysponowałby jego mocą. Zniszczyłby wszystko, co jakakolwiek Dolina zdołała osiągnąć” — pomyślał.

Straszliwe przypuszczenie.

„Gdyby miał stałą Bramę — rozmyślał dalej — zyskałby możliwość mijania naszych osłon i wysyłania swoich bestii wprost do Doliny bez żadnego wysiłku”.

Niewesołe perspektywy.

Nadszedł czas, żeby porozmawiać z Nyarą, jedyną osobą znającą dobrze Zmorę Sokołów.

Nyara zawsze lubiła Mroczny Wiatr. Teraz, gdy nacisk ze strony ojca i jej własnej zmysłowości znikł, odkryła, że zostali po prostu przyjaciółmi. Przez czas swego pobytu w Dolinie zdążyła zauważyć jego życzliwość, uprzejmość i troskę. Chronił ją przed nierozważnymi uwagami mieszkańców, dbał, by czuła się swobodnie. Nie oczekiwała takiego traktowania, zwłaszcza w czasie, gdy cały klan przeżywał trudności.

Razem ze Skifem doskonalili sztukę władania mieczem. Choć Potrzeba dała Nyarze podstawy, jednak dotąd dziewczyna nie miała okazji walczyć z prawdziwym przeciwnikiem. Cieszyła się, bo ćwiczenia zwalniały ją z konieczności ciągłych rozmyślań. Nie chciała zastanawiać się, co zrobi, gdy nadejdzie dla nich obojga czas opuszczenia Doliny. Chciałaby pojechać ze Skifem, ale bała się. Teraz jednak całą jej uwagę pochłonęły ciosy i uniki.

Mroczny Wiatr musiał stać obok przez dłuższą chwilę, zanim go spostrzegli. Pierwsza zauważyła go Nyara i dała hasło do przerwy; wtedy dopiero mag podszedł bliżej.

— Dobrze sobie radzicie — rzekł cicho. — Nie miałem zamiaru wam przeszkadzać, lecz musimy się zastanowić nad twoim oj. . . nad Zmorą Sokołów.

Nyara otarła rękawem pot z czoła i kiwnęła głową. — Znalazłeś mapy, o których wspomniałeś? — spytała. Dziwne; jeszcze niedawno sama myśl o ojcu doprowadzała ją niemal do hysterii. Nadal się bała — tylko głupiec nie bałby się jej ojca — ale mogła sobie poradzić ze strachem.

— Są w moim ekele — odparł Mroczny Wiatr. — Pójdziecie ze mną?

Nadrzewny domek nie leżał daleko. Wkrótce wszyscy troje wyjęli ze skórzanego zestawu starych map Shin'a'in i pochylili się nad nimi. Znaleźli miejsce, w którym Mroczny Wiatr po raz pierwszy spotkał Nyarę; mag przypominał szczegóły terenu, bo Nyara nie przywykła do posługiwania się mapami. Przyglądała się im uważnie.

— Nie bardzo umiem czytać takie rzeczy — rzekła przeprasząc — ale uważam, że to najbardziej prawdopodobne miejsce na zamek ojca.

Mroczny Wiatr skinął głową i zaznaczył punkt. Zwinął mapy w gruby rulon. — W tym właśnie kierunku ktoś ciągnie proto-Bramę, co potwierdza moje przypuszczenie — rzekł. — Potwierdza także moje domysły co do osoby stojącej za tymi machinacjami. Śpiew Ognia próbuje wysledzić złodzieja, ale według mnie nie ma wątpliwości co do motywów, jakimi się kieruje. Jeżeli to Zmora Sokołów, istnieje tylko jedna odpowiedź. Chce tego, do czego zawsze dążył: potęgi.

— Przyszła Brama to dla niego pokusa nie do odparcia — zgodziła się Nyara. Jej oczy powiększyły się nagle; coś jej przyszło do głowy. — Wiecie, to raczej dziwne, ale jego zachowanie łatwiej przewidzieć, kiedy działa w złości. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, lecz to prawda. Często się z tym spotykałam, gdy jeszcze mieszkałam w zamku. Im bardziej go zaskoczą, tym bardziej prawdopodobne, iż postąpi tak, jak zawsze, uważając swoje plany za nowe i sprytne.

Mroczny Wiatr skinął głową, jakby utwierdził się w swoich domysłach. — Jak myślisz, co zrobi z przyszłą Bramą, gdy ją zdobędzie? — zapytał.

— Na pewno umieści ją gdzieś w twierdzy — odparła natychmiast. — Najbardziej prawdopodobnie w pracowni. Zwykle bywa zazdrosny o rzeczy, z których można czerpać energię, i nie chce pokazywać ich swoim magom. Poza tym będzie chciał ją mieć jak najbliżej siebie.

— Nie najlepsze miejsce na Bramę, która działa przecież w obie strony... — zauważył Mroczny Wiatr.

— Nie, podejrzewam, iż spróbuje raczej zakotwiczyć moc w kamieniu lub kryształach, niż tworzyć z niej Bramę — odpowiedziała. Próbowała sobie przypomnieć, czy Zmora Sokołów wspominał kiedykolwiek o swych umiejętnościach budowania dużych Bram. — Nie jestem pewna. On chyba wie, jak tworzy się Bramy, lecz brakuje mu siły. Być może zacznie od zrobienia czegoś, co posłuży mu jako ognisko przyciągające prądy energii.

— Stworzy własny kamień-serce? — spytał zaskoczony Mroczny Wiatr. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy Nyara przytaknęła. — Własny kamień-serce, jak Sokoli Bracia?

— To wydaje się niepojęte, ale on was naśladowe — rzekła. — Widział wasz sukces. Sam nie umie tworzyć; potrafi jedynie wykorzystać już istniejące rozwiązania tak, by służyły jego celom i zachciankom. Jednak nie wymyśli nic nowego. Dlatego spróbuje zrobić to, co wy, jednocześnie przekonując samego siebie o odkrywczości swych działań.

— Cokolwiek zrobi, będzie potrzebował ośrodka dla mocy, którą ma zawładnąć — zastanawiał się Mroczny Wiatr. — Oczywiście przeniesie połączenie ze Śpiewem Ognia na siebie, ale oprócz tego musi mieć konkretny przedmiot. Najlepiej w tym samym kształcie, co przyszła Brama. Mam na myśli jej kształt w świecie Bram. A my możemy uderzyć na ten ośrodek...

— Jak sobie to wyobrażasz? — spytał Skif trochę zaczepnie.

Mroczny Wiatr spojrział na wysokiego herolda i potrząsnął głową. — Nie spodoba ci się mój plan — rzekł. — Na pewno ci się nie spodoba.

— Być może — zgodził się Skif. — Z drugiej strony też nie chcę widzieć Zmory Sokołów wyposażonego w taką broń.

— Ani ja — odrzekł Mroczny Wiatr i zwrócił się do Nyary. — Zanim wyjawię wam mój plan, musicie mi coś powiedzieć, ty i twoja przyjaciółka — mówiąc to, wskazał Potrzebę. — Czy potrafisz teraz oprzeć się woli twego ojca? Czy odważysz się stanąć z nim twarzą w twarz?

Dobre pytanie, chłopcze. Ja uważam, że potrafisz, lecz ona sama musi w to uwierzyć. Inaczej wszystko na nic — odpowiedziała Potrzeba.

Nyara popatrzyła mu uważnie w oczy. — Myślę, że tak — odparła po długiej chwili namysłu. — Na pewno potrafię wytrzymać przez krótki czas, o ile nie będę zbyt blisko niego. Gdyby dostał mnie w rękę... — Zadrżała. Próbowwała ukryć strach, lecz Mroczny Wiatr go wyczuł i współczuł jej. — Nie miałabym szans, gdyby mnie złapał. Ale stare sposoby kontroli nade mną już nie działają. Wypróbował na mnie metodę, którą zastosował potem wobec twego ojca. Popęłnił jednak kilka błędów, dzięki którym razem z Potrzebą zniweczyliśmy jego plany. Teraz musiałyby użyć magii, by znów mną zawładnąć, a w tej chwili jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy.

— Czy tak zwykle reaguje, kiedy znajdzie się w trudnej sytuacji?

Skinęła głową. — Zwłaszcza jeśli się śpieszy lub rozpraszają go inne sprawy — odpowiedziała. — Wtedy tym bardziej zwraca się ku sposobom działania, które już się sprawdziły.

Właśnie tak — zgodziła się Potrzeba. — *Zdołałam jej pomóc tak skutecznie między innymi dlatego, że obserwowałam Kethrę, gdy leczyła twego ojca. Jego problemy, choć poważniejsze, przypominały kłopoty Nyary. Wytrąciliśmy Zmorę Sokołów z równowagi, niszcząc kamień-serce. Jego posunięcia łatwo przewidzieć: spróbuje ukraść moc dotychczas zamkniętą w kamieniu. Ma z tuzin innych możliwości, lecz wybiera tę, która już raz poskutkowała — robi dokładnie to, co przewidziałam.*

— Mogłabym utrzymywać go dłużej w nieświadomości, udając, że nadal jestem w jego władzy — zaofiarowała się Nyara. Zadrżała lekko. — Potrzeba mi pomoże.

Mroczny Wiatr zastanowił się. Nyara również zaczęła rozważać plan, który właśnie przyszedł jej do głowy. Miał on szansę powodzenia... Ciekawe, czy oboje myśleli o tym samym. Już od pewnego czasu coś takiego przychodziło jej na myśl; bała się tego, ale czuła, że to konieczne.

Jeżeli ją poproszą, by odegrała swoją rolę, zrobi to.

Skifowi na pewno się to nie spodoba.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Zmora Sokołów odstał krok do tyłu i zmierzył wzrokiem swe dzieło. Zadowolony kiwnął głową. Jak na tak krótki czas poradził sobie bardzo dobrze — i najmniejszym kosztem. Istniały bowiem dwa sposoby tworzenia ognisk mocy. Pierwszy — z użyciem własnej energii maga (tak, jak powstawały Bramy) nie odpowiadał Zmorze Sokołów. Drugi — uzyskanie siły innej osoby, najlepiej zdolnego i potężnego maga. Odebranie mu mocy oczywiście zabijało nieszczęśnika, lecz tego nie dało się uniknąć. Smutne, ale cóż poradzić.

Zgodnie z planem następnie powinno się oprzeć ognisko o stałe miejsce. Potrzebny będzie jeszcze jeden mag. Jego życie zostanie poświęcone bez rozlewu krwi — Zmora Sokołów umiał zatrzymać serce człowieka bez żadnych zewnętrznych śladów przemocy. Szkoda popłamić nowe dywany.

Wreszcie z pomocą energii następnego życia ludzkiego utworzy sieć prądów mocy łączącą ognisko z każdym zakątkiem ziem, którymi władał. Czyli będzie to już trzeci mag.

Gdyby poświęcił tylko własną energię, wyczerpałoby go to całkowicie. Na takie skutki nie mógł sobie pozwolić. Dlatego potrzebował aż trzech magów do czegoś, z czym w innych warunkach sam by sobie poradził.

Słabością tej metody była konieczność zabicia owych trzech magów. Trzy ciała już leżały na podłodze pracowni. Gdyby nie brak czasu, chyba jednak nie posunąłby się tak daleko... Nawet zwykłych służących ciężko zdobyć, a zastąpienie magów będzie dwa razy trudniejsze.

Długo i uporczywie rozmyślał nad najlepszą drogą do zawładnięcia ogniskiem. Na pewno nie pomagały mu w tym zakłócenia, ostatnio coraz częstsze. Czarni jeźdźcy pokazywali się wszędzie i choć rzadko cokolwiek robili, płoszyli strażę; nawet służba na zamku zrobiła się nerwowa. W lesie w pobliżu fortecy widziano niezwykle ptaki; pokazały się także tańczące światełka i nie przypominające niczego — prócz duchów — kształty.

W końcu zdecydował ustanowić biegun energii jak najbardziej podobny do oczekującego w nowej Dolinie kamienia-serca i zaczepić go o ogromny kryształ,

wygrzebany z zakątka w schowku. Jeśli pociągnie tamtą moc, na którą polował, wystarczająco lekko — sama przylgnie do bieguna, tak jak miało się stać z nowym kamieniem ptasich głupców.

Obmyślając plan działania, Zmora Sokołów zmuszony był sięgnąć do najstarszych wspomnień — i wtedy odkrył, jak wiele uciekło mu z pamięci. Nie ucieszył się tym. Zbyt często musiał wracać do biblioteki i przerzucać karty pokrytych kurzem ksiąg. Na rezultat złożyły się w końcu szczątki wspomnień, resztki dawnej wiedzy i próby odpowiedzi na wciąż nurtujące go pytania.

Jego plan wykorzystania mocy dawnego kamienia różnił się od zamierzeń Tayledrasów w jednym szczególe: gdy moc zostanie przyciągnięta do czekającego na nią bieguna, on sam znajdzie się między nimi, połączony z kryształem. Kiedy oba rodzaje mocy zleją się w jedno, Mornelithe stanie się ich częścią.

Na swój sposób dorównał pomysłowością adeptowi z Tayledras; był tego pewien. Cieszył się własnym sprytem. Oczywiście, groziło mu niebezpieczeństwo: magowie, których poświęcił, sprzeciwili mu się, zanim nawet dowiedzieli się o roli, jaką przyjdzie im odegrać.

— Spalisz się żywcem! — protestował Atus.

— A jeśli nie, to i tak zwariujesz. Nikt nie może stać się częścią kamienia-serca! — krzyczał Renthan.

Preadeth tylko potrząsał głową i rzucał dwóm pozostałym magom znaczące spojrzenia.

Według nich sama myśl o podjęciu takiej próby świadczyła o szaleństwie. W chwili gdy złapał ich na wymianie spojrzeń, wiedział już, kto stanie się ofiarą.

Bez wątpienia planowali bunt lub co najmniej ucieczkę. Może nawet chcieli czmychnąć do Tayledrasów i zdradzić im wszystko, co wiedzieli o nim i jego zamiarach. Cóż, znalazł dla nich inne zajęcie. Szkoda byłoby zabić ich od razu, marnując ich potencjał. Lepiej wykorzystać ich moc — dzięki temu pod koniec pracy ciągle dysponował świeżymi siłami, zamiast leżeć bez przytomności na podłodze, a potem długo dochodzić do siebie. I tak się zmęczył. . .

Zapał głębiej w fotel. Przez chwilę rozważał możliwość wezwania czwartej osoby i wykorzystania jej sił, lecz zrezygnował. Tych trzech zabitych i tak przysporzy mu kłopotu. Niektórzy odczytują to jako akt desperacji. Na ogół mordowanie wyższych rangą służących to nie najlepszy pomysł (nie dotyczyło to niewolników); służba poczuje się zagrożona i zacznie myśleć o zdradzie. Zastraszeni służący to nierzetelni służący. Powinni oni znać smak bata, ale też wiedzieć, iż jest to ostateczność, którą ściągają na siebie z własnej winy.

Rozłożył się na miękkim, czarnym aksamicie i rozmyślał nad następnym posunięciem. Po pierwsze: to znaleźć jak najbardziej prawdopodobny powód śmierci tych trzech. Magowie na ogół bywają przewrażliwieni, zwykle uważają się za doradców, nie poddanych. Czasem posuwają się do buntu, a tego akurat teraz sobie nie życzył. Energia przyda się do innych celów niż poskramanie służby.

Może ogłosić, że zginęli, pomagając mu w ważnym zadaniu? To zbyt bliskie prawdy — jeśli wezwie pomoc następnym razem, może napotkać opór. Nie zdarzyło mu się tracić maga przy pracy, a co dopiero trzech! A magowie nie są głupi, z łatwością zgadną, o jaki rodzaj pomocy chodzi — po prostu o wykorzystanie ich sił życiowych.

Ciemnoczerwone światło wpadające przez okna przynosiło ulgę oczom i obolałej głowie. To z powodu zbyt dużego napięcia. Skronie pulsowały, w głębi czaszki czuł ostry ból, jakby ktoś wbijał tam sztylet, oczy kłuły, gdy próbował odwrócić głowę. Ciężko myśleć i jednocześnie zmagać się z bólem... Ale musi wymyślić jakąś prawdopodobną przyczynę śmierci tych trzech magów. Szkoda, że nie da się ich po prostu spalić. Potem udałby, że nie wie, co się z nimi stało. Wtedy jednak wszyscy podejrzewaliby ucieczkę. Jeśli trzem się udało, to czemu inni nie mają spróbować?

Same trudności. Wszystko się komplikowało. Kiedyś nie musiał się przed nikim usprawiedliwiać. Wydawał tylko rozkazy i wiedział, że zostaną wykonane.

Tchórze. Gdyby tak szybko nie zaczęli myśleć o spisku, może nie...

Tak! Znalazł odpowiedź. Każe wynieść ciała i powiesić w klatkach na zewnętrznych murach, gdzie zwykle wieszano zdrajców. To wystarczy. Wszyscy uznają, że tych trzech próbowało go zdradzić, a on ich przejrzał. W ten sposób uzasadni również własne zmęczenie. Właściwie nie musi nic mówić, a jedynie wyglądać na rozgniewanego. Nikt nie odważy się pytać. Rozejdą się plotki, lecz prawda zapadnie głęboko.

Zadzwoił po służbę i, udając bardziej silnego, niż był, przybrał wyraz tłumionej wściekłości. Rozkazał wynieść ciała do klatek, a potem przynieść posiłek — tak zwykle robił po bitwie. Nawyki czasem się przydają. Gdy żądał czerwonego mięsa, wina i kephira, wiedziano, że stoczył walkę.

Służący wrócił z kilku innymi. Zmora Sokołów przeczekał wynoszenie ciał, leżąc na posłaniu i wpatrując się w ciemny sufit. Tak zwykle się zachowywał po bitwie. Kiedy wreszcie przyniesiono jedzenie, głosem bez wyrazu kazał służącemu je zostawić i wynosić się. Liczyły się tylko pozory. „Gdyby nie napięcie, mógłbym wsączyć w ich umysły odpowiednią wersję wydarzeń” — pomyślał, zbierając siły, by sięgnąć po puchar mocnego wina. „Chyba jednak tak zrobię”.

Jednak w tej chwili usłyszał niepewne pukanie do drzwi. Podskoczył i przeklął swe stargane nerwy. — O co chodzi?! — wrzasnął. „Jeśli to błażostka, zabiję go. Jeśli zdrada, poszczuję go wyrza i zobaczymy, czy ucieknie przed całym stadem!”

— Panie — rozległ się zza drzwi niepewny głos służącego. — Wybacz, że ci przeszkadzam, ale wypełniam twoje rozkazy. Kazałeś natychmiast się powiadomić, gdyby jeden z czarnych jeźdźców...

Zmora Sokołów usiadł gwałtownie, zapominając o zmęczeniu i bólu. — Jeźdźcy? Otwórz te przeklęte drzwi, głupcze! Co się stało? — krzyczał.

Służący uchylił drzwi, wsunął głowę, potem wślizgnął się cały, zezując jed-

nym okiem na drogę ucieczki. W ręce trzymał pudełeczko.

Puzderko wyrzeźbiono z czarnego, lśniącego drewna. Natychmiast przyciągnęło ono spojrzenie maga; Zmora Sokołów wstał i podszedł do mężczyzny. Stał nad nim; ręce drżały mu z niecierpliwości.

— Panie, jeden z nich właśnie podjechał do bramy, akurat gdy oni... wyjeżdżali. — Służący dławił się; jego twarz przybrała odcień kredy. Zmora Sokołów zdusił w sobie chęć mordy. Zamiast tego spróbował się uspokoić, by przerażony mężczyzna odzyskał zdolność mówienia.

— I co? — spytał łagodniej, niż zamierzał. Przeklął własną słabość; gdyby czuł się lepiej, sięgnąłby do umysłu wysłannika i wy dostał od razu, co chciał.

— Jeździec podjechał i rzucił to kapitanowi straży, panie — ciągnął służący, opanowując się z wysiłkiem. — A potem zniknął. Kapitan przyniósł to od razu do mnie, jak kazałeś.

— Co to znaczy zniknął? Odjechał? — spytał ostrożnie Zmora Sokołów. „Dlaczego mnie nie zawołali? Brak czasu? Czyżby jeźdźcy mogli się tak szybko poruszać? Czemu nikt ich nie ściga?” — myślał.

— Nie, panie. Zniknął jak dym. Był, a po chwili już go nie było. — Służący wydawał się wierzyć w to, co mówił, a nie miał powodu kłamać. — Tak twierdził kapitan straży. Podobno jeździec zniknął, jakby się rozwiął.

Zmora Sokołów zważył w dłoni pudełko; to pierwszy prawdziwy dowód, że jeźdźcy używali magii. Czy to nieznany wróg — lub przyjaciel — wyciągał rękę, tym razem nieco dalej? Nie przeszli przez Bramę — wyczułby to. Czyżby byli oni iluzjami, którym nieznany mag nadał formę i życie na tak długo, jak ich potrzebował? A może to były istoty z innego świata... Demony? Obecności demonów nie potrafił wyczuć, póki ich nie zobaczył.

Tylko jeden z „upominków” przysłanych przez jeźdźców był magiczny — jednak do niczego się nie nadawał. Zmora Sokołów rzucił okiem na kryształ, podczas gdy służący czekał na odpowiedź, i zmarszczył brwi.

Wspaniały kamień, o wyjątkowej czystości, formie i wielkości idealnej do odbierania obrazów... A jednak ile razy próbował nagiąć go do swojej woli, widział tylko jedno: odległy górski szczyt; w połowie zbocza stał zamek, którego nigdy nie spotkał. Gdy kryształ wówczas poruszono, zamek zasłaniała śnieżna zadymka. Zmora Sokołów odesłał służącego i sięgnął po wino. Wypił je jednym haustem, potem wrócił do fotela i przyjrzał się przesyłce. Jak inne, i to puzderko było pięknie rzeźbione i niewielkie. Nie wyczuł wokół niego ani śladu magii. Jak i inne, i to pudełko coś w sobie kryło.

Na wyściółce z czarnego aksamitu leżał pierścień. Bez kamienia. Zdobił go ornament, jak ślubną obrączkę: wyobrażenia winogron i kłosów. Zrobiono go z czarnego, lśniącego materiału. Zmora Sokołów usiłował go złamać, ale nie udało się. Pierścień okazał się równie wytrzymały jak figurki koni.

W tych okolicach wdowy ścigały czasem z palców obrączki i nosiły takie

właśnie czarne pierścienie na znak żałoby. Czy nieznany ofiarodawca ostrzegął? Przecież Mornelithe nie miał kogo opłakiwać. Ostatnia osoba, której śmierć by go wzruszyła, to zdradziecka córka.

Jeźdźcy — lub ten, kto ich wysłał — dobrze wiedzieli o jego upodobaniu do czerni. Róża, aksamit, koń, a teraz pierścień... Czarny przyciągał jego uwagę o wiele silniej niż zwykły srebrny lub złoty pierścionek wieśniaka.

W takim razie — czy zapraszano go na wesele?

Czyżby był to pierwszy krok do sojuszu?

Czy zapowiadano pogrzeb?

— Nie podoba mi się to — rzekł nieszczęśliwy Mroczny Wiatr do uzdrowiciela. — Przedstawiłem ci mój plan tylko dlatego, że liczyłem na twój sprzeciw i na propozycje innego sposobu pozbycia się Zmory Sokołów, by nie narażać nikogo tak bardzo... Chociaż to mój pomysł, wcale mi się on nie podoba.

Zagadnął adepta zaraz po skończeniu przezeń pracy. Poszli w stronę ekele Śpiewu Ognia. Po drodze Mroczny Wiatr wyjawiał swe przypuszczenia i zamiary, nie pomijając dręczących go wątpliwości.

Niestety, Śpiew Ognia całkowicie się z nim zgodził.

— Mnie także nie całkiem przypadł do gustu twój pomysł — odrzekł, padając na poduszki postania. — Nie chciałbym wysyłać Nyary na spotkanie z ojcem. Trudno wiązać z nią wszystkie nasze nadzieje... A jednak widzę w tym sens: pomści krzywdy, których doznała, na ich bezpośrednim sprawcy.

Mroczny Wiatr prychnął. — Nie takiego sensu szukałem... — Mówiłby dalej, lecz właśnie weszli Nyara ze Skifem, przywołani przez wszechobecnych hertasi. Skif — z tego, co mógł dostrzec Mroczny Wiatr — nie miał broni; Nyara jednak jak zawsze przypasała Potrzebę. Miecz u jej boku stał się częścią jej samej. Mroczny Wiatr nie umiał rozdzielić obu kobiet.

Przyglądał się jej przez chwilę chłodnym okiem postronnego obserwatora. Zaskoczyło go to, co ujrzał. Przywykł myśleć o Nyarze jako o małej, szczupłej istocie, przypominającej trochę pająka; owszem, była niska — w porównaniu z nim czy Skifem, ale bez wątpienia nosiła broń z godnością — i widział już, jak dobrze umiała się nią posłużyć. A jeśli wierzyć Elspeth, miecz wspomagał ją tam, gdzie brakło umiejętności.

— Usiądźcie, proszę — rzekł Śpiew Ognia. — Chcemy was o coś zapytać. — Kiwnął ręką na hertasi — i przed gośćmi pojawiły się misy zjedzeniem i dzbany z napojami.

Usiedli. Nyara z obawą, Skif niechętnie. Mroczny Wiatr nie brał im tego za złe. Przeczynał, iż Nyara domyślała się, jak wygląda jego plan, od początku, od mglistych zapowiedzi, gdy pytał o położenie twierdzy Zmory Sokołów. Natomiast Skif nie miał chyba o niczym pojęcia, choć we wszystkim, co dotyczyło Nyary,

był niesłuchanie podejrzliwy.

— Przejdę od razu do rzeczy — zaczął Mroczny Wiatr. — Zanim przedstawię plan radzie, musimy się od was dowiedzieć... — Zamilkł na chwilę, a potem zwrócił się do Nyary: — Dziś po południu poprosiłem cię, żebyś pomogła mi określić miejsce, w który znajduje się zamek twego ojca. Mniej więcej nam się udało, prawda?

Powoli skinęła głową, biorąc od hertasi kubek z herbatą. Trudno było odczytać cokolwiek z jej twarzy; widocznie dawno temu nauczyła się nie okazywać uczuć.

Nie chciał jej o to pytać. Nie chciał jej stawiać w położeniu, w którym będzie potrzebowała takiego opanowania. W końcu rzekł: — To jeszcze nie to pytanie, choć związane z nim: czy umiałabyś odnaleźć drogę do fortecy i... wrócić tam?

Skif wrzasnął i podskoczył; Nyara jednak potrząsnęła głową i położyła mu dłoń na kolanie, by pozbył się obaw. Nie uspokoił się, ale ucichł na razie, rzucając obu magom nieprzyjazne spojrzenia.

„Hm. Ciekawe. Uznałem go za bezbronnego, lecz sądząc po tym, jak drży mu prawa ręka, ma ukryty nóż. Gdyby mógł, zamiast ciskać sztylety z oczu, rzuciłby jeden prawdziwy” — pomyślał Mroczny Wiatr.

— Odpowiedź na oba pytania brzmi: tak — odparła spokojnie Nyara. — Miałam kłopoty z odnalezieniem zamku na mapie, bo nie widziałam na niej znaków rozpoznawczych, po których orientuję się w terenie, a umiem to robić. Nie miałam okazji przekonać się o tym, póki nie uciekłam, lecz bardzo rzadko zdarza mi się błędzić. Z łatwością znajdę twierdzę. — Zwilżyła wargi, ukazując końce ostrych zębów. Napiała się i ciągnęła: — Mogę ją znaleźć i znam wiele wejść do środka. Mornelithe nie zdoła upilnować ich wszystkich, zwłaszcza tych tajnych. Niektóre mi pokazano, lecz część odkryłam sama. — Jej wargi skrzywiły się w słabym uśmiechu. — Nie obawiam się pułapki. Według mego ojca moim jedynym celem jest uciec jak najdalej; nie spodziewa się mojego powrotu. Wykorzystam wejścia, których nikt nie zna lub na które nikt nie zwraca uwagi.

Potrafię ją ukryć, jeśli o to chodzi — wtrąciła Potrzeba. — *Na przykład rozciągnę nad nią iluzję odbicia: dla magicznego wzroku stanie się częścią pejzażu. Co więcej, w ten sposób schowam samą siebie. Patrzcie.*

W tej chwili Potrzeba znikła i Mroczny Wiatr nie mógł jej ujrzeć magicznym wzrokiem. Dla zwykłych oczu nie różniła się niczym od zwyczajnego, szerokiego ostrza; dla zmysłów magicznych obie po prostu nie istniały. Skif sam siedział na łóżku.

I nagle Nyara znów się pojawiła.

— Dobrze, doskonale — odezwał się Śpiew Ognia, wyrażając swą aprobatę. Wychylił się do przodu. — Dowiedźcie się zatem o szczegółach naszego planu. Najbardziej niebezpieczne zadanie przypadnie tobie, Nyaro. Obarczymy cię wielką odpowiedzialnością. Nikt cię nie obwini, jeśli się teraz wycofasz.

Potrząsnęła głową, ale nie był to gest odmowy. — Przyczyniłam się częściowo

do waszych kłopotów — rzekła. — Należy się wam zadośćuczynienie.

Na pewno nie zostanie sama — wtrąciła sucho Potrzeba. — *Już sobie radziłam z niespodziankami Zmory Sokołów. Hmm. Może kiedy uderzy na nas właściwym rodzajem mocy, zdołam ją przeobrazić i wykorzystać do uwolnienia Nyary od resztek jego czarów.*

— Na to nie liczę — rzekła z lekką naganą Nyara. — Nawet o tym nie myślę. Będę wdzięczna, jeśli ci się uda, lecz nie narażaj się niepotrzebnie z tego powodu.

Gdyby Potrzeba mogła wzruszyć ramionami, na pewno teraz by to zrobiła. — *Cóż, jak wiecie od Nyary i Skifa, przybrałam postać miecza, gdyż czasem jeden człowiek może działać więcej niż cała armia* — przypomniała. — *Nie znam zbyt dobrze naszego wroga, ale chyba szansę nie są teraz mniejsze niż wtedy, gdy przeobraziłam się w miecz.*

Mroczny Wiatr zerknął na Skifa. Ten mruczał pod nosem, lecz wzruszył ramionami. — Ona sama podejmuje decyzje — rzekł. — Moje próby przekonania jej tylko pogorszą sprawę. Chce przez to przejść; ja zaś zrobię, co mogę, by jej pomóc. — Mroczny Wiatr podniósł sceptycznie brwi. Skif skrzywił się. — Nie podoba mi się to — przyznał. — Boję się o nią śmiertelnie i gdyby to było możliwe, poszedłbym zamiast niej. Nie udaję, że jest inaczej. Powiedzmy, że nauczyłem się, jakie to głupie powstrzymywać kogoś przed zrobieniem tego, co musi. Nawet kiedy bardzo mi na tym kimś zależy.

Mroczny Wiatr widział jednak wyraz oczu herolda. Jeśli Nyarze coś się stanie, Skif osobiście weźmie odwet na twórcy tego planu.

— Doskonale! — przyklasnęła Śpiew Ognia. — Skoro Nyara się zgadza, czas przedstawić nasz plan radzie. Może wymyślą lepszy.

Zebranie na polance Dębu Rady okazało się mniej liczne niż zazwyczaj. Przybyli tylko: Gryfy, Nyara, Skif, Śpiew Ognia, Zimowy Księżyc, Towarzystwo, Elspeth i Mroczny Wiatr. Żadnych innych magów nie potrzebowali. Kethra i Gwiezdne Ostrze wracali do zdrowia, Klejnot Nocy i Lodowy Cień oszczędzali siły. Z wojowników obecni byli jedynie Skif i Zimowy Księżyc. Czasem jeden czy kilku dokona tego, co nie udaje się całej armii.

Śpiew Ognia stracił wiele ze swojej beztroski w ciągu ostatnich paru dni. Zmienił wymyślne stroje na prostsze, takie, jakich używali inni. Nie mógł całkowicie ukryć jaśniejącego ptaka na swym ramieniu; tylko ptak i uderzająca uroda odróżniały go od innych magów k'Sheyna.

— Oto jak wygląda sytuacja — zaczął Śpiew Ognia. Z kamyków i kawałka sznurka zaczął układać coś w rodzaju pajęczyny. — Gdybym poszukał tego wcześniej, zobaczyłbym, jak powstaje — lecz utkano ją szybko, w pośpiechu. Zresztą możemy to wykorzystać.

— Co to jest? — spytał zaskoczony Mroczny Wiatr. — Założę się, że Zmora

Sokołów maczał w tym palce, cokolwiek to jest.

Śpiew Ognia zarumienił się. Mroczny Wiatr pierwszy raz widział go zakłopotanego.

— Przepraszam — rzekł adept. — Zapomniałem, iż nikt z was nie pracował ze mną nad tym. Wróg usiłuje zawładnąć mocą kamienia; dlatego stworzył siatkę ognisk mocy i połączył je prądami. Obejmuje ona cały obszar jego władzy. Przyjrzyjcie się wewnętrznym wzrokiem, a zobaczycie.

Treyvan przyjrzał się modelowi i zawarczał: — To cośś nowego, prrrawda?

— Nowe tylko dla niego. — Śpiew Ognia potrząsnął głową. — Widziałem już takie rzeczy. Nie są wcale takie użyteczne, jak myślą ich twórcy. Mają jedną zasadniczą wadę: jeśli zewnętrzne krawędzie sieci osłabną, ich autor wcale tego nie zauważa. Pod silnym ciosem połączenia przerwą się, a moc zwróci się przeciw twórcy sieci.

— W jaki sposób? — chciał wiedzieć Zimowy Księżyc.

Śpiew Ognia uśmiechnął się słabo. — Gdyby nie przygotował drogi ucieczki, prawdopodobnie zostanie wciągnięty w pustkę między Bramami; jak gdyby wszedł w Bramę, a wtedy Brama i wyjście zostałyby zniszczone — odrzekł mu. — Zmora Sokołów rozłożył napięcie między ośrodkiem mocy a Bramą tak, że zakrzywiają one czas i przestrzeń.

Mroczny Wiatr zadrzał; raz już widział taką próżnię. Nie chciałby powtórzyć tego doświadczenia. — Nikomu nie życzę takiego końca — rzekł.

— Nawet jemu? — spytała Elspeth. — A ja chętnie bym wysłała jeszcze jedną czy dwie osoby, by rozważali swe uczynki przez całą wieczność.

Śpiew Ognia, nie zważając na nich, ciągnął: — Gdy prądy energii osłabną, każdy cios może je zerwać. To najlepsza metoda. Uderzenie na ośrodek sieci dałoby większe efekty niż na obrzeża. A atak na krawędzie musi być błyskawiczny, żeby Zmora Sokołów nie miał czasu połapać się w sytuacji i przeciwdziałać.

Treyvan mrugał oczami utkwionymi w dal. — Potrzebujesz szszybkich magów i jednocześnie kogoś, kto zatrzyma bsssstię w fortecy — rzekł. Śpiew Ognia kiwnął głową i czekał. — Ci szszybcy to my, jak sssię zdaje — ciągnął Treyvan. — A ten drrrugi to Nyarra.

— Jeśli się zgodzicie — rzekł niezręcznie Mroczny Wiatr. — Niechętnie was o to proszę, lecz nie mam wyboru. Jeżeli Zmora Sokołów przejmie kontrolę nad mocą, której starczyłoby do stworzenia i utrzymania Doliny, osłon, kamienia-serca, wszystkiego. . .

— Mógłby zniszczyć nasss jedną myślą — odparła bezbarwnym głosem Hydona. — Nie wolno mu na to pozwolić.

— Przeprowadźcie tu dzieci — nastawał Mroczny Wiatr. — Teraz, gdy kamienia zabrakło, nic im nie grozi.

Hydona skinęła głową, ale Mroczny Wiatr czuł, iż jeszcze coś ją zaprzęta. Spojrzała na Treyvana. Po chwili bezsłownej wymiany zdań, Treyvan westchnął.

— Chcemy cośś w zamian — rzekł.
— Czego? — spytał Śpiew Ognia. — Jeśli tylko możemy...
— Możecie. Prossimy o nagrrrodę. Nie niszczone Doliny po odejściu ssstąd, zossstawcie ją nam. Rrazem z osssłoni i wszszysstkim. — Treyvan przycisnął skrzydła do boków. — Planowaliśśmy wprrowadzić ssię tu po waszej przeprrrowadze, ale...
— Ale gdy zossstawicie ją tak, jak jessst, będzie lepiej dla nasszego klahessseymessserrin — przerwała Hydona. — Moglibyśmy wznieść ją do nieba, asshke'yana.
Mroczny Wiatr zamrugał oczami, próbując rozpoznać dwa słowa, które usłyszał. Brzmiały jak z języka Tayledras, lecz na pewno z niego nie pochodziły.
— Kaled'a'in?! — wykrzyknął Śpiew Ognia, podnosząc głowę. W jego oczach odbiło się zaskoczenie.
Treyvan westchnął, Hydona kiwała głową.
Mroczny Wiatr znał język, zdołał więc sobie przetłumaczyć słowa. Pierwsze to po prostu zdrobnienie słowa „ukochany”. Następne było bardziej skomplikowane; najściślej odpowiadała mu „rodzina” czy „klan”, ale rodzina, której członków nie łączyła więź krwi ani nawet ten sam gatunek.
Jeszcze raz Śpiew Ognia okazał się szybszy. — Stracony klan?! — zawołał. — Ale wy... wy nie możecie być Le'shya!
Zimowy Księżyc prawie spadł z krzesła. — Stracony klan!? — Jego oczy tak zogromniały, że niemal wypadały z orbit. — klan Ducha?! Myślałem... ale przecież... to legenda!
Treyvan otworzył dziób w gryfim uśmiechu. — Przecież jesteśmy legendą, czyż nie? A raczej byliśmy — dla was... — odrzekł.
Elspeth, Skif i Nyara wyglądali na zupełnie zdezorientowanych. Podczas gdy Zimowy Księżyc i Śpiew Ognia dochodzili do siebie, Mroczny Wiatr zdobył się na szybkie wyjaśnienia.
— W czasie magicznych wojen Kaled'a'in z kilku klanów, kilku cudzoziemców i kilka innych istot stworzyło rodzaj... bractwa, jak przypuszczam. Nazwali się...
— Kena Lessshya'nay, w Mowie — pomogła Hydona. — Znaczy to „klan wspólnoty ducha”. Cośś w rrodzaju waszszych herrroldów, lecz bez Towarzysszy. Lessshya'nay nie przyjmował nowych członków, lecz ich wybierrał. Każdy nowy musssiał zossstać poparrty przez trzech członków. Naszszymi wodzami zosstali wielki czarrny grryf Ssskandrranon i kessrrracherrn, Amberrdrake.
— Żżżaden z nich nie przyznał ssię do przewodzenia klanowi! — zachichotał Treyvan.
— Klan Ducha skupiał prawdopodobnie wielu magów Urtha, wszystkich her-tasi, a także sporą liczbę szamanów Kaled'a'in i uzdrowicieli — wyjaśnił Śpiew

Ognia trójce obcych, pochylając się ku nim. Potem zwrócił się do gryfów, mierząc je uważnym spojrzeniem. — Ale przecież zniknęliście podczas ewakuacji królestwa.

— Nie. — Treyvan potrząsnął wielką głową. — Oto, co się wydarzyło. Nie wykorzystaliśmy Brrram, stworzonych przez mniejszych magów, jako drogi ucieczki. Odessłano nas wcześniej prawdopodobnie po to, byśmy znaleźli schronienie dla was i tajemnej broni. Dlatego nie było nas w czasie ewakuacji w królestwie Urrrtha. Zamiaszt na północ lub południe poszliśmy na zachód. Mieliśmy z sobą Brrramę Urrrtha — jego własną Wielką Brrramę, zaczepioną o wóz. Przez nią ściągaliśmy resztę naszego ludu do kryjówki. Jednak nie starczyło nam czasu, by zabrać innych, przyczyna. Tamci musieli przejść przez te Brrramy, które były najbliżej.

— A zniszczenie królestwa odrzuciło nas dalej, niż zamierzaliście. Uważaliśmy nas za straconych — ciągnęła Hydona. — Wyobraźcie sobie nasze zdziwienie, kiedy odnaleźliśmy legendarnych Kena Trrevassho, Kena Ssheynarssa i całą resztę. Dla nas jesteście straconym klanem, ale równie dobrze to my moglibyśmy nas tak nazwać!

Śpiew Ognia wstrząsnął głową, wciąż zdziwiony. — Zadziwiające. I wciąż mówicie Ojczystą Mową! — nie mógł wyjść z podziwu.

— Nie całkiem czyssto, jak przypuszczam — przyznał Treyvan — lecz nas nie naciskała Zrodzona-Z-Gwiazd, by ukształtować nasz język. Ona zdaje się mniej zajmować naszymi sprawami niż naszymi.

— Wyjaśnienia poczekają — wtrąciła Hydona. — Musimy wam powiedzieć jeszcze jedno: jesteście przednią strażą. Wiedzieliście o tym, Mroczny Wietrze, lecz myślałeś, iż reszta to tylko gryfy. Oni niedługo nadejdą — a nie wszyscy z nich są do was podobni.

Mroczny Wiatr jej nie zrozumiał.

— Nie tylko gryfy, tak? — spytał Śpiew Ognia.

— Gryfy, ludzie, herrtasi. Już niedługo. — Treyvan spojrzał z ukosa na Mroczny Wiatr. — Gdy zaczęły się kłopoty k'Ssheyna, wezwaliśmy ich. Pamiętajcie półki na książki, które pomagały wieszkać? One nie są dla nas. Wiedzieliśmy, że znajdziemy tu schronienie i że wy potrzebujecie pomocy, choć o nią nie prosiliście. Jak mawiał Sskandrranon: „Łatwiej prosić o wybaczenie niż o pozwolenie”. Ponieważ nasi bracia nie chcieli przysparzać kłopotów przez stworzanie zbyt wielu Brrram, podrozowali zwykłą drogą.

Mroczny Wiatr czuł niejasno, że powinien się rozgniewać. Nie udało się; jednak z pewnością wielu członkom klanu nie spodoba się takie rozwiązanie. Z drugiej strony Treyvan wcale nie wyglądał na skruszonego.

— Jednak teraz potrzebujemy szybkich magów — odwrócił się na chwilę do adepta, a potem znów do przyjaciela. — Z waszym pozwoleniem użyję małej Brrramy w ruinach, by połączyć się z ich Brrramą i sprowdzić pomoc. Ale

za tę pomoc chcemy Doliny. Nienaruszonej.

— Nie mogę obiecać... — zaczął bezradnie Mroczny Wiatr.

— Czy istnieje powód — przerwał mu Śpiew Ognia — dla którego k'Sheyna nie mogliby oddać im Doliny? Jakikolwiek powód?

Jedyne wyjaśnienie, jakie przyszło Mrocznemu Wiatrowi do głowy, brzmiało: „bo nikt dotąd tego nie robił”, lecz trudno było potraktować je poważnie. Nie uważał także, by oddanie Doliny przybyszom równało się oddaniu ojczyzny obcym. W końcu ci ludzie — istoty — też należeli do Tayledras... w pewnym sensie.

— Nie przychodzi mi nic do głowy — przyznał. — Znamy klan Ducha jedynie z legend i waszych opowiadań. Pozostawienie Doliny niezmienionej uszczupli jeszcze niewielkie zapasy mocy, jakie posiadamy. Komu zostawimy to wszystko?

— Klanowi, jak inne — odparła ostrożnie Hydona. — Może z wyjątkiem kessstra'chern, szkolonych w nieznanym wam rzemiośle. Z kolei my nie mamy ptaków. Mamy leni, trochę głupców i paru intrygantów. Chyba jednak leniwi nie wyruszyli w ogóle w podróż, głupcy jej nie przetrwali, a intryganci... — Wzruszyła ramionami. — Zawsze się tacy znajdują. Ludzie przynajmniej należą do klanu. Złożymy chętnie wszelkie przysięgi, jakich zażądacie, by dostać Dolinę.

— Chyba nie stać nas na odrzucenie takiej oferty — odezwał się Zimowy Księżyc ku zaskoczeniu brata. — Pozbycie się Zmory Sokołów warte jest wszelkich kosztów.

— Mroczny Wietrze, cokolwiek ty, twój brat i ja poprzemy, starsi też to zaakceptują — rzekł Śpiew Ognia. — Ale idźmy za radą czarnego gryfa; łatwiej prosić o wybaczenie niż pozwolenie; sprowadźmy lud Treyvana jeszcze dziś.

Mroczny Wiatr wahał się. Ma sprowadzić całą armię, by wspomogła nędzne resztki jego klanu? Czy może zniszczyła? Czy ocaliła?

Zajrzał głęboko w oczy Treyvana, duże oczy drapieżnika. Ujrzał w nich przyjaciela, przybranego ojca, zawsze skorego do pomocy przewodnika; tego, który pozwalał małemu chłopcu wyrywać sobie pióra, a jego ptakowi polować na swój grzebień. Uśmiechnął się.

— Zgoda — zdecydował.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Dolinę wypełniało światło i gryfy. Elspeth, która nigdy dotąd nie spotkała czegoś podobnego, zaparło dech ze zdumienia. Wszędzie, gdzie spojrzała, widziała gryfy: kąpiące się w stawie, leżące na gałęziach — odpowiednio mocnych — lub dachach ekele, wygrzewające się na skałach otaczających Dolinę. Gryfy najróżniejszych barw i odcieni; szare, złote, ciemnoczerwone; masywne i silne lub delikatne i szybkie. Jediną ich wspólną cechą były czerwono-białe pasy szerokości dłoni na pierwszych sześciu lotkach skrzydeł, migoczące przy poruszaniu.

Przybysze byli głodni. Szczęściem Treyvan i Hydona wyjaśnili wcześniej współplemieńcom, kim są ptaki w Dolinie — z pewnością nie zdobyczą. Gdyby nie ich przezorność, mogłoby od początku dojść do zadrażnień. Biedne hertasi zapracowywały się na śmierć, wyszukując i znosząc jedzenie dla gości; czerpały jednak ze swej harówki wielką radość. Hydona obiecała, że już po wszystkim gryfy same zajmą się polowaniem.

Według Elspeth nawet wszyscy heroldowie i Towarzysze zgromadzeni z okazji ślubu jej matki nie wyglądali tak imponująco. Wolą patrzeć na gryfy niż na kłócający się klan. A najbardziej chciałyby zacząć działać.

Przesunęła się niecierpliwie i spróbowała skupić uwagę na odbywającym się poniżej zebraniu. Polana Dębu Rady zapełniła się Tayledrasami i nowo przybyłymi. Elspeth dostrzegła też Nyarę ze Skifem, ledwie widocznych w tłumie. Ludzie towarzyszący gryfom wyglądali dość zwyczajnie — różnili się od Shin'a'in i Tayledras tylko językiem i jednolitym ubiorem. Przeszli przez Bramę, przywożąc z sobą dziwaczne barki z ostrą rufą, przykryte dachem. Na dachach przywiązano pudła i tłumoki; inne pakunki zwisały na linach, kołyszając się nad ziemią.

Elspeth oczy niemal wypadły z orbit, kiedy po raz pierwszy ujrzała te niezwykle pojazdy. Z ulgą stwierdziła, że gospodarze byli równie zaskoczeni; dzięki temu nie czuła się jak prowincjuszka. Lodowy Cień opuścił miejsce pomiędzy starszymi i podszedł do jednego z magów — pilotów tych konstrukcji. Szeptał z nim teraz, nie zwracając uwagi na kłótnię. Prawdopodobnie zamierzał spędzić cały wolny czas na poznawaniu tajników ich budowy i działania, a może też na

zdobywaniu nowych wiadomości o kamieniach-sercach.

Cały klan zebrał się na żądanie mniejszości niezadowolonej z wtargnięcia obcych do Doliny. Nieoczekiwanie Zimowy Księżyc okazał najwięcej rozsądku i zachował zimną krew, przypominając wciąż zaciętrzewionym stronom, że ci „obcy” należą do Tayledras — czy raczej, że Sokoli Bracia to także Kaled’a’in, a przybycie krewnych trudno uznać za napaść. Elspeth wolałaby zostawić mu niewdzięczne zadanie pogodzenia zwaśnionych, ale należała do klanu i musiała w tym uczestniczyć.

„Mogłabym ten czas spędzić w bardziej pożyteczny sposób” — rozmyślała. „W ciągu dnia, najwyżej dwóch, Zimowy Księżyc przekona klan do swych racji, z jej pomocą lub bez niej. Powinni wreszcie dać spokój i poczekać z dyskusją, aż się wszystko ułoży. Bogowie, oni się kłócą w przededniu bitwy!”

Siedziała na gałęzi od wschodu słońca, śledząc przebieg obrad. Ciągłe padały te same argumenty. Stłumiła ziewnięcie i spojrzała w dół, napotykalając rozbawiony wzrok Śpiewu Ognia i jego nowego przyjaciela.

Uzdrowiciel zainteresował się młodym mężczyzną, prawdopodobnie kestra’chern — cokolwiek to znaczyło — który zaproponował mu naukę tej sztuki.

— Chyba masz talent — rzekł Srebrny Lis ze szczególną nutą w głosie, której Elspeth nie umiała odczytać. — W końcu jesteś adeptem uzdrowicielem; przyda ci się ta umiejętność.

Przynajmniej Śpiew Ognia zapomni o Mrocznym Wietrze. Pełen wdzięku Srebrny Lis, o błękitnych, mądrych oczach i spadających prawie do stóp czarnych włosach rzucał adeptowi wyraźne, choć bezsłowne zaproszenia, którym trudno byłoby się oprzeć. Jedna troska z głowy — a i tak pozostało ich wystarczająco dużo, nawet bez klanowych kłótni.

Nagle poruszenie w pobliżu starszyny przyciągnęło jej uwagę. Z tej odległości nie dojrzała, co się stało. Wysłała ciche pytanie do Gwenty, stojącej na skraju polany, ale Towarzyszka również nie wiedziała, co się wydarzyło. Elspeth zmrużyła oczy i wyteżyła wzrok, przypatrując się tłumowi poprzez gałęzie drzew. Ktoś wchodził na polanę, ktoś obcy...

I to nie jeden — wielu!

Wyciągnęła się wzdłuż gałęzi. Podskoczyła, czując dotyk na obejmującej konar dłoni. Spojrzała w dół; Mroczny Wiatr dawał jej znaki, by zeszła na dół.

— Wzywają nas — rzekł. — Przybyli Shin’a’in.

Shin’a’in? Co oni mają tu do roboty?

Jednak usłuchała; zeskoczyła prosto w ramiona maga, który złapał ją w locie i postawił ostrożnie na ziemi. Przepchnęli się przez tłum do starszyny.

Gdy wreszcie wydostali się na wolną przestrzeń przed radą, Elspeth omal nie krzyknęła. Stał tam stary Kra’heera, a za nim sześciu innych Shin’a’in. Takich jak oni widziała ledwie dwa razy w życiu. Byli to wojownicy. Stali grupą, wszyscy ubrani na czarno, obok swych również czarnych koni. Niektórych okrywały za-

słony — ci wydawali się promieniować mocą, jakby pochodzili nie całkiem z tego świata.

Nie jesteśmy z tego świata — usłyszała głos w mózgu. Prawie podskoczyła. Jej uwagę przyciągnęły chłodne, niebieskie oczy spoglądające znad czarnej zasłony. Jedno oko mrugało do niej powoli. — *Nie bój się, mała siostró-w-mocy, uczennico mojej uczennicy.*

— Oczywiście, wiedzieliśmy o przybyciu Kaled'a'in — mówił niecierpliwie Kra'heera. Twarze starszych pozostały nieprzeniknione, lecz ci, którzy poprzednio najbardziej protestowali, wyglądali na zaskoczonych i zmieszanych. — Ona powiadomiła nas o ich przyjściu. Poprosiła nas także o przygotowanie im mieszkania na Równinach, gdyby nie mogli lub nie chcieli tutaj zostać. Nie spodziewaliśmy się ich nadejścia tak wcześnie, inaczej dawno byśmy was uprzedzili. — Przygwoździł surowym spojrzeniem jednego z Kaled'a'in. — Mielicie przyjść latem!

Zagadnięty wzruszył ramionami. — Tak się złożyło — odrzekł mu.

— Ona wam powiedziała? — spytał cicho jeden z najgorętszych przeciwników gości.

— Jesteśmy tu, by poświadczyć prawdziwość Jej słów — odparła jedna z zasłoniętych postaci. Głos brzmiał głucho, jakby dochodził ze studni. — Zwykle nie pokazujemy się obcym. Teraz jednak Ona wysłała nas, byśmy przekonali wątpiących, że popiera ich przyjście. Chyba że odrzucicie także nasze świadectwo...

Część Tayledrasów zbladła i zaczęła potrząsać głowami. Kra'heera prychnął i zwrócił się ponownie do rady. — Robimy, co w naszej mocy, by wam pomóc — rzekł ostro. — Myślę, że spełnienie prośby naszych braci nie okaże się wygórowaną nagrodą, zwłaszcza, że oni wezmą udział w walce z Wielką Bestią! Ona też tak uważa!

Skif stojący razem z Nyarą obok Gwiazdnego Ostrza nagle coś sobie uświadomił. — Wiem już, gdzie was widziałem! — zawołał do jednego z czarno odzianych Shin'a'in. — W lesie, kiedy szukaliśmy Nyary!

Kobieta wzruszyła ramionami. — Było nas tam dwóch czy trzech — rzekła. — Pilnowaliśmy naszej młodszej siostry. Ona nas o to poprosiła, między innymi po to, żeby za nią poręczyć, gdy nadejdzie czas. A reszta... — Wojowniczką zachichotała. — Reszta płatała Zmorze Sokołów figle, wysyłała mu upominki i płatała się po granicy. Dostarczaliśmy mu zagadek do rozwiązania, odwracając jednocześnie jego uwagę — na tyle, ile się dało — od waszych poczyną.

To nie przypadek, że jesteśmy czarnymi jeźdźcami na czarnych koniach, siostrzyczko — odezwał się znów głos w umyśle Elspeth, — *Mornelithe wie o waszym wrogu z północnego wschodu i zna was, białych jeźdźców Valdemaru. Przybraliśmy postać wysłanników, jakich mógłby oczekiwać od tamtego. Daliśmy mu trochę do myślenia, jak marchewkę na kiju tuż przed nosem.*

Elspeth przycisnęła dłoń do ust, żeby stłumić śmiech pełen ulgi. Shin'a'in

niepokoiłi Zmorę Sokołów! Nic dziwnego, że zdołali tyle zdziałać! Nic dziwnego, że wróg wyglądał na rozproszonego. Ciekawe, dlaczego to robili. . . Choć powody się nie liczyły — ważne, że im pomogli.

Znów skupiła się na naradzie. Jednak po wystąpieniu Shin'a'in skończyły się spory, a zaczęły przygotowania.

Plan ustalono — pozostało tylko wcielić go w życie. Podczas gdy gryfy zamawiały się w Dolinie, a egzotycznie urodziwi Kaled'a'in przyciągali uwagę większości k'Sheyna, Rada Starszych wysłuchiwała i zaaprobowała projekt rady wojennej.

Selenay z pewnością dostałaby spazmów na wieść o roli, jaka przypadła jej córce. Na szczęście Gwena dyskretnie pominęła te szczegóły w sprawozdaniu, informując jedynie Kolana, iż „nauka Elspeth trwa”.

W zasadzie można tak to ująć.

Gryfy — tuzin z trzydziestu przybyłych do Doliny, dysponujący mocą magiczną — rozwiązały jedną trudność. Miały one krążyć nad siecią; dzięki nim osłabienie jej krawędzi potrwa tylko jedną noc. W ciemnościach trudniej je będzie wytropić.

Nyarze przypadła rola strzały wystrzelonej w serce wroga. Elspeth nie zazdrościła jej zadania; dziwiła się spokojowi dziewczyny. Może tak objawił się wpływ Potrzeby, a może Nyara wiedziała, że Skif tylko czeka na najmniejszą oznakę strachu z jej strony.

Podczas gdy Nyara będzie się przekradać ku zamkowi ojca, Elspeth i Mroczny Wiatr mieli odwracać jego uwagę. Shin'a'in nie mogli pokazać się w tych okolicach, bo Zmora Sokołów pozostawiał na nich pułapki. Nie posiadali magii, żeby je zniszczyć; Elspeth i Mroczny Wiatr owszem. Leshya'kal'enedral zaś — używając magii szamanów — pomagali Kra'heerze i Kethrze mącić magiczny wzrok wroga i zakłócać jego zaklęcia rzucane na odległość. Dzięki temu Zmora Sokołów nie dojrzy przybyszów w Dolinie i nie wyczuje zmiany poziomu energii. Gdyby się tego domyślił, bez wahania wykorzystałby na nich wszystkie swe siły. Wtedy nie pomogliby nawet Kaled'a'in, a w całej Dolinie nie przeżyłby nikt z trzech klanów.

Mroczny Wiatr i Elspeth musieli na własną rękę odwracać uwagę wroga. Gdyby spostrzegł Nyarę albo gryfy. . . lepiej nie myśleć.

Z pomocą miecza Nyary Elspeth stworzyła ostrze, mogące z pewnej odległości uchodzić za Potrzebę. Nie posiadało ono mocy — jedynie, jak miecz wybierający królów Rethwellanu, odbijało energię, dając złudzenie magii. Gwena dostarczała mu energii. Elspeth nie osłoniła się dokładnie — miała sprawiać wrażenie niedouczonej. Mroczny Wiatr nie udawał nikogo. Tyle wystarczyło, by Zmora Sokołów się nimi zainteresował.

Pójdą na północny zachód, wzdłuż granicy, jakby czegoś szukali, niszcząc zasadzki i osuszając strumienie mocy. W tym czasie Śpiew Ognia i magowie Kaled'a'in mieli powoli przyciągać Bramę.

Mroczny Wiatr miał nadzieję, że Zmora Sokołów da się złapać i uwierzy, iż chca go odciągnąć tylko od Bramy i niczego innego.

— Właściwie powinnam się przyzwyczaić do roli przynęty — powiedziała Elspeth, dociągając popręg Gweny i przygotowując się do jazdy w śniegu i zimnie. Przypominali heroldów: on ubrał tunikę zwiadowcy, lśniącą jak Biel, ona wydosłała wreszcie od hertasi, mimo ich niechęci, swój uniform. Gwena gryzła wędzidło, którego nie miała, gotowa do drogi. Wierzchowcem Mrocznego Wiatru został przyjaciel Śpiewu Ognia, Brytha. Sam dyheli o to poprosił, co było najbardziej zadziwiające.

Nie jestem magiem — rzekł Brytha wyszukaną myślmową, jakiej zwykle używały jelenie. — *Przenoszę energię, jak Towarzysze. Skieruję ją do ciebie, wtedy mniej się zmęczysz.*

Miał rację. Każda ilość energii otrzymana bez wysiłku powiększała ich szansę. Teraz Elspeth wiedziała, skąd się wzięła nieskazitelna biel Brythy i dlaczego Śpiew Ognia dokonywał tak nieprawdopodobnych wyczynów. Dysponując rezerwą mocy, sam jeden mógł zmierzyć się z dwoma czy trzema adeptami. Dzięki postępkowi dyheli ich samobójcze zadanie zmieniło się „tylko” w śmiertelnie niebezpieczne — jak sądziła Elspeth — ... albo przynajmniej nie tak bardzo samobójcze.

— Powinnaś być przyzwyczajona do roli przynęty w tych strojach pod tytułem „Tu jestem, strzelaj!”- odparł Mroczny Wiatr z grymasem, dociągając starannie popręg Brythy.

— Nie, ty też? — jęknęła. — Kero nazywa Biel heroldów: „Z miejsca mnie ustrzel”. A jednak jest wiele powodów, dla których ubieramy się na biało!

— Ja wołę cię w innych kolorach — rzekł po prostu i dotknął jej ręki. — Pasują do twojej spokojnej urody. Biel czyni cię odległą, lodową księżniczką, a przecież twoja dusza jest bardziej płomienna niż najjaśniejsza moja purpura.

Zaczerwieniła się i spuściła głowę. — Dziękuję. — Powoli zaczynała się uczyć przyjmowania jego komplementów bez dawnych nawyków podejrzliwości. Na chwilę wróciła myślą do jego ekele, do barw, miękkich jedwabi, ciepła i podziwu w jego oczach. Zaraz jednak otrząsnęła się ze wspomnień. Teraz liczyło się tylko zadanie, jakie ich czekało. A do jego wypełnienia nie mogła sobie wymarzyć lepszego partnera niż Mroczny Wiatr. Jeśli się uda, jeśli przeżyją, będą to świętować w jego ekele.

Dosiadła Gweny. Mroczny Wiatr poszedł za jej przykładem. Spojrzał jej w oczy. skinęła głową i pojechała przodem. Przekroczyli zastonę i wjechali w śnieg. Nie było już odwrotu.

Treyvan krążył nad Doliną, szukając prądów, wznosząc się coraz wyżej. Za nim, niżej, leciała Hydona wraz z resztą gryfów. Dobrze było znowu widzieć gry-

fy wzbijające się w powietrze; jeszcze lepiej — wiedzieć, że tu zostaną. Było ich teraz trzydzieści dwa, razem z nim i Hydona. Małe znajdują nauczycieli, a wkrótce także kolegów do zabawy. Wszystkie gryfy przybyły w parach; ciepłe powietrze Doliny skłoniło niektóre do rozpoczęcia, wcześniej niż zwykle, tańców godowych. Ciekawe, jak się to odbije na Tayledrasach, gdy nadejdzie czas godów...

To jednak przyszłość. Najpierw trzeba wypełnić zadanie.

Wszyscy wiedzieli, co mają robić: siedmioro na północ, siedmioro na południe. Sieć lśniła przed ich wewnętrznym wzrokiem — konstrukcja złożona z wielu pól mocy i łączących je strumieni. Czasem ich łóżyska pokrywały się z naturalnymi prądami, lecz rzadko. Całość przypominała kształtem nie tyle pajęczynę, ile dwa bieguny połączone nitkami. Tym dwóm punktom zawdzięczała chwiejną równowagę — tylko im. To działało na zgubę wroga. Wszystko, co nie przebiega w zgodzie z naturalnymi drogami energii, podlega ogromnym naciskom. Utrzymanie tej sieci to jak lot pod wiatr. W chwili najmniejszego załamania cała konstrukcja rozleci się.

Dwa najszybsze gryfy dotrą do najdalszych punktów sieci — nie będą to Hydona i Treyvan, lecz młodsza para: Reaycha i Talsheena. Treyvan i Hydona, seniorzy, zajmą się najbliższymi położonymi punktami, czerpiąc z nich tyle energii, ile zdołają, co wymaga dużych umiejętności i siły. Wszyscy się zgodzili, że to najsprawiedliwszy podział. Od czasów Skandranona każda decyzja podjęta przez gryfy musiała zostać przegłosowana przez większość.

Dwa starsze gryfy utrzymywały się na średniej wysokości i służyły za punkt orientacyjny dla reszty. W ciemne, bezksiężycowe noce, takie jak ta, mimo wewnętrznego wzroku łatwo pomylić się w ocenie odległości.

Pierwsza para wzniosła się ponad Hydona i Treyvana i rozdzieliła się. Jeden gryf poleciał na północny, drugi na południowy zachód. Druga para poszła w ich ślady, potem trzecia...

Wreszcie zostali tylko we dwoje, krążąc leniwie nad Doliną. Niebo ściemniało, bo chmury zasłoniły gwiazdy; z dołu wiał lekki wietrzyk. Dobra noc na lot.

Cóż, mój piękny kochanku — zamruczała ciepło Hydona w głowie Treyvana. — *Czy oczarujesz mnie znowu swym podniebnym tańcem?*

Zawsze, kochanie — odparł. Kilkoma silnymi uderzeniami wystrzelił w górę i nieco w bok. Spojrzał na nią i poczuł falę miłości i pragnienia, jak zawsze, kiedy w pełnym locie najbardziej uwidaczniało się jej piękno i siła.

Spotkamy się o świcie!

Nyara również wyruszyła o zachodzie słońca. Jechała na dyheli. Nieoczekiwanie jeleń sam się zaofiarował na towarzysza podróży — przynajmniej na początku, bo później będzie musiała iść pieszo. Lareen była młoda, świeża i silna; zapewniła ze śmiechem, że samą szybkością uchroni jeźdźca od kłopotów. Nyara

cieszyła się; nie miała ochoty na spotkanie z kimkolwiek. Nikt nie powinien jej zauważyć po drodze.

Bała się trochę początku podróży, w którym towarzyszyli jej Skif i Zimowy Księżyc. Skif przez całą radę był sztywny i milczący. Nie chciała spędzić może już ostatnich wspólnych godzin, wijąc się pod ciężarem jego dezaprobaty.

A jednak zaraz po skończeniu spotkania wziął ją na bok, gdzie nikt nie mógł ich podsłuchać, oczywiście prócz Potrzeby, zawsze wiszącej u boku Nyary. Potrzeba jednak nie odezwała się ani słowem, a Skif całkowicie zlekceważył jej obecność.

— Nyaro. . . — zaczął i zająknął się. Spojrzał jej w oczy i położył drżące z napięcia ręce na jej ramionach. Na jego twarzy wyraźnie odmalował się niepokój.

Nie odzywała się. Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Czy powinna przerywać ciszę? Czy to tylko pogorszy sprawę?

Wpatrywał się w nią, jakby w obawie, że z pierwszym nieostrożnym słowem zniknie albo ucieknie.

— Nyaro, wiesz dobrze, że nie podoba mi się to, co masz zrobić — rzekł w końcu ochryple. Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. Widziała jego oczy, ciemne od kłębiących się uczuć, których nie potrafiła nazwać. Pokiwała wolno głową, wciąż nie odzywając się. — Nie mogę jednak odebrać ci prawa do postępowania zgodnie z twoim przekonaniem. Jestem pewien, że potrafisz wykonać to, co ci powierzono. Powinnaś czynić to, co uznajesz za słuszne, to, co musisz. Jesteś panią siebie i gdybym próbował cię zatrzymać, mówiąc, jak bardzo cię kocham, co jest prawdą, absolutną. . . — Potrzęsnał w rozpacz głowę. Wciąż wpatrywał się w jej oczy z niemą prośbą o zrozumienie. — Nie zrobię tego, nie będę na ciebie wywierał nacisku. Proszę, zrozum, nie zgadzam się na to, lecz cię nie zatrzymam, bo wiem, że musisz to zrobić.

Delikatnie dotknęła jego policzka, czując ucisk w gardle. Po chwili uśmiechnęła się. — Zdaje się, że to Elspeth przekonała cię o beznadziejności zawracania z drogi kogoś, kto ma zadanie do spełnienia, prawda? — spytała.

Jej próba rozładowania napięcia powiodła się. Mruknął coś, lecz także się uśmiechnął, a wyraz napięcia na jego twarzy zelżał.

— Jęzda. Musiałaś mi to wypomnieć?

Westchnęła, gdy rozluźnił uścisk palców na jej ramionach i przysunął się, by ją objąć — czego tak bardzo pragnęła od rana. Przez długą chwilę stali razem, przytuleni, ciesząc się bliskością i ciepłem.

— Chyba najgorsze jest nie to, co masz zrobić, ale to, że nie mogę iść z tobą — rzekł wreszcie, przygarniając ją mocniej. — Czuję się tak strasznie bezradny. . . nie znoszę tego.

— Mało kto to lubi — przypomniała. Sama nie czuła się lepiej, choć z innych powodów.

Zanim opuścili Dolinę i wyjechali na śnieg, oczy zdążyły już przyzwyczaić się

do ciemności. Początkowo jechali śladem Mrocznego Wiatru i Elspeth. Mroźne, czyste powietrze odświeżało; gdyby nie cel podróży, Nyara cieszyłaby się jazdą. Już podczas pobytu w wieży odkryła, że lubi zimę, nawet jeśli musiała kryć się przed mrozem i śniegiem. Teraz, ubrana w ciepłą, zimową odzież zwiadowcy Tayledras, na wierzchołku z natury przeznaczonym do przedzierania się przez zasy, mogłaby napawać się ulubioną porą roku z niezmaconą przyjemnością.

Jednak żołądek ścisnął się jej tak, iż nie mogła nic przełknąć; ramiona i plecy zeszywniały z napięcia, a przy boku ciążył miecz, przypominający o tym, co ją czekało u kresu podróży. Wiedziała, że Potrzeba osłania je obie, że służy jej całą swą mocą i umiejętnościami. „Alarmy i pułapki nie będą na nas reagować” — powiedziała sobie raz jeszcze. „Ojciec interesuje się kimś innym. W żaden sposób nie może się mnie spodziewać w tej okolicy. Nie oczekuje mojego powrotu, a co dopiero ataku. Z pewnością nie zmieniał nic w osłonach, odkąd uciekłam. Cały czas niepokoili go Shin’a’in, więc kiedy miałyby to zrobić? Gdy zostawię Skifa i Zimowy Księżyc na granicy, powinnam bez trudu przekraść się przez jego terytorium. . .”

„Więc dlaczego jestem przerażona jak królik w lwiej jamie?” — pytała siebie. Zadrzała — nie z zimna. Odruchowo dotknęła rękojeści miecza.

Jestem tu, mała — rzekła spokojnie Potrzeba. — Osłaniam nas z całych sił. Potrafisz tego dokonać; sama cię uczyłam i wiem, do czego jesteś zdolna.

Jej pewność siebie rozluźniła nieco Nyarę; żołądek wrócił na swoje miejsce, a ramiona wyprostowały się. Jeśli da się opanować lękiem, one ją sparaliżują. Nie ma sensu się bać, póki nic się nie stało.

Ścieżka poszerzyła się i Skif podjechał do Nyary. Odwróciła się do niego z uśmiechem, ale w ciemności chyba go nie dostrzegł.

Według Zimowego Księżyca powinniśmy rozmawiać tylko w ten sposób — zabrzmiał jego myślę głęboko w jej umyśle. Chociaż nigdy dotąd go nie słyszała, wiedziała, że to Skif. To było przyjemne uczucie — jakby jego ręka podtrzymała ją. — Nie bardzo... umiem posługiwać się myślumą. Muszę być blisko ciebie, żebyś słyszała.

Spróbuję — odparła tak samo nieudolnie, trochę się jękając mimo wprawy w porozumiewaniu się z Potrzebą. Ojciec nigdy nie używał w stosunku do niej myślumy; jeżeli w ogóle używał magii umysłu, to tylko po to, by ją poniżyć lub zranić.

Chyba polubiłabyś Valdemar — odezwał się nieoczekiwanie Skif. — Zwłaszcza wzgórze na południu. Zimą są piękne. Spodobałaby ci się także Puszcza Smutku na północy. Za nią leżą góry tak wysokie, że na niektóre szczyty nikt jeszcze nie dotarł.

Przesłał jej obraz gór i lasu leżącego u ich stóp; widziała je drzemiące w letnim upale, pełne ptaków wiosną, otulone chmurami i mgłą na jesieni i śpiące pod śnieżną kołdrą w zimie.

Skąd taka smutna nazwa? — spytała.

Z powodu Vanyela — odrzekł i opowiedział jej całą historię, uzupełniając ją obrazami powstałymi w jego wyobraźni. Z tej opowieści wypłynęła następna, potem jeszcze jedna, jeszcze — aż nadeszła północ, czas na postój, odpoczynek i sprawdzenie bagaży.

Zimowy Księżyc określił ich położenie. Nyara ze Skifem poszli kawałek w przód.

Nie rozumiem tego... bycia heroldem — powiedziała, gdy stali obok siebie, objęci i otuleni płaszczem, czekając na powrót ptaków ze zwiadu.

Czasem ja też tego nie rozumiem — przyznał. — *Najbliższe prawdy będzie chyba stwierdzenie, że robię to, bo muszę, tak jak ty teraz. Tylko ja nie działam pod wpływem nienawiści, gniewu czy uczucia, że jestem coś komuś winien.*

Oparła się o niego i zamknęła oczy. — *Więc dlaczego?* — Nagle bardzo chciała zrozumieć.

— *Czy zabrzmiał głupio, jeśli powiem: z miłości? To nie cała prawda, nawet nie najważniejsza jej część, ale początek.*

Czekała cierpliwie na dalszy ciąg. Nadszedł, choć urywany, nie poskładany. Kawałki nie tworzyły jeszcze całości, lecz — jak okruchy lustra — odbijały Skifa i pozwalały widzieć go lepiej. Nawet w rozbitym zwierciadle można ciągle dojrzeć odbicie...

Jednym z powodów była wdzięczność — heroldowie ocalili mu życie i zastąpili rodzinę. Tego mu Nyara pozazdrościła — ona знаła tylko krótkie wybuchy emocji i nigdy nie miała nikogo bliskiego. Czasami śledziła zwykłych poddanych ojca — zafascynowana i zazdrosna przyglądała się ojcom pieszczącym dzieci. W ich pieszczotach wyrażała się miłość i troska, a nie podstępne zamiary. Ogarniało ją wzruszenie na widok dzieci witających powracających ojców z radością, a nie ze strachem. I widziała tę dziwną, cudowną istotę — matkę... Tę, która umrze, by ocalić dziecko, któremu dała życie. Matkę, kochającą bez zastrzeżeń, nie żądającą w zamian nic prócz miłości, kochającą zawsze, niezależnie od tego, ku jakiej ciemności zwróciło się jej dziecko.

Skif także nie znał matki — w tym byli podobni — ale otrzymał taką miłość od Towarzysza. Nyara zadusiła następny poryw zazdrości. Skoro miał miłość, co ona mogła mu ofiarować?

W jakiś sposób wyczuł jej wątpliwości — i odpowiedział na nie. Nie słowem, ale uczuciem, nie mogła się mylić. Jego myśli objęły ją i ogrzały.

Tę zadumę przerwał im Towarzysz Skifa, trącając go w ramię. Porozmawiali ze sobą i Skif zwrócił się do Nyary: — *Cymry mówi, że Elspeth i Mroczny Wiatr zdołali ściągnąć na siebie uwagę naciągając pułapki. Zmora Sokółów jeszcze się tym osobiście nie zajął, ale to dobra chwila na przejście granicy, póki strażę uganniają się za nimi.*

Skinęła głową; poczuła cichą zgodę Potrzeby.

Chwila przeminęła, lecz zostawiła ślady. Nyara próbowała jeszcze przez pewien czas pomyśleć o tym, co się stało, w końcu jednak poddała się.

Teren stał się niepokojąco znajomy; Nyara znów poczuła zimny dreszcz strachu wędrujący wzdłuż kręgosłupa i chwytający za gardło. Już niedługo. Niedaleko granica. Za chwilę trzeba będzie zsiąść z jelenia, zostawić pelerynę i doprowadzić się do stanu, w którym nie zważa się na ból i zmęczenie, tylko biegnie, biegnie jak dyheli.

Przed świtem, jeśli wszystko dobrze pójdzie, będzie już w zamku. Sama. . .

Sama, do diaska! — prychnął miecz z wyrzutem. — *A ja to co, stary garnek?*

I wysłał jej obraz jej samej, podchodzącej do straży z wielkim garem. Nyara zachichotała i przestała się bać. Oczywiście nie będzie sama! Miała przy sobie Potrzebę, za sobą Skifa — już nigdy nie będzie sama.

To się nazywa trzymać fason. Tylko tak dalej — próbowała podtrzymać ją na duchu Potrzeba.

I chyba trzymała fason, gdy podążali za Zimowym Księżycem coraz głębiej w las, przez dolinę, w której całe stado dyheli wpadło w sidła jej ojca, coraz bliżej granicy i pierwszej przeszkody do pokonania.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Od czasu gdy unieruchomili pułapkę przeznaczoną dla ptaków z Doliny, Elspeth czuła na swoich plecach czyjś wzrok. Pułapka okazała się paskudna. To Brytha pierwszy ją zauważył i ostrzegł ich. W drzewach i w ziemi kryły się sidła rzeczywiste i magiczne. Gdyby Vree wpadł w jedno z nich, nie miałby szans na uwolnienie; prawdopodobnie poniósłby śmierć. A każde zranienie ptaka odbijało się natychmiast na związanym z nim człowieku.

Las był pełen zasadzek — nie wszystkie założył Zmora Sokołów. Kamieni i korzeni ukrytych pod cienką warstwą śniegu mógł nie zauważyć nawet najostrożniejszy wędrowiec. Cienie mogły skrywać wszystko — albo nic. Elspeth nie orientowała się za dobrze po ciemku, musiała więc zdać się na zmysły Gweny; dzięki temu skupiła się całkowicie na wyszukiwaniu magicznych sideł i ukrytych wrogów.

Im bardziej zbliżali się do ziem wroga, tym więcej napotykali pułapek przeznaczonych do schwytania lub zabicia intruzów. Nie spotkali jednak żadnej żywej istoty. Elspeth nie wiedziała, czy się tym cieszyć, czy martwić.

Gdy na niebie pojawiły się pierwsze oznaki świtu, była już tak napięta, że czuła się jak zbyt mocno naciągnięta struna — z pewnością podskoczyłaby na najmniejszy szelest. Po raz pierwszy zdarzyło się jej służyć za ruchomy cel — następczyni tronu Valdemaru nigdy na to nie pozwalano — i zdała sobie sprawę, jak musieli się czuć Kero i Pioruny Nieba, gdy znaleźli się w takim położeniu.

„Nie wolno mi okazywać, że wiem o niebezpieczeństwie, bo Zmora Sokołów zacznie coś podejrzewać. . .” — pomyślała.

O ile wszystko szło zgodnie z planem, gryfy powinny skończyć swoje zadanie lub już je skończyły. Nyara pewnie dotarła do zamku. I już niedługo oni również będą mogli odwrócić się i pobiec do Doliny, bezpiecznej, pełnej magów i adeptów.

Nyara przekroczyła granicę koło północy; dowiedzieli się o tym od Skifa za pośrednictwem Cymry. Skif i Zimowym Księżycem przeprowadzili ją bezpiecznie przez pierwsze linie umocnień i wrócili do miejsca, w którym mieli na nią czekać. Nikt jednak nie wiedział, dokąd dotarła Nyara od czasu rozstania z nimi.

„Bogowie, wszyscy, jacy istniejecie, jakkolwiek was nazywają: Gwiazdzistoka, Kernosie, Astero, pozwólcie nam wszystkim przejść przez to bez uszczerbku na duszy, ciele i umyśle. . .” — modliła się w duchu.

Elspeth czuła się coraz bardziej wyczerpana. Unieszkodliwianie pułapek okazało się żmudniejsze, niż sądziła — choć, kiedy mogli, wykorzystywali energię podziemnych strumieni. Jednak nowe prądy, stworzone przez Zmorę Sokołów, nałożyły się na stare i uczyniły je niedostępnymi. Inne zaś Mornelithe zabezpieczył przed wykorzystaniem przez obcych. Nie, nic nie okazało się tak proste, jak wtedy, gdy omawiali to w Dolinie — a przecież cały plan wydawał się i tak skomplikowany!

Przechwyciła spojrzenie Mrocznego Wiatru; uśmiechnął się, ale nie zdołał ukryć napięcia.

Wygląda tak samo jak ty — rzekła łagodnie Gwena. — *A przecucia cię nie zawodzą; Jesteście obserwowani. Niezbyt dokładnie — Shin'a'in robią, co mogą, by was ostonić — lecz Zmora Sokołów wie, że tutaj jesteście i wie, kim jesteście.*

Cóż, w końcu wyruszyli na tę wycieczkę po to, żeby zwrócić na siebie uwagę, prawda? Za to Nyara i gryfy działały we względnej swobodzie. Mimo wszystko dreszcz niepokoju przeszedł Elspeth po plecach. Z podwójną siłą poczuła wzrok i ukrytą za nim żelazną wolę.

Vree mówi, że gryfy skończyły! — krzyknął nagle Mroczny Wiatr. — *Ostatni strumień wolny!*

Użycie myślmowy na odległość w pobliżu wroga wiązało się z niebezpieczeństwem, ale nie w ten sposób: gryfy porozumiały się z Vree, a on przekazał wiadomość Mrocznemu Wiatrowi na poziomie, o którym Zmora Sokołów chyba nawet nie wiedział, nie wspominając o podsłuchiwanie.

Elspeth i Gwena skręciły i pojechały za Mrocznym Wiatrem, jak gdyby nagle zdecydowali, że zaszedli wystarczająco daleko jak na patrol i zamierzają wracać. Zimne dreszcze i skurcze żołądka nie ustawały. Elspeth ciągle wypatrywała kątem oka oznak nadciągającego ataku. „Nie wolno biec. Jeśli ruszymy galopem, zacznie nas gonić. Nie powstrzymamy go, jeśli uderzy pełną siłą. Musimy sprawić wrażenie, jakbyśmy po prostu zmienili kierunek, musimy mieć nadzieję, że nie straci zainteresowania. . . Hm. Lepiej mieć nadzieję, że nie zdecyduje się nas zatrzymać, skoro chcemy opuścić jego ziemie! Przynajmniej gryfom się udało” — próbowała się pocieszać.

Gdyby mogli tak samo porozumieć się z Nyarą. . . Oblizwała spieczone usta i poczuła, jak jej żołądek ściska się jeszcze mocniej.

Nyara przekradała się, najciszej jak umiała, zakurzonymi korytarzami zamku. W bezszelestnym poruszaniu górowała nad ojcem, który nigdy nie opanował w pełni tej umiejętności. Zresztą nie musiał. Nigdy nie bał się, ani nikogo nie

unikał.

„Przez całe życie nie musiał się kryć” — stwierdziła.

To ona była kulącą się po kątach dziewczynką; byle jak najdalej od niego i tego, co miał dla niej w zapasie.

Poczuła ogarniający ją znów strach. Przywołała się ostro do porządku. „Oddychaj głęboko. Powoli. Ze strachu popełnia się błędy; strach działa na jego korzyść” — próbowała sobie tłumaczyć.

Cieszyła się z kurzu, choć drapał ją w gardle. Na szczęście przygotowała się: oddychała przez jedwabną chustkę związaną na twarzy; posuwała się do przodu wolno, równo, stawiając stopę dopiero po dokładnym zbadaniu powierzchni. Kurz oznaczał, że nikt tędy nie przechodził od jej ucieczki — czyli od lat. Ostatnio szła tym korytarzem ponad dwa lata temu, na długo przedtem, zanim zaczęła choćby marzyć o wymknięciu się z rąk ojca. Potem planowanie zajęło jej cały rok.

W końcu okazało się, że Zmora Sokołów przewidział jej próby uwolnienia się i obserwował ją cały czas, wykorzystując do własnych celów.

„Chciał cię wykorzystać. Nie, Nyaro, odkąd wymknęłaś mu się spod kontroli, działasz w sposób zupełnie dla niego nieoczekiwany. Zwyciężyłaś. Jego własne zamiary obróciły się przeciw niemu. Teraz on kosztuje gorczy” — mówiła do siebie.

Odepchnęła od siebie wspomnienie zadawnionego rozczarowania, opanowała strach i całkowicie skupiła się na przestrzeni, którą miała pokonać ostrożnym i bezszelestnym krokiem. W tej chwili była to najważniejsza rzecz we wszechświecie. Przeszłości nie da się zmienić; przyszłość leży za tym korytarzem — nieznana. Nyara panuje tylko nad chwilą obecną, ale musi zapanować nad nią całkowicie.

Dotąd nie natknęła się na żadne pułapki. Może ojciec uznał, że nie są potrzebne. Ufał wąskim korytarzom — zbyt wąskim, by przeciskał się nimi uzbrojony mężczyzna. A jednak nie na tyle wąskim, by nie mogła prześlizgnąć się nimi szczupła, mała kobieta, której jedyną bronią był trzymany w wyciągniętej ręce miecz, mierzący prosto w ciemność.

Do celu — gabinetu ojca — zostało trzydzieści kroków. Był to jeden z kilku, ale za to najważniejszy — serce jego potęgi, sam środek zamku. Prowadziło do niego wejście z korytarza, którym teraz szła, ukryte było za obiciem ściany, przechodziło się przez szafę zawierającą cenniejszą odzież. Oczywiście Zmora Sokołów znał to przejście, przecież sam je zbudował — ale skoro znał, prawdopodobnie nie zwracał już na nie uwagi. Przejście i korytarz powstały przed urodzeniem Nyary — przez cały ten czas nikt oprócz ojca tędy nie chodził. Może więc uznał je za nieznaną innym mieszkańcom?

Jeszcze dwadzieścia kroków.

On tam jest — ostrzegła Potrzeba. — *Sam. Pracuje.*

Dziesięć kroków. Nigdy dotąd się nie modliła. . .

Nie bój się, dziecko. Ja się modłę za nas obie, a mam w tym doświadczenie — uspokajała ją Potrzeba.

Pięć...

Elspeth wyczuła wyraźną zmianę w powietrzu — jak przed uderzeniem pioruna. Sprężyła się cała; poczuła w ustach metaliczny, gorzki smak. Gwena kichnęła i zamarła — w tej chwili Mroczny Wiatr i Brytha stanęli również. Mornelithe już ich nie obserwował...

Mierzył.

Ucieczka nie miała sensu.

Ostony! — krzyknął mag. Na oślepnął przed siebie ręce, tak jak ustalili wcześniej; Elspeth połączyła się z Gwena i złapała rękę Mrocznego Wiatru, a zarazem jego myśli. On lepiej budował osłony, więc przelała w niego całą moc swoją i otrzymaną od Gweny.

Nadchodził cios; Elspeth skuliła się nad szyją Towarzysza i wystrzeliła własny pocisk: atak jest najlepszą obroną. Nawet o tym nie myślała.

Dwa pioruny starty się nad ich głowami i wybuchły, choć bezgłośnie — jednak spadł na nich deszcz całkiem realnych iskier, syczących w zetknięciu ze śniegiem. Mroczny Wiatr szybko zaciągnął osłony, jednak nie tak mocne i gęste, jakich potrzebowali. Nie starczyło czasu na ich dopracowanie. Nadleciał następny pocisk: świetlista strzała, która rozprysnęła się, uderzywszy w tarcze ochronne. Błysk na moment oślepił Elspeth. Po chwili ogłuszył ją huk piorunu. Nie przypuszczali, że Zmora Sokołów zaatakuje w ten sposób.

„Skąd wziął tyle mocy? Przecież go zranili, powinien być słabszy, nie silniejszy. Chyba że...” — rozmyślała.

Czerpał moc z Bramy?

Albo poświęcił życie służących, by wzmocnić własną siłę. Albo — znalazł sprzymierzeńca...?

Mroczny Wiatr nie mógł osłonić całej czwórki. Załatał ubytek w osłonach po uderzeniu strzały; Elspeth pomogła mu, tkając świetlną pajęczynę — tak, jak uczyli się niedawno temu w bezpiecznej Dolinie.

Jednak Zmora Sokołów nie pozwolił im złapać oddechu. Przeciwstawił im brutalną, nagą siłę. Teraz on był panem sytuacji; znajdowali się na jego terenie i nie mogli czerpać energii z ziemi, gdyż zablokował wszelkie strumienie. Elspeth skrzyła się z bólu, gdy płomień sięgnął jej ręki, ale nie puściła dłoni Mrocznego Wiatru. Nie puści jej, choćby miała za chwilę umrzeć. Kolanem popchnęła Gwena bliżej Brythy, by zmniejszyć fizyczną odległość między nimi. Zamknęła oczy i oparła się o maga; ze zmęczenia i strachu pot spływał jej po plecach. Czowała, jak męczyzna drży z wysiłku.

Zmora Sokołów nie dał im ani chwili wytchnienia. Posyłał cios za ciosem,

ogłuszając ich zupełnie, aż ostatnie osłony pękły. . . Przytulili się do siebie w oczekiwaniu na ostatnie uderzenie. „Przynajmniej razem” - pomyślała Elspeth.

Jednak atak nie nadszedł. Otworzyli oczy; czyżby miało ich spotkać coś gorszego od śmierci?

Podsłyszeli na nagły krzyk z nieba; spojrzeli w górę.

Dwa gryfy pikowały w dół jak dwa złote promienie. Przedarły się przez gałęzie i niemal otarły o ziemię — w ostatniej chwili znów wzleciały w górę, silnymi skrzydłami wzbijając tumany śniegu. Znowu zawołały z szyderstwem w głosach, gdy wystrzeliły w niebo.

Mroczny Wiatr odzyskał głos. — *Biegnij! Szybko! Ściągnęli jego uwagę na siebie. Jeśli się rozproszymy, mamy szansę!* — zdążył przekonać dyheli.

Brytha ocknął się z oszołomienia i ruszył pędem w stronę, z której nadeszli. Gwena poszła w jego ślady, ale skrzyła nieco w bok. Nad lasem Hydona i Treyvan też się rozdzielili. Tańczyli na niebie jak w czasie godów — ciągle wystarczająco daleko od siebie, by Zmora Sokołów nie mógł ich sięgnąć jednym ciosem.

Cztery ruchome cele. . .

Gdy dwoje młodych głupców pokazało się na granicy jego ziem, Zmora Sokołów nie wierzył własnym oczom. „To musi być iluzja” - pomyślał w pierwszej chwili. „Jakaś nowa sztuczka, żeby mnie zmylić”. A jednak im bardziej się zbliżali, tym lepiej ich rozpoznawał, mimo usilnych prób ukrycia ich przed wewnętrznym wzrokiem. Już po północy upewnił się, że nie byli tym, na kogo wyglądali. Wkrótce zobaczył młodą cudzoziemkę, którą tak chciał schwytać. Przed świtem wiedział już, kto jej towarzyszy: Mroczny Wiatr. Dziewczyna ciągle nosiła swój miecz.

Wtedy nie mógł się dłużej powstrzymać, żeby nie zaatakować.

Nie przeżyłby tak długo, gdyby nie umiał korzystać ze sposobności zsyłanych przez los. Nie zmarnuje tej szansy, zwlekając i czyniąc próbne wypadki.

Zebrał całą moc, przygotował broń — i uderzył.

Mroczny Wiatr zginie, a wtedy on dostanie dziewczynę i miecz.

Nie było sensu czekać — nie teraz, gdy cel tak się zbliżył. Zmora Sokołów miotał cios za ciosem, nie zważając na ubywającą moc, nie zważając na nic. Upojenie walką oładnęło nim jak narkotyki; śmiechem witał każdą wyrwę w ich osłonach. Od dawna nie czuł się tak silny. Wyciągnął w górę ramiona; między jego dłońmi przeskakiwały iskry mocy czerpanej z zasobów powstałych po śmierci trzech magów. Wysuszał źródło, ale to się nie liczyło; liczyło się tylko jedno: za chwilę dostanie dziewczynę i moc ptasiego głupca. Wtedy nic nie przeszkodzi mu w dopełnieniu zemsty i zdobyciu potęgi.

Nagle, gdy zamierzał zadać ostateczny cios. . .

Gryfy!

Ich widok uderzył go niczym obuch. Brakowało mu tchu.

Pojawiły się znikąd, przesłoniły cel, wyśmiewały go, puszyły się, śmigając po niebie, jakby oczekiwały, że ich zwinność je przed nim obroni.

Gryfy!

Warknął wściekły. Jak śmiały przeszkodzić mu w polowaniu?

Gniew i nienawiść dodały mu siły, o jakiej nie marzył. Chcieli go zmylić, tak? Myśleli, że może sięgnąć tylko jednego. . .

Przekonają się sami — w ciągu tych kilku chwil, zanim wszyscy zginą!

Zebrał moc, przygotowując się do ciosu, który zniszczy całą okolicę. . .

Nyara odetchnęła głęboko trzy razy i skoncentrowała się. „Nie ma przeszłości ani przyszłości — tylko cel. Tylko równowaga. Ja i cel” — utwierdzała się w przekonaniu.

Przemknęła ostrożnie przez ukryte wejście i bezszelestnie weszła do komnaty. Szybko przebadła ją wzrokiem.

Tam. Tak, to on. Cel.

Postąpiła dwa kroki do przodu, podnosząc wysoko Potrzebę, by wzmocnić cios. . .

I z całą siłą uderzyła w wielki kryształ, skupiający moc Zmory Sokołów. Kryształ krzyczał, emanował śmiercią, zniszczeniem, nawet teraz lśnił krwawą czerwienią i żółcią.

By zgładzić jej przyjaciół.

Nie!

Miecz skruszył kryształ. Moc wybuchła.

Zmora Sokołów podniósł ręce, czując w gardle smak krwi.

Nagle. . . co to. . .

Nawiedziło go przecucie czegoś złego. Coś jest nie w porządku. . .

Chwila dezorientacji. . .

Palący ból przenikający do każdego włókna, każdego nerwu. . .

A za bólem — nicość, zbliżająca się jak potwór z otwartą szeroko paszczą, by go pochłonąć. . .

A potem już tylko pustka.

Elsbeth powoli wygramoliła się z wielkiej zasy, w którą wpadła. Biegli, biegli w śmiertelnym wyścigu, a później. . .

Gwena!

Stała chwiejnie na nogach, zapadając się w głębokim śniegu. Spróbowała się odwrócić.

W porządku... chyba — wydusiła Gwena.

Elspeth zatrzymała się i opadła z powrotem w śnieg. „Dzięki bogom. O, dzięki bogom”. Choć myślę Gwena brzmiał jakoś dziwnie... Jakby...

Czuję się, jakbym miała kaca — odparła Towarzyszka. — *Chyba... chyba mi niedobrze.* — Odgłosy, jakie potem nastąpiły, omal nie doprowadziły Elspeth do tego samego.

Wstała znów i rozejrzała się. Bolała ją głowa, a żołądek podchodził do gardła. Gwena klęczała w zaspie niedaleko, oddychając ciężko.

Nigdy więcej... nie będę z ciebie drwić... gdy będziesz chora... po uczcie — wydyszała, zamykając oczy.

Elspeth dobrnęła do niej.

— Zjedz trochę śniegu — powiedziała, podsuwając jej garść pod nos. — Zjedz. To chyba szok po uderzeniu. Śnieg powinien pomóc.

Jeśli... tak uważasz... — Gwena ostrożnie otworzyła szczęki i szybko przeknęła śnieg. Mdłości zmniejszyły się, więc sięgnęła po następną porcję. — *Pomaga. Dziękuję.*

— Niestety, nie pomoże na ból głowy — ostrzegła Elspeth, mrużąc oczy. „Chyba wszyscy przeżyliśmy...” — pomyślała.

Obok niej zamajaczył cień: Mroczny Wiatr, wsparty na Brycie. Uśmiechnął się blade. Z radości Elspeth prawie zapomniała o bólu. Gdyby mogła, zaczęłaby skakać, Mroczny Wiatr puścił Brythę i wpadł w jej ramiona.

— Co się stało? — spytała tuląc go, czując jego ramiona wokół siebie, nie zwracając uwagi na zimno przenikające ubranie.

— Chyba miał właśnie na nas uderzyć, gdy Nyara zniszczyła oko magii — odparł Mroczny Wiatr. — Większość energii ominęła nas, lecz to, co zostało, wystarczyło, żeby zwalić nas z nóg. Mam nadzieję, że Treyvan i Hydona...

Czują sssię dobrze, dzięki — rozległ się rażny myślę w głowie Elspeth. Podniosły się tumany śniegu i gryf wylądował obok. — A wy? — ciągnął, składając skrzydła i przechylając głowę. Vree usiadł koło niego i naśladował każdy ruch. Elspeth roześmiałaby się, gdyby pozwalał jej na to ból głowy. Zresztą nie tylko głowy. Czuła się tak, jakby całe ciało miała obite drewnianą pałką. — Rrozumiem — stwierdził gryf, choć nikt z nich nie odezwał się ani słowem. — Poczekaście trrochę.

Odszedł na bok, w stronę kępy krzaków. Szybko wygrzebał zagłębienie i wyłożył je gałazkami sosny.

— Prroszszę. Zrrrobiłem wam gniazdko — rzekł, odwracając się do nich. — Połóżcie sssię w nim i poczekaście. Ssprrowadzę pomoc. Tymczassem jedzcie śśśnieg.

Poderwał się w górę i po kilku uderzeniach skrzydeł zniknął im z oczu.

— I co? — zagadnęła Elspeth. Mroczny Wiatr wzruszył ramionami.

— Nie zajdę daleko. Brytha nie czuje się ani trochę lepiej od Gwenty. Niech dla odmiany ktoś inny przejmie dowodzenie.

— Dobry pomysł — odrzekła i wszyscy czworo ułożyli się w „gnieździe”, grzejąc się nawzajem swym ciepłem i czekając na pomoc.

Nyara przeszukała trzy komnaty — gabinet, bibliotekę i warsztat — jedynie warsztat nosił ślady zniszczenia. Potrzeba zamilkła na moment.

On tu był — rzekła po chwili. — *Dziecko, to szaleństwo: chciał zaczepić Bramę częściowo o siebie samego. Już go nie ma, został wciągnięty w próżnię... razem z połową sprzętów z komnaty.*

— Czy może wrócić? — wyszeptła.

Nie wiem; ale nawet jeśli wróci, to nie ten sam.

Nyara zadrżała i wróciła do ukrytego korytarza. Słyszając zza drzwi stłumione głosy, przyśpieszyła kroku. Mieszkańcy zamku mogliby ją powitać jak wybawicielkę, lecz trudno na to liczyć. Raczej wyjdą jej na spotkanie z mieczami. Nie wierzyli już nikomu. Czas odejść.

Wspaniale się spisalaś, dziecko. Jestem pod wrażeniem — pochwaliła ją Potrzeba.

Dolina wyglądała cudownie. Elspeth miała ochotę na kubek herbaty i tygodniowe wylegiwanie się w łóżku. Herbatę dostała, ale nie pozwolono jej iść od razu do siebie. Czekala na nich grupka ludzi pod przewodnictwem Śpiewu Ognia.

Adept uzdrowiciel wyglądał na zmartwionego. Elspeth nigdy nie widziała go w takim stanie i nie przypuszczała, że się to zdarzy.

— Mam dziwne wiadomości — rzekł, gdy małymi łydkami popijała herbatę. Ból głowy stawał się powoli znośny. Spojrzała na maga. Mroczny Wiatr wzruszył ramionami i wziął następny kubek.

— Zdaje się, że ostatnio tylko takie słyszeliśmy — rzekła sucho Elspeth, owijając się szczelniej kocem.

Śpiew Ognia przysiadł na piętach. Wzruszył ramionami.

— Prawdopodobnie większość k'Sheyna nie ucieszy się z tego. Chodzi o proto-Bramę. Nie zatrzymała się tam, gdzie chciałem. Została pociągnięta — mocno pociągnięta — dalej.

— Nie Zmora... — zawołała zaniepokojona Elspeth, ale mag przerwał jej potrząśnięciem głowy.

— Nie. Jednak moc nie dotarła również do nowego kamienia-serca k'Sheyna. — Westchnął. — Nie potrafię tego wyjaśnić. Posunęła się dalej, na północny wschód. Daleko na północny wschód. — Spojrzał na Elspeth spod długich, białych rzęs. — Dokładnie mówiąc, do twojej ojczyzny.

Ośłupiała. Czy dobrze go zrozumiała? — Valdemar? Ale... dlaczego? Jak? — Setki pytań kłębiły się w jej głowie.

— Lepiej spytać: kto? — odparł Śpiew Ognia wstając. — W czasie eksplozji nadeszła z północy fala energii. Wchłonęła część mocy wybuchu, wyrwała bramę z naszych rąk, a potem ładnie ją osadziła jak kamień-serce w twojej stolicy. Przynajmniej tak przypuszczam, bo gdzie indziej mogłoby przebywać tyle Towarzyszy? — uniósł kącki ust w lekkim uśmiechu. Skinął głową Owenie. — Przypuszczam też, że w tej chwili wszystkie czują się jak Gwena. Przemieszczenie i osadzenie takiej mocy nie przebiega bez echa.

— Północ — powtarzała Elspeth, starając się nie wyglądać na zbyt oglupiałą. — Północ?

— Północ? — Mroczny Wiatr potrząsnął głową. — Co, na bogów, mogło być na tyle silne, by to zrobić?

— Nic... — zaczęła Elspeth i umilkła.

— Co? — spytali razem Mroczny Wiatr i Śpiew Ognia.

— Puszcza Smutku — rzekła z wahaniem. — Zawsze uchodziła za niesamowite miejsce, przynajmniej odkąd zginął tam Vanyel.

Na to imię oczy Śpiewu Ognia zwięziły się. Pokiwał głową. — Jesteś gotowa — rzekł. — Osiągnięcie wprawy to już tylko kwestia ćwiczeń. Uważam, że oboje powinniście tam pojechać. Do tego lasu.

— Pojechać? — zapytał słabo Mroczny Wiatr. Elspeth spojrzała na niego kątem oka. Zbladł i wyglądał na ogłuszonego.

— Tak — rzekł stanowczo adept. — Pojechać tam. Ty też. Ślepy by zauważył, jak bardzo tego pragniesz. Tutaj zostaną Kaled'a'in. Klan poradzi sobie bez ciebie. Kto wie, może nawet ściągną tu resztę z nowej Doliny. Według mnie to najlepsze rozwiązanie. A ty powinieneś... musisz jechać z Elspeth.

— Ależ... nie mogę! — zawołał Mroczny Wiatr, podskakując na dźwięk własnego ochryplego głosu. — Nie mogę — powtórzył ciszej. — Tayledrasi nigdy nie opuszczają Dolin.

— Sheka — odparł grubiańsko adept. — Moi przodkowie opuścili Dolinę, żeby pomóc heroldowi Vanyelowi w Valdemarze, gdy ich potrzebował. Nikt tak nie robił przez ostatnie kilka stuleci, to prawda, lecz nadeszły czasy zmian. Czy może — zakończył sarkastycznie — ten fakt umknął twojej uwadze?

— Ale przeprowadzka klanu... — protestował słabo mag.

— Pomogą w niej Kaled'a'in. Albo sprowadzą tu resztę, albo wyślą magów tam. Teraz, gdy kamienia już nie ma, możecie wykorzystać ognisko mocy w ruinach, by stworzyć nowy kamień lub Bramę do nowej Doliny. — Uzdrowiciel wzruszył ramionami, beztrząsco odrzucając włosy z twarzy. — To mnie już nie dotyczy. Spełniłem zadanie i wracam do domu.

— A ojciec... — zaczął Mroczny Wiatr i potrząsnął głową. — Ojciec ma Kethrę i uzdrowicieli z Shin'a'in i Kaled'a'in. I Zimowy Księżyc. Ale... — przy-

gryźł nerwowo wargę — to niełatwe.

— Dorastanie rzadko bywa łatwe — rzekł sucho adept. — Zostawiam cię, żebyś podjął decyzję.

Wstał i uśmiechnął się. Dopiero teraz spostrzegli, że miał w ręce czarną różę. Widząc zdziwione spojrzenie Elspeth, uśmiechnął się szerzej. — Prezent — rzekł krótko. — Przyniósł mi go ognisty ptak ze szkarłatnym czubem.

Mroczny Wiatr zmarszczył brwi. — Ale... one żyją daleko na północy — dziwił się.

Śpiew Ognia zamknął oczy i westchnął jak panna, która słyszy komplement. — Tak, Mroczny Wietrze — przytaknął mu. — Na północ od Valdemaru.

Elspeth siedziała bez ruchu, kiedy uzdrowiciel odszedł. Zostali sami na polance pod jej ekele. Miała chęć odwrócić wzrok, lecz bała się, że Mroczny Wiatr odczyta to jako odmowę.

A tego nie chciała za nic na świecie.

Mroczny Wiatr długo, długo wpatrywał się w kubek. Herbata stygła; oboje milczeli, zatopieni w myślach. Wreszcie mężczyzna podniósł wzrok.

— To niełatwe — rzekł niezręcznie. — Ja... ja nigdy nie wyjeżdżałem poza granice naszych ziem. Nic nie wiem o terenach poza nimi.

— Żyją tam źli ludzie, dobrzy ludzie i przeciętni — odparła tak lekko, jak tylko mogła. — Jest ich tylko nieco więcej, niż do tego przywykłeś. Chciałabym, żebyś ze mną pojechał. Potrzebuję cię. Nie maga, lecz ciebie samego: Mrocznego Wiatru. — Ostatnie słowa wymknęły się jej, zanim zdołała je powstrzymać, ale nie żałowała.

Mroczny Wiatr odetchnął z głębi piersi. — Miałem nadzieję, że to powiesz — odezwał się, biorąc ją za rękę. — Jednak tego nie oczekiwałem.

Serce podskoczyło jej do gardła. — Pójdziemy więc tam, dokąd zaprowadzą nas czasy zmian? — spytała.

— Razem — odparł. — Tak. Pójdziemy.

Elspeth znowu spakowała bagaże — to, co przywiozła i to, co dostała w Dolinie. Zima nie skończyła się jeszcze, ale wyprawa wyruszająca z Doliny Kena Lesh'e'jana nie przełęknie się chłodu i śniegu. W jej skład wchodziło nie tylko trzech adeptów — Śpiew Ognia miał ich odprowadzić do k'Treva — ale także cztery gryfy. Dwa z nich ledwie wyrosły z pierza; część drogi przejdą piechotą między krótkimi lotami, jednak nawet młody gryf odstrasza wrogów.

Elspeth nie spodziewała się, że gryfy pojedą z nimi, lecz bardzo się z tego ucieszyła. Treyvan nie wyjawiał swych zamiarów, ale ponieważ zaczął się dopytywać o lekcje jej języka, podejrzewała, iż wybrano go z Hydoną na ambasadorów Kaled'a'in w Valdemarze. Miało to sens — zwłaszcza gryfiątka przekonają mieszkańców o uczciwych zamiarach przybyszów.

„Nie mogę się doczekać widoku gryfów na dworze. Ciekawe, jak Seneszal sprawdzi ich listy uwierzytelniające?”

Zmiany, zmiany.

Przygotowania zajmą kilka tygodni. Przez ten czas oboje z Mrocznym Wiatrem pomogą Kaled'a'in zbudować Bramę, by wysłać magów i zwiadowców do nowej Doliny. Potem już nic nie będzie tu trzymać Mrocznego Wiatru, prócz ponurych wspomnień, do których lepiej nie wracać.

A potem...

Nieznane — dla nas obojga...

Zadrżała. Nagle krzyk ptaka kazał jej spojrzeć w górę. Nie wiedziała, dlaczego... Przecież w powietrzu nad Doliną ciągle rozlegały się głosy ptaków.

Nad nią, na tle nieba, tańczyły dwa sokoły, wznosząc się wyżej i wyżej ku słońcu.